



DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD

TANIEC
SMIERCI

DOUGLAS PRESTON

LINCOLN CHILD

Pendergast #6 Taniec smierci

DOUGLAS PRESTON LINCOLN CHILD

Cykl Pendergast

Tom szósty

Lincoln Child

dedykuje tę książkę swojej córce

Weronice

Douglas Preston

dedykuje tę książkę swojej córce

Alethei

Podziękowania

Chcielibyśmy złożyć podziękowania następującym osobom z wydawnictwa Warner Books: Jamie'emu Raabowi, Larry'emu Kirshbaumowi, Maureen Egen, Devi Pillai, Christine Barbie, zespołowi działu sprzedaży, Karen Torres, działowi marketingu, Marcie Otis, działowi promocji i reklamy, Jennifer Romanello, Danowi Rosenowi, Mai Thomas, Flagowi Tonuziemu, Bobowi Castillo, Peninie Sacks, Jimowi Spiveyowi, Miriam Parker, Beth de Guzman i Lesowi Pockellowi.

Dziękujemy szczególnie naszej redaktorce Jaime Levine, niezmordowanej orędowniczce powieści Prestona-Childa. W dużej mierze nasz sukces zawdzięczamy jej doskonałej pracy redaktorskiej, entuzjazmowi i poradom.

Podziękowania należą się też naszym agentom: Ericowi Simonoffowi z Janklow & Nesbit oraz Matthew Snyderowi z agencji Creative Artists.

Girlandy z liści laurowych dla agenta specjalnego Douglasa Marginiego, Jona Coucha, Johna Rogana i Jill Nowak za ich współpracę przy wielu różnych sprawach.

Jak zawsze chcielibyśmy też podziękować naszym żonom i dzieciom, za ich miłość i wsparcie.

Nie musimy chyba dodawać, że postacie, firmy, wydarzenia, miejsca, posterunki policji, muzea i organy rządowe opisane w tej powieści są fikcyjne lub pojawiają się w opisach fikcyjnych wydarzeń.

ROZDZIAŁ 1

Dewayne Michaels siedział w drugim rzędzie auli uniwersyteckiej, wpatrując się w profesora z udawanym zaciekawieniem, a w każdym razie miał nadzieję, że sprawia takie wrażenie. Powieki opadały mu tak, jakby ktoś przyczepił do nich ołowiane ciężarki. Czuł łomotanie pod czaszką i serce tłukące się dziko w piersiach, a w ustach miał smak, jak gdyby coś się tam wczołgało i zdechło. Przyszedł na wykład późno i cała aula była już wypełniona z wyjątkiem jednego miejsca – w drugim rzędzie naprzeciw pulpitu.

Pięknie.

Po prostu pięknie.

Dewayne robił magisterium z inżynierii elektrycznej. Wybrał ten fakultet – podobnie jak robili to od trzydziestu lat inni studenci inżynierii z jednego powodu – był łatwy do zaliczenia. „Literatura angielska z perspektywy humanistycznej” – te zajęcia zaliczało się jak marzenie, prawie nie zaglądając do podręcznika. Profesor, który prowadził wcześniej wykłady, stetryczały grzyb nazwiskiem Mayhew, mówił wolno i sennie jak hipnotyzer, a jego nużący, monotony głos był w stanie uspić każdego. W dodatku od czterdziestu lat korzystał z tych samych notatek. Stary piernik podczas testów korzystał z tych samych od lat zestawów pytań, których kopie krążyły z rąk do rąk w akademiku Dewayne'a. Pech chciał, że od tego właśnie semestru wykłady miał prowadzić słynny doktor Torrance Hamilton. Wszyscy przyjęli tę wiadomość z takim entuzjazmem, jakby sam Eric Clapton zgodził się zagrać na balu maturalnym.

Dewayne poruszył się nerwowo na siedzeniu. Od zimnego sztywnego plastiku zdrętwiały mu pośladki. Spojrzał w lewo i w prawo. Wokół niego studenci – głównie ze starszych roczników – robili stenograficzne notatki lub korzystali z dyktafonów, aby nie przegapić ani jednego słowa wykładowcy. Po raz pierwszy na tych wykładach sala pękała w szwach. Jak okiem sięgnąć, nie było ani jednego studenta inżynierii.

Ale pasztet.

Dewayne mówił sobie, że ma jeszcze tydzień, żeby zrezygnować z tego fakultetu, potrzebował jednak zaliczenia, a kto wie, może profesor Hamilton nie jest straszną piłą. Do licha, przecież ci wszyscy studenci nie przysliby tu tłumnie w sobotni ranek, gdyby wiedzieli, że zostaną oblani na egzaminie... Lecz czy aby na pewno?

Tymczasem Dewayne skoncentrował się na tym, by sprawiać wrażenie skupionego na wykładzie.

Hamilton spacerował w tę i z powrotem po podium, a jego silny, głęboki głos rozbrzmiewał w całej auli. Wyglądał jak szary lew, z długimi, zaczesanymi do tyłu włosami i w eleganckim, choć odrobinę zbyt ponurym czarnym garniturze zamiast w widywanych tu na co dzień wyświechtanych tweedowych marynarkach. Miał dziwny akcent, inny niż nowojorski, choć z pewnością nie był jankesem. Nie mówił też jak typowy Anglik. Jego asystent siedział z tyłu, za profesorem, i sporządzał pilnie notatki.

–Tak więc – mówił Hamilton – przyjrzymy się dziś bacznie Jałowej ziemi Eliota, poematowi, w którym zawarł pustkę i wyobcowanie w XX wieku. To jeden z najwspanialszych poematów, w literaturze światowej.

Jałowa ziemia. Dewayne dopiero teraz sobie o nim przypomniał. Co za tytuł! Naturalnie nie przeczytał tego, bo i po co? Przecież to wiersz, a nie powieść, może przeczytać go nawet teraz, w trakcie wykładu.

Sięgnął po tomik poezji T. S. Eliota, pożyczony od kumpla – nie zamierzał wydawać ani grosza na coś, po co i tak nigdy nie więcej nie sięgnie – i otworzył. Na trzeciej stronie widniało zdjęcie poety – wyglądał jak mięczak w tych śmiesznych małych babcynych okularkach i z ustami w ciup, jakby ktoś wsadził mu w tyłek kij od szczotki. Dewayne parsknął i zaczął przewracać strony. Jałowa ziemia, Jałowa ziemia... O, jest.

Cholera. To nie był żaden limeryk. Cholerstwo miało dobrych paręnaście stron.

–Pierwsze wersy są znane tak dobrze, że trudno nam wyobrazić sobie reakcję, szok, jaki wzbudziły w ludziach, gdy przeczytali je po raz pierwszy na łamach „The Dial” w 1922 roku. To nie była poezja w dawnym rozumieniu tego słowa. Raczej antypoemat. Postać poety nie pojawia się w wierszu. Do kogo więc należą te

ponure i niepokojące myśli? Początek to rzecz jasna gorzka aluzja, wyraźnie nawiązująca do Chaucera, ale to nie wszystko. Zastanówmy się nad obrazem, który przedstawia nam autor na samym początku – łodygi bzu wyrastające z nieżywej ziemi, gnuśne korzenie, łaskawy śnieg. Żaden inny poeta w całej historii świata nie pisał tak o nadejściu wiosny.

Dewayne dotarł do końca poematu i zorientował się, że utwór ma ponad czterysta wersów. O nie. Nie...

–To intrygujące, że Eliot pisze w drugim wersie o bzie, choć w owym czasie bardziej popularne były raczej maki. Podówczas niemal w całej Europie wszędzie rosły maki, a to za sprawą niezliczonych gnijących zwłok, ofiar I wojny światowej. Jednakże, co istotniejsze, maki, które, oczywiście, przywodzą na myśl narkotyczny sen – zdają się pasować o wiele bardziej do metaforyki Eliota. Czemu więc Eliot wybrał właśnie bzy? Przyjrzyjmy się uważnie, jakimi posługuje się aluzjami, a w tym przypadku nawiązuje raczej do „Gdy bzy ostatnie kwitły na dziedzińcu” Whitmana.

O Boże, co za koszmar: siedział w auli, w drugim rzędzie i nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił profesor. Kto by pomyślał, że można napisać całe czterysta wersów o jakiejś cholerniej jałowej ziemi. On sam czuł się wyjąłowany, miał wrażenie, że wewnątrz jego czaszki wypełniono kilkoma garściami kulek do łożysk. W sumie nic dziwnego po tym, jak balował wczoraj do czwartej nad ranem, sącząc jednego drinka za drugim.

Nagle zorientował się, że w całej sali zapanowała cisza, zamilkł nawet donośny, dźwięczny głos wykładowcy. Podniósł wzrok na doktora Hamiltona, zauważył, że profesor stoi w bezruchu, z dziwnym wyrazem twarzy Elegancki czy nie, ten starszy facet wyglądał tak, jakby właśnie sfajdał się w spodnie. Jego oblicze dziwnie zwiotczało. Dewayne patrzył, jak Hamilton wyciąga chustkę, delikatnie wyciera nią czoło, a następnie składa ją starannie i chowa do kieszeni. Odchrząknął głośno.

–Proszę wybaczyć – powiedział, po czym sięgnął po stojącą na pulpicie szklankę wody i upił niewielki łyk. – Jak już mówiłem, przyjrzymy się teraz metrum wykorzystywanemu przez Eliota w pierwszej części poematu. Cechuje je agresywny rytm jambicz-ny, wersy zamknięte występują tylko tam, gdzie kończy się zdanie. Zwróćcie uwagę na specyficzny dobór silnie akcentowanych czasowników – wywodzi, miesza, podnieca. Ich brzmienie przywołuje na myśl złowrogi dudnienie bębna, jest nieprzyjemne, burzy sens

fraz, wywołuje uczucie niepokoju. Zapowiada, że w tym poemacie coś się wydarzy, i to nie będzie nic przyjemnego.

Ciekawość rozbudzona w Dewaynie przez krótką, niespodziewaną przerwę w wykładzie, prysła. Dziwny wyraz bólesci na twarzy profesora znikł równie nagle, jak się pojawił, a jego oblicze, choć nadal blade, utraciło wcześniejszy odcień przywodzący na myśl popioły

Dewayne skupił uwagę na poemacie. Mógł go szybko przeczytać, choćby pobieżnie, i zorientować się, o co było tyle hałasu. Zerknął na tytuł i szybko przeniósł wzrok na epigramat, epigraf, czy jak to się zwie. Przerwał. Co to miało znaczyć, u licha? Nam Sibyllam quidem...

To na pewno nie był język angielski. A w dodatku pomiędzy wersami widniały linijki jakiegoś pisma, którego litery przypominające poskręcane małe robaczki na pewno nie należały do normalnego alfabetu. Rzucił okiem na przypisy i stwierdził, że pierwszy fragment tekstu był w języku łacińskim, a drugi w greckim. Potem była dedykacja – dla Ezry Pounda, *il miglior fabbro*. Wedle przypisu, ostatni dopisek był po włosku.

Łacina, greka i włoski. W dodatku ten poemat nawet się jeszcze nie zaczął. Co będzie teraz – hieroglify?

Istny koszmar.

Zlustrował wzrokiem pierwszą, a potem drugą stronę. Bełkot, czysty bełkot.

Pokażę ci strach w garstce popiołu. Co to miało znaczyć, u licha? Jego wzrok padł na kolejną linijkę. *Frisch weht der Wind...*

Nagle Dewayne zamknął tomik, zrobiło mu się niedobrze. Wystarczy Zaledwie trzydzieści wersów i już pięć różnych cholernych języków. Jutro z samego rana pójdzie do dziekanatu i zrezygnuje z tych zajęć.

Usiadł wygodniej, w głowie czuł dziwne pulsowanie. Teraz, gdy podjął już decyzję, zastanawiał się, jak przetrwać dalsze czterdzieści minut wykładu, aby nie zacząć chodzić po ścianach. Gdyby siedział w którymś z tylnych rzędów, gdzie mógłby wymknąć się z auli niepostrzeżenie...

Tymczasem na podium profesor sennie głądził dalej: – Skoro to już omówiliśmy, przejdźmy teraz do...

Nagle Hamilton znów zamilkł.

–Przepraszam. – Jego oblicze ponownie zwiotczało. Wydawał się... No właśnie, jaki?

Zakłopotany? Wzburzony? Nie... Raczej przerażony

Dwayne usiadł prosto. Nagle to, co działo się w auli, zaczęło go interesować. Profesor sięgnął po chustkę, wyjął ją z kieszeni, ale upuścił, zanim uniósł dłoń do czoła. Rozejrzał się niepewnie dookoła, wciąż machając ręką w powietrzu, jakby odganiał natrętną muchę. Dotknął dłonią twarzy, zrazu delikatnie, nieśmiało, jak ślepiec. Drżące palce muskały przez chwilę jego usta, nos, oczy, włosy, po czym znów przecięły powietrze.

W auli raz jeszcze zapadła cisza. Asystent siedzący za profesorem odłożył pióro i spojrzał z zatroskaniem i niepokojem na wykładowcę. Co się dzieje? Zastanawiał się Dwayne. Facet dostał ataku serca?

Profesor zrobił niewielki, chwiejny krok naprzód, wpadając na pulpit. Równocześnie uniósł drugą rękę do twarzy, dotykając jej całej, lecz tym razem o wiele mocniej, naciągając skórę, pociągając za dolną wargę i wymierzając sobie kilka lekkich policzków.

Nagle profesor przerwał, znieruchomiał i zlustrował aulę. – Czy coś się dzieje z moją twarzą?

Głucha cisza.

Wolno, bardzo wolno doktor Hamilton rozluźnił się. Wziął jeden długi chrapliwy oddech, potem drugi i stopniowo z jego twarzy znikło napięcie. Odchrząknął.

–Jak już mówiłem...

Dwayne zauważył, że palce jednej dłoni profesora ponownie ożyły, rozedrgane i drżące. Ręka uniosła się do twarzy, palce zaczęły skubać skórę.

To było dziwne, bardzo dziwne.

–Ja... – zaczął profesor, ale dłoń nie pozwoliła mu dokończyć. Jego usta otwierały się i zamykały na przemian, Spomiędzy rozchylonych warg wypływał zduszony świst. Postąpił jeszcze jeden krok naprzód, mechanicznie jak robot, i znów walnął w pulpit.

–Co to ma być? – zapytał łamiącym się głosem.

Boże, ten profesor zaczął naprawdę mocno ciągnąć się za skórę na twarzy, jego powieki rozciągnęły się groteskowo, obie ręce szarpały z całej siły, a w pewnej chwili na policzku pojawiło się długie krwawiące zadrapanie – ślad po paznokciu.

W auli dał się słyszeć niespokojny szmer jak głośnie, głuche westchnienia.

–Dobrze się pan czuje, profesorze? – zapytał asystent.

–Zadałem... wam... pytanie – wychrypiał profesor niemal wbrew swojej woli, jego głos wydawał się zduszony i zniekształcony przez ręce, które przyciskał do twarzy.

Zrobił jeszcze jeden chwiejny krok naprzód, a potem wrzasnął na całe gardło: – Moja twarz! Dlaczego nikt z was mi nie powie, co się dzieje z moją twarzą?

Wciąż głucha cisza.

Palce wpiły się w czoło, a potem, już zaciśnięte w pięści, zaczęły miażdżyć nos silnymi uderzeniami, dał się słyszeć trzask pękającej chrząstki.

–Zdejmijcie je ze mnie! Wzerają się w moją twarz!

O cholera, krew buchała teraz strugami z jego twarzy, zbyzgując przód białej koszuli i czarnego garnituru. Palce zaciśnięte w szpony zaczęły orać skórę i ciało, rozszarpując i rozdrapując, aż w końcu jeden z nich, jak stwierdził z narastającym przerażeniem Dewayne, wślizgnął się w głąb oczodołu.

–Wyjmijcie je! Uwolnijcie mnie od nich!

Wykonał zamaszysty, półkolisty ruch ręką, który Dewayne'owi skojarzył się z nabieraniem lodów do rożka, i nagle gałka oczna wyslizgnęła się z oczodołu i zawisła na wysokości policzka, wielka, oślizgła i groteskowa, spoglądając na Dewayne'a pod nieprawdopodobnym kątem.

W całej auli rozległy się głośnie wrzaski. Studenci zaczęli wybiegać z pierwszych rzędów Asystent poderwał się z krzesła i podbiegł do Hamiltona, który odepchnął go brutalnie.

Dewayne był jak przyrośnięty do siedzenia, w głowie miał pustkę, nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Profesor Hamilton postąpił krok naprzód jak automat, przez cały czas rozdzierając sobie twarz i wyrывая włosy całymi pękami. Szedł przed siebie, chwiejąc się, i wydawało się, że lada chwila upadnie wprost na Dewayne'a.

–Lekarza! – krzyknął asystent. – Wezwijcie lekarza! Rozpętało się piekło. W auli zapanował chaos, wszyscy w jednej chwili poderwali się z miejsc, słysząc było trzask książek sypiących się na podłogę i donośny gwar przepelnionych paniką głosów.

–Moja twarz! – rozległ się pośród chaosu przeraźliwy krzyk profesora. – Gdzie ona jest?

Nikt już nie był w stanie zapanować na chaosem – studenci biegli do wyjścia, kilkoro z nich szlochało. Inni rzucili się naprzód, wbiegli na podium, by pomóc profesorowi, który wciąż się okaleczał, i próbowali powstrzymać jego autodestrukcyjne zapędy. Profesor zaczął na oślep wymachiwać pięściami, usiłując utrzymać ich na dystans, wydając przy tym wysoki, skamlący jęk, jego oblicze wyglądało jak szkarłatna maska. Ktoś przedzierający się między rzędami foteli całym ciężarem stanął na stopie Dewayne'a. Krople rozprysniętej krwi spadły na twarz Dewayne'a, poczuł na skórze ich ciepło. Mimo to nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

Nie potrafił oderwać wzroku od profesora, nie umiał uciec przed tym koszmarem. Studenci unieruchomili profesora, przyszpilając go do desek podium, a teraz ślizgali się w jego krwi, usiłując przytrzymać jego miotające się ciało i okrwawione zakrzywione w szpony ręce. Na oczach Dewayne'a profesor zrzucił ich z siebie tytaniczną, nadludzką mocą, schwycił szklankę z wodą, rozbił ją o pulpit i wrzeszcząc jak opętany, zaczął wbijać sobie szklane odłamki w szyję, przekręcając je w ranach i wykonując półkoliste ruchy, jakby próbował wydobyć coś spod skóry.

I wtedy niespodziewanie Dewayne poczuł, że znów może się poruszyć. Podniósł się z miejsca, zachwiał i poślizgnął, po czym, odzyskawszy równowagę, przebiegł do przejścia między rzędami i pognął po schodach w kierunku wyjścia z auli. Jedyne, czego obecnie pragnął, to znaleźć się jak najdalej od tego niewytłumaczalnego kosmaru, którego był właśnie świadkiem. Gdy tylko przestąpił próg i pobiegł co sił w nogach w głąb korytarza, w jego myślach nadal rozbrzmiewało echo wiersza, który wciąż nie dawał mu spokoju i powtarzał się raz po raz, bez końca:

Pokażę ci strach w garstce popiołu.

ROZDZIAŁ 2

–Vinnie? Vin? Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

–Nie! – Porucznik Vincent D'Agosta próbował zachować niewzruszony ton głosu. – Nie. Dam sobie radę. Jeszcze parę minut.

Spojrzał na zegar: już prawie dziewiąta. „Jeszcze parę minut. Tak, no jasne”. Będzie miał szczęście, jeśli kolacja znajdzie się na stole o dziesiątej.

Kuchnia Laury Hayward – wciąż myślał o niej jako o jej kuchni; wprowadził się zaledwie sześć tygodni temu – była istną oazą porządku, równie spokojną i nieskazitelną jak sama Hayward. Teraz miejsce to przypominało strefę działań wojennych. W zlewie pełno było brudnych naczyń. Wewnątrz i wokół kosza na śmieci wałało się pół tuzina pustych puszek, z których wyciekały resztki oliwy z oliwek i sosu pomidorowego. Niemal tyle samo książek kucharskich leżało pootwieranych na blacie, ich strony zasłane były okruskami chleba i mącznym pyłem. Pojedyncze okno wychodzące na zaśnieżone skrzyżowanie Siedemdziesiątej Szóstej i Pierwszej upstrzyły kropelki tłuszczu, pozostałość po smażonej kiełbasie. Choć okap był włączony i pracował pełną parą, w powietrzu uparcie unosiła się woń przypalonego mięsa.

Od dobrych paru tygodni, o ile tylko pozwalał na to grafik dyżurów, Laura przyrządzała dla nich dwojga – i to, zdawałoby się, bez najmniejszego wysiłku – jeden wspaniały posiłek po drugim. D'Agosta był kompletnie zdumiony. Dla jego już wkrótce byłej żony, mieszkającej obecnie w Kanadzie, gotowanie zawsze stanowiło katorgę, z którą nieodłącznie wiązało się histeryczne biadolenie, głuche westchnienia, trzaskanie garnkami, a efekt i tak zwykle okazywał się mizerny. Laura była podobna do niej jak dzień do nocy

Jednakże D'Agosta prócz zdumienia poczuł się równocześnie odrobinę zagrożony. Jako detektyw w stopniu kapitana policji nowojorskiej Laura Hayward nie tylko przewyższała go rangą, lecz również zdolnościami kulinarnymi. Wszyscy wiedzą, że najlepszymi kucharzami są mężczyźni, a zwłaszcza Włosi. Francuzi nie mogą się z nimi równać. Dlatego też wielokrotnie obiecywał jej, że przygotuje prawdziwą włoską kolację według przepisu swojej babci. Za każdym razem, kiedy powtarzał to przyrzeczenie, posiłek stawał się coraz bardziej złożony i spektakularny. Aż w końcu nadszedł ten wieczór, kiedy postanowił przyrządzić lasagne po neapolitańsku zgodnie z babciną recepturą.

Niestety, dopiero kiedy znalazł się w kuchni, uświadomił sobie, że nie pamięta, jak właściwie jego babcia robiła lasagne napoletana. Fakt, wielokrotnie obserwował ją przy pracy. Często jej pomagał. Ale co konkretnie wchodziło w skład ragu, które nakładała na kolejne warstwy makaronowych płatów? I czego dodawała do tych maleńkich klopsików, które wraz z wołowiną i kilkoma rodzajami sera tworzyły nadzienie? W przyпіlywie desperacji sięgnął do książek kucharskich, których Laura miała bez liku, ale w każdej z nich napotykał odmienne, często sprzeczne porady. I tak, pomimo iż biedził się nad posiłkiem od dobrych paru godzin, do ekscytującego finału wciąż było daleko, a w nim z każdą chwilą coraz bardziej narastała frustracja.

Usłyszał, że Laura mówi coś do niego z pokoju, do którego ją wygonił. Wziął głęboki oddech.

–Co mówiłaś, kochanie?

–Powiedziałam, że wrócę jutro trochę później. Dwudziestego drugiego stycznia Rucker urządza walne zebranie wszystkich kapitanów. Zostaje mi więc tylko poniedziałkowy wieczór na zebranie i uporządkowanie bieżących raportów i bieżącą weryfikację akt personalnych.

–Rucker i jego papierkowa robota. A nawiasem mówiąc, co słyhać u twojego kumpla komisarza?

–On nie jest moim kumplem.

D'Agosta ponownie zajął się ragu, które zaczęło właśnie wrzeć na kuchence. Nabierał coraz większego przekonania, że odzyskał swoje stanowisko i rangę w policji tylko dzięki wstawiennictwu Laury u Rockera. To nie przypało mu co prawda do gustu, ale tak właśnie było.

Ragu właśnie zaczęło kipieć, jak lawa wypływająca z krateru wulkanu, sos pociekł mu po wnętrzu dłoni. –

Auć! – krzyknął, wstawiając rękę pod strugę zimnej wody, a równocześnie przykręcając gaz.

–Co się stało?

–Nic. Wszystko gra. – Zamieszał sos drewnianą łyżą, wyczuł, że od spodu sos zaczął się już przypalać, i odstawił pospiesznie naczynie na drugi palnik. Ostrożnie uniósł łyżkę do ust. Niezłe. Całkiem niezłe. Smak i gęstość w porządku, szkoda, że trochę czuć spalenizną. Nie umywa się do babcinego ragu.

–Co jeszcze się do tego dodaje, nonno?. – wymamrotał. Jeżeli niewidzialny chór odpowiedział na jego pytanie, D'Agosta tego nie usłyszał.

Nagle od strony kuchenki dało się słyszeć głośny syk. Wykipiała osolona woda z dużego garnka. Zmełszy w ustach przekleństwo, D'Agosta zmniejszył gaz także pod tym palnikiem, rozerwał pudełko z płatami lasagne i wrzucił je na wrzątek.

Z pokoju dobiegły dźwięki muzyki: Laura włączyła płytę kompaktową Steely Dan.

–Słowo daję, że porozmawiam z właścicielem domu o tym odźwiernym.

–O jakim znowu odźwiernym?

–Tym nowym. Pracuje tu zaledwie od kilku tygodni. To najbardziej grubiański i niemily facet, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Co to za odźwierny, który robi łaskę, że otwiera przed tobą drzwi? A dziś rano nie chciał nawet zatrzymać dla mnie taksówki. Pokręcił tylko głową i odszedł. Chyba nie zna angielskiego. A w każdym razie udaje, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi.

A czego się spodziewałaś za dwa i pół tysiąca miesięcznie? – pomyślał D'Agosta. Ale jako że mieszkanie należało do niej, przez grzeczność nie powiedział ani słowa. Poza tym to ona płaciła czynsz, przynajmniej na razie. Był zdecydowany zmienić ten stan rzeczy najszybciej, jak to tylko możliwe.

Kiedy się wprowadził, w zasadzie na nic nie liczył. Miał za sobą jeden z najcięższych okresów w życiu i nie myślał perspektywicznie, żył z dnia na dzień. Poza tym wchodził właśnie we wstępny etap rozwodu zapowiadającego się na dłuższą, ciężką przeprawę; nowy związek nie był raczej dla niego wskazany. Rzeczywistość okazała się wspanialsza, aniżeli mógł przypuszczać. Laura Hayward była więcej niż jego dziewczyną i kochanką, stała się prawdziwą bratnią duszą. Spodziewał się, że fakt, iż oboje pracowali w policji, a ona miała wyższą rangę od niego, będzie stwarzać poważne problemy. Tak się jednak nie stało. Wręcz przeciwnie: znaleźli wspólną płaszczyznę, mogli teraz wspierać się wzajemnie i rozmawiać o bieżących śledztwach, nie lękając się utraty wiarygodności czy wyciągania fałszywych wniosków.

–Coś drgnęło w sprawie Wacka? – Usłyszał dochodzący z pokoju głos Laury.

Wacek to przydomek nadany przez miejscową policję przestępcy, który okradał bankomaty za pomocą sfalszowanej karty bankowej, a następnie obnażał się przed kamerami ochrony. Większość tych incydentów miała miejsce w rewirze D'Agosty.

–Chyba mamy świadka jego wczorajszej kradzieży

–Świadka? A co ten ktoś widział? – spytała znacząco Laura.

–Jego twarz, ma się rozumieć – D'Agosta zamieszał makaron i wyregulował płomień palnika. Upewnił się, czy piekarnik jest nastawiony i nagrzewa się do właściwej temperatury.

Następnie odwrócił się w stronę kuchennego blatu zasłanego całym mnóstwem produktów, raz jeszcze sprawdził wszystko w myślach. Kielbasa: jest. Klopsiki: są. Ricotta, parmezan i mozzarella fiordilatte: są. „Cóż, może jednak mimo wszystko mi się uda...”

Do licha. Musiał jeszcze zetrzeć parmezan. Wysunął szufladę i zaczął w niej gorączkowo grzebać. W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

Może to tylko jego wyobraźnia; Laura nie miała wielu gości, a on to już w ogóle. Zwłaszcza o tak późnej

porze. Zapewne to dostawca z wietnamskiej knajpki na dole, który pomylił drzwi.

Zacisnął palce na tarce. Wyjął ją z szuflady, postawił na blacie i sięgnął po kawałek parmezanu. Odwrócił tarkę, wybierając stronę z najdrobniejszymi otworami, i przyłożył ser do metalu.

–Vinnie? – odezwała się Laura. – Przyjdź tu na chwilę. D'Agosta wahał się tylko przez chwilę. Coś w jej tonie sprawiło, że rzucił wszystko, i nieomal pędem wybiegł z kuchni.

Stała przy drzwiach frontowych, rozmawiając z nieznanym. Twarz mężczyzny tonęła w głębokim cieniu, facet miał na sobie elegancki trench. W jego sylwetce było coś znajomego.

Wtem mężczyzna postąpił krok naprzód i stanął w świetle. D'Agosta wstrzymał oddech.

–To ty! – rzucił.

Mężczyzna uklonił się. – A pan jest Vincent D'Agosta.

Laura odwróciła się i spojrzała na niego. W jej spojrzeniu zawierało się pytanie: Kim on jest?

D'Agosta powoli wypuścił powietrze. – Lauro – powiedział. – Chciałbym ci przedstawić Proctora, szofera agenta Pendergasta.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Proctor uklonił się. – Miło mi panią poznać, szanowna pani.

W odpowiedzi skinęła tylko głową.

Proctor odwrócił się do D'Agosty – A teraz, czy zechciałby pan łaskawie pójść ze mną?

–Dokąd? – Lecz D'Agosta znał już odpowiedź.

–Riverside Drive Osiemset Dziewięćdziesiąt Jeden. D'Agosta oblizał wargi. – Po co?

–Ponieważ ktoś tam na pana czeka. Ktoś, kto życzy sobie pana widzieć.

–Już? Teraz? Zaraz?

Proctor nie odpowiedział, tylko przytaknął głową.

ROZDZIAŁ 3

D'Agosta siedział na tylnej kanapie rolls-royce'a silver wraitha rocznik '59, wyglądając przez okno, lecz tak naprawdę niczego nie widział. Proctor wiozł go w kierunku zachodnim, przez park, a teraz wielka limuzyna sunęła jak burza wzdłuż Broadwayu.

D'Agosta zmienił pozycję na siedzeniu obitym białą skórzaną tapicerką i z trudem ukrywał zaciekawienie i zniecierpliwienie. Kusilo go, by zasypać Proctora mnóstwem pytań, czuł jednak, że szofer nie udzieliłby mu ani jednej odpowiedzi.

Riverside Drive 891. Dom, a raczej jeden z domów agenta specjalnego Aloysiusa Pendergasta, przyjaciela i partnera D'Agosty podczas wielu niezwykłych dochodzeń. Tajemniczego agenta FBI, którego D'Agosta znał, ale o którym wiedział tyle co nic i który zdawał się mieć jak kot dziewięć żywotów.

Aż do tamtego dnia, niecałe dwa miesiące temu, kiedy widział Pendergasta po raz ostatni.

Miało to miejsce na stromym zboczu jednego ze wzgórz na południe od Florencji, we Włoszech. Agent specjalny stał w dole otoczony przez ujadającą sforę psów szkolonych do polowań na dziki, którym towarzyszył tuzin uzbrojonych mężczyzn. Pendergast poświęcił się, aby D'Agosta mógł uciec.

D'Agosta pozwolił mu na to.

D'Agosta drgnął niespokojnie na to wspomnienie. Ktoś życzy sobie pana widzieć, rzekł Proctor. Czy to możliwe, że mimo wszystko Pendergast jakimś cudem zdołał uciec? To nie byłby pierwszy raz. Zduślił w sobie drobniutką iskierkę nadziei.

Nie, to przecież niemożliwe. W głębi serca wiedział, że Pendergast nie żyje.

Rolls sunął wzdłuż Riverside Drive. D'Agosta znów poruszył się na siedzeniu, zerkając na mijane tablice z oznaczeniami ulic: Sto Dwudziesta Piąta, Sto Trzydziesta. Bardzo szybko zadbaną okolica wokół Uniwersytetu Columbia ustąpiła miejsca rozsypującym się kamienicom i starym ruderom. Styczniowy chłód przegnał próżniaków, którzy zwykle przesiadywali przed budynkami, do wnętrza domów; w słabym świetle ulica wyglądała na opustoszałą.

W oddali, tuż za Sto Trzydziestą Siódmą, D'Agosta dostrzegł front i zabite blachą okna oraz charakterystyczny balkonik w rezydencji Pendergasta. Na widok tej wielkiej mrocznej budowli poczuł lodowate dreszcze.

Rolls minął zaopatrzoną w kolce bramę z kutego żelaza i zatrzymał się przed portecochere. Nie czekając na Proctora, D'Agosta wysiadł z limuzyny i spojrzał w górę na znajome kształty rozległej, choć nieco zapuszczonej posiadłości, okna zabite arkuszami blachy falistej; mogło się wydawać, że rezydencja ta nie różniła się od innych opuszczonych domów stojących przy tej ulicy. Wnętrze budowli wszelako kryło w sobie niemal niewiarygodne cuda i tajemnice. Poczuł, że jego serce zaczyna bić żywszym rytmem. Może jednak Pendergast był w środku, jak zwykle ubrany w czarny garnitur i rozciągnięty leniwie w fotelu, w bibliotece przed kominkiem, a gorejące w palenisku płomienie rzucały osobliwe cienie na jego blade oblicze. – Mój drogi Vincencie – powie agent. – Dziękuję, że zechciałeś przyjechać. Czy mogę zaproponować ci kieliszek armaniaku?

D'Agosta czekał, aż Proctor otworzy kluczem ciężkie drzwi i uchyli je szeroko. Blandożółte światło spłynęło na zniszczony podjazd. Postąpił naprzód, gdy Proctor starannie zamknął za nim drzwi. Serce biło mu coraz szybciej. Sam fakt, że znów znalazł się w tych murach, wzbudził w nim dziwną mieszankę doznań – ekscytacji, strachu i żalu.

Proctor odwrócił się ku niemu. – Tędy, proszę.

Szofer poprowadził go przez całą długość galerii do zwieńczonej błękitnym kopułowym sklepieniem wielkiej sali. Tu, w dziesiątkach przeszklonych gablot znajdowało się całe mnóstwo bajecznych eksponatów: meteorytów, drogich kamieni, skamielin i motyli. D'Agosta powiódł wzrokiem na drugi koniec sali ku otwartym,

podwójnym drzwiom biblioteki.

Jeżeli Pendergast czekał na niego, to właśnie tam, siedząc w fotelu, z cieniem uśmiechu błakającym się na wąskich bladych ustach, ciesząc się tą pełną dramatyzmu drobną gierką, w którą wplątał swojego przyjaciela.

Proctor skierował D'Agostę ku bibliotece. Policjant z ciężko bijącym sercem przestąpił próg i wszedł do rozległego pomieszczenia.

W bibliotece powietrze przesycone było znajomą wonią: skóry, bukramu i dymu palonego drewna. Dziś jednak w kominku nie buzował ogień. W pokoju było zimno. Eleganckie regały uginające się od oprawionych w skórę i zdobionych złoceniami woluminów wydawały się niewyraźne i rozmyte. Paliła się na niskim stoliku tylko jedna lampa od Tiffany'ego rzucająca niewielki krąg światła pośród bezmiaru ciemności. Dopiero po chwili D'Agosta zdołał wypatrzeć postać stojącą przy stoliku, tuż poza kręgiem światła. Gdy tak patrzył, postać podeszła do niego po miękkim grubym dywanie. W jednej chwili rozpoznał tę młodą dziewczynę. To była Constance Greene, podopieczna i asystentka Pendergasta. Miała około dwudziestu lat, nosiła długą, staromodną, aksamitną suknię podkreślającą smukłość jej talii i sięgającą niemal do samej podłogi. Pomimo iż była młoda, w manierach i sposobie zachowania przywodziła na myśl osobę znacznie starszą i o wiele dojrzałą. Widać to było także w jej oczach. D'Agosta doskonale je pamiętał, dziwne, pełne doświadczeń i wiedzy; mówiła w dość staroświecki, wręcz archaiczny sposób. Ale było w niej coś jeszcze, coś nienormalnego, co otaczało ją jak aura odległej przeszłości emanująca z jej sukni.

Dziś te oczy wyglądały inaczej. Wydawały się nawiedzone, mroczne, przepojone smutkiem, żalem... Strachem? Constance wyciągnęła prawą rękę. – Poruczniku D'Agosta – rzuciła tonem pełnym powagi.

D'Agosta ujął jej dłoń jak zawsze niepewny, czy powinien ją uścisnąć, czy ucałować. Nie zrobił ani tego, ani tego i po chwili dłoń się cofnęła.

Zazwyczaj Constance była uprzejma aż do przesady. Dziś jednak po prostu stała przed D'Agostą, nie zaproponowawszy mu, aby usiadł, ani nie zapytawszy o zdrowie. Sprawiała wrażenie niepewnej i odrobinę zdezorientowanej. D'Agosta domyślał się, co było tego powodem. Iskierka nadziei, która się w nim rozpałała, zaczęła gasnąć.

– Czy doszły pana jakieś słuchy? – zapytała tak cichym, że prawie niesłyszalnym tonem. – Mam na myśli cokolwiek.

D'Agosta pokręcił głową; iskierka zgasła.

Constance jeszcze przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. W końcu pokiwała głową z wyrozumiałością i wlepiła wzrok w podłogę; dłonie, które uniosła do boków, trzepotały jak spłoszone białe ćmy.

Przez minutę, może dwie trwali w całkowitym milczeniu.

Constance znów uniosła wzrok. – Głupio się zachowałam, tak długo łudzac się nadzieją. Uplęnięto ponad sześć tygodni i nic. Żadnej wiadomości.

– Wiem.

– On nie żyje – rzuciła, zniżając głos do szeptu. D'Agosta milczał.

Otrząsnęła się z chwilowego odrętwienia. – To oznacza, że już czas, abym przekazała panu to. Podeszła do obudowy kominka i sięgnęła po niewielkie inkrustowane macicą perłową pudełko z drewna sandałowego. Małym kluczykiem, który trzymała w dłoni, otworzyła szkatułkę i nie unosząc wieka, podała ją D'Agostcie.

– I tak zbyt długo już z tym zwlekałam. Chciałam wierzyć, że mimo wszystko wróci.

D'Agosta spojrział na pudełko. Wyglądało znajomo, ale przez chwilę nie potrafił skojarzyć, gdzie widział je wcześniej. I wtedy sobie przypomniał: to było w tym domu, w tym samym pokoju, w październiku ubiegłego roku. Wszedł do biblioteki i zaskoczył Pendergasta podczas pisania jakiegoś listu. Agent włożył kartkę do tej właśnie szkatułki. Było to w noc poprzedzającą ich wyjazd na feralną wyprawę do Włoch – tej samej nocy

Pendergast opowiedział mu swoim bracie Diogenesie.

–Proszę to wziąć, poruczniku – rzuciła Constance łamiącym się głosem. – Niech pan tego nie przedłuża.

–Przepraszam. – D'Agosta delikatnie wziął od niej szkatułkę i otworzył. Wewnątrz znajdowała się pojedyncza, złożona na pół kartka grubego papieru kremowej barwy.

Ostatnią rzeczą, jakiej mógł teraz pragnąć D'Agosta, było wyjęcie tej kartki z puzderka. Z ciężkim sercem sięgnął ręką, rozłożył kartkę i zaczął czytać.

Drogi Vincencie,

Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że nie żyję. To oznacza także, iż umarłem, zanim zdążyłem dopełnić dzieła, które zgodnie z prawem należy wyłącznie do mnie, do nikogo innego. To dzieło polega na powstrzymaniu mojego brata Diogenesa przed popełnieniem przestępstwa, które określił był ongiś mianem doskonałego.

Chciałbym móc powiedzieć ci coś więcej o tym przestępstwie, lecz jedyne, co wiem na ten temat, to, że planował je od wielu lat i zamierza uczynić zeń swą apoteozę. Czymkolwiek jest owo „przestępstwo doskonałe”, z całą pewnością będzie to coś strasznego. Uczyni ono świat o wiele mroczniejszym miejscem. Diogenes to człowiek pod każdym względem wyjątkowy. Nie zadowolony się byle czym.

Obawiam się, Vincencie, że zadanie polegające na powstrzymaniu Diogenesa musi spaść teraz na twoje barki. Nie potrafię wyrazić swego żalu z tego powodu. Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi, a zwłaszcza komuś, kogo zacząłem uważać za zaufanego, wypróbowanego przyjaciela. Śmiem twierdzić, że masz najlepsze predyspozycje, aby poradzić sobie z tym zadaniem. Zagrożenie, jakie przedstawia sobą Diogenes, jest nazbyt mgliste, abym mógł wykorzystać przeciw niemu Federalne Biuro Śledcze czy jakąkolwiek inną rządową agencję, jako że już przed laty zaaranżował swój zgon, rzecz jasna sprytną mistyfikację, i od dawna uważany jest za zmarłego. Samotny, oddany sprawie człowiek ma największe szanse na powstrzymanie mego brata przed popełnieniem tego przestępstwa. Człowiekiem tym jesteś ty.

Diogenes przesłał mi list, w którym było tylko jedno – kartka z datą 28 stycznia. Można domniemywać, że zaplanowane przezeń przestępstwo dokonane zostanie tego właśnie dnia. Nie zamierzam wszelako wysnuwać pochopnych wniosków – ta data może oznaczać wszystko i nic. Diogenes jest absolutnie nieprzewidywalny.

Będziesz musiał wziąć urlop i na pewien czas pożegnać się z policją w Southampton, czy gdzie obecnie pracujesz. Nie da się tego uniknąć. Wydobądź tyle informacji, ile się tylko da, od pani kapitan Laury Hayward, ale dla jej dobra ogranicz do minimum jej zaangażowanie w tę sprawę. Diogenes jest ekspertem w dziedzinie technik śledczych i procedur policyjnych, a wszelkie ślady odkryte na miejscu przestępstwa – zakładając, uchowaj Boże, że nie uda ci się pokrzyżować mu planów – z całą pewnością zostały sprytnie spreparowane i podłożone przez niego samego, aby zmylić policję. Hayward, mimo iż jest dobrą policjantką, nie może równać się z moim bratem.

Pozostawiam drugi list dla Constance, która do tego czasu będzie zaznajomiona ze wszystkimi szczegółami tej sprawy. Udostępni ci mój dom, zapewni stały dopływ gotówki i umożliwi dostęp do wszelkich innych źródeł, z których ja wcześniej korzystałem. Niezwłocznie wpłaci na twoje konto w banku kwotę w wysokości pięciuset tysięcy dolarów, abys mógł wykorzystać te pieniądze w sposób, jaki uznasz za stosowny. Doradzam, abys wykorzystał jej bezcenne zdolności poszukiwawcze, choć równocześnie proszę, byś z wiadomych powodów nie wplątywał jej bezpośrednio w prowadzone przez ciebie śledztwo. Nigdy, przenigdy nie może opuścić tej rezydencji. Musisz też obserwować ją bardzo, ale to bardzo uważnie. Wciąż jest nader delikatna, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

Na początek powinienes złożyć wizytę mojej stryjecznej babce Cornellii przebywającej w szpitalu na Little Govevors Island. Znała Diogenesa, gdy był jeszcze małym chłopcem, i powinna dostarczyć ci informacji, które z pewnością okażą się pomocne. Traktuj te informacje – i ją samą – z największą ostrożnością.

I jeszcze jedno, już na sam koniec. Diogenes jest wyjątkowo niebezpieczny. Dorównuje mi pod względem intelektualnym, lecz w jakiś sposób jego psychika pozbawiona została choćby odrobiny skrupułów i przede wszystkim sumienia. Na dodatek przeżyta w dzieciństwie ciężka choroba poczyniła w jego umyśle poważne

szkody Kieruje nim niepoohamowana nienawiść wobec mnie i absolutna pogarda względem reszty ludzkości. Postaraj się nie zwrócić na siebie jego uwagi wcześniej, niż to będzie konieczne. Miej się przez cały czas na baczności. Bądź czujny.

Żegnaj, przyjacielu – i powodzenia.

Aloysius Pendergast

D'Agosta uniósł wzrok. 28 stycznia? Na Boga, przecież to już za tydzień!

Constance tylko skinęła głową.

ROZDZIAŁ 4

Woń tego miejsca sprawiała, że w muzeum czuła się jak w domu, skonstatowała: mieszanina zapachu naftaliny, kurzu, starego werniksu i odoru rozkładu. Szła szerokim korytarzem czwartego piętra, mijając dębowe drzwi gabinetu, każde zaopatrzone w czarną tabliczkę ze złoconymi literami układającymi się w nazwisko urzędującego za nimi kustosza. Zdziwiło ją, jak niewiele napotkała tam nowych nazwisk. Przez ostatnie sześć lat sporo się zmieniło, lecz tu, w muzeum, czas zdawał się płynąć w innym tempie.

Martwiła się – i to bardziej, niż była skłonna przyznać – jak będzie się czuć po powrocie do muzeum, kilka lat po najbardziej przerażającym doświadczeniu jej życia. Prawdę mówiąc, to właśnie te wątpliwości sprawiły, iż zwlekała z decyzją o powrocie. Musiała jednak przyznać po kilku pierwszych nerwowych i ciężkich dniach, że w tym miejscu stare lęki wciąż jeszcze były wyczuwalne. Jej koszmary, wrażenie ciągłego zagrożenia i bezbronności z czasem straciły na sile. Wydarzenia sprzed lat, choć upiorne i przeraźliwe, przeszły do historii. A muzeum nadal wyglądało jak stara wspaniała budowla, gotyckie zamczysko pełne wyjątkowych, ekscentrycznych osób i pękające w szwach od osobliwych, fascynujących okazów Największy zbiór trylobitów na świecie. Serce Lucyfera, najcenniejszy diament, jaki kiedykolwiek odnaleziono. Krzywoząb, największa i najlepiej zachowana skamielina tyranozaura.

Mimo to robiła co mogła, by nie zbłądzić do muzealnych podziemi. I bynajmniej nie z lenistwa starała się ograniczać liczbę nocy, kiedy pracowała w muzeum po godzinach.

Powróciła pamięcią do tamtego sierpniowego dnia, kiedy jeszcze jako absolwentka studiów, bez praktyki, szła po raz pierwszy tym korytarzem. Absolwenci studiów znajdowali się tak nisko na totemicznym słupie muzealnej hierarchii, że nie tyle nimi pogardzano, ile raczej w ogóle ich nie dostrzegano. Byli niewidzialni. Nie oburzało jej to. Wszyscy musieli przez to przebrnąć, był to swoisty rytuał dojrzewania. W tamtych czasach była nikim, zwracano się do niej na ty albo w najlepszym razie „proszę pani”.

Teraz wszystko się zmieniło. Była „panią doktor”, a niekiedy nawet „panią profesor”, jej nazwisko w druku poprzedzały skróty tytułów naukowych: członek Pierpont Research (ten „członek” bawił ją najbardziej), asystentka profesora etnofarmakologii, i jej ostatni, najnowszy tytuł – redaktor naczelna „Muzeologii”. Choć zawsze powtarzała sobie, że tytuły tak naprawdę nic nie znaczą, zdziwiła się, stwierdzając, iż uzyskanie ich przyniosło jej nadspodziewanie wiele dobrego. Pani profesor... To słowo brzmiało ciepło i przyjemnie, zwłaszcza w ustach zasuszonych, starych kustosów, którzy zaledwie sześć lat temu traktowali ją jak powietrze. Kiedyś nie chcieli nawet powiedzieć jej, która godzina, gdy ich o to zagadnęła. Teraz sami podchodzili, bo byli ciekawi jej zdania w tej czy innej kwestii lub próbowali wcisnąć jej swoje kolejne monografie. Nie dalej jak dziś rano szef wydziału antropologii, i jej tytularny przełożony, Hugo Menzies, zapytał jakby mimochodem o temat jej dyskusji panelowej przygotowywanej z okazji zbliżającego się spotkania Towarzystwa Antropologów Amerykańskich.

Tak, to bez wątpienia krzepiące odczucia.

Gabinet dyrektora znajdował się na końcu korytarza, w ekskluzywnej części biurowej muzeum. Przystanąła przed wielkimi dębowymi drzwiami poczerniałymi od stuletniej patyny Uniosła rękę, a potem ją opuściła; nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. Wzięła głęboki oddech. Nie posiadała się ze szczęścia z powrotu do muzeum, a mimo to zastanawiała się, czy przez kontrowersyjną sprawę, którą zamierzała poruszyć, nie napyta sobie biedy. Upominała samą siebie, że ta kontrowersyjna sprawa została jej przydzielona odgórnie i że jako redaktor naczelna „Muzeologii” musiała jej stawić czoło. Gdyby próbowała się wywinąć, w mgnieniu oka straciłaby całą wiarygodność jako arbiter etyki i wolności wypowiedzi. Co gorsza nie mogłaby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Jej dłoń zetknęła się z powierzchnią dębowych drzwi raz, drugi, trzeci, każde kolejne stuknięcie było głośniejsze od poprzedniego.

Chwila ciszy. Wreszcie drzwi otworzyła pani Surd, oschła, lecz kompetentna sekretarka dyrektora muzeum. Przenikliwie niebieskie oczy otaksowały ją, gdy tylko weszła do środka.

–Doktor Green? Doktor Collopy oczekuje pani. Może pani wejść.

Margo podeszła do drzwi wewnętrznego gabinetu, jeszcze ciemniejszych i masywniejszych niż poprzednie, zacisnęła dłoń na zimnej jak lód klamce przekreśliła ją i otworzyła drzwi, które uchyliły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach.

A w środku, za wielkim dziewiętnastowiecznym biurkiem, pod olbrzymim płótnem De Clefisse'a przedstawiającym Wodospad Wiktorii, siedział Frederick Watson Collopy, dyrektor Muzeum Historii Naturalnej. Podniósł się płynnie, a jego przystojne oblicze rozjaśnił uśmiech. Miał na sobie prosty szary garnitur o staromodnym kroju, a biel doskonale wykrochmalonej koszuli ożywiała jedynie czerwona jedwabna muszka.

–Ach, Margo, miło, że przyszłaś. Usiądź, proszę.

„Miło, że przyszłaś”. Pismo, które otrzymała, z uwagi na ton przypominało raczej wezwanie niż zaproszenie.

Collopy obszedł biurko i wskazał pluszowo-skórzany fotel, jeden z kilku ustawionych przed kominkiem z różowego marmuru.

Margo usiadła, Collopy po chwili uczynił to samo, zajmując miejsce naprzeciw niej.

–Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty, wody mineralnej?

–Nie, dziękuję, doktorze Collopy Rozsiadł się wygodnie, założył nogę na nogę.

–Cieszymy się z twojego powrotu do muzeum, Margo – powiedział, przeciągając zgłoski na modłę typową wśród starszych przedstawicieli nowojorskiej socjety. – Byłem wielce uradowany, gdy zgodziłaś się przyjąć funkcję redaktor naczelnej „Muzeologii”. To naprawdę uśmiech losu, że zdołaliśmy ściągnąć cię tu, z powrotem z GeneDyne. Prace badawcze, które opublikowałaś, wywarły na nas wielkie wrażenie, a ty, z uwagi na swoje studia i etnofarmakologię, byłaś idealną kandydatką.

–Dziękuję, doktorze Collopy.

–I co o tym sądzisz? Czy jesteś zadowolona? – Głos miał łagodny, nieomal życzliwy.

–Wszystko jest w porządku, dziękuję.

–Miło mi to słyszeć. „Muzeologia” to najstarszy periodyk w swojej dziedzinie, publikowany regularnie od 1892 roku, i wciąż cieszy się największym szacunkiem. Spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność, Margo. To olbrzymie wyzwanie.

–Mam nadzieję, że podołam tradycji.

–My również. – Poglądził w zamyśleniu swą krótko przyciętą stalowoszarą bródkę. – Jedną z rzeczy, którymi się szczycimy, to silny, niezależny i właściwie redagowany głos „Muzeologii”.

–Tak – rzuciła Margo. Wiedziała, do czego zmierza ta rozmowa, była przygotowana.

–Muzeum nigdy nie ingerowało w treść artykułów pojawiających się na łamach „Muzeologii” i nie zamierzamy tego robić. Uważamy niezależność redakcyjną czasopisma za swego rodzaju świętość.

–Miło mi to słyszeć.

–Z drugiej jednak strony nie chcielibyśmy, aby „Muzeologia” zniżyła się do poziomu... Jakby to określić... Organu wyrażającego wyłącznie poglądy redaktora naczelnego. – Powiedział to w taki sposób, jakby miał na myśli całkiem inny organ. Jego głos, choć łagodny, pełen był wewnętrznego napięcia. Margo czekała. Zachowała spokój i profesjonalizm. Prawdę mówiąc, przygotowała już odpowiedź, w dodatku na piśmie, i nauczyła się jej na pamięć, aby wyrazić to, co czuła, w bardziej elokwentny sposób, ważne było jednak, aby Collopy wyrzucił z siebie to, co chciał powiedzieć.

–To dlatego twoi poprzednicy na stanowisku naczelnego zawsze starali się zachować szczególną ostrożność, jeśli chodzi o wykorzystywanie tak zwanej wolności wypowiedzi. – Te słowa zawisły w powietrzu

jak chmura gradowa.

–Zakładam, że ma pan na myśli artykuł, który zamierzam opublikować, a który dotyczy roszczeń wysuwanych przez Indian Tano.

–Właśnie. List od plemienia z żądaniem zwrotu masek z Wielkiej Kivy muzeum otrzymało zaledwie w ubiegłym tygodniu. Rada zarządzająca nie zdążyła jeszcze tego przedyskutować. Muzeum nie miało nawet czasu, by skontaktować się ze swoimi prawnikami. Czy nie jest za wcześnie pisać artykuł o czymś, co nawet nie zostało należycie omówione i ocenione? Zwłaszcza że dopiero co objęłaś tę nową funkcję.

–Dla mnie sprawa jest oczywista – rzekła półgłosem.

W tym momencie Collopy rozparł się wygodnie w fotelu, a na jego obliczu pojawił się protekcyjny uśmiech.

–O tej sprawie można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest oczywista, Margo. Te maski znajdują się w zbiorach muzeum od stu trzydziestu pięciu lat. Co więcej, mogą być gwoździem Świętych wizerunków, największej wystawy w naszym muzeum od czasów Przesądów sprzed sześciu lat.

Zapadło milczenie.

–Rzecz jasna – ciągnął Collopy – nie zamierzam prosić cię, abyś zmieniła treść i wymowę swojego artykułu. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na kilka faktów, o których mogłaś dotąd nie wiedzieć. – Wcisnął prawie niewidzialny guzik na blacie biurka i rzucił do równie niewidocznego głośnika: – Pani Surd, akta!

Chwilę potem pojawiła się sekretarka, niosąc teczkę ze starymi aktami. Podziękował jej, zerknął na teczkę, po czym podał ją Margo.

Wzięła teczkę do ręki. Akta były bardzo stare, kruche i przeraźliwie cuchnęły kurzem i pleśnią. Otworzyła je delikatnie. Wewnątrz znajdowały się ręcznie sporządzone dokumenty, pismo było drobne, lecz wyraźne, typowe dla połowy dziewiętnastego wieku, kontrakt, w dodatku opatrzony kilkoma rysunkami.

–To oryginalny akt nabycia masek Wielkiej Kivy które tak zawzięcie pragnie pani oddać Indianom Tano. Widziała go pani?

–Nie, ale...

–Może powinna pani, zanim sporządzi pani ostateczną wersję swego artykułu. Ten pierwszy dokument to rachunek opiewający na dwieście dolarów za maski, w roku 1870 to była naprawdę bazońska suma. Muzeum nie zapłaciło za te maski paciorkami i perkalem. Drugi dokument to kontrakt. Symbol X to podpis wodza Towarzystwa Wielkiej Kivy, człowieka, który sprzedał maski Kendallowi Swope'owi, antropologowi z naszego muzeum. Trzeci dokument to list z podziękowaniami od naszego muzeum do wodza plemienia, przekazany mu i przeczytany przez agenta do spraw Indian, z zapewnieniem, że maski znajdą się pod dobrą opieką.

Margo spojrzała na stare papiery. Wciąż ją zdumiewało, jak skrupulatnie muzeum dbało o wszystko, zwłaszcza o dokumentację.

–Sęk w tym, Margo, że muzeum nabyło te maski w dobrej wierze. Zapłaciliśmy za nie krocie. I jesteśmy ich właścicielami od blisko półtora wieku. Zatrzaszczyliśmy się o nie jak należy. Co więcej, te maski są jednym z najważniejszych eksponatów w całej naszej kolekcji relikwów rdzennych Amerykanów. Wiele tysięcy ludzi je ogląda, uczy się dzięki nim i za ich sprawą podejmuje ścieżkę kariery, wybierając antropologię lub archeologię jako kierunek swoich studiów. Ani razu przez sto trzydzieści pięć lat żaden członek plemienia Tano nie skarżył się ani nie oskarżał muzeum, że weszło w ich posiadanie nielegalnie. Czy nie byłoby z ich strony swoistą nieuczciwością, że tak nagle zażądali ich zwrotu? W dodatku tuż przed otwarciem wielkiej wystawy, w której wspomniane maski odgrywają kluczową rolę?

W gabinecie zapadła głucha cisza, za wysokimi oknami biura rozciągał się widok na Museum Drive; wyłożone ciemną boazerią ściany ozdobione były płótnami Audubona.

–Może trochę – powiedziała spokojnie Margo.

Szeroki uśmiech rozpromienił oblicze Collopy'ego. – Wiedziałem, że to zrozumiesz.

–Ale to nie zmieni ogólnej wymowy mojego artykułu. W pomieszczeniu zrobiło się nagle przenikliwie zimno.

–Słucham?

Nadszedł czas, aby wyraziła swoje zdanie. – To, co zawiera ta teczką, nie zmienia zasadniczych faktów. Po pierwsze: wódz Towarzystwa Wielkiej Kivy nie był właścicielem masek. Nie należały do niego. Stanowiły własność całego plemienia. To trochę tak, jakby ksiądz sprzedał przedmioty kultu religijnego. Wedle prawa nie można sprzedać rzeczy, których nie jest się właścicielem. W tej sytuacji rachunek sprzedaży oraz kontrakt znajdujący się w aktach tracą ważność. Nie są legalne z punktu widzenia prawa. Co więcej, Kendall Swope, gdy kupował te maski, doskonale o tym wiedział, co wynika wyraźnie z napisanej przez niego książki Rytuały Tano. Wiedział, że wódz nie ma prawa ich sprzedać, bo maski były relikwiami wykorzystywanymi podczas rytuału Wielkiej Kivy i nie wolno im było opuszczać terenu kivy. Przyznał nawet otwarcie, że wódz był oszustem. Wszystko jest napisane czarno na białym w Rytuałach Tano.

–Margo...

–Niech pan pozwoli mi skończyć, doktorze Collopy. W grę wchodzi coś znacznie istotniejszego. Dla ludu Tano te maski są święte. Wszyscy o tym wiedzą. Nie można ich zastąpić innymi ani skopiować. Indianie Tano wierzą, że każda z masek ma własnego ducha i że te maski żyją. To nie są wymyślone ad hoc przekonania, lecz szczerze i głęboko kulturowane wierzenia religijne.

–Ale... Po stu trzydziestu pięciu latach? Dajże spokój. Dlaczego przez cały ten czas nie próbowali się z nami skontaktować?

–Indianie Tano nie mieli pojęcia, co się stało z maskami. Dowiedzieli się o nich dopiero, gdy przeczytali o planowanej wystawie.

–Po prostu nie mogę uwierzyć, że przez cały ten czas bez przerwy opłakiwali utratę tych masek. Na pewno dawno o nich zapomnieli. To wszystko jest zbyt grubymi nićmi szyte, Margo. Te maski są warte pięć, może nawet dziesięć milionów dolarów. Nie chodzi o religię, lecz o pieniądze.

–Nieprawda. Rozmawiałam z nimi.

–Rozmawiałaś z nimi?

–Oczywiście. Zadzwoniłam i porozmawiałam z naczelnikiem plemienia Tano.

Na kilka chwil z twarzy Collopy'ego opadła maska niewzruszonego spokoju.

–Konsekwencje prawne takiego postępowania mogą okazać się niewyobrażalne.

–Wypełniłam jedynie swoją powinność jako redaktor naczelna „Muzeologii”. Musiałam zapoznać się z faktami. Indianie Tano pamiętają, pamiętają wszystko. Te maski zgodnie z tym, co potwierdziło badanie metodą węgla C-14, miały prawie siedemset lat, gdy znalazły się w naszym posiadaniu. Proszę mi wierzyć, Indianie Tano pamiętają i nie mogą, a także nie chcą pogodzić się z tą stratą.

–W ich rękach maski nie będą bezpieczne. Co z właściwym przechowywaniem? Tano nie są w stanie zapewnić im odpowiednich warunków!

–Po pierwsze, te maski w ogóle nie powinny opuścić terenu kivy. To nie eksponaty muzealne, to żywe relikwie w religii indiańskiej. Czy sądzi pan, że szczątki Świętego Piotra pod Watykanem są, lub były, „właściwie przechowywane”? Miejsce masek jest w kivie, niezależnie od tego, jak miałyby to wpłynąć na ich stan.

–Jeżeli zwrócilibyśmy maski, stworzyłoby to przerażający w skutkach precedens. Wszystkie plemiona w całej Ameryce zasypałyby nas lawiną listów z żądaniem zwrotu rzekomo zagrabionych dóbr ich kultury.

–Być może. Ale to akurat nie jest przekonujący argument. Te maski trzeba i należy oddać. Wie pan o tym doskonale, a ja zamierzam opublikować artykuł, w którym otwarcie to powiem!

Przerwała i przełknęła ślinę ze świadomością, że podnosząc głos, złamała wszystkie swoje wcześniejsze postanowienia.

–I to moja ostateczna decyzja jako naczelnej wynikająca z poczucia niezależności i poszanowania wolności wypowiedzi – dodała już nieco cichszym tonem.

ROZDZIAŁ 5

Przy wejściu do gabinetu Glena Singletona nie było sekretarek, recepcjonistek ani innych pracowników biurowych niższego szczebla. Sam pokój nie był większy niż którykolwiek z tuzina gabinetów rozrzuconych w różnych częściach pękającego w szwach i tonącego pod warstwami wszechobecnego kurzu gmachu komendy głównej policji. Na drzwiach nie było tabliczki z nazwiskiem i rangą urzędującego za nimi mężczyzny. Nie będąc gliną, nie można było wiedzieć, że właśnie tu mieściło się biuro numeru jeden w całym komisariacie.

Ale komendant miał właśnie taki styl, skonstatował D'Agosta.

Kapitan Singleton był rzadkością wśród policyjnych grubych ryb, facetem, który krok po kroku, powoli wspinał się po szczeblach kariery. Swojej reputacji nie zawdzięczał wazeliniarstwu i całowaniu tyłków, lecz rozwiązywaniu trudnych spraw dzięki wytrwałości i solidnej gliniarskiej robocie. Miał w życiu tylko jeden cel: zgarnąć z ulic miasta jak najwięcej przestępców. Był zapewne najciężej harującym gliną, jakiego kiedykolwiek miał okazję poznać D'Agosta, może z wyjątkiem Laury Hayward. D'Agosta w całej swej karierze pracował dla niejednego niekompetentnego biurokraty, co sprawiło, że żywił tym większy szacunek wobec profesjonalizmu Singletona. Czuł, że Singleton także go szanuje, a to znaczyło dla D'Agosty naprawdę wiele.

I skłaniało do jeszcze bardziej wytężonej pracy

Drzwi do gabinetu Singletona były jak zawsze otwarte. Odcięcie się od ludzi nie było w jego stylu; każdy policjant, który chciał się z nim widzieć, mógł to zrobić, kiedy tylko uważał za stosowne. D'Agosta zapukał i zajrzał do środka. Singleton stał przy biurku, rozmawiając przez telefon. Wydawało się, że komendant prawie nigdy nie siadał za biurkiem. Był dobrze po czterdziestce, szczupły, wysoki, o atletycznej sylwetce pływaka; każdego ranka o szóstej regularnie pokonywał kilkanaście długości basenu. Twarz miał pociągłą, o ostrych rysach i orlim nosie. Co drugi tydzień chodził do drogiego fryzjera przy Carlyle, aby starannie przyciąć szpakowate włosy, i zawsze wyglądał nieskazitelnie jak kandydat na prezydenta.

Singleton uśmiechnął się życzliwie i gestem zaprosił D'Agostę do środka.

D'Agosta wszedł do gabinetu. Singleton wskazał mu krzesło, ale D'Agosta tylko pokręcił głową: niezmożona energia bijąca z komendanta sprawiała, że czuł się przy nim swobodniej na stojąco.

Singleton najwyraźniej musiał się skonsultować z kimś z wydziału public relations policji nowojorskiej. Głos miał cichy, pełen życzliwości, ale D'Agosta wiedział, że we wnętrzu komendanta aż wrzało – nie interesowało go public relations, tylko rzetelna wytężona praca, wypełnianie obowiązków służbowych. Wyraził jasno swoje poglądy, gdy rzekł do D'Agosty: – Albo złapiesz przestępcę, albo nie, sprawa jest prosta, nie ma co kręcić.

D'Agosta rozejrzał się wokoło. Gabinet był ozdobiony tak oszczędnie, że wydawał się wręcz anonimowy. Żadnych fotografii rodziny ani zdjęć przedstawiających komendanta ściskającego dłoń burmistrza czy komisarza głównego policji. Singleton był jednym z policjantów mających na koncie najwięcej odznaczeń za wybitne osiągnięcia na służbie, ale brakowało tu dyplomów za ofiarność i odwagę, orderów i pisemnych podziękowań wiszących w ramkach na ścianach. W rogu biurka spoczywał ułożony starannie plik jakichś papierów, a na półce opodal piętnaście czy dwadzieścia szarych teczek. Na drugiej półce D'Agosta spostrzegł podręczniki dotyczące technik śledczych i prowadzenia ekspertyz na miejscu zbrodni oraz pół tuzina często używanych ksiąg z zakresu prawa.

Singleton odłożył słuchawkę i odetchnął z ulgą. – Cholera -mruknął. – Mam, wrażenie, że więcej czasu poświęcam na użeranie się z jakimiś oszołomami niż na chwytywanie przestępców. Niekiedy żałuję nawet, że nie jestem już zwykłym policjantem z patrolu. – Odwrócił się do D'Agosty i znów się uśmiechnął. – Jak leci, Vinnie?

–Nieźle, dziękuję – odpowiedział D'Agosta, choć czuł się naprawdę paskudnie.

Przyjazny ton i nastawienie Singletona nie ułatwiały mu zadania i sprawiały, że czuł się niezręcznie.

D'Agosta nie znalazł się tu z polecenia komendanta: do tego wydziału skierowano go z biura komisarza. To

mogłoby wywołać ostre, nieprzyjemne reperkusje ze strony innych znanych D'Agostie wyższych rangą oficerów policji, na przykład Jacka Waxiego. Waxie poczułby się zagrożony, na pewno próbowałby trzymać D'Agostę na dystans i przydzielałby mu wyłącznie drobne, mało znaczące sprawy

Z Singletonem było dokładnie na odwrót. Powitał D'Agostę serdecznie, osobiście wdrożył w szczegóły współpracy i procedury obowiązujące w jego biurze, a przede wszystkim zlecił mu zajęcie się sprawą Wacka, która stanowiła obecnie najważniejsze śledztwo prowadzone na tym posterunku.

Wacek nikogo nie zabił. Nawet nie używał broni. A mimo to urósł do rangi wroga publicznego numer jeden. Bądź co bądź jawnie kpił i podrwiwał sobie z policji. Złodziej okradający publiczne bankomaty, a następnie prezentujący swe przyrodzenie przed kamerami ochrony stanowił wymarzoną pożywkę dla większości lokalnych brukowców. Jak dotąd Wacek odwiedził jedenaście bankomatów. Każda kolejna kradzież sprawiała, że zyskiwał więcej miejsca na pierwszych stronach gazet, a komentarze prasy stawały się coraz bardziej cięte i ironiczne. Za każdym razem policji dostawało się coraz bardziej „Wacek pokazuje, co potrafi”, ganił „Post” po ostatniej kradzieży sprzed trzech dni. „Policjanci kontra złodziej, do przerwy 0:1”.

–Co z naszym świadkiem? – spytał Singleton. – Czy ta kobieta złożyła już zeznania?

Komendant stał za biurkiem, spoglądając na D'Agostę. Miał przenikliwe niebieskie oczy, a gdy patrzył na rozmówcę, ten odnosił wrażenie, że jest centrum wszechświata, przez jedną krótką chwilę Singleton poświęcał mu całkowitą, niepodzielną uwagę. To było naprawdę deprymujące.

–Jej zeznanie wydaje się potwierdzać to, co zarejestrowała kamera ochrony

–Świetnie, naprawdę świetnie. Cholera, można by przypuszczać, że w epoce komputerów banki będą w stanie lepiej zadbać o swoje zasoby, zwłaszcza jeśli chodzi o kamery ochrony.

–Ten facet najwyraźniej zna doskonale ich zasięg i kąt ustawienia.

–Sądysz, że pracował kiedyś w ochronie?

–Sprawdzamy taką ewentualność.

–Jedenaście kradzieży, a my wiemy tylko tyle, że facet jest biały. I obrzezany, pomyślał ponuro D'Agosta. – Poleciałem detektywom umieszczenie na liście potencjalnych podejrzanych wszystkich pracowników bankowych niższego szczebla. Nasi śledczy zajęli się już instalowaniem ukrytych kamer.

–Sprawca może pracować dla firmy dostarczającej kamery do banków.

–To także sprawdzamy.

–Jeden krok przede mną. Miło mi to słyszeć. – Komendant podszedł do pliku dokumentów i zaczął go wertować. – Ten facet ma ściśle określony rewir, w którym działa. Wszystkie jego kradzieże miały miejsce w obrębie dwudziestu przecznic. Naszym kolejnym krokiem powinno być obstawienie bankomatów, których dotąd nie obrobił, a które mogą stać się jego następnym łupem. Jeżeli drastycznie nie zmniejszymy listy celów, może się okazać, że będzie ich za dużo do obserwacji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzięki Bogu, że nie mamy teraz na głowie żadnego zabójstwa. Vinnie, będziesz moim łącznikiem z grupą uderzeniową, sporządzisz listę bankomatów najbardziej narażonych na napad na podstawie wcześniejszych kradzieży dokonanych przez naszego ptaszka i wyznaczysz ludzi do ich obserwacji. Kto wie? Może dopisze nam szczęście.

Już czas, pomyślał D'Agosta. Oblizał wargi. – Prawdę mówiąc, właśnie o tym chciałem porozmawiać.

Singleton przerwał i ponownie prześwidrował go wzrokiem. Komendant, jak zawsze pochłonięty pracą, nie przypuszczał nawet, że D'Agosta mógł odwiedzić go w jakiejś innej sprawie. – A o co konkretnie chodzi?

–Nie wiem, jak mam to powiedzieć... panie komendancie... ale chciałbym poprosić o urlop.

Brwi Singletona uniosły się w wyrazie nieskrywanego zdumienia.

–Urlop?

–Tak, panie komendancie. – D'Agosta wiedział, jak to musiało zabrzmieć.

Niezależnie, jak układał sobie w myślach słowa, zawsze brzmiały niepewnie i trochę szorstko.

Singleton jeszcze przez chwilę patrzył mu prosto w oczy. Nie powiedział ani słowa, nie musiał. „Urlop. Jesteś tu zaledwie od sześciu tygodni i domagasz się urlopu?”.

–Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć, Vinnie? – zapytał cichym głosem.

–To sprawa rodzinna – odparł po krótkiej przerwie D'Agosta. Nienawidził siebie, że nie jest w stanie ze spokojem wytrzymać spojrzenia Singletona, a przede wszystkim, że musiał okłamać przełożonego. Ale co u licha miał mu powiedzieć? „Pan wybaczy, komendancie, ale muszę wziąć bezterminowy urlop, aby dopaść człowieka, który oficjalnie nie żyje, którego miejsce pobytu jest obecnie nieznane i który planuje popełnić bliżej nieokreślone przestępstwo doskonałe?”. Musiał to zrobić, po prostu musiał, to nie podlegało żadnym kwestiom. Dla Pendergasta ta sprawa była tak ważna, że pozostawił mu instrukcje z za grobu. To w zupełności wystarczało, ale równocześnie nie ułatwiało mu zadania.

Singleton spojrział na niego badawczo i z wyraźnym zatroskaniem.

–Vinnie, wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

D'Agosta z konsternacją stwierdził, że ta sprawa okazała się trudniejsza niż przypuszczał. Nawet gdyby musiał rzucić pracę, zrobi to, choć rzecz jasna oznaczałoby to koniec jego kariery. Głina mógł zrezygnować raz, ale nie dwa razy.

–Chodzi o moją matkę – powiedział. – Ma raka. Lekarze sądzą, że jest nieoperowalny.

Singleton stał przez chwilę w bezruchu, chłonąc te informacje. A potem zakotłosał się lekko na piętach.

–Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

Zapadła kolejna chwila nieprzyjemnej ciszy. D'Agosta pragnął, aby ktoś właśnie teraz zapukał do drzwi, zadzwonił telefon albo żeby w gmach posterunku policji uderzył meteor, cokolwiek, byle tylko choć na chwilę odwróciło od niego uwagę Singletona.

–Właśnie się o tym dowiedzieliśmy – wykrztusił. – To był szok, prawdziwy szok. – Przerwał, było mu niedobrze, serce podchodziło mu do gardła. Wyrzucił z siebie pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl, ale wybór ten zaledwie kilka sekund później wydał mu się kompletnie chybiony. Nie powinien był tego mówić. Jego matka, rak... Cholera, po tym wszystkim będzie musiał pójść do spowiedzi, wytłumaczyć się. I nie zaszkodzi też zadzwonić do matki w Vero Beach, a przy okazji przesłać ze dwa tuziny róż.

Singleton powoli kiwał głową. – Ile czasu potrzebujesz?

–Lekarze nie wiedzą. Tydzień, może dwa.

Singleton znów skinął głową, jeszcze wolniej niż poprzednio. D'Agosta poczuł, że się czerwieni. Zastanawiał się, o czym myślał komendant.

–Nie zostało jej wiele czasu – ciągnął. – Wie pan, jak to jest. Nie byłem wzorowym synem. Daleko mi do ideału. Po prostu czuję, że muszę być teraz z nią... Abyśmy przeżyli ten czas wspólnie... Tak przecież powinien postąpić każdy syn, kiedy jego matka go potrzebuje – dokończył łamiącym się, niepewnym głosem. – Może pan potracić mi to później z przyszłego urlopu i chorobowego.

Singleton słuchał uważnie, lecz tym razem nie pokiwał głową. – Oczywiście – powiedział.

Patrzył na D'Agostę przez dłuższą chwilę. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Wielu ludzi ma ciężko chorych rodziców, przeżywa osobiste tragedie. Ale mimo to zachowują się profesjonalnie. Co jest z tobą nie tak? Czemu w twoim przypadku miałoby być inaczej?”. W końcu, odwrócił się i zgarnął z biurka gruby plik

dokumentów.

–Polecę Mercerowi i Sabriskiemu, żeby wyznaczyli ludzi do obserwacji zagrożonych bankomatów – rzucił oschle przez ramię. – Proszę wziąć sobie tyle urlopu, ile panu potrzeba, poruczniku.

ROZDZIAŁ 6

Nad rozległymi torfowiskami Little Governors Island zalegała gęsta mgła. Z półmroku dobiegało smętne wycie syreny holownika wlokącego się w dół East River. Manhattan znajdował się o niecałą milę stąd, poza pasmem lodowatej czarnej wody, ale woalu mgieł nie były w stanie przeniknąć światła wielkiego miasta.

D'Agosta siedział na przednim fotelu obok kierowcy, trzymając się z ponurą miną uchwytu przy drzwiczkach, podczas gdy nieoznakowany wóz Laury Hayward kolebał się i kołysał, sunąc po wąskiej, jednopasmowej, pełnej kolein drodze. Światła reflektorów cięły półmrok, bliźniacze snopy żółtego blasku śmigły szaleńczo w górę i w dół, omiatając na mgnienie oka zarośniętą chwastami drogę i rosące po jej obu stronach, przypominające szkielety, leszczyny

–Chyba ominęłaś jedną dziurę, z tyłu, za nami – powiedział.

–To nieważne. Wyjaśnijmy coś sobie. Naprawdę powiedziałaś Singletonowi, że twoja matka ma raka?

D'Agosta westchnął. – To była pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy.

–Jezu, Vinnie. Matka Singletona zmarła na raka. I wiesz, co? Nie opuścił nawet jednego dnia w pracy Pogrzeb odbył się w niedzielę. Wszyscy znają tę historię.

–Ja nie. – D'Agosta skrzywił się, powracając myślami do tego, co powiedział dziś rano komendantowi. „Wie pan jak to jest. Po prostu czuję, że muszę być teraz z nią... Tak przecież powinien postąpić każdy syn, kiedy jego matka go potrzebuje”. Świetnie się spisałeś, Vinnie.

–Poza tym wciąż nie mogę uwierzyć, że wzięłaś urlop, aby ruszyć w pościg za bratem Pendergasta, opierając się tylko na liście i zwykłym przeczuciu. Nie zrozum mnie źle: nikt nie szanował Pendergasta bardziej niż ja, był najbardziej błyskotliwym stróżem prawa, jakiego miałam okazję poznać. Ale miał w sobie fatalną w skutkach słabość, Vinnie, i wiesz doskonale, o co mi chodzi. Nie przestrzegał zasad. Uważał, że jest ponad nami, szarymi, zwyczajnymi prostaczkami, którzy mamy ręce związane całą masą rozmaitych przepisów i regulaminów. I drażni mnie, że zaczynasz przejmować jego maniery.

–Wcale nie.

–Poszukiwania brata Pendergasta tak dalece wykraczają poza wszelkie przepisy, że to w ogóle przestaje być zabawne. Bo, nawiasem mówiąc, co zamierzasz zrobić, kiedy już odnajdziesz tego Diogenesa?

D'Agosta nie odpowiedział. Nie wybiegał myślami aż tak daleko naprzód.

Wóz zachybotał się, gdy jego lewa przednia opona wpadła w głęboką koleinę. – Czy jesteś pewien, że to właściwa droga? – zapytała. – Nie mogę uwierzyć, że tu może być jakiś szpital.

–Jestem pewien.

Przed nimi wśród mgieł zaczęły pojawiać się jakieś kształty. Kiedy samochód podjechał bliżej, nabrały ostrości i zmieniły się w zaopatrzone u góry w ostrza pręty bramy z kutego żelaza, wprawionej w wysoki na dziesięć stóp mur z omszałych cegieł. Sedan zatrzymał się przed zamkniętą bramą i starą budką strażniczą obok niej. Na bramie wisiała tabliczka z napisem: Szpital Mount Mercy dla umysłowo chorych przestępców.

Pojawił się strażnik z latarką w dłoni. D'Agosta nachylił się ponad Hayward i błysnął odznaką. – Porucznik D'Agosta. Jestem umówiony, mam się spotkać z doktorem Ostromem.

Mężczyzna znikł w budce wartowni, spojrzął na listę, którą miał na biurku. Chwilę potem brama otworzyła się z głośnym skrzypnięciem. Hayward wjechała do środka i po brukowanym podejździe dotarła do ogromnej budowli, której blanki i wieżyczki były zasnuwane kłębamii wirującej mgły D'Agosta, zerkając w górę, widział rzędy kamiennych krenelaży odcinających się na tle czerni niczym połamane zęby.

–Mój Boże – rzuciła Hayward, zerkając przez przednią szybę. – Stryjeczna babka Pendergasta przebywa w tym budynku?

D'Agosta pokiwał głową. – Ten dom, o ile mi wiadomo, pełnił niegdyś funkcję sanatorium dla gruźlików, a konkretnie dla milionerów cierpiących na suchoty. Teraz to szpital psychiatryczny dla morderców, których z uwagi na niepocztytalność uwolniono od odpowiedzialności za popełnione czyny.

–Co właściwie zrobiła ta kobieta?

–Constance twierdzi, że otruła całą swoją rodzinę. Hayward spojrzęła na niego. – Całą rodzinę?

–Matkę, ojca, męża, brata i dwoje dzieci. Uważała, że zostali opętani przez diabły. A może przez duchy jankeskich żołnierzy zastrzelonych przez jej ojca. Nikt nie wie tego na pewno. Tak czy owak lepiej się do niej nie zbliżaj. Jest wyjątkowo uzdolniona, jeżeli chodzi o pozyskiwanie wszelkiego rodzaju ostrych przedmiotów i ukrywanie ich pod ubraniem. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy dwóch pielęgniarzy trafiło przez nią na ostry dyżur.

–Żartujesz.

Wewnątrz szpital Mount Mercy cuchnął spirytusem i wilgotnymi kamieniami. Pod warstwą paskudnej przemysłowej farby.

D'Agosta wciąż dostrzegał pozostałości dawnego eleganckiego budynku z ręcznie wykonanymi drewnianymi sufitami i boazeriami na ścianach oraz posadzkami w korytarzach, wyłożonymi mocno już sfatygowanymi marmurowymi płytkami.

Doktor Ostrom czekał na nich w „cichym pokoju” na pierwszym piętrze. Był wysokim mężczyzną w nieskazitelnym lekarskim kitlu, który nawet nie odzywając się słowem, sprawiał wrażenie, jakby miał na głowie całą masę innych, znacznie ważniejszych spraw.

Rozglądając się dokoła po skromnie umeblowanym pokoju, D'Agosta zauważył, że wszystko, stół, plastikowe krzesła, obudowa lampy, było albo przyśrubowane do podłogi, albo ukryte za grubą metalową siatką.

D'Agosta przedstawił siebie i Hayward Ostromowi, który w odpowiedzi skinął uprzejmie głową, ale nie podał im ręki na powitanie.

–Przyszliście, aby zobaczyć się z Cornelią Pendergast – powiedział.

–Na wyraźną prośbę jej stryjecznego wnuka.

–Czy jesteście państwo zaznajomieni z... Jak by to powiedzieć... Niezbędnymi wymogami obowiązującymi podczas takiej wizyty?

–Tak.

–Przez cały czas zachowujcie bezpieczny dystans. Żadnych gwałtownych ruchów. Nie próbujcie pod żadnym pozorem jej dotykać ani nie pozwólcie, aby ona was dotykała. Wizyta będzie z konieczności krótka – po kilku minutach zwykle zaczyna się niebezpiecznie ekscytować. Jest dla nas rzeczą najważniejszą, aby oszczędzić jej niepotrzebnego wzburzenia. Jeżeli zauważę pierwsze oznaki zdenerwowania lub ekscytacji, będę zmuszony niezwłocznie zakończyć państwa rozmowę.

–Rozumiem.

–Ona nie lubi przyjmować obcych i może nie zechcieć was widzieć, a ja nie będę w stanie wam pomóc. Nie mogę jej do niczego zmuszać. Nawet gdybyście mieli nakaz...

–Niech pan jej powie, że jestem Ambergris Pendergast. Jej brat. – Takie imię podsunęła mu Constance.

Doktor Ostrom zmarszczył brwi. – Nie pochwalam oszustwa, poruczniku.

–Wobec tego niech pan nie nazywa tego oszustwem. Proszę nazwać to bezczelnym, zuchwałym kłamstwem. To bardzo ważne, doktorze. Od tego może zależeć ludzkie życie.

Doktor Ostrom zamyślił się przez chwilę. W końcu ostentacyjnie skinął głową, odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia przez grube, ciężkie, stalowe drzwi umieszczone w przeciwległej ścianie.

Przez kilka minut w pokoju panowała głucha cisza. Wreszcie jakby z daleka dobiegł ich pełen oburzenia, podenerwowany głos dziarskiej staruszki. D'Agosta i Hayward wymienili spojrzenia.

Harmider przybierał na sile. W końcu stalowe drzwi znów się otworzyły i do pomieszczenia wtoczono Cornelię Pendergast.

Siedziała na wózku, którego każdy cal pokryto grubą warstwą czarnego kauczuku. Na podółku miała niewielką wyszywaną poduszkę, na której opierała wychudzone kościste dłonie. Sam Ostrom wtoczył wózek do pomieszczenia, a z tyłu za nim szło dwóch pielęgniarzy w grubych watowanych kombinezonach ochronnych. Kobieta miała na sobie długą staroświecką suknię z czarnej tafty. Wydawała się bardzo drobna, chuda jak patyk, z twarzą przesłoniętą czarną woalką. D'Agosta nie mógł uwierzyć, że ta z wyglądu krucha i delikatna istota mogła w ostatnim czasie srodze pokiereszować dwóch postawnych pielęgniarzy. Kiedy ukazała się ich oczom i wózek stanął, ucichł również wypływający z jej ust potok inwektyw.

–Podnieście mi woalkę – rozkazała. Jej południowy akcent był tak wystudiowany i tak wyraźny, że przywodził na myśl brytyjski.

Jeden z pielęgniarzy podszedł i – stając na odległość wyciągniętej ręki, urękawiczoną dłonią uniósł gęsty woal. D'Agosta mimowolnie wychylił się do przodu, patrząc z zaciekawieniem.

Cornelia Pendergast odnalazła jego spojrzenie. Miała kocie oblicze o ostrych rysach i bardzo jasne niebieskie oczy. Pomimo iż była w podeszłym wieku, a jej skóra pokryta plamami wątrobowymi, wciąż miała młodzieńczy, zdrowy połysk. Gdy tak na nią patrzył, D'Agosta poczuł, że jego serce zaczyna bić żywszym rytmem. W jej przenikliwym wzroku, wystających kościach policzkowych i układzie szczęki dostrzegł rysy swojego nieżyjącego przyjaciela. Podobieństwo byłoby jeszcze bardziej uderzające, gdyby nie błysk szaleństwa w jej oczach.

Przez chwilę w pokoju panowała grobowa cisza. D'Agosta zaczął obawiać się, że przyglądająca mu się baczny wzrokiem babka Cornelia w pewnym momencie wpadnie we wściekłość rozjuszona jego zuchwałym kłamstwem.

Ona jednak tylko się uśmiechnęła. – Mój drogi bracie! Jak to miło, że zechciałeś pokonać taki szmat drogi tylko po to, by się ze mną zobaczyć. Tak długo się nie odzywałeś, powinieneś się wstydzić. Nie winię cię za to, ma się rozumieć, sama też z ledwością to znoszę... Cóż za okropność mieszkać na północy, wśród tych barbarzyńskich jankesów. Zaśmiała się cicho.

W porządku, powiedział sobie w duchu D'Agosta. Constance wyjaśniła mu, że stryjeczna babka Cornelia żyła w wymyślnym świecie i wierzyła, że znajduje się w jednym z dwóch miejsc – Ravenscry, posiadłości jej męża, mieszczącej się na północ od Nowego Jorku, albo w starej rodzinnej rezydencji Pendergastów w Nowym Orleanie. Najwyraźniej dziś znajdowała się w tej pierwszej.

–Miło mi cię widzieć Cornelio – odparł ostrożnie D'Agosta.

–A kim jest ta młoda dama, która ci towarzyszy?

–To Laura, moja... żona. Hayward spiorunowała go wzrokiem.

–Jak cudownie! Zawsze zastanawiałam się, kiedy znajdziesz sobie narzeczoną. Najwyższy czas, aby ród Pendergastów ożywiła nowa krew. Czy mogę zaproponować ci coś do picia? Może herbatę albo jeszcze lepiej, twój ulubiony likier miętowy?

Spojrzała na pielęgniarzy, którzy odsunęli się od niej najdalej, jak tylko mogli. Obaj stali w całkowitym bezruchu.

–Chyba jednak podziękujemy – rzekł D'Agosta.

–Może to i lepiej. Służba jest dziś fatalna.

Machnęła ręką w stronę dwóch pielęgniarzy z tyłu, za nią, a mężczyźni wyraźnie drgnęli odruchowo. Następnie wychyliła się do przodu, jakby zamierzała zwierzyć się gościom z jakiegoś sekretu i nie chciała, aby ktoś ją podsłuchał. – Zazdrość wam. Na południu żyje się o wiele lepiej. Ludzie tutaj nie umieją szczyć się tym, że mogą służyć lepszym od siebie.

Kiedy D'Agosta pokiwał uspokajająco głową, zaczęło ogarniać go wrażenie osobliwej nierealności, czuł się jak we śnie.

Oto miał przed sobą elegancką starszą panią gawędzącą w najlepsze z bratem, którego otruła przed czterdziestoma laty Zastanawiał się, co powinien zrobić. Jak ma się zachować. Ostro powiedział, że powinien ograniczyć czas trwania wizyty do minimum. Najwyższa pora, aby przejść do rzeczy.

–A co tam nowego w rodzinie? – zapytał.

–Nigdy nie wybaczę mężowi, że sprowadził nas do tego przeklętego dworu. To okropne miejsce. I w dodatku te przeciągi. Klimat fatalny, a o kulturze mieszkańców tych okolic aż żal wspominać. Jediną pociechę stanowią dla mnie dzieci.

Ciepły uśmiech towarzyszący tym słowom sprawił, że D'Agosta poczuł na grzbiecie lodowate ciarki. Zastanawiał się, czy patrzyła na ich śmierć.

–Naturalnie wśród okolicznych mieszkańców nie ma nikogo, kto mógłby stanowić dla mnie odpowiednie towarzystwo. W rezultacie siedzę tu sama jak palec. Od czasu do czasu odbywam rzecz jasna spacer, to istotne dla mego zdrowia, ale powietrze jest tu tak chłodne i wilgotne, że większość czasu zmuszona jestem spędzać w zaciszu czterech ścian. Jestem blada jak duch. Sam zresztą zobacz.

Uniosła jedną, chudą, dotkniętą paralizem dłoń ponad poduszkę, aby mógł się jej przyjrzeć.

D'Agosta odruchowo zrobił krok naprzód. Ostro zmarszczył brwi i polecił mu, aby się cofnął.

–A co z resztą rodziny? – spytał D'Agosta. – Od dłuższego czasu nie mam żadnej wieści od naszych... bratanków.

–Aloysius odwiedza mnie od czasu do czasu. Kiedy potrzebuje mojej rady. – Znów się uśmiechnęła, jej oczy rozbliły – To taki dobry chłopiec. Pełen szacunku dla starszych ludzi. Nie tak jak ten drugi.

–Diogenes – rzekł D'Agosta.

Stryjeczna babka Cornelia pokiwała głową. – Diogenes. – Wzdrygnęła się. – Był inny, i to od pierwszego dnia, kiedy przyszedł na świat. A potem ta choroba... I te jego niezwykle oczy. – Przerwała. – Wiesz, co o nim mówili?

–Powiedz mi.

–Drogi Ambergrisie, czyżbyś już o tym zapomniał?

Przez jedną krótką niepokojącą chwilę D'Agosta miał wrażenie, że dostrzega na twarzy staruszki wyraz nieskrywanego sceptycyzmu. To wszakże zaraz znikło i oblicze kobiety znów przybrało nieodgadniony wyraz. – Linia rodu Pendergastów jest skażona od wielu stuleci. Z łaski Boga piętno to ominęło na szczęście mnie i ciebie, Ambergrisie.

Po tych słowach znów nastąpiła krótka chwila ciszy. – Młody Diogenes był okaleczony od samego początku. To było prawdziwe diabelskie nasienie. Po jego nagłej, niespodziewanej chorobie mroczniejsza strona naszego rodu rozwinęła się w nim na dobre.

D'Agosta milczał, nie ośmielił się powiedzieć nic więcej.

Po chwili babka Cornelia poruszyła się w fotelu i znów się odezwała. – Od początku był mizantropem. Obaj

chłopcy byli samotnikami, bądź, co bądź wywodzili się z Pendergastów, ale w przypadku Diogenesa rzeczy miały się całkiem inaczej.

–Pamiętam, że Aloysius miał jednego przyjaciela w swoim wieku, stał się on sławnym malarzem. Poza tym Aloysius spędzał mnóstwo czasu na zalewisku, wśród Cajunów i innych tego rodzaju łachmytów, czemu naturalnie stanowczo się sprzeciwiałam. Diogenes natomiast nie miał żadnych przyjaciół. Ani jednego. Pamiętasz zapewne, że inne dzieci w ogóle nie chciały się do niego zbliżyć. Bały się go jak ognia. Wzbudzał w nich śmiertelną trwogę. A choroba jeszcze bardziej pogorszyła tę sytuację.

–Choroba?

–Bardzo gwałtowna odmiana płonicy. Szkarlatyna. To właśnie wtedy jego oko zmieniło barwę i tak dziwnie zmętniało. Przecież wiesz. – Wzdrygnęła się. – Aloysius był jego całkowitym przeciwieństwem. Ten biedny chłopiec był bez przerwy nękany przez inne dzieci. Wiesz dobrze, że Pendergastowie często bywali ofiarami złośliwych szyderstw i drwin ze strony pospólstwa. Aloysius miał chyba dziesięć lat, kiedy zaczął odwiedzać tego dziwnego Tybetańczyka, który mieszkał przy Bourbon Street. Zawsze miał niezwykłych znajomych. Ten człowiek nauczył go całej masy tybetańskich bzdur, no wiesz, nie potrafię tego wymówić, ale nazywają to chang czy choong coś tam. Nauczył także Aloysiusa specyficznego stylu walki, który zagwarantował mu, że już nigdy starsi chłopcy nie próbowali go dręczyć ani z nim zadzierać.

–Ale ci starsi chłopcy nigdy nie próbowali wyżywać się na Diogenesie.

–Dzieci mają pod tym względem swego rodzaju szósty zmysł. I pomyśleć, że Diogenes był młodszymi, niższy i drobniejszy od Aloysiusa.

–A jak bracia radzili sobie wzajemnie? – Zapytał D'Agosta. – Lubili się czy raczej nie za bardzo?

–Ambergrisie, chyba na stare lata nie dopadła cię skleroza, a może się mylę? Przecież wiesz, że Diogenes nie cierpiał swego starszego brata. Diogenes nie kochał nikogo prócz swojej matki, ma się rozumieć, ale wobec Aloysiusa pałał wyjątkowo zajadłą nienawiścią. Zwłaszcza odkąd zapadł na szkarlatynę.

Przerwała i na chwilę jej gorejące obłędem oczy nieznacznie przygasły, jakby sięgała wzrokiem w odległą przeszłość. – Na pewno pamiętasz małą myszkę, pupila Aloysiusa?

–Oczywiście. Jasne, że tak.

–Nazwał ją Incitatus, na cześć ulubionego wierzchowca cesarza Kaliguli. – Był podówczas pochłonięty lekturą Swetoniusza i paradował wszędzie z tym małym zwierzątkiem na ramieniu, nawołując w głos: „Oddajcie cześć najpiękniejszej myszy Cezara, Incitatusowi!”. Wiesz, że się boję i brzydzę myszy, ale to małe białe zwierzątko było tak przyjazne i spokojne, że jakoś znosiłam jego obecność. Aloysius był wobec tej myszki taki cierpliwy, naprawdę bardzo ją kochał. I jakich nauczył ją sztuczek! Incitatus umiał chodzić na tylnych łapkach. Reagował na tuzin różnych komend. Aportował piłeczkę pingpongową i żonglował nią na nosku jak foka. Pamiętam, że na ten widok śmiałeś się do rozpuku.

–Też to pamiętam.

Babka Cornelia przerwała. Nawet niewzruszeni pielęgniarze zdawali się słuchać jej opowieści.

–Aż nagle, któregoś ranka mały Aloysius obudził się, by ujrzeć drewniany krzyż stojący w nogach łóżka. Krzyż był nieduży, miał jakieś sześć cali wysokości, był starannie wystrugany i wykończony. A na krzyżu wisiał Incitatus.

D'Agosta usłyszał, jak Laura Hayward westchnęła przeciągle.

–Nikt nie musiał pytać, kto to zrobił, wszyscy wiedzieli, czyja to sprawa. To wydarzenie odmieniło Aloysiusa. Po Incitatusie nie miał już żadnych zwierzątek. A co się tyczy Diogenesa, był to zaledwie początek jego... ee... eksperymentów na zwierzętach. Koty, psy, a także kury i inne zwierzęta zaczęły znikać w niewyjaśnionych okolicznościach. Pamiętam zwłaszcza jeden wyjątkowo nieprzyjemny incydent związany z kozą sąsiada...

W tej samej chwili babka Cornelia zamilkła i zaczęła się cichutko śmiać. To trwało dość długo. Doktor Ostrom coraz bardziej zaniepokojony spojrzął z marsową miną na D'Agostę i wskazał palcem na zegarek.

–Kiedy widziałas Diogenesa po raz ostatni? – spytał pospiesznie D'Agosta.

–Dwa dni po pożarze – odparła staruszka.

–Po pożarze – powiedział D'Agosta, starając się, aby to nie zabrzmiało jak pytanie.

–Oczywiście, że po pożarze – rzekła babka Cornelia, w jej głosie nagle pojawiła się nuta ożywienia. – A niby kiedy indziej? To było po tym strasznym, potwornym pożarze, który zniszczył naszą rodzinę i stał się dla mojego męża ostatecznym argumentem, aby przeniósł mnie i dzieci do tej wilgotnej, pełnej przeciągów rezydencji. Z dała od Nowego Orleanu i z dała od tego wszystkiego.

–Chyba na tym zakończymy – rzekł doktor Ostrom. Skinął głową na pielęgniarkę

–Opowiedz mi o pożarze – poprosił D'Agosta.

Oblicze staruszki, jeszcze przed chwilą rozpalone gniewem, nagle dziwnie posmutniało. Jej dolna warga zdrząta, dłonie unieruchomione pasami przeszył lekki dreszcz. D'Agosta niejako wbrew sobie nie mógł nadziwić się, jak gwałtownie zachodziły w niej te diametralne skądinąd zmiany.

–Powiedziałem, że kończymy – odezwał się doktor Ostrom.

D'Agosta uniósł prawą rękę w górę. – Jedną chwileczkę. Bardzo proszę. Gdy znów przeniósł wzrok na babkę Cornelię, stwierdził, że staruszka patrzy na niego z przejęciem.

–Ta przesadna, pałająca nienawiścią, bezmyślna tłuszcza. Te tępe ćwoki spaliły naszą rodową rezydencję, dom naszych przodków, niechaj Lucyfer pochłonie za to ich samych, ich potomstwo i dzieci ich dzieci. Bodajby smażyli się za to w piekle przez całą wieczność. Aloysius miał niecałe dwadzieścia lat i studiował w Oksfordzie. Ale tamtej nocy Diogenes był w domu. Widział jak jego matka i ojciec spłonęli żywcem. Ten wyraz jego twarzy, kiedy policja wywlokła go z piwnicy, gdzie się ukrył... – Wzdrygnęła się. Dwa dni później wrócił Aloysius. Zamieszkaliśmy wówczas u krewnych w Baton Rouge. Pamiętam, że Diogenes zaciągnął starszego brata do drugiego pokoju i zamknął za nimi drzwi. Byli w środku nie dłużej niż pięć minut. Kiedy Aloysius stamtąd wyszedł, był blady jak ściana. A zaraz potem Diogenes wyszedł z domu i zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Nie zabrał ze sobą niczego, nawet ubrania na zmianę. Nigdy więcej go nie widziałam. Odzywał się od czasu do czasu, pisząc listy albo kontaktując się ze mną za pośrednictwem bankierów czy doradców prawnych służących naszej rodzinie, aż w końcu w ogóle przestał dawać o sobie znać. Ponownie usłyszałam o nim dopiero, gdy doszły mnie wieści o jego śmierci.

Nastąpiła krótka chwila pełnej napięcia ciszy. Smutek opuścił oblicze staruszki, było teraz spokojne i niewzruszone.

–Ambergrisie, chyba już czas na odrobinę likieru miętowego. – Odwróciła się gwałtownie. – John, trzy likiery miętowe, dobrze schłodzone, jeśli łaska. Weź lód z lodowni, jest o wiele słodszy.

Ostrom rzucił oschle: – Przykro mi, ale pani goście muszą już iść.

–Szkoda.

Zjawił się pielęgniarkę z plastikowym kubkiem z wodą. Podał go staruszce, która ujęła kubek wysuszoną chudą dłonią. – Wystarczy, John. Możesz odejść.

Odwróciła się do D'Agosty – Drogi Ambergrisie, zostawiasz starą kobietę, aby piła samotnie, powinieneś się wstydzić.

–Miło cię było widzieć – powiedział D'Agosta.

–Mam nadzieję, że ty i twoja cudowna narzeczona jeszcze mnie odwiedzicie. Zawsze cieszę się, mogąc cię zobaczyć... bracie.

To rzekłszy, wyszczerzyła nagle zęby ni to w uśmiechu, ni to w drapieżnym grymasie, uniosła dłoń upstrzoną brunatnymi plamami wątrobowymi i opuściła woalkę; gęsta czarna siateczka ponownie przestoniła jej twarz.

ROZDZIAŁ 7

Gdzieś zegar wybił północ, głębokie, dźwięczne tony zostały nieznacznie wytłumione przez pluszowe draperie i gobeliny wiszące w bibliotece starej rezydencji przy Riverside Drive 891. D'Agosta odsunął się od biurka i przeciągnął w skórzanym fotelu, koniuszkami palców rozmasowując zdrętwiałe plecy na wysokości krzyża. Tym razem w bibliotece panował znacznie pogodniejszy nastrój: w kominku radośnie buzował ogień, a łagodny blask pół tuzina lamp docierał w najodleglejsze kąty. Constance siedziała przy kominku, sącząc tisane z porcelanowej filiżanki i czytając Faerie Queene Spensera. Proctor, który nie zapomniał o upodobaniu D'Agosty do piwa, zjawiał się kilkakrotnie, zastępując ciepłe niedopite szklaneczki budweisera pełnymi, mocno schłodzonymi. Constance przygotowała wszystkie zebrane przez Pendergasta materiały na temat jego brata, a D'Agosta poświęcił cały wieczór na ślęczenie nad nimi. Tu, w tym znajomym pokoju, z regałami uginającymi się od książek, gdzie powietrze przesycone było zapachem skóry i palonego drewna, D'Agosta z łatwością mógł wyobrazić sobie, że Pendergast jest przy nim i pomaga mu odnaleźć zgubiony trop, a blade oczy agenta lśnią z zaciekawienia i euforii wywołanej zbliżającym się pościgiem.

Tyle tylko, że o pościgu, jak na razie, nie było mowy. D'Agosta przejrzał dokumenty, wycinki, listy, fotografie i stare raporty leżące na blacie biurka. Pendergast najwyraźniej musiał potraktować zagrożenie ze strony brata bardzo poważnie: zbiór był wspaniale posegregowany i opatrzony przypisami. Zupełnie jakby Pendergast domyślał się, że gdy nadejdzie ten czas, nie będzie go już, by stawić czoło ostatecznemu wyzwaniu, i że zadanie to może przypaść w udziale innym. Zebrał wszystko, nawet najbardziej szczątkowe informacje, które był w stanie zdobyć.

Przez ostatnie kilka godzin D'Agosta przeczytał wszystko, co leżało na biurku, dwa, a niekiedy nawet i trzy razy. Po tym, jak Diogenes zerwał po śmierci matki i ojca wszelkie więzi łączące go z resztą klanu Pendergastów, zaszył się gdzieś, i musiała to być naprawdę niezła kryjówka. Na blisko rok zaginął po nim wszelki ślad. Wreszcie od prawnika współpracującego z ich rodziną nadszedł list z żądaniem stu tysięcy dolarów, które miały zostać przesłane do banku w Zurychu z przeznaczeniem dla Diogenesa. Rok później pojawił się drugi, podobny list z żądaniem dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, które miano przesłać na konto w banku w Heidelbergu. Rodzina odrzuciła drugie żądanie i wywołało to pisemną reakcję ze strony Diogenesa. List od niego znajdował się obecnie na biurku, włożony do foliowej torebki. D'Agosta ponownie rzucił okiem na drobne, staranne pismo niepasujące, zdawałoby się, do siedemnastoletniego chłopca. List nie był zaopatrzony w datę ani nazwę miejsca i był zaadresowany do Pendergasta.

Ave, frater.

Mierzi mnie wielce, że muszę pisać do ciebie zarówno w tej sprawie, jak i w każdej innej. Cóż jednak począć, zmusiłeś mnie do tego. Nie wątpię bowiem, że to za twoją namową odmówiono mi wypłaty pieniędzy, o które poprosiłem.

Nie muszę ci przypominać, że za lat kilka osiągnę wiek, w którym będę mógł odebrać należne mi dziedzictwo. Aż do tej pory co pewien czas będę potrzebował pewnych drobnych sum jak ta, której zażądałem w ubiegłym miesiącu. Zarówno w twoim dobrze pojętym interesie, jak i w interesie innych, czy to znajomych, czy nieznanym ci osób, będzie, abyś raczył przychylić się do tych próśb. Sądziłem, że po naszej ostatniej rozmowie w Baton Rouge wyjaśniliśmy sobie dokładnie pewne najistotniejsze kwestie. Jestem obecnie bardzo zajęty badaniami z wielu różnych dziedzin i nauka oraz eksperymenty pochłaniają mnie na tyle, że nie jestem w stanie zarobić potrzebnych pieniędzy w bardziej konwencjonalny sposób. Jeżeli zostanę do tego zmuszony, zdobędę niezbędne fundusze w sposób, który sprawi mi możliwie największą satysfakcję. Jeżeli nie chcesz, abym skoncentrował się na sprawach, które mogą nie przypaść ci go gustu, radzę, byś jak najszybciej wypełnił wszystkie moje żądania.

Gdy napiszę do ciebie ponownie, uczynię to z własnej woli, kiedy sam uznam to za stosowne, i w sprawie, która będzie dla mnie naprawdę istotna. Nie zamierzam wracać więcej do tego tematu. Zegnaj, bracie. I powodzenia.

D'Agosta odłożył list na bok. Z zapisów wynikało, że pieniądze zostały niezwłocznie wysłane. W roku następnym podobną kwotę przesłano do banku przy Threadneedle Street w Londynie. Rok później kolejną sumę przesłano do banku w Kent. Diogenes pojawił się na krótko w swoje dwudzieste pierwsze urodziny, aby

przejąć należne mu dziedzictwo – osiemdziesiąt siedem milionów dolarów. Dwa miesiące później doniesiono, że zginął w wypadku samochodowym na High Street w Canterbury Zwłoki były zbyt spalone, aby można było dokonać identyfikacji. Spadku nigdy nie odnaleziono.

D'Agosta przez chwilę obracał w dłoniach sfalszowany akt zgonu.

„Jestem obecnie bardzo zajęty badaniami z wielu różnych dziedzin”.

Ale czym konkretnie? Diogenes nie chciał tego zdradzić, a jego brat zachowywał w tej sprawie całkowite milczenie. A może nie było ono aż tak całkowite?

D'Agosta powiódł wzrokiem po stercie wycinków. Pochodziły z różnych zagranicznych gazet i czasopism. Każdy był opatrzony datą i adnotacją, te z zagranicznych periodyków miały dołączone przekłady Także tym razem Pendergast myślał perspektywicznie.

Większość z tych wycinków traktowała o nierozwikłanych zbrodniach. Cała rodzina w Lizbonie została zabita wskutek zatrucia jadem kiełbasianym, lecz w ich żołądkach nie stwierdzono obecności żadnego pokarmu. Chemika z paryskiej Sorbony odnaleziono z rozplatanymi żyłami na obu przegubach, a jego ciało zostało skrupulatnie odsączone z całej krwi. Tyle tylko, że na miejscu zbrodni nie było żadnych śladów posoki. Zginęły też akta dotyczące niektórych spośród badań, prowadzonych przez owego chemika. Pozostałe wycinki dotyczyły jeszcze innych, o wiele bardziej mrocznych zabójstw, których ofiary, jak można przypuszczać na podstawie stanu zwłok, poddawane były rozmaitym eksperymentom i nader wymyślnym torturom, lecz ciała odnajdywano zmasakrowane do tego stopnia, że nie można było stwierdzić tego z niezbitą pewnością. Jeszcze inne wycinki okazały się nekrologami. We wszystkich tych zgonach nie sposób było doszukać się żadnej logiki czy jakiegoś motywu, a Pendergast nie pozostawił adnotacji, co konkretnie wzbudziło jego ciekawość.

D'Agosta wziął do ręki plik kartek i zaczął je wertować. Były tu również wzmianki o kradzieżach. Doniesienie o kradzieży zamrażarki pełnej eksperymentalnych leków z jednej z wielkich firm farmaceutycznych. Ze skarbcza w Izraelu znikła w tajemniczy sposób kolekcja diamentów. Bryła bursztynu wielkości pięści, prawdziwa rzadkość, z zatopionym w niej liściem dawno wymarłej rośliny została skradziona z mieszkania pewnego zamożnego małżeństwa w Paryżu. Podobnie jak unikalny polerowany koprolit Tyrannosaurus rexa, datowany dokładnie na przełom kredy i trzeciorzędu.

Westchnął przeciągle i odłożył wycinki na biurko.

Wtem jego wzrok padł na plik dokumentów z Sandringham, prywatnego liceum na południu Anglii, gdzie uczęszczał Diogenes – o czym jego rodzina nie wiedziała – aby dokończyć edukację w ostatnim roku szkoły średniej. Dostał się tam dzięki kilku sprytnie sfalszowanym dokumentom i dwójce wynajętych osób, które miały odegrać rolę jego rodziców Pomimo iż na pierwszy semestr mógł pochwalić się najlepszymi wynikami w całej klasie, kilka miesięcy później został z liceum wydalony Sądząc po dokumentach, kierownictwo szkoły nie podało przyczyny relegowania Diogenesa, a na zapytanie Pendergasta odpowiedziało wymijająco, a nawet z oburzeniem.

Inne dokumenty świadczyły, że Pendergast kilkakrotnie kontaktował się z Brianem Cooperem – Cooper przez krótki czas dzielił z Diogenesem pokój w Sandringham – ale najwyraźniej chłopak nie okazał chęci do współpracy Ostatni list od jego rodziców wyjaśnił, że Brian został umieszczony w zakładzie zamkniętym, gdzie poddano go intensywnej terapii mającej wyrwać go ze stanu głębokiej katatonii.

Po wydaleniu z liceum Diogenes zaszł się gdzieś na ponad dwa lata. Następnie pojawił się, aby odebrać należne dziedzictwo. Cztery miesiące później zaaranżował swoją śmierć na High Street w Canterbury.

A potem cisza.

Nie, to nie do końca tak. Była jeszcze jedna, ostatnia wiadomość od niego. D'Agosta spojrzął na złożony arkusz grubego czerpanego papieru, leżący na rogu biurka. Sięgnął po niego i rozłożył w zamyśleniu. U góry papier ozdobiony był herbem w kształcie pozbawionego powieki oka ponad dwoma księżycami i szykującym się do skoku lwem. Pośrodku kartki widniała data napisana fioletowym atramentem i drobnym, delikatnym charakterem pisma należącym, jak się mógł tego domyślać D'Agosta, do Diogenesa Pendergasta: 28 stycznia.

Mimowolnie D'Agosta znów powrócił w myślach do owego październikowego dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzął ten list, tu, w tym pokoju, w przededniu ich wyjazdu do Włoch. Pendergast pokazał mu go i opowiedział pokrótce o planach Diogenesa popełnienia przestępstwa doskonałego.

Lecz D'Agosta wrócił z Włoch sam, bez agenta FBI. I teraz to właśnie on – bez niczyjej pomocy musiał wypełnić zadanie należące do jego nieżyjącego partnera, by powstrzymać złoczyncę i nie dopuścić, aby 28 stycznia popełnił on planowane przez siebie przestępstwo.

Miał jeszcze niecały tydzień.

Poczuł narastającą panikę, gdyż zostało mu tak niewiele czasu. Kolega dzielący z Diogenesem pokój w Sandringham, tak, to był już jakiś trop. Zadzwoń jutro do jego rodziców, zobaczy, może chłopak jednak zechce mówić. A gdyby nawet nie mógł, w liceum byli jeszcze inni chłopcy, którzy znali Diogenesa.

D'Agosta starannie złożył kartkę i odłożył na blat biurka. Obok niej leżała pojedyncza, czarno-biała, pognieciona i wypłowiała ze starości fotografia. Wziął ją do ręki i uniósł do światła. Mężczyzna kobieta i dwóch małych chłopców stojący przed bramą z kutego żelaza. W oddali widać było imponującą rezydencję. Dzień był ciepły: chłopcy mieli na sobie krótkie spodenki, a kobieta letnią sukienkę. Mężczyzna o patrycjuszowskim obliczu wpatrywał się z powagą w obiektyw aparatu. Kobieta była piękna, o jasnych włosach i tajemniczym uśmiechu. Chłopcy mieli, sądząc po wyglądzie, jakieś pięć i osiem lat. Starszy stał wyprostowany, z rękoma za plecami i patrzył z powagą przed siebie. Jasne włosy miał starannie zaczesane, z przedziałkiem, ubranie wyglądało jak świeżo wyprasowane. Coś w kształcie jego kości policzkowych oraz wyraźne orle rysy podpowiedziały D'Agostie, że chłopcem tym był agent Pendergast.

Obok niego stał młodszy chłopiec o rudych włosach, ze złączonymi dłońmi i palcami skierowanymi ku górze jak do modlitwy. W przeciwieństwie do starszego brata Diogenes wyglądał cokolwiek niechlujnie. Wrażenie to nie wynikało jednak z jego ubioru czy ogólnego zaniedbania. Może odczucie to wywoływało luźne, nonszalanckie, leniwe wręcz ułożenie ramion, z pozoru niepasujące do złożonych jak do pacierza dłoni. A może to przez jego usta, lekko rozchylone, zbyt pełne i zmysłowe jak na chłopca w jego wieku. Obydwoje oczu wyglądało tak samo – zdjęcie musiało powstać jeszcze przed jego chorobą.

Te oczy przykuły wzrok D'Agosty. Nie patrzyły w obiektyw aparatu, lecz gdzieś w dół, o ile w ogóle wpatrywały się w jakiś konkretny punkt. Wydawały się mętne, nieomal martwe, nie pasowały do dziecięcej twarzyczki. D'Agosta poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Obok niego coś zaszeleściło i D'Agosta mimowolnie drgnął nerwowo. Obok pojawiła się nagle Constance Greene. Zmaterializowała się prawie jak duch. Zdawała się dysponować typową dla Pendergasta umiejętnością niemal bezszelestnego poruszania się.

–Przepraszam – rzekła Constance. – Nie chciałam pana przestraszyć.

–Nie ma sprawy. Przeglądanie tych materiałów byłoby w stanie napędzić stracha nawet największemu chojrakowi.

–Przepraszam. Napędzić stracha? Chojrakowi?

–To tylko takie powiedzenie.

–Znalazł pan coś ciekawego? Cokolwiek?

D'Agosta pokręcił głową. – Nic, o czym nie rozmawialibyśmy wcześniej. – Przerwał. – Zwróciło moją uwagę jedynie to, że w tych dokumentach nie ma żadnej wzmianki o chorobie Diogenesa. Zgodnie z tym, co powiedziała babka Cornelia, miał zapaść na szkarlatynę. To go rzekomo odmieniło.

–Chciałabym móc przekazać panu więcej informacji. Przeszukałam zbiory i wszystkie dokumenty rodzinne, na wypadek gdyby Aloysius cokolwiek przeoczył. Ale to wszystko, co mam panu do zaoferowania. Nic więcej nie ma.

Nic więcej nie ma. Obecne miejsce pobytu Diogenesa, jego wygląd, to, czym się zajmował, a przede

wszystkim przestępstwo, które planował, zbrodnia doskonała, pozostawały jedną wielką niewiadomą.

Była tylko data – 28 stycznia. Przyszły poniedziałek.

–Może Pendergast się pomylił – rzekł D'Agosta z nutą nadziei w głosie. – Mam na myśli datę. Może dotyczy ona przyszłego roku. Albo wiąże się z czymś innym.

Sięgnął ręką w stronę sterty dokumentów walających się na blacie biurka. – To wszystko wydaje się takie odległe, w sumie minęło przecież tyle lat. Aż trudno uwierzyć, że już wkrótce ma się wydarzyć coś naprawdę niezwykłego.

W odpowiedzi na ustach Constance przez mgnienie oka pojawił się ulotny, delikatny cień uśmiechu.

ROZDZIAŁ 8

Horace Sawtelle z ulgą oddał welinowe menu kelnerowi. Pragnął, żeby raz, chociaż raz klient przyszedł do niego. Nie cierpiał bezkresnych betonowych dżungli, w których oni wszyscy pracowali: Chicago, Detroit, a teraz także Nowego Jorku. Gdy lepiej się je poznało, Keokuk nie było wcale takie złe. Znał wszystkie naprawdę dobre knajpy i lokale ze striptizem. Niektórzy z jego klientów mogli nawet wyrobić w sobie głęboki podziw dla pewnych uroków rodem z Iowa.

Jego klient siedzący naprzeciw niego zamówił jakąś dziwną cielecinę. Nazwa dania brzmiała jak kaszlnięcie. Horace Sawtelle zastanawiał się, czy ten człowiek wiedział, o co prosi. On sam kilkakrotnie przepatrzył menu od góry do dołu z coraz większą rezerwą. Miał złe przeczucia.

Ręcznie napisana po francusku karta dań nie dość, że prawie nieczytelna, to w dodatku była całkiem niezrozumiała. Zdecydował się na coś, co nazywało się stek tatarski. Do licha, czy coś o takiej nazwie mogło być niesmaczne? Nawet Francuzi nie mogą schrzanić steku. Poza tym lubił paluszki rybne z sosem tatarskim.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, abym jeszcze raz przeczytał te dokumenty, zanim je podpiszę? – spytał klient, unosząc w dłoni plik umów.

Sawtelle skinął głową. – Proszę bardzo. – To nieważne, że przez ostatnie dwie godziny przejrzeni całą treść kontraktu kilka razy. Można by pomyśleć, że facet kupował posiadłość w Palm Beach za milion dolarów, a nie części do maszyn warte raptem pięćdziesiąt patoli.

Klient pograżył się w lekturze, a Sawtelle czekał cierpliwie, pogryzając w milczeniu słony paluszek. Siedzieli na przeszklonym tarasie jednej z kafejek przy ulicy. Wszystkie stoliki były zajęte; ci bladzi jak ściana nowojorczyki faktycznie potrzebowali każdej, nawet najmniejszej odrobiny słońca. Trzy kobiety siedziały przy sąsiednim stoliku, wychudzone i czarnowłose, pojadając sałatkę owocową. Po drugiej stronie opasy biznesmen gmerał w talerzu pełnym czegoś śliskiego i żółtego.

Przejechała taksówka przy wtórce zgrzytu zmieniających biegów, mijając, zdawałoby się o kilka cali przeszkloną ścianę, a Sawtelle odruchowo zacisnął dłoń i złamał słony paluszek. Następnie z niesmakiem wytarł dłoń w obrus. Czemu jego klient uparł się na posiłek właśnie tutaj w ten chłodny styczniowy dzień? Spojrzał w górę poprzez szklany sufit na różową markizę z wyszytym na niej białym napisem „La Vielle Ville”. Ponad nim górował szary klif jednego z wielkich nowojorskich apartamentowców, a Sawtelle zlustrował wzrokiem rzędy identycznych okien wznoszących się ku czarnemu jak sadza niebu. To przypominało raczej olbrzymie więzienie. Mogło w nim mieszkać co najmniej tysiąc osób. Jak oni to znosili?

U wejścia do kuchni coś się poruszyło, a Sawtelle z obojętną miną spojrział w tę stronę. Może to jego lunch. Wedle tego, co było napisane w karcie, danie, które wybrał, przygotowywano bezpośrednio przy stoliku. Ciekawe, jak zamierzali to zrobić: może podtoczą przenośny grill i rozpala ogień pod rusztem. Chyba tak, bo właśnie nadchodzili, cała cholerna procesja ludzi ubranych na biało pchających przed sobą coś, co wyglądało jak nieduży srebrzysty wózek.

Szef kuchni z dumą, teatralnym gestem zatrzymał wózek tuż obok łokcia Sawtelle'a. Zaraz potem wyrzucił z siebie parę krótkich poleceń po francusku i kilku kuchcików natychmiast zaczęło uwijać się jak w ukropie, jeden zabrał się do siekania cebuli, a drugi rozbił surowe jajko. Sawtelle rzucił okiem na przenośny stolik. Leżały na nim białe trójkątne tosty, stosik czegoś zielonego, co zapewne było kaparami, oraz przyprawy i pojemniki z różnymi nieznanymi płynami, a także niewielki talerzyk ze świeżo wyciśniętym czosnkiem. Pośrodku spoczywał surowy hamburger wielkości pięści. Nie zapowiadało się, że dostanie stek czy sos tatarski, o jakim marzył.

Z wielką pompą szef kuchni wrzucił hamburgera do metalowej miski, wlał do środka surowe jajko, dodał czosnek i cebulę, po czym zaczął zawzięcie wszystko mieszać. Kilka chwil później wydobył lepka, ociekającą masę i rzucił na blat wózka, następnie ugniatał ją palcami. Sawtelle odwrócił wzrok, a w duchu poprzysiągł sobie, że poprosi, aby hamburger był naprawdę mocno spieczony. Nigdy nie wiadomo, jakie choróbska roznoszą ci nowojorczyki.

I gdzie u licha był ten cholerny grill?

W tej samej chwili do ich stolika od strony klienta podszedł kelner i postawił przed nim talerz. Sawtelle patrzył z niedowierzaniem, gdy podszedł doń drugi kelner i nałożył coś na jego talerz leżący pomiędzy nożem a widelcem.

Opuściwszy wzrok, Sawtelle z niedowierzaniem spostrzegł, że ma przed sobą błyszczący płat surowej wołowiny uformowany w zgrabny mały kopczyk otoczony kawałkami pieczywa testowego, siekanymi jajkami i kaparami.

Sawtelle ponownie uniósł wzrok; nie rozumiał, co się dzieje. Klient siedzący naprzeciw niego pokiwał głową z aprobatą.

Szef kuchni postąpił im promienny uśmiech, stojąc obok, przy stoliku, po czym cofnął się o krok, gdy jego pomocnicy zaczęli odtaczać wózek.

–Przepraszam – rzekł cicho Sawtelle. – Przecież to nie jest usmażone.

Szef kuchni znieruchomiał. – Pourquoi?.

Sawtelle wskazał palcem na swój talerz. – Powiedziałem, że to nie jest usmażone. No wiesz pan, ogień, kuchenka. Flambe.

Szef kuchni pokręcił energicznie głową. – Nie, monsieur. Tego się nie smaży.

–Steku tatarskiego się nie smaży – odezwał się jego klient, przerywając na chwilę lekturę umowy, którą miał podpisać. – Podaje się go na surowo. Nie wiedział pan? – Na jego ustach pojawił się przez chwilę władczy uśmiech, ale zaraz przygasł.

Sawtelle usiadł wygodnie na swoim krześle i wznosił wzrok ku niebu, usiłując zachować zimną krew. Tylko w Nowym Jorku mogą żądać dwadzieścia pięć dolarów za surowego hamburgera.

Nagle zeszywniał. – Wielkie nieba, a to co znowu?

Wysoko nad nim, w powietrzu wisiał mężczyzna: ręce i nogi miał rozłożone szeroko i wymachiwał nimi bezgłośnie. Sawtelle przez chwilę odniósł wrażenie, że mężczyzna unosi się w górze jak za sprawą czarów. Zaraz jednak spostrzegł cienką, napinającą się wolno linkę zadzierzgniętą wokół szyi mężczyzny i ciągnącą się ponad nim. Znikała w oknie powyżej. Szyba była wybita, we framudze zostały tylko ostre, najeżone kawałki szkła. Sawtelle patrzył z rozdziawionymi ustami oszołomiony tym widokiem.

Inni goście restauracji podążyli za jego wzrokiem. Rozległy się stłumione westchnienia i ciche, zduszone okrzyki.

Postać drgnęła i szarpnęła się konwulsyjnie, wyginając się niemal w pół w wyrazie niewyobrażalnego bólu i agonialnego cierpienia.

Sawtelle patrzył na to wszystko jak zahipnotyzowany, czując ogarniające go przerażenie i zgrozę.

Nagle sznur pękł. Mężczyzna, trzepocząc gwałtownie rękami i przebierając nogami, runął wprost na niego.

W tej samej chwili Sawtelle uświadomił sobie, że znów może się ruszać. Wydając z siebie nieartykułowany okrzyk, rzucił się z krzesłem do tyłu. Ułamek sekundy później dał się słyszeć przeraźliwy brzęk tłuczonego szkła i rozmyty, niewyraźny kształt opadł w dół w deszczu lśniących odłamków, by z głuchym łoskotem wylądować na stoliku, przy którym siedziały kobiety. Impet uderzenia rozniósł leżące na blacie sałatki owocowe, rozrzucając je we wszystkie strony, zmienione w pastelowe rozbryzgi czerwieni, żółci i zieleni. Leżąc na wznak na podłodze, Sawtelle poczuł, że coś ciepłego i wilgotnego plasnęło go z całej siły w policzek, a zaraz potem od stóp do głów obsypał go grad odłamków szkła oraz talerzy, filiżanek, widelców, łyżek i kwiatów zrzuconych ze stolika pod wpływem potężnego uderzenia.

Dziwna cisza. A potem zaczął słyszeć, okrzyki bólu, zgrozy i strachu, ale wszystkie wydawały się dziwnie przytłumione i odległe. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jego prawe ucho pełne było jakiejś lepkiej

nieznanej mazi.

Kiedy tak leżał na wznak, uświadomił sobie w pełni, co się przed chwilą wydarzyło. Znów ogarnęło go niedowierzanie i trwoga. Przez minutę, może dwie, był jak sparaliżowany, nie mógł się w ogóle poruszyć. Krzyki i wrzaski stopniowo przybierały na sile.

W końcu iście tytanicznym wysiłkiem woli zmusił odporne kończyny, aby zaczęły go słuchać. Podniósł się na klęczki, po czym wstał chwiejnie.

Inni ludzie także zaczęli dźwigać się z ziemi, całą salę wypełniały stłumione okrzyki i jęki przypominające zawodzenie potępionych dusz. Wszędzie wałało się szkło. Stolik po prawej zmienił się w pogruchotaną stertę jedzenia, posoki, kwiatów, obrusów, serwetek i połamanego drewna. Błat stolika, przy którym siedział Sawtelle, błyszczał od rozsypanych na nim okruchów szkła. Hamburger na surowo za 25 dolarów był jedyną rzeczą, która ocalała z pogromu, i stał, błyszcząc dumnie, świeży i nietknięty, na dużym białym talerzu.

Sawtelle przeniósł wzrok na klienta, który wciąż siedział w bezruchu; jego garnitur był upačkany czymś, czego nie sposób opisać.

Nagle, zgoła mimowolnie Sawtelle poczuł w sobie przyływ siły. Już się nie wahał. Obrócił się na pięcie, odnalazł drzwi, postąpił krok naprzód, potknął się, utrzymał równowagę i zrobił kolejny.

Z tyłu za nim dobiegł głos zdenerwowanego klienta: – Wy... wychodzi pan?

Pytanie było tak absurdatne, tak nie na miejscu, że Sawtelle wybuchnął ochryłym gorzkim śmiechem. – Czy wychodzę? – powtórzył, wycierając ostentacyjnie ucho zatkane kleistą mazią. – Tak, wychodzę. – Poczłapał chwiejnie w stronę drzwi, zanosząc się śmiechem, jego stopy z trudem odnajdywały drogę pośród stert tłuczonego szkła i walających się dokoła szczątków, ale mimo to brnął mozolnie przed siebie, jedyne, czego pragnął, to wynieść się jak najszybciej z tego przeklętego miejsca. Wyszedł na ulicę i skierował się na południe, a jego marszowy krok z wolna przeszedł w trucht; biegł coraz szybciej, potrącając stojących na jego drodze przechodniów.

Od tej pory jego klienci będą musieli przyjeżdżać do Keokuk.

ROZDZIAŁ 9

William Smithback junior wysiadł z taksówki, wrzucił zmięty banknot dwudziestodolarowy przez opuszczoną szybę od strony pasażera, po czym powiódł wzrokiem wzdłuż Broadwayu w kierunku Lincoln Center. Kilka przecznic dalej było widać spory tłum ludzi. Stali przy Columbus i w poprzek Sześćdziesiątej Piątej, powodując istny korek stulecia. Smithback słyszał dźwięki klaksonów i od czasu do czasu rozdierające wycie syren ciężarówek.

Smithback przelawirował przez morze unieruchomionych pojazdów, następnie skręcił na północ i pognął wzdłuż Broadwayu; jego oddech w ten chłodny styczniowy dzień natychmiast zamieniał się w białą mgiełkę. Wyglądało na to, że teraz wszędzie poruszał się biegiem. Po dystyngowanym miarowym kroku czołowego reportera „New York Timesa” nie pozostał nawet ślad. Teraz pędził jak burza, by oddać na czas napisany materiał, gnał po każde nowe zlecenie i niekiedy pisywał nawet dwa artykuły dziennie. Nora Kelly, jego małżonka od dwóch miesięcy, nie była z tego zadowolona. Liczyła na spokojne kolacje, które będą spożywali wspólnie, dzieląc się relacjami z wydarzeń minionego dnia, zanim oddadzą się błogim rozkoszom miłosnych karesów trwających niekiedy do późnej nocy. Okazało się jednak, że Smithback nie ma wiele czasu, by poświęcić go na jedzenie czy błogie lenistwo. To prawda, ostatnio był ciągle w biegu i miał po temu nie lada powód.

Bryce Harriman także nie zasypiał gruszek w popiele i co więcej, deptał Smithbackowi po piętach.

To był jeden z największych wstrząsów w życiu Smithbacka, gdy po powrocie z miodowego miesiąca zastał Bryce'a Harrimana ubranego jak zawsze elegancko, stojącego w drzwiach jego gabinetu, uśmiechającego się filistersko i witającego go w redakcji „naszej gazety”.

W redakcji „naszej gazety”. O Boże.

Wszystko szło po jego myśli. Był wschodząca gwiazdą w „Timesie”, w ciągu paru miesięcy napisał kilka naprawdę błyskotliwych artykułów na pierwszej stronie. Fenton Davies, jego naczelny, zaczął niemalże odruchowo powierzać Smithbackowi najciekawsze, najważniejsze zlecenia. W końcu zdołał przekonać swoją dziewczynę Norę, aby choć na chwilę przestała się uganiać za starymi kośćmi i odkopywać skorupy glinianych garnków i wyszła za niego za mąż. Ich miesiąc miodowy w Angkor Wat był prawdziwym spełnieniem marzeń – zwłaszcza tydzień, który spędzili w zaginionej świątyni Banteay Chhmar, przedzierając się przez dżunglę, walcząc z jadowitymi węzami, malarią i żarłocznymi mrówkami, podczas prac badawczych w rozległych pradawnych ruinach. Przypomniał sobie, że na pokładzie samolotu w drodze powrotnej do Stanów przyszło mu na myśl, iż życie nie może być już lepsze.

I miał rację.

Pomimo pozornej życzliwości Harrimana nie ulegało wątpliwości, że od pierwszego dnia rozpoczął intensywną rywalizację ze Smithbackiem. Nie po raz pierwszy krzyżowali szpady, nigdy jednak pracując w jednej i tej samej redakcji. Jakim cudem udało mu się zyskać ponowny angaż w „Timesie”, podczas gdy Smithback bawił się w najlepsze na drugim końcu świata? Sposób, w jaki Harriman podlizywał się Daviesowi, przynosząc naczelnemu kawę każdego ranka i chłonąc każde jego słowo, jakby tamten był wyrocznią delficką, sprawiał że Smithbackowi zbierało się na mdłości. Ale ta taktyka najwyraźniej przynosiła efekty: nie dalej jak w ubiegłym tygodniu przydzielono mu sprawę Wacka, która teoretycznie powinna przypaść Smithbackowi.

Smithback przyspieszył kroku. Róg Sześćdziesiątej Piątej i Broadwayu – miejsce, gdzie jakiś facet rzekomo runął z okna na taras restauracji, w której ludzie akurat jedli lunch – znajdował się dokładnie na wprost niego. Widział już kamery stacji telewizyjnych, reporterów sprawdzających swoje dyktafony i dźwiękowców podłączających mikrofony. Oto nadarzała się okazja, musiał tylko pójść za ciosem.

Dzięki Bogu konferencja prasowa jeszcze się nie zaczęła.

Pokręcił głową, mamrocząc pod nosem i rozpychając się łokciami, jał przeciskać się przez tłum.

W oddali przed nim widać było przeszklony fronton restauracji La Vielle Ville. Wewnątrz wciąż jeszcze

krzątali się gliniarze: od czasu do czasu błyskał oślepiająco biały flesz policyjnego fotografa. Cały teren wokół odgradzony był pasami żółtej taśmy powiewającej na wietrze jak chorągiewki. Uniósł wzrok ku przeszklonemu dachowi restauracji i wielkiej strzępiastej dziurze, przez którą ciało wpadło do środka, a potem przeniósł go wyżej, na szeroki fronton Lincoln Towers, by po chwili odnaleźć wybite okno, skąd wypadła ofiara. Tam także dostrzegł sylwetki stróżów prawa i jasne błyski aparatów fotograficznych policyjnych techników

Ruszył naprzód, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu świadków.

–Jestem reporterem – rzucił donośnym tonem. – Bill Smithback z „New York Timesa”. Czy ktoś widział, co tu się stało?

Kilka głów odwróciło się ku niemu bez słowa. Smithback otaksował je wzrokiem: matrona z West Side trzymająca na rękach mikroskopijnego szpica, kurier na rowerze, mężczyzna dźwigający na ramieniu wielkie pudło z zamówieniem z chińskiej restauracji oraz pół tuzina innych indywidualów

–Szukam świadka tego zdarzenia. Czy ktoś z państwa widział, co się tu stało?

Cisza. Większość z nich najprawdopodobniej w ogóle nie zna angielskiego, pomyślał.

–Czy ktoś z państwa wie, co tu zaszło?

W tej samej chwili mężczyzna w nausznikach i grubym płaszczu pokiwał energicznie głową. – Mężczyzna – rzekł z silnym hinduskim akcentem. – Wypadł.

To na nic. Smithback wtopił się w tłum. Ujrzał policjanta próbującego opodał zepchnąć gapiów na chodnik i oczyścić ulicę, żeby znów była przejezdna.

–Panie władzo! Hej, panie władzo! – zawołał Smithback, torując sobie łokciami drogę pośród tłumu. – Jestem z „Timesa”. Co tu się stało? – Funkcjonariusz przestał wykrzykiwać krótkie gardłowe rozkazy i spojrzał w jego stronę. A potem wrócił do przerwanej czynności.

–Czy znana jest tożsamość ofiary? Gliniarz kompletnie go zignorował.

Smithback wlepił wzrok w plecy oddalającego się policjanta. Typowe. Reporter mniejszego kalibru mógłby zadowolić się oczekiwaniem na oficjalną konferencję prasową, ale nie on. Dowie się z pierwszej ręki, co się tu stało, i nawet się przy tym nie zmęczy.

Kiedy znów rozejrzał się dokoła, jego wzrok padł na główne wejście do apartamentowca. Budynek był olbrzymi, musiało mieścić się w nim z tysiąc mieszkań, może nawet więcej. Na pewno byli ludzie, którzy znali ofiarę i mogli rzucić odrobinę światła na tę sprawę. Uniósł głowę i zaczął liczyć piętra, aż dotarł wzrokiem do wybitego okna. Dwudzieste trzecie.

Znów zaczął przeciskać się przez tłum, mijając zaopatrzonych w megafony gliniarzy i kierując się w stronę frontowych drzwi budynku. Stało przy nich trzech postawnych policjantów, których wzrost i muskulatura wzbudzały respekt. Jak u licha miał się dostać do środka? Może powinien podać się za jednego z mieszkańców? Nie, ten numer nie przejdzie.

Kiedy przystanął, by zlustrować wzrokiem tłum dziennikarzy na zewnątrz, błyskawicznie odzyskał wewnętrzny spokój. Wszyscy czekali jak potulne owieczki, aż jakiś glina, policyjna gruba ryba, zechce w końcu wyjść i udzielić im niezbędnych informacji. Smithback spojrzał na nich z politowaniem. Nie chciał tego samego materiału, który uzyskają wszyscy inni: papki wciśniętej im przez władze, zawierającej tylko to, czym gliniarze chcieli się z nimi podzielić, co mogli i byli w stanie im przekazać. Smithback pragnął poznać prawdę, całą prawdę o tym, co wydarzyło się w apartamencie na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca Lincoln Towers. Wydostał się z tłumu i ruszył w przeciwnym kierunku. Wszystkie wielkie apartamentowce miały wejścia służbowe.

Przeszedł wzdłuż fasady apartamentowca od strony Broadwayu, aż dotarł do jego końca, gdzie wąska ulica oddzielała budynek od sąsiedniego. Włożył ręce do kieszeni i pogwizdując jakąś wesołą melodyjkę, skręcił w

boczną uliczkę.

Chwilę potem zamilkł. Miał przed sobą wielkie metalowe drzwi z napisem „Wejście służbowe, tylko dla dostawców”. Przy drzwiach stał policjant. Gapił się na Smithbacka i mówił coś do krótkofalówki przypiętej do kołnierza mundurowej bluzy Cholera. No cóż, nie mógł tak po prostu przystanąć i zawrócić – to mogłoby się wydać podejrzane. Minie policjanta jak gdyby nigdy nic, udając, że chciał w ten sposób skrócić sobie drogę.

–Dzień dobry, panie władzo – pozdrowił go, zrównując się z policjantem.

–Dzień dobry, panie Smithback – odparł gliniarz. Smithback poczuł, że zaciskają mu się mięśnie szczęki. Ktokolwiek prowadził dochodzenie w sprawie tego zabójstwa, był prawdziwym zawodowcem i postępował zgodnie z regulaminem. Ale Smithback też nie był w ciemni bity. Jeżeli tylko istniało inne wejście do budynku, znajdzie je. Przeszedł uliczką ciągnącą się na tyłach apartamentowca, aż do załomu budynku, i ponownie ruszył w stronę Sześćdziesiątej Piątej.

Tak. Niecałe trzydzieści jardów przed nim znajdowało się wejście służbowe do La Vielle Ville. Niestrzeżone, nie było przy nim żadnego gliniarza. Jeżeli nie zdoła dostać się na dwudzieste trzecie piętro, to przynajmniej obejrzy miejsce, gdzie spadł ten nieszczęśnik.

Przyspieszył kroku, podniecenie dodało mu skrzydeł. Może gdy już się tam rozejrzy, znajdzie sposób, aby wślizgnąć się do apartamentowca. Musiały istnieć jakieś przejścia, może przez piwnice.

Smithback dotarł do poobijanych metalowych drzwi, uchylił je i zrobił krok naprzód.

Ale zaraz zamarł w bezruchu. W olbrzymiej kuchni na zapleczu kilku policjantów spisywało zeznania kucharzy i kelnerów. Wszyscy powoli odwrócili się, aby na niego spojrzeć. Niepewnie wszedł do pomieszczenia, jakby zmierzał dokądś, w konkretnym celu.

–Żadnej prasy – warknął jeden z gliniarzy.

–Przepraszam – wycedził Smithback, siląc się na wąty uśmiech. – Zabłądziłem.

Bardzo delikatnie zamknął za sobą drzwi i wycofał się przed front budynku, gdzie widok gromady dziennikarzy i reporterów czekających jak stado owiec na rzeź, ponownie wzbudził w nim niewysłowioną odrazę. To nie w jego stylu. Takie zachowanie nie pasowało do Billa Smithbacka z „Timesa”. Rozejrzał się niespokojnie dookoła, poszukując jakiegoś punktu zaczepienia, czegoś, co mogli przeoczyć inni. I w końcu jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem – ujrzał dostawcę pizzy na skuterze rozpaczliwie próbującego przebić się przez tłum gapiów. Był to chudy mężczyzna z cofniętym podbródkiem i kretyńską czapeczką z napisem „Pizzeria Romeo” na głowie, jego oblicze poczerwieniało ze złości, na czole perlił się pot.

Smithback podszedł do mężczyzny i wskazał ręką na pojemnik termiczny przymocowany z tyłu do siedzenia. – Masz tam pizzę?

–Dwie – odparł mężczyzna. – Spójrz na ten bajzel. Jeszcze trochę i będą zimne, a ja stracę napiwek. Poza tym jeżeli nie dostanę się do środka w ciągu dwudziestu minut, nie będą musieli za nie zapłacić.

Smithback nie pozwolił mu skończyć – pięćdziesiąt dolców za dwie pizze i czapeczkę.

Mężczyzna spojrział na niego tępym wzrokiem jak na idiotę. Smithback wyjął banknot pięćdziesięciodolarowy. – Masz. Bierz.

–Ale co z...

–Powiedz, że cię okradli.

Mężczyzna, chcąc, nie chcąc, przyjął pieniądze. Smithback ściągnął mu z głowy czapeczkę, nasadził ją sobie zawiadacko na czoło i wyjął z pojemnika termicznego pudełko z pizzą. Następnie jął przeciskać się przez tłum w kierunku drzwi; pizzę niósł w jednej ręce, drugą zaś pospiesznie ściągnął krawat i wcisnął go do kieszeni.

–Z drogi, dostawa pizzy, proszę zrobić przejście! Przebił się przez ciżbę gapiów i dotarł do niebieskich barierek oplecionych żółtą taśmą policyjną.

–Dostawa pizzy, zamówienie dla techników operacyjnych, dwudzieste trzecie piętro.

Poszło jak z płatka. Gruby glina przy barierce nieznacznie odsunął zaporę i przepuścił Smithbacka.

„A teraz do triumwiratu przy wejściu”.

Pewnym krokiem ruszył przed siebie – przystanął dopiero, gdy trzech gliniarzy odwrócili się i spojrzeli na niego.

–Dostawa pizzy. Zamówienie na dwudzieste trzecie piętro. Zwarli szereg, by zastąpić mu drogę.

–Ja zaniósę je na górę – rzekł jeden z policjantów.

–Przykro mi. To wbrew przepisom. Muszę dostarczyć pizzę do rąk własnych klienta.

–Nie możemy nikogo wpuścić.

–No tak, ale to zamówienie dla policyjnych techników śledczych. A jeżeli któryś z was zawiezie je na górę, to kto mi za nie zapłaci? Policjanci, wyraźnie zbici z tropu, wymienili niepewne spojrzenia. Jeden z nich wzruszył ramionami. Smithback poczuł przypływ nowej nadziei. Uda się. Już prawie był w środku.

–No, panowie, pizze stygną – Smithback, zrobił krok naprzód.

–Ile?

–Jak już mówiłem, muszę je dostarczyć do rąk własnych klienta. To jak, wpuście mnie? – Postąpił jeszcze jeden krok naprzód i omal nie zderzył się z wielkim kałdunem pierwszego z policjantów.

–Nie możemy nikogo wpuścić.

–Tak, ale to przecież tylko...

–Daj mi te pizze.

–Jak już mówiłem...

Gliniarz wyciągnął rękę. – Powiedziałem, daj mi te cholerne pizze.

W tej samej chwili Smithback zdał sobie sprawę, że został pokonany. Posłusznie podał pudełka policjantom.

–Ile? – zapytał gliniarz.

–Dziesięć dolarów.

Policjant dał mu banknot dziesięciodolarowy i ani centa napiwku. – Dla kogo mają być?

–Już mówiłem, dla techników śledczych.

–Ten twój klient, jak on się nazywa? Na górze jest chyba z tuzin policyjnych techników.

–Ach, tak... chyba ma na nazwisko Miller.

Glina chrząknął i zniknął w holu z pizzami, podczas gdy dwóch jego kolegów zostało przy wejściu, czujnie strzegąc dostępu do apartamentowca. Ten, który wzruszył ramionami, odwrócił się do Smithbacka. – Posłuchaj stary, czy mógłbyś przywieźć mi dużą pizzę na grubym cieście z pepperoni, czosnkiem, cebulą i dużą ilością sera?

–Chrzań się – warknął Smithback, po czym odwrócił się i pomaszerował w kierunku policyjnych barier. Gdy

przeciskał się wśród tłumu reporterów, usłyszał zduszony chichot; ktoś rzucił drwiąco: – Przynajmniej próbowałeś, Bill. A ktoś inny, naśladując piskliwy kobiecy głos, zawołał: – Billy, kochanie, w tej czapeczce wyglądasz po prostu bosko! Smithback ze złością ściągnął z głowy czapczkę i cisnął ją precz. A więc tym razem jego dziennikarski geniusz poniósł porażkę. Zaczął mieć złe przeczucia co do całej tej sprawy. Ledwie się zaczęła, a już coś w niej wyraźnie śmierdziało. Pomimo styczniowego chłodu Smithback nieomal poczuł na karku gorący oddech Harrimana.

Odwrócił się i z ciężkim sercem zajął miejsce w tłumie, by zaczekać na rozpoczęcie oficjalnej konferencji prasowej.

ROZDZIAŁ 10

Porucznik Vincent D'Agosta skonany tak, że ledwie trzymał się na nogach, pchnięciem otworzył drzwi do pubu McFeeleya. Była to typowa przytulna irlandzka knajpka, jakich w Nowym Jorku wiele, a D'Agosta potrzebował teraz odrobiny pociechy i relaksu. Pub był ciemny, długi i wąski, z drewnianym wysokim lakierowanym kontuarem, po jednej stronie i stolikami po drugiej. Na ścianach wisiały stare trofea myśliwskie, nierozpoznawalne z uwagi na pokrywającą je grubą warstwę kurzu. Za barem, przed wielkim lustrem, stały rzędy butelek. Przy drzwiach umieszczono starą szafę grającą, a na liście na zielono zakreślono ulubione irlandzkie kawałki. W pubie można było zamówić beczkowego guinnessa, harpa i bassa. Powietrze przesycone było wonią smażeniny i rozlanego piwa. Brakowało jedynie dymu tytoniowego, ale za tym akurat D'Agosta ani trochę nie tęsknił; zarzucił palenie cygar wiele lat temu, kiedy odszedł z policji, by poświęcić się karierze pisarskiej.

W pubie nie było dużo ludzi, co jak najbardziej odpowiadało D'Agostie. Wybrał dla siebie stółek i przystawił go do kontuaru.

Barman imieniem Patrick zauważył go i podszedł. – Hej, poruczniku – powiedział, stając za barem, naprzeciw niego. – Jak leci?

–Jako tako.

–To co zwykle?

–Nie. Paddy, ciemne z pianką poproszę. I cheeseburgera, krwistego.

Chwilę potem pojawiła się przed nim szklaneczka z piwem, a D'Agosta z zamyśleniem zanurzył górną wargę w grubej warstwie brązowej pianki. Prawie nie pozwalał już sobie na tego rodzaju przyjemności – w ciągu ostatnich kilku miesięcy stracił dwadzieścia funtów i nie zamierzał ich odzyskać, ale dziś wieczorem potrzebował zrobić wyjątek. Laura Hayward wróci do domu dość późno; pracowała nad sprawą zagadkowego powieszenia, które miało miejsce w porze lunchu na Upper West Side.

Zmarnował cały ranek na poszukiwanie tropów – lecz bez rezultatu. W archiwum miejskim nie znalazł niczego, co dotyczyłoby Ravenscry, rezydencji babki Cornellii w hrabstwie Dutchess. Próbował wypytywać wśród nowoorleańskiej policji o spaloną przed laty rezydencję Pendergastów, z podobnym skutkiem. W obu przypadkach nie natknął się na choćby najkrótszą wzmiankę o Diogenesie Pendergastie. Zadzwoił do londyńskiego banku, gdzie zgodnie z zapiskami Pendergasta Diogenes przed laty polecił, by przesłano mu pieniądze. Konto było zamknięte od dwudziestu lat, bank nie dysponował żadnymi informacjami o jego właścicielu. Podobny rezultat przyniosły rozmowy z kierownictwem banków w Zurychu i Heidelbergu. Skontaktował się także z rodziną w Anglii chłopaka, których krótko dzielił z Diogenesem pokój w Sandringham, lecz dowiedział się tylko, że syn popełnił samobójstwo dzień po tym, jak uwolniono go z kaftana bezpieczeństwa.

Następnie zadzwonił do kancelarii prawnej pośredniczącej między Diogenesem a jego rodziną. Tym razem napotkał niemal jawny mur milczenia, odsyłano go od Annasza do Kajfasza, od jednej sekretarki do drugiej i bez przerwy musiał powtarzać kolejnym osobom, o co mu chodzi. W końcu usłyszał głos jakiegoś prawnika, który nie przedstawił się z nazwiska, lecz poinformował D'Agostę, że Diogenes Pendergast nie jest już klientem ich firmy, a klauzula poufności zabrania udzielać komukolwiek informacji na temat ich wcześniejszej współpracy, poza tym wszelkie akta zostały zniszczone wiele lat temu na wyraźne życzenie rzeczonoego klienta.

Pięć godzin i co najmniej trzydzieści rozmów telefonicznych później D'Agosta wciąż znajdował się w punkcie wyjścia.

Postanowił skoncentrować się teraz na zebranych przez Pendergasta wycinkach prasowych dotyczących różnych dziwacznych zbrodni. Zastanawiał się, czy nie skontaktować się z funkcjonariuszami prowadzącymi poszczególne śledztwa, ale ostatecznie z tego zrezygnował. Bez wątplenia Pendergast pomyślał o tym wcześniej. Gdyby zyskał dzięki temu jakieś naprawdę istotne informacje, na pewno umieściłby je w swoich aktach. Tak czy owak D'Agosta wciąż nie miał pojęcia, co było dla Pendergasta ważnego w tych wycinkach,

ładź, co ładź pochodziły z gazet i czasopism z różnych krajów rozrzuconych po całym świecie, a wspomniane zbrodnie, choć zagadkowe i osobliwe, z pozoru nie były ze sobą w żaden sposób powiązane.

Minęła już druga. D'Agosta wiedział, że jego szefa, komendanta nie będzie w gabinecie; popołudnia nieodmiennie spędzał w terenie, angażując się osobiście w co bardziej istotne śledztwa. Nic więc dziwnego, że D'Agosta opuścił rezydencję przy Riverside Drive 891 i wrócił na posterunek, gdzie zasiadł za biurkiem, włączył komputer i wprowadził osobiste hasło. Przez resztę popołudnia buszował kolejno we wszystkich policyjnych i rządowych bazach danych, począwszy od policji nowojorskiej, poprzez stanową, federalną, WICAPS, Interpol, a nawet archiwa wydziału ubezpieczeń społecznych. Nic. Pomimo trawiącej ten kraj choroby zwanej powszechnie biurokacją, obecnej na wszystkich szczeblach drabiny urzędowej i rządowej, Diogenes jakoś sobie radził i przemykał przez ten labirynt jak duch, nie pozostawiając żadnych śladów. Mogło się wydawać, że ten facet naprawdę nie żyje.

W końcu poddał się i poszedł do pubu McFeeleya.

Podano mu zamówionego cheeseburgera i zaczął jeść, choć tak naprawdę prawie nie czuł jego smaku. Prowadził śledztwo od niespełna czterdziestu ośmiu godzin i już znalazł się w martwym punkcie. Dokumentacja Pendergasta, mimo iż rozległa, zdawała się nieskuteczna w konfrontacji z duchem.

Zjadł kilka kęsów cheeseburgera, dopił piwo, położył garść drobniaków na kontuarze, skinął głową do Patricka i wyszedł. „Wydobądź tyle informacji, ile się da, od pani kapitan Laury Hayward, ale dla jej dobra ogranicz jej zaangażowanie w tę sprawę do minimum”. Prawdę mówiąc, D'Agosta od czasu ich wizyty u babki Cornellii prawie nie rozmawiał o prowadzonym przez siebie śledztwie. Poniekąd tak właśnie było najlepiej. Pokrętne to, ale prawdziwe.

Dlaczego?

Włożył ręce do kieszeni i pochylił głowę, gdyż zerwał się chłodny styczniowy wiatr. Czy milczał dlatego, że był pewien, iż usłyszałby od niej jedynie garść wyświechtanych komunałów? „Vinnie, to czyste szaleństwo. W tym liście nie było nic oprócz daty. To jakieś nie do końca uzasadnione groźby sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat. Nie mogę uwierzyć, że marnujesz swój cenny czas”.

I może – ale tylko może – bał się, że zdołałaby go przekonać, iż to faktycznie zakrawa na szaleństwo.

Wolnym krokiem doszedł do skrzyżowania Siedemdziesiątej Siódmej i Pierwszej Alei. Na rogu wznosił się szpetny biały ceglany budynek, w którym mieszkał wspólnie z Laurą Hayward. Dygocząc jak osika, spojrzał na zegarek. Ósma. Laura na pewno jeszcze nie wróciła. Przygotuje dla niej kolację, wstawi to, co zostało z lasagne napoletana do mikrofalówki. Był zaintrygowany tym nowym zabójstwem, nad którym pracowała, chciał dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Wszystko, aby tylko nie myśleć o fiasku jego obecnego dochodzenia.

Odźwierny bez większego entuzjazmu otworzył przed nim drzwi, ale zrobił to jakby od niechcenia. D'Agosta minął go i wszedł do wąskiego holu, po czym sięgnął do kieszeni po klucze. W oddali przed nim drzwi jednej z wind rozsunęły się, zapraszając do środka. D'Agosta wszedł do kabiny i nacisnął guzik piętnastego piętra.

W chwili, gdy drzwi windy zaczęły się zamykać, w szparze pomiędzy nimi pojawiła się urękawiczona dłoń, zmuszając, by znów się rozsunęły. To ten nieznośny, opryskliwy odźwierny Mężczyzna wszedł do środka, po czym odwrócił się w stronę drzwi i skrzyżował ręce na piersiach, ostentacyjnie ignorując D'Agostę. We wnętrzu kabiny rozszedł się nieprzyjemny zapach niedomytego ciała. D'Agosta spojrzał na mężczyznę z irytacją. Facet miał śniadą cerę, puciołowatą twarz, brązowe oczy i sporą nadwagę. To dziwne: nie nacisnął żadnego z przycisków z numerem piętra. D'Agosta odwrócił wzrok i z niewzruszoną obojętnością wlepił spojrzenie w podłogę. Kabina zaczęła się wznosić. Piąte piętro, szóste, siódme...

Odźwierny wyciągnął rękę i wdusił przycisk z napisem „stop”.

Winda zatrzymała się gwałtownie.

D'Agosta spojrzał na mężczyznę. – Co jest, o co panu chodzi? – Odźwierny nawet na niego nie popatrzył. Miast tego wyjął z kieszeni klucz uniwersalny, włożył go do otworu w panelu kontrolnym, po czym przekręcił i

wyjął. Winda drgnęła i zaczęła osuwać się w dół.

„Laura miała rację, to straszny mruk i gbur”. – Nie mam pojęcia, co pan kombinuje, ale mógł pan z tym poczekać, aż wysiądę na moim piętrze. – D'Agosta znowu nacisnął przycisk z cyfrą piętnaście.

Winda nie zareagowała. Wciąż zjeżdżała w dół, minęła właśnie hol i opadała w kierunku piwnicy.

W okamgnieniu rozdrażnienie D'Agosty przerodziło się w zaniepokojenie. Odezwał się w nim instynkt policjanta. W jego myślach znów zabrzmiały słowa ostrzeżenia zostawionego dlań przez Pendergasta: Diogenes jest wyjątkowo niebezpieczny. Postaraj się nie zwracać na siebie jego uwagi wcześniej, niż to będzie konieczne. Prawie bez namysłu sięgnął za pazuchę i wy dobył z kabury służbowy pistolet.

Jednak w tej samej chwili odźwierny odwrócił się ku niemu, a potem zdumiewająco szybko, prawie niedostrzegalnym ruchem pchnął go na ścianę kabiny, unieruchamiając jego ręce za plecami w przenikliwie silnym uścisku. D'Agosta próbował się szamotać, lecz tamten unieruchomił go na dobre. Nie miał szans mu się wyrwać. Otworzył usta, aby wezwać pomoc, ale tamten musiał być chyba telepatą, bo jego silna dłoń w miękkiej rękawiczce natychmiast zdławiła jego krzyk. D'Agosta znowu szarpał się z nim przez chwilę; nie mógł uwierzyć, jak szybko i skutecznie został rozbrojony i obezwładniony.

I wtedy odźwierny zrobił coś dziwnego. Wychylił się nieznacznie do przodu, niemal dotykając ustami ucha D'Agosty. A potem prawie niedosłyszalnym szeptem rzucił: – Mam nadzieję, że zechcesz mi to wybaczyć Vinnie...

ROZDZIAŁ 11

Kapitan Laura Hayward przeszła przez pokój i spojrzała za okno, ostrożnie, aby nie otrzeć się o stół, który pod nim przystawiono. Przez strzaskane okno, daleko w dole, widziała, że na Broadwayu wreszcie zapanował spokój. Wydała swoim ludziom rozkazy, by nie dopuszczali nikogo na miejsce przestępstwa, i jej podkomendni spisali się na medal: rannych pospiesznie przewieziono karetką do szpitala, a gapie w końcu się znudzili, zmarzli i rozeszli. Dziennikarze byli o wiele bardziej wytrzymali i nieustępliwi, lecz także oni zadowolili się suchym oświadczeniem, jakie wygłosiła do nich późnym popołudniem. Niełatwo było zapanować nad bałaganem na miejscu zbrodni, zwłaszcza że składał się na nie elegancki apartament i restauracja poniżej, ale osobiście koordynowała poczynania wszystkich zespołów śledczych i choć trochę to trwało, prace ekspertów zostały wreszcie zakończone. Specjaliści od daktyloskopii, fotograficy i analitycy już poszli. Została jedynie dziewczyna pilnująca zebranych materiałów dowodowych, ale i ona wróci wkrótce na posterunek.

Laura Hayward czerpała ogromną satysfakcję z dobrze przeprowadzonego śledztwa, szczególnie gdy w grę wchodziło zabójstwo. Gwałtowną śmierć zawsze cechuje chaos i strach. Kiedy jednak dokona się szczegółowej analizy miejsca zbrodni, jak przetoczą się przez nie kolejne fale techników i ekspertów dochodzeniowych, laborantów i specjalistów od kryminalistyki, wespół z koronerem, chaos i zgroza ustępują porządkowi – wszelkie materiały dowodowe zostaną opisane, oznaczone i posegregowane. Zupełnie jakby samo dochodzenie mogło, do pewnego stopnia, ma się rozumieć, przywrócić naturalny porządek zakłócony przez popełnioną zbrodnię.

Mimo to, kiedy przyglądała się temu miejscu, Hayward wcale nie odczuwała satysfakcji. Ogarniał ją bliżej niewyjaśniony niepokój.

Wzdrygnęła się, chuchnęła w dłonie i zapięła kurtkę pod szyją. Przez to wybite okno i wyraźny zakaz dotykania czegokolwiek (nawet pokręta od grzejnika) w pokoju było tylko o kilka stopni cieplej niż na zewnątrz. Przez chwilę pragnęła, aby był przy niej D'Agosta. Nieważne, opowie mu o tej sprawie, kiedy tylko wróci do domu. Wiedziała, że to go zainteresuje, a w dodatku często zaskakiwał ją trafnymi, nader praktycznymi uwagami. Może dzięki temu przestanie zaprzętać sobie głowę tą niezdrową obsesją na punkcie brata Pendergasta. Kiedy uporał się jakoś ze śmiercią Pendergasta i przeszedł nad tym faktem do porządku dziennego, kiedy przestało mu doskwierać poczucie winy i wyrzuty sumienia, został wezwany przez tego cholernego szofera...

–Pani kapitan? – rzucił sierżant, zaglądając do pokoju. – Komendant Singleton.

–Proszę go wprowadzić. – Singleton był komendantem miejscowego posterunku; Hayward spodziewała się, że przyjdzie. Był typem staroświeckiego policjanta, który czuł, że jego miejsce jest przy podwładnych, gdzie prowadzone jest śledztwo, w terenie lub na miejscu zbrodni. Hayward miała już wcześniej okazję zetknąć się z Singletonem i uznała go za jednego z najlepszych komendantów w mieście, zwłaszcza gdy w grę wchodziła współpraca z wydziałem zabójstw – był skłonny do pomocy, oporny, jeżeli chodziło o policyjnych ekspertów, ale okazywał się użyteczny na każdym etapie dochodzenia.

I oto właśnie pojawił się w drzwiach, elegancki, w płaszczu z wielbłądziej wełny i jak zawsze z nieskazitelnie ułożonymi, starannie przystrzyżonymi włosami. Przystanął, powiódł niespokojnie wzrokiem z boku na bok, rozglądając się po pokoju. W końcu uśmiechnął się, postąpił naprzód i wyciągnął do niej rękę. – Lauro.

–Glen. Miło cię widzieć. – Uścisk dłoni był krótki, konkretny. Zastanawiała się, czy Singleton wiedział o niej i D'Agoście, ale zaraz przekonała samą siebie, że to raczej wątpliwe, oboje zachowywali się nader dyskretnie i robili, co mogli, aby o ich związku nie dowiedzieli się najwięksi z policyjnych plotkarzy.

Singleton wykonał zamaszysty ruch ręką. – Doskonała robota, jak zawsze zresztą. Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że postanowiłem tu do ciebie zajrzeć?

–Bynajmniej. Właśnie skończyliśmy.

–I jak leci?

–Świetnie. – Zawahała się. Nie miała powodu, aby zatajać to przed Singletonem: w przeciwieństwie do większości grubych ryb Singleton nie miał w zwyczaju wbijać noża w plecy potencjalnym rywalom, którzy mogli go ubiec w wyścigu o awans, nie groziło mu także zdominowanie przez wydział zabójstw. Był komendantem w stopniu kapitana i wiedziała, że może polegać na jego dyskrecji.

–Szczerze mówiąc, nie jestem pewna – dodała nieco ciszej. Singleton spojrzął na funkcjonariuszkę pilną materiałami dowodowymi, która stała po drugiej stronie pokoju i zapisywała coś w notatniku. – Chcesz o tym porozmawiać?

–Zamek w drzwiach wejściowych został bardzo wprawnie sforsowany. To nieduże mieszkanie, w sumie dwie sypialnie, w tym jedna przerobiona na pracownię malarską. Sprawca zakradł się niepostrzeżenie i najprawdopodobniej ukrył się tutaj... – Wskazała na ciemny kąt przy drzwiach. – Zaskoczył ofiarę, gdy mężczyzna wszedł do pokoju, i zapewne uderzył go w głowę czymś ciężkim. Niestety wskutek upadku ciało było tak zmasakrowane, że raczej trudno będzie określić, czego sprawca użył do ogłuszenia swojej ofiary – Wskazała na przeciwległą ścianę, gdzie struga krwi zachlapała obraz przedstawiający staw w Central Parku.

–Spójrz na ten rozbryzg.

Singleton przyjrzał się krwawemu śladowi. – Dość mały, krople rozprysły się ze średnią prędkością. Użyto tępego narzędzia?

–Tak przypuszczamy. Zdaje się o tym świadczyć wielkość i kształt rozbryzgów posoki. Wysokość, na jakiej krew zachlapała ścianę, pozwala przyjąć, że ofierze zadano jeden cios lub więcej w głowę. Sądząc po dalszych śladach – zauważ pojedyncze krople na dywanie – ofiara zatoczyła się, przeszła kilka kroków, a potem upadła w miejscu, gdzie na dywanie widnieje rozległa czerwona kałuża. Ilość krwi także sugeruje obrażenia głowy Wiesz, jak one obficie krwawią.

–Zakładam, że nie odnaleziono broni, której użył sprawca?

–Nie. Cokolwiek to było, napastnik musiał to zabrać ze sobą. Singleton powoli pokręcił głową. – Mów dalej.

Wygląda na to, że napastnik zaciągnął później ogłuszoną ofiarę na sofę, gdzie – i to jest właśnie najdziwniejsze – opatrzył ranę na głowie.

–Opatrzył?

–Przyłożył opatrunki z gazy, wyjęte z apteczki w łazience. Znaleźliśmy przy sofie kilka pustych opakowań, a w koszu na śmieci parę zakrwawionych kawałków gazy.

–A co z odciskami palców?

–Eksperci od daktyloskopii zebrali ponad pięćdziesiąt, z różnych miejsc w mieszkaniu. Pobrali także próbki krwi ofiary, niejakiego Duchampa. Wszystkie odciski należą do Duchampa, jego pomocnika lub bliskich znajomych. Innych nie było ani na apteczce, ani na klamce u drzwi, ani nawet na pakietkach z gazą.

–Morderca nosił rękawiczki.

–Chirurgiczne, bardzo cienkie i lateksowe, sądząc po śladach szczątkowych. Laboratorium powinno to potwierdzić najdalej jutro. – Hayward wskazała dłonią na sofę. – Następnie ofiara została związana, skrępowano jej ręce za plecami kilkunastoma nader wymyślnymi węzłami. Tego samego grubego sznura użyto do splecenia katowskiej pętli. Poleciłam ekspertom zdjąć sznury z ciała i zapakować do foliowej torby na materiały dowodowe. Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie widziałam podobnych węzłów. – Wskazała głową na kilka dużych plastikowych worków, które leżały, ofiskowane i zabezpieczone na niebieskiej skrzynce na materiały dowodowe.

–Sznury też wyglądają dziwnie.

–To jedyne, co zostawił po sobie zabójca. To oraz kilka włókien z ubrania. – I to jedyne, czym faktycznie dysponujemy w całej tej sprawie, pomyślała Hayward. Sznury miały niemal tyle samo specyficznych cech co

odciski palców: rodzaj splotu, liczbę skrętów na cal, ilość włókien i ich cechy charakterystyczne. To oraz konkretny rodzaj i styl węzłów mogły powiedzieć bardzo dużo.

–Zanim Duchamp znów doszedł do siebie, był już najprawdopodobniej skrępowany. Morderca przystawił ten długi stół pod okno. A potem jakoś, nie wiadomo jak, zmusił Duchampa, aby wszedł na blat i jak w starych filmach o piratach przespacerował się po desce. A raczej powinnam powiedzieć – przebiegł po desce. Ten człowiek dosłownie wyskoczył przez okno i zawisł na sznurze.

Singleton zmarszczył brwi. – Jesteś pewna?

–Spójrz na blat tego stołu. – Hayward pokazała mu krwawe ślady stóp na drewnie; każdy z nich został starannie opisany i oznakowany.

–Duchamp, podchodząc do stołu, przeszedł przez kałużę własnej krwi. Widzisz pierwsze ślady, to miejsce, w którym stanął na stole. A teraz przyjrzyj się pozostałym. W miarę jak zbliża się do okna, odległość między śladami rośnie. Spójrz na ten ostatni ślad, pod samym oknem, odbity jest na nim tylko czubek buta. Te ślady wyraźnie świadczą, że nasz samobójca próbował się rozpędzić.

Singleton przez blisko minutę wpatrywał się w blat stołu. A potem przeniósł wzrok na Hayward. – Jesteś pewna, że nie zostały sfalszowane? Czy twoim zdaniem zabójca nie mógł, dajmy na to, zdjąć Duchampowi butów, odcisnąć te wszystkie ślady, a potem znowu mu je założyć?

–Też się nad tym zastanawiałam. Jednak nasi eksperci twierdzą, że to byłoby niemożliwe. Takich odcisków nie da się spreparować. Poza tym pozostałości szkła we framudze okna wskazują, iż musiało ono zostać wybite przez kogoś, kto przez nie wyskoczył, a nie, dajmy na to, został wypchnięty lub wyrzucony.

–Niech to szlag – wycedził Singleton. Wybite okno wyglądało jak najeżone strzępiastymi odłamkami oko typiące w bezkresną nowojorską noc. – Wyobraź sobie Duchampa stojącego tam z rękami skrępowanymi za plecami i z pętlą zadziergniętą na szyi. Co ktoś musiał mu powiedzieć, aby nakłonić tego nieszczęśnika do wyskoczenia przez okno z dwudziestego trzeciego piętra?

Znowu się odwrócił. – Chyba że zrobił to z własnej woli. Może mamy do czynienia z pomocnictwem przy samobójstwie? Bądź, co bądź nigdzie nie dostrzeżono żadnych śladów walki, prawda?

–Nie. Ale jak do tego wszystkiego pasuje sprawca włamujący się do mieszkania? Noszący rękawiczki? Ogłuszający Duchampa przed skrępowaniem mu rąk? Ślady na blacie stołu wskazują, że ofiara nie wahała się, nie próbowała wycofywać, co niekiedy zdarza się podczas prób samobójczych. Poza tym przesłuchaliśmy wstępnie kilkoro sąsiadów, przyjaciół i klientów Duchampa. Wszyscy uważają, że był to najmiłszy, najdelikatniejszy człowiek, jakiego znali. Zawsze życzliwy, wiecznie uśmiechnięty. Jego lekarz powiedział nam to samo. Nie cierpiał na żadne zaburzenia psychiczne. Nie miał depresji. Samotny, ale nic nie wskazuje, aby mógł narzekać. Sporo zarabiał ze sprzedaży swoich obrazów. – Hayward wzruszyła ramionami. – Nie było żadnych powodów, które mogły skłonić go do samobójstwa.

–Czy ktoś z sąsiadów widział to zdarzenie?

–Nie. Pobraliśmy taśmy wideo od ochrony budynku. Właśnie je przeglądamy

Singleton wydał wargi i skinął głową. A potem z rękoma złożonymi na plecach wolno przespacerował się po całym pokoju, przypatrując się z uwagą śladom proszku zostawionego przez ekspertów od daktyloskopii, znaczników postawionych przez techników i torbom z materiałami dowodowymi. W końcu przystanął obok niebieskiej skrzynki. Hayward podeszła do niego i wspólnie obejrzelni długi sznur w przezroczystej plastikowej torbie. Wyglądał dość niezwykle; nie był szorstki, raczej gładki, i miał dziwny kolor: ciemnofioletowy przechodzący w czarny jak oberżyna. Ten katowski stryczek składał się z przepisowych trzynastu pętli, ale były to najdziwniejsze pętle, jakie Hayward miała okazję oglądać: grube i skomplikowane jak masa jelit. W drugim, mniejszym worku spoczywał sznur, którym skrępowane były przeguby Duchampa. Hayward poleciła technikom, aby przecięli sam sznur, a nie węzeł, który wydawał się równie egzotyczny i poskręcany jak katowska pętla.

–Spójrz na nie – powiedział Singleton i zagwizdał – wielkie, toporne, kretyńskie węzły.

–Nie jestem pewna – odparła Hayward. – Poproszę specjalistę od wiązań, aby przepuścił je przez bazę danych węzłów Federalnego Biura Śledczego. Zawahała się. – Jest w tym coś niezwykłego. Lina, na której zawisa ofiara, została częściowo przecięta ostrym nożem, a może brzytwą, w połowie długości.

–Chcesz powiedzieć... – Singleton nie dokończył.

–Zgadza się. Sznur miał pęknąć i tak się stało.

Jeszcze przez chwilę wpatrywali się w zwoje dziwnej liny skrzące się słabo w opalizującym świetle.

Z tyłu za nimi strażniczka materiałów dowodowych chrząknęła dyskretnie. – Przepraszam, pani kapitan – powiedziała. – Czy mogę już zabrać to wszystko?

–Jasne. – Hayward cofnęła się, a funkcjonariuszka włożyła obie plastikowe torby do niebieskiej skrzynki, zamknęła ją i zabezpieczyła, po czym potoczyła zaopatrzoną w kółka skrzynkę w stronę drzwi frontowych.

Singleton odprowadził ją wzrokiem. – Czy coś zginęło? Cenne przedmioty, pieniądze, obrazy?

–Nic. Kompletnie. Duchamp miał w portfelu prawie trzysta dolarów, a na komódce kilka sztuk naprawdę cennej starej biżuterii, że nie wspomnę o jego obrazach znajdujących się w pracowni. Niczego nie zabrano.

Singleton przeniósł wzrok na nią. – A ta niepewność, o której wspominałaś?

Odwróciła się ku niemu. – Nie potrafię tego sprecyzować. Całe to miejsce wbrew pozorom wydaje się zbyt czyste i sterylne, jakby wszystko zostało starannie zaaranżowane. Z całą pewnością mamy tu do czynienia z pieczołowicie, po mistrzowsku wręcz dokonaną zbrodnią. A jednak to wszystko jakoś nie trzyma się kupy. Po co ktoś miałby ogłuszać ofiarę, a następnie opatrywać ranę? Po co miałby ją wiązać, zakładać jej pętlę na szyję i zmuszać, aby wyskoczyła przez okno, a wcześniej celowo nadcinać linę, aby po krótkiej szamotaninie runęła w dół? Co sprawca mógł powiedzieć Duchampowi, że skłonił go do samobójczego skoku? A przede wszystkim: po co w ogóle zadał sobie tyle trudu, by zabić Bogu ducha winnego malarza pejzażystę, który nie skrzywdziłby muchy? Mam przeczucie, że ta zbrodnia kryje w sobie o wiele bardziej złożony subtelniejszy motyw, o którym jak dotąd nie mamy niestety pojęcia. Kazałam już naszym ekspertom opracować portret psychologiczny zabójcy. Pozostaje mieć nadzieję, że dowiemy się, co nim powoduje. Bo jeżeli nie uda się nam odkryć motywu tej zbrodni, jak u licha możemy się spodziewać, że dopadniemy zabójcę?

ROZDZIAŁ 12

Na krótką chwilę D'Agosta zeszywniał zszokowany i dezorientowany. Głos był znajomy i obcy zarazem. Instynktownie próbował znów coś powiedzieć, ale dłoń przyobleczona w rękawiczkę jeszcze mocniej zatkała mu usta.

–Ciiii.

Drzwi windy rozsunęły się z cichym dźwiękiem. Wciąż unieruchamiając D'Agostę i wykręcając mu ręce do tyłu, mężczyzna wyjrzał ostrożnie na piwniczny korytarz i rozejrzał się na prawo i lewo. Następnie wypchnął D'Agostę na obskurny korytarz, po czym poprowadził go przez labirynt wąskich przejść o wysoko sklepionych ścianach z żółtych żużlowych płyt. W końcu zmusił D'Agostę, aby zatrzymał się przed szpetnymi, poobijanymi, metalowymi drzwiami bez tabliczki i pomalowanymi na ten sam kolor co ściany. Znajdowali się w pobliżu kotłowni, słychać było wyraźnie ryk znajdujących się opodal pieców. Mężczyzna znów rozejrzał się dokoła, po czym przystanął, by rzucić okiem na niewielką pajęczynę rozpiętą z jednej strony framugi drzwi. Dopiero wtedy wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i pospiesznie wepchnąwszy D'Agostę do środka, zamknął je i przekręcił klucz w zamku.

–Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, Vincencie. D'Agosta nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

–Naprawdę z całego serca przepraszam za moje brutalne zachowanie – rzekł mężczyzna, przemierzając pokój kilkoma szybkimi krokami, a następnie zerkając na jedyne okno znajdujące się w tym piwnicznym pomieszczeniu. – Tu możemy rozmawiać swobodnie.

D'Agostę wciąż zdumiewał rozdźwięk pomiędzy głosem tego mężczyzny, charakterystycznym melodyjnym tonem przesyconym ciepłym silnym akcentem z Południa, a jego wyglądem: miał przed sobą człowieka, którego nie znał, w poplamionym uniformie odźwiernego, krępego, śniadego, o brązowych włosach, orzechowych oczach i okrągłej, puciołowatej twarzy. Nawet jego chód i postawa wydawały się D'Agostie obce.

–Pendergast? – spytał D'Agosta, kiedy w końcu zdołał wydobyć z siebie głos.

Mężczyzna skinął głową. – We własnej osobie, Vincencie.

–Pendergast! – I zanim się zorientował, co robi, D'Agosta zamknął agenta FBI w serdecznym niedźwiedzim uścisku. Pendergast znieruchomiał na kilka sekund. A potem, delikatnie, lecz stanowczo uwolnił się z jego objęć i cofnął o krok. – Vincencie, nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że znów cię widzę. Brakowało mi ciebie.

D'Agosta ujął i uściśnął jego dłoń, zakłopotanie mieszało się na jego twarzy z zaskoczeniem, ulgą i radością.
– Myślałem, że nie żyjesz. Jak...?

–Po pierwsze, muszę cię przeprosić za tę małą maskaradę. Zamierzałem pozostać martwy jeszcze przez dłuższy czas. Jednak okoliczności zmusiły mnie do zmiany planów. A teraz, jeżeli nie masz nic przeciw temu... – Zrzucił z siebie długi płaszcz, który jak zauważył D'Agosta, był zmyślnie powypychany w ramionach i w pasie, po czym powiesił go na drzwiach.

–Co się z tobą stało? – spytał D'Agosta. – Jak stamtąd uciekłeś? Wywróciłem Castel Fosco do góry nogami, próbując cię odnaleźć. Gdzie się podziewałeś, u licha? – Kiedy zaczął mijać pierwszy szok, w jego umyśle pojawiło się nagle tysiące dylematów.

Pendergast uśmiechnął się słabo zasypywany kolejnymi pytaniami. – Obiecuję, że dowiesz się wszystkiego. Najpierw jednak się rozgość, zaraz wracam. – To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i znikł w sąsiednim pomieszczeniu.

Dopiero teraz D'Agosta miał możliwość rozejrzeć się dokoła. Znajdował się w niewielkim obskurnym mieszkaniu, jak przypuszczał, w dużym pokoju. Pod jedną ścianą stała stara wyświechtana sofa, a po jej obu stronach fotele z zaplamionymi czymś podłokietnikami. Na tanim kawowym stoliku leżał stosik „Techniki dla

Każdego"; pisma nie były nowe. Pod drugą ścianą ustawiono biurko do komputera, na blacie stał powerbook firmy Apple, jedyna rzecz niepasująca do tego pomieszczenia. Na brudnych ścianach wisiały reprodukcje prac Hummela przedstawiające dzieci o wielkich wybałuszonych oczach. Na półce leżały książki sprzed lat, same broszurowe wydania popularnych powieści i starych bestsellerów D'Agosta zdziwił się, widząc wśród nich swoją ulubioną lekturę Na granicy lodu III. Powrót na przylądek Horn. Tę również czytano dobrych parę razy. Za otwartymi drzwiami pokoju znajdowała się mała, lecz schludna kuchnia. To miejsce ani trochę nie mogło równać się z Dakotą czy rezydencją Pendergasta przy Riverside Drive.

Rozległ się cichy szmer, a D'Agosta odwrócił się gwałtownie, by stwierdzić, że w drzwiach stał Pendergast – prawdziwy Pendergast: wysoki, szczupły, z błyszczącymi srebrzystymi oczami. Włosy wciąż miał brązowe, cerę śniadą, ale jego oblicze znów było pociągłe o ostrych, orlich rysach, które D'Agosta znał tak dobrze.

Pendergast znów się uśmiechnął, jakby czytał w myślach D'Agosty. – Specjalne wkładki – powiedział. – To zdumiewające, że wypchawszy nimi policzki, można tak skutecznie zmienić wygląd. Teraz je wyjąłem, gdyż uważam je za dość niewygodne. Podobnie jak szkła kontaktowe.

–Jestem pod wrażeniem. Wiedziałem, że jesteś mistrzem kamuflażu, ale to bije wszystko na głowę... Nawet ten pokój... – D'Agosta wskazał ręką na półkę z książkami.

Pendergast wyglądał na zasmuconego. – Niestety, nawet tutaj nic nie może wyglądać podejrzanie. Muszę grać rolę odźwiernego i pod każdym względem uprawdopodobnić postać, w którą się wcieliłem.

–W dodatku to wyjątkowo paskudny typ.

–Doszedłem do wniosku, że osoba o niemiłym charakterze zazwyczaj nie zachęca, by zwracano na nią uwagę. Kiedy ludzie zakodują sobie, że jestem opryskliwym odźwiernym, gburem i mrukiem jakich mało, przestają zwracać na mnie uwagę. Czy mogę zaproponować ci coś do picia?

–Budweisera?

Pendergast wzdrygnął się mimowolnie. – Mój kamuflaż ma pewne granice. Może pernoda albo campari?

–Nie, dziękuję. – D'Agosta uśmiechnął się.

–Zakładam, że otrzymałeś mój list.

–Zgadza się. I od tej pory prowadzę tę sprawę.

–Jakieś postępy?

–Nie bardzo. Odwiedziłem twoją stryjeczną babkę. Ale to akurat może trochę poczekać. Teraz, drogi przyjacielu, najwyższy czas, abyś to ty wyjaśnił mi to i owo.

–Oczywiście. – Pendergast wskazał mu ręką fotel i sam zasiadł naprzeciw niego. – Jak zapewne pamiętasz, rozstaliśmy się w pośpiechu na zboczu góry w Toskanii.

–Delikatnie powiedziane. Nigdy nie zapomnę tego, jak widziałem cię po raz ostatni otoczonego przez sforę psów do polowania na dziki, a każdy z nich tylko czekał na okazję, aby rozszarpać cię na strzępy.

Pendergast wolno pokiwał głową, wydawał się błądzić gdzieś myślami. – Zostałem schwytany, uspiiony prochami i przeniesiony z powrotem do zamku. Nasz korpulentny przyjaciel kazał zanieść mnie daleko, w głąb starych tuneli ciągnących się pod zamczyskiem. Tam przykuł mnie łańcuchami do ściany wewnątrz grobowca, którego poprzedniego właściciela, a raczej jego szczątki, przezornie wcześniej usunął. I bez większych ceregieli zamurował mnie w tejże właśnie krypcie.

–Boże drogi! – D'Agosta wzdrygnął się. – Następnego ranka sprowadziłem włoską policję i próbowałem cię odnaleźć, ale bez powodzenia. Fosco usunął wszelkie ślady naszego pobytu w zamku. Włosi uznali mnie za wariata.

–Później dowiedziałem się o dziwnej śmierci hrabiego. To twoja robota?

–Jasne.

Pendergast pokiwał głową z aprobatą. – A co ze skrzypcami?

–Nie mogłem zostawić ich w zamku, toteż wziąłem je ze sobą i... – Przerwał, nie wiedząc, jak może zareagować Pendergast, kiedy dowie się prawdy.

Pendergast uniósł brwi w pytającym geście.

–Przekazałem je Violi Maskelene. Powiedziałem jej, że zginąłeś.

–Rozumiem. Jak zareagowała na tę wiadomość?

–Była bardzo zdenerwowana, to wyraźnie nią wstrząsnęło. Próbowала to ukrywać. Myślę... – D'Agosta zawałał się. – Myślę, że jej na tobie zależy.

Pendergast milczał, jego oblicze było niewzruszone jak maska. D'Agosta i Pendergast po raz pierwszy spotkali Violę Maskelene w październiku ubiegłego roku, prowadząc śledztwo we Włoszech. Dla D'Agosty było oczywiste, że między nimi dwojgiem, Pendergastem i młodą Angielką, od pierwszego wejrzenia coś zaiskrzyło. Mógł się jedynie domyślać, co chodziło teraz Pendergastowi po głowie.

Nagle Pendergast otrząsnął się z chwilowej zadumy – Postąpiłeś właściwie i odtąd możemy uważać sprawę skrzypiec o nazwie „Burzowa Chmura” za definitywnie zakończoną.

–Ejże, ejże – wtrącił D'Agosta. – Wróćmy do tematu. Jak udało ci się uciec z zamku? Jak długo byłeś zamurowany w tej krypcie?

–Spędziłem w grobowcu zakuty w łańcuchy blisko czterdzieści osiem godzin.

–W ciemnościach?

Pendergast skinął głową. – Dodam tylko, że powoli się dusiłem. Pomogła mi w znacznym stopniu pewna wysoce wyspecjalizowana odmiana medytacji.

–A potem?

–Zostałem uratowany

–Przez kogo?

–Przez mojego brata.

Dla D'Agosty który wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po wstrząsie, jakim było graniczące z cudem „zmartwychwstanie” Pendergasta, te słowa okazały się jeszcze większym szokiem.

–Przez twojego brata? Diogenesa?

–Tak.

–Sądziłem, że on cię nienawidzi.

–Tak, a ponieważ mnie nienawidzi, jestem mu potrzebny.

–Po co?

–Przez ostatnie pół roku Diogenes skrzętnie kontrolował moje poczynania, przygotowując się do popełnienia przestępstwa, które sobie zaplanował. Z żalem przyznaję, że nie miałem pojęcia, iż jestem inwigilowany. Zawsze wydawało mi się, że stanowią dla niego najpoważniejszą przeszkodę do osiągnięcia ostatecznego sukcesu, i spodziewałem się, że któregoś dnia spróbuje mnie zabić. Ale myliłem się – i muszę przyznać, że popełniłem kardynalny błąd. Było dokładnie na odwrót. Kiedy Diogenes dowiedział się, że grozi

mi śmiertelne niebezpieczeństwo, natychmiast pospieszył mi z pomocą. Dostał się do zamku w przebraniu miejscowego wieśniaka – jest jeszcze lepszym specjalistą od kamuflażu niż ja – i uwolnił mnie z krypty

D'Agostie coś przyszło nagle do głowy. – Chwileczkę. On ma oczy w różnych kolorach, zgadza się?

Pendergast znów skinął głową. – Jedno brązowe, drugie mlecznoniebieskie.

–Widziałem go. Wtedy na wzgórzu, nad Castel Fosco. Tuż po tym jak się rozdzieliliśmy Stał w cieniu skalnego występu, obserwując przebieg wydarzeń z niezmaconym spokojem, jakby oglądał pierwszą gonitwę w Aqueduct.

–To był on. Kiedy uwolnił mnie z grobowca, przewiózł mnie do prywatnej kliniki na przedmieściach Pizy, gdzie doszedłem do siebie po długotrwałym odwodnieniu i wylizałem z ran, jakie zadały mi psy hrabiego Fosco.

–Nadal tego nie pojmuję. Skoro cię nienawidzi i faktycznie zaplanował popełnienie tak zwanego przestępstwa doskonałego, to czemu po prostu nie zostawił cię w tej krypcie?

Pendergast znów się uśmiechnął, ale tym razem w geście tym nie było ani odrobiny ciepła.

–Nie zapominaj, Vincencie, że mamy tu do czynienia z przestępcą o wyjątkowo pokrętnym, choć błyskotliwym umyśle. Muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, co tak naprawdę zamierza. Nie pojmowałem jego planów.

W tej samej chwili Pendergast wstał i poszedł do kuchni. Zaraz potem D'Agosta usłyszał brzęk lodu o szkło. Kiedy wrócił, agent trzymał w jednym ręku butelkę lilleta, a w drugim szklaneczkę.

–Na pewno nie dasz się namówić na choćby ociupinkę?

–Nie. Mów mi zaraz, co konkretnie miałeś na myśli! Pendergast nalał sobie lilleta na dwa palce. – Gdybym zginał, zniweczyłbym Diogenesowi cały jego misterny plan. Bo widzisz, Vincencie, to właśnie ja jestem głównym celem przestępstwa, które od tak dawna obmyślał.

–Ty? Masz być jego ofiarą? Czemu więc...?

–Nie to, że będę jego ofiarą. Już nią jestem.

–Co takiego?

–Zbrodnia już została dokonana. Ściślej rzecz biorąc, popełniono ją całkiem niedawno.

–Chyba nie mówisz poważnie.

–Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. – Pendergast jednym haustem opróżnił szklaneczkę i napełnił ją ponownie. – Podczas mojej rekonwalescencji w prywatnej klinice pod Pizą Diogenes zniknął. Kiedy tylko odzyskałem siły, incognito wróciłem do Nowego Jorku. Wiedziałem, że jego plan jest bliski realizacji, a Nowy Jork wydał mi się najlepszym miejscem, w którym mogłem spróbować pokrzyżować mu szyki. Nigdy nie wątpiłem, że wspomniane przestępstwo zostanie popełnione właśnie tutaj. To miasto gwarantuje niemal całkowitą anonimowość, daje spore szanse na znalezienie dogodnego schronienia, a dzięki nowej tożsamości miałem możliwość rozgryźć szczegóły przestępstwa zaplanowanego przez Diogenesa. Wiedząc, że mój brat monitorował od jakiegoś czasu wszystkie moje poczynania, postanowiłem pozostać martwy, aby móc swobodnie działać dalej. To oznaczało, że wy wszyscy mieliście uważać mnie za martwego. Nawet Constance. – Na twarzy Pendergasta przez moment pojawił się grymas bólu. – Nie masz pojęcia, jak bardzo tego żałuję. A jednak to było dla mnie najlepsze rozwiązanie. Nie miałem wyboru.

–I dlatego zostałeś odźwiernym.

–W ten sposób mogłem mieć na oku ciebie, a poprzez ciebie inne ważne dla mnie osoby Ukrywając się w cieniu, mam większe szanse na dopadnięcie Diogenesa. Nie ujawniłbym się przedwcześnie, gdyby nie zmusiły mnie do tego pewne dramatyczne wydarzenia.

–To znaczy?

–Powieszenie Charlesa Duchampa.

–To dziwaczne morderstwo przy Lincoln Center?

–Zgadza się. To oraz jeszcze jedno zabójstwo popełnione przed trzema dniami w Nowym Orleanie. Torrance Hamilton, emerytowany profesor. Otruło go na oczach tłumu studentów w auli podczas wykładu, który prowadził.

–Jaki jest związek między tymi dwoma zabójstwami?

–Hamilton był jednym z moich wykładowców w liceum, to on nauczył mnie francuskiego, włoskiego oraz dialektu mandaryń-skiego. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Duchamp zaś był moim najserdeczniejszym i jedynym przyjacielem z dzieciństwa. To jedyna osoba z czasów mojej młodości, z którą pozostawałem w stałym kontakcie. Obaj zostali zamordowani przez Diogenesa.

–To chyba może być zwyczajny zbieg okoliczności?

–Niemożliwe. Hamilton został otruty za pomocą rzadkiej toksyny porażającej układ nerwowy, którą wiano mu do szklanki z wodą. To syntetyczna toksyna zbliżona nieco do tej, którą wytwarza pewien gatunek pająka z Goa. Przodek mojego ojca zmarł od ukąszeń takiego właśnie pająka, kiedy pełnił funkcję niższego rangą urzędnika państwowego w Indiach za rządów imperium brytyjskiego. – Pendergast upił kolejny tyk. – Duchampa powieszono, ale sznur pękł i nieszczęśnik runął z wysokości dwudziestego trzeciego piętra w dół i roztrzaskał się na śmierć. Mój stryjeczny przodek zginął dokładnie w ten sam sposób. Powieszono go w 1871 w Nowym Orleanie za zabójstwo żony i jej kochanki. Ponieważ szubienica została uszkodzona podczas wcześniejszych zamieszek, powieszono go, wyrzucając z pętłą na szyi z okna najwyższego piętra w gmachu sądu. Maurice jednak tak mocno się szamotał, że sznur, i tak mocno już poprzecierany, pękł, a mój pradziadek zabił się, spadając na chodnik poniżej.

D'Agosta patrzył ze zgrozą na przyjaciela.

Te zgony i sposób, w jaki zastały zainscenizowane, miały w mniemaniu Diogenesa zwrócić moją uwagę. Może teraz zrozumiesz, Vincencie, dlaczego Diogenes chce, abym pozostał przy życiu.

–Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

–Właśnie tak. Zawsze sądziłem, że planowane przez niego przestępstwo będzie skierowane przeciwko całej ludzkości. Teraz wiem jednak, że to ja jestem jego celem. Tak zwane przestępstwo doskonale zaplanowane przez mojego brata polega na usunięciu wszystkich bliskich mi osób. To prawdziwy powód, dla którego uwolnił mnie z Castel Fosco. Nie chce mojej śmierci. Pragnie, bym żył, aby mógł zniszczyć mnie w znacznie bardziej wyrafinowany sposób, pozostawiając mnie pogrążonego w smutku i rozpacz, zadręczającego się wyrzutami sumienia i świadomością, że nie byłem w stanie ocalić tych kilku osób na świecie... – Pendergast przerwał, wziął głęboki oddech, aby się uspokoić. – Tych kilku osób na świecie, na których mi naprawdę zależy.

D'Agosta przełknął ślinę. – Nie mogę uwierzyć, że ten potwór jest z tobą spokrewniony.

–Teraz, kiedy znam prawdziwą naturę szykowanej przez niego zbrodni, zostałem zmuszony do porzucenia moich dotychczasowych planów i opracowania nowego. Daleko mu, co prawda, do ideału, ale w obecnych okolicznościach to najlepsze, na co mnie stać.

–Opowiedz mi o tym.

–Musimy zapobiec kolejnemu zabójstwu, które zamierza popełnić Diogenes. To oznacza, że musimy go odnaleźć. I tutaj właśnie potrzebuję twojej pomocy, Vincencie. Musisz wykorzystać swoje atuty jako funkcjonariusz policji, aby dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o zebranych na miejscu zbrodni materiałach dowodowych.

Podał D'Agostę telefon komórkowy. – Weź ten aparat. Będę dzwonić na ten numer, utrzymywać z tobą stały kontakt. Ponieważ czas nas nagli, będziemy musieli zacząć od Charlesa Duchampa, tu w Nowym Jorku. Zgarnij tyle materiałów dowodowych, ile zdołasz, i przynieś je do mnie. Liczę nawet na najmniejszy drobiazg. Dowiedz się, ile tylko ci się uda, od Laury Hayward, ale nie mów jej, czym się zajmujesz. Nawet Diogenes nie jest w stanie pozostawić miejsca zbrodni całkiem sterylnego.

–Zrobi się. – D'Agosta przerwał na chwilę. – Ale o co właściwie chodzi z tą datą w liście, 28 stycznia?

–Nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie tego dnia mój brat zamierza dopełnić swego zbrodniczego dzieła. Ważne jest jednak, abyś miał w pamięci, że to przestępstwo już się rozpoczęło. Ono wciąż się dokonuje. Dziś mamy dwudziestego drugiego. Mój brat planował swoje wielkie plugawe dzieło od wielu lat, może nawet dziesięcioleci. Przygotowania zostały dawno zakończone. Wszystkie niezbędne elementy są już na swoim miejscu. Dreszcze mnie przechodzą na samą myśl o tym, kogo może zabić za sześć dni.

To rzekłszy, Pendergast wyprostował się w fotelu i spojrzał na D'Agostę; jego oczy rozbłysły w półmroku panującym w niewielkim pomieszczeniu. – Jeśli nie powstrzymamy Diogenesa, wszystkie bliskie mi osoby, włącznie z tobą, Vincencie, mogą umrzeć.

ROZDZIAŁ 13

Smithback zajął swoje stałe miejsce w najciemniejszym kącie Piszczeli, tandetnej knajpki na tyłach muzeum, gdzie po godzinach uwielbiali przesiadywać pracownicy tej szacownej placówki, którym, jak się wydawało, nigdy nie znudził się widok starych kości. Oficjalnie miejsce to nosiło nazwę Taverna Blarney Stone; tę drugą, potoczną, zawdzięczało właścicielowi, który z zapalem godnym lepszej sprawy poprzybijął kości różnych rozmiarów i kształtów na ścianach i suficie.

Smithback spojrzął na zegarek. To chyba jakiś cud, zjawił się dziesięć minut przed czasem. Może Nora też zjawi się wcześniej i będą mieli kilka dodatkowych minut na rozmowę. Wydawało mu się, jakby nie widział swojej żony od stuleci. Obiecała, że spotka się z nim tutaj, aby zjeść hamburgera i wypić piwko, a potem miała wrócić do muzeum. Czekano ją sporo pracy w związku z przygotowywaną wystawą. On zaś miał jeszcze napisać artykuł i dostarczyć go do redakcji przed terminem, który mijał dokładnie o drugiej w nocy. Pokręcił głową. Co za życie: byli zaledwie dwa miesiące po ślubie i od dwóch tygodni się nie kochali. Ale bardziej niż seksu brakowało mu towarzystwa Nory Rozmowy Przyjaźni. Prawdę mówiąc, Nora była najlepszą przyjaciółką Smithbacka, a on teraz potrzebował właśnie obecności najlepszej przyjaciółki.

Zabójstwo Duchampa utknęło w martwym punkcie – nie miał nic prócz tego samego szajsu co dziennikarze z konkurencyjnych gazet. Gliny położyły szlaban na informacje, a jego źródła nie miały kompletnie nic. Był wielkim Billem Smithbackiem z „Timesa”, lecz kilka jego ostatnich artykułów zawierało jedynie suche informacje z konferencji prasowych. Niemal czuł na sobie cień Bryce'a Harrimana, który ze swymi niezaspokojonymi ambicjami pragnął wydrzeć mu tę sprawę, oddając w zamian zlecenie na Wacka, którym zajmował się do czasu, gdy wybuchła afera z Duchampem.

–Co ma znaczyć ta ponura mina?

Smithback uniósł wzrok i zobaczył Norę. Norę o włosach koloru spżu opadających na ramiona, z piegopatym noskiem zmarszczonym przez uśmiech i zielonymi oczyma, pełnymi wewnętrznego blasku.

–Czy to miejsce jest zajęte? – spytała.

–Żartujesz? Rany boskie, kobieto, jesteś jak balsam na moją udręczoną duszę.

Postawiła torebkę na podłodze i usiadła. Po chwili zjawił się ponury kelner o wyglądzie przedsiębiorcy pogrzebowego i stanął w milczeniu obok ich stolika, oczekując na przyjęcie zamówienia.

–Bitki z tłuczonymi ziemniakami, frytki i mleko – rzuciła Nora.

–Nic mocniejszego? – zapytał Smithback.

–Wracam do pracy

–Ja też, a mimo to nie zamierzam się powstrzymywać. Poproszę szklaneczkę pięćdziesięcioletniego glena granta, a do tego stek i cynaderki.

Kelner bez słowa skinął głową i oddalił się. Smithback ujął ją za rękę. – Brakowało mi ciebie, Noro.

–I wzajemnie. Prowadzimy naprawdę szalone życie.

–Co my w ogóle robimy, tu, w Nowym Jorku? Powinniśmy wrócić do Angkor Wat i spędzić resztę życia w jakiejś buddyjskiej świątyni w sercu dżungli.

–I złożyć śluby czystości?

Smithback machnął ręką. – Śluby czystości? Bylibyśmy raczej jak Tristan i Izolda w naszej własnej kryształowej jaskini, kochalibyśmy się od rana do nocy.

Nora zaczerwieniła się. – Powrót do rzeczywistości po miesiącu miodowym był chyba dla nas obojga sporym szokiem.

–Tak, zwłaszcza kiedy zobaczyłem tego pajaca Harrimana kołyszącego się w drzwiach mojego gabinetu.

–Bill, wydaje mi się, że twoja obsesja na punkcie Harrimana graniczy z paranoją. Nie zwracaj na niego uwagi i rób swoje. Świat jest pełen takich ludzi jak on. Powinieneś zobaczyć, z kim ja muszę się użerać w muzeum. Niektórych osobników należałoby oznakować i wystawić w przeszklonych gablotach na widok publiczny.

Kilka minut później przyniesiono im zamówione dania oraz drinka Smithbackowi. Uniósł szklaneczkę w dłoń i brzęknął nią w trzymaną przez Norę, z mlekiem. – Slainte.

–Na zdrowie.

Smithback upił łyk. Trzydzieści sześć dolarów za szklanekę, ale ten trunek był wart każdego centa. Patrzył, jak Nora zabrała się do pałaszowania posiłku. Ta kobieta naprawdę miała apetyt – nie dla niej warzywne sałatki, o nie. Przypomniał sobie pewne zdarzenie, które utwierdziło jego opinię na jej temat, a które miało miejsce w ruinach Banteay Chhmar, i poczuł rozkoszne mrowienie w łydźwiach.

–A jak tam sprawy w muzeum? – zapytał. – Pogoniłeś to tałajstwo do roboty? Bądź co bądź, wystawa już niedługo.

–Jestem tylko młodszym kustoszem, czyli mam do powiedzenia tyle co nic.

–Ojej.

–Otwarcie już za sześć dni, a jedna czwarta artefaktów wciąż nie znalazła się w gablotach. To istny cyrk. Mam zaledwie jeden dzień na sporządzenie opisów do trzydziestu eksponatów, a potem muszę przygotować i zaaranżować fragment wystawy dotyczący obrzędów pogrzebowych Indian Anasazi. A dziś dowiedziałam się, że kierownictwo chciałoby, żebym poprowadziła wykład na temat prehistorii południowego zachodu, ma to być jeden z całego cyklu prelekcji. Dasz wiarę? Trzyście tysięcy lat prehistorii południowego zachodu w dziewięćdziesięciu minutach, i to ze slajdami. Przełknęła kolejny kęs.

–Zbyt wiele od ciebie żądają, Noro.

–Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Święte wizerunki to największa wystawa w tym muzeum od dobrych paru lat. Geniusze z zarządu postanowili zmodyfikować system zabezpieczeń muzeum. Pamiętasz, co się stało z systemem bezpieczeństwa podczas ostatniej wielkiej wystawy? Wiesz, o co mi chodzi? O Przesady.

–O Boże! Nie przypominaj mi.

–Nie chcą, aby coś takiego się powtórzyło. Tyle tylko że za każdym razem, kiedy usprawniają zabezpieczenia kolejnych sal, muszą zamknąć całą tę cholerną placówkę. Nie można się wówczas poruszać po muzeum, nigdy nie wiadomo, które sale zostaną odcięte. Jedyńm plusem w tym całym bałaganie jest to, że za sześć dni będzie już po wszystkim.

–Tak, a wtedy wybierzemy się na kolejny, cudowny urlop.

–Albo wylądujemy u czubków.

–Zawsze zostanie nam jeszcze Angkor Wat – dorzucił z emfazą Smithback.

Nora zaśmiała się i ścisnęła go za rękę – A tobie jak idzie ze sprawą Duchampa?

–Jak po grudzie. Śledztwo z ramienia wydziału zabójstw prowadzi kobieta, niejaka Hayward, pani kapitan, okropna piła. Nie jestem w stanie nic dla siebie uszczknąć.

–Przykro mi Bill.

–Nora Kelly?

Głos był delikatny, dziwnie znajomy. Smithback uniósł wzrok, aby ujrzeć kobietę podchodzącą do ich

stolika, niską, poważną, z brązowymi włosami i w okularach. Ze zdumienia aż go zamurowało, ona także stanęła jak wryta. Patrzyli na siebie nawzajem w milczeniu.

I nagle się uśmiechnęła. – Bill?

Smithback wyszczerzył się do niej. – Margo Green! Sądziłem, że mieszkasz w Bostonie i pracujesz dla tego koncernu... Jak mu tam?

–GeneDyne. Pracowałam tam, ale okazało się, że robota w wielkiej firmie to nie dla mnie. Dobre zarobki, przyznaję, ale zero osobistej satysfakcji. Dlatego wróciłam do muzeum.

–Nie wiedziałem.

–Zaczęłam zaledwie sześć tygodni temu. A co u ciebie?

–Napisałem kolejnych kilka książek, o czym zapewne wiesz. Obecnie pracuję w „Timesie”. Kilka tygodni temu wróciłem z miesiąca miodowego.

–Moje gratulacje. To chyba oznacza, że nie będziesz już nazywał mnie Kwiatem Lotosu. Zakładam, że to twoja szczęśliwa wybranka?

–Zgadza się. Noro, poznaj moją dawną przyjaciółkę, Margo Green. Nora także pracuje w muzeum.

–Wiem. – Margo odwróciła się. – Prawdę mówiąc, Bill, nie obraź się, ale szukałam właśnie jej, a nie ciebie. – Wyciągnęła rękę. – Może pani nie pamięta, doktor Kelly, ale jestem nową naczelną czasopisma „Muzeologia”. Spotkałyśmy się na ostatnim zebraniu rady wydziału.

Nora uścisnęła jej dłoń. – Oczywiście. Czytałam o pani w książce Billa Relikt. Co słyhać?

–Czy mogę usiąść?

–Prawdę mówiąc, chcieliśmy... – Nora nie dokończyła, bo Margo właśnie usadowiła się przy ich stoliku.

–Zajmę pani tylko chwilę.

Smithback patrzył na nią. Margo Green. Miał wrażenie, jakby znał ją w innym życiu, minęło tyle lat. Nie zmieniła się wiele, może tylko teraz wydawała się bardziej rozluźniona i pewna siebie. Wciąż szczupła i wysportowana. Nosiła drogi, doskonale skrojony kostium, jakże odmienny od workowatych koszuli od L.L. Beana i lewisów, które uwielbiała jako absolwentka studiów. Spojrzył na swój garnitur od Hugo Bossa. Oboje trochę dorośli.

–To nie do wiary – powiedział. – Dwie bohaterki moich książek po raz pierwszy razem.

Margo przechyliła głowę w pytającym geście. – Och, doprawdy? Jak to?

–Nora była bohaterką innej mojej książki, Nadciągającej burzy.

–Och. Wybacz. Tej akurat nie czytałam.

Smithback wciąż się uśmiechał. – Jak to jest znów być w muzeum?

–Sporo się tam zmieniło od naszego pierwszego spotkania. Smithback poczuł na sobie wzrok Nory. Zastanawiał się, czy wzięła Margo za jego byłą dziewczynę i sądziła, że pominął w swoich pamiętnikach pewne, co bardziej bolesne wspomnienia.

–Mam wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się wieki temu – ciągnęła Margo.

–Bo to było całe wieki temu.

–Nieraz zastanawiam się, co się stało z Lavinia Rickman i doktorem Cuthbertem.

–Nie wątpię, że dla tej dwójki mają w piekle zarezerwowany specjalny, oddzielny krąg.

Margo zachichotała. – A co z tym gliną D'Agostą? I agentem Pendergastem?

–Nie wiem, co z D'Agostą – odparł Smithback. – Ale w dziale zagranicznym „Timesa” krążą pogłoski, jakoby kilka miesięcy temu Pendergast zaginął w tajemniczych okolicznościach we Włoszech. Prowadził tam jakieś śledztwo i już nie powrócił.

Na twarzy Margo pojawił się wyraz głębokiej konsternacji. – Naprawdę? Jakże to dziwne.

Przy stoliku zapanowała cisza.

–Ale, ale – odezwała się po chwili Margo, odwracając się od Nory – chciałam poprosić panią o pomoc.

–Jasne – odrzekła. – O co konkretnie chodzi?

–Zamierzam wydrukować artykuł o konieczności natychmiastowego i bezwarunkowego zwrotu masek z Wielkiej Kivy Indianom z plemienia Tano. – Słyszała pani o ich żądaniach?

–Tak, czytałam nawet artykuł. Jego kopia krąży po całym wydziale.

–Rzecz jasna spotkałam się z otwartym sprzeciwem ze strony kierownictwa muzeum, a zwłaszcza dyrektora Collopy'ego. Zaczęłam się kontaktować z pracownikami wydziału antropologii, aby podjąć próbę utworzenia wspólnego frontu. Niezależność „Muzeologii” musi zostać zachowana, a te maski powinny wrócić do ich pierwotnych właścicieli. W tej kwestii musimy jako wydział trzymać się razem.

–Czego właściwie pani po mnie oczekuje? – spytała Nora.

–Nie zamierzam wystosowywać petycji ani niczego równie konkretnego. Proszę o nieformalne wsparcie ze strony członków wydziału, o ile dojdzie do ostatecznej konfrontacji. To wszystko.

Smithback uśmiechnął się. – Jasne, nie ma sprawy, na Norę zawsze można liczyć...

–Chwileczkę – rzuciła Nora.

Smithback zamilkł zdumiony ostrością i tonem jej głosu.

–Margo mówi do mnie – rzuciła oschle Nora.

–Zgadza się – Smithback pospiesznie przygładził niesforny kosmyk włosów nad czołem i ponownie zajął się swoim drinkiem.

Nora odwróciła się do Margo z dość chłodnym uśmiechem na ustach.

–Przykro mi, ale nie mogę pani, niestety pomóc. Smithback zdziwiony przeniósł wzrok z Nory na Margo.

–Czy mogę spytać, dlaczego? – zapytała ze spokojem Margo.

–Ponieważ się z panią nie zgadzam.

–Ale to przecież oczywiste, że maski z Wielkiej Kivy należą do Indian Tano...

Nora uniosła prawą dłoń do góry. – Margo, znam dokładnie całą tę sprawę i zapoznałam się z twoimi argumentami. W pewnym sensie masz rację. Te maski należą do Indian Tano i nie powinny zostać im odebrane. Teraz jednak należą do nas wszystkich, stały się częścią wielkiej spuścizny całej ludzkości. Co więcej, wycofanie tych masek z wystawy Święte wizerunki miałoby katastrofalne skutki. Jestem jednym z kustoszów nadzorujących jej przygotowania. Poza tym jestem archeologiem zajmującym się terytoriami południowo-zachodnimi. Jeżeli zaczniemy zwracać wszystkie relikwie znajdujące się w zbiorach muzeum, już wkrótce zostaniemy z niczym. Dla rdzennych Amerykanów wszystko jest świętością, i to chyba najwspanialsze w całej ich przebogatej kulturze. – Przerwała. – Zrozum, co się stało, to się nie odstanie, świat

jest, jaki jest, nie da się naprawić całego zła. Przykro mi, że nie potrafię ci udzielić zadowolającej odpowiedzi, ale tak to już jest. Muszę być w porządku wobec siebie samej.

–A co z wolnością wypowiedzi? Z wolnością prasy?

–Pod tym względem zgadzam się z tobą w stu procentach. Wydrukuj swój artykuł. Nie prosź mnie jednak o poparcie. Nie poprę twoich żądań. I nie prosź o to innych pracowników wydziału. Weź pod uwagę, że to tylko twoja, subiektywna opinia. Nie próbuj narzucać jej innym.

Margo spojrzała najpierw na Norę, a potem na Smithbacka. Smithback wyszczerzył się nerwowo i upił kolejny łyk drinka. Margo wstała. – Dzięki za szczerość.

–Nie ma za co.

Odwróciła się do Smithbacka. – Miło było znów cię zobaczyć, Bill.

–Jasne – wymamrotał.

Odprowadził Margo wzrokiem. I nagle zdał sobie sprawę, że Nora bacznie mu się przygląda.

–Kwiat Lotosu? – wycedziła z przekąsem.

–To tylko taki mały żarcik.

–Twoja była dziewczyna?

–Ależ skąd – zachnął się.

–Na pewno?

–Nigdy nawet się nie całowaliśmy

–Miło mi to słyszeć. Nie cierpię tej kobiety – Odwróciła się, by spojrzeć na oddalającą się Margo. A potem znowu przeniosła wzrok na męża. – I pomyśleć, że nie czytała Nadciągającej burzy. Bądź co bądź, ta książka jest o wiele lepsza od większości twoich wcześniejszych powieści. Przykro mi, Bill, ale jeżeli chodzi o ten twój Relikt... Cóż, powiedzmy, że od tamtej pory znacznie poprawiłeś warsztat: dojrzałeś jako pisarz.

–Ejże, a co niby jest nie tak z Reliktem?.

Sięgnęła po widelec i dokończyła posiłek w absolutnym milczeniu.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy D'Agosta przybył do omleciarni, Hayward siedziała już przy ich stałym stoliku pod oknem. Nie widział się z nią od dwudziestu czterech godzin; spędziła całą noc w swoim biurze. Przystanął w drzwiach restauracji i spojrzał na nią. Poranne słońce przydawało jej lśniąca czarnym włosom niemal granatowego odcienia, a blada skóra stała się biała jak marmur. Robiła skrzętnie notatki na kieszonkowym pececie, przygryzając dolną wargę, a jej czoło przecięła pojedyncza zmarszczka świadcząca o głębokim skupieniu. Sam jej widok sprawił, że jego serce zabiło żywszym rytmem. To, co do niej czuł, było tak silne, że aż sprawiało mu ból.

– Nie wiedział, czy jest w stanie to zrobić.

Uniosła gwałtownie wzrok, jakby wyczuła na sobie jego spojrzenie. Wyraz skupienia prysnął, a jej piękne oblicze rozpromienił szeroki uśmiech.

– Vinnie – rzuciła, gdy się zbliżył. – Przykro mi, że nie skosztowałam twojej lasagne po neapolitańsku.

Pocałował ją, a potem usiadł naprzeciw niej. – Nic nie szkodzi. To przecież tylko lasagne. Martwiłem się, że się przepracowujesz.

– Taka robota.

W tej samej chwili zjawiała się chuda kelnerka, położyła przed Hayward bielutki jak mąka omlet, po czym zaczęła dolewać jej kawy.

– Proszę zostawić dzbanek – powiedziała Hayward.

Kelnerka skinęła głową i odwróciła się do D'Agosty – Potrzebujesz menu, złotko?

– Nie. Poproszę dwa jajka sadzone, dobrze ścięte, i do tego żytni tost.

– Już zamówiłam – wtrąciła Hayward i wypila łyk kawy. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz? Muszę wrócić do biura i...

– Wracasz tam jeszcze?

Hayward zmarszczyła brwi i skinęła energicznie głową. – Odpocznę dziś wieczorem.

– Naciski z góry?

– Jak zawsze. Nie, to po prostu ta sprawa. Nie bardzo wiem, z której strony mam ją ugryźć.

D'Agosta patrzył, jak zabrała się do pałaszowania omleta, i poczuł w sobie narastającą konsternację. Jeżeli nie powstrzymamy Diogenesa, wszystkie bliskie mi osoby mogą umrzeć, powiedział mu poprzedniego wieczoru Pendergast. Dowiedz się, ile tylko zdołasz, od Laury Hayward. Rozejrzył się dookoła, lustrując wzrokiem twarze kelnerów małej restauracyjki i poszukując wśród nich kogoś, kto mógł mieć jedno oko brązowe, a drugie sinoniebieskie. Ale rzecz jasna Diogenes na pewno założyłby szkła kontaktowe, aby ukryć swój najbardziej charakterystyczny znak szczególny

– Może opowiesz mi co nieco na temat tej sprawy? – rzucił jakby z głupia frant.

Zjadła jeszcze kęs omleta, otarła usta chusteczką. – Właśnie otrzymałam wyniki autopsji. Duchamp zmarł wskutek rozległych obrażeń wewnętrznych powstałych w wyniku upadku. Kilka kości gardłowych było co prawda uszkodzonych, lecz to nie powieszenie okazało się dla niego zabójcze: rdzeń kręgowy nie został przerwany i nie doszło również do uduszenia. Ale to tylko jedna z całej masy osobliwości związanych z tą sprawą. Sznur został przecięty niemal całkowicie brzytwą lub bardzo ostrym nożem i zrobiono to, zanim Duchamp wyskoczył z okna. Zabójca chciał, aby sznur pękł pod wpływem ciężaru tego człowieka.

D'Agosta poczuł, że robi mu się zimno. Mój stryjeczny pradziadek Maurice zginął dokładnie w ten sam sposób...

–Duchamp został napadnięty i obezwładniony w swoim mieszkaniu, a następnie skrupowany. Na lewej skroni miał ślad od uderzenia, ale sama czaszka wskutek upadku została zgruchotana do tego stopnia, że nie możemy mieć pewności, czy to stąd pochodziła krew rozbryźnięta po całym mieszkaniu. Ale uwaga: rana została opatrzona i zabandażowana najwyraźniej przez zabójcę.

–Rozumiem. – Cała ta sprawa wydała się D'Agoście coraz bardziej sensowna... aż nazbyt sensowna. A on nie mógł nic powiedzieć Laurze Hayward.

–Później sprawca przystawił pod samo okno długi stół i przekonał Duchampa, aby wszedł na blat, przebiegł po nim i wyskoczył przez okno.

–Bez niczyjej pomocy?

Hayward skinęła głową. – Z rękoma skrupowanymi na plecach i pętlą założoną na szyję.

–Czy ktokolwiek widział sprawcę? – D'Agosta poczuł nieprzyjemny ucisk w piersiach; wiedział, kim był zabójca, ale nie mógł powiedzieć jej tego wprost. To było wyjątkowo nieprzyjemne uczucie. Zrobiło mu się ciężko na sercu.

–Nikt w apartamentowcu nie przypomina sobie, aby widział jakąś podejrzaną, obcą osobę. Jedyne, co mamy, to zapis z kamery ochrony Facet w tenczu widziany z tyłu. Wysoki, szczupły mężczyzna. Jasne włosy. Próbuje poprawić obraz cyfrowo, ale technicy mówią, byśmy nie robili sobie wielkich nadziei. Wątpliwe, aby uzyskali coś, co mogłoby być dla nas przydatne. Ten człowiek wiedział, że ta kamera tam jest, i przechodząc w jej polu widzenia, postarał się, aby był jak najmniej rozpoznawalny – Dopija kawę i nalala sobie jeszcze jedną.

–Przejrzeliśmy dokumenty w mieszkaniu ofiary i przetrząsnęliśmy całą jego pracownię w poszukiwaniu jakiegoś motywu – ciągnęła. – Nic. Zero. Zajrzeliśmy też do notesu naszego artysty, aby złożyć wizytę jego przyjaciółom i znajomym. Ten Duchamp to ulubieniec wszystkich. Nikt nie potrafił powiedzieć o nim złego słowa. Ach, natrafiliśmy też na pewien zbieg dziwnych okoliczności. Duchamp znał agenta Pendergasta.

D'Agosta zamarł. Nie wiedział, co ma powiedzieć, jak się zachować. Jakoś nie potrafił kłamać Laurze Hayward w żywe oczy. Poczuł, że się czerwieni.

–Wygląda na to, że się przyjaźnili. W jego notesie znaleźliśmy nowojorski adres agenta Pendergasta w Dakota House. Zgodnie z zapiskami Duchampa w jego kalendarzu ci dwaj w ubiegłym roku trzykrotnie zjedli razem lunch, zawsze o dwudziestej pierwszej. Szkoda, że nie możemy wywołać Pendergasta z zaświatów. Wydaje się, że byłabym skłonna skorzystać nawet z jego pomocy.

Nagle przerwała, widząc wyraz twarzy D'Agosty

–Och, Vinnie – powiedziała, sięgając nad stołem i ujmując jego rękę. – Tak mi przykro. To była głupota z mojej strony. Nie powinnam była tak mówić.

To sprawiło, że D'Agosta poczuł się jeszcze gorzej. – Może to właśnie przed tą zbrodnią przestrzegał mnie Pendergast w swoim liście.

Hayward powoli cofnęła rękę. – Słucham?

–No, cóż... – Wykrztusił D'Agosta. – Diogenes nienawidził brata. Może zamierza zemścić się na Pendergastie, zabijając wszystkich jego przyjaciół.

Hayward spojrzała na niego i nieznacznie przymrużyła powieki.

–Słyszałem, że niedawno zabito jeszcze jednego z przyjaciół Pendergasta, profesora, w Nowym Orleanie.

–Ale, Vinnie, Pendergast nie żyje. Po co miałby zabijać teraz jego przyjaciół?

–Kto wie, jak rozumują szaleńcy? Pragnę tylko powiedzieć, że gdybym to ja prowadził tę sprawę, wziąłbym tę ewentualność pod uwagę.

–Skąd wiesz o zabójstwie w Nowym Orleanie?

D'Agosta spuścił wzrok i rozłożył serwetkę na udach. – Nie pamiętam, chyba wspominała mi o nim sekretarka Pendergasta... Constance.

–Cóż, przyznaję, że ta sprawa kryje w sobie wiele osobliwych aspektów – Hayward westchnęła. – Wprawdzie wydaje się to mało prawdopodobne, ale postaram się to sprawdzić.

Pojawiła się kelnerka z jego zamówieniem.

D'Agosta uporczywie unikał wzroku Laury Hayward. Dla odwrócenia uwagi sięgnął po nóż i widelec i zaczął kroić błyszczące jajko. Na talerz wypłynęła struga żółtka.

D'Agosta cofnął się nerwowo. – Kelnerka!

Kobieta stojąca kilka kroków dalej odwróciła się i podeszła do niego po woli.

D'Agosta podał jej talerz. – Te jajka są półpłynne. Miały być mocno ścięte, a nie są.

–Dobrze, już dobrze, złotko, nie irytuj się tak. – Kobieta zabrała od niego talerz i oddaliła się.

–Ojej – mruknęła cicho Hayward. – Nie sądzisz, że potraktowałeś tę kobietę zbyt ostro?

–Nie cierpię słabo ściętych jajek – odparł D'Agosta, ponownie wlepiając wzrok w swoją kawę. – Niedobrze mi na ich widok.

Zapadła krótka chwila ciszy – Co się stało, Vinnie? – spytała.

–To przez tę sprawę z Diogenesem.

–Nie zrozum mnie źle, ale chyba już czas, abys przestał gonić za cieniem i wrócił do pracy To nie przywróci życia Pendergastowi. Cierpliwość Singletona też ma swoje granice. Co gorsza, zaczynasz się dziwnie zachowywać. Nie ma to jak powrót do pracy. Nic tak nie koi ran i trawiących nas smutków.

Masz rację, pomyślał. Zachowywał się dziwnie, ponieważ dziwnie się czuł. Miał do siebie żal, że nie powiedział Laurze prawdy Ale chodziło o coś więcej. Robił, co mógł, aby wydobyć od Hayward maksimum informacji, a sam uparcie zatajał przed nią fakt, że Pendergast żyje.

Uśmiechnął się, mając nadzieję, że wygląda na zakłopotanego.

–Przepraszam, Lauro, już czas, żebym wrócił do pracy I co robię? Zachowuję się jak palant, podczas gdy ty harujesz na okrągło i nie masz czasu nawet zmrużyć oka. Powiesz mi coś jeszcze o tej sprawie, przez którą jesteś od dwudziestu czterech godzin na nogach.

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo. Wreszcie włożyła do ust kolejny kawałek omleta i odsunęła od siebie talerz. – Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z tak starannie zaplanowanym morderstwem. Nie chodzi o to, że dysponujemy zaledwie paroma nędznymi tropami, ale o to, że są one, delikatnie mówiąc, dość niezwykle. Jedyne ślady, jakie pozostawił po sobie sprawca, pomijając sznury, to kilka włókien z ubrań.

–Dzięki czemu masz co najmniej trzy tropy, którymi należy podążać.

–Zgadza się. Włókna, sznur i układ węzłów Jak dotąd każdy z tych trzech tropów okazał się nic niewart. Właśnie dlatego przez całą noc nie zmrużyłam oka, przez to i przez papierkową robotę, którą musiałam odbębnić. Włókna pochodzą z jakiegoś egzotycznego gatunku wełny, z którymi nasi eksperci dotychczas nigdy się nie zetknęli. Nie ma go w miejscowej ani federalnej bazie danych. Pracuje nad nim nasz ekspert od materiałów włókienniczych. Podobnie ze sznurem. Nie wykonano go w Ameryce, Europie, Australii ani na Środkowym Wschodzie.

–A węzły?

–To jest jeszcze dziwniejsze. Specjalista od węzłów, którego nawiasem mówiąc wyciągnęliśmy z łóżka o trzeciej nad ranem, był nimi zafascynowany. Na pierwszy rzut oka wydają się pospolite, masywne jak dzieło jakiegoś szurniętego pasjonata, fetyszysty, miłośnika sado maso. Ale wcale takie nie są. Okazało się, że zawiązano je z wielką wprawą i bardzo misternie. Są potwornie skomplikowane. Specjalista był pod wrażeniem, powiedział, że nigdy dotąd nie spotkał się z takim rodzajem węzłów i że wygląda to na całkiem nową ich odmianę. Po czym uraczył mnie długim wykładem na temat praw matematycznych i teorii wiązania węzłów, której treść okazała się dla mnie czarną magią.

–O ile to możliwe, chciałbym zobaczyć zdjęcia tych węzłów. Posłała mu jeszcze jedno pytające spojrzenie.

–Hej, należałem do skautów – wyjaśnił z udaną bez troską. Skinęła głową powoli. – W akademii miałam instruktora nazwiskiem Riderback. Pamiętasz go?

–Nie.

–Facet miał bzika na punkcie węzłów. Uważał, że są one trójwymiarową manifestacją czterowymiarowego problemu. Cokolwiek to oznacza. – Upiła kolejny łyk kawy – Prędzej czy później te węzły pomogą nam w rozwikłaniu tej sprawy.

Wróciła kelnerka i z triumfalnym uśmiechem postawiła talerz z jajkami na stoliku przed D'Agosta. Teraz wyglądały na mocno spieczone, na brzegach były chyba nawet trochę przypalone.

Hayward zerknęła na zawartość talerza i uśmiechnęła się mimowolnie. – Smacznego – rzuciła i zachichotała.

Nagle płaszcz D'Agosty zaczął wibrować. Policjant na moment zastygł w bezruchu zdezorientowany. Zaraz jednak przypomniał sobie o komórce, którą otrzymał od Pendergasta, sięgnął do kieszeni i wyjął aparat.

–Nowy telefon? – spytała Hayward. – Skąd go masz?

D'Agosta nie odpowiedział. I zgoła niespodziewanie stwierdził, że nie jest w stanie ponownie jej okłamać.

–Przepraszam – powiedział, wstając. – Muszę lecieć. Wyjaśnię ci wszystko później.

Hayward także zaczęła podnosić się z krzesła; na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia i dezorientacji. – Ale, Vin...

–Zjesz za mnie śniadanie? – spytał, opierając dłonie na jej ramionach i całując ją w usta. – Ja później coś przegryzę.

–Ale...

–Do zobaczenia wieczorem, kochanie. Powodzenia. Mam nadzieję, że rozgryziesz tę sprawę. – Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy przepelnione pytającym spojrzeniem, po czym ścisnął lekko za ramię na pożegnanie, odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z restauracji.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, raz jeszcze przeczytał treść wiadomości widniejącej na niewielkim ekraniku telefonu: południowo-zachodni róg Siedemdziesiątej Siódmej i York. Natychmiast.

ROZDZIAŁ 15

Wielka czarna limuzyna sunąca na południe wzdłuż York Avenue pojawiła się kilka sekund po tym, jak D'Agosta dotarł do rogu ulicy. Wóz zwolnił i stanął, drzwiczki otworzyły się szeroko. Zanim jeszcze D'Agosta zdołał je za sobą zatrzasnąć, limuzyna ruszyła gwałtownie, a kierowca nacisnął klakson i wozy przed nią zatrzymały się z piskiem opon, aby ją przepuścić.

D'Agosta odwrócił się, nie ukrywając zdumienia. Na kanapie obok siedział nieznany mu mężczyzna: wysoki, szczupły, mocno opalony, ubrany w nieskazitelny szary garnitur i trzymający na kolanach wąską czarną aktówkę.

–Nie niepokój się, Vincencie – rozległ się znajomy głos Pendergasta. – Z uwagi na wyjątkowe okoliczności musiałem znów zmienić cętki. Dziś jestem inwestorem bankowym.

–Wyjątkowe okoliczności?

Pendergast podał D'Agoście kartkę papieru włożoną do foliowej, szczelnie zamykanej torebki. Było na niej napisane: Dziewiątka mieczy: Torrance Hamilton Dziesiątka mieczy: Charles Duchamp Król mieczy odwrócony. Michael Decker Piątka mieczy -?

–Diogenes postanowił zasygnalizować mi swoje kolejne posunięcie. Rzuca mi wyzwanie.

Niezależne od kamuflażu oblicze Pendergasta wydawało się D'Agoście posępniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

–Co to ma być... karty tarota?

–Diogenes zawsze interesował się tarotem. Jak się zapewne domyślasz, te karty mówią o śmierci i zdradzie.

–Kim jest Michael Decker?

–Był moim mentorem, gdy wstąpiłem do FBI. Wcześniej pełniłem służbę w nieco bardziej egzotycznych wydziałach rządowych i to właśnie on załatwił mi przeniesienie do Federalnego Biura Śledczego, co wcale nie było łatwe. Michael, który piastuje obecnie wysoką funkcję w Quantico, oddał mi wiele nieocenionych przysług, zwłaszcza gdy chodziło o tuszowanie niewygodnych dla pewnych osób moich dość nieortodoksyjnych metod śledczych. To dzięki Michaelowi udało mi się pozyskać pomoc FBI przy sprawie zabójstwa Jeremy'ego Grove'a ubiegłej jesieni, a jeszcze wcześniej pomógł załagodzić pewne drobne perturbacje wynikłe wskutek niewielkiego skądinąd śledztwa, które przeprowadziłem na środkowym zachodzie.

–Zatem Diogenes znów grozi kolejnemu z twoich przyjaciół.

–Tak. Nie udało mi się skontaktować z Michaelem. Nie odbiera komórki, pod numerem domowym także go nie zastałem. Jego sekretarka powiedziała mi, że prowadzi jakąś ważną i skomplikowaną sprawę, co oznacza, że nie może wyjawić mi żadnych szczegółów na ten temat, nawet gdybym powiedział otwarcie, że jestem jego kolegą. Muszę go ostrzec osobiście, jeżeli tylko uda mi się go znaleźć.

–Wydaje mi się, że jako agent FBI musi być stosunkowo trudnym celem do odstrzału.

–To jeden z najlepszych agentów terenowych w Biurze. Obawiam się jednak, że to nie powstrzyma Diogenesa.

D'Agosta ponownie rzucił okiem na list. – Twój brat to napisał?

–Tak. Co ciekawe, to nie wygląda jak jego pismo, powiedziałbym raczej, że przypomina nieudolną próbę zamaskowania jego prawdziwego charakteru pisma. Szczerze mówiąc, jak na niego to trochę zbyt nieudolne. Jest w tym wszystkim coś dziwnie znajomego... – Pendergast nie dokończył.

–Jak dostałeś ten list?

–Doręczono go dziś rano do mojego mieszkania w Dakota House. Zatrudniony tam odźwierny, niejaki Martyn, ma przykazane odbierać dla mnie wszystkie przesyłki specjalne. Przekazuje je Proctorowi, a Proctor bezpośrednio mnie zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

–Proctor wie, że żyjesz?

–Tak. Constance Greene również, od wczoraj w nocy.

–A co z nią? Czy ona nadal uważa cię za zmarłego? D'Agosta nie wypowiedział na głos nazwiska tej kobiety – nie musiał. Pendergast wiedział, że chodziło o Violę Maskelene.

–Nie skontaktowałem się z nią. Mogłaby przez to znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Niewiedza, mimo iż bez wątplenia bolesna, zapewni jej bezpieczeństwo.

Zapadła nieprzyjemna chwila ciszy.

D'Agosta zmienił temat. – A więc twój brat zaniósł ten list do Dakota House? Czy nie kazałeś obserwować tego domu?

–Oczywiście. I to na okrągło przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. List dostarczył jakiś bezdomny, którego capnęliśmy i przesłuchaliśmy. Powiedział, że jakiś facet na Broadwayu zapłacił mu, aby dostarczył przesyłkę pod wskazany adres. Podany przez niego opis jest zbyt skąpy aby mógł się nam do czegoś przydać.

Limuzyna skierowała się w stronę zjazdu na FDR Drive. Manewr został wykonany dosłownie w ostatniej chwili. Rozległ się pisk opon, w powietrzu rozeszła się woń palonej gumy.

–Sądysz, że twój przyjaciel z FBI usłucha cię?

–Mike Decker mnie zna.

–Mam wrażenie, że twój nagły wyjazd, aby ostrzec Deckera jest tym, na co od początku liczył Diogenes.

–Zgadza się. To tak jak wymuszony ruch w szachach: zmierzam wprost w pułapkę i nie jestem w stanie w żaden sposób temu zapobiec. – Pendergast spojrział na D'Agostę; jego oczy nawet przez brązowe szkła kontaktowe wydawały się niewiarygodnie blade. – Musimy znaleźć jakiś sposób, aby odwrócić bieg wydarzeń, przejść do ofensywy. Dowiedziałeś się czegoś od kapitan Hayward?

–Na miejscu zbrodni znaleziono jakieś włókna. To oraz sznur – to wszystko, czym obecnie dysponują. Zabójstwo kryje w sobie sporo dziwnych zagadek. Na przykład wygląda na to, że Diogenes ogłuszył Duchampa uderzeniem w głowę, a następnie opatrzył i obandażował jego ranę, zanim go zabił.

Pendergast pokręcił głową. – Vincencie, muszę wiedzieć więcej. Po prostu muszę. Nawet najdrobniejszy, z pozoru nieistotny szczegół może okazać się kluczowy. Mam w Orleanie, nazwijmy go, łącznika, który ma zdobyć dla mnie dossier dotyczące otrucia Hamiltona. Ale nie mam tu, w Nowym Jorku, nikogo, kto mógłby zdobyć dla mnie akta sprawy Duchampa.

D'Agosta skinął głową. – Zrozumiałem.

–Jeszcze jedno. Diogenes wydaje się sukcesywnie wybierać swoje ofiary w porządku chronologicznym. To oznacza, że już wkrótce ty możesz stać się jego celem. Bądź co bądź pracowaliśmy wspólnie przy mojej pierwszej sprawie, którą prowadziłem z ramienia FBI, czyli przy zabójstwach w muzeum.

D'Agosta przełknął ślinę. – Nie martw się o mnie.

–Wygląda na to, że Diogenes czerpie przyjemność z przesyłania mi ostrzeżeń z wyprzedzeniem. Możemy zakładać, że ty oraz inne potencjalne cele jesteście na razie bezpieczni, przynajmniej dopóki nie otrzymam kolejnego listu. Mimo to jednak, Vincencie, musisz zachować największą ostrożność. Najbezpieczniej będzie dla ciebie, jak niezwłocznie wrócisz do pracy. Otocz się policjantami, kiedy nie pracujesz w terenie, nie opuszczaj gmachu posterunku. Ale, co ważniejsze, zmień wszystkie swoje dotychczasowe nawyki – co do

jednego. Wyprowadź się na pewien czas z domu. Korzystaj z taksówek zamiast z metra. Unikaj pieszych spacerów. Kładź się spać i wstawaj o różnych porach. Zmień w swoim życiu wszystko, co mogłoby narazić na niebezpieczeństwo ciebie lub tych, na których ci zależy. Zamach na twoje życie może sprawić, że ucierpią przez ciebie inne osoby, a zwłaszcza kapitan Hayward. Jesteś dobrym gliną, Vincencie, nie muszę ci mówić, jak powinieneś postąpić w tej sytuacji.

Limuzyna zatrzymała się z piskiem opon. W oddali widać było wylaną asfaltem połączyć heliportu przy Trzydziestej Czwartej Wschodniej, szeroki, mierzący trzysta stóp pas startowy lśnił mętnawo w promieniach porannego słońca. Na lądowisku stał czerwony jet ranger beli 206, jego rotory obracały się powoli. Pendergast w jednej chwili znów przeistoczył się w inwestora bankowego, jego oblicze rozluźniło się, z oczu znikł wyraz zacieklej nienawiści i determinacji, pozostawiając jedynie niewzruszony błogi spokój.

–Jeszcze jedno – rzekł D'Agosta.

Pendergast odwrócił się

D'Agosta sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej coś, co trzymał przez chwilę w zaciśniętej dłoni. Pendergast wyciągnął rękę, a D'Agosta upuścił na nią platynowy medalion na łańcuszku, odrobinę nadtopiony po jednej stronie. Na awersie medalion ozdobiony był wizerunkiem oka bez powieki ponad feniksem wzbijającym się z popiołów pożogi. Rewers pokryty był znakiem herbowym.

Pendergast spojrział na medalion, a przez jego oblicze przemknął zagadkowy grymas.

–Hrabia Fosco miał to na szyi, kiedy wróciłem do jego zamku w asyście włoskiej policji. Pokazał mi ten medalion na osobności na dowód, że nie żyjesz. Na pewno zauważyłeś już, że ten łajdak wygrawerował na odwrocie własny herb – to jego ostatnia sztuczka, dzięki której spodziewał się mnie pokonać. Pomyślałem, że chciałbyś odzyskać ten mały drobiazg.

Pendergast kilkakrotnie obrócił medalion w dłoniach.

–Odebrałem mu go tamtej nocy, kiedy... złożyłem mu ostatnią wizytę. Może przyniesie ci szczęście.

–Zwykle nie liczę na szczęście, ale w obecnej sytuacji chyba mogę go potrzebować. Dziękuję, Vincencie. – Głos Pendergasta wydawał się prawie niesłyszalny pośród hałasu obracających się coraz szybciej rotorów. Założył łańcuszek na szyję, wsunął medalion pod koszulę i uściśnął dłoń D'Agosty.

I nie mówiąc ani słowa więcej, pomaszerował przez połączyć lądowiska w stronę czekającego na niego helikoptera.

ROZDZIAŁ 16

Helikopter wylądował na firmowym heliporcie w Chevy Chase, w stanie Maryland, gdzie czekał już samochód bez kierowcy. Przed dziewiątą Pendergast dotarł do Waszyngtonu. Był chłodny słoneczny styczniowy dzień, słabe promienie słońca przesączały się między nagimi konarami drzew, pozostawiając szron wśród głębokich cieni.

Kilka minut później sunął wzdłuż Oregon Avenue, gdzie po obu stronach ulicy wznosiły się dumne rozległe rezydencje – było to jedno z najbardziej ekskluzywnych przedmieść Waszyngtonu. Mijając dom Mike'a Deckera, zwolnił. Schludny ceglany fronton georgiańskiego domu z pozoru nie różnił się niczym od otaczających go posesji. Na zewnątrz nie było samochodu, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło; jeżeli miał taką potrzebę, Decker mógł otrzymać na swój użytek auto wraz z kierowcą.

Pendergast dotarł do kolejnej przecznicy i zatrzymał samochód przy chodniku. Sięgnawszy do kieszeni, wyjął komórkę i raz jeszcze wybrał numer telefonu domowego i służbowej komórki Deckera. Bez odpowiedzi.

Za szeregiem posesji rozciągało się zalesione pasmo parku Rock Creek. Pendergast wysiadł z samochodu z aktówką w dłoni i w zamyśleniu wszedł do parku. Był pewien, że Diogenes obserwował okolicę i rozpozna go mimo przebrania, podobnie jak nie wątpił, że on sam niezależnie od okoliczności rozpoznałby swojego brata. A jednak nie spostrzegł nikogo i nie usłyszał nic prócz słabego szumu wody dobiegającego od strony Rock Creek.

Przemaszerował żwawo skrajem parku, po czym przeciął na ukos podjazd, przeszedł przez ogród i prześlizgnął się przez żywopłot, by znaleźć się na podwórzu za domem Deckera. Było starannie utrzymane, bardzo zadbane i nieomal łączyło się z zagajnikiem na tyłach parku. Tam, ukryty przed wzrokiem ciekawskich sąsiadów, stając w gęstwinie krzewów, agent spojrzał w okna domu. Były zamknięte, a białe zasłony zaciągnięte. Zerkając w stronę pobliskich domów, z wystudiowaną nonszalancją przeszedł przez podwórze i dotarł do tylnego wejścia, zakładając po drodze rękawiczki i stawiając aktówkę na podeście przed drzwiami.

Pendergast ponownie znieruchomiał, jego bystre oczy wychwytywały każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Następnie bez pukania zajrzał przez maleńkie okienko do środka.

Kuchnia Deckera była nowoczesna i prawie spartańska, jeżeli chodzi o kawalerski wystrój. Na kontuarze, obok telefonu leżała złożona gazeta, marynarkę od garnituru przewieszono przez oparcie krzesła. Zamknięte drzwi z boku prowadziły zapewne do piwnicy, ciemny korytarz po drugiej stronie wiódł do pokoi we frontowej części domu. Na podłodze w korytarzu leżał jakiś kształt, niewyraźny z uwagi na słabe oświetlenie. Poruszył się nieznacznie raz i drugi. Pendergast natychmiast podszedł, aby sforsować zamek, kiedy jednak dotknął ręką klamki, ta z łatwością ustąpiła pod jego naciskiem. Drzwi były otwarte, zamek wyłamano. Przecięty przewód mówił sam za siebie – system zabezpieczający udało się komuś obejść. Kable telefoniczne opodal także zostały przecięte. Wślizgnął się do środka, podbiegł do czegoś, co leżało w korytarzu, i ukląkł na parkiecie.

To był potężny pies rasy weimarskiej; miał szkliste ślepia, a tylne łapy wciąż drgały targane konwulsyjnymi spazmami. Pendergast szybko i sprawnie przesunął dłońmi w rękawiczkach po jego ciele. Zwierzę miało kark strzaskany w dwóch miejscach.

Pendergast podniósł się i sięgnął ręką do kieszeni. Po chwili w jego dłoni pojawił się błyszczący wilson combat TSGC kaliber. 45 mm. Poruszając się szybko i w całkowitej ciszy, Pendergast spenetrował parter domu: wychylał się ostrożnie zza załomów korytarza z pistoletem w ręku, przepatrując każdy splachetek cienia i każdą potencjalną kryjówkę. Salon, jadalnia, hol główny, łazienka. Wszędzie głucha cisza. Ani żywego ducha.

Później Pendergast wbiegł po schodach na górę, przystając tylko na moment na podeście, aby się rozejrzeć. W korytarzu znajdowały się wejścia do czterech pokoi. Promienie słońca wpadały przez otwarte drzwi, rozświetlając kilka drobinek pyłu tańczących leniwie w ciężkim nieruchomym powietrzu.

Z bronią gotową do strzału zajrzał do pierwszego z pomieszczeń, była to sypialnia dla gości. Łóżka zasłano z isticie wojskową precyzją, prześcieradła wygładzono, a poszwy na poduszki nie miały ani jednej fałdki. W

oddali widać było przez okno surowe drzewa parku Roch Creek. Wszystko tonęło w głębokiej ciszy.

Opodał rozległ się cichy dźwięk.

Pendergast zamarł, jego nadwrażliwe zmysły wyteżyły się do maksimum. Dźwięk był jeden, tylko jeden. Cichy szept przywodzący na myśl leniwe westchnienie.

Wyszedł z sypialni, przebiegł przez korytarz i przystanął przed wejściem do pokoju naprzeciwko. Przez uchylone drzwi widać było wysokie regały i krawędź biurka – gabinet. Teraz, gdy podszedł bliżej, usłyszał jeszcze inny dźwięk, który przypominał odgłos wody ciekącej z niedokręconego kranu.

Pendergast sprężył się i z pistoletem w dłoni ostrożnie przestąpił próg.

Mike Decker siedział w skórzanym fotelu zwrócony w stronę biurka. Jako były wojskowy szczyił się precyzją i ekonomicznością każdego ruchu, lecz to nie precyzja utrzymywała go siedzącego sztywno w fotelu. Wbito mu w usta ciężki stalowy bagnet; ostrze, skierowane pod kątem ku dołowi, przeszło na wylot gardło i przyszpiliło go do zagłówek. Czubek ostrza bagnetu wystawał z oparcia fotela, jego tępą krawędź była ciężka od krwi. Szkarłatne krople skapywały na przesiąknięty posoką dywan.

Z przebitego gardła Deckera dobyło się kolejne ciche westchnienie, które jednak przeszło zaraz w słabe bulgoczące rżenie. Mężczyzna patrzył na Pendergasta niewidzącym wzrokiem, biała koszula, którą miał na sobie, nasiąknęła czerwienią. Strużki krwi wciąż rozlewały się po biurku, wijąc się po nim kręto i dotarłszy do brzegu blatu, skapywały na podłogę.

Pendergast na krótką chwilę zastygł w bezruchu jak rażony gromem. W końcu zdjął jedną rękawiczkę i – wychylając się do przodu, ostrożnie, by nie wdepnąć w kałużę krwi rozlewającą się pod fotelem, dotknął wierzchem dłoni czoła Deckera. Skóra mężczyzny wydawała się sprężysta, elastyczna i wciąż jeszcze ciepła w dotyku.

Nagle Pendergast opuścił rękę i cofnął się gwałtownie. W całym domu panowała głucha cisza – jeżeli nie liczyć odgłosu kapiących bez przerwy kropeł.

Pendergast wiedział, że te westchnienia były reakcją pośmiertną – w miarę jak ciało nabite na bagnet wiotczało, z płuc nieboszczyka wypierane były resztki powietrza. Tak czy owak, Mike Decker nie żył od mniej niż pięciu minut. Może nawet od niespełna trzech.

Agent znów się zawahał. Dokładne określenie czasu zgonu nie było w tym przypadku istotne. O wiele ważniejsze wydawało się, że Diogenes najprawdopodobniej zaczekał, aż Pendergast wejdzie do domu, i dopiero wtedy zabił Deckera.

A to znaczyło, że jego brat mógł nadal być tu, w tym domu. Z oddali dobiegło słabe, jeszcze ledwie słyszalne zawodzenie policyjnych syren.

Pendergast zlustrował wzrokiem pokój. Jego oczy rozbłysły, gdy poszukiwał choćby najdrobniejszego śladu, który pomógłby mu wysledzić i dopaść brata. W końcu jego spojrzenie padło na długi ciężki bagnet. Pendergast rozpoznał go w jednej chwili. Przeniósł wzrok na dłonie Deckera. Jedna wisiała luźno, druga była zaciśnięta w pięść.

Ignorując dźwięk zbliżających się syren, Pendergast wyjął z kieszeni złote pióro i ostrożnie, skrupulatnie rozwarł palce zaciśniętej dłoni. Tkwiły w niej trzy kosmyki jasnych włosów

Wyciągnąwszy z kieszeni jubilerską lupę, Pendergast pochylił się i uważnie przyjrzał włosom. Ponownie sięgnął do kieszeni i zamienił lupę na długie wąskie szczypczyki. Bardzo wolno, delikatnie wyłuskał pasemka włosów jedno po drugim z nieruchomej dłoni.

Syreny brzmiały coraz głośniejsze.

Do tego czasu Diogenes na pewno już się ulotnił. Zaaranżował całą tę scenę, opracowując ją do perfekcji. Na pewno wziął pod uwagę różne możliwe jej warianty. Wszedł do domu, bez wątpienia obezwładnił Deckera za

pomocą jakiegoś środka odurzającego, po czym zaczął na przybycie Pendergasta i dopiero wtedy zabił swoją ofiarę. Całkiem możliwe, że Diogenes sam, celowo uruchomił alarm, opuszczając dom.

Wysokiej rangi agent FBI został zamordowany i z pewnością federalni przetrząsną cały dom, od piwnic aż po dach, w poszukiwaniu nawet najdrobniejszych śladów. Diogenes nie mógł ryzykować i pozostawać tu dłużej, niż to było konieczne, podobnie zresztą jak on.

Usłyszał pisk opon i kakofonię syren, gdy kawalkada radiowozów wjechała na Oregon Avenue; od domu Deckera dzieliło ich zaledwie kilka sekund. Pendergast po raz ostatni spojrzął na przyjaciela, energicznym, prawie niedostrzegalnym ruchem otarł łezkę, która zakręciła mu się w oku, po czym zbiegł po schodach na parter.

Frontowe drzwi były teraz otwarte na oścież, a na panelu alarmu, na ścianie obok nich, mrugało czerwone światelko. Przeskoczył ponad nieruchomym już ciałem martwego psa, wybiegł na podwórze za domem, po drodze zgarnął aktówkę, którą zostawił przed drzwiami, pognął co sił w nogach i cisnąwszy kosmyki jasnych włosów w stertę zeschniętych liści, bezszelestnie jak duch rozplynął się w mrocznych ostępach parku Rock Creek.

ROZDZIAŁ 17

Margo Green jako pierwsza zjawiła się w wytwornej starej sali konferencyjnej Murchisona w Muzeum Historii Naturalnej. Gdy zasiadła w jednym z wysłużonych, skórzanych foteli stojących przy masywnym dziewiętnastowiecznym stole, zaczęła chłonąć wzrokiem cudowne, choć nieco niepokojące szczegóły: ściany ozdobione były trofeami zwierząt należących do gatunków uważanych obecnie za zagrożone, maskami afrykańskimi, skórami lwów, lampartów oraz zebr, po obu stronach wejścia wisiały zakrzywione słoniowe kły. Ponad sto lat temu Murchison prowadził długotrwałe prace badawcze w Afryce, a prócz antropologii jego głównym hobby było myślistwo. Zyskał dużą sławę, jako wielki biały łowca. W przeciwległych rogach sali stały nawet dwa kosze na śmieci zrobione ze słoniowych nóg. Cóż, to było muzeum, a placówki tego rodzaju nigdy niczego nie wyrzucały, nawet gdy jakieś eksponaty z czasem klóciły się z powszechnie przyjętą poprawnością polityczną.

Margo wykorzystała kilka minut kompletnego spokoju i ciszy, zanim w sali zjawią się pozostali członkowie wydziału, aby przejrzeć notatki i zebrać myśli. Poczła narastający niepokój, którego nie potrafiła w sobie stłumić. Czy postępowała słusznie? Pracowała tu zaledwie od sześciu tygodni i oto wraz z publikacją pierwszego numeru „Muzeologii” pod jej redakcją rozpoczęła swoją działalność od rozpętania prawdziwej burzy wśród personelu i kierownictwa muzeum. Dlaczego to było dla niej takie ważne?

Już знаła odpowiedź. Musiała walczyć o to, w co wierzyła. To była dla niej sprawa niemal osobista. A" z zawodowego punktu widzenia jako redaktor naczelna „Muzeologii” uważała, że postępuje słusznie. Ludzie będą oczekiwali, że w piśmie ukaże się komentarz w tej kontrowersyjnej sprawie. Milczenie lub, co gorsza, nieprzekonujący zachowawczy artykuł redaktora naczelnego na pewno nie zostałyby przez nikogo zauważony. Nie, należało dać jasno do zrozumienia, że „Muzeologia” nie boi się kontrowersyjnych tematów i pozostaje pismem niezależnym, a przede wszystkim rzeczowym. Miała jedyną w swoim rodzaju okazję, aby udowodnić wszystkim, że potrafi walczyć i co więcej, posiada dość argumentów, by przekonać niezdecydowanych do swoich racji.

Powróciła do swoich notatek; jako że chodziło o eksponat znajdujący się pod kontrolą wydziału antropologii, to właśnie na kustoszach z tego wydziału miała skoncentrować całą uwagę. Nie dostanie drugiej szansy, by przedstawić swoje argumenty całemu wydziałowi, i pragnęła zrobić to jak najlepiej.

Zaczęli schodzić się inni kustosze, kłaniali się jej, gawędzili między sobą i potrzęsali prawie pustym automatem do kawy, z którego lała się ciecz przypominająca smołę, resztki naparu z dzisiejszego ranka. Ktoś napełnił kubek, po czym odstawił go z brzękiem. Zjawiła się Nora Kelly, serdecznie przywitała się z Margo i zajęła miejsce naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu. Margo rozejrzała się po sali.

Byli w niej już wszyscy kustosze, cała dziesiątka.

Jako ostatni przybył Hugo Menzies, dziekan wydziału antropologii od czasu przedwczesnej śmierci doktora Frocka sześć lat temu. Menzies uśmiechnął się przyjaźnie i skinął głową do Margo, po czym zasiadł u szczytu olbrzymiego stołu. Jako że większość artykułów „Muzeologii” traktowała o antropologii, to właśnie on z natury rzeczy stał się jej bezpośrednim zwierzchnikiem. I jak podejrzewała, to on był odpowiedzialny za jej ponowne zatrudnienie w tej placówce. W przeciwieństwie do reszty personelu preferującego wysokie smukłe aktówki Menzies zawsze nosił ze sobą elegancki płócienny worek na ramię firmy John Chapman Company, głównego wytwórcy brytyjskiego sprzętu dla myśliwych i wędkarzy. Właśnie wyjął z niego plik papierów i zaczął je skrętnie segregować. Potem nałożył okulary do czytania, poprawił krawat i przyglądził zmierzwiłone siwe włosy. Wreszcie spojrzał na zegarek, skierował spojrzenie jasnoniebieskich oczu na resztę zebranych i odchrząknął.

–Cieszę się, że widzę tu was wszystkich – powiedział nieco świszczącym głosem. – Czy możemy zaczynać?

Rozległ się szelest przekładanych kartek papieru.

–Zamiast bawić się w zbędne ceregiele – powiedział, zerkając na Margo – pomińmy kwestie proceduralne i przejdźmy do sprawy, która o ile wiem, zaprzęta myśli was wszystkich: problemu z maskami z Wielkiej Kivy

Znów szelest kartek papieru, spojrzenie na Margo. Wyprostowała się, jej twarz przepełniał niewzruszony

spokój i obojętność. W głębi serca wierzyła, że ma rację, i to dodawało jej sił oraz utwierdzało w przekonaniach, a tego właśnie potrzebowała.

–Margo Green, nowa redaktor naczelna „Muzeologii”, poprosiła, by mogła zwrócić się do was wszystkich. Jak zapewne wiecie, Indianie Tano żądają zwrotu masek z Wielkiej Kivy, największej atrakcji naszej nowej wystawy. Jako dziekan tego wydziału mam za zadanie doradzić dyrektorowi, co powinniśmy uczynić w tej kwestii: czy powinniśmy oddać maski, zatrzymać je, czy wymyślić jakieś inne rozwiązanie stanowiące dogodny kompromis dla obu stron. Nie kierujemy się zasadami demokracji, ale mogę zaręczyć, że wasze opinie mają dla mnie ogromne znaczenie. Mogę przy tym dodać, że sam dyrektor będzie się radził w tej sprawie zarządu i naszych pracowników, zanim podejmie ostateczną decyzję, tak więc moje słowo nie jest w tym przypadku ostateczne ani tym bardziej wiążące. – Uśmiechnął się i odwrócił do Margo. – A teraz, Margo, czy zechciałabyś przedstawić nam swoje argumenty? Margo wstała i rozejrzała się po sali.

–Większość z państwa już wie, że w następnym numerze „Muzeologii” zamierzam wydrukować swój artykuł nawołujący do zwrotu Indianom Tano masek z Wielkiej Kivy. Kopie tego tekstu już od jakiegoś czasu krążą po wydziale antropologii, a jego treść wywołała sporą konsternację wśród kierownictwa muzeum. – Przełknęła ślinę, usiłując ukryć nerwowe drżenie w głosie. Zaczęła opowiadać o historii masek i o tym, jak je zdobyto. To pomogło jej zyskać odrobinę swobody i pewności siebie.

–Dla wiadomości tych z państwa, którzy nie słyszeli o Indianach Tano – powiedziała. – Żyją oni w odległym rezerwacie, na granicy Nowego Meksyku i Arizony. Z uwagi na miejsce, w jakim się osiedlili, zdołali po dziś dzień zachować język, religię i obrzędy, pomimo iż żyją we współczesnym świecie. Niecałe dwadzieścia procent członków plemienia uważa się za chrześcijan. Antropolodzy wierzą, że ludzie ci osiedli nad rzeką Tano prawie tysiąc lat temu. Posługują się unikalnym językiem, który jak wszystko na to wskazuje, nie ma powiązań z żadnym innym. Mówię państwu to wszystko, ponieważ podkreślić należy, że nie są to rdzenni Amerykanie, usiłujący poniewczasie powrócić do utraconych dawno temu tradycji. Indianie Tano są jednym z kilku plemion, które nigdy nie zatraciły swoich tradycji.

Przerwała. Kustosze słuchali z uwagą i choć wiedziała, że nie wszyscy się z nią zgadzają, zdołała ich przynajmniej zainteresować.

–Szczep podzielony jest na moiety, czyli innymi słowy na dwa ugrupowania religijne. Maski Towarzystwa Wielkiej Kivy są wykorzystywane wyłącznie, gdy wspomniane moiety zjedną się wspólnie w celu odprawienia obrzędów religijnych w Wielkiej Kivie. Kiva to okrągła podziemna pieczara, która pełni dla nich funkcję miejsca kultu religijnego. Odprawiają tam rytuały raz na cztery lata, wierząc, że te ceremonie pozwalają zachować równowagę i harmonię w ich szczepie, a także na całej ziemi, zarówno wśród ludzi, jak i w świecie przyrody. Wierzą – i bynajmniej ani trochę nie przesadzam – że straszliwe wojny i klęski żywiołowe na przestrzeni ostatnich stu lat są spowodowane faktem, iż maski zostały im odebrane, i w związku z tym Indianie Tano nie są w stanie odprawić rytuałów, które przywróciłyby równowagę i pokój na świecie.

Mówiła w tym tonie przez kolejne pięć minut, aż wreszcie zakończyła swój monolog zadowolona, że uporała się z tym wszystkim w miarę krótko i zwięźle.

Menzies podziękował jej i powiódł wzrokiem po twarzach kustoszy siedzących wokół stołu. – A teraz zaczniemy debatę.

Dał się słyszeć szelest kartek papieru. Wtem rozległ się cichy, cienki głosik przepelniony lekką nutą oburzenia. To był doktor Prine. Kustosz o obwisłych ramionach wolno podniósł się z fotela. – Jako specjalista w dziedzinie archeologii etruskiej nie wiem wiele na temat Indian Tano, ale mam wrażenie, że cała ta sprawa śmierdzi. Czemu Indianie Tano tak nagle zainteresowali się tymi maskami? Skąd mamy wiedzieć, że jak już je odzyskają, nie zechcą ich sprzedać komuś innemu? Muszą być warte grube miliony. Jakoś nie chce mi się wierzyć w szczerą powodującą nimi motywację.

Margo przygryzła wargę. Pamiętała Prine'a jeszcze z czasów swoich studiów, był jak gorąca żarówka, która z upływem lat roztacza coraz słabszy blask. Przypomniała sobie, że prowadził badania na temat etruskiej sztuki wróżenia z wątroby. To było jego życiowe dzieło.

–Z tych i wielu innych powodów – ciągnął Prine – jestem zdania, że powinniśmy zatrzymać maski. Prawdę

mówiąc, nie chce mi się wierzyć, że na serio rozważamy możliwość ich zwrotu. Kupiliśmy je, a teraz należą do nas i powinniśmy je zatrzymać. – Usiadł gwałtownie.

Niski korpulentny mężczyzna o rzadkich nastroszonych rudych włosach i z łysinką na czubku głowy podniósł się jako następny. Margo rozpoznała w nim George'a Ashtona, głównego kustosza wystawy Święte wizerunki. Ashton był zdolnym antropologiem, aczkolwiek porywczym i łatwo wpadającym w złość. A obecnie wyglądał na mocno zdenerwowanego. – Zgadzam się z doktorem Prine'em i stanowczo sprzeciwiam się opinii wyrażonej w tym artykule. – Odwrócił się do Margo. Oczy niemal wychodziły mu z orbit, twarz poczerwieniała, liczba podbródków podwoiła się, a nawet potroiła w przypiływie wzburzenia. – Uważam, że jest nie na miejscu, iż doktor Green porusza tę sprawę właśnie teraz. Niespełna tydzień dzieli nas od otwarcia największej wystawy, jaką przygotowano w tym muzeum od lat, jej koszty wyniosły blisko pięć milionów dolarów. Maski z Wielkiej Kivy stanowią największą ozdobę tej ekspozycji. Jeżeli je wycofamy, nie uda się nam dotrzymać terminu otwarcia wystawy. Naprawdę, pani doktor Green, uważam, że nie mogła pani wybrać gorszego momentu na publikację swoich tez. – Przerwał na chwilę, spiorunował Margo wzrokiem, po czym zwrócił się do Menziesa. – Hugo, proponuję, abyśmy odłożyli rozstrzygnięcie tej kwestii do czasu zamknięcia wystawy. Potem będziemy mogli ją przedyskutować na spokojnie. Naturalnie oddanie masek jest nie do pomyślenia, ale podejmiemy ostateczną decyzję, gdy wystawa dobiegnie końca.

Margo czekała. Odpowie na ataki, jeżeli Menzies jej na to pozwoli.

Menzies uśmiechnął się życzliwie do wzburzonego kustosza. – Gwoli jasności, George, pragnę zauważyć, że doktor Green nie wybrała tego, jak to określiłeś, momentu sama, a jedynie wystosowała odpowiedź na list z wyraźnym żądaniem nadesłanym przez Indian Tano, których skłoniła do tego radykalnego kroku twoja kampania reklamowa mająca rozpropagować przygotowywaną wystawę.

–To prawda, ale czy ona musi publikować ten artykuł? – Ashton machnął w powietrzu kartką papieru, którą ścisnął w dłoni. – Mogła przynajmniej poczekać do zamknięcia wystawy. To, co się teraz zacznie, będzie prawdziwym koszmarem dla naszego działu public relations!

–Nie debatujemy tu nad problemami działu public relations – rzekł łagodnym tonem Menzies.

Margo spojrzała na niego z wdzięcznością, oczekiwała wsparcia z jego strony, ale to było coś więcej niż zwyczajne wsparcie.

–Public relations to rzeczywistość! Nie możemy przecież siedzieć w wieży z kości słoniowej i ignorować opinii publicznej, prawda? Staram się doprowadzić do otwarcia wystawy w nader niekorzystnych warunkach i nie podoba mi się, że ktoś dodatkowo rzuca mi kłody pod nogi. Nie zniosę tego! Ani ze strony doktor Green, ani tym bardziej z twojej, Hugo!

Usiadł, sapiąc ciężko.

Menzies powiedział spokojnie: – Dziękuję za opinię, George.

Ashton nieznacznie skinął głową.

Z fotela podniosła się Patricia Wong, współpracownica z wydziału tekstyliów – Jak dla mnie sprawa jest prosta. Muzeum nabyło maski w sposób wyraźnie nieetyczny, a może nawet nielegalnie. Margo wyjaśniła to przystępnie w swoim artykule. Tano żądają zwrotu masek. Skoro my wszyscy jako muzeum mamy działać zgodnie z zasadami etyki, powinniśmy je natychmiast zwrócić. Z całym szacunkiem, nie zgadzam się z dyrektorem Ashtonem. Zatrzymanie masek na czas trwania wystawy i prezentowanie ich całemu światu, a następnie oddanie właścicielom z przeprosinami, że tyle lat przetrzymywaliśmy je niezgodnie z prawem, w moim mniemaniu, trąci hipokryzją, a może nawet oportunistycznym.

–Brawo, brawo! – rzekł inny kustosz.

–Dziękuję, doktor Wong – rzekł Menzies, gdy kobieta usiadła. Teraz z kolei wstała Nora Kelly, wysoka, szczupła, nonszalanckim gestem odgarnęła z twarzy kosmyki cyrkonowych włosów. Rozejrzała się wokół, pewna siebie i skoncentrowana. Margo poczuła rosnącą irytację.

–Mamy do rozstrzygnięcia dwie kwestie – zaczęła cichym, zrównoważonym tonem. – Po pierwsze, czy Margo ma prawo opublikować ten artykuł. Myślę, że zgodzimy się wszyscy, iż nie wolno naruszać zasady niezależności słowa i swobody wypowiedzi, nawet jeśli niektórym z nas nie podoba się opinia wyrażona na łamach „Muzeologii”.

W sali rozległ się cichy pomruk aprobaty, jedynie Ashton splótł ręce na piersiach i parsknął drwiąco.

–Ja jestem jedną z tych osób, którym nie podoba się treść tego artykułu.

Zaczyna się, pomyślała Margo.

–Chodzi o coś więcej niż tylko o kwestię własności. Bo do kogo tak naprawdę należy Dawid Michała Anioła? Gdyby, dajmy na to, Włosi zapragnęli potłuc go na drobne kawałki i przerobić na kafelki do łazienki, czy świat by to zaakceptował? A gdyby Egipcjanie postanowili zrównać Wielką Piramidę z ziemią i urządzić na jej miejscu parking, czy to by było w porządku? Gdyby Grecy zdecydowali się sprzedać Partenon, wysłać w częściach do Stanów i przerobić w Las Vegas na kasyno, czy mieliby do tego prawo? Przerwała.

–Odpowiedź na każde z tych pytań brzmi: nie. Te rzeczy należą do całej ludzkości. Stanowią wyraz największych osiągnięć ludzkiego ducha, a ich wartość przewyższa wszelkie kwestie własności. Tak samo jest z maskami z Wielkiej Kivy. To prawda, muzeum zdobyło je w sposób nieetyczny Są one jednak tak niezwykle, tak ważne i tak wspaniałe, że nie mogą zostać zwrócone Indianom Tano, by znikły na zawsze w mrocznych czeluściach kivy. Dlatego powiem tak: niech ten artykuł zostanie opublikowany Niech odbędzie się stosowna debata. Ale na miłość boską, nie oddawajmy tych masek. – Ponownie przerwała, podziękowała zebranych za uwagę i usiadła.

Margo poczuła, że jej twarz nabiega czerwienią. Mimo iż trudno było się jej do tego przyznać, Nora Kelly wywarła na niej piorunujące wrażenie. Była po prostu niesamowita.

Menzies powiódł wzrokiem dookoła, ale najwyraźniej nikt nie miał już nic do powiedzenia. Zwrócił się do Margo. – Czy chcesz jeszcze coś dodać? Jeżeli tak, to proszę. Teraz jest odpowiedni moment.

Poderwała się z fotela. – Tak. Chciałabym odpowiedzieć na polemikę doktor Kelly.

–Proszę bardzo.

–Doktor Kelly najwyraźniej przeoczyła jeden zasadniczy aspekt: maski są przedmiotem kultu religijnego w przeciwieństwie do innych wymienionych przez nią obiektów.

Nora natychmiast wstała z miejsca. – Czy Partenon nie jest świątynią? Czy Dawid nie jest postacią z Biblii? Czy Wielka Piramida nie jest świętym grobowcem?

–Na litość boską, przecież w obecnych czasach nie są to już obiekty kultu religijnego. Nikt dziś nie składa w Partenonie ofiar z baranów!

–O to mi dokładnie chodziło. Te obiekty, niegdyś związane z religią, stały się czymś więcej. Należą dziś do wszystkich niezależnie od wyznania. Podobnie rzecz ma się z maskami z Wielkiej Kivy Tano być może stworzyli je do celów religijnych, teraz jednak są one własnością całego świata.

Margo poczuła, że się czerwieni. – Doktor Kelly, czy mogę nadmienić, że pani logika pasuje raczej do sali wykładowej wydziału filozofii w jakimś college'u, a nie do zebrania antropologów w największym muzeum historii naturalnej na świecie?

Zapadła cisza. Menzies powoli odwrócił się do Margo, spojrzął na nią swoimi niebieskimi oczami, a sądząc po jego brwiach ściągniętych ku dołowi, był bardzo niezadowolony. – Doktor Green, pasja w nauce to cudowna cecha. Ale musimy przy tym zachować choć odrobinę uprzejmości.

Margo przełknęła ślinę. – Oczywiście, doktorze Menzies. – Jej twarz płonęła. Jak to możliwe, że do tego stopnia dała się ponieść emocjom? Nie odważyła się nawet spojrzeć na Norę Kelly Oto ona nie tylko siała zamęt, lecz przysparzała sobie wrogów we własnym wydziale.

Dały się słyszeć ciche chrząknięcia i zduszone szepty.

–Doskonale – rzucił Menzies łagodnym, kojącym tonem. – Usłyszałem już zdania obu stron i wygląda na to, że układ sił jest mniej więcej równy. Przynajmniej jeżeli chodzi o tych, którzy opowiedzieli się po którejkolwiek ze stron. Tak czy owak, podjąłem już decyzję. – Przerwał i potoczył wzrokiem po twarzach zebranych.

–Podsunę dyrektorowi dwie sugestie. Po pierwsze, że ten artykuł powinien się jednak ukazać. Margo przedstawiła w nim solidne argumenty, a treść artykułu niezależnie, jak przystało na tradycję „Muzeologii”, skłania do refleksji i debaty nad ważkimi problemami.

Wziął głęboki oddech. – Po drugie, proponuję, aby maski zostały zwrócone Indianom Tano. I to niezwłocznie.

Zapanowała pełna konsternacji cisza. Margo początkowo nie mogła w to uwierzyć, ale mimo wszystko wygrała. Menzies w stu procentach opowiedział się po jej stronie. Zwyciężyła. Zerknęła na Norę i zauważyła, że twarz tamtej także poczerwieniała.

–Zasady etyki obowiązujące w naszym fachu są jasne i oczywiste – ciągnął Menzies. – Pozwólcie, że zacytuję: „Antropolog jest przede wszystkim odpowiedzialny wobec ludzi, których bada”. Nie potrafię wyrazić mego bólu wywołanego świadomością, że muzeum straci te maski. Muszę jednak zgodzić się z opinią doktor Green i doktor Wong: jeżeli mamy dać przykład innym i postępować zgodnie z zasadami etyki, musimy je zwrócić. To prawda, że trudno sobie wyobrazić bardziej nieodpowiedni moment na tego rodzaju decyzje, i spowodują one pewne perturbacje w związku z planowanym otwarciem wystawy. Przykro mi, George. Nic na to nie poradzę.

–Ale to przecież niepowetowana strata dla antropologii i dla całej ludzkości... – zaczęła Nora.

–Powiedziałem, co miałem do powiedzenia – rzucił cierpkim tonem Menzies. – Niniejszym uważam to spotkanie za zakończone.

ROZDZIAŁ 18

Bill Smithback skręcił za róg, przystanął i odetchnął z ulgą. Na drugim końcu korytarza znajdowały się drzwi do gabinetu Fentona Daviesa, otwarte i nieprzesłonięte sylwetką Bryce'a Harrimana. Nawiasem mówiąc, Smithback nie widział go dziś chyba ani razu. Gdy tak szedł w stronę gabinetu Daviesa szybkim, sprężystym krokiem, raz po raz zacierał ręce, nie posiadając się z radości. Niepowodzenie Harrimana oznaczało jego sukces. I pomyśleć, że Harrimanowi tak bardzo zależało, aby dostać zlecenie na sprawę Wacka. Proszę bardzo, niech ją sobie weźmie. W „Timesie” nie poświęcano jej już wiele miejsca – była zbyt absurdalna, zakrawała na burleskę. Mimo to Harriman, do niedawna dziennikarz „Post”, powinien być teraz w swoim żywiole.

Smithback, nie zwalniając kroku, mimowolnie zachichotał.

On skoncentrował się na sprawie Duchampa. To była sensacja. I mogła wyjść z niej duża historia. Miała w sobie wszystko, czego można oczekiwać od tego rodzaju spraw: była bulwersująca, niezwykła, zastanawiająca. Stanowiła temat numer jeden rozmów towarzyskich: oto nikomu niewadzący artysta ni stąd, ni zowąd zostaje skrępowany, ktoś zakłada mu pętlę na szyję, a następnie zmusza, by wyskoczył z okna mieszkania na dwudziestym trzecim piętrze – w efekcie runął z tej wysokości i wylądował w samym środku jednej z modnych francuskich restauracji. I wszystko to wydarzyło się w biały dzień na oczach setek świadków.

Smithback zwolnił nieznacznie, podchodząc do drzwi gabinetu Daviesa. To fakt, większości tych świadków nie udało się namierzyć. I jak dotąd jedyne, czym musiał się zadowolić, to oficjalny komunikat z biura prasowego komendy głównej policji; jego informatorzy nie byli mu w stanie pomóc. Nie tym razem. Ale jeszcze rozgryzie tę historię. Nora miała rację, kiedy powiedziała, że prędzej czy później uda mu się dociec prawdy. Ta kobieta rozumiała go jak żadna inna. Wszystko polegało na odpowiednim podejściu, spojrzeniu na daną sprawę z szerszej perspektywy i wykorzystaniu wszelkich możliwych sposobów, aby dopiąć swego.

Bez wątplenia właśnie dlatego Davies wezwał go do siebie; naczelny pragnął czegoś więcej. Nie ma sprawy, powie Daviesowi, że sprawdza właśnie pewne tropy pozyskane z poufnego źródła. A potem pofatyguje się na róg Broadwayu i Sześćdziesiątej Piątej. Dziś nie będzie tam żadnych gliniarzy, którzy mogliby pokrzyżować mu szyki. Odwiedzi też posterunek policji, porozmawia ze swoim starym kumplem, może zdoła zebrać choć garść okruchów. Nie, poprawił się w myślach. „Okruchy” to niewłaściwe słowo. To inni reporterzy zbierali okruchy, podczas gdy on, Smithback, znajdzie cały tort – i spałaszuje go z apetytem. Rozbawiony tą sprytną i zmyślną metaforą wszedł do biura Daviesa. W sekretariacie nie było nikogo. Późny lunch, pomyślał Smithback. Postąpił naprzód i z niewzruszoną miną, jak na dziennikarskiego asa przystało, podszedł do wewnętrznego gabinetu i uniośł rękę, by zapukać do otwartych drzwi.

Davies siedział jak Budda za biurkiem zasłanym stertą różnych papierów. Był niski i kompletnie łysy, a jego szczupłe delikatne dłonie ani na chwilę nie przerywały drobnych prozaicznych czynności, jak przyglądanie krawata, obracanie ołówka między palcami albo skubanie brwi. Lubił niebieskie koszule z białymi kołnierzykami i barwne, starannie zawiązane krawaty w pastelowych kolorach. Z wysokim łagodnym głosem i zniewieściałymi manierami Davies mógł komuś z zewnątrz wydać się podrzędnym biurokratą. Smithback jednak znał tego człowieka aż za dobrze. Nie można objąć posady naczelnego w „Timesie”, nie mając w żyłach choćby kropli krwi barakudy. Jego zachowanie było tak łagodne i mylące, że nim ofiara zdała sobie sprawę, iż coś jest z nią nie tak, już miała wyprute flaki. Naczelny nie odkrywał kart, częściej słuchał, niż mówił, i mało kto wiedział, co naczelny sądzi na dany temat. Nie spoufalał się z reporterami, nie spotykał towarzysko z innymi naczelnymi i ogólnie wolał spędzać czas w samotności. W jego gabinecie było tylko jedno dodatkowe krzesło, na którym nikt nigdy nie siadał.

Ale dziś siedział na nim Bryce Harriman.

Smithback znieruchomiał, stojąc w progu z dłonią uniesioną ku górze; nawet nie zdążył zapukać.

–Ach, Bill – Davies skinął głową. – W samą porę. Wejdz, proszę.

Smithback zrobił jeden krok naprzód, potem drugi. Uporczywie starał się unikać wzroku Harrimana.

–Zamierzasz przedstawić konspekt artykułu na temat zabójstwa Duchampa? – zapytał Davies.

Smithback pokiwał głową. Był oszołomiony i zdezorientowany, jakby ktoś zniecka wyrznął go w dołek. Miał nadzieję, że tego po nim nie widać.

Davies przesunął koniuszkami palców po krawędzi biurka. – Jak zamierzasz podejść do tej sprawy?

Smithback miał już gotową odpowiedź. To było ulubione pytanie Daviesa, z założenia retoryczne: w ten sposób dawał reporterom do zrozumienia, że powinni wziąć się do roboty, a nie czekać z założonymi rękami, aż sprawa rozwiąże się sama.

–Myślałem o ujęciu tej sprawy z punktu widzenia najbliższego otoczenia ofiary – odparł. – Rozumie pan, jaki skutek wywarło to zabójstwo na reszcie mieszkańców tego budynku, na przyjaciółach i rodzinie zabitego. Zamierzałem również napisać o przebiegu śledztwa oraz o jego ewentualnych postępach. Kapitan Hayward prowadząca dochodzenie jest najmłodszym oficerem śledczym w wydziale zabójstw, a na dodatek kobietą.

Davies wolno pokręcił głową; spomiędzy jego rozchylnych warg dobyło się ciche: – Hmm. – Jak zwykle jego reakcja nie zdradziła tego, co naprawdę myślał.

Smithback, czując narastające zdenerwowanie mówił dalej: -Wie pan, jak to jest, gdy na West Side dojdzie do zagadkowego zabójstwa. Starsze panie od razu wpadają w panikę, boją się nawet wieczorami wyprowadzać swoje ukochane pudelki. Nakreślę w kilku słowach portret zabitego, napiszę trochę o jego pracy, o tym, czym się zajmował i w ogóle. Może w podobny sposób opiszę sylwetkę pani kapitan Hayward.

Davies znów skinął głową, sięgnął po pióro i zaczął metodycznie przesuwać je między złączonymi dłońmi.

–Wie pan, że tego rodzaju artykuły mogą znaleźć się na pierwszej stronie wiadomości z działu miejskiego – dorzucił trochę na chybił trafił Smithback.

Davies odłożył pióro. – Bill, ta sprawa jest o wiele poważniejsza niż to, co pojawia się w artykułach w dziale miejskim. To najpoważniejsza zbrodnia na Manhattanie od czasu zabójstwa Cutfortha, którym się zajmował nasz Bryce, kiedy jeszcze pracował dla „Post”.

Nasz Bryce, pomyślał Smithback, zachowując pokerowe oblicze.

–Tę historię można rozpracowywać na wiele sposobów. Mamy tu nie tylko zabójstwo dokonane w nader niezwykle i makabryczny sposób, lecz również – o czym nie omieszkales wspomnieć – zastanawiającą lokalizację, jeżeli chodzi o samo miejsce zbrodni. Nie zapomnijmy także o ofierze. Ten człowiek był artystą. A śledztwo w jego sprawie prowadzi młoda pani kapitan z wydziału zabójstw. – Przerwał. – Czy nie wydaje ci się, że próbujesz ugryźć naraz więcej, niż jesteś w stanie przełknąć?

–Mogę zrobić z tego cały cykl artykułów. Może nawet dwa cykle. Nie ma sprawy.

–Nie wątpię, że mógłbyś to zrobić, lecz tu pojawia się problem ram czasowych i terminu oddania gotowego artykułu do druku.

Smithback oblizał wargi. Deprymowało go zwłaszcza to, że on sam stał, a Harriman siedział. To nie wróżyło nic dobrego.

Davies kontynuował. – Szczerze mówiąc, nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, że Duchamp był dość sławnym malarzem w pewnych kręgach. Nie był modny ani nawet popularny w środowisku SoHo. Był raczej artystą w stylu Sutton Place albo Fairfield Porter. Bryce i ja rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem.

–Bryce – powtórzył Smithback. To imię miało w jego ustach posmak żółci. – Wczoraj wieczorem?

Davies machnął ręką z wystudiowaną nonszalancją. – Przy drinku w klubie Metropolitan.

Smithback zeszywniał. A więc ten podstępny drań tak to zaaranżował. Zaprosił Daviesa na drinka do wykwintnego lokalu swojego ojca. A Davies, jak wielu naczelnych, których Smithback miał okazję poznać, był łasy na tego rodzaju pochlebstwa. Dał się złapać jak mucha na lep. Redaktorzy naczelni nie umieli wspinać się

po szczeblach drabiny społecznej, zawsze trzymali się trochę z boku, na pograniczu hermetycznego światka sławnych i bogatych w nadziei, że z ich suto zastawionego stołu skapną im, choćby od czasu do czasu, jakieś drobne kąski. Smithback mógł sobie wyobrazić Daviesa wprowadzanego do niedostępnej dla naczelnych twierdzy klubu Metropolitan. Oczyma duszy widział, jak naczelny zasiada w luksusowym fotelu w jednej z sal urządzonych z niezwykłą wytwornością i przepychem, jak usłużni kelnerzy przynoszą mu drinki i jak wita się z najbogatszymi ludźmi tego świata – Rockefellerami, De Menilami, Vanderbiltemi. Tego rodzaju wydarzenia mogły sprawić, że Davies, redaktor naczelny „Timesa” pochodzący z Maplewood w New Jersey, do reszty przewartościował swój sposób postrzegania świata. Od czegoś takiego naprawdę człowiekowi mogło przewrócić się w głowie.

Dopiero teraz ponownie spojrzął na Harrimana. Tandeciarz siedział wygodnie na krześle z nogą założoną na nogę i wydawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na to, co działo się wokół niego. Nie odnalazł spojrzenia Smithbacka. Nie musiał. I doskonale o tym wiedział.

–Nie straciliśmy tu zwykłego, szarego obywatela – ciągnął Davies. – Straciliśmy artystę. A Nowy Jork stał się uboższy o znanego i uznanego twórcę. Widzisz, Bill, nigdy nie wiadomo, kto mieszka obok nas, tuż za ścianą. To może być sprzedawca hot dogów albo pracownik zakładu oczyszczania miasta. A równie dobrze znany i ceniony artysta, prawdziwy samorodny talent, którego dzieła wiszą w większości apartamentów w River House.

Smithback znów pokiwał głową, uśmiech zastygł mu na ustach.

Davies przyglądał krawat. – To bardzo ciekawa opcja. Postanowiłem, że od tej właśnie strony tą sprawą zajmie się mój przyjaciel Bryce.

O, boże. Przez jedną krótką przerażającą chwilę Smithback pomyślał, że znów zostanie mu przydzielona sprawa złodzieja ekshibicjonisty znanego jako Wacek.

–Zajmie się aspektem społecznym tej sprawy. Zna kilku ważnych klientów Duchampa i ma spore koneksje rodzinne. Z nim na pewno zechcą rozmawiać, podczas gdy...

Nie dokończył, ale Smithback w mig pojął aluzję: podczas gdy z tobą nie zamieniliby nawet słowa.

–Krótko mówiąc, Bryce zapewni nam artykuł przesiąknięty tchnieniem wyższych sfer, który z pewnością przypadnie do gustu czytelnikom „Timesa”. Cieszę się, że ty postanowiłeś skoncentrować się na samym śledztwie i reakcji ulicy na tę śmierć. Tak trzymaj.

Śledztwo policyjne i reakcja ulicy. Smithback poczuł, że mięśnie jego szczęki odruchowo się rozluźniły

–Rzecz jasna, nie muszę wam chyba mówić, że macie wzajemnie wymieniać się informacjami oraz potencjalnymi tropami. Sugeruję, abyście ustalili terminarz regularnych spotkań. Po prostu bądźcie ze sobą nawzajem w kontakcie. Ta sprawa jest dostatecznie duża, aby starczyło jej dla was obu, i nic nie wskazuje, aby miała wkrótce przebrzmieć. Tego rodzaju zabójstwa nie cichną zbyt szybko.

W gabinecie zapanowała głęboka cisza.

–Coś jeszcze, Bill? – spytał łagodnym tonem Davies.

–Że, co? Ee, nie. Nic.

–Wobec tego nie będę cię dłużej zatrzymywać.

–Nie, oczywiście, że nie – mruknął Smithback. Był tak wstrząśnięty, wściekły i dezorientowany, że aż zaczął się jękać. – Dziękuję. – Gdy odwrócił się, by wyjść z gabinetu naczelnego, Harriman w końcu spojrzął w jego stronę. Na kretyńskim obliczu byłego pismaka z „Post” malował się złośliwy uśmieszek triumfu i zadowolenia.

Ten uśmieszek zdawał się mówić: do zobaczenia, partnerze, miej się lepiej na baczności.

ROZDZIAŁ 19

–Jak ci minął pierwszy dzień po powrocie do pracy? – spytała Hayward, rozkrajając nożem pierś kurczaka.

–Świetnie. – odpowiedział D'Agosta.

–Singleton nie próbował cię nękać?

–Nie.

–Cóż. Nie było cię w pracy zaledwie dwa dni, to zapewne wyszło ci tylko na korzyść. Singleton bardzo się przejmuje, niekiedy aż do przesady, ale to naprawdę doskonały gliniarz. I dlatego wiem, że obaj jakoś się dogadacie.

D'Agosta skinął głową, przesunął kawałek pomidora po talerzu, po czym włożył do ust. Kurczak cacciatore był jedyną potrawą, którą potrafił przyrządzić praktycznie bez zastanowienia.

–To naprawdę pyszne, Vinnie, serio. Będę musiała częściej wpuszczać cię do kuchni. – I uśmiechnęła się do niego.

D'Agosta odpowiedział uśmiechem. Odłożył widelec i patrzył, jak siedząca naprzeciw niego kobieta z apetytem pałaszuje swoją porcję.

Postarała się wrócić do domu na czas, choć sporo ją to kosztowało. Pochwaliła potrawę, którą przygotował, mimo iż przypalił kurczaka. Nawet nie zapytała, co było powodem jego nagłego wyjścia z omleciarni tego ranka. Najwyraźniej bardzo chciała zapewnić mu niezbędne minimum swobody. Nie była wścibska. Nie wypytywała o sprawy, o których nie chciał z nią rozmawiać. Nagle ni stąd, ni zowąd D'Agosta poczuł w głębi serca przypływ ciepłych uczuć i zdał sobie sprawę, że naprawdę kocha tę kobietę. Dlatego to, co musiał zrobić, wydało mu się jeszcze trudniejsze.

–Przepraszam, że nie mogę należycie docenić obiadu, który przygotowałeś – powiedziała. – Jest tak pyszny, że warto by poświęcić mu nieco więcej czasu. Niestety, zaraz znowu muszę zmykać.

–Jakiś przełom w śledztwie?

–Nie bardzo. Specjalista od wiązania chce urządzać nam wykład na temat węzłów. Prawdopodobnie zamierza w ten sposób zatuszować własny blamaż. Jak dotąd niewiele nam pomógł.

–Naprawdę?

–Uważa, że węzły są azjatyckie, być może chińskie, ale to bynajmniej nie zawęży naszego pola działania.

D'Agosta wziął głęboki oddech. – Czy próbowałaś rozważyć ewentualność, o której wspominałem przy kolacji. Że za tymi zabójstwami może stać brat Pendergasta?

Hayward znieruchomiała, widelec zastygł w powietrzu, w pół drogi do jej ust. – Dowody na poparcie tej teorii są tak nikłe, że trudno brać je w ogóle pod uwagę. To graniczy z szaleństwem. Wiesz, że jestem profesjonalistką. Musisz mi zaufać, że poprowadzę dochodzenie najlepiej, jak to tylko możliwe. Zajmę się twoją teorią w wolnej chwili. Na razie nie mam czasu.

D'Agosta nie skomentował jej słów. Przez chwilę jedli w milczeniu.

–Vinnie – powiedziała, a coś w jej tonie sprawiło, że znów na nią spojrział. – Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

–Nic się nie stało.

Znów się uśmiechnęła, a jej ciemne oczy rozbłysły w sztucznym świetle. – Chciałam tylko powiedzieć, że naprawdę bardzo się cieszę z twojego powrotu do pracy.

D'Agosta przełknął kęs kurczaka. – Dzięki.

–Ta szalona sprawa, którą pozostawił ci w spadku świętej pamięci Pendergast, zbytnio cię zaabsorbowała, pochłonęła bez reszty i niestety pojawiła się w niedogodnym dla ciebie momencie. Może i był wybitnym agentem, ale cóż... trudno go uznać za normalnego. – Wiem, że byłeś jego przyjacielem, wydaje mi się... – przerwała. – Wydaje mi się, że miał na ciebie zły wpływ. Jeszcze to żądanie z za grobu, prośba, abys poprowadził dochodzenie, którego on sam nie mógł dokończyć. Cała ta afera z jego bratem... Muszę przyznać, że mnie to wkurzyło.

D'Agosta, trochę wbrew sobie, poczuł nagły przyływ irytacji. – Wiem, że nigdy go nie lubiłaś. Ale on był przynajmniej skuteczny.

–Wiem, wiem. Nie powinnam mówić źle o zmarłych. Przepraszam.

Irytację zastąpił gwałtowny przyływ żalu i wyrzutów sumienia. D'Agosta milczał.

–Tak czy owak to już przeszłość. Teraz priorytet ma sprawa Wacka. To śledztwo, które powinieneś poprowadzić. Mógłbyś się wreszcie wykazać, Vinnie. Wiem, że cię na to stać. Poradzisz sobie. I znów będzie tak jak dawniej.

D'Agosta wbił nóż w kurze udko, po czym z brzękiem upuścił sztucce na talerz. Miał już dość. Nie mógł dłużej tego odwlekać. Za bardzo cierpiał.

–Lauro – zaczął. – Nie jest mi łatwo, ale muszę to powiedzieć.

–Co takiego?

Wziął głęboki oddech. – Wyprowadzam się.

Zastygła w bezruchu, jakby nie rozumiała jego słów. A potem powoli na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania i bólu; wyglądała jak dziecko uderzone znienacka przez kochającego rodzica. Ujrawszy to bolesne zdumienie w jej oczach, D'Agosta poczuł się naprawdę podle. Nigdy dotąd nie doświadczył czegoś równie nieprzyjemnego.

–Vinnie? – zapytała zaskoczona.

D'Agosta spuścił wzrok. Zapadła długa, krępująca cisza.

–Dlaczego?

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Wiedział tylko, że nie może wyjawić jej prawdy „Lauro, kochanie, może mi grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Ty raczej nie jesteś celem, ale ja na pewno. A pozostając tutaj, naraziłbym również ciebie”.

–Czy zrobiłam coś nie tak? A może czegoś nie zrobiłam?

–Nie – odparł natychmiast. Musiał coś wymyślić, a jako że chodziło o Laurę Hayward, powinno to być coś naprawdę przekonującego. Nie mógł zbyć jej byle czym. – Nie – powtórzył, tym razem nieco wolniej. – Byłaś wspaniała. To nie ma nic wspólnego z tobą. Naprawdę zależy mi na tobie. Chodzi o mnie. Ten nasz związek... Może za bardzo się z tym pospieszyliśmy.

Hayward nie odpowiedziała.

D'Agosta miał wrażenie, jakby właśnie runął w otchłań. Nie pragnął niczego bardziej, jak tylko pozostać z tą kobietą, z tą piękną, troskliwą i czułą kobietą. Wolałby raczej skrzywdzić siebie niż ją. A jednak to właśnie ją skrzywdził, zranił do żywego, przysparzał jej bólu każdym kolejnym słowem. To okropne, co musiał zrobić, ale nie miał wyboru. „Musisz przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności”. D'Agosta wiedział, że jedynym sposobem na ocalenie tego związku i być może również życia Laury Hayward było jego natychmiastowe zerwanie.

–Po prostu potrzebuję większej swobody – ciągnął. – Więcej przestrzeni dla siebie. Muszę przemyśleć parę spraw Zastanowić się na swoim życiu. – Te frazesy brzmiały tak sztucznie, że nie był w stanie mówić dalej. Zapanowała głucha cisza.

D'Agosta siedział, czekając, aż Hayward wpadnie we wściekłość, zacznie obrzucać go inwektywami albo po prostu bezceremonialnie wyrzuci go za drzwi. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Krępująca, nieprzyjemna cisza przedłużała się. To było straszne. W końcu uniosła wzrok. Laura siedziała naprzeciw niego, z dłońmi na podolku, porcja kurczaka cacciatore stygła na talerzu zapomniana; twarz policjantki była blada jak ściana, wzrok miała utkwiony w podłogę. Jej piękne granatowoczarne włosy opadły do przodu, przesłaniając jedno oko. Nie takiej reakcji się spodziewał. To zdumienie, ten ból były o niebo gorsze niż niepohamowany gniew.

W końcu pociągnęła nosem, potarła go palcem wskazującym i odsunęła od siebie talerz. A potem wstała.

–Muszę wracać do pracy – powiedziała tak cicho, że D'Agosta ledwie ją usłyszał. Siedział w bezruchu, a ona machinalnie odgarnęła włosy z twarzy. Zaraz potem odwróciła się i szybkim krokiem pomaszerowała w stronę drzwi. Dopiero gdy dotknęła dłonią klamki, przystanęła, uświadamiając sobie, że zapomniała płaszcz i aktówki. Odwróciła się, powoli podeszła do szafy, włożyła płaszcz i wyjęła aktówkę. Po chwili wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Nie obejrzała się za siebie.

D'Agosta jeszcze długo siedział przy stole, wsłuchując się w tykanie zegara i słabe odgłosy ruchu ulicznego przesączone się z dołu. W końcu wstał, zaniósł talerze do kuchni, wyrzucił obie prawie nietknięte porcje kurczaka do śmieci i zmył naczynia.

A potem odwrócił się, czując się jak sterany życiem starzec, i ruszył do sypialni, aby spakować swoje rzeczy.

ROZDZIAŁ 20

O trzeciej nad ranem rezydencja w stylu Beaux Arts przy Riverside Drive 891, której okna zabito arkuszami blachy falistej, wydawała się pogrążona w głębokim uśpieniu, a może nawet wymarła. Jednakże w podziemiach starego domu, a ściślej rzecz biorąc, w jednym z tuneli wykutych w litej skale podłoża Manhattanu, wyraźnie coś się działo. Najdłuższy tunel, a raczej ciąg połączonych ze sobą piwnicznych izb, ciągnął się na zachód, pod Riverside Drive i Riverside Park w kierunku rzeki Hudson. Na jego końcu toporne schody biegły spiralnie w dół naturalnego otworu w skale, aż do kamiennego nabrzeża, gdzie zalany wodą kanał wiódł przez niewielki zarośnięty chwastami otwór ku rzece. Ponad dwa stulecia temu grasujący na tej rzece pirat, dawny właściciel rezydencji, wypływając nocami na łupieżcze wyprawy, korzystał z owego sekretnego przejścia. Dziś jedynie garstka osób wiedziała o jego istnieniu.

W ukrytym przesmyku słychać było łagodny plusk wioseł. Rozległ się cichy szmer odgarniętego zielonego woalu chwastów i ukazał się podwodny kanał. Noc była mglista, bezksiężycowa, a niewielka łódka wpływająca do tunelu prawie niewidoczna. Prześlizgnęła się bezgłośnie pod niskim kamiennym sklepieniem, aż w końcu przybiła do nadbrzeża z wilgotnej litej skały

Pendergast wysiadł z łódki, przycumował ją do słupka i rozejrzał się dookoła; jego oczy rozbłysły w ciemnościach. Przez kilka minut stał w kompletnym bezruchu, nasłuchując. Następnie wyjął z kieszeni latarkę, zapalił ją i zaczął wspinać się po schodach. Dotarł nimi do dużego pomieszczenia z gablotami, w których znajdowały się broń i elementy zbroi, jedne współczesne, inne natomiast pochodzące aż sprzed dwóch tysięcy lat. Przeszedł przez izbę i znalazł się w starym laboratorium; na czarnych blatach stołów można było dostrzec rząd retort i zlewki.

W kącie laboratorium stała milcząca mroczna postać.

Pendergast ostrożnie postąpił naprzód, sięgając jedną ręką po broń. – Proctor?

–Sir?

Pendergast rozluźnił się. – Otrzymałem sygnał od Constance.

–A ja z kolei wiadomość od pana, że mamy się spotkać tutaj. Choć muszę przyznać, że trochę się zdziwiłem, iż pofatygował się pan osobiście.

–Miałem nadzieję, że to nie będzie konieczne. Tak się jednak złożyło, że sam mam dla Constance pewną ważną wiadomość i niestety muszę ją przekazać osobiście.

Proctor skinął głową. – Rozumiem, sir.

–Od tej pory masz mieć ją stale na oku. To sprawa najwyższej wagi. Znasz Constance, wiesz, jaka jest delikatna i krucha, zwłaszcza psychicznie. I że nie zwykła okazywać swych emocji. Nie sposób stwierdzić, co naprawdę myśli i odczuwa, a przecież wiesz, że przeżyła coś, czego nie doświadczył żaden inny człowiek. Obawiam się, że jeżeli nie będzie się jej traktować z najwyższą troską i ostrożnością...

Nie dokończył. Po chwili Proctor znowu skinął głową.

–To wszystko nie mogło spaść na nas w gorszym momencie. Zamierzam powiedzieć jej, że musi być gotowa w każdej chwili do powrotu w tamto miejsce... gdzie wcześniej ukrywała się przed nami. Gdzie nikt, dosłownie nikt, nigdy jej nie znajdzie.

–Tak jest, sir.

–Znalazłeś wyłom?

–Został znaleziony i odpowiednio zabezpieczony

–Gdzie się znajdował?

–Wygląda na to, że pod Broadwayem biegnie dziewiętnastowieczny kanał ściekowy przechodzący tuż za piwniczkami na owoce. Nie korzystano z niego od pięćdziesięciu lat. Udało mu się przedostać z kanału do jednej z piwniczek na owoce, gdzie wybił otwór w ścianie.

Pendergast spojrział na niego surowo. – Nie znalazł schodów prowadzących na niższy poziom piwnic?

–Nie. Wszystko wskazuje na to, że zabawił w domu zaledwie przez kilka chwil. Zabrał eksponat z jednej z gablot na parterze i czym prędzej wyszedł.

Pendergast wciąż świdrował Proctora wzrokiem. – Musisz upewnić się, że rezydencja jest w pełni zabezpieczona. To się nie może powtórzyć. Rozumiemy się?

–Tak jest, sir.

–To dobrze. A teraz chodźmy do niej.

Wyszli z laboratorium i przemaszerowali przez ciąg izb z mnóstwem przeszklonych gablot i szafek wypełnionych niezliczonymi eksponatami, tworzącymi jedną z największych, jeżeli nie największą kolekcję wypchanych ptaków wędrownych, amazońskich owadów, rzadkich minerałów i buteleczek z różnymi chemikaliami.

Zatrzymali się dopiero w pomieszczeniu pełnym motyli. Pendergast powiódł promieniem latarki po rzędach znajdujących się przed nim gablot. A potem rzucił półgłosem w ciemność.

–Constance? Odpowiedziała mu tylko cisza.

–Constance? – powtórzył nieco głośniej.

Rozległ się cichy szelest materiału, a po chwili jakby znikąd pojawiła się młoda, mniej więcej dwudziestoletnia kobieta. Miała na sobie długą staroświecką białą suknię z koronkową kryzką wokół szyi. Jej delikatna skóra w świetle latarki wydawała się bardzo blada.

–Aloysius – rzekła, obejmując go ramionami. – Bogu niech będą dzięki.

Pendergast przez chwilę tulił ją po prostu do siebie. A potem delikatnie uwolnił się z jej uścisku, odwrócił się na moment i przekręcił małą mosiężną gałkę wprawioną w jedną ze ścian. Pomieszczenie wypełniło się słabym światłem.

–Co się stało, Aloysiusie? – W jej oczach przepelnionych niezwykłą jak na jej wiek mądrością i dojrzałością pojawił się niepokój.

–Powiem ci za chwilę. – Pendergast uspokajającym gestem położył dłoń na jej ramieniu. – Opowiedz mi o tej wiadomości.

–Nadeszła dziś wieczorem. Dość późno.

–Jak ją dostarczono?

–Wsunięto ją przez szparę w drzwiach frontowych.

–Przedsięwzięłaś niezbędne środki ostrożności? Constance skinęła głową. Po czym z jednego z rękawów sukni

wydobyła niewielką wizytówkę w kolorze kości słoniowej w hermetycznie zamkniętej plastikowej torebce.

Pendergast wziął od niej wizytówkę i obrócił w palcach. Z jednej strony na kartoniku wykaligrafowano starannie imię i nazwisko – Diogenes Pendergast. Poniżej różowym atramentem dopisano: piątka mieczy to Smithback.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wizytówkę. W końcu wsunął ją do kieszeni.

–Co to znaczy? – spytała Constance.

–Waham się, czy powiedzieć ci coś więcej. Twoje nerwy i tak są napięte do granic wytrzymałości.

Constance uśmiechnęła się słabo. – Muszę przyznać, że kiedy wszedłeś do biblioteki, wydawało mi się, że... zobaczyłam ducha.

–Słyszałaś o planach mego brata, wiesz, że zamierza mnie zniszczyć.

–Tak. – Constance zbladła jeszcze bardziej i przez chwilę leciutko się zachwiała. Pendergast położył dłoń na jej ramieniu.

Z olbrzymim trudem odzyskała nad sobą panowanie. – Nic mi nie jest. Proszę, mów dalej.

–Zaczął już realizować swój plan. W ostatnich trzech dniach zginęło trzech spośród moich najbliższych przyjaciół. – Pendergast dotknął kieszeni marynarki. – W ten sposób Diogenes chciał poinformować mnie, że jego następnym celem będzie William Smithback.

–William Smithback?

–To reporter z „New York Timesa”. – Pendergast znów się zawahał.

–No i? – rzuciła Constance. – Coś jeszcze nie daje ci spokoju... Widać to po twojej twarzy

–Tak. Trzy pierwsze ofiary były osobami bardzo mi bliskimi. W przypadku Billa Smithbacka sytuacja przedstawia się inaczej. Znam go zaledwie od kilku lat. Uczestniczył w kilku prowadzonych przeze mnie śledztwach, to bardzo dociekliwy dziennikarz. Skuteczny jak mało który. I choć impulsywny, zapalczywy i z pozoru skupiony wyłącznie na robieniu kariery, w gruncie rzeczy to dobry człowiek. Niepokoi mnie bardziej to, że jest nie tyle moim przyjacielem, ile raczej dobrym znajomym. Diogenes zarzucił sieć szerzej, niż sądziłem. Nie tylko moi serdeczni przyjaciele znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To sprawia, że cała ta sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana i trudniejsza, niż myślałem.

–Jak mogę pomóc? – spytała niemal szeptem Constance.

–Zapewniając sobie absolutne bezpieczeństwo.

–Uważasz, że...?

–Że jesteś potencjalnym celem? Tak. To nie wszystko. Trzecią osobą, która zginęła, był Michael Decker, mój stary współpracownik z FBI. Odnalazłem ciało Mike'a wczoraj w jego domu w Waszyngtonie. Zabito go starym bagnetem. Ten modus operandi był ukłonem pod adresem mojego odległego przodka, który zginął w podobny sposób jako oficer armii napoleońskiej podczas kampanii rosyjskiej w roku 1812.

Constance wzdrygnęła się.

–Mój niepokój wzbudziła broń, której użyto. Bo widzisz, Constance ten bagnet pochodzi ze zbiorów zgromadzonych w tym domu.

Zamarła na chwilę, uświadamiając sobie przerażającą prawdę ukrytą pod płaszczykiem misternych aluzji.

–Odylcówka czy lebel? – spytała cicho, niemal automatycznie.

–Odylcówka. Na quillonie wygrawerowane były litery P.S.P. Sprawa jest oczywista. Nie może być mowy o pomyłce.

Constance nie odpowiedziała. Jej czujne inteligentne oczy przepełniło przerażenie, spojrzenie stało się ostrzejsze.

–Diogenes odkrył wejście do tego domu. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie chciał mi przekazać, używając do popełnienia kolejnego morderstwa właśnie tego konkretnego bagnetu.

–Rozumiem.

–W tym domu i tak jesteś o wiele bezpieczniejsza niż poza nim, jak na razie, Diogenes nie wziął cię jeszcze na cel. Proctor odnalazł i zabezpieczył miejsce, przez które Diogenes dostał się do środka, a jak wiesz, ta rezydencja ma całe mnóstwo zabezpieczeń chroniących ją przed intruzami. Proctor będzie nieustannie nad tobą czuwał, a powiadam ci, ten człowiek, choć wygląda niepozornie, ma sporo wyjątkowych talentów. Mimo to ty również musisz zachować najwyższą ostrożność. To bardzo stary i olbrzymi dom. Ma wiele tajemnic. Znasz jego sekrety lepiej niż ktokolwiek inny Postępuj zgodnie z tym, co podpowiada ci instynkt. Jeżeli instynkt zacznie ci sugerować, że coś jest nie tak, ukryj się w sobie tylko znanych zakamarkach tego domu. Bądź gotowa schronić się tam praktycznie w każdej chwili, niejako z marszu. A dopóki nie uporamy się raz na zawsze z tym zagrożeniem, chciałbym, abyś sypiała w swojej kryjówce, gdzie wcześniej chowałaś się przede mną i Wrenem.

W tej samej chwili w oczach Constance pojawił się wyraz paniki. Zacisnęła dłonie na ramionach Pendergasta. – Nie! – krzyknęła z przejęciem. – Nie, nigdy! Nie chcę tam wracać!

Pendergast objął ją mocno i przytulił. – Constance...

–Wiesz, jak bardzo przypomina mi to tamte czasy! Te mroczne miejsca, straszne rzeczy... nie chcę do tego wracać, nie chcę, by mi o tym przypominalo! Nigdy, przenigdy!

–Constance, posłuchaj. Tam będziesz bezpieczna. A ja nie będę mógł zrobić tego, co konieczne, dopóki nie upewnię się, że nic ci nie grozi. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna.

Constance nie odpowiedziała, a Pendergast przytulił ją jeszcze mocniej. – Możesz mi to obiecać? Oparła czoło o jego pierś.

–Aloysiusie – rzuciła łamiącym się głosem. – Ułynęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd siedzieliśmy wspólnie w bibliotece na górze. Czytałeś mi artykuły z gazet. Pamiętasz?

Pendergast skinął głową.

–Zaczynałam właśnie rozumieć. Czułam się jak nurek, który przebywając długo pod wodą, zbliża się ku powierzchni. Chciałabym znowu to poczuć. Nie chcę znów... schodzić w głębinę. Nie chcę się dłużej ukrywać. Rozumiesz to, prawda, Aloysiusie?

Pendergast delikatnie pogładził ją po brązowych włosach.

–Tak, rozumiem. I wszystko będzie tak, jak sobie tego życzysz, Constance. Obiecuję, że twój stan się poprawi. Najpierw jednak musimy się z tym uporać. Pomożesz mi?

Skinęła głową.

Pendergast wolno opuścił ręce. A potem, ujawszy jej twarz w dłonie, łagodnie uniósł ją ku górze i delikatnie, bardzo delikatnie pocałował w czoło. – Muszę już iść.

To rzekłszy, odwrócił się, wtopił w ciemność zalegającą niewielkie pomieszczenie i po chwili już go nie było.

ROZDZIAŁ 21

Była za kwadrans ósma, kiedy Smithback wyszedł z apartamentowca, gdzie mieszkał, spojrzął w stronę West End Avenue i wyciągnął rękę, aby zatrzymać taksówkę. Zdezelowana żółta taryfa, która stała z włączonym silnikiem przy drugim końcu ulicy, ruszyła posłusznie w jego kierunku, a Smithback z westchnieniem ulgi zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

–Róg Czterdziestej Czwartej i Siódmej – powiedział. Taksówkarz, chudy mężczyzna o oliwkowej skórze, czarnych włosach i wyjątkowo niezdrowej cerze, wymamrotał kilka słów w nieznanym języku i ruszył, nie oszczędzając swego starego gruchota.

Smithback rozsiadł się wygodnie i wyjrzał przez szybę, przyglądając się miejscowym budynkom. O tej porze powinien jeszcze spać w najlepsze, czule obejmując młodą żonę. Jednak wspomnienie Harrimana siedzącego w gabinecie naczelnego i uśmiechającego się bezczelnie skłoniło go, aby wcześniej zwał się z łóżka i wyruszył do pracy w nadziei, że choć trochę rozkręci temat, który mu zlecono.

Macie dzielić się informacjami i tropami, powiedział Davies. Akurat. Chrzańć to. Smithback wiedział, że Harriman nie zamierzał niczym się z nim dzielić. I bardzo dobrze.

Zajrzał do redakcji, wpadł do swojego biura, sprawdził, czy w ciągu nocy nie wydarzyło się nic podejrzanego, po czym ruszył w teren. Artykuł, który oddał poprzedniej nocy, był marny, potrzebował czegoś lepszego. Musiał mieć coś więcej, nawet gdyby oznaczało to wykupienie cholernego mieszkania w budynku Duchampa. I nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł: zadzwoni do agenta handlu nieruchomościami i będzie udawał nabywcę...

Kierowca skręcił ostro w Siedemdziesiątą Drugą. – Ej, trochę ostrożniej – rzekł Smithback. – Jestem weteranem, mam ranę, którą odniosłem na wojnie.

W tej samej chwili kierowca zamknął pleksiglasową szybę oddzielającą tylną kanapę w aucie od fotela kierowcy. Wnętrze taksówki cuchnęło czosnkiem, cebulą i kminkiem. Smithback opuścił szybę w tylnych drzwiach. Jak zwykle to cholerstwo udało się otworzyć do jednej trzeciej wysokości. Nastrój Smithbacka, i tak nie najlepszy, pogorszył się jeszcze bardziej.

Może to i lepiej, że wyszedł z mieszkania półtorej godziny wcześniej. Nora od kilku dni miała fatalny humor, niewiele spała i pracowała w muzeum do późnej nocy, wracała do domu grubo po północy. To oraz lodowata wymiana zdań między nią a Margo Green podczas feralnego spotkania w Piszczelach wprowadziło go w minorowy nastrój. Margo była jego starą przyjaciółką i bardzo cierpiał, że dwie drogie jego sercu kobiety nie potrafią się dogadać. Są do siebie bardzo podobne, pomyślał. Odważne, nieustępliwe i piekielnie inteligentne.

W oddali rozciągały się West Side Highway i rzeka Hudson. Zamiast na autostradzie skręcić na południe i skierować się do śródmieścia, kierowca wybrał zjazd na jeden z pasów wiodących na północ.

–Co, u licha? – rzucił Smithback. – Hej, panie, jedzie pan w złym kierunku!

W odpowiedzi kierowca jeszcze mocniej przydeptał pedał gazu i nie zważając na dźwięki klaksonów, zjechał na lewy pas.

Cholera, ten facet chyba w ogóle nie zna angielskiego. Ale się wpakowałem. Smithback zaczął tłuc pięściami w grubą płytę z porysowanego pleksiglasu. – Jedzie pan nie w tę stronę. Rozumie pan? Nie – w – tę – stronę. Powiedziałem Czterdziesta Czwarta. Proszę zjechać w Dwudziestą Piątą i zawrócić!

Kierowca nie odpowiedział. Co więcej, nadal przyspieszał, zmieniając kolejne pasy i wyprzedzając jeden samochód po drugim. Taksówka jak burza minęła zjazd w Dwudziestą Piątą Ulicę.

Smithback poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Jezu, zostałem porwany, czy jak? Sięgnął dłonią do przycisku blokującego otwarcie drzwiczek, ale jak w większości taksówek, tak i w tej został on zdjęty, pozostawiono tylko krótki sztyft znikający pod framugą okna, o którego wyciągnięciu nie było mowy

Znowu zaczął rozpaczliwie walić pięścią w pleksiglasową płytę. – Zatrzymaj wóz! – ryknął, kiedy taksówka z piskiem opon weszła w kolejny zakręt. – Wypuść mnie!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Smithback sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę, aby zadzwonić na policję.

–Proszę to schować, panie Smithback – rozległ się głos z przedniego fotela. – Zapewniam, że jest pan w dobrych rękach.

Smithback znieruchomiał z palcem nad klawiaturą komórki. Znał ten głos, znał go doskonale. Ale z całą pewnością nie należał on do mężczyzny o wyglądzie Turka siedzącego za kierownicą.

–Pendergast? – rzucił z niedowierzaniem. Mężczyzna skinął głową. Patrzył w lusterko wsteczne, przepatrując jadące za nimi auta.

Strach zaczął wolno, bardzo wolno przygasać, zastąpiło go zdumienie i zaskoczenie. Pendergast, pomyślał Smithback. O boże. Dlaczego za każdym razem, kiedy na niego wpadam, ogarnia mnie przynębenie.

–A zatem plotki były jednak przesadzone – powiedział.

–O mojej śmierci? Bez wątpienia.

Smithback domyślał się, że jechali z prędkością co najmniej stu mil na godzinę. Samochody, które mijali, przypominały rozmyte różnokolorowe plamy.

–Mógłby pan powiedzieć, co się dzieje? Albo czemu jest pan w przebraniu? Wygląda pan jak uciekinier z tureckiego więzienia, o ile wolno mi wyrazić swoje zdanie – dorzucił pospiesznie.

Pendergast znów spojrział w lusterko wsteczne. – Zabieram pana w bezpieczne miejsce.

Smithback potrzebował dłuższej chwili, aby pojąć sens tych słów

–Dokąd mnie pan zabiera?

–Jest pan celem zabójcy Wyjątkowo groźnego zabójcy Natura tego zagrożenia zmusiła mnie do podjęcia nadzwyczajnych kroków.

Smithback już miał zaprotestować, ale zmiygotował się. W jego wnętrzu niepokój mieszał się z niedowierzaniem i zdziwieniem. Minęli w szaleńczym pędzie zjazd w Sto Dwudziestą Piątą.

Smithback dopiero teraz zdołał wydobyć z siebie głos. – Ja? Celem zabójcy? Ale za co?

–Im więcej pan wie, tym gorzej dla pana.

–Skąd pan wie, że grozi mi niebezpieczeństwo? Nikogo nie wkurzyłem, a w każdym razie nie w ostatnim czasie.

Po lewej mignęły zabudowania oczyszczalni ścieków North Ri-ver. Spoglądając niepewnie w prawo, Smithback zobaczył – a może raczej wydawało mu się, że zobaczył, prastary mroczny gmach rezydencji przy Riverside Drive 891 wznoszący się ponad tonącymi w zieleni koronami drzew na terenie Riverside Park.

Wóz mknął tak szybko, że opony zdawały się prawie nie dotykać ziemi. Smithback rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu pasów bezpieczeństwa, ale na tylnym siedzeniu taksówki ich nie było. Mijali inne auta tak szybko, jakby wszystkie inne pojazdy stały w miejscu. Niech to cholera, jaki silnik musi mieć ten stary gruchot? Przełknął ślinę. – Nigdzie się nie wybieram, dopóki nie dowiem się, co się dzieje. Jestem od niedawna żonaty.

–Nora da sobie radę. Dowie się, że wyjechał pan służbowo i przez pewien czas będzie nieuchwytny Sam się tym zajmę.

–No jasne, a co z „Timesem”? Pracuję obecnie nad pewną, bardzo ważną sprawą.

–Z pańskim przełożonym skontaktuje się lekarz i powiadomi go, że zapadł pan nagle na bardzo poważną chorobę.

–O nie. Mowy nie ma. W „Timesie” obowiązuje prawo dżungli. Nie ma znaczenia, że jestem chory czy umierający, jeśli nie pojawię się w pracy, stracę przydzielone mi zlecenie.

–Będzie wiele innych.

–Nie takie jak to. Proszę posłuchać, panie Pendergast, nie zgadzam się... O cholera!

Smithback przytrzymał się siedzenia, gdy taksówka w szaleńczym pędzie wyminęła kilka kolejnych aut, lawirując po trzech pasach jezdni i w ostatniej chwili unikając zderzenia z ciężarówką do przewozu drewna. Taksówka płynnie wróciła na pas szybkiego ruchu. Smithback przepełniony dojmującą zgrozą, blady jak ściana, kurczowo trzymał się fotela.

Pendergast znów spojrzął w lusterko wsteczne. Obejrzawszy się do tyłu, Smithback spostrzegł – cztery lub pięć samochodów dalej – czarnego mercedesa sunącego za nimi jak cień, gładko wymijającego inne auta.

Smithback znów spojrzął przed siebie. Nagle, nie wiadomo dlaczego, poczuł, że ogarnia go niepohamowana panika. Przed nimi, na poboczu, policyjny radiowóz zatrzymał furgonetkę, funkcjonariusz zabrał się do wypisywania mandatu. Kiedy przemknęli tuż obok, Smithback zauważył, że gliniarz obejrzał się gorączkowo, z niedowierzaniem, po czym pobiegł do radiowozu.

–Na miłość boską, niech pan zwolni! – wykrztusił, ale jeżeli nawet Pendergast go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

Smithback znów obejrzał się do tyłu. Pomimo iż jechali z olbrzymią prędkością, mercedes wciąż był tuż za nimi. Chyba nawet zmniejszał dzielący ich dystans. Szyby w mercedesie były przyciemnione i nie sposób było dostrzec, kto siedział za kierownicą. W oddali przed nimi pojawiły się tablice informacyjne o zjeździe na międzystanową Dwudziestą Piątą i most Jerzego Waszyngtona.

–Niech pan się mocno trzyma, panie Smithback – rzucił Pendergast, przekrzykując ryk silnika i zawrodozenie wiatru.

Smithback zacisnął palce na uchwycie przy drzwiczkach, a obiema stopami zaparł się o plastikową matę na podłodze. Był tak przerażony, że prawie nie mógł myśleć.

Ruch na drodze zaczął gęstnieć, w miarę jak zbliżali się do dwupasmowego zjazdu, jeden strumień pojazdów kierował się na most i do New Jersey, drugi zaś na wschód, w stronę Bronksu. Pendergast zwolnił, na przemian obserwując ruch na szosie przed nim i mercedesa widocznego w lusterku wstecznym. I nagle, wykorzystując dogodną sytuację, przeciął wszystkie cztery pasy jezdni i zjechał na pobocze po prawej. Dał się słyszeć pisk hamulców i gniewne dźwięki klaksonów zakłócone nieco przez efekt Dopplera, gdy Pendergast ponownie przydeptał pedał gazu i pomknął wzdłuż wąskiego pobocza, podrywając w górę śmieci i kołpaki.

–O cholera! – wykrzyknął Smithback.

Pobocze przed nimi zwężyło się, z prawej strony widać było skraj wysepki rozdzielającej pasy ruchu w przeciwnych kierunkach.

Opony od strony pasażera wjechały na wysepkę, taksówka przechyliła się i zaczęła kołysać jak szalona w przód i w tył, opony piszczwały, a kamienny mur przy zjeździe zbliżał się z zastraszającą szybkością.

Z tyłu dobiegł ich słaby ryk syreny

Pendergast gwałtownie zahamował, po czym, przełączwszy napęd samochodu z dwóch na cztery koła, wjechał w wypatrzoną wcześniej lukę między pojazdami wjeżdżającymi na Trans-Manhattan Expressway. Zmienił pas jeszcze raz, tak szybko, że Smithback spadł z siedzenia, potem drugi i trzeci, przemykając z boku na bok i przez cały czas przyspieszając. Wóz z rykiem silnika pędził w cieniu olbrzymich budynków jak kula

wylatująca z lufy pistoletu.

Ćwierć mili dalej morze czerwonych świateł, migających w półmroku ostrzegało przed nieuchronnym korkiem przy Cross Bronx Expressway. Prawy pas był zablokowany przez pomarańczowe stożki, symbol robót drogowych, lecz jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać ani jednego robotnika i na szosie nic się nie działo. Pendergast zjechał na ten pas, rozrzucając stożki na prawo i lewo. Smithback obejrzał się wstecz. Czarny mercedes wciąż tam był, jechał pięć, może sześć aut za nimi, doganiając ich pomimo kolejnych desperackich manewrów Pendergasta. Jeszcze dalej z tyłu pojawiły się dwa radiowozy z włączonymi syrenami i kogutami.

Nagle Smithback został brutalnie ciśnięty w bok. Pendergast skręcił raptownie na zjazd w Harlem River Drive. Zamiast zwolnić, utrzymywał stałą prędkość blisko stu mil na godzinę. Przy wtórze jęku palonej gumy znów wszedł ostro w zakręt, zahaczając bokiem o kamienny murek przy zjeździe. Dał się słyszeć zgrzyt rozdieranej stali, buchnęła fontanna iskier.

–Ty sukinsynu! Zabijesz...!

Smithback zamilkł, gdy Pendergast znów gwałtownie przyhamował. Taksówka zakołysała się i przejechała przez separator, by dotrzeć do zjazdu na niewielki most rozpostarty nad Harlem River. Wozem silnie zarzuciło, zanim Pendergast odzyskał nad nim kontrolę. A potem znów przyspieszył, gdy przemknęli ponad rzeką i znaleźli się w labiryncie wąskich uliczek, zmierzając w stronę południowego Bronksu.

Czując, że serce podchodzi mu do gardła, Smithback ponownie obejrzał się przez ramię. To niewiarygodne, ale mercedes wciąż tam był i choć został trochę z tyłu, wyraźnie zaczynał przyspieszać. Kiedy tak patrzył, szyba mercedesa od strony kierowcy zaczęła się opuszczać i z wnętrza wozu buchnął kłęb dymu, a zaraz potem dał się słyszeć huk wystrzału.

Przy wtórze głośniego bach! boczne lusterko od strony pasażera rozprysło się w drobny mak unicestwione przez wielkokalibrowy pocisk.

–O cholera! – wrzasnął Smithback.

–Schyl się! – rzucił Pendergast, ale Smithback już przywarł do podłogi, osłaniając głowę dłońmi.

Z tej pozycji cała ta sytuacja prezentowała się znacznie gorzej. To był istny koszmar. Nie widząc nic, Smithback mógł sobie tylko wyobrażać chaos pościgu, gwałtowne zmiany kierunku, pisk opon, ryk silnika, dźwięki klaksonów i przekleństwa w języku angielskim oraz hiszpańskim. A ponad tym wszystkim rozlegał się przybierający na sile jęk policyjnych syren.

Raz po raz był ciskany do przodu, na wsporniki przedniego siedzenia, gdy Pendergast przyhamowywał z impetem, a potem odrzucany w tył, kiedy agent ponownie przyspieszał.

Po kilku minutach, które zdawały się nie mieć końca, Pendergast znów się odezwał.

–Musi pan wstać, panie Smithback. Proszę to zrobić powoli i ostrożnie.

Smithback podniósł się, przytrzymując się fotela. Samochód gnał przez szeroką ulicę w wyjątkowo obskurnej, zapomnianej części Bronksu, lawirując od krawężnika do krawężnika. Instynktownie obejrzał się przez ramię. W oddali dostrzegł mercedesa, który wciąż jechał ich śladem, wymijając sunące znacznie wolniej furgonetki dostawcze i mniejsze samochody. Jeszcze dalej z tyłu widać było sznur co najmniej sześciu policyjnych radiowozów

–Zatrzymamy się na chwilę – rzekł Pendergast. – Najważniejsze jest teraz, aby wysiadł pan za mną z samochodu najszybciej jak to możliwe.

–Wysiadł? – Smithback był tak spanikowany, że jego umysł przestał funkcjonować.

–Proszę robić, co każe. Niech pan trzyma się tuż za mną. Tuż za mną. Czy to jest jasne?

–Tak – wychrypiał Smithback.

Przed nimi droga kończyła się wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego i metalowych rur, a dokładnie na wprost nich znajdowała się potężna brama. Za siatką, na przestrzeni co najmniej pięciu akrów stały jeden przy drugim samochody osobowe, półciężarówki i furgonetki, istne morze pojazdów najróżniejszych marek i rodzajów. Były ustawione blisko siebie, tak że pomiędzy nimi nie przecisnąłby się nawet skuter. Nad bramą wisiała podnieszczona tablica z napisem: wydział policji drogowej Mott Haven – parking zarekwizowanych pojazdów.

Pendergast wyjął z kieszeni niedużego pilota i wcisnął kilka klawiszy, wprowadzając kod. Brama powoli zaczęła się otwierać. Kiedy Pendergast nie zredukował prędkości, Smithback znów kurczowo złapał się uchwytu przy drzwiach i zacisnął zęby.

Wóz minął bramę, mając cal zapasu, a potem z piskiem opon okręcił się bokiem i zadygotawszy potężnie, zatrzymał się przy ścianie innych pojazdów. Pendergast, nie gasząc silnika wyskoczył z taksówki i ponaglącym ruchem ręki, dał Smithbackowi znak, aby uczynił to samo. Reporter nieomal wypadł z samochodu i popędził za Pendergastem, który biegł już co sił w nogach poprzez labirynt samochodów. Zmierzali w stronę drugiego końca parkingu, przedzierając się pomiędzy stojącymi na placu autami. Smithback z trudem był w stanie dotrzymać kroku biegnącemu przed nim agentowi.

Od przeciwległego końca parkingu dzielił ich dystans niemal jednej czwartej mili. W końcu Pendergast przystanął, przy ostatnim rzędzie aut stojących kilkadziesiąt jardów od skraju placu otoczonego taką samą wysoką siatką z rur i drutu kolczastego. Wyłuskawszy z kieszeni kluczyki, agent otworzył drzwiczki zdezelowanej furgonetki chevroleta stojącego w ostatnim rzędzie i ruchem ręki dał Smithbackowi znak, aby wsiadł do środka. Pendergast wślizgnął się za kierownicę, przekręcił kluczyk i silnik furgonetki zagrał równym rytmem.

–Proszę się trzymać – powiedział, a potem wrzucił bieg; furgon wyprysnął naprzód i przyspieszając, ruszył w stronę płotu.

–Chwileczkę! – rzekł Smithback. – Nie przebij się pan przez ten parkan. Obaj tu... o, niech to szlag! – Odwrócił się, osłaniając głowę przed, jak się spodziewał, katastrofalnymi skutkami uderzenia w ogrodzenie.

Rozległ się głośny trzask, furgonetką zatrzęsło, ale samochód, nadal przyspieszając, jechał dalej. Smithback uniósł głowę i opuścił ręce. Serce tłukło mu się w piersi, kiedy reporter obejrzał się za siebie. I zobaczył, że fragment ogrodzenia został wyrwany; w jego miejscu ziała teraz rozległa prostokątna dziura.

–Metalowe wsporniki zostały wcześniej przecięte i zaspawane, aby się trzymały – rzekł, gwoli wyjaśnienia Pendergast, prowadząc teraz o wiele wolniej i lawirując wśród labiryntu wąskich krętych uliczek; równocześnie agent zdjął perukę i jedwabną chustką oczyścił twarz z warstwy teatralnej szminki. Czarny mercedes i radiowozy znikły.

–Proszę mi pomóc.

Smithback przesiadł się na przednie siedzenie i pomógł Pendergastowi zdjąć tanią zaplamioną poliestrową brązową bluzę, odsłaniając znajdującą się pod nią białą koszulę od garnituru i krawat.

–Gdyby był pan tak uprzejmy i podał mi moją marynarkę.

Smithback zdjął z wieszaka za przednim siedzeniem nieskazitelnie odprasowaną marynarkę od garnituru. Pendergast błyskawicznie ją włożył.

–Zaplanował pan to wszystko, prawda? – zapytał Smithback. Pendergast skrzywił się Sto Trzydziestą Ósmą Wschodnią. – Przy tego rodzaju sprawach planowanie perspektywiczne znaczy tyle co różnica między życiem a śmiercią.

Smithback w jednej chwili przejrzał plan agenta.

–Ten facet, który nas gonił... Zwabił go pan w jedyne miejsce, gdzie nie mógł kontynuować pościgu. Tego

policyjnego parkingu nie ma jak objechać.

–Nieprawda, można go objechać, ale wymaga to pokonania dodatkowych trzech mil zatłoczonymi bocznymi uliczkami. – Pendergast skręcił na północ, kierując się ku Sheridan Expressway.

–Ale kto to był, u licha? Czy to ten facet, który jak pan twierdzi, usiłuje mnie zabić?

–Jak już mówiłem, im mniej pan wie, tym lepiej. Choć muszę przyznać, że szaleńczy pościg i użycie broni palnej jakoś mi do niego nie pasuje. To nazbyt prymitywne i prostackie rozwiązanie. Może uznał, że okazja wymyka mu się z rąk i zaczął chwycić się desperackich, rozpaczliwych metod. – Spojrzał na Smithbacka z lakonicznym wyrazem twarzy. – To jak, panie Smithback? Udało mi się przekonać pana?

Smithback wolno pokiwał głową. – Ale dlaczego ja? Co ja takiego zrobiłem?

–Na to pytanie nie mogę panu odpowiedzieć.

Serce Smithbacka zaczęło z wolna wracać na swoje miejsce. Reporter czuł się jak wyżęta i bezceremonialnie ciśnięta w kąt szmata. Bywał już wcześniej z Pendergastem w rozmaitych tarapatkach. I w głębi duszy wiedział, że tamten nie zachowywałby się w ten sposób, gdyby nie było to absolutnie konieczne. Nagle jego kariera w „Timesie” zeszła na drugi plan.

–Proszę mi oddać swój portfel i telefon komórkowy. Smithback wykonał polecenie. Pendergast włożył je do schowka na rękawiczki, po czym wręczył mu drugi skórzany portfel.

–Co to ma być?

–Pańska nowa tożsamość.

Smithback otworzył portfel. Nie było w nim pieniędzy, a jedynie legitymacja z ubezpieczalni i nowojorskie prawo jazdy.

–Edward Murdhouse Jones? – odczytał na głos.

–Zgadza się.

–No dobrze, ale... Jones? Daj pan spokój, przecież to takie oklepane.

–I właśnie dlatego nie będziesz miał problemu z zapamiętaniem swego nowego nazwiska... Edwardzie.

Smithback wcisnął portfel do tylnej kieszeni. – Jak długo to potrwa?

–Mam nadzieję, że niedługo.

–Co to znaczy, że ma pan nadzieję? Dzień lub dwa? Bez odpowiedzi.

–A tak na marginesie, dokąd mnie pan zabiera?

–Do River Oaks.

–Do River Oaks? Dom wariatów dla milionerów?

–Jest pan obecnie cierpiącym na dość poważne zaburzenia synem inwestora bankowego z Wall Street, który wymaga spokoju, odprężenia, niezbyt absorbującej terapii i odrobiny odosobnienia, innymi słowy, oderwania od tego szalonego świata.

–Chwileczkę, nie dam się zamknąć u czubków...

–Śmiem twierdzić, że w River Oaks się panu spodoba. To naprawdę luksusowy pensjonat. Będzie pan miał własny pokój, wykwintne posiłki godne królewskiego stołu, że nie wspomnę o ciekawym, nader eleganckim otoczeniu. Tamtejsza okolica jest po prostu urocza, szkoda, że akurat teraz zalega ją gruba na dwie stopy

warstwa śniegu. W River Oaks mają salon odnowy biologicznej, bibliotekę, salę bilardową, wszelkie wygody, o jakich mógłby pan sobie zamarzyć. Zakład założono w dawnej rezydencji Vanderbiltów w hrabstwie Ulster. Dyrektor to bardzo życzliwy i wyrozumiały człowiek. Zapewniam, że potrafi być niezwykle troskliwy. Ale, co ważniejsze, miejsce to jest absolutnie niedostępne dla zabójcy, który postawił sobie za cel odebrać panu życie. Przykro mi, ale naprawdę nie mogę wyjawić panu nic więcej.

Smithback westchnął. – Ten dyrektor będzie wiedział o mnie wszystko, zgadza się?

–Otrzymał wszelkie niezbędne informacje. Będzie pan dobrze traktowany. Właściwie mogę zagwarantować, że będzie pan traktowany w sposób szczególny.

–Żadnego wmuszania leków na siłę? Kaftanów bezpieczeństwa? Terapii elektrowstrząsowej?

Pendergast uśmiechnął się słabo. – Nic z tych rzeczy, może mi pan zaufać. Będzie pan mógł poruszać się swobodnie po całym terenie zakładu. Godzina terapii dziennie i to wszystko. Dyrektor wie o wszystkim, ma wszelkie niezbędne dokumenty. Nabyłem trochę rzeczy, które powinny na pana pasować.

Smithback milczał przez chwilę. – Wykwintne posiłki, powiada pan?

–W nieograniczonych ilościach.

Smithback wychylił się nieznacznie do przodu. – A co z Norą? Będzie się o mnie martwić.

–Jak już wspomniałem, zostanie poinformowana, że „Times” wysłał pana służbowo ze specjalnym zadaniem. Biorąc pod uwagę, jak bardzo jest zajęta przy przygotowaniach do otwarcia nowej wystawy, prawie nie będzie miała czasu, aby o panu pomyśleć.

–Skoro ktoś poluje na mnie, ona również może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Muszę być teraz przy niej, aby ją ochronić.

–Zaręczam, że w chwili obecnej Norze absolutnie nic nie grozi. Ale będzie jej grozić dopóty, dopóki będzie pan przebywać blisko niej. Ponieważ to pan jest celem zabójcy. Musi się pan ukryć i powinien pan to zrobić nie tylko dla swojego, lecz również dla jej dobra. Im dalej od niej, tym bardziej będzie bezpieczna.

Smithback jęknął. – To będzie prawdziwa katastrofa dla mojej kariery

–Pańska kariera ucierpi o wiele bardziej, jeżeli umrze pan gwałtowną i przedwczesną śmiercią.

Smithback czuł pękaty kształt portfela, który wcisnął do tylnej kieszeni.

Edward Murdhouse Jones. – Przykro mi, ale to wszystko ani trochę mi się nie podoba.

–Czy to się panu podoba, czy nie, ratuję panu życie.

Smithback nie odpowiedział.

–Czy to jest dla pana jasne, panie Smithback?

–Tak – odparł Smithback, w głębi duszy czując, że ogarnia go coraz większe przygnębienie.

ROZDZIAŁ 22

Nora Kelly próbowała odciąć się od hałasu panującego w sali muzealnej i skoncentrować uwagę na leżącej przed nią skrzyni z piaskiem. Z jednej strony przygotowała rzeczy, które miała tam włożyć: szkielet z masy plastycznej oraz cały zestaw grobowych precjozów – bezcenne przedmioty ze złota, nefrytu, ceramicznej polichromii, kości i rzeźbionych muszli. Po drugiej stronie wielkiej skrzyni postawiła zdjęcie prawdziwego grobowca zrobione zaledwie kilka chwil po dokonaniu zdumiewającego odkrycia. Był to grobowiec księżniczki Majów z IX w, niejakiej Chac Xel, a zadaniem Nory było odtworzenie go w najdrobniejszych szczegółach na wystawę Święte wizerunki.

Gdy tak kontemplowała swoje dzieło, usłyszała przez ramię ciężkie sapanie rozdrażnionego strażnika, który wściekał się, że przeniesiono go z Sali Ptaków Morskich, gdzie zwykle nie miał wiele pracy, do tego ula przeraźliwych hałasów i gorączkowej krzątaniny w samym centrum wystawy Święte wizerunki.

Nora jednak nie pozwoliła się popędzać. Usłyszała, że potężnie zbudowany strażnik przestępuje nerwowo z nogi na nogę i wzdycha teatralnie, jakby chciał ponaglić ją do działania. Artefakty, które miała rozmieścić, były wyjątkowo delikatne i wymagały wyteżonej uwagi i ostrożności. Raz jeszcze spróbowała odłączyć się od warkotu rozmaitych sprzętów, wizgu pił, jęku wiertarek, rozlegających się okrzyków oraz gniewnych komentarzy pojawiających się raz po raz kustoszów, konstruktorów i asystentów. Co więcej, z uwagi na kolejną, już nie wiadomo którą modernizację systemu bezpieczeństwa muzeum, przed planowanym otwarciem byli zmuszeni co pewien czas rzucać wszystko i opuszczać sale muzealne na czas instalacji czujników i prób testowych oprogramowania. To był istny dom wariatów.

Nora znów skupiła uwagę na znajdującej się przed nią skrzyni z piaskiem. Zaczęła od ułożenia kości, kładąc je na piasku zgodnie z tym, co widziała na fotografii. Księżniczki nie ułożono na płasko, w stylu zachodnim, jej ciało zostało związane pasami jak mumia, kolana miała podciągnięte do brody, oplecione ramionami, całość zaś owinięto starannie przepięknie tkanymi kocami. Materiał zbutwiał, co sprawiło, że kości szkieletu rozsypały się po podłodze grobowca, a teraz Nora pieczołowicie usiłowała odtworzyć ich układ.

Potem przyszła kolej na ułożenie przedmiotów, które znaleziono w grobowcu. W przeciwieństwie do kości te rzeczy były prawdziwe i dosłownie bezcenne. Włożyła bawełniane rękawiczki i podniosła najcięższy artefakt: potężny pektorał z kutego elek-trum przedstawiający jaguara otoczonego glifami. Uniosła go i na krótką chwilę zapatrzyła się w grę światła na złocistych krzywiznach. Położyła delikatnie pektorał na klatce piersiowej szkieletu. Potem przyszła kolej na złoty naszyjnik, który ułożyła wokół kręgów szyjnych mumii. Na kościste palce wsunęła pół tuzina złotych pierścieni. Czaszkę ozdobiła tiarą ze szczerego złota, inkrustowaną nefrytami i turkusami. Starannie rozstawiła wokół ciała półokrąg z mis ofiarnych, w których znalazły się polerowane nefryty, turkusy i błyszczące okruchy czerwonego obsydianu. Potem zajęła się rytualnym, obsydianowym nożem mierzącym blisko stopę długości, z klingą pełną paskudnych zadziórów, tak

ostrzych, że łatwo się było skaleczyć, jeżeli tylko ktoś był dostatecznie nieuważny, obchodząc się z tą starą, lecz wciąż niebezpieczną bronią.

Znieruchomiła na chwilę. Ostatnim artefaktem była maska, warta grube miliony, wykonana z jednego nieskazitelnego bloku ciemnozielonego nefrytowego jadeitu, z oczyma z rubinów i okruchów białego kwarcu i zębami z turkusów

–Proszę pani – rzucił strażnik, wrywając ją z zamyślenia. – Za piętnaście minut mam przerwę.

–Wiem o tym – ucięła oschle Nora.

Już miała sięgnąć po maskę, gdy z oddali dobiegł ją głos Hugona Menziesa; mimo iż niezbyt donośny, był wyraźnie słyszalny pośród panującego dokoła hałasu. – Świetna robota – mówił. – Cudowna!

Nora uniosła wzrok, aby ujrzeć postać o zmierzwionych gęstych włosach, maszerującą przez całą długość sali, przestępującą uważnie ponad rozciągniętymi na podłodze przewodami elektrycznymi, stertami trocin, płachtami folii bąbelkowej i innymi pozostałościami po pracach konstrukcyjnych. Witał się z osobami, które mijał, kiwał głową z aprobatą i dla każdego miał życzliwe słowo. Znał z imienia wszystkich, od prostego stolarza po muzealnych kustoszów. Każdy mógł liczyć na skinienie głowy, uśmiech, na dobre słowo z jego

strony Jak bardzo różnił się od Ashtona, głównego kustosza wystawy, dla którego ujmę stanowiła rozmowa z kimś, kto nie mógł poszczycić się stopniem doktorskim.

Po zebraniu Nora była wściekła na Menziesa, że postanowił opowiedzieć się po stronie Margo Green, jednakże na człowieka pokroju Menziesa nie sposób się było złościć; całym sercem wierzył w to, co robił, czego osobiście była świadkiem, zarówno w sprawach błahych, jak i szczególnie ważnych, kiedy z podziwu godną zaciętością uporczywie wspierał ich wydział. Nie, na Hugona Menziesa nie można się było gniewać.

Z Margo Green to całkiem inna sprawa.

Menzies zbliżał się. – Witaj, Frank – rzekł do strażnika, kładąc mu rękę na ramieniu. – Cieszę się, że cię widzę.

– Nawzajem, proszę pana – odrzekł strażnik, prężąc się jak struna. Grymas znużenia w jednej chwili znikł z jego twarzy

– Aaach – Menzies odwrócił się do Nory. – Ta klasyczna, jadeitowa maska jest jednym z moich ulubionych eksponatów w całym muzeum. Wiesz, dlaczego jest taka cenna? Bo jej twórcy polerowali ją ręcznie do gładkości żdźbłami traw. Ale ty to już doskonale wiesz.

– Owszem, tak.

Menzies się zaśmiał. – Oczywiście. Gdzie ja miałem głowę? Doskonała robota, Noro. To będzie perełka naszej wystawy. Czy mogę popatrzeć, jak układasz maskę?

– Oczywiście.

Sięgnęła i z pewną nieśmiałością podniosła maskę dłońmi w białych bawełnianych rękawiczkach. Ostrożnie położyła ją na piasku ponad głową szkieletu, gdzie ją znaleziono, po czym poprawiła jej ułożenie i upewniła się, że wcisnęła ją dostatecznie głęboko w piach.

– Trochę bardziej w lewo, Noro. Skorygowała umiejscowienie maski.

– Doskonale. Cieszę się, że mogłem to zobaczyć. – Uśmiechnął się, mrugnął i ruszył dalej w otchłań chaosu, pozostawiając za sobą ludzi, którzy odtąd dawali z siebie jeszcze więcej, choć z pozoru mogło to się wydawać niemożliwe.

Nora nie mogła się nadziwić jego umiejętnościom radzenia sobie z ludźmi.

Ekspozycja była gotowa, ale Nora chciała sprawdzić ją raz jeszcze. Przebiegła wzrokiem listę eksponatów i skorygowała ich liczbę z tym, co widniało na fotografii. Nie mogła się pomylić; kiedy skrzynia zostanie zamknięta w gablocie z nietłukącego kuloodpornego szkła, ponownie wyjmą ją stamtąd dopiero po zamknięciu wystawy, za cztery miesiące.

Po raz ostatni sprawdziła zawartość skrzyni i właśnie wtedy, nie wiadomo dlaczego, pomyślała o Billu. Wyjechał do Atlantic City, aby napisać artykuł o jakimś kasynie i wróci dopiero... właśnie zdała sobie sprawę, że nie wiedziała, kiedy ma wrócić jej mąż. Mówił tak mętnie. I to wszystko stało się tak nagle. Czy to właśnie oznaczało bycie żoną reportera? A co z morderstwem, którym się zajmował? Poza tym, czy nie był dziennikarzem działu miejskiego? Być może artykuł o kasynie w New Jersey podlegał działowi miejskiemu, ale mimo wszystko... Miał taki dziwny głos, gdy rozmawiała z nim przez telefon, był taki zdyszany, taki spięty

Westchnęła i pokręciła głową. Może to i lepiej, zważywszy że praktycznie teraz by się nie widywali, biorąc pod uwagę kierat, w jakim się znajdowała. Do czasu otwarcia mieli w muzeum prawdziwy dom wariatów. Jak zawsze wszystko było grubo spóźnione, a Ashton wkroczył na wojenną ścieżkę. Słyszała głos głównego kustosza, który rugał kogoś ostro na drugim końcu sali.

Strażnik ponownie westchnął ostentacyjnie, wrywając ją z krótkiego zamyślenia.

– Jeszcze chwileczkę – rzuciła przez ramię. – Musimy to już tylko zapieczętować.

Spojrzała na zegarek. Już wpół do czwartej. Pracowała od szóstej. Zapowiadało się, że nie skończy przed

północą, a każda minuta zmarnowana teraz oznaczała sen krótszy o ceną minutę.

Nora zwróciła się do brygadzysty, który stał nieopodal, czekając na tę właśnie chwilę. – Można już zamknąć gablotę.

Niebawem spora grupa robotników pod czujnym okiem brygadzysty, przy wtórze głośniego sapania i zduszonych przekleństw, zaczęła zamocowywać ciężką płytę z pancernego szkła przed grobowcem Chac Xel.

–Noro?

Odwróciła się. To była Margo Green. Jak zawsze nie w porę.

–Witaj, Margo.

–No! no! Przepiękna wystawa.

Nora kątem oka spostrzegła skrzywioną, kwaśną minę strażnika, słyszała też sapanie robotników zamykających komorę grobowca.

–Dzięki. Jak widzisz, wszyscy uwijamy się tu jak w ukropie.

–Widzę. – Zawahała się. – Nie chcę zabierać ci więcej czasu, niż to będzie konieczne.

Więc nie zawracaj mi głowy, pomyślała Nora, siląc się na nieszczery uśmiech. Miała do przygotowania i zamknięcia jeszcze cztery inne ekspozycje. Mogła tylko beczynnie patrzeć, jak robotnicy mocują się z taflą grubego szkła. Gdyby ją upuścili...

Margo podeszła bliżej i zniżyła głos. – Chciałam przeprosić za mój sarkastyczny komentarz podczas zebrania.

Nora wyprostowała się. Nie tego się spodziewała.

–To nie było zamierzone. Twoje argumenty są w pełni wyważone i zasadne. To ja zachowałam się nieprofesjonalnie. Tyle tylko że... – Margo zawahała się.

–Że co?

–Jesteś tak cholernie... Kompetentna. I elokwentna. Poczułam się onieśmielona.

Nora nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Spojrzała na Margo, która zaczerwieniła się, usiłując ją przeprosić.

–Ty też nie dajesz sobie w kaszę dmuchać – powiedziała w końcu.

–Wiem. Obie jesteśmy uparte. Ale upór to pozytywna cecha, zwłaszcza gdy się jest kobietą.

Nora uśmiechnęła się mimowolnie – i tym razem zrobiła to szczerze. – Nie nazywajmy tego uporem, ale raczej odwagą i umiejętnością obrony własnych przekonań.

Teraz to Margo się uśmiechnęła. – Tak, to brzmi o wiele lepiej. Choć wielu ludzi nazwałoby to po prostu paskudną, złośliwą wrednością.

–No i co z tego? – Odpowiedziała Nora. – Czasami dobrze jest pokazać się z tej paskudnej, złośliwej, wrednej strony.

Margo zaśmiała się. – Tak czy owak, Noro, chciałam cię przeprosić. Naprawdę jest mi bardzo przykro.

–Doceniam to, co zrobiłaś. Przeprosiny przyjęte. Dziękuję, Margo.

–Na razie.

Nora stała zdezorientowana, na krótką chwilę zapominając o ekspozycji, i patrzyła, jak szczupła sylwetka Margo znika w głębi sali, gdzie na krótko przed otwarciem wystawy, wciąż panował nieopisany chaos.

ROZDZIAŁ 23

Kapitan Laura Hayward siedziała na plastikowym krześle w laboratorium kryminalistyki na jedenastym piętrze komendy głównej policji, usilnie starając się nie patrzeć na zegarek. Archibald Quince, szef zespołu ekspertów z działu analizy włókien, rozprawiał o czymś zawzięcie; krążył w tę i z powrotem przed stołem, na którym zgromadzone były materiały dowodowe. W jednej chwili ubrany w biały kitel mężczyzna trzymał ręce z tyłu, za plecami, w następnej zaczynał gestykulować z ożywieniem. Jego zachowanie zdradzające gniew, zdumienie i emocje świadczyło o jednym -mężczyzna był w kropce.

Quince znieruchomiał w pół kroku, po czym odwrócił się do niej, jego wąska, koścista sylwetka wydawała się pełna kantów. – Pani pozwoli, że dokonam krótkiego podsumowania.

Dzięki bogu, pomyślała Hayward. Nareszcie światło w tunelu.

–Jedynie garstka włókien, które zebraliśmy, okazała się nie pochodzić z miejsca zbrodni. Kilka było przyklejonych do sznurów, których użyto do skrępowania ofiary; inne znaleziono na kanapie, gdzie położono ofiarę post mortem. Możemy zatem śmiało założyć, że doszło do wymiany włókien pomiędzy mordercą a miejscem, gdzie dokonano zabójstwa. – Zgadza się?

–Zgadza się.

–Jako że wszystkie włókna były jednakowe pod względem długości, budowy, układu, rodzaju, splotu itp., możemy zakładać, że mamy tu do czynienia z pierwotnym, a nie wtórnym transferem włókien. Innymi słowy, są to włókna z ubrania zabójcy, a nie włókna, które zabójca miał na ubraniu.

Hayward pokiwała głową, zmuszając się do wytężonej uwagi. Przez cały dzień, kiedy była pochłonięta pracą, odczuwała coś bardzo dziwnego i miała wrażenie, jakby unosila się oderwana od swego materialnego ciała. Nie wiedziała, czy było to skutkiem przemęczenia, czy wstrząsu wywołanego nagłym odejściem D'Agosty. Chciała poczuć gniew, wściec się za to, co się stało, ale nie była w stanie – przepełniał ją jedynie smutek i żal. Zastanawiała się, gdzie teraz jest i co robi. Ale co istotniejsze, zadawała sobie pytanie, dlaczego uznał coś tak pięknego, co ich połączyło, za krępującą i niechcianą niedogodność.

–Pani kapitan?

Hayward zdała sobie sprawę, że zadano jej pytanie, na które nie odpowiedziała. Błyskawicznie uniosła wzrok. – Słucham?

–Pytałem, czy chciałaby pani zobaczyć próbkę? Hayward wstała. – Oczywiście.

–To wyjątkowo dobrej jakości włókno zwierzęce, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Zidentyfikowaliśmy je jako nader rzadki rodzaj kaszmiru z niewielką domieszką merynosa. Bardzo, naprawdę bardzo drogie. Jak pani zauważy, oba rodzaje włókien przed spleceniem zostały zafarbowane na czarno. Ale proszę, niech pani sama zobaczy. Odstępując krok do tyłu, Quince gestem wskazał jej mikroskop stereoskopowy stojący przy stole laboratoryjnym.

Hayward podeszła bliżej i spojrzała przez okular. Na jasnym tle widać było pół tuzina smukłych czarnych nitok, gładkich, lśniących i bardzo równych.

„Bardzo, ale to bardzo drogi”. Choć w dalszym ciągu czekała na dostarczenie przez ekspertów portretu psychologicznego sprawcy, kilka rzeczy, które się z nim wiązały, były dla niej oczywiste. On – a może ona – był bardzo inteligentny, wyrafinowany i dysponował sporymi funduszami.

–Barwnik także okazał się trudny do identyfikacji. Został sporządzony na bazie pigmentu roślinnego, a nie syntetycznych substancji chemicznych, ale nie udało nam się określić czynnika barwiącego. Nie ma go w żadnej z przeszukanej przez nas baz danych. Najbardziej zbliżonym źródłem wydaje się gatunek jagód rosnących na górskich stokach Tybetu, wykorzystywany przez miejscowe plemiona oraz Szeerpów.

Hayward cofnęła się od mikroskopu. Gdy tak słuchała słów eksperta, poczuła, że coś zaczyna jej świtać w

głowie. Miała niezawodny instynkt i zazwyczaj tego rodzaju odczucia oznaczały, że dwa elementy układanki łączyły się ze sobą. Jednak w tym momencie nie była w stanie określić, o które elementy układanki chodziło. Chyba była bardziej zmęczona, niż się jej wydawało. Powinna wrócić do domu, zjeść wcześniej kolację i spróbować się trochę przespać.

–Pomimo ich delikatności włókna są splecione bardzo ciasno – rzekł Quince. – Wie pani, co to oznacza?

–Wyjątkowo miękki i wygodny element garderoby?

–Tak. Ale nie w tym rzecz. Tego rodzaju rzeczy nie gubią łatwo włókien. Są bardzo trwałe. Stąd taka mała liczba włókien.

–Być może to dowód na walkę, jaka się tam rozegrała.

–Też tak pomyślałem – Quince zmarszczył brwi. – Zazwyczaj fakt, że materiał jest niepospolity, okazuje się bardzo ważny dla osoby, która go bada. Pomaga to w zidentyfikowaniu podejrzanego. W tym przypadku jednak materiał jest tak niezwykły, że skutek jest dokładnie odwrotny. Nie mamy niczego takiego w żadnej znanej nam bazie danych włókien tekstylnych. Poza tym z tą próbką wiąże się jeszcze jedna dziwna rzecz: a mianowicie wiek włókien.

–To znaczy?

–Nasze badania wykazały, że materiał został utkany co najmniej dwadzieścia lat temu. A jednak samo ubranie wcale nie wydaje się aż tak stare. Włókna nie są zniszczone. Brak śladu uszkodzeń czy odbarwień, jakie mogłyby nastąpić wskutek noszenia czy wielokrotnego prania chemicznego. Zupełnie jakby ten element garderoby został wczoraj zdjęty z wieszaka w salonie odzieżowym.

Dopiero teraz Quince zamilkł. Wyciągnął obie ręce do przodu, dłonie odwrócił wnętrzami do góry, jakby w błagalnym geście.

–No i? – rzekła Hayward.

–To wszystko. Jak już wspominałem, wszystkie nasze poszukiwania spełzyły na niczym. Sprawdziliśmy wytwórnie włókiennicze, zakłady odzieżowe, i to dosłownie wszystkie. Zarówno krajowe, jak i zagraniczne. Tak samo jak w przypadku sznura. Ten materiał, na tyle, na ile jesteśmy w stanie stwierdzić, sprawia wrażenie, jakby utkano go na Księżycu.

„Na tyle, na ile jesteśmy w stanie stwierdzić”? – Przykro mi, ale to nie wystarczy. – Zmęczenie i zniecierpliwienie przydały jej głosowi gniewnego tonu. – Doktorze Quince, w tej sprawie dysponujemy zaledwie garstką dowodów, a te włókna należą do najważniejszych spośród nich. Sam pan powiedział, że ten materiał jest wyjątkowo rzadki. Jeżeli sprawdził pan już wytwórnie włókiennicze i zakłady odzieżowe, powinien pan także wziąć pod lupę pojedynczych krawców

Bezlitośnie zganiony Quince skulił się jak zbity pies. Jego duże, smutne jak u spaniela oczy zamrugały nerwowo przepełnione bólem. – Ależ pani kapitan, biorąc pod uwagę wszystkie zakłady krawieckie na całym świecie, byłoby to szukaniem igły w stogu...

–Skoro ten materiał jest rzeczywiście tak niezwykły, jak pan mówi, należałoby skontaktować się z najbardziej ekskluzywnymi i najdroższymi salonami krawieckimi. I tylko w trzech miastach: Nowym Jorku, Londynie i Hongkongu.

Hayward zdała sobie sprawę, że ciężko oddycha i że podniosła głos. Uspokój się, powiedziała do siebie w myślach.

W nieprzyjemnej ciszy, jaka zapadła w laboratorium, Hayward usłyszała dyskretne chrząknięcie. Obejrzała się przez ramię i ujrzała w drzwiach komendanta Singletona.

–Glen – rzuciła, zastanawiając się, od jak dawna tam stał.

–Lauro – Singleton skinął głową. – Mogę cię prosić na słówko?

–Oczywiście – Hayward ponownie odwróciła się do Quince'a. – Proszę przygotować dla mnie na jutro raport uzupełniający – I wyszła z Singletonem na korytarz.

–Co się stało? – spytała, gdy przystanęli na zatłoczonym korytarzu. – Już prawie pora na zebranie u Rockera.

Singleton odczekał chwilę, zanim odpowiedział. Miał na sobie elegancki garnitur w prążki, a pomimo iż było późne popołudnie, jego biała koszula wyglądała na świeżą, czystą i wykrochmaloną, jakby dopiero co ją włożył.

–Skontaktował się ze mną agent specjalny Carlton z terenowego oddziału Federalnego Biura Śledczego w Nowym Jorku – powiedział, gestem ręki dając jej znak, aby zeszła z drogi krążącym w tę i z powrotem środkiem korytarza policjantom. – Zrobił to na polecenie z Quantico.

–A o co konkretnie chodzi?

–Słyszałaś kiedykolwiek nazwisko Michael Decker? Hayward zamyśliła się przez chwilę, po czym pokręciła głową przecząco.

–Był sporą szychą w FBI, mieszkał w zamożnej dzielnicy Waszyngtonu. Człowiek ten został wczoraj zamordowany Wbito mu w usta bagnet. Paskudna sprawa, jak się zapewne domyślasz, FBI łaknie krwi. Wzięli pod lupę wszystkich kolegów Deckera, aby określić, czy miał on w przeszłości jakichś wrogów, którzy mogliby chcieć wyrównać z nim rachunki. – Singleton wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że dobrym kolegą i jednym z najlepszych przyjaciół Deckera był niejaki Pendergast.

Hayward gwałtownie podniosła wzrok i spojrzała na niego. – Agent Pendergast?

–Zgadza się. Pracowałaś z nim przy zabójstwie Cutforth, zgadza się?

–I nie tylko. Miałam okazję poznać go dużo wcześniej, przy innym dochodzeniu.

Singleton pokręcił głową. – Jako że Pendergast zaginął i jest uważany za zmarłego, Carlton poprosił mnie, abym sprawdził wszystkich jego współpracowników w policji nowojorskiej. Mam się dowiedzieć, czy kiedykolwiek mówił komuś o Deckerze albo o jego wrogach. Pomyślałem, że możesz coś wiedzieć na ten temat.

Hayward zamyśliła się przez chwilę. – Nie, Pendergast nigdy nie wspominał przy mnie o Deckerze. Zawahała się. – Może powinieneś porozmawiać z porucznikiem D'Agostą, znał go od blisko siedmiu lat i współpracował z nim co najmniej przy trzech dochodzeniach.

–Naprawdę?

Hayward pokiwała głową, a w głębi duszy miała nadzieję, że udało się jej zachować nieodgadniony, neutralny wyraz twarzy

Singleton pokręcił głową. – Sęk w tym, że nie jestem w stanie namierzyć D'Agosty Nie pojawił się na komendzie od lunchu, nikt z jego współpracowników go nie widział. Poza tym nie zgłasza się, gdy próbujemy wywołać go przez radio. Nie wiesz przypadkiem, gdzie może teraz być? – Singleton przez cały czas mówił obojętnym tonem, wpatrując się w przechodzących obok nich ludzi.

W tej samej chwili Hayward zorientowała się, że komendant wiedział o niej i D'Agostie. Poczwała się zażenowana. „A więc jednak nie udało się zachować naszego związku w tajemnicy”. Zastanawiała się, kiedy Singleton dowie się, że D'Agosta spakował manatki i wyprowadził się od niej.

Oblizła wargi. – Przykro mi. Nie mam pojęcia, gdzie może teraz przebywać porucznik D'Agosta.

Zawahał się. – Pendergast naprawdę nie wspominał przy tobie o Deckerze?

–Nigdy. Był jednym z tych facetów, którzy nie odkrywają kart; rzadko o kimś mówił, a już najmniej o sobie. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

–I tak nie liczyłem na wiele. To był strzał w ciemno. Niech federalni troszczą się o swoich.

Dopiero teraz spojrzał jej prosto w oczy – Czy mogę postawić ci kawę? Do zebrania pozostało jeszcze parę minut.

–Dziękuję, ale zmuszona jestem odmówić. Przed spotkaniem mam jeszcze do załatwienia kilka pilnych telefonów.

Singleton skinął głową, uścisnął jej dłoń, po czym odwrócił się.

Hayward patrzyła w zamyśleniu na jego oddalającą się sylwetkę. Następnie wolno ruszyła w przeciwną stronę, przygotowując się do powrotu do swojego biura. Nagle, ni stąd, ni zowąd przestała zwracać uwagę na otoczenie: nie słyszała gwaru rozmów, nie dostrzegała mijających ją ludzi, przestała nawet odczuwać świeży dojmujący ból, który jeszcze do niedawna rozdzierał jej serce.

Odnalazła związek, którego poszukiwała.

ROZDZIAŁ 24

William Smithback junior krążył po swoim okazałym pokoju na drugim piętrze zakładu zamkniętego w River Oaks. Musiał przyznać, że Pendergast miał rację: pensjonat był wspaniały. Jego pokój został urządzony wytwornie i z przepychem, aczkolwiek w stylu, który przeminął wraz z epoką wiktoriańską: tapety z ciemnego gniecionego aksamitu, olbrzymie łóżce z baldachimem, masywne mahoniowe meble. Na każdej ze ścian wisiały obrazy w złożonych ramach: martwa natura przedstawiająca paterę z owocami, zachód słońca nad oceanem, sielankowy pejzaż z krowami na pastwisku i stogami siana. Były to prawdziwe obrazy olejne, a nie, jak można się było spodziewać, reprodukcje. Mimo iż żaden mebel nie był przyśrubowany do podłogi ani przykuty do ścian, Smithback zwrócił uwagę na brak ostrych narzędzi i oburzał się, że po wejściu do pokoju odebrano mu pasek oraz krawat. Nigdzie nie było też aparatów telefonicznych.

Podszedł w zamyśleniu do wielkich drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Padał śnieg, duże płatki przylepiały się do szyby. W gasnącym świetle widział trawnik spowity grubą warstwą białego puchu, żywopłoty i ogród także tonęły wśród oślepiającej bieli, nawet posągi przypominały misterne rzeźby z lodu. Ogród był otoczony wysokim, kamiennym murem, za którym rozciągał się las i kręta droga wiodąca w dół górskiego zbocza do najbliższego miasteczka, oddalonego o sześć mil. W oknie nie było krat, ale małe grube ołowiowe szybki wyglądały na trudne do rozbicia.

Dla zasady spróbował otworzyć okno. Pchnął z całej siły. Choć w oknie nie było żadnych widocznych zamków, nie ustąpiło pod jego naporem. Smithback pchnął nieco mocniej. Bez skutku. Odwrócił się i wzruszył ramionami.

River Oaks było olbrzymią, rozległą budowlą wznoszącą się na szczycie jednego z niższych wierzchołków Catskills: wiejską rezydencją komodora Corneliusa Vanderbilta z czasów przed Newport, a obecnie przebudowaną i pełniącą funkcję zakładu psychiatrycznego dla najbogatszych. Pielęgniarki i pielęgniarki nosili dyskretne czarne uniformy zamiast tradycyjnych białych i byli gotowi wypełniać wszelkie zachcianki „gości”. Poza drobnymi codziennymi obowiązkami i godzinną terapią Smithback nie miał żadnych innych zajęć. Jedzenie było fantastyczne; Smithback, którego przydzielono do pomocy w kuchni, dowiedział się, że szef kuchni był absolwentem Cordon Bleu.

Mimo to Smithback wciąż czuł się podle. Przez kilka godzin, jakie tu spędził, niemal bez przerwy upominał siebie, że musi się wyluzować, że to wszystko było dla jego dobra, że skoro ma okazję przez kilka dni pławić się w luksusie, powinien z niej skorzystać. Taki styl życia w innych okolicznościach bardzo by mu odpowiadał. Tłumaczył sobie, że powinien potraktować to jako dramatyczną sytuację, którą być może opíše kiedyś, w kolejnej swojej książce. Jakoś nie mógł uwierzyć, że ktoś z bliżej nieokreślonych powodów dybał na jego życie.

Jednak argumenty, jakimi się posługiwał, z każdą chwilą traciły na sile. Kiedy go tu przyjmowano, wciąż jeszcze był oszołomiony wskutek szaleńczego pościgu i nie doszedł do siebie po tym, jak całe jego życie w ciągu zaledwie kilku chwil zostało wywrócone do góry nogami. Teraz natomiast miał dość czasu na rozmyślanie. Miał mnóstwo czasu. A w jego myślach pojawiały się coraz to nowe pytania – i niepokojące podejrzenia.

Przynajmniej nie musiał się martwić o Norę. Podczas jazdy przez New York Thruway zadzwonił do niej z komórki Pendergasta, by wcisnąć jej sprytną bajeczkę, jakoby „Times” wysłał go służbowo do Atlantic City, gdzie, rzecz jasna incognito, miał się zająć sprawą wielkiego skandalu w jednym z kasyn, dlatego przez pewien czas będzie niestety nieuchwytny. Pendergast zapewnił go, że Norze nic nie grozi, a jak dotąd agent ani razu się nie pomylił. Miał wyrzuty sumienia, że okłamał żonę, ale bądź co bądź, robił to wyłącznie dla jej dobra i naturalnie później wszystko jej wyjaśni.

Najbardziej martwił się o swoją posadę. Co prawda w pracy przyjmą do wiadomości, że nagle zachorował, a Pendergast na pewno postara się, aby wszystko wyglądało dostatecznie przekonująco, jednak pod jego nieobecność Harriman będzie mógł robić, co zechce. Smithback wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli po okresie rekonwalescencji, powróciwszy do pracy, dostanie przydział, choćby na sprawę Wacka.

Najgorsze było to, że nie miał pojęcia, ile czasu będzie musiał tu spędzić. Wciąż krążył po pokoju na wpół

oszałały ze zmartwienia.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

–O co chodzi? – rzucił Smithback z irytacją w głosie.

Podstarzała pielęgniarka zajrzała do pokoju, miała pomarszczone wychudzone oblicze i kruczoczarne włosy związane w gruby kok. – Kolacja na stole, panie Jones.

–Zaraz zejdę, dziękuję.

„Edward Jones, cierpiący na dość poważne zaburzenia, syn inwestora bankowego z Wall Street, który wymaga spokoju, odprężenia i odrobiny odosobnienia, innymi słowy, oderwania od tego szalonego świata. Dziwnie było grać rolę Edwarda Jonesa przebywającego w miejscu, gdzie wszyscy uważali go za kogoś innego. Zwłaszcza za kogoś, kto miał nie po kolei w głowie. Jedynie znajomy Pendergasta, dyrektor zakładu w River Oaks doktor Tisander, znał prawdę. A Smithback widział go tylko przelotnie, podczas gdy Pendergast wypełniał niezbędne dokumenty konieczne do przyjęcia Smithbacka do „pensjonatu”. Nie miał jak dotąd okazji, aby rozmawiać z nim na osobności.

Smithback wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi – jak wszystkie inne w pokojach „gości” nie miały one zasuwek ani nie zamykano ich na klucz – po czym ruszył w głąb długiego korytarza. Poruszał się bezgłośnie, stąpając po miękkim grubym dywanie różowego koloru. Korytarz był wyłożony ozdobną mahoniową boazerią z listwami przypodłogowymi z misternie rzeźbionego czarnego drewna. Na ścianach wisiały płótna olejne. Słychać było tylko ciche zawroźnienie wiatru docierające z zewnątrz. Wydawało się, że olbrzymią budowlę spowija kokon nadprzyrodzonej ciszy.

Na wprost niego korytarz przechodził w rozległy podest, od którego odchodziły szerokie, kręte schody. Za rogu dobiegły go ciche głosy. Zawodowa ciekawość natychmiast skłoniła go, aby zwolnił kroku.

–...nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam w tym domu wariatów – rozległ się burkliwy męski głos. – Mam już serdecznie dość tej roboty.

–Ach, przestań narzekać – dał się słyszeć drugi, wyższy głos. – Praca jest prosta, w dodatku dobrze płatna. I mają tu pyszne jedzenie. Wariaci są spokojni i cisi. Czego ty się czepiasz?

To byli dwaj pielęgniarze. Smithback nie mógł się powstrzymać. Przystanął przy schodach i nasłuchiwał.

–To kompletne zadupie, jesteśmy w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi. Zakład stoi na szczycie cholernej góry, w środku zimy drogi są nieprzejezdne, wokoło na przestrzeni wielu mil rozciągają się gęste lasy. Takie otoczenie wpływa na stan ludzkiego umysłu. Można od tego ześwirować.

–Może powinieneś wrócić tu jako pacjent. – Drugi pielęgniarz zarechotał ochryple.

–Mówię serio. To poważna sprawa – dał się słyszeć gniewny głos rozdrażnionego mężczyzny – Znasz panią Havisham?

–Szurniętą Nellie? Jasne, czemu pytasz?

–Ta świruska stale powtarza, jakoby widywała osoby, których nie ma.

–Wszyscy w tym wariatkowie widzą ludzi, którzy nie istnieją.

–Cóż, chyba to mi się od niej udzieliło. To się stało dziś po południu. Wraciałem właśnie na czwarte piętro, kiedy przypadkiem wyjrzałem przez okno przy schodach. Mogę ci przysiąc, że ktoś tam był. Zobaczyłem go całkiem wyraźnie. Na ośnieżonym placu przy budynku.

–Taa, no jasne.

–Mówię ci, że to widziałem. Czarną postać poruszającą się bardzo szybko wśród drzew. A kiedy ponownie spojrzałem w tę stronę, już jej nie było.

–Taa, a ile kieliszków jacka danielsa wypiliśmy wcześniej?

–Ani jednego. Powiadam ci, to miejsce jest...

Smithback, który z każdą chwilą coraz bardziej zbliżał się do końca korytarza, potknął się i z trudem łapiąc równowagę wypadł na podest. Dwaj mężczyźni – pielęgniarze – w posępnych czarnych uniformach błyskawicznie zamilkli, a na ich twarzach pojawił się beznamiętny, nieodgadniony grymas.

–Czy możemy panu w czymś pomóc, panie Jones? – zagadnął jeden z nich.

–Nie, dziękuję. Schodziłem właśnie na dół, do jadalni. – Smithback zszedł wolno po szerokich schodach, usiłując wykrzesać z siebie możliwie jak najwięcej godności.

Jadalnia była rozległym pomieszczeniem na pierwszym piętrze, które przywodziło Smithbackowi na myśl klub dla mężczyzn przy Park Avenue. Znajdowało się tam co najmniej trzydzieści stolików, ale sala była tak wielka, że zmieściłoby się w niej ze dwa tuziny więcej. Każdy przykryto czystym, świeżym obrusem, a zastawę tworzyły błyszczące, choć wyjątkowo tępe sztucce. Z niebieskiego wedgwoodzkiego sufitu zwieszały się lśniące kandelabry. Pomimo wytwornej sali jedzenie kolacji o 17 zakrawało na barbarzyństwo. Przy kilku stolikach siedziało już paru gości, pojadając apatycznie, rozmawiając o czymś półgłosem lub wpatrując się tępo w przestrzeń. Inni, powłócząc nogami zacierali niespiesznie w stronę swoich miejsc.

O, Boże, pomyślał Smithback, kolacja żywych trupów.

Rozejrzał się wokoło.

–Panie Jones? – Podeszedł do niego pielęgniarz, wyniosły jak maitre d" i skrywający pod maską służalczości manierę cynicznej wyższości. – Gdzie chciałby pan usiąść?

–Może przy tamtym stoliku – powiedział, wskazując na stolik, przy którym siedział tylko jeden mężczyzna smarujący metodycznie masłem przekrojoną na pół bułkę. Był nienagannie ubrany w drogi garnitur, śnieżnobiałą koszulę, wypastowane buty. Spośród tych wszystkich osób tylko on sprawiał wrażenie normalnego.

Skinął głową, gdy Smithback usiadł przy jego stoliku.

–Roger Throckmorton – rzucił mężczyzna, wstając. – Bardzo mi miło.

–Edward Jones – odparł Smithback zadowolony z serdecznego przyjęcia. Wziął od kelnera menu i wbrew sobie zaczytał się w bogatej ofercie zawartej w karcie dań. W końcu zdecydował się nie na jedno, lecz na dwa główne dania: płastugę a la Morney z plasterkami delikatnej jagnięciny w sosie z sałatą arugulą oraz jaja siewki w galarecie. Zaznaczył wybrane dania na karcie obok numeru swojego stolika, po czym znów przeniósł wzrok na pana Throckmorton. Był mniej więcej w wieku Smithbacka, zdumiewająco przystojny, o jasnych włosach, z równym przedziałkiem pośrodku, pachniał delikatnie markową wodą po goleniu. Było w nim coś, co kojarzyło się z Bryce'em Harrimanem: emanował aurą rodzinnej fortuny i tytułów szlacheckich.

Bryce Harriman...

Z ogromnym wysiłkiem Smithback odegnał od siebie myśli o zniechęconym rywalu. Wychwycił spojrzenie mężczyzny siedzącego naprzeciw niego. – A więc – zaczął – co cię tu sprowadza? – Dopiero, gdy zadał to pytanie, uświadomił sobie, iż było ono, delikatnie mówiąc, nie na miejscu.

Mężczyzna jednak wcale się tym nie przejął. – Prawdopodobnie to samo co ciebie. Jestem nienormalny – I zaraz zachichotał, dając do zrozumienia, że to był tylko żart. – A mówiąc poważnie, wpakowałem się ostatnio w pewne drobne tarapaty i mój ojciec przysłał mnie tu, abym... ee... wypoczął. To nic poważnego.

–Jak długo tu jesteś?

–Parę miesięcy. A czemu ty tu jesteś?

–Z tego samego powodu. Abym trochę wypoczął. – Smithback rozejrzał się dookoła, aby mieć pretekst do

zmiany tematu. „A nawiasem mówiąc, o czym rozmawiają między sobą szurnięci?”. Przypomniawszy sobie, że ci najbardziej niebezpieczni? prawdziwi obłąkańcy, byli przetrzymywani na cichym oddziale, który mieścił się w innym skrzydle. Goście w głównej części rezydencji cierpieli jedynie na „drobne zaburzenia”.

Throckmorton odłożył niedojedzoną bułkę na talerz, po czym starannie otarł usta serwetką. – Przywieźli cię tu dzisiaj, mam rację?

–Tak.

Kelner przyniósł im napoje: herbatę dla Throckmorta i sok pomidorowy dla Smithbacka, który wściekał się, że nie może się tu pokrzepić siedmioletnią szkocką na jęczmiennym słodzie. Znów powiódł wzrokiem po sali. Wszyscy poruszali się tu w ślimaczym tempie i mówili bardzo cicho. Smithback miał wrażenie, jakby oglądał relację z bankietu puszczonej w zwolnionym tempie. „Jezu, dłużej tego nie zniosę”. Próbował sobie przypomnieć, co jeszcze mówił Pendergast – o tym, że był celem zabójcy, że pobyt tutaj zapewni bezpieczeństwo nie tylko jemu, lecz również Norze, a mimo to zaledwie po jednym dniu miał serdecznie dość wszystkiego. Niby dlaczego jakiś zabójca miałby próbować go zabić? To nie miało sensu. Najprawdopodobniej facetowi ze spluwą, który ich ścigał mercedesem, chodziło o agenta Pendergasta. Poza tym Smithback umiał przecież o siebie zadbać. Bywał już wcześniej w różnych tarapatach, nieraz ocierał się o śmierć...

Znów zmusił się, by powrócić myślami do mężczyzny siedzącego wraz z nim przy jednym stoliku.

–I co sądzisz o tym miejscu?

–Całkiem niezła chałupa, nie ma co. W dodatku dość stara. – W oku tamtego pojawił się błysk rozbawienia. Na ten widok Smithback poczuł przypływ nowej nadziei, że może jednak udało mu się znaleźć w tym domu żywych trupów sojusznika. – Nie jesteś już tym wszystkim zmęczony? Niemożliwością wyjścia poza te mury?

–Naturalnie, jesienią było o wiele ładniej. Okolica jest naprawdę przepiękna. Śnieg sprawia, że to miejsce wydaje się odcięte od świata, ale w gruncie rzeczy po co miałbym stąd odejść i dokąd?

Smithback potrzebował paru chwil, aby przyswoić to, co przed chwilą usłyszał.

–Czym się zajmujesz, Edwardzie? – zapytał Throckmorton. – Mam na myśli, z czego żyjesz?

Smithback błyskawicznie przypomniał sobie słowa Pendergasta.

–Mój ojciec jest inwestorem bankowym na Wall Street. Pracuję w jego firmie.

–Moja rodzina też pracuje na Wall Street.

W umyśle Smithbacka nagle coś zaświtało. – Nie jesteś chyba tym Throckmortonem, prawda?

Mężczyzna, siedzący naprzeciw niego uśmiechnął się. – Obawiam się, że tak. A w każdym razie jednym z nich. Stanowimy dość sporą rodzinę.

Pojawił się kelner z ich entrees – porcją pstrąga dla Throckmorta i dwoma talerzami z płastugą i plastrami jagnięciny dla Smithbacka.

Throckmorton rzucił okiem na okazałe porcje zamówione przez Smithbacka. – Nie cierpię ludzi, którzy nie mają apetytu – powiedział.

Smithback się zaśmiał. Ten facet wcale nie był świrem. – Nigdy nie odmawiam sobie darmowego posiłku.

Sięgnął po nóż i widelec i zabrał się do pałaszowania płastugi. Czuł się teraz trochę lepiej. Jedzenie było przepyszne. A ten Roger Throckmorton wydawał się całkiem przyzwoitym facetem. Może wytrzyma w River Oaks jeszcze dzień lub dwa, jeżeli tylko będzie miał z kim porozmawiać. Naturalnie będzie musiał zachować szczególną ostrożność, aby tamten go nie zdemaskował.

–Co właściwie porabiasz tu całymi dniami? – wymamrotał z pełnymi ustami.

–Słucham?

Smithback przełknął kęs płastugi. – Pytałem, jak zabijacie tu czas.

Throckmorton zachichotał. – Piszę pamiętnik i od czasu do czasu wiersze. Interesuję się też bieżącą sytuacją na rynku, przede wszystkim giełdą. A jeśli jest ładna pogoda, spaceruję po tutejszym parku i ogrodzie, naprawdę to uwielbiam.

Smithback pokiwał głową i nadział na widelec kolejny kawałek ryby – A wieczorami?

–Cóż, w salonie na parterze są stoły do bilardu, a w bibliotece można zagrać partyjkę brydża albo wista. Są również szachy, zawsze się cieszę, jak znajdę partnera do gry Większość czasu poświęcam jednak lekturze. Ostatnio czytam sporo poezji. Ubiegłej nocy na ten przykład zacząłem Opowieści kanterberyjskie.

Smithback pokiwał głową z aprobatą. – Ja najbardziej lubię Opowieść Młynarza.

–A ja raczej Prolog Główny. Zawiera w sobie tak wiele nadziei na odrodzenie, na pełne ozdrowienie. – Throckmorton usiadł wygodniej i zaczął recytować pierwsze wersy:

Gdy kwiecień deszczu rześystym strumieniem marcową suszę zmoczy do korzeni I sięgnie żyłą ziemi w takim płynie który kwitnienia moc daje roślinie.

Smithback próbował przypomnieć sobie prolog, aby samemu zacytować kilka wersów – A może to: Dnia kwietniowego o słońca zachodzie kiedym spoczywał „Pod Jaką” w gospodzie...

–Łowiąc ryby z jałową równiną poza mną.

Smithback, który skupił całą swą uwagę na jagnięcinie, potrzebował kilku chwil, aby rozpoznać ten cytat. – Ejże, ejże, chwileczkę. To nie Chaucer, to przecież...

–Zgaśnij, zgaśnij, krótka świeco! – Throckmorton ni stąd, ni zowąd wyprężył się na krześle jak struna.

Smithback znieruchomiał z nadzianym na widelec kawałkiem jagnięciny w ręku; uśmiech na jego twarzy momentalnie przygasł. – Że co proszę?

–Słyszysz coś teraz? – Throckmorton zastygł w bezruchu z głową przekrzywioną lekko w bok, jakby nasłuchiwał z wytężoną uwagą.

–Ee... nie.

Throckmorton przekrzywił głowę w drugą stronę. – Zaraz się tym zajmę.

–Czym się zajmiesz?

Throckmorton spojrzał na niego z nieskrywanym rozdrażnieniem. – Nie mówiłem do ciebie.

–Ach, tak. Wobec tego przepraszam.

Throckmorton wstał od stołu, starannie otarł usta papierową serwetką, po czym złożył ją pieczołowicie. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Edwardzie, ale za chwilę czeka mnie ważne spotkanie.

–Rozumiem – odrzekł Smithback świadom, że na jego ustach wciąż maluje się wątlý uśmieszek.

–Tak. – Throckmorton nachylił się nad stołem i konspiracyjnym szeptem dorzucił: – Powiem ci w sekrecie, że to wielka i niejednokrotnie bardzo uciążliwa odpowiedzialność. Ale kiedy On nas wzywa, czyż możemy Mu odmówić?

–Jemu to znaczy komu?

–Bogu, ma się rozumieć. – Throckmorton wyprostował się i uściśnął dłoń Smithbacka. – Było mi naprawdę

miło. Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy.

Chwilę potem Throckmortom lekkim żwawym krokiem wyszedł z sali.

ROZDZIAŁ 25

D'Agosta szedł wolno przez rozległą, przestronną salę, gdzie mieścił się wydział zabójstw. Czuł się nieswojo. Mimo iż był porucznikiem nowojorskiej policji i mógł w miarę swobodnie krążyć po piętrach gmachu komendy głównej, czuł się jak szpieg wkraczający na teren wroga.

Muszę wiedzieć więcej, powiedział Pendergast. Nawet najdrobniejszy szczegół może mieć kluczowe znaczenie. Znaczenie jego słów było oczywiste: potrzebował akt Charlesa Duchampa. I oczekiwał, że D'Agosta zdobędzie je dla niego.

Tyle tylko że to nie będzie takie proste, jak początkowo przypuszczał D'Agosta. Wrócił do pracy dwa dni temu i zmuszono go, aby poświęcił więcej czasu, niż to było konieczne, na nadrobienie zaległości w sprawie Wacka. Ekshibicjonista z każdym kolejnym przestępstwem stawał się coraz bardziej zuchwały; przez dwa dni, kiedy D'Agosta był na urlopie, okradł następne trzy bankomaty. Teraz zaś po zabójstwie Duchampa było jeszcze mniej ludzi, którzy mogliby obserwować bankomaty uznane za najbardziej prawdopodobne cele bezczelnego złodzieja. Wyznaczenie dwuosobowych zespołów, skoordynowanie ich i rozmowy z przedstawicielami banków, do których należały obserwowane bankomaty, zajęły mu mnóstwo czasu. Faktem jest, że przydzielono mu więcej zadań, niż powinien na siebie przyjąć, i miał spore zaległości, jeżeli chodzi o przesłuchanie potencjalnych świadków. Stale jednak miał w pamięci ponagląący ton głosu Pendergasta. Kryła się w nim głębsza treść: musimy działać szybko, Vincencie. Zanim znowu zabije.

Mimo iż zmarnował wiele godzin na przejrzenie w komputerze bieżących danych dotyczących zabójstwa Duchampa, w bazie danych było niewiele ponad to, co już wiedział lub do czego nie mógł dostać się Pendergast ze swoim laptopem. Nie pozostało mu nic innego – musiał zdobyć teczkę z aktami.

W lewym ręku trzymał niewielki plik dokumentów, zapis wczorajszych przesłuchań świadków w sprawie Wacka, które zabrał dla zamydlenia oczu, jako kamuflaż. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć szósta. W sali wciąż było pełno ludzi – funkcjonariusze stali to tu, to tam w małych grupkach, rozmawiając między sobą, gawędząc przez telefon lub jak większość z nich pisząc na komputerze. Poszczególne wydziały pracowały po dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu i na każdym posterunku, obojętnie, czy to w dzień, czy w nocy, zawsze znalazł się ktoś, kto akurat zajmował papierkową robotą. Większość pracy policjanta stanowiła właśnie papierkowa robota, a nigdzie indziej nie było jej tyle, ile w wydziale zabójstw.

D'Agosta jednak nie przeszkadzało, że w budynku byli inni ludzie, wręcz przeciwnie, ich obecność była mu na rękę. Dzięki temu mógł się wtopić między nich, nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Najważniejsze było to, że Laury Hayward nie będzie teraz w biurze. W czwartki komisarz Rocker urządzał regularne spotkania ze swoimi podwładnymi. Dzięki sprawie Duchampa Laura na pewno będzie obecna na zebraniu.

Spojrzał nieśmiało, w stronę drugiego końca sali. Mieścił się tam jej gabinet, drzwi były szeroko otwarte, na biurku wałała się sterta papierów. Na widok biurka poczuł, że jego lędźwie przeszywa silny zmysłowy prąd. Zaledwie kilka miesięcy temu wykorzystał biurko Laury w zgoła innym celu niż sporządzanie żmudnych raportów. Westchnął. Ale rzecz jasna, jej gabinet znajdował się wówczas piętro wyżej. Od tej pory wiele się wydarzyło – w tym niestety wiele złego.

Rozejrzał się dokoła. Po prawej miał rząd pustych biurek z tabliczkami z imionami i nazwiskami z przodu i terminalami komputerowymi z boku. Na wprost niego, wzdłuż lewej ściany ciągnął się rząd złożony z tuzina, a może nawet więcej regałów z aktami sięgających od podłogi aż po sufit. Zawierały akta spraw prowadzonych przez wydział zabójstw.

Całe szczęście sprawa Duchampa była nadal otwarta. Te zamknięte przechowywano w archiwum, a próba zajrzenia do nich równałaby się z koniecznością podpisywania się przy wejściu i wyjściu, o skserowaniu zaś czegokolwiek raczej nie byłoby mowy. Na nieszczęście, ponieważ sprawa wciąż pozostawała otwarta, musiał sprawdzić akta tu, na miejscu, na oczach wszystkich pracowników wydziału zabójstw.

Znów się rozejrzał, miał wrażenie, jakby spojrzenia wszystkich skierowane były na niego. Do dzieła, chłopie, nie wahaj się, powiedział sobie w duchu, po czym wolno, z wystudiowaną nonszalancją podszedł do regałów. W przeciwieństwie do innych wydziałów, gdzie śledztwa katalogowane były numerycznie, wydział zabójstw segregował akta otwartych dochodzeń alfabetycznie. Zwolnił jeszcze bardziej, ukradkiem zerkając na fiszki

wysuwanych szufladek: da – de. De – do. Do – eb.

„Do roboty”. D'Agosta przystanął przy właściwej szufladzie i wysunął ją. Jego oczom ukazały się tuziny grubych zielonych teczek. „Mój Boże, ile otwartych dochodzeń w sprawach zabójstw prowadzi się na tej komendzie!”.

Musiał działać szybko. Odwracając się plecami do rzędu biurek, zaczął sprawdzać teczki od lewej do prawej, palcem wskazującym przerzucając fiszki przy każdej z nich. Donatelli, Donato, Donazzi... Co jest, czy to Mafijny Tydzień na wydziale zabójstw? Dowson, Dubliawitz.

Duggins.

„O, cholera”.

D'Agosta znieruchomiał, przytrzymując palcem teczkę Randalla Dugginsa. Jedyne, czego wolał nie rozpatrywać, to ewentualności, że teczki Duchampa nie będzie w szafie.

Czy Laura mogła mieć ją ze sobą? Czy zostawiłaby ją na biurku, udając się na spotkanie z Rockerem? A może powierzyłaby ją komuś ze swoich śledczych?

Tak czy owak, przerznął sprawę. Będzie musiał wrócić tu kiedy indziej, na innej zmianie, aby nie wzbudzać podejrzeń u tej samej grupy. Tylko czy wtedy będzie miał pewność, że nie zostanie tu Laury? Była pracoholiczką, mogła przesiadywać tu praktycznie na okrągło. Zwłaszcza teraz, gdy nie spieszyło się jej do domu, bo nikt tam na nią nie czekał. Ramiona D'Agosty obwisły. Westchnął przeciągle i opuścił ręce, aby zamknąć szufladę.

Wtem jego wzrok padł na teczkę znajdującą się tuż za aktami Randalla Dugginsa. Na fiszce napisane było: Charles Duchamp.

No i chwała bogu. Najwyraźniej ktoś bardzo się spieszył i omyłkowo nie odłożył jej na właściwe miejsce.

D'Agosta wyjął teczkę z szuflady i zaczął ją kartkować. Była znacznie cięższa, niż się spodziewał. Laura narzekała na niewielką ilość dowodów. Był tu jednak z tuzin grubych dokumentów: analizy daktyloskopijne i porównawcze, raporty z przebiegu śledztwa, zapisy z przesłuchań, dane dotyczące zebranych materiałów dowodowych oraz raporty toksykologiczne i laboratoryjne. Hayward potrafiła należycie udokumentować każdą, nawet najbardziej pochrzanioną sprawę.

Miał nadzieję, że zdoła wszystko przejrzeć, odłoży akta, a następnie odnajdzie Pendergasta i złoży mu raport. Materiałów było jednak zbyt wiele. Nie miał wyboru, musiał wszystko skserować – i to szybko.

Wolno i nonszalancko, by nie zwracać na siebie uwagi, zasunął szufladę, rozglądając się na lewo i prawo. Pośrodku sali stała duża kserokopiarka. Właśnie podchodził do niej funkcjonariusz, aby skopiować jakiś dokument. O wyniesieniu akt, aby skserować je na innym piętrze komendy, nie było mowy. Zbyt wielkie ryzyko. Jednak w wydziale zabójstw powinno być co najmniej kilka kopiarek. Na pewno druga jest gdzieś niedaleko. Gdzie mogła się znajdować?

Tam. Pod przeciwległą ścianą, blisko gabinetu Hayward, pomiędzy pojemnikiem z wodą a korkową tablicą, na której wieszano biuletyny, ogłoszenia i ulotki. D'Agosta szybko do niej podszedł. Kopiarka była sprawna i nie wymagała wprowadzenia kodu dostępu, aby można było z niej skorzystać. A więc szczęście najwyraźniej wciąż mu dopisywało. Tyle tylko że musiał się pospieszyć. Dochodziła szósta, zebranie organizacyjne u Rockera na pewno nie potrwa długo.

Rzucił teczkę na pokrywę kopiarki i przykrył akta dokumentami na temat sprawy Wacka. Na wypadek, gdyby ktoś mu przeszkodził, postanowił zacząć od najważniejszego – raportu śledczego w sprawie dochodzenia, i sukcesywnie kopiować następne dokumenty. Wyciągnął raport z teczki i zaczął kserować.

Minuty mijały powoli. Może dlatego, że miał do skopiowania gruby plik papierów, a może dlatego, że urządzenie stało z dala od biurek pracowników wydziału zabójstw, nikt nie podchodził do niego, aby również skorzystać z ksero. Zrobił kopie raportów toksykologicznych, wyników badań laboratoryjnych, analiz

daktyloskopijnych oraz przesłuchań, pracując najszybciej, jak tylko mógł, i układając kopie kartki pod aktami sprawy Wacka.

Ponownie spojrzął na zegarek. Dochodziła już 6.20. Musiał się stąd wynieść i to natychmiast. Laura mogła wrócić lada chwila...

W tej samej chwili na drugim końcu sali pojawił się porucznik z wydziału zabójstw – jeden z najbardziej zaufanych adiutantów Laury – D'Agosta rozpoznał go w mgnieniu oka. Był to znak, na który czekał. Pora zwinąć żagle. Dokończył ostatni raport z przesłuchania, posortował akta, ułożył kopie w zgrabny stosik i odłożył teczkę do szuflady. Nie skserował wszystkiego, ale udało mu się zdobyć najważniejsze dokumenty. To w połączeniu z materiałami pozyskanymi przez Pendergasta w Nowym Orleanie powinno mu bardzo pomóc. Zasuńawszy szufladę, skierował się do wyjścia. Także teraz starał się iść powoli i spokojnie, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Marsz ten zdawał się nie mieć końca. W każdej chwili spodziewał się ujrzeć Laurę wchodzącą przez główne drzwi do sali, w korytarzu na wprost niego.

Udało mu się dotrzeć do głównego korytarza – tu był w miarę bezpieczny. Musiał jeszcze tylko dotrzeć do windy, ale to już niedaleko.

Korytarz był względnie pusty, nikt nie czekał na windę. Postąpił naprzód i wcisnął guzik oznaczony strzałką skierowaną ku dołowi. Kilka chwil potem rozległ się delikatny brzęk i drzwi windy rozsunęły się przy wtórce cichego szumu.

W kabinie była tylko jedna osoba: Glen Singleton.

D'Agosta stał przez chwilę w kompletnym bezruchu jak wrośnięty w ziemię. To jakiś koszmar, skonstatował, w normalnym życiu takie rzeczy się nie zdarzają.

Singleton otaksował go chłodnym, badawczym spojrzeniem. – Wstrzymujesz windę, Vincencie – powiedział.

D'Agosta szybko wszedł. Singleton wcisnął guzik i drzwi windy się zamknęły.

Singleton odezwał się ponownie dopiero, gdy winda zaczęła zjeżdżać w dół. – Wracam właśnie ze spotkania u Rockera – oznajmił.

D'Agosta skłął sam siebie w myślach. Powinien był się domyślić, że Singleton także będzie uczestniczył w zebraniu; nie rozumował logicznie.

Singleton znów spojrzął na D'Agostę. Nie powiedział nic więcej. Nie musiał. A tak w ogóle, co ty tu robisz? Jego wzrok mówił sam za siebie.

D'Agosta zastanawiał się gorączkowo. Przez ostatnie dwa dni robił, co tylko mógł, aby unikać spotkania z Singletonem i nie usłyszeć od niego właśnie tego pytania. Cokolwiek odpowie, musi to zabrzmieć możliwie jak najbardziej przekonująco.

–Dowiedziałem się, że pewien śledczy z wydziału zabójstw może być przez przypadek świadkiem post factum ostatniej kradzieży dokonanej przez Wacka – powiedział. – Pomyślałem sobie, że poświęcę parę minut, aby to sprawdzić.

I jakby na poparcie swoich słów uniósł plik papierów, gdzie na wierzchu znajdowały się dokumenty w sprawie obrazoburczego ekshibicjonisty.

Singleton wolno pokiwał głową. To brzmiało całkiem wiarygodnie, a poza tym dawało D'Agostie niewielkie, ale zawsze – pole manewru.

–Jak się nazywa ten śledczy? – zapytał łagodnym tonem Singleton.

D'Agosta zachował pokerową twarz, nie zdradzając nawet cienia powątpiewania czy zdumienia. Powrócił w myślach do rzędu biurek, które niedawno mijał, usiłując przypomnieć sobie nazwiska na tabliczkach. –

Detektyw Conte – powiedział. – Michael Conte.

Singleton znów pokiwał głową.

–Nie zastałem go – rzekł D'Agosta. – Następnym razem po prostu zadzwonię.

Zapanowała chwila ciszy, podczas gdy winda bezgłośnie sunęła w dół.

–Nie słyszałeś przypadkiem o agencji FBI nazwiskiem Decker? – zapytał Singleton.

D'Agosta znów musiał się wysilić, aby na jego twarzy nie odmalował się wyraz zdziwienia. – Decker? Nie przypominam sobie. Czemu pan pyta?

–Został niedawno zamordowany w swoim domu w Waszyngtonie. Wygląda na to, że był bliskim przyjacielem agenta specjalnego Pendergasta, z którym, jak wiem, pracowałeś przed jego zniknięciem. Czy Pendergast wspominał kiedykolwiek o Deckerze albo o jego potencjalnych wrogach?

D'Agosta udał, że się zastanawia. – Nie. O ile sobie przypominam, to nie.

Kolejna chwila ciszy

–Cieszę się, że znów widzę cię w pracy – ciągnął Singleton. – Ponieważ przez ostatnie dwa dni dochodziły mnie słuchy o pewnych niezłatwionych sprawach. O niedokończonych zadaniach lub niewypełnionych obowiązkach. O poleceniach, które bez uzasadnienia były przekazywane innym osobom.

–Panie komendancie – rzekł D'Agosta. To, co mówił jego szef, było szczerą prawdą, ale mimo wszystko wysilił się, aby w jego głosie zabrzmiała nuta oburzenia. – Staram się nadrobić te dni, kiedy nie było mnie w pracy.

–Słyszałem przy tym, że zamiast zajmować się sprawą Wacka, zadajesz sporo pytań na temat zabójstwa Duchampa.

–Duchampa? – powtórzył D'Agosta. – To niezwykła sprawa, panie komendancie. Zaciekawiała mnie po prostu, i tyle. Jestem z natury ciekawski, jak większość ludzi.

Singleton ponownie pokiwał głową, tym razem znacznie wolniej. Potrafił prostym gestem wyrazić swoje myśli i teraz jego twarz mówiła: jesteś o wiele bardziej ciekawski niż większość ludzi. I znów zmienił temat. – Coś nie tak z pańskim radiem, poruczniku?

„Niech to szlag". D'Agosta celowo wyłączył dziś po południu swoją krótkofalówkę w nadziei, że w ten sposób uniknie niewygodnych pytań. Powinien był się domyślić, że to tylko wzbudzi u jego przełożonych niepotrzebne podejrzenia.

–Szczerze mówiąc, od samego rana trochę szwankuje – odparł poklepując dłońią kieszeń marynarki.

–Lepiej niech ktoś ją sprawdzi, Albo poproś o wydanie nowej.

–Zaraz się tym zajmę.

–Czy coś się stało, poruczniku?

Pytanie zostało zadane tak nieoczekiwanie, niemal tuż po poprzednim, że D'Agosta przez chwilę nie się zorientował, o co chodziło komendantowi.

–Słucham?

–Mam na myśli pańską matkę. Czy wszystko w porządku?

–Aa. Ach, tak. Prognozy są lepsze, niż sądziłem. Dziękuję, że pan o to zapytał.

–I cieszysz się z powrotu do pracy?

–Jak najbardziej, panie komendancie.

Winda zwolniła, ale Singleton wciąż patrzył D'Agoście głęboko w oczy. – To dobrze – powiedział. – Miło mi to słyszeć.

Bo szczerze mówiąc, Vincencie, wolałbym, aby ktoś nie przychodził do pracy w ogóle, niż gdyby miał wypełniać swoje obowiązki tylko połowicznie. Wiesz, o co mi chodzi?

D'Agosta pokiwał głową. – Tak, wiem.

Singleton uśmiechnął się słabo, gdy drzwi windy rozsunęły się z cichym sykiem. A potem wykonał szarmancki gest ręką. – Pan pierwszy, poruczniku.

ROZDZIAŁ 26

Margo przystanęła przed drzwiami gabinetu Menziesa, wzięła głęboki oddech i zapukała. Drzwi otworzył jej sam Menzies; wiele lat temu zrezygnował z sekretarki, skarżąc się, że jej obecność go rozprasza. Uśmiechnął się, skinął głową i odstąpił na bok, gestem zapraszając ją do środka.

Znała dobrze ten gabinet. Podczas swego pierwszego stażu w muzeum, zaraz po studiach, pokój ten należał do poprzednika Menziesa, jej dawnego promotora, doktora Frocka. Wówczas pomieszczenie urządzone było sztywno, meble w stylu wiktoriańskim, skamieliny i osobliwości. Z nastaniem Menziesa stało się o wiele bardziej przestronne i miłe, zakurzone skamieliny na ławach zastąpione zostały przez o wiele bardziej wysmakowane reprodukcje, ciężkie stare meble ustąpiły miejsca wygodnym skórzanym fotelom. W rogu stał nowiutki płaskoekranowy iMac. Ostatnie promienie gasnącego słońca wpadały przez jedno z okien od zachodu, wytyczając smugę czerwieni na ścianie, za mahoniowym biurkiem Menziesa.

Menzies podprowadził Margo do fotela, po czym sam zajął miejsce za biurkiem. Splótł dłonie i wyciągnął się lekko do przodu.

–Dziękuję, że zjawiałaś się tak szybko, Margo.

–Nie ma sprawy

–Jak rozumiem, pracujesz po godzinach?

–Muszę oddać dziś wieczorem do składu kolejny numer „Muzeologii”.

–Oczywiście. – Rozłączył dłonie i odchylił się w fotelu do tyłu. Promienie słońca sprawiły, że jego zmierzwiłone siwe włosy wyglądały przez chwilę jak złocista aureola. – Jak się zapewne domyślasz, wezwałem cię tutaj, ponieważ otrzymałem odpowiedzi od rady zarządzającej w sprawie masek Tano.

Margo poprawiła się nieznacznie w fotelu, usiłując sprawiać wrażenie pewnej siebie i asertywnej.

Westchnął przeciągle. – Nie będę owijał w bawełnę. Przegraliśmy Rada w drodze głosowania postanowiła zatrzymać maski.

Margo poczuła, że sztywnieje. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jest mi przykro.

–Mnie również. Bóg mi świadkiem, że się starałem. Collopy nie robił większych problemów, ale rada zarządzająca postanowiła zdecydowanie – nic z tego! Większość jej członków stanowią prawnicy i bankierzy, którzy znają się na antropologii tak jak ja na przewidywaniu kursów walut albo przepisach prawnych. Niestety ten świat jest taki, jaki jest, i to oni mówią nam, co mamy robić, a nie na odwrót. Szczerze mówiąc, wynik ich głosowania zbytnio mnie nie zaskoczył.

Margo zauważyła, że zwykle opanowany kustosz był wyraźnie podenerwowany. Miała nadzieję, że rada zarządzająca mimo wszystko postąpi właściwie. W jej mniemaniu to było oczywiste. Skoro jednak ta sprawa nie była dostatecznie oczywista dla niektórych pracowników jej wydziału, to czyż mogła liczyć, że pojmie ją banda prawników z Wall Street?

Menzies oparł się łokciami o blat biurka i spojrzał na Margo z przejęciem. – To stawia cię w jeszcze bardziej kłopotliwym położeniu niż dotychczas.

–Zdaję sobie z tego sprawę.

–Będą próbowali wywierać na ciebie naciski, abys jednak nie publikowała swego artykułu. Powiedzą, że decyzja została podjęta, już po wszystkim, po co cała ta awantura?

–Tak czy inaczej, zrobię swoje.

–Spodziewałem się, że to powiesz, Margo. Chcę, żebyś wiedziała, że masz moje pełne poparcie. Niemniej jednak musisz być realistką i zdawać sobie sprawę z reperkusji, jakie to bez wątpienia wywoła.

–Jestem na to przygotowana. „Muzeologia” od ponad stu lat pełni w tej placówce funkcję niezależnego organu prasowego i nie zamierzam tego zmieniać, zwłaszcza że to pierwszy numer tego pisma pod moją redakcją.

Menzies uśmiechnął się. – Podziwiam twój hart ducha. Ale jest jeszcze jeden problem, którym chciałbym się z tobą podzielić.

–Tak? A o co konkretnie chodzi?

–Tano na znak protestu planują wyruszyć całym taborem do Nowego Jorku i wygląda na to, że dotrą na miejsce w dniu otwarcia wystawy Nie chodzi tylko o zwrócenie uwagi na ich żądania, lecz, jak sami twierdzą, o „przywołanie zagubionych dusz masek”, czy coś w tym rodzaju. Zamierzają odprawić całonocną ceremonię religijną w połączeniu z tańcami obrzędowymi na Museum Drive, przed głównym wejściem. Rada zarządzająca otrzymała tę wiadomość zaledwie parę godzin temu.

Margo zmarszczyła brwi. – Prasa rzuci się na ten temat jak wataha głodnych wilków

–Nie da się ukryć.

–Kierownictwo muzeum znajdzie się w kropce.

–Bez wątpienia.

–Otwarcie wystawy zmieni się w kompletny chaos.

–Nie wątpię. Niezły pasztet, nie ma co.

–Właśnie.

Zapadła długa chwila ciszy. W końcu Menzies powiedział. – Rób to, co musisz. Swoboda wypowiedzi to w dzisiejszych niepewnych czasach rzecz najważniejsza. Czy mogę ci coś doradzić?

–Bardzo proszę.

–Nie rozmawiaj z prasą. Unikaj dziennikarzy, kiedy się zjawia, uprzejmie poleć im lekturę swojego artykułu i powiedz, że w tej sprawie nie masz nic więcej do powiedzenia. Kierownictwo nie może cię wylać z powodu napisanego przez ciebie artykułu, ale musisz być pewna, że spróbują znaleźć jakiś inny dogodny powód. Przyczaj się, nie próbuj wychylać, nabierz wody w usta i nie daj im tego, czego będą szukać.

Margo wstała. – Doktorze Menzies, nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem panu wdzięczna. Z całego serca dziękuję.

Mężczyzna przyglądał strzechę śnieżnobiałych włosów i również się podniósł. Ujął Margo za rękę. – Dzielna z ciebie kobieta – rzekł uśmiechem podziwu.

ROZDZIAŁ 27

Rozległo się ciche pukanie w przeszklone drzwi gabinetu. Laura Hayward, która z przejęciem wpatrywała się w ekran komputera, wyprostowała się gwałtownie w fotelu. Przez krótką, pełną płonnych nadziei chwilę sądziła, że mógł to być D'Agosta, z walizką w dłoni, który zjawił się, aby odwieźć ją do domu. Ale to była jedynie sprzątaczką, kobieta pochodząca z Gwatemali, uzbrojona w mop i kubek, uśmiechająca się i kiwająca głową.

–Mogę posprzątać? – spytała.

–Jasne. – Hayward odsunęła się z fotelem od biurka, aby dać kobiecie dostęp do kosza na śmieci. Uniosła wzrok i spojrzała na zegar: już wpół do trzeciej w nocy. To tyle, jeżeli chodzi o położenie się wcześniej spać. Nagle bowiem spadła na nią istna nawałnica zajęć, a raczej sama je sobie wynajdywała. Była gotowa na wszystko, aby tylko uniknąć powrotu do pustego mieszkania. Zaczekała, aż kobieta wyjdzie, po czym podjechała na fotelu do komputerowego terminalu i ponownie weszła do federalnej bazy danych. Była to raczej rutynowa inspekcja; miała już wszystko, czego potrzebowała.

Kilka chwil później wróciła do swego biurka. Zwykle i tak zagracone, było dziś zasłane całą stertą wydruków komputerowych, szarych kopert, fotografii z miejsc zbrodni, CD-ROM-ów, faksów i fiszek, innymi słowy wszystkim, co w jej mniemaniu miało lub mogło mieć związek z nierozwikłanymi do tej pory niedawnymi zabójstwami. Papiery utworzyły pokaźny stos. Na drugim końcu

biurka wznosił się drugi, znacznie mniejszy i starannie ułożony plik trzech grubych teczek. Każda z nich opatrzona była nazwiskiem: „Duchamp”, „Decker”, „Hamilton”. Wszyscy byli znajomymi Pendergasta. A teraz wszyscy byli martwi.

Duchamp i Decker: jeden znajomy, drugi – kolega. Czy to naprawdę tylko zbieg okoliczności, że obaj zostali zamordowani, i to w ciągu zaledwie kilku dni? Pendergast zaginął we Włoszech – w dziwnych, nieomal niewyjaśnionych okolicznościach, jak wynikało z relacji D'Agosty. Nie było świadków jego śmierci, zwłok ani jakichkolwiek dowodów. Siedem tygodni później trzech jego znajomych zostaje zamordowanych, jeden po drugim. Spojrzała na sterty papierów; kto wie, mogły być jeszcze inne ofiary, których dotąd nie zdołała połączyć z osobą Pendergasta. Trzy to i tak piekielnie dużo, za dużo.

Co tu się działo, u licha?

Siedziała przez chwilę, stukając nerwowo palcem w plik kartonowych teczek. W końcu wyjęła tę opatrzoną nazwiskiem „Hamilton”, otworzyła ją, sięgnęła po telefon i wybrała numer zamiejscowy.

Telefon zadzwonił, siedem, osiem, dziewięć razy. W końcu ktoś podniósł słuchawkę. Cisza trwała tak długo, że Hayward zaczęła się obawiać, czy połączenie nie zostało przerwane. W końcu usłyszała w słuchawce ciężki oddech i zaspány, zniekształcony, bełkotliwy głos. – Oby to było coś naprawdę ważnego.

–Porucznik Casson? Mówi kapitan Hayward z policji nowojorskiej.

–Jak dla mnie może być pani kapitanem Kangurem. Wie pani, która jest teraz godzina w Nowym Orleanie?

–Godzinę później niż w Nowym Jorku. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale to bardzo ważne. Chciałabym zadać panu kilka pytań w związku z jedną z waszych spraw.

–Do licha, czy nie można było poczekać z tym do rana?

–Chodzi o zabójstwo profesora Torrance'a Hamiltona. Dało się słyszeć długie, pełne rozdrażnienia westchnie. –

A konkretnie?

–Czy ma pan jakichś podejrzanych?

–Nie.

–Jakieś tropy?

–Bardzo nikłe.

–To znaczy?

–Mamy truciznę, która go zabiła.

Hayward wyprostowała się w fotelu. – Proszę mi o tym opowiedzieć.

–To naprawdę paskudna substancja. Neurotoksyna zbliżona do tej, jaką posługują się niektóre pająki. Tyle tylko, że ta była w pełni syntetyczna i podana w bardzo dużym stężeniu. Została wyprodukowana przez osobę o naprawdę tęgim umyśle. Nasi chemicy byli bardzo poruszeni tym odkryciem.

Hayward ścisnęła słuchawkę między policzkiem a ramieniem i zaczęła stukać w klawiaturę. A skutki?

–Prowadzi do wylewu, wstrząsu encefalicznego, nagłej de-mencji, psychozy, ataków padaczkowych i śmierci. Nie uwierzy pani, ile dzięki tej sprawie liźnąłem informacji z dziedziny medycyny. To się stało podczas jego wykładu na Uniwersytecie Stanu Luizjana.

–Podejrzewam, że było to dość spektakularne widowisko.

–Jeszcze jak.

–Jak udało się wam wyizolować truciznę?

–To nie było konieczne. Zabójca był tak zapobiegliwy, że zostawił dla nas próbkę. Na biurku Hamiltona.

Hayward przestała pisać na komputerze. – Co?

–Wygląda na to, że wszedł spokojnie do tymczasowego gabinetu Hamiltona i zostawił ją na jego biurku. W tym samym czasie, kiedy starszy prowadził swój ostatni wykład. Pół godziny wcześniej zaprawił tą substancją kawę Hamiltona, co oznacza, że od jakiegoś czasu musiał przebywać na terenie uniwersytetu. Sprawca zostawił próbkę na widocznym miejscu, jakby chciał w ten sposób przekazać komuś wiadomość. A może po prostu rzucił wyzwanie policji.

–Jacyś podejrzani?

–Żadnych. Nikt nie widział, żeby ktoś tego ranka wchodził albo wychodził z gabinetu Hamiltona.

–Czy ta informacja została podana do wiadomości publicznej? Chodzi mi, rzecz jasna, o truciznę.

–Podaliśmy tylko, że użyto trucizny. Nie informowaliśmy, o jaką substancję chodzi.

–Jakieś inne dowody? Odciski palców, ślady stóp, cokolwiek?

–Wie pani, jak to jest, eksperci zbierają całe mnóstwo śmieci, które w efekcie zdają się psu na budę. Z jednym znaczącym wyjątkiem: znaleźliśmy włos wyrwany razem z cebulką; to wystarczyło, żeby przeprowadzić analizę DNA. Nie ma zgodności z DNA Hamiltona, jego sekretarki ani żadnych innych osób, które często odwiedzały ten gabinet. Poza tym niezwykła była również barwa tego włosa. Sekretarka powiedziała, że nie pamięta, aby ostatnio profesora odwiedzali goście mający włosy takiego koloru.

–Takiego, czyli jakiego?

–Jasny blond, bardzo jasny blond.

Hayward poczuła, że serce zaczyna bić w jej piersi coraz szybszym rytmem.

–Halo? Jest tam pani jeszcze?

–Tak, jestem – powiedziała Hayward. – Czy mógłby pan przesłać mi faksem listę materiałów dowodowych i

wyniki analizy DNA?

–Oczywiście.

–Zadzwoń do pana do biura z samego rana i zostawię mój numer faksu.

–Nie ma sprawy

–I jeszcze jedno. Zakładam, że z wiadomych względów grzebał pan trochę w przeszłości Hamiltona, sprawdził, z kim się przyjaźnił i w ogóle.

–Ma się rozumieć.

–Czy natknął się pan na nazwisko Pendergast?

–Nie przypominam sobie. Czy mam to potraktować jako trop?

–Jak pan uważa.

–W porządku. Ale chciałbym prosić o drobną przysługę: następnym razem proszę dzwonić do mnie za dnia. Zaspamy tracę wiele ze swego nieodpartego uroku osobistego.

–Moim zdaniem, wcale go pan nie stracił, poruczniku.

–Pochodzę z Południa, takie rzeczy ma się chyba w genach. Hayward odłożyła słuchawkę. Przez dłuższą chwilę, prawie dziesięć minut, trwała w kompletnym bezruchu, wpatrując się w aparat. A potem wolno, z rozmysłem odłożyła teczkę z adnotacją „Hamilton” na biurko, sięgnąwszy po tę opatrzoną nazwiskiem „Decker”. Ponownie wzięła do ręki słuchawkę i zaczęła wybierać numer.

ROZDZIAŁ 28

Pielęgniarka, wysoka, szczupła, zasuszona, ubrana na czarno z wyjątkiem białych rajstop i butów, postać jakby żywcem wyjęta z Rodziny Addamsów, wychyliła głowę zza mahoniowych drzwi. – Dyrektor może już pana przyjąć, panie Jones.

Smithback, który do niedawna wydeptywał ścieżkę na długim korytarzu pierwszego piętra pensjonatu River Oaks, poderwał się tak gwałtownie, że aż zrzucił poduszkę z krzesła. – Dzięki – rzekł pospiesznie, podnosząc i odkładając poduszkę na miejsce.

–Tędy. – I przepuściwszy Smithbacka w prog, poprowadziła go wzdłuż jednego z ciemnych, bogato zdobionych i zdających się nie mieć końca korytarzy rezydencji.

Umówienie się na spotkanie z dyrektorem okazało się wyjątkowo trudne. Wydawało się, że „goście” często żądali widzenia się z dyrektorem Tisanderem, aby poskarżyć się, że ściany szepczą coś do nich po francusku, albo domagać się, by zaprzestano włączania im telepatycznie do głowy rozmaitych poleceń. To, że Smithback nie zechciał wyjaśnić, w jakim celu chce widzieć się z dyrektorem, tylko pogorszyło całą sprawę. Mimo to Smithback się uparł. Wczorajsza kolacja z Throckmortonem i późniejsza przechadzka wokół rezydencji, kiedy kątem oka obserwował pustookie postacie przypominające kukły z gabinetu figur woskowych i posępne skamieliny rezydujące w bibliotece i salonach na piętrach, okazały się kroplą, która przepełniła czarę. To dobrze, że Pendergast troszczył się o jego bezpieczeństwo, ale Smithback nie mógł nawet znieść myśli, że miałyby spędzić jeszcze jeden dzień – a może również noc – w tym upiornym mauzoleum.

Smithback miał już gotowy plan. Wynajmie pokój w hotelu w Jersey City, wróci pociągiem do pracy i przez jakiś czas będzie trzymał się z dala od Nory, dopóki cała sprawa nie przycichnie. Umiał o siebie zadbać. Wyjaśni to wszystko dyrektorowi. Nie mogli przecież przetrzymywać go tutaj wbrew jego woli.

Podążył za drobną sylwetką pielęgniarki w głąb niemającego końca korytarza, mijając rzędy zamkniętych drzwi opatrzonych złoconymi numerami. W którymś momencie z tyłu za nim pojawiło się dwóch krępych pielęgniarzy. Wreszcie dotarli do końca korytarza i wyjątkowo masywnych drzwi z tabliczką opatrzoną napisem „dyrektor”. Pielęgniarka zapukała, po czym odstąpiła na bok i gestem zaprosiła Smithbacka do środka.

Smithback podziękował jej i przestąpił próg. Wewnątrz znajdował się elegancki apartament, cały w ciemnym drewnie, oświetlony blaskiem kinkietów. Ściany ozdobione były płótnami przedstawiającymi sceny myśliwskie. W przeciwległej ścianie uwagę zwracało wykuszowe okno, przez które podziwiać można było przepiękny zimowy pejzaż. Nie było tu regału z książkami ani niczego, co sugerowałoby, iż jest to gabinet dyrektora szpitala, choć za jednymi z dwojga drzwi znajdującymi się w apartamencie Smithback dostrzegł coś, co wyglądało jak biblioteka medyczna.

Pośrodku pokoju stało olbrzymie biurko z blatem przykrytym taflą szkła i wspartym na rzeźbionych nóżkach w kształcie lwich łap. Za biurkiem siedział doktor Tisander, pisząc coś zawzięcie wiecznym piórem. Uniósł wzrok na moment i uśmiechnął się do Smithbacka życzliwie. – Miło cię widzieć, Edwardzie. Usiądź, proszę.

Smithback usiadł. Przez minutę lub dwie jedynymi dźwiękami w gabinecie był trzask ognia na kominku i skrzypienie wiecznego pióra. Wreszcie Tisander odłożył pióro, przyłożył suszkę do kartki i przesunął ją na skraj biurka. Następnie rozsiadł się wygodnie na masywnym skórzanym fotelu i uśmiechnął szeroko na znak, że jest gotów poświęcić całą swą uwagę Smithbackowi.

–No dobrze. Już skończyłem. Powiedz mi, co cię trapi Edwardzie. Jak ci idzie przystosowanie się do życia w River Oaks? – Mówił cichym melodyjnym tonem. Mimo wieku na jego twarzy zarysowało się niewiele zmarszczek. Miał wysokie czoło i gęstą grzywę rozwichrzonych siwych włosów, które sprawiały, że na pierwszy rzut oka przypominał Alberta Einsteina.

Smithback zauważył, że dwaj pielęgniarze stali pod ścianą, z tyłu za nim.

–Czy mogę zaproponować ci coś do picia?

–Dziękuję, ale nie. – Smithback wskazał ruchem ręki na pielęgniarki – Czy oni muszą tu być?

Tisander uśmiechnął się do niego ze współczuciem. – To niestety jedna z reguł obowiązujących w tym przybytku. Fakt, że jestem tu dyrektorem, nie oznacza, że wolno mi nie przestrzegać podstawowych zasad.

–No cóż, jeśli jest pan pewien, że można im zaufać... jeżeli potrafią dochować tajemnicy...

–Pokładam w nich pełne zaufanie. – Tisander skinął głową zachęcająco, nakłaniając Smithbacka, aby mówił dalej.

Smithback wychylił się nieznacznie do przodu. – Zakładam, że wie pan wszystko na mój temat, i w ogóle.

–Oczywiście. – Przepelnione mądrością oblicze dyrektora rozpromienił szeroki uśmiech.

–Zgodziłem się przyjechać tu, aby się schronić, z uwagi na moje bezpieczeństwo. Muszę jednak powiedzieć, doktorze Tisander, że zmieniłem zdanie. Nie wiem, ile pan wie o tym zabójcy, który rzekomo dybie na moje życie, ale tak czy owak, potrafię o sobie zadbać. Nie muszę przebywać tu ani chwili dłużej.

–Rozumiem.

–Muszę wrócić do pracy, do redakcji „Timesa” w Nowym Jorku.

–A to czemu?

Wrażliwość doktora Tisandera zachęciła Smithbacka, aby mówił dalej. – Pracowałem nad pewną bardzo ważną sprawą i jeżeli tam nie wrócę, zlecą ją innemu reporterowi. Nie mogę do tego dopuścić. Chodzi o moją karierę. Stawka jest wysoka.

–Opowiedz mi, proszę, o sprawie, nad którą pracujesz.

–Chodzi o zabójstwo Duchampa... słyszał pan o nim...

–Ty mi o nim opowiedz.

–Zabójca powiesił artystę Duchampa w oknie wieżowca, ale sznur pękł i ofiara runęła na przeszklony taras francuskiej restauracji. To sensacja, która nie trafia się co dzień.

–Czemu tak uważasz?

–Z uwagi na niezwykle sposób, w jaki dokonano morderstwa, dobór ofiary, która była sławnym w pewnych kręgach artystą, oraz fakt, że zabójca wciąż zostaje nieuchwytny. To prawdziwa bomba. Nie mogę stracić tego tematu.

–Czy mógłbyś wyrazić się nieco jaśniej?

–Szczegóły nie są ważne. Muszę się stąd wydostać.

–Szczegóły zawsze są ważne.

Smithback poczuł, że jego entuzjazm zaczyna wyparowywać. – Nie chodzi tylko o moją pracę. Mam żonę. Ma na imię Nora. Myśli, że jestem w Atlantic City i pracuję potajemnie nad kolejnym artykułem, ale na pewno bardzo się o mnie martwi. Gdybym się stąd wydostał, mógłbym przynajmniej do niej zadzwonić i powiadomić ją, że nic mi nie jest. Pobraliśmy się zaledwie parę miesięcy temu. Na pewno pan to rozumie.

–Oczywiście. – Dyrektor słuchał go z wyteżoną uwagą i głębokim współczuciem.

Smithback, ponownie podniecony, podjął swój wywód. – Co się tyczy tego zabójcy, który rzekomo na mnie poluje, ani trochę się tym nie przejmuję. Potrafię zatroszczyć się o siebie. Nie muszę już dłużej się tu ukrywać, udając jakiegoś czubka.

Dyrektor Tisander znów pokiwał głową.

–No i w zasadzie to by było na tyle. Mimo iż umieszczono mnie tu w dobrej wierze, faktem jest, że nie mogę dłużej tu siedzieć. – Smithback wstał. – A teraz, czy byłby pan tak uprzejmy i wezwał dla mnie taksówkę? Jestem pewien, że agent Pendergast pokryje wszelkie koszty. Albo ja sam z przyjemnością prześlę panu czek, kiedy tylko wrócę do Nowego Jorku. W drodze tutaj agent Pendergast zabrał mi mój portfel i karty kredytowe. – Wciąż stał w bezruchu.

Przez chwilę w gabinecie panowała kompletna cisza. Wreszcie dyrektor wolno wychylił się do przodu. Oparł się łokciami o blat biurka i splótł palce dłoni.

–No cóż, Edwardzie... – zaczął spokojnym, łagodnym głosem – jak zapewne wiesz...

–Skończmy z tym Edwardem – wtrącił Smithback w przyływie irytacji. – Nazywam się Smithback. William Smithback junior.

–Proszę, pozwól, że skończę. – Krótka pauza, jeszcze jeden współczujący uśmiech. – Obawiam się, że nie mogę spełnić twojej prośby.

–Ja nie proszę, ja żądam. Powiedziałem to już raz, ale jeszcze powtórzę: wynoszę się stąd. Nie możecie trzymać mnie tu wbrew mojej woli.

Tisander odchrząknął dyskretnie. – Powierzono nam opiekę nad tobą. Twoja rodzina podpisała w tym celu stosowne dokumenty.

Przywieziono tu pana na obserwację i leczenie. Naszym zadaniem jest pomóc panu. I zrobimy to, ale niestety potrzeba na to czasu.

Smithback patrzył na niego z niedowierzaniem. – Proszę wybaczyć, doktorze Tisander, ale czy nie uważa pan, że moglibyśmy wreszcie przestać odgrywać tę komedię?

–O jakiej komedii mówisz, Edwardzie?

–Nie mam na imię Edward! Jezu. Wiem, co panu powiedziano, i powtarzam, że już czas skończyć te kretyńskie gierki. Dość udawania. Muszę wrócić do pracy, do mojego życia, do mojego prawdziwego życia. Już mówiłem, nie boję się żadnego zabójcy A teraz wynoszę się stąd. Natychmiast.

Na twarzy doktora Tisandera wykwitł łagodny zyczliwy uśmiech. – Trafiłeś tu, Edwardzie, ponieważ jesteś chory. Cała ta sprawa z twoją pracą w „New York Timesie”, tematem, który ci zlecono, i zabójcą, który ma czyhać na twoje życie... Właśnie dlatego znalazłeś się u nas. Na tym właśnie polega twój problem.

–Co takiego? – wykrzyknął Smithback.

–Jak już mówiłem, sporo o tobie wiemy Mam twoją teczkę grubą jak cegła. Jedynym wyjściem dla ciebie, sposobem na wyzdrowienie jest stawić czoło prawdzie, odrzucić urojenia i fantazje, opuścić wymagany świat, w którym żyjesz. Nigdy nie pracowałeś ani w „Timesie”, ani nigdzie indziej. Nie masz żony. I nie ściga cię żaden zabójca.

Smithback powoli osunął się na fotel, przytrzymując się podłokietników. Ogarnął go przeraźliwy chłód. Przypomniał sobie słowa Pendergasta, które usłyszał w drodze tutaj, a które obecnie nabrały całkiem nowego, złowrogiego znaczenia. „Dyrektor wie o wszystkim. Ma wszelkie niezbędne dokumenty”. Smithback uświadomił sobie, że wbrew jego wcześniejszym przypuszczeniom, wbrew temu, co zdawał się sugerować Pendergast, dyrektor nie był wtajemniczony w tę sprawę. „Niezbędne dokumenty” dotyczyły zapewne ubezwłasnowolnienia Smithbacka. Dopiero teraz pojął całą złożoność planu opracowanego przez Pendergasta, aby go ochronić. Nie mógł opuścić tego miejsca, nawet gdyby zechciał, a wszystko, co powiedział – wszelkie zaprzeczenia, wyparcia i wzmianki o zabójcy potwierdziły to, czego dyrektor dowiedział się z jego akt, a mianowicie, że Smithback cierpi na poważne urojenia. Przełknął ślinę i odetchnął głęboko. Wysilił się na spokojny, zrównoważony ton.

–Doktorze Tisander, niech pan pozwoli, że wszystko wyjaśnię. Mężczyzna, który mnie tu przywiózł, agent specjalny Pendergast – pamięta go pan? To on dał mi fałszywe dokumenty i wpakował tutaj, aby ochronić mnie przed zabójcą. Wszystkie dokumenty, jakie są w pana posiadaniu, zostały spreparowane. To wszystko to jedno wielkie oszustwo. Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę zadzwonić do „New York Timesa”. Niech pan poprosi, aby przefaksowali panu moje zdjęcie, mój rysopis. Przekona się pan, że jestem Williamem Smithbackiem. Edward Jones nie istnieje.

Smithback uświadomił sobie, jak irracjonalnie musiały zabrzmieć jego słowa. Teraz dyrektor na pewno musiał uznać, że ma do czynienia z szaleńcem. Doktor Tisander wciąż uważnie go słuchał i uśmiechał się, teraz jednak Smithback zaczął wychwytywać drobne niuanse, zmiany w wyrazie jego twarzy. Malował się na niej smutek i być może również ulga, z jaką człowiek o zdrowych zmysłach patrzy na chorego psychicznie. Niewątpliwie identyczny wyraz malował się na jego obliczu ubiegłego wieczoru, przy kolacji, kiedy Throckmorton opowiadał mu o swoim spotkaniu z Bogiem.

–Proszę posłuchać – zaczął raz jeszcze. – Na pewno pan o mnie słyszał, czytał moje książki. Napisałem trzy powieści, które znalazły się na krajowej liście bestsellerów: Relikt, Relikwiarz i Nadciągająca burza. Jeżeli ma je pan w tutejszej bibliotece, może pan sam sprawdzić. Na tylnej okładce każdej z nich umieszczono moje zdjęcie.

–A więc jest pan teraz także autorem poczytnych książek? – Uśmiech na twarzy doktora Tisandera wyraźnie się poszerzył. – W naszej bibliotece nie mamy poczytnych powieści, zwłaszcza takich, które trafiły na krajowe listy bestsellerów. Odwołują się one do najniższych, niewybrednych gustów niewyrobionego czytelnika i co najgorsza, ich lektura wprawia naszych gości w nadmierną, a co za tym idzie, niepożądaną ekscytację.

Smithback przełknął ślinę i starał się nadać swoim słowom przekonujący ton, aby upewnić doktora, że ma do czynienia z istnym okazem zdrowia psychicznego. – Doktorze Tisander, zdaję sobie sprawę, że po tym, co powiedziałem, musi pan uważać mnie za czubka. Gdyby pozwolił mi pan wykonać jeden telefon z pańskiego aparatu, tego na pańskim biurku, udowodnię, że wcale tak nie jest. Zadzwonię do mojej żony albo naczelnego „Timesa”, któreś z nich na pewno z miejsca potwierdzi, że jestem Williamem Smithbackiem. Tylko jeden telefon, o nic więcej nie proszę.

–Dziękuję, Edwardzie – powiedział Tisander, wstając. – Widzę, że na następnej sesji ze swoim terapeutą będziecie mieli sporo do omówienia. Muszę już wracać do pracy

–Do cholery, zadzwoń, jak cię o to prosiłem! – wybuchnął Smithback, podrywając się z fotela i rzucając w stronę aparatu.

Tisander z nieoczekiwaną szybkością cofnął się dwa kroki, a dwaj pielęgniarze w mgnieniu oka podbiegli i unieruchomili Smithbacka, wykręcając mu ręce do tyłu.

Zaczął się szamotać. – Nie jestem wariatem! Skończony durniu, czy nie widzisz, że jestem tak samo normalny jak ty? Zadzwoń do mojej żony albo do pracy!

–Poczujesz się lepiej, gdy tylko wrócisz do swojego pokoju, Edwardzie – rzekł dyrektor, ponownie rozsiadając się w fotelu, spokojny, opanowany i jowialny. – Niedługo znów porozmawiamy. Proszę nie zniechęcaj się, często trudno jest przystosować się do nowej sytuacji. Chcę, abyś wiedział, że jesteśmy tu, aby ci pomóc.

–Nie! – zakrzyknął Smithback. – To jakiś absurd, to wszystko jest jakieś chore! Nie możesz mi tego zro...

Wyjący na całe gardło i stawiający zaciekle opór Smithback został delikatnie, acz stanowczo wyprowadzony z gabinetu dyrektora.

ROZDZIAŁ 29

Podczas gdy Margo przygotowywała w kuchni kolację, Nora wykorzystwała wolną chwilę, aby rozejrzeć się po jej zaskakująco dużym i eleganckim mieszkaniu. Pod jedną ze ścian stał otwarty fortepian z rozłożoną partyturą jakiegoś broadwayowskiego musicalu. Opodał wisiało kilka dziewiętnastowiecznych rycin przedstawiających dziwne zwierzęta. Na regale po ścianą stał rząd książek, na drugiej półce zgromadzono cały zestaw nader ciekawych przedmiotów: rzymskie monety, egipską szklaną buteleczkę na perfumy, niewielki zbiór ptasich jaj, groty strzał, indiańską misę, kawałek drewna wyrzuconego przez fale, skamieniałego kraba, muszle, dwie ptasie czaszki, jakieś skamieniałości oraz złoty samorodek – był to istny gabinet osobliwości w miniaturze. Na ścianie naprzeciwko wisiał przepiękny ręcznie tkany kilim, jak oceniła Nora, dzieło Indian Nawaho.

To mówi co nieco na temat Margo, pomyślała Nora. Na pewno była o wiele bardziej interesującą osobą, niż się początkowo wydawała. I miała znacznie więcej pieniędzy, niż przypuszczała Nora. To nie było tanie mieszkanie, budynek był wytwornym apartamentowcem.

Z kuchni dobiegł głos Margo. – Przepraszam, że zostawiłam cię samą, Noro. Zaraz do ciebie przyjdę.

–Może mogłabym jakoś pomóc?

–Raczej nie, odpręż się i czekaj cierpliwie. Czerwone czy białe?

–Napiję się tego samego co ty.

–A więc białe. Będzie ryba.

Nora już rozkoszowała się napływającym z kuchni aromatem łososia gotowanego w delikatnym królewskim bulionie. Chwilę potem zjawiała się Margo, niosąc tacę ze smaczkowicie wyglądającą rybą ozdobioną koprem i plasterkami cytryny. Postawiła ją na stole, wróciła do kuchni i zjawiała się z butelką wina. Napełniła kieliszek Nory, potem swój i usiadła.

–To prawdziwa uczta – rzekła Nora, na której wrażenie zrobiło nie tylko samo danie, lecz również to, ile trudu Margo włożyła w jego przygotowanie.

–Pomyślałam sobie, że skoro Bill wyjechał służbowo, a termin otwarcia wystawy zbliża się milowymi krokami, przyda ci się odrobina relaksu.

–To prawda, ale nie spodziewałam się czegoś tak miłego.

–Lubię gotować, a rzadko mam po temu okazję, jakoś brak mi czasu na poznawanie facetów. – Usiadła, uśmiechnęła się kwaśno i energicznym gestem odgarnęła kosmyki brązowych włosów z twarzy – A jak tam przygotowanie do wystawy?

–To pierwszy wieczór w tym tygodniu, kiedy wyszłam z muzeum przed północą.

–Ojej.

–Wszyscy chodzą jak nakręceni. Nie mam pojęcia, jak oni to robią, ale osoby, które mają już za sobą podobne przeżycia, twierdzą, że pod koniec można się do tego przyzwyczaić.

–Wiem coś o tym. Też muszę dziś wrócić na chwilę do muzeum.

–Naprawdę?

Margo skinęła głową. – Aby oddać do druku kolejny numer „Muzeologii”.

–Na Boga, Margo. W tej sytuacji nie powinnaś marnować czasu na przygotowywanie dla mnie kolacji.

–Żartujesz sobie? Musiałam choćby na parę godzin wydostać się z tego starego zakurzonego grobowca. To

mi dobrze zrobi. – Odkroiła kawałek łososia i nałożyła na talerz Margo, a potem drugi dla siebie, dodając do tego szparagi i porcję dzikiego ryżu.

Nora patrzyła, jak tamta rozdziela dla nich porcje, i przez chwilę zastanawiała się, jak mogła się aż do tego stopnia pomylić. To prawda, że jej pierwsze spotkania z Margo przebiegały dość burzliwie, ale poza muzeum ta kobieta wydawała się całkiem inną osobą, bezpośrednią, szczerą i wielkoduszną, czym zaskoczyła i ujęła Norę. Margo bardzo się starała zadośćuczynić jej za komentarz podczas spotkania wydziału i poza zwyczajnymi przeprosinami postanowiła zaprosić Norę do siebie na specjalnie przygotowaną kolację.

–Nawiasem mówiąc, chciałam, abyś wiedziała, że opublikuję mój artykuł. Wiem, że sprawa jest niemal z gruntu przegrana, ale po prostu czuję, że muszę to zrobić.

Nora podziwiała swoją niedawną rywalkę. Nawet mogąc liczyć na poparcie Menziesa, Margo porywała się z motyką na słońce. Rzucała otwarte wyzwanie całemu zarządowi muzeum, a to nie przelewki – niektórzy członkowie kierownictwa bywali wyjątkowo mściwi.

–Jesteś piekielnie odważna.

–Nie powiedziałabym tego. To raczej czysta głupota. Zapowiedziałam, że to zrobię, i czuję, że po prostu muszę, mimo iż wiem, że zarząd sprzysiągł się przeciwko mnie. Zdaję sobie sprawę, że walczę o przegraną sprawę, ale to słuszna sprawa.

–To pierwszy numer pisma pod twoim kierunkiem.

–Pierwszy i być może ostatni.

–A co się tyczy tego, co powiedziałam wcześniej, naprawdę tak uważam. Chociaż się z tobą nie zgadzam, uważam, że powinnaś opublikować ten artykuł. Możesz na mnie liczyć. Wydaje mi się, że wszyscy w wydziale wyrażą na to zgodę, może z wyjątkiem Ashtona.

Margo uśmiechnęła się. – Wiem. I naprawdę to doceniam, Noro.

Nora wypita łyk wina. Spojrzała na etykietę: vermentino, naprawdę bardzo dobre. Bill, niepoprawny snob, jeżeli chodzi o wino, nauczył ją sporo na ten temat przez ostatnie dwa lata.

–Ciężko jest być kobietą w muzeum – powiedziała. – Mimo iż wiele rzeczy zmieniło się na lepsze, wciąż nie ma kobiet dziekanów czy pełniących funkcje szefów wydziałów. A jeżeli przyjrzy się radzie zarządu, tworzą ją niemal w całości ambitni prawnicy i inwestorzy bankowi, dwie trzecie rady to mężczyźni, nieprzejawiający większego zainteresowania nauką czy edukacją publiczną.

–To przygnębiające, że tak wielkie muzeum nie może przełamać pewnych stereotypów

–Tak już jest urządzony ten świat. – Nora odgryzła kawałek łososia. Był pyszny, lepszego chyba jeszcze nigdy nie jadła.

–Powiedz mi, Noro, jak właściwie poznaliście się z Billem. Ja byłam jeszcze studentką, kiedy spotkałam go po raz pierwszy. To było właśnie w muzeum. Nie wyglądał mi na faceta, któremu pilno do żeniaczki. Polubiłam go mimo wszystko, choć nigdy nie dałam mu tego odczuć. Był potwornie nadęty

–Polubiłaś go? Kiedy ja zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam, że nigdy jeszcze nie widziałam większego pajaca. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Przyjechał limuzyną, aby podpisywać książki w zapomnianej przez Boga i ludzi mieścinie Page w Arizonie.

Margo wybuchnęła śmiechem. – Właśnie to sobie wyobraziłam. To zabawne, mimo iż pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarł, nie było dla niego pochlebne, z czasem przekonałam się, że ten chłopak ma złote serce... i w dodatku jest piekielnie odważny

Nora wolno pokiwała głową nieco zaskoczona tym, co przed chwilą usłyszała. – Trochę trwało, zanim sama do tego doszłam, musiałam naprawdę oswoić się trochę z jego manierą „nieustraszonego reportera”. Bill i ja

mamy skrajnie różne charaktery, ale wydaje mi się, że w małżeństwie to pozytywna cecha. Nie wytrzymałabym w związku z kimś takim jak ja, jestem nazbyt władcza i apodyktyczna.

–Ja też – wtrąciła Margo. – A co właśnie robiłaś w Page w Arizonie?

–To jest właśnie najciekawsze. Prowadziłam ekspedycję archeologiczną na terytorium Utah, a Page było naszym punktem zbornym.

–Brzmi fascynująco.

–I takie też było. Zbyt fascynujące, jak się później okazało. Potem podjęłam pracę w muzeum Lloyda.

–Coś ty! A więc byłaś tam, kiedy upadło?

–Od początku balansowało na granicy upadłości. Palmer Lloyd najwyraźniej trochę przekombinował. Ale do tego czasu spaliłam za sobą wszystkie mosty i znów jak głupia zostałam bez roboty. Dlatego gdy tylko nadarzyła się okazja, przyjechałam pracę tutaj.

–Cóż, strata muzeum Lloyda, a nasz zysk.

–Masz na myśli Salę Brylantową – rzekła żartobliwie Nora. Kiedy plany otwarcia muzeum Lloyda spaliły na panewce, Muzeum Historii Naturalnej jak sęp rzuciło się na zgromadzone tam zbiory, i głównie dzięki hojnej dotacji zamożnego mecenasa nabyło światowej sławy kolekcję brylantów należących do Palmera Lloyda.

Margo zaśmiała się. – Nie wygłupiaj się. Mówiłam o tobie. Nora upiła kolejny łyk wina. – A co z tobą? Jak ty tutaj trafiłaś?

–Pracowałam tu też po studiach jako absolwentka etnofarmakologii. Było to w czasach tak zwanych zabójstw w muzeum. Całą tę sprawę Bill opisał w swojej pierwszej książce. Czytałaś ją?

–Żartujesz sobie? Jednym z warunków umówienia się choćby na pierwszą randkę z Billem było przeczytanie wszystkich jego książek. Co prawda, otwarcie na to nie nalegał, ale aluzje, jakie czynił, były wyraźne i znaczące.

Margo zaśmiała się.

–Z tego, co przeczytałam – rzekła Nora – wynika, że miałaś całkiem sporo fascynujących przygód.

–Tak. Kto twierdzi, że nauka jest nudna?

–Co sprowadziło cię z powrotem do muzeum?

–Po tym jak zrobiłam doktorat, podjęłam pracę dla koncernu farmaceutycznego GeneDyne. Zrobiłam to, aby sprawić przyjemność mojej matce; bardzo jej zależało, bym zajęła się rodzinnym biznesem, ale ja nie chciałam nawet o tym słyszeć. Praca dla GeneDyne, wiążąca się ze sporymi zarobkami, była swego rodzaju kompromisem, jedynym, na jaki mogłam przystać. Biedna mama. Nieraz powtarzała, że nie może pojąć, dlaczego uparłam się, aby grzebać się w czyichś starych kościach. Tak czy owak, jak już wspomniałam, płacili nieźle, ale praca w wielkiej korporacji jakoś nie przypadła mi do gustu. Chyba nie mam w sobie żyłki do pracy zespołowej ani nie jestem wazeliniarą. Któregoś dnia zadzwonił Hugo Menzies. Wiedział, że pracowałam wcześniej w muzeum, i przypadkiem natknął się na sporządzoną przeze mnie dla GeneDyne pracę naukową na temat medycyny khoisańskiej. Zapytał, czy nie myślałam o powrocie do muzeum. Akurat pojawił się wakat na stanowisku redaktora naczelnego „Muzeologii” i chciał, abym to ja je objęła. Zgodziłam się i oto jestem. Wskazała na talerz Nory. – Dokładkę?

–Chętnie. Nie odmówię.

Margo nałożyła jej na talerz drugi kawałek łososia i odkroiła plasterek dla siebie. – Chyba nie słyszałaś o maskach Tano – rzuciła, nie odrywając wzroku od talerza.

Nora gwałtownie uniosła wzrok. – Nie. Jakoś mi to umknęło.

–Muzeum stara się wyciszyć tę sprawę w nadziei, że cała ta afera mimo wszystko nie wyjdzie na jaw. Sądę jednak, że ty jako kustosz nowej wystawy powinnaś o tym wiedzieć. Tano tu jadą. Wyruszyli całym taborem z Nowego Meksyku i zmierzają do Nowego Jorku, aby na miejscu poprosić o zwrot świętych masek. Zamierzają pikietować muzeum w dniu otwarcia wystawy, odprawiając przed wejściem swoje tańce, śpiewając pieśni i rozdając ulotki.

–O nie – jęknęła Nora.

–Udało mi się porozmawiać z przywódcą grupy, starym szamanem, to bardzo miły człowiek, ale równocześnie bardzo stanowczy, jeżeli chodzi o to, co robią i dlaczego. Tano wierzą, że w każdej z tych masek mieszka duch, i pragną je ułagodzić, aby wiedziały, że nie zostały zapomniane.

–Ale akurat w dniu otwarcia wystawy? To będzie katastrofa.

–Powodują nimi szczere i czyste pobudki – wtrąciła łagodnie Margo.

Nora spojrzała na nią, cięta riposta zaczęła już rodzić się w jej gardle. Zmitygowała się jednak. – Chyba masz rację.

–Naprawdę próbowałam ich od tego odwieść. Tak czy owak, powiedziałam ci o tym, bo uznałam, że powinnaś wiedzieć, co się święci.

–Dzięki. – Nora zamyśliła się przez chwilę. – Ashton się wścieknie.

–Jak ty w ogóle możesz pracować z takim człowiekiem? Przecież to pacan.

Nora wybuchnęła śmiechem zaskoczona bezpośrednią otwartością Margo. Naturalnie miała rację. – Powinnaś zobaczyć go teraz, jak ugania się po całym terenie wystawy, pokrzykując na wszystkich, wymachując rękami, a narodziła na jego przedramionach kołyszą się w przód i w tył.

–Dość! Nie chcę sobie tego wyobrazić!

–I wtedy zjawia się Menzies i rzuciwszy słówko tu, słówko tam, w pięć minut potrafi zdziałać więcej niż Ashton przez cały dzień od białego rana.

–To ewidentny przykład sprawnego i umiejętnego zarządzania. – Margo wskazała na kieliszek Nory. – Jeszcze?

–Proszę.

Napełniła oba kieliszki. Uniosta je w dłoniach. – Szkoda, że gładkie słówka Menziesa nie działają na kobiety. Wypijmy za nas, Noro, za ciebie i za mnie, dwie wojowniczkę, które nie dają sobie dmuchać w kaszę i kiedy trzeba umieją dokopać każdemu w tym muzeum skamielin.

Nora zaśmiała się. – Jasne, że za to wypiję.

Stuknęły się delikatnie kieliszkami.

ROZDZIAŁ 30

Była druga w nocy, kiedy Smithback uchylił nieznacznie drzwi do swojego pokoju. Wstrzymując oddech, wyjrzał przez wąską szparę. Korytarz drugiego piętra był ciemny i opustoszały. Uchyłając drzwi szerzej, spojrzął w drugą stronę.

Także ani żywego ducha.

Smithback zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Serce dudniło mu w piersi i wmawiał sobie, że to dlatego, iż tak długo czekał na tę chwilę. Przeleżał w łóżku dobrych parę godzin, udając, że śpi, równocześnie dopracowując w myślach szczegóły swego planu. Nieco wcześniej, wieczorem około jedenastej usłyszał pod drzwiami ciche kroki; pielęgniarka zajrzała ukradkiem do jego pokoju, a ujrzawszy go leżącego w bezruchu w łóżku, uznała, że zasnął, i wyszła. Od północy na korytarzu panowała głucha cisza.

Smithback znów sięgnął dłonią do klamki. Najwyższy czas zrealizować pieczołowicie opracowany plan. Po awanturze z dyrektorem, zgodnie z wieczornym zwyczajem został zawołany na kolację. Wskazano mu miejsce i wręczono kartę dań, jakby nic się nie stało i najwyraźniej tego rodzaju urojeniowe wybuchy były w River Oaks na porządku dziennym. Po kolacji odbył swój dyżur w kuchni, odnosząc łatwo psujące się produkty żywnościowe do wielkich chłodni w ogromnym kompleksie kuchennym na parterze pensjonatu.

Właśnie podczas dyżuru Smithbackowi udało się zwędzić klucze od piwnicy.

Choć pracował zaledwie dwie zmiany, zdążył się zorientować, jak funkcjonowała tutejsza kuchnia. Dostawy wnoszone przez osobne wejście na tyłach rezydencji, a stamtąd piwnicznym korytarzem do kuchni. Ochrona w River Oaks była śmiechu warta; wyglądało na to, że połowa personelu kuchni ma klucze do piwnic, począwszy od szefa kuchni po zwykłego pomywacza, drzwi zaś w godzinach pracy były bez przerwy otwierane i zamykane. Klucze stałe były w użyciu. Kiedy szef birbant zszedł po coś na dół, Smithback postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję – i gdy nikt nie patrzył, wyjął klucz z zamka i schował do kieszeni. Szef wrócił na górę, uginając się pod ciężarem wielkiego rusztu, i najwyraźniej całkiem zapomniał o pozostawionym w drzwiach kluczu.

To było banalnie proste.

Smithback sprężył się, przygotowując się do ponownego otwarcia drzwi. Miał na sobie trzy koszule, sweter i dwie pary spodni; pocił się przez to obficie. Były to konieczne środki ostrożności: o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, czekała go długa jazda na mrozie.

Podczas dyżuru w kuchni dowiedział się, że pierwsza ciężarówka podjeżdżała przed wejście dostawcze o wpół do szóstej rano. Gdyby udało mu się przejść przez piwnice, zaczekać do przybycia ciężarówki, a następnie wskoczyć na pakę, zanim wóz odjedzie, powinien bez trudu wydostać się z tej pułapki. Upłyną co najmniej dwie godziny, nim ktoś odkryje jego zniknięcie, a do tego czasu on będzie już w drodze do Nowego Jorku. Poza zasięgiem doktora Tisandera i jego zastępów przerażających, ubranych na czarno pielęgniarzy

Znów lekko uchylił drzwi. Grobowa cisza. Otworzył drzwi szerzej, po czym wymknął się na korytarz i zamknął je za sobą bezszelestnie.

Obejrzał się przez ramię, następnie ostrożnie ruszył korytarzem w stronę podestu schodów, trzymając się przy samej ścianie. Szanse na to, że ktoś go zauważy, były niewielkie, kandelabry przygaszono, bursztynowe kręgi roztaczanego przez nie światła były bardzo słabe. Pejzaże, portrety na ścianach tonące wśród głębokich cieni wyglądały jak czarne niewyraźne prostokąty. Miękki dywan zmienił się w rzekę brązu o odcieniu tak ciemnym, że wydawał się prawie czarny.

Dotarcie do podestu, zajęło mu równo pięć minut. Tu światło było ciemniejsze i odczekał chwilę, nasłuchując odgłosów na schodach. Cofnął się dwa kroki, wyłóżając słuch. Nic. Cisza.

Przemknąwszy bezszelestnie naprzód, chwytając się dłonią barierki, Smithback zszedł miękko po schodach, gotów błyskawicznie zawrócić na piętro, gdyby usłyszał lub dostrzegł kogoś zmierzającego w jego stronę. Dotarłszy na podest pierwszego piętra, zaszył się w ciemnym kącie, przykucając za kredensem. Z tego

miejsca rozejrzał się dookoła, by zorientować się w otoczeniu. Odchodziły stamtąd cztery korytarze: jeden prowadził do jadalni, drugi do biblioteki i zachodniego salonu, inne do pomieszczeń biurowych i pokoi terapeutycznych. Także to piętro tonęło w całkowitej ciszy. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, Smithback powoli wyszedł ze swojej kryjówki.

Od strony pomieszczeń biurowych doszedł go trzask zamykanych drzwi. Błyskawicznie powrócił do swojej kryjówki, przykucnął i czekał. Usłyszał szcęk klucza. Potem przez blisko minutę w korytarzu panowała grobowa cisza. Czyżby ktoś zamknął się w gabinecie na klucz? Wydało mu się to trochę podejrzanę.

Odczekał jeszcze minutę. Nadal nic.

Już miał wstać, kiedy w zasięgu jego wzroku z mroku korytarza administracyjnego wyłoniła się jakaś postać: pielęgniarz idący wolno z dłońmi złączonymi za plecami. Mężczyzna raz po raz zerkał na prawo i lewo, jakby sprawdzał, czy drzwi są pozamykane jak należy.

Smithback wtopił się jeszcze głębiej w mrok za kredensem, nie poruszał się i wstrzymał nawet oddech do czasu, aż mężczyzna minął podest i znikł w korytarzu wiodącym do biblioteki.

Smithback odczekał bez ruchu kolejne pięć minut. Potem chyłkiem zszedł po schodach na parter.

Było tu jeszcze ciemniej. Upewniwszy się, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo, Smithback pobiegł w głąb szerokiego korytarza prowadzącego do kuchni.

Dotarcie do ciężkich podwójnych drzwi zajęło mu pół minuty. Obejrawszy się raz jeszcze przez ramię, naparł mocno na drzwi, aby dostać się do kuchni.

Drzwi nie ustąpiły

Smithback odwrócił się do nich i pchnął jeszcze mocniej.

Nawet nie drgnęły. Były zamknięte na klucz.

Cholera. Nie wziął tego pod uwagę – za dnia tych drzwi nigdy nie zamykano.

Sięgnął do kieszeni po klucz do piwnicy, łudząc się wbrew nadziei, że zdoła otworzyć nim także drzwi do kuchni. Nie. Nic z tego.

Znów obejrzał się przez ramię, ogarnęła go fala rozczarowania i czarnej rozpacz. Plan był przecież doskonały. Tak niewiele brakowało, aby się stąd wydostał. Żeby coś takiego miało pokrzyżować mu szyki!

Znieruchomiał i pogrążył się w zamyśleniu. Może jednak mu się uda. Miał jedną, jedyną szansę, niewielką, co prawda, ale lepsze to niż nic.

Ostrożnie wrócił na podest. Uniósł wzrok i wyteżył słuch, ale aksamitną ciemność przepęłniała głucha cisza. Bezszelestnie wspiał się po schodach na pierwsze piętro, przebiegł na ukos przez podest i wszedł do jadalni.

Rozległe upiorne pomieszczenie spowite niewzruszoną ciszą przywodziło na myśl grobowiec. Blade promienie księżycowego blasku wpadające przez wysokie okna przydawały sali niesamowitego, posępnego wrażenia. Smithback szybkim krokiem przemaszerował między stolikami, które były już przygotowane do śniadania, aż wreszcie dotarł do przeciwległego końca jadalni. Biegło tu równoległe do ściany ozdobne przepierzenie skrywające wejścia dla obsługi i kelnerów. Smithback ukrył się za tym przepierzeniem i zaczął brnąć wśród gęstej ciemności w stronę swojego celu – windy kuchennej przesłoniętej metalowymi drzwiczkami o rozmiarach trzy na cztery stopy w przeciwległej ścianie.

Powoli, by nie narobić hałasu, Smithback ujął i otworzył metalowe drzwiczki. Za nimi znajdował się pusty szyb. Gruba lina przymocowana do wielokrążka w sklepieniu szybu zniknęła w atramentowym mroku poniżej.

Smithback uśmiechnął się mimowolnie.

Podczas dyżuru w kuchni widział, jak stare miski ze sztućcami i brudnymi talerzami są wywożone tą samą

windą z sali jadalnej. Teraz przy odrobinie szczęścia zwiezie ona na dół całkiem inny ładunek.

Na panelu znajdował się rząd guzików służących do opuszczania i przywoływania windy. Smithback przyjrzał się im w słabym świetle, po czym sięgnął ręką, by nacisnąć guzik ściągający windę na górę. Kiedy dotrze ona z kuchni do jadalni, wciśnie się do niej i zjedzie na dół...

I nagle zastygł w bezruchu. W ciszy nocy dźwięk silnika będzie brzmiał wyjątkowo głośno. Istniała spora szansa, że w kuchni nawet o tej porze ktoś był. Smithback nie chciał, aby jakikolwiek hałas zdradził jego obecność. Wychylając się do przodu, zacisnął dłonie na grubym sznurze, szarpnął mocno raz i drugi na próbę, a potem, stękając, zaczął ciągnąć linę z całych sił.

Miał wrażenie, że podciąganie windy z kuchni poniżej trwa w nieskończoność. Zanim skończył, był zdyszany i zasapany, jego tors przyobleczony w trzy warstwy koszul ociekał potem. Odpoczął przez chwilę, po czym rozejrzał się wokół. Wciąż ani żywego ducha.

Skupiwszy całą uwagę na windzie kuchennej, wpełzł do środka, wciągając swoje długie kończyny do wąskiej kabiny. Następnie zamknął za sobą drzwiczki.

Kompletna ciemność.

Siedząc wewnątrz windy z kolanami przy ustach, Smithback uświadomił sobie, że opuszczenie urządzenia wcale nie będzie proste. Po chwili odkrył, że opierając dłonie o przednią ścianę szybu i odpychając się do góry jest w stanie cał po calu zjechać w dół. Była to żmudna i czasochłonna praca, pot zalewał mu oczy, ale po kilkunastu minutach wyczuł pod plecami framugę drugich drzwiczek. Dotarł na parter, do kuchni.

Znieruchomiał na chwilę, mimo iż ciasnota wzbudzała w nim uczucie dławiącej klaustrofobii, i nasłuchiwał z uwagą. Nie wychwyciwszy żadnych podejrzanych dźwięków, otworzył drzwiczki na oścież.

Kuchnia była pusta. Jedyne światło płynęło z podłużnej lampki nad wyjściem awaryjnym; słaby karmazynowy blask nie był w stanie rozjaśnić rozległego pomieszczenia.

Smithback wypełził z szybu windy, rozprostował zdrętwiałe kończyny i rozejrzał się wokół. W przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi do piwnicy. Aż znieruchomiał z podniecenia. Był już prawie na miejscu. Nic go nie mogło powstrzymać. River Oaks może być prawdziwą twierdzą bez wyjścia dla kompletnych szajbusów i popaprańców w rodzaju Rogera Throckmorta, ale nie dla bystrego, gotowego na wszystko dziennikarskiego asa, Williama Smithbacka.

Kuchnia stanowiła osobliwy melanz anachronizmu i nowoczesności. Po obu stronach olbrzymiego pieca wznosiły się duże przemysłowe miksery z nierdzewnej stali. Z sufitu zwieszały się długie wianuszki czosnku, papryki oraz pęki rozmaitych ziół; szef kuchni pochodził z Bretanii. Granitowe kontuary lśniły od stojących tam garnków i naczyń. W przeszklonych szafkach ze zbrojonego szkła wzmocnianego drucianą siatką wisiały tuziny najlepszych niemieckich noży i tasaków.

Smithback wypatrywał jednak czegoś innego – masywnych drewnianych drzwi w przeciwległej ścianie. Podeszedł do nich pospiesznie i otworzył kluczem. Kamienne schody wiodły w mroczną, bezdenną czeluść. Smithback zwawo przestąpił próg, uważając, by nie poślizgnąć się na wilgotnych kamieniach. Zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na klucz, odcinając się od bladoczerwonej poświaty w kuchni. A potem zaczął wolno, z najwyższą ostrożnością schodzić do piwnic, licząc kolejne stopnie.

Przy dwudziestym czwartym dotarł do końca schodów

Przystanął, by się rozejrzeć. Niczego nie zobaczył, gdyż otaczała go nieprzenikniona ciemność. Powietrze czuło było wilgocią i pleśnią. Dopiero teraz uświadomił sobie, że powinien był zwędzić również latarkę i dyskretnie popytać tu i ówdzie o układ piwnic i drogę do wejścia dla dostawców. Może powinien odłożyć ucieczkę o dzień, dwa, wrócić do swego pokoju i spróbować kiedy indziej...

Odegnął od siebie te myśli. Było już za późno, by się wycofać. Nie udałoby mu się wciągnąć windy na górę, do jadalni. Poza tym chodziło przecież o jego pracę. A jakby tego było mało, chciał, musiał porozmawiać z Norą. Do przyjazdu pierwszej furgonetki dostawczej zostało jeszcze około trzech godzin. To więcej czasu, niż

mógł potrzebować na znalezienie drogi do wejścia dostawczego. Wziął głęboki oddech, a potem drugi, aby trochę się uspokoić i stłumić w sobie rodzący się niewyjaśniony lęk. W końcu, wyciągając obie ręce przed siebie, zaczął powoli przesuwając się naprzód noga za nogą. Po kilku krokach natknął się na ceglana ścianę biegnącą prostopadle do miejsca, gdzie obecnie stał. Skręcił w prawo i ruszył dalej nieco szybszym krokiem, przesuwając jedną ręką wzdłuż ściany. Rozległ się inny dźwięk prócz odgłosu kroków Smithbacka: cichy szmer i popiskiwanie przemykających ukradkiem szczurów.

Wtem rąbnął nogą w coś ciężkiego, płaskiego i nieruchomego, co znajdowało się na podłodze. Runął do przodu i niemal w ostatniej chwili wyciągnął ręce do przodu, by złagodzić impet upadku. Podniósł się, zaklął, roztarł obolałą goleń i zaczął po omacku wodzić rękoma wokoło. Na jego drodze znalazł się wprawiony w ceglana ścianę zlew lub coś w tym rodzaju. Smithback obszedł go ostrożnie i ruszył dalej. Popiskiwanie szczurów ucichło, jakby gryzonie usłyszawszy, że się zbliża, pierzchyły w popłochu.

Ściana po jego lewej skończyła się nagle. I znów znalazł się w całkowitych ciemnościach. To było szaleństwo. Musiał się nad tym dokładnie zastanowić, wszystko sobie przemyśleć. Spróbował wyobrazić sobie rozkład tej ogromnej rezydencji. Z tego, co wy-koncypował na podstawie pokonanej dotychczas drogi, mijanych zakrętów i załomów korytarza, wynikało, że tył budynku musiał znajdować się na lewo od niego.

Odwrócił się i w tej samej chwili zobaczył słaby błysk światła w oddali. Poświata była nikła, z trudem rozpraszała mrok, ale skierował się ku niej jak tonący, który rozpaczliwie stara się dotrzeć do stałego lądu. Kiedy tak szedł, odniósł wrażenie, że światło oddala się od niego jak miraż. Przez chwilę maszerował pod górę, po czym znów zaczął schodzić coraz niżej. Wreszcie, kiedy podszedł bliżej, okazało się, że źródło zagadkowego światła znajdowało się na wysokości jego oczu – był to zestaw małych zielonych światełek osadzonych w panelu przypominającym wyglądem duży termostat. Światła rozjaśniały swym blaskiem wnętrze dziwnego pomieszczenia o żebrowanym wysokim sklepieniu z ociosanego wapienia. Znajdowało się w nim pół tuzina kotłów parowych z polerowanego mosiądzu i miedzi. Musiały pochodzić co najmniej z połowy dziewiętnastego wieku, z termostatem zaś łączyły je pęki barwnych przewodów. Wielkie bojlerki syczały i pomrukiwały łagodnie, jakby pochrapując w zgodnym rytmie z uspioną rezydencją, którą ogrzewały.

Pośród szumu kotłów znów dało się słyszeć drapanie małych pazurków i popiskiwanie szczurów. A potem bardzo wyraźnie rozległo się szurnięcie podeszwy buta po kamiennym podłożu.

Smithback obrócił się na pięcie. – Kto tam? – zawołał. Jego głos odbił się echem pośród kotłów i wysokiego kamiennego sklepienia.

Bez odpowiedzi.

–Kto tam? – powtórzył Smithback tym razem nieco donośniej. Gdy cofnął się o krok, w odpowiedzi na zadane pytanie usłyszał tylko ciężkie łomotanie swego serca.

ROZDZIAŁ 31

Margo dokonała końcowych poprawek na ostatniej stronie szczotek „Muzeologii” i odłożyła plik papierów na bok. Prawdopodobnie jestem jedynym redaktorem naczelnym w tym kraju, który wciąż użera się ze szczotkami drukarskimi, pomyślała. Westchnęła, rozsiadła się wygodnie w fotelu i spojrzała na zegar; minęła druga w nocy. Ziewnęła, przeciągnęła się, stary, drewniany fotel zaskrzypiał protestacyjnie, po czym wstała.

Biura redakcji „Muzeologii” mieściły się w kilku ciasnych pokojach na półpiętrze, praktycznie na poddaszu, w zachodnim skrzydle muzeum. Brudny świetlik za dnia zapewniał dostęp światła, teraz jednak wyglądał jak splachetek czerni; jedyny blask płynął ze starej wiktoriańskiej lampy wyrastającej ponad antycznym biurkiem niczym zielony muchomor.

Margo wcisnęła plik szczotek drukarskich do dużej szarej koperty i napisała kilka słów do kierownika miejscowej drukarni. Przekaze mu wszystkie materiały jeszcze dziś, przed wyjściem z muzeum. Pismo zostanie wydrukowane jutro z samego rana, a przed południem egzemplarze sygnałne trafią do rąk dyrektora muzeum, dziekana Menziesa i szefów wszystkich wydziałów.

Wzdrygnęła się mimowolnie, doświadczając chwili zwątpienia, czy naprawdę jej obowiązkiem było rozpoczynać tę krucjatę. Cieszyła się z powrotu do muzeum – tu było jej miejsce, oczyma duszy widziała siebie pracującą tutaj do końca życia. Po co podcinać gałąź, na której sama siedziała?

Pokręciła głową. Teraz było już za późno, a poza tym uważała to, co robi, za swoją powinność. Miała po swojej stronie Menziesa, a skoro cieszyła się jego poparciem, to raczej jej nie zwolnią.

Zeszła po metalowych schodach i znalazła się w olbrzymim korytarzu czwartego piętra rozciągającym się na długości czterech przecznic miejskich, rzekomo najdłuższym w całym Nowym Jorku. Szła szybko, jej obcasy stuknęły o marmurową posadzkę. Dotarła do windy i wcisnęła guzik oznaczony strzałką skierowaną ku dołowi. Dochodzący z szybu łoskot oznajmił zbliżanie się kabiny. Wreszcie po mniej więcej minucie drzwi windy otworzyły się szeroko.

Wsiadła i wcisnęła przycisk pierwszego piętra, podziwiając równocześnie elegancką niegdyś windę z dziewiętnastowieczną mosiężną klatką i wykończeniami oraz starą boazerią z klonowego drewna, nawiasem mówiąc, mocno już nadgryzioną zębem czasu. Kabina skrzypiała i zgrzytała, zjeżdżając w dół, aż w końcu zatrzymała się gwałtownie, a drzwi ponownie rozsunęły się z metalicznym łoskotem. Margo ruszyła przez ciąg starych, dobrze jej znanych sal muzealnych: Afryka, Ptaki Azji, Muszle, Zakątek Trylobitów. Światła w gablotach były wygaszone, co sprawiało, że eksponaty wewnątrz wyglądały dość niepokojąco, tonąc wśród głębokich cieni.

Przystanęła w półmroku. Przez chwilę dała się ponieść emocjom i pozwoliła, by powróciły do niej przerażające wspomnienia owej upiornej nocy sprzed lat. Odegnęła je jednak od siebie i przyspieszyła kroku, by dotrzeć do nieoznakowanych drzwi, za którymi mieściła się drukarnia. Wrzuciła kopertę ze szczotkami przez wąski podłużny otwór, odwróciła się i pomaszerowała dalej przez opustoszałe, przepelnione echem jej kroków galerie.

U szczytu schodów na pierwszym piętrze ni stąd, ni zowąd przystanęła. Podczas rozmowy ze starszym ze szczepu Tano dowiedziała się, że jeśli maski mają jednak znaleźć się na wystawie, powinny być zwrócone we właściwym kierunku; każda z czterech masek symbolizowała ducha jednej ze stron świata. W konsekwencji było sprawą kluczową, aby poszczególne maski zostały zwrócone w odpowiadających im kierunkach. Każdy inny układ groził, że na świecie zapanuje chaos, a przynajmniej tak właśnie wierzyli Indianie Tano. Najprawdopodobniej w razie ewentualnej pomyłki muzeum byłoby narażone na kolejne nieprzyjemności, a tych Margo za wszelką cenę starała się uniknąć. Przekazała niezbędne informacje Ashtonowi, ale on był przepracowany i rozdrażniony, tak więc nie mogła się łudzić, że zdoła wszystkiego dopilnować.

Zamiast zejść po schodach do strzeżonego wyjścia dla personelu, Margo skręciła w lewo, kierując się do wejścia na teren ekspozycji Święte wizerunki; zostało ono przebudowane tak, aby wyglądało jak portal starożytnego hinduskiego grobowca w stylu Khmerów, rzeźbione kamienne nadproża przedstawiały bogów i demony toczące niekończący się zaciekły bój. Postacie zdawały się być w ciągłym ruchu, latające apsaury, tańczące postaci Sziwy, bóstwa o trzydziestu dwóch rękach, a naprzeciw nich demony ziejące ogniem i kobry

z ludzkimi głowami. Widok ten był na tyle niepokojący, że Margo przystanęła, zastanawiając się, czy nie powinna wrócić już do domu, a inspekcję masek przeprowadzić jutro z samego rana. Tyle tylko że nazajutrz znów wszyscy będą się uganiać jak w ukropie, a w dodatku pod okiem Ashtona, który po przeczytaniu artykułów w „Muzeologii” może odmówić jej prawa wstępu na teren wystawy.

Pokręciła głową ze smutkiem. Nie podda się demonom przeszłości. Gdyby teraz odeszła, oznaczałoby to, że lęki wzięły nad nią górę.

Postąpiła naprzód i przesunęła kartę magnetyczną przez czytnik przy drzwiach wejściowych, rozległ się cichy szcęk dobrze naoliwionego odblokowywanego zamka i światelko w czytniku zmieniło kolor na zielony. Otworzyła drzwi, weszła do środka. Starannie zamknęła drzwi za sobą i sprawdziła, czy światelko na czytniku zmieniło się na czerwone.

Sala była pusta i cicha, oświetlona kilkoma lampami punktowymi, gabloty tonęły w ciemnościach. Druga w nocy to bezbożna godzina nawet dla najbardziej oddanego pracy kustosza. Powietrze przesycone było wonią świeżego drewna, trocin i kleju. Większość ekspozycji znajdowała się na swoich miejscach, tylko kilka wciąż czekało na montaż. Tu i ówdzie stały wózki kustoszów, spoczywały tam rzeczy, które miano jeszcze wykorzystać. Podłoga zasłana była trocinami, kawałkami drewna i pleksi oraz płataniną kabli elektrycznych. Margo rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czy to możliwe, że wszystko będzie gotowe na planowane za trzy dni otwarcie wystawy. Wzruszyła ramionami zadowolona, że ten akurat problem spoczywał na barkach Ashtona.

Kiedy tak szła przez pierwszą salę, pomimo zaniepokojenia poczuła narastającą ciekawość. Ostatnim razem szukała Nory i nie zwracała większej uwagi na otoczenie. Nawet w stanie surowym widać było wyraźnie, że będzie to niezwykła, poruszająca i przemawiająca do wyobraźni ekspozycja. Pomieszczenie wyglądało jak kopia komnaty grobowej starożytnej księżniczki egipskiej Nefretete w Dolinie Królowych w Luksorze. Zamiast przedstawić, jak mógł wyglądać grobowiec, projektanci odtworzyli go tak, jak wyglądał tuż po złupieniu przez złodziei. Ogromny kamienny sarkofag był rozłupany na kilka części, wewnętrzne trumny skradziono. Mumia leżała na boku, w jej klatce piersiowej ziała dziura wycięta przez łupieżców, którzy pragnęli w ten sposób dostać się do dużego skarabeusza ze złota i lapis lazuli, umieszczonego tuż obok serca księżniczki niczym obietnica wiecznego życia. Przystanęła, by przyrzeć się mumii widocznej za warstwą grubego ochronnego szkła; była autentyczna, zgodnie z podpisem na tabliczce były to prawdziwe szczątki egipskiej księżniczki wypożyczone z muzeum w Kairze.

Przeczytała wszystko, co było napisane na tabliczce, zapominając na chwilę o swojej misji. Wyjaśniono tam, że grobowiec został złupiony wkrótce po pogrzebie księżniczki przez tych samych kapłanów, którzy mieli strzec wiecznego spokoju jej doczesnych szczątków. Złodzieje tak przerazili się potęgi zmarłej królowej, że próbowali zniszczyć wszystkie rzeczy, z którymi ją pogrzebano, aby oczyścić je ze świętej mocy. W rezultacie wszystko, czego nie skradziono, zostało zniszczone i wałało się bezładnie po posadzce grobowca.

Schyliła się, by pokonać kolejne nisko sklepione przejście ozdobione pieczołowicie wizerunkiem starożytnych bóstw, i znalazła się nagle w katakumbach pierwszych chrześcijan pod Rzymem. Weszła do wąskiego przejścia ukrytego w litej skale. Komory grzebalne i arkosolia rozchodziły się w kilku kierunkach, nisze po obu ich stronach wypełnione były kośćmi. Niektóre z nich miały inskrypcje w języku łacińskim, widniały na nich również wyryte krzyże i inne chrześcijańskie symbole. Wszystko to wyglądało przeraźliwie naturalistycznie aż po najdrobniejsze szczegóły w rodzaju sztucznych szczurów uganiających się wokół stert kości.

Ashton stawał na mocne wrażenia i w sumie dość kiczowaty dramatyzm, ale Margo musiała przyznać, że jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Ta wystawa z pewnością ściągnie do muzeum tłumy zwiedzających.

Weszła szybkim krokiem do całkiem innego pomieszczenia, gdzie przedstawiono japońską ceremonię parzenia herbaty. Był tu starannie urządzony ogród, w którym wszystkie rośliny i wyłożone drobnymi kamyczkami chodniki wyglądały jak dopracowane do perfekcji dzieła sztuki. Nieco dalej znajdowało się sukiya, pomieszczenie, gdzie parzyło się herbatę. Wyjście na tę otwartą uporządkowaną przestrzeń po ciasnych, wywołujących uczucie klaustrofobii katakumbach stanowiło prawdziwą i niewysłowioną ulgę. Pokój ze ścianami z ciemnego drewna i papieru ryżowego, z barwnymi parawanami, ilustracjami z macicy perłowej i

tatami stanowił uosobienie czystości i spokoju. Wrażenia dopełniały parafernalia niezbędne podczas ceremonii: żelazny kociołek, bambusowe sitko i płócienna serwetka. Jednak pustka i otwarta przestrzeń wypełnione gęstniejącymi cieniami ponownie obudziły w niej uczucie niepokoju.

Pora zrobić, co do niej należało, i wracać do domu.

Przeszła energicznym, szybkim krokiem przez herbacianą ekspozycję i znalazła się wśród następnych. Były wśród nich mroczny wigwam pogrzebowy jednego z indiańskich szczepów, hogan wypełniony piaskowymi obrazami Nawahów, oraz brutalny szamański rytuał Czukczów, podczas którego szaman musiał być przykuty łańcuchami do ziemi, aby demony nie zdołały porwać jego duszy

Dotarła wreszcie do czterech masek Towarzystwa Wielkiej Kivy. Stały w szklanej gablocie, pośrodku sali, umocowane na metalowych prętach, każda skierowana w inną stronę świata. Na ścianach wokoło odmalowano przepiękne pejzaże Nowego Meksyku, a każda z masek spoglądała w kierunku jednej z czterech świętych gór otaczających terytorium zamieszkiwane przez Indian Tano.

Margo przyjrzała im się z uwagą; tkwiąca w nich moc przepęłniła ją niepojętym lękiem. Maski te były wyjątkowo wymowne, dzikie, brutalne, a zarazem emanowały ludzkimi emocjami. Choć miały blisko osiemset lat, wyglądały jak współczesne z uwagi na abstrakcyjność formy. To były prawdziwe arcydzieła, majstersztyki jedyne w swoim rodzaju.

Zerknęła na swoje notatki, po czym podeszła do najbliższej mapy ściennej, aby zorientować się w usytuowaniu ekspozycji. Następnie wróciła do gabloty pośrodku sali, sprawdziła każdą z masek – i jakież było jej zdumienie, gdy stwierdziła, że umieszczono je zgodnie z jej wskazówkami: były zwrócone we właściwych kierunkach. Ashton, pomimo iż zrzędlawy i wybuchowy, wszystkiego dopilnował. Musiała przyznać, że ta ekspozycja, którą nadzorował, była naprawdę olśniewająca.

Włożyła plik notatek z powrotem do torebki. Cisza i półmrok zaczynały dawać się jej we znaki. Resztę wystawy obejrzy kiedy indziej, za dnia, gdy w sali zaroi się od ludzi.

Już miała zawrócić w stronę wyjścia, gdy nagle usłyszała głośny trzask, jakby w sąsiedniej sali upadła na podłogę jakaś deska.

Drgnęła gwałtownie, serce podeszło jej do gardła. Przez kolejną minutę nie usłyszała żadnego innego dźwięku.

Kiedy jej serce nieco spowolniło rytm, Margo podeszła do łukowato sklepionego wejścia i zajrzała w głąb sąsiedniej, tonącej w półmroku sali muzealnej. Przedstawiono w niej wnętrze nawiedzanej Jaskini Dłoni z Arizony, namalowanej przez Indian Anasazi przed tysiącem lat. Sala była jednak pusta, a walające się wokoło deski sugerowały, że przed chwilą usłyszała odgłos właśnie jednej z nich, którą źle ustawiono i która zsunęła się w końcu na podłogę.

Wzięła głęboki oddech. Kompletna cisza, ciemność i posępna tematyka wystawy zaczęły w końcu dawać się jej we znaki. Ot i wszystko. „Nie myśl o tym, co wydarzyło się przed laty. Od tej pory w muzeum wiele się zmieniło”. Znajdowała się w jednym z najbezpieczniejszych, o ile nie najbezpieczniejszym miejscu w Nowym Jorku. Ochrona została wzmocniona i zmodyfikowana kilka razy od feralnych wydarzeń przed siedmioma laty. Najnowszy system, który właśnie zakładano, był najlepszym dostępnym na rynku. Nikt nie mógł dostać się do tej sali bez karty magnetycznej, a czytnik rejestrował zarówno tożsamość każdej osoby, jak i czas jej wejścia na obszar zamknięty dla zwiedzających.

Zawróciła, by opuścić wystawę, nucąc pod nosem jakąś melodyjkę dla dodania sobie otuchy. Zanim jednak dotarła na drugi koniec sali, ponownie przystanąła na dźwięk deski spadającej na podłogę; tym razem odgłos dobiegł z pomieszczenia znajdującego się na wprost niej.

–Hop, hop? – zawołała. Jej głos zabrzmiał nienaturalnie donośnie we wnętrzu spowitej ciszą sali. – Czy jest tam kto?

Bez odpowiedzi.

Pomyślała, że to najprawdopodobniej strażnik przeprowadzający rutynowy obchód musiał potknąć się i przewrócić krzywo położoną deskę. W dawnych czasach nieraz zdarzało się, że strażników, którzy odkryli przechowywane na wydziale entomologii zapasy spirytusu do konserwacji eksponatów, znajdowano następnego dnia na silnym rauszu po upojonej nocnej zmianie. „Pewne rzeczy chyba nigdy się nie zmieniają”.

Znów ruszyła w stronę wejścia, przemykając wśród cennych gablot; szła szybko, jej szpilki wybijały równy rytm na wyłożonej kafelkami posadzce.

Nagle dało się słyszeć głośne pyknięcie i cała wystawa pogrążyła się w egipskich ciemnościach.

Chwilę potem zapaliły się światła awaryjne, rzędy świetlówek umieszczone pod sufitem włączyły się jedna po drugiej przy wtórze cichego szumu i brzęczenia.

Ponownie spróbowała uspokoić rozkołatane serce. To było głupie. Nie po raz pierwszy znalazła się w muzeum podczas awarii oświetlenia, w tym starym budynku zdarzały się one nagminnie. Nie było się czym przejmować. To nic wielkiego.

Postąpiła krok naprzód i znów usłyszała trzask upadającej deski, tym razem dochodzący z sali, przez którą przed chwilą przeszła. Ten dźwięk wydał się jej podejrzany, zupełnie jakby ktoś umyślnie chciał ją przestraszyć.

–Kto tu jest? – zapytała, obracając się wokół osi. Powoli wzbierał w niej gniew.

Ale sala z tyłu za nią – pomalowana na czerwono krypta, w której przedstawiono okrucieństwa czarnej mszy – była pusta.

–Jeżeli to jakiś żart, to wyjątkowo marny.

Czekała spięta i coraz bardziej zdenerwowana, ale wokoło panowała kompletna cisza.

Zastanawiała się, czy to mógł być tylko zbieg okoliczności; kolejna deska spadająca sama na podłogę w sali, gdzie jeszcze nie zakończono przygotowywać ekspozycji. Sięgnęła do torebki, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć jej jako broń. Nie znalazła niczego odpowiedniego. Przed laty, po traumatycznych przejściach związanych z zabójstwami w muzeum, zaczęła nosić w torebce pistolet. Zrzuciła ten zwyczaj, kiedy odeszła z muzeum i podjęła pracę w Gene-Dyne. Teraz przeklinała samą siebie za to, że utraciła czujność.

Wtem spostrzegła nóż introligatorski leżący na stole roboczym, po drugiej stronie sali. Podbiegła, schwyciła go i unosząc go agresywnie przed sobą, ponownie skierowała się w stronę wyjścia.

Kolejny trzask, o wiele głośniejszy od poprzednich, jakby ktoś coś potrafił.

Margo nie miała już wątpliwości, że na terenie ekspozycji oprócz niej był ktoś jeszcze – ktoś, kto celowo usiłował ją przestraszyć. Czy mógł to być ktoś, komu nie spodobała się treść jej artykułu i w ten sposób usiłował ją zastraszyć? Dowie się od ochrony, kto jeszcze przebywał w tym czasie na terenie wystawy, i doniesie o tym incydencie przełożonym.

Zaczęła biec. Minęła japoński pokój herbaty i wbiegła właśnie do złupionego egipskiego grobowca, kiedy nagle dało się słyszeć kolejne suche pyknięcie. Tym razem zgasło światło awaryjne, a pozbawiona okien sala utonęła w nieprzeniknionym morzu czerni.

Przystanąła sparaliżowana strachem i mrozącym krew w żyłach uczuciem déjà vu, przypominając sobie podobne wydarzenie na terenie innej wystawy, które miało miejsce kilka lat temu w tym samym muzeum.

–Kto tu jest? – zapytała.

–To tylko ja – powiedział głos.

ROZDZIAŁ 32

Smithback zastygł w bezruchu, jego wyczulone zmysły funkcjonowały na pełnych obrotach. Spojrzał w lewo i w prawo, usiłując przeniknąć wzrokiem zielonkawy mrok. Nie usłyszał jednak niczego, nie było biegnącej w jego stronę postaci, ciemnej na tle wszechogarniającej czerni.

To chyba tylko moja wyobraźnia, pomyślał. Takie upiorne miejsce mogło przerazić nawet największego zakapiora.

Mimo iż nie chciał oddalić się od kotłowni, gdzie było odrobinę jaśniej, wiedział, że musi iść dalej. Musiał znaleźć wejście dostawcze i co ważniejsze, dobrą kryjówkę nieopodal. Jeżeli ostatnie dziesięć minut mogło o czymś świadczyć, najprawdopodobniej zajmie mu to trochę czasu.

Odczekał dobrych pięć minut, nasłuchując, aby upewnić się, że droga jest wolna. Następnie chyłkiem wymknął się z rozległego pomieszczenia i zawróciwszy, skierował się na tyły budynku. Nie znał drogi, ale domyślał się, że zmierza we właściwą stronę. Słabe światło przygasło. Smithback znów zwolnił kroku i wyciągnął obie ręce przed siebie, przesuwając stopami po podłodze, aby znów nie poobijać sobie goleni.

W pewnej chwili znieruchomiał. Czy tylko mu się zdawało, czy ponownie usłyszał jakiś dźwięk? Czy prócz niego był tu ktoś jeszcze?

Serce tłukło mu się w piersi jak szalone, gdy raz jeszcze przystanął i wyteżył słuch. Czekał. Mimo to nie usłyszał nic prócz cichego popiskiwania myszy i minutę później wolno, noga za nogą poczłapał naprzód.

Wtem jego dłonie napotkały kolejną ścianę: z szorstkiego kamienia, śliską od wilgoci. Idąc wzdłuż niej w prawo, natknął się na drugą, prostopadłą ścianę z czymś pośrodku, co w dotyku przypominało wielkie stalowe drzwi. Powiódł palcami wzdłuż framugi, aż w końcu odnalazł klamkę. Ujął ją prawą ręką i nacisnął. Klamka ani drgnęła.

Wziął głęboki oddech i nacisnął z całej siły. Nic z tego, klamka nie ustąpiła.

Zaklął w głos i ruszył wzdłuż ściany w przeciwnym kierunku. Jakieś dwadzieścia kroków dalej ściana się kończyła, a jego dłonie znów napotkały pustą przestrzeń. Skręcił za róg, po czym przystanął; serce podeszło mu do gardła.

W oddali przed nim pojawił się słaby blask rozjaśniający załom korytarza. Czyżby ktoś zapalił światło w przejściu przed nim? A może przez cały czas się paliło?

Smithback stał w bezruchu, niezdecydowanie kompletnie go sparaliżowało. Był pewien, że powinien udać się właśnie w tę stronę, a światło wydało mu się wyjątkowo zachęcające. Tylko czy nikt tam na niego nie czekał?

Zaczął skradać się naprzód, tuż przy samej ścianie i wyjrzał zza załomu muru.

Korytarz na wprost niego rozjaśniony był rzędem żarówek zwieszających się z sufitu. Było ich niewiele, rozmieszczonych w sporej odległości jedna od drugiej, a blask, jaki roztaczały, wydawał się wyjątkowo słaby, ale przynajmniej mógł widzieć, dokąd zmierza. I co najważniejsze, korytarz był pusty. Nikt nie zapalił światła, uznał Smithback, musiały palić się przez cały czas. Po prostu wcześniej ich nie zauważył. A może był zbyt daleko, aby dostrzec ich wąty blask.

Maszerował wolno w głąb kamiennego korytarza. Po obu stronach stare drzwi były pootwierane, tuż za nimi rozpościerała się otchłań prawie nieprzeniknionej czerni. Przystanął, by zajrzeć do kilku z nich. Piwniczka na wino – rzędy butelek i ciężkie dębowe beczki zasnutę grubymi pajęczynami. Stary składzik – drewniane regały, z których nieomal wysypywały się pożółkłe dokumenty. Sala bilardowa – filc na jednym ze stołów był naddarty i zawinięty ku górze. Dokładnie tego można było się spodziewać po starej rezydencji, w której urządzono szpital psychiatryczny dla zamożnych.

Smithback szedł dalej, z wolna zaczął odzyskiwać pewność siebie. To był dobry plan. Te piwnice nie mogły

ciągnąć się w nieskończoność. Musiał zbliżyć się do wejścia dostawczego. Po prostu musiał...

Znowu to samo: niepokojące uczucie, że jest śledzony, że ktoś celowo stara się zlać odgłos swoich kroków z jego własnymi.

Zatrzymał się raptownie. Nie mógł być pewien, ale wydawało mu się, że usłyszał dziwny dźwięk, jakby ktoś w ciemnościach przystanął w pół kroku. Odwrócił się. W korytarzu, a przynajmniej w jego oświetlonej części, z tyłu za nim nie było żywego ducha.

Smithback obliznął wargi. Próbował powiedzieć: Pendergast? Ale gardło miał wyschnięte na wiór i w dodatku język odmówił mu posłuszeństwa. Może to i lepiej, ponieważ w głębi duszy, podświadomie wiedział, że tam naprawdę ktoś jest i wcale nie jest to Pendergast... O nie, wcale nie Pendergast...

Znów ruszył naprzód, jego serce nieomal wrywało się z piersi. Nagle splachetki słabego światła przestały wydawać się pomyślnym zrządzeniem losu. Były zdradziecko demaskatorskie... A on nagle nabrał pewności, że ktoś celowo zapalił światła, aby móc lepiej go widzieć.

„Jesteś celem zabójcy. Wyjątkowo groźnego zabójcy o niemal nadludzkich zdolnościach...”

Zwalczał w sobie instynktowne pragnienie rzucenia się do ucieczki. Panika w tym przypadku była raczej niewskazana. Musiał znaleźć dla siebie jakiś ciemny kąt, miejsce, gdzie mógłby się ukryć. Najpierw jednak musiał mieć pewność. Absolutną pewność.

Pospiesznie przeszedł pod kolejną żarówką i znalazł się w wąskim paśmie ciemności, poza kręgiem światła. Zwolnił kroku, usiłując wyczuć właściwy moment. I nagle, zgoła niespodziewanie, odwrócił się na pięcie. Z tyłu za nim czarna postać w długim płaszczu i z dziwnie przesłoniętą czymś twarzą momentalnie wtopiła się w cienie zalegające długi piwniczny korytarz.

Smithback, mimo iż podświadomie spodziewał się tego, co przed chwilą zobaczył, poddał się panice. Jego nerwy nie wytrzymały napięcia. Odwrócił się i pobiegł jak przerażony zając, gnając w głąb korytarza i nie zważając na wszelkie przeszkody Biegł ku wyjściu i nic nie mogło go teraz powstrzymać.

Tupot ciężkich buciorów z tyłu za nim przynaglił go do jeszcze większego wysiłku.

Z płucami gorejącymi żywym ogniem Smithback pokonał ostatni odcinek korytarza poza ostatnią zwisającą pod sufitem żarówką i wniknął na powrót w absolutną, bezkresną, gwarantującą bezpieczeństwo ciemność...

I wtedy coś zimnego, nieustępliwego uderzyło w jego ciało, zatrzymując go w pół kroku. Potworny ból przeszył jego czaszkę i klatkę piersiową; przed jego oczami rozbłysło oślepiające białe światło i zanim stracił przytomność, osuwając się na ziemię, poczuł jeszcze, że na jego ramieniu zaciskają się czyjeś twarde jak wykute ze stali, grube, silne palce.

ROZDZIAŁ 33

–Kto tam? – nieomal wykrzyknęła Margo Green, unosząc nóż introligatorski w stronę, skąd dobiegł głos, i machnęła nim z boku na bok. – Kto tam jest?

–Ja.

–Co za ja, i czego chcesz, do cholery?

–Szukam kogoś uczciwego, mężczyzny albo kobiety, płęć w tym przypadku nie ma znaczenia. – Głos był cichy i jakby zniewieściały.

–Nie zbliżaj się do mnie! – zawołała, wymachując nożem introligatorskim w ciemnościach. Usiłowała zapanować nad bijącym szybko sercem i przeniknąć wzrokiem atramentową czerń. To nie był jakiś żartowniś, instynktownie wyczuła, że ma do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym człowiekiem. Niedługo zapalą się światła awaryjne, muszą się zapalić – funkcjonowały automatycznie. Ale w miarę upływu kolejnych sekund czuła, jak narasta w niej zgroza i przerażenie. Czy ten mężczyzna odciął zasilanie awaryjne? To raczej mało prawdopodobne, o ile w ogóle możliwe. Co się tu działo, u licha?

Starając się nie stracić nad sobą panowania, możliwie jak najciszej zaczęła brnąć naprzód, przesuwając stopami po podłodze, ostrożnie przestępując napotkane po drodze przedmioty, raz po raz wysuwając rękę z nożem to w jedną, to w drugą stronę. Miała mgliste pojęcie, gdzie mogło znajdować się wejście, a tymczasem mężczyzna podejrzliwie zamilkł; chyba ciemność zaskoczyła również jego. Dotarła do przeciwległej ściany i zaczęła iść wzdłuż niej, macając na oślep jedną ręką. Wtem poczuła pod palcami chłodny metal drzwi wyjścia awaryjnego. Odetchnęła z ulgą, namacała czytnik, wyjęła z torebki swoją kartę i przeciągnęła ją przez otwór.

Bez rezultatu.

Uczucie ulgi przeszło równie szybko, jak się pojawiło, zastąpione przez tępy falujący strach. To oczywiste: zamek magnetyczny był urządzeniem elektrycznym, a przecież nie było zasilania. Spróbowała otworzyć drzwi ręcznie, poruszyła klamkę i napała na nią z całej siły, ale nie ustąpiła.

–Kiedy wysiądzie zasilanie – rozległ się męski cichy głos -system bezpieczeństwa automatycznie zamyka wszystko. Nie wydostaniesz się stąd.

–Spróbuj do mnie podejść, to cię chlasnę! – krzyknęła, obracając się jak fryga i stając plecami do drzwi. Przez cały czas wymachiwała nożem w ciemnościach.

–Nie chciałabyś tego zrobić. Na widok krwi zazwyczaj mdleję... z rozkoszy

Margo, opanowując w sobie lęk, zdała sobie sprawę, że musi przestać odpowiadać na prowokujące zaczepki. Powinna raczej przejść do ataku. Uporczywie próbowała spowolnić oddech i zapanować nad strachem. Musiała zrobić coś nieprzewidywalnego, zaskoczyć go, zmienić układ sił. Bezszelestnie postąpiła krok naprzód.

–Jak widok krwi wpływa na ciebie, Margo? – rozległ się łagodny szept.

Cał po cał zbliżała się w stronę, skąd dobiegał głos.

–Krew to taka dziwna substancja, nieprawdaż? Ma taki doskonały, niesamowity kolor i wprost tętni życiem, wypełniona białymi i czerwonymi krwinkami, antyciałami i hormonami. Ta ciecz żyje. Nawet rozlana na brudną posadzkę muzeum żyje nadal, przynajmniej przez pewien czas.

Zrobiła jeszcze jeden krok w stronę źródła głosu. Była już bardzo blisko. Sprężyła się w sobie. A potem jednym rozpaczliwym ruchem rzuciła się naprzód, tnąc zamasyżycie nożem introligatorskim; ostrze zatoczyło szeroki łuk, trafiło w coś i rozplątało przy wtórze suchego trzasku. Kiedy odskoczyła w tył, usłyszała dźwięk, jakby ktoś się potknął, a potem zduszony okrzyk zdziwienia.

Czekała w napięciu w ciemnościach. Miała nadzieję, że rozharatała tamtemu tętnicę.

–Brawo, Margo – rozległ się świszczący szept. – Jestem pod wrażeniem. Trochę szkoda, że zniszczyłaś mi płaszcz.

Znów zaczęła się zbliżać do źródła głosu, zamierzając zadać jeszcze jedno cięcie. Teraz to on był w odwrocie. Gdyby zdołała go zranić, zając czymś, zyskałaby dość czasu, aby wrócić pędem na teren wystawy. Gdyby to się udało i gdyby od tego bezosobowego diabelskiego głosu oddzielił ją labirynt muzealnych sal, ten potwór w ciemnościach by jej nie znalazł. Mogłaby zaczekać tam na strażników, którzy regularnie przeprowadzali obchód poszczególnych sal muzealnych.

Rozległ się cichy, stłumiony chichot. Ten ktoś najwyraźniej też starał się ją podejść. – Margo, Margo, Margo. Chyba nie sądzisz, że zdołałaś mnie zranić?

Znów skoczyła naprzód, ale jej nóż przeciął tylko powietrze.

–Świetnie, naprawdę świetnie – powiedział drwiąco głos i znów zachichotał. Ten ochryply cichy chichot zdawał się pławić w ciemnościach, powoli ją okrążając.

–Zostaw mnie w spokoju albo cię zabiję – wycedziła Margo zdumiona, jak spokojnie brzmiał jej głos.

–Cóż za hart ducha!

W tej samej chwili Margo cisnęła torebką w stronę, skąd dobiegał głos. Usłyszała głuchy odgłos uderzenia i równocześnie cięta z taką szybkością i determinacją, że opór, na jaki napotkało przez moment ostrze, upewnił ją, że zdołała dosięgnąć celu.

–Proszę, proszę, kolejna sprytna sztuczka. Jesteś lepsza, niż myślałem. Teraz naprawdę mnie zacięłaś.

Kiedy odwróciła się, by uciec, bardziej poczuła, niż usłyszała gwałtowne poruszenie; rzuciła się w bok, ale mężczyzna schwycił ją za nadgarstek i jednym przeraźliwie silnym ruchem, który pogruchotał jej kości przegubu, wytrącił jej nóż z ręki. Krzyknęła, szamocząc się pomimo dojmującego bólu promieniującego od czubków palców aż do samego ramienia.

Znów wykręcił jej rękę i wrzasnęła przeraźliwie, wierzgnęła stopą, uderzyła na oślep drugą ręką, ale mężczyzna przyciągnął ją do siebie bezceremonialnym, brutalnym ruchem, który sprawił, że z bólu emanującego od złamanego nadgarstka nieomal straciła przytomność. Jego dłoń opinająca jej przegub wydawała się niewzruszona niczym stalowa obręcz kajdanek, poczuła na twarzy jego gorący oddech i zapach jakby wilgotnej ziemi.

–Zraniłaś mnie – wyszeptał.

A potem puścił ją, pchnął z całej siły i cofnął się o krok. Margo upadła na kolana, była bliska omdlenia wskutek szoku i bólu, strzaskany nadgarstek przycisnęła mocno do boku i rozpaczliwie usiłowała rozeznąć się w otoczeniu; zastanawiała się, gdzie mógł upaść jej nóż.

–Choć jestem człowiekiem okrutnym – rozległ się głos – nie pozwolę, abyś cierpiała.

Znów szybki, gwałtowny ruch jak szelest nietoperzowych skrzydeł ponad nią. A potem poczuła oszałamiający, palący cios w plecy, który powalił ją na ziemię. Gdy tak leżała, z dziwnym niedowierzaniem uświadomiła sobie, że ten człowiek właśnie wbił jej nóż w plecy; zadał jej śmiertelny cios. Mimo to wciąż orała paznokciami ziemię, próbowała się podnieść, nadludzkim wysiłkiem podźwignęła się na kolana... Dysponowała naprawdę niewiarygodną siłą woli. Ale to nie wystarczyło. Coś ciepłego spłynęło po jej ramieniu i ściekło na podłogę, a zaraz potem ze wszystkich stron otoczyła ją całkiem inna ciemność. Zanim pochłonał ją mrok, usłyszała jeszcze dochodzący jakby z daleka triumfalny, choć stłumiony diaboliczny chichot...

ROZDZIAŁ 34

Laura Hayward szła szybkim krokiem przez Wielką Salę Muzeum Historii Naturalnej; promienie porannego słońca wpadały niemal poziomo przez wysokie spiżowe okna. Celowo maszerowała przez smugi światła, jakby ta czynność miała przygotować ją psychicznie na to, co miało wkrótce nastąpić. Obok niej, z trudem dotrzymując jej kroku, maszerował Jack Manetti, tutejszy szef ochrony. Za nimi podążała bezgłośnie, lecz szybko falanga śledczych z wydziału zabójstw oraz personel muzealny.

–Panie Manetti, zakładam, że wystawa ma system bezpieczeństwa?

–Najwyższej klasy. Właśnie skończyliśmy montaż i podłączanie.

–Montaż i podłączanie? Czy sale wystawowe nie były już wcześniej chronione?

–Były. W każdej strefie są zamontowane dodatkowe alarmy. To dziwne, ale żaden z nich nie zadziałał.

–Jak wobec tego sprawca dostał się do środka?

–Jeszcze nie wiemy. Sporządziliśmy listę wszystkich osób, które miały dostęp do ekspozycji.

–Będę chciała z nimi wszystkimi porozmawiać.

–Oto lista. – Manetti wyjął wydruk z kieszeni kurtki.

–Dobra robota. – Hayward wzięła od niego kartkę, przejrzała i podała jednemu ze śledczych, którzy szli za nią. – Proszę opowiedzieć mi o tym systemie bezpieczeństwa.

–Działa na karty magnetyczne. System odnotowuje wszystkie wejścia i wyjścia pracowników po godzinach. Mam także ten wydruk. – Podał jej drugi dokument.

Skręcili za róg Sali Życia Oceanów. Hayward minęła ogromnego płetwala błękitnego zwieszającego się złowrogo ze sklepienia, nawet na niego nie spojrzawszy.

–Czy zgłoszono zaginięcie czyjejś karty?

–Nie.

–Czy można je podrobić?

–Powiedziano mi, że to niemożliwe.

–Może ktoś pożyczył komuś kartę?

–To możliwe, choć o ile mi wiadomo, wszystkie karty, z wyjątkiem tej należącej do ofiary, znajdują się u ich właścicieli. Ale postaram się to sprawdzić.

–My również. Naturalnie, sprawcą może być pracownik muzeum mający dostęp do zamkniętej dla zwiedzających części muzeum.

–Szczepnie wątpię.

Hayward chrząknęła. Ona również w to wątpiła, ale nigdy nic nie wiadomo, widziała wielu stuprocentowych świrów kręcących się w pobliżu tej szacownej, starej placówki. Kiedy tylko dowiedziała się o tej sprawie, poprosiła, by to właśnie jej ją przydzielono, mimo iż wciąż pracowała nad zabójstwem Duchampa. Miała pewną teorię, a raczej przeczucie, że te dwie sprawy były ze sobą połączone; jeżeli się nie pomyliła, chodziło o coś naprawdę wielkiego.

Minęli Salę Indian z Północno-Zachodniego Wybrzeża, po czym przystanęli przed ogromnym wejściem do sali, gdzie znajdowała się ekspozycja pod wspólną nazwą Święte wizerunki. Drzwi były otwarte, lecz

zabezpieczone taśmą, na miejscu zbrodni krzątali się technicy i eksperci z wydziału kryminalistyki. – Ty, ty i ty – wskazała palcem na trzech śledczych – wejdziecie ze mną do środka. Reszta niech zaczeka tutaj i nie dopuszcza ciekawskich poza taśmę. – Panie Manetti? Pan pójdzie z nami.

–Kiedy zjawi się doktor Collopy...?

–To miejsce zbrodni, musi pozostać na zewnątrz. Przykro mi.

Manetti nie próbował się spierać. Jego twarz miała barwę popiołu i wszystko wskazywało, że tego ranka nie zdążył nawet napić się kawy

Schyliła się i przeszła pod policyjną taśmą, po czym skinęła na stojącego opodal strażnika i wpisała się na listę, którą jej podał. Następnie weszła do holu, poruszała się teraz wolniej, z o wiele większym rozmysłem. Technicy i eksperci sądowi co prawda zrobili już większość tego, co do nich należało, ale nigdy nie zaszkoździć mieć oczy szeroko otwarte.

Oslabiona liczebnie grupka przeszła przez pierwszą salę, mijając niemal gotowe ekspozycje, tu i ówdzie przestępując nad walającymi się po podłodze deskami, aż dotarła do drugiego pomieszczenia, w którym dokonano zbrodni. Zrobiony kredą obrys wskazywał miejsce, gdzie upadła ofiara. Krwi było sporo. Policyjny fotograf zrobił już całą serię zdjęć i czekał opodal, na wypadek gdyby Hayward jako prowadząca śledztwo miała dla niego dodatkowe polecenia. Dwaj technicy wciąż krążyli na czworakach ze szczypczykami w dłoniach.

Hayward niemal gniewnie zlustrowała miejsce zbrodni, obejmując wzrokiem największą kałużę krwi, rozbryzgi posoki, krwawe ślady stóp i rozmazane smugi. Przywołała do siebie szefa ekipy techników, Hanka Barrisa. Mężczyzna wstał, odłożył szczypczyki i podszedł do niej.

–Ale bałagan – mruknęła.

–Sanitariusze przez pewien czas zajmowali się ofiarą na miejscu.

–Narzędzie zbrodni?

–Nóż. Pojechał wraz z ofiarą do szpitala. Wie pani, nie można go wyjąć...

–Rozumiem – ucięła Hayward. – Widział pan, jak wyglądało to miejsce na samym początku?

–Nie. Załoga karetki pojawiła się tutaj przed nami.

–Czy zidentyfikowano ofiarę?

–Nic mi o tym nie wiadomo, a w każdym razie jak dotąd nie. Mogę zadzwonić do szpitala.

–Czy jest ktoś, kto widział, jak wyglądało pierwotnie miejsce zbrodni?

Barris pokiwał głową. – Jedna osoba. Technik nazwiskiem Enderby Larry Enderby.

Hayward odwróciła się. – Sprowadźcie go.

–Tutaj?

–Chyba wyraziłam się jasno.

Zapadła cisza. Podczas gdy Hayward rozejrzała się uważnie wokoło, jej ciało było całkiem nieruchome, poruszały się tylko jej duże ciemne oczy. Zlustrowała wzrokiem rozbryzgi krwi, określając w myślach ich trajektorię, prędkość i pochodzenie. Powoli w jej umyśle zaczęła się krystalizować pełna wizja tego morderstwa.

–Pani kapitan? Pan Enderby już czeka.

Hayward odwróciła się, by ujrzeć zdumiewająco młodego pryszczatego mężczyznę o czarnych włosach i wątlej, wychudzonej sylwetce. Góra pięćdziesiąt kilo wagi. Podkoszulek, bejsbolówka z logo Metsów włożona tył na przód i wyświechtane dżinsy dopełniały wizerunku.

W pierwszej chwili sądziła, że nosił trampki zafarbowane na czerwono, dopóki nie przyjrzała się im z bliska.

Policjant popchnął go lekko, zmuszając, aby podszedł bliżej.

–Czy to pan jako pierwszy znalazł ofiarę?

–Tak, psze pani... to znaczy... pani oficer. – Był wyraźnie skonsternowany.

–Lepiej będzie brzmiało pani kapitan – rzuciła łagodnie. – Czym się pan zajmuje w muzeum, panie Enderby?

–Jestem technikiem systemów pierwszego stopnia.

–Co pan robił na terenie ekspozycji o trzeciej nad ranem? Głos mężczyzny był wysoki i drżący. Zwłoki odnajdują zawsze ci najbardziej bojaźliwi, Hayward przypomniała sobie żarcik zasłyszany od jej byłego profesora, wykładowcy psychologii klinicznej na Uniwersytecie Nowojorskim. Przełknęła ślinę i próbowała nadać swojemu głosowi nieco bardziej współczujący ton. Lepiej, żeby Enderby się nie rozkleił. Woląta tego uniknąć.

–Sprawdzałem instalacje nowego systemu zabezpieczeń.

–Rozumiem. Czy alarm na terenie ekspozycji był wówczas włączony?

–Raczej tak. Prawie przez cały czas. Wprowadziliśmy niezbędne modyfikacje i pojawiła się drobna usterka, błąd w oprogramowaniu. Mój szef...

–Jego nazwisko?

–Walt Smith.

–Proszę mówić dalej.

–Szef wysłał mnie na dół, abym sprawdził, czy zostało odcięte zasilanie.

–I jak?

–Faktycznie tak było, ktoś przeciął przewód zasilania. Hayward spojrzała na Barrisa.

–Wiemy o tym, pani kapitan. Wygląda na to, że sprawca przeciął przewód, aby wyłączyć światła awaryjne, a tym samym móc się zacziąć i dopaść swoją ofiarę w ciemnościach.

–To jak jest właściwie z tym nowym systemem zabezpieczeń? – zapytała, odwracając się na powrót do Enderby'ego.

–Cóż, jest wielopoziomowy i zaopatrzony w dodatkowe systemy wspomagające. Składają się na niego czujniki ruchu, zestawy kamer wideo, czujniki wibracji i zmian ciśnienia.

–Brzmi imponująco.

–Bo tak właśnie jest. Przez ostatnie pół roku muzeum modyfikowało zabezpieczenia we wszystkich salach, jedna po drugiej, unowocześniając cały system.

–Z czym się to wiąże?

Enderby wziął głęboki oddech. – Z dostosowaniem i podłączeniem nowych urządzeń do tych już funkcjonujących, rekonfiguracją oprogramowania monitorującego, przeprowadzeniem próby technicznej, tego typu rzeczami. Wszystko musi być wykonane według ściśle opracowanego planu i skalibrowane z

atomowym zegarem satelitarnym. Robimy to w nocy, kiedy muzeum jest już zamknięte.

–Rozumiem. A zatem przyszedł pan tutaj, aby zbadać przyczynę usterki zasilania i odnalazł pan ciało.

–Zgadza się.

–Czy mógłby pan z łaski swojej rzucić okiem na to miejsce i opisać dokładnie ułożenie ciała ofiary.

–No cóż... ciało... ofiara... leżała, tak jak pokazuje ten obrys, z jedną ręką wyprostowaną. W jej plecach tkwił nóż z rękojeścią z macicy perłowej. Ostrze było wbite aż po rękojeść.

–Czy dotykał pan albo próbował wydobyć nóż?

–Nie.

Hayward skinęła głową. – Prawa ręka ofiary... palce były rozwane czy zaciśnięte?

–Wydaje mi się, że rozwane – Enderby z trudem przełknął ślinę.

–Proszę mi pomóc, panie Enderby. Ciało zostało zabrane jeszcze przed przyjazdem fotografa, toteż muszę polegać wyłącznie na pańskiej pamięci.

Mężczyzna otarł czoło wierzchem dłoni.

–Lewa stopa skierowana do środka czy na zewnątrz?

–Na zewnątrz.

–A prawa?

–Do środka.

–Jest pan pewien?

–Wątpię, abym kiedykolwiek był w stanie to zapomnieć. Ciało wydawało się trochę skręcone.

–To znaczy?

–Leżało twarzą do dołu, ale nogi prawie się krzyżowały Mówienie najwyraźniej pomagało Enderby'emu zapanować

nad nerwami. Wziął się w garść.

Będzie użytecznym świadkiem, pomyślała Hayward.

–A krew na pańskich butach? Jak to się stało? Skąd się on wzięła?

Enderby spojrział na swoje buty; jego oczy rozszerzyły się. – O... no cóż... po prostu podbiegłem i próbowałem jakoś pomóc.

Poziom szacunku, jaki żywiła Hayward względem tego młodzieńca, podniósł się o jedną kreskę.

–Proszę opisać, co konkretnie pan wtedy zrobił.

–Mm... stałem tam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ciało. Zatrzymałem się. Podbiegłem do ciała. Ukląknę, próbowałem wyczuć tętno i chyba właśnie wtedy... wdepnąłem w kałużę krwi. Ręce też miałem umazane, ale już je umyłem.

Hayward pokiwała głową, dodając te szczegóły do swojej mentalnej rekonstrukcji wydarzeń.

–I co, wyczuł pan tętno?

–Chyba nie. Zacząłem robić sztuczne oddychanie, więc nie mogę powiedzieć tego na pewno. Zresztą nie bardzo wiedziałem, jak się sprawdza tętno. Przede wszystkim zadzwoniłem po ochronę.

–Z aparatu znajdującego się tu, na terenie budynku?

–Tak, tuż za rogiem. Potem próbowałem robić sztuczne oddychanie metodą usta-usta, ale niecałą minutę potem zjawił się strażnik.

–Jego nazwisko?

–Roscoe Wall.

Hayward dała jednemu ze śledczych znak, aby to zapisał.

–Potem przyjechała karetka. Sanitariusze i lekarz dosłownie mnie stąd przepędzili.

Hayward skinęła głową. – Panie Enderby, zechciałby pan zaczekać chwilę w towarzystwie detektywa Hardcastle'a, może będzie mieć do pana jeszcze kilka pytań.

Wyszła do pierwszej sali, rozejrzała się dookoła, po czym wróciła niespiesznie. Na cienkiej warstwie trocin zalegającej posadzkę, mimo iż trochę zdeptanej, pozostały ślady świadczące o walce, jaka się tu rozegrała. Schyliła się, aby przyjrzeć się drobnym rozpryskom krwi. Dokonana w myślach analiza kierunku, siły i kąta rozbryzgu pomogła jej w końcu zrozumieć, co się tu wydarzyło. Ofiara wpadła w zasadzkę w pierwszej sali, gdzie przygotowywano nową wystawę. Może zabójca podążał jej śladem od przeciwległego krańca ekspozycji – jak jej powiedziano, było tam tylne wyjście, choć drzwi przy sprawdzeniu okazały się zamknięte i zabezpieczone. Wyglądało na to, że ścigający i ścigana krążyli wokół siebie przez kilka chwil. A potem zabójca pochwycił ofiarę, wykręcił jej rękę i powalając na ziemię, wbił jej nóż w plecy.

Zamknęła oczy na parę sekund, aby dokonać wizualizacji samego zabójstwa.

Kiedy znów je otworzyła, zwróciła uwagę na niewielki ślad z boku, który przeoczyła, gdy po raz pierwszy zajrzała do tej sali. Podeszła bliżej i wlepiła wzrok w podłogę – w kroplę krwi wielkości dziesięciocentówki, maleńką kroplę, która jak wszystko na to wskazywało, skapnęła ze stojącego pionowo obiektu z wysokości mniej więcej pięciu stóp.

Wskazała na szkarłatną plamkę. – Hank, chcę, aby ta kropla została stąd zabrana w całości, z klepką z posadзки i w ogóle. Najpierw rzecz jasna obfotografujcie ją jak należy na miejscu. Przeprowadźcie analizę DNA tej próbki. Na wczoraj. I zróbcie analizę porównawczą z innymi próbkami.

–Oczywiście, pani kapitan.

Rozejrzała się wokoło, wodząc wzrokiem od kredowego obrysu poprzez pojedyncze krople krwi aż po przeciwległą ścianę. Dostrzegła tam spore wgniecenie w nowej drewnianej listwie przypodłogowej. Przymrużyła oczy. – Jeszcze jedno, Hank.

Śledczy uniósł wzrok.

–Wydaje mi się, że za tą gablotą znajdziesz broń naszej ofiary Mężczyzna wstał, podszedł i zajrzał za gablotę.

–A niech mnie...

–Co tam masz? – spytała Hayward.

–Nóż introligatorski.

–Zakrwawiony?

–Nie wiem, słabo go widzę.

–Zapakuj go do foliowej torebki i sprawdź na wszelkie sposoby. Przeprowadź wszystkie możliwe testy. I zbadaj zgodność z tą małą próbką krwi z podłogi. Jestem gotowa założyć się o ostatniego dolara, że krew z ostrza i z klepki ma jednakowe DNA.

Kiedy tak stała, nie mogąc, właściwie nie wiadomo dlaczego, oderwać wzroku od miejsca zbrodni, coś jeszcze zaświtało jej w głowie. – Sprowadź tu raz jeszcze Enderby'ego.

Chwilę potem pojawił się detektyw Hardcastle w towarzystwie Enderby'ego.

–Mówił pan, że próbował pan robić ofierze sztuczne oddychanie metodą usta-usta?

–Tak, pani kapitan.

–Zakładam, że znał pan ofiarę.

–Owszem, znałem ją.

–Jak się nazywała?

–Margo Green.

Hayward zeszywniała, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie coś bardzo ważnego.

–Margo Green?

–Tak. O ile mi wiadomo, pracowała tu przed laty, zaraz po studiach. A ostatnio zatrudniono ją jako redaktor naczelną...

Głos mężczyzny rozmył się w tle. Hayward już go nie słuchała. Cofnęła się myślami o sześć lat do sprawy zabójstw w metrze i słynnych zamieszek w Central Parku, kiedy była jeszcze początkującą policjantką i zdobywała pierwsze szlify w tym trudnym zawodzie. Wtedy właśnie poznała Margo Green, młodą, niepokorną i wyjątkowo odważną kobietę, która nie wahała się zaryzykować własne życie i pomogła jej rozgryźć tamtą skomplikowaną sprawę.

Co tu dużo gadać, ten świat był naprawdę parszywy.

ROZDZIAŁ 35

Smithback z ponurą miną siedział na tym samym krześle co dzień wcześniej; dręczyło go nieprzyjemne uczucie déjà vu. W palenisku ozdobnego marmurowego kominka zdawał się bużować ten sam ogień, powietrze przesycone było słabą wonią palonej brzeziny, na ścianach wisiały te same obrazy przedstawiające sceny myśliwskie, a za wykuszowymi oknami rozpościerał się ten sam spowity śniegiem pejzaż.

Co gorsza, za olbrzymim biurkiem siedział ten sam co poprzednio dyrektor, a jego porządnie ogolone oblicze rozpromieniał ten sam protekcyjnalno-współczujący uśmiech. Przypatrywał się Smithbackowi z wyraźnym wyrzutem. Smithbackowi wciąż jeszcze łupało w głowie po tym, jak w ciemnościach wpadł z impetem na betonową ścianę, i czuł się głęboko zażenowany, że spanikował na dźwięk kroków byle pielęgniarsza. Poza tym było mu głupio, że jak ostatni kretyn łudził się, iż zdoła pokonać skomplikowany system zabezpieczeń wyłącznie swoim sprytem i gołymi rękoma. Jedyne, co w ten sposób osiągnął, to spory ból głowy. No i jak by tego było mało, swoim postępowaniem upewnił dyrektora w przekonaniu, że ma do czynienia z kompletnym szajbusem.

–No cóż, Edwardzie – rzekł doktor Tisander, łącząc palce dłoni pocięte wyraźnie widoczną siateczką niebieskawych żył. – Ubiegłej nocy urządziłeś sobie nie lada eskapadę. Wybacz, że pielęgniarsz Montaney tak cię wystraszył. Mam nadzieję, że opieka w naszej placówce odpowiada twoim oczekiwaniom?

Smithback zignorował protekcyjnalne pytanie. – Chciałbym jedynie wiedzieć, czemu ten typ tak się za mną skradał. Mogłem się przecież zabić!

–Wpadając na ścianę? Szczerze wątpię. – Jeszcze jeden dobrotliwy uśmiech. – Choć bez wątplenia ma pan szczęście, że uniknął wstrząśnienia mózgu.

Smithback nie odpowiedział. Opatrunek z boku na jego głowie uciskał go nieprzyjemnie za każdym razem, kiedy poruszał ustami.

–Dziwię ci się, Edwardzie. Wydawało mi się, że już ci to wyjaśniłem: tylko, dlatego, że wydaje się, jakoby nasza placówka nie miała żadnych zabezpieczeń, nie oznacza, że ich nie posiada. Na tym to wszystko polega. Zabezpieczenia są praktycznie niedostrzegalne, aby nasi goście czuli się w miarę możliwości swobodnie.

Smithback na dźwięk słowa „goście” poczuł, że ogarnia go gniew. Ludzie przebywający w tym budynku byli więźniami. Określenie ich mianem „gości” to czysty eufemizm.

–Poznaliśmy trasę twojej nocnej przechadzki dzięki wiązkom promieni podczerwonych, które przeciąłeś, i umiejscowieniu detektorów ruchu, które minąłeś po drodze. Dopiero gdy wszedłeś do piwnicy, pielęgniarsz Montaney otrzymał polecenie, że ma cię śledzić, ale tak, aby nie rzucać się z nadmierną siłą i muszę przyznać, że wypełnił swoje zadanie co do joty. Postąpił zgodnie z naszym regulaminem. Zapewne liczyłeś, że uda ci się uciec w jednej z ciężarówek, która dostarcza nam żywność. Zwykle od tego właśnie zaczynają, to pierwsza rzecz, która przychodzi im do głowy

Smithback miał ochotę zerwać się z krzesła i zacisnąć dłonie na gardle wyszczekanego doktora. „Oni? Nie jestem wariatem, ty durniu!”. Ale nie zrobił tego. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, w jaki paragraf 22 go wpuszczono; im bardziej przekonywał, że jest normalny, tym bardziej się ekscytował i tym bardziej upewniał lekarza w przekonaniu, iż jest dokładnie na odwrót.

–Chciałbym wiedzieć, jak dużo jeszcze czasu mam tutaj spędzić – zapytał.

–To się okaże. Muszę przyznać, że ta próba ucieczki nie rokuje dla pana najlepiej i nie należy się spodziewać, iż szybko opuści pan mury tej palcówki. To jawny dowód, że nie chce pan, aby mu pomóc. Opiera się pan. Nie możemy panu pomóc, dopóki nie zechce pan z nami współpracować, panie Jones. A nie możemy pana wypuścić, dopóki nie zdołamy panu pomóc. Jak to często powtarzam, to właśnie pan jest najważniejszą osobą w procesie pańskiego leczenia.

Smithback zacisnął dłonie w pięści i zmusił się, aby powstrzymać się od ciętej riposty.

–Muszę powiedzieć ci, Edwardzie, że kolejna próba ucieczki spowoduje pewne zmiany, jeżeli chodzi o zakres swobód podczas twojego dalszego pobytu w naszej placówce, które jak sądzę, raczej nie przypadłyby ci do gustu. Dlatego radzę ci, pogódź się z twoją sytuacją i zacznij z nami współpracować. Od samego początku wyczuwałem z twojej strony niewiarygodne pokłady bierno-czynnego oporu.

„To dlatego, że jestem tak samo zdrowy psychicznie jak ty, pacanie”. Smithback przełknął ślinę i wysilił się na pokorny uśmiezek. Nie ulegało wątpliwości, że jeżeli zamierzał stąd czmychnąć, będzie musiał się znacznie bardziej wysilić. Potrzebował do tego całego swojego sprytu.

–Tak, doktorze Tisander. Rozumiem.

–Świetnie. Wygląda na to, że zrobiliśmy jakieś postępy.

Musiało być stąd jakieś wyjście. Skoro hrabia Monte Christo mógł wydostać się z twierdzy If, William Smithback mógł uciec z River Oaks.

–Doktorze Tisander, co muszę zrobić, aby opuścić to miejsce?

–Współpracować. Pozwól sobie pomóc. Uczęszczaj na sesje terapeutyczne, wykorzystuj cały zasób swej energii na powrót do zdrowia i postaw sobie za cel pełną, bezwarunkową współpracę z kierownictwem i personelem tej placówki. Jedynym sposobem na opuszczenie tego miejsca jest uzyskanie dokumentu zwolnienia z moją pieczętką i podpisem.

–Jedynym sposobem?

–Zgadza się. To ja podejmuję ostateczną decyzję na podstawie, rzecz jasna, wyników badań klinicznych i, jeśli to konieczne, również porady prawnej.

Smithback spojrział na niego. – Porady prawnej?

–Psychiatria ma dwóch panów: medycynę i prawo.

–Nie rozumiem.

Najwyraźniej był to ulubiony temat Tisandera. Mężczyzna przemawiał mentorskim tonem. Tak, Edwardzie, musimy tu rozpatrywać zarówno kwestię natury medycznej, jak i prawnej. Weźmy na ten przykład ciebie. Twoja rodzina, która darzy cię miłością i pragnie twojego dobra, postanowiła oddać cię do mego zakładu. To proces przebiegający na dwóch płaszczyznach: prawnej i medycznej. Ubezłasnowolnienie kogoś to trudny i skomplikowany proces i musi zostać przeprowadzony wyjątkowo dyskretnie.

–Że co, proszę... powiedział pan „moja rodzina”?

–Zgadza się. Jak sądzisz, kto inny mógł oddać cię w nasze ręce, Edwardzie?

–Zna pan moją rodzinę?

–Poznałem twojego ojca, Jacka Jonesa. To doprawdy wspaniały człowiek. Wszyscy pragniemy jedynie twojego dobra, Edwardzie.

–Jak on wygląda?

Na twarzy Tisandera przez moment pojawił się wyraz zakłopotania, a Smithback sklął samego siebie w duchu, że w porę nie ugryzł się w język i zadał dyrektorowi tak kretyńskie pytanie; nic dziwnego, że Tisander miał go za wariata. – Chciałem zapytać: kiedy pan go widział?

–Kiedy cię tutaj przywiózł. Podpisał wszystkie niezbędne dokumenty

Pendergast, pomyślał Smithback. Niech go wszyscy diabli.

Tisander wstał i wyciągnął do niego rękę. – Cóż, Edwardzie, czy chciałbyś jeszcze o coś zapytać?

Smithback uściskał jego dłoń i właśnie wtedy coś zaświtało mu w głowie. – Owszem, tak.

Tisander uniósł brwi, a na jego ustach znów pojawił się ten sam co wcześniej protekcyjny uśmiech.

–Czy jest tu biblioteka?

–Oczywiście. Za salą bilardową.

–Dziękuję.

Wychodząc z gabinetu, Smithback kątem oka zauważył, jak Tisander na powrót sadowi się wygodnie w swoim fotelu, za monstrualnym biurkiem, wygładza krawat, a na jego twarzy wciąż maluje się uśmiezek satysfakcji z dobrze wypełnionego obowiązku.

ROZDZIAŁ 36

Wodniste zimowe światło bladło nad rzeką, gdy D'Agosta dotarł do starych drzwi rudery przy Hudson Street. Przystanął na chwilę, zaczerpnął kilka głębokich oddechów, usiłując nad sobą zapanować. Wykonał skomplikowane zalecenia Pendergasta co do joty. Agent znów się przeniósł – wydawało się, że pragnie za wszelką cenę o krok wyprzedzić Diogenesa – a D'Agosta zastanawiał się z lekkim zaciekawieniem, jaki kamuflaż Pendergast wymyślił tym razem.

Wreszcie się uspokoił i raz jeszcze rozejrzał dookoła, aby sprawdzić, że w pobliżu nie ma nikogo, potem zastukał do drzwi siedem razy i czekał. Chwilę potem otworzył mu mężczyzna, który sądząc z wyglądu, był alkoholikiem w ostatnim stadium uzależnienia. Mimo iż D'Agosta wiedział, że ma przed sobą Pendergasta, i tak nie mógł stłumić w sobie podziwu wobec skuteczności, z jaką agent potrafił zmienić swój wygląd.

Pendergast wpuścił go do środka, zamknął za nim drzwi na kłódkę i poprowadził go po wilgotnych schodach do kotłowni, której wewnątrz rozbrzmiewało dźwiękami dobiegającymi z potężnego bojlera i rur grzewczych. Obrazu dopełniał okazały rozmiarów karton wyściełany brudnymi kocami i skrzynka po mleku ze świecą, paroma miskami i stosikiem puszek z żywnością.

Pendergast odgarnął szmatę leżącą na podłodze, odsłaniając iMaca G5 z bezprzewodowym wejściem do internetu Bluetooth. Obok widać było pliki wyświechtanych gazet, kserokopie akt, które D'Agosta wyniósł z posterunku, oraz inne raporty, które jak przypominał sobie policjant, dotyczyły otrucia profesora Hamiltona w Nowym Orleanie.

Najwyraźniej Pendergast studiował wszystko z wytężoną uwagą.

–Ja... – D'Agosta nie bardzo wiedział, jak powinien zacząć. Gniew znów wziął nad nim górę. – Ten łajdak. Ten skurwiel. Mój Boże... jak on mógł zamordować Margo...

Zamilkł. Słowa nie były w stanie wyrazić jego niepohamowanej wściekłości, wzburzenia i niedowierzania. Nie wiedział, że Margo wróciła do Nowego Jorku, ani tym bardziej, że podjęła pracę w muzeum, ale przed laty znali się bardzo dobrze. Pracowali wspólnie przy sprawie zabójstw w muzeum i w metrze. Była odważną, pomysłową, inteligentną kobietą. Nie zasłużyła na taki koniec. Okrutną i gwałtowną śmierć z ręki tajemniczego mordercy w pogrążonej w ciemnościach sali muzealnej.

Pendergast w milczeniu stukał w klawisze komputera. Twarz agenta była jednak złana potem. D'Agosta wyczuł, że to nie zabawa.

–Diogenes skłamał, kiedy powiedział, że następną ofiarą będzie Smithback – rzekł D'Agosta.

Nie unosząc wzroku, Pendergast sięgnął do kartonowego pudła i wyjął z niego plastikową torebkę z kartą tarota i liścikiem, po czym podał ją D'Agoście. Policjant spojrzał na kartę tarota. Przedstawiała wysoką wieżę z pomarańczowej cegły, w którą uderza kilka błyskawic jednocześnie. Wieża stała w ogniu, a z blanek spadały na trawę poniżej maleńkie ludzkie sylwetki. Rzucił okiem na liścik.

Ave, frater!

Od kiedy mi wierzysz? Czy kiedykolwiek powiedziałem ci prawdę? Można by przypuszczać, że po tylu latach zrozumiesz, że jestem wierutnym kłamcą i mam do tego szczególny talent. Podczas gdy ty byłeś zajęty ukrywaniem tego pyszałka Smithbacka – i muszę ci przyznać, że wykazałeś się w tym przypadku wyjątkowym sprytem, gdyż jak dotąd nie udało mi się go odnaleźć – miałem sposobność zaplanować w najdrobniejszych szczegółach śmierć Margo Green, która nawiasem mówiąc, nie sprzedała tanio swojej skóry i zapewniła mi moc godziwej rozrywki.

Czyż to nie było sprytne? Przyznaj, że cię okpiłem.

Zdradzę ci sekret, bracie: jestem w nastroju do wyznań. Dlatego wyjawię ci nazwisko mojej kolejnej ofiary: porucznik Vincent D'Agosta.

Zabawne, czyż nie? Czy mówię prawdę? A może znów kłamię?

Cóż za rozkoszna łamigłówka. Będziesz musiał się trochę nad nią pogłowić, drogi bracie. To coś w sam raz dla ciebie.

Nie mówię adieu, lecz au rewir.

Diogenes

D'Agosta oddał liścik Pendergastowi; poczuł dziwny ucisk w żołądku. To nie był strach – nie, na pewno nie strach, lecz zarzewie czystej nienawiści. Przenikała go wściekłość z taką siłą, że zaczął dygotać.

–Daj mi tego sukinsyna, niech go dopadnę w swoje ręce – powiedział.

–Usiądź, Vincencie. Mamy bardzo mało czasu.

To były pierwsze słowa, jakie usłyszał od Pendergasta, więc D'Agosta umilkł poruszony surową powagą w jego głosie. Przycupnął na brzegu skrzyński.

–A o co chodzi z tą kartą tarota? – zapytał.

–To wieża z El Gran Tarot Esoterico. Ta karta zwiastuje zniszczenie, nadejście nagłych zmian.

–Co ty nie powiesz.

–Przez cały dzień sporządziłem listę potencjalnych ofiar i czyniłem niezbędne przygotowania do zapewnienia im ochrony. Musiałem wykorzystać dosłownie wszystkie swoje kontakty, powołując się na przysługi, które było mi winnych parę osób, lecz niestety, co za tym idzie, moja poprzednia tożsamość została spalona. Ci, którymi zająłem się do tej pory, obiecali trzymać język za zębami, ale jest tylko kwestią czasu, kiedy pogłoski o mojej śmierci zostaną zdementowane. – Zerknij, proszę, Vincencie na tę listę.

D'Agosta nachylił się i spojrział na ekran. Lista zawierała wiele znanych mu nazwisk, a także inne, które nic mu nie mówiły.

–Czy twoim zdaniem powinienem dopisać tu kogoś jeszcze? D'Agosta zerknął na kartkę. – Hayward. – Myśl o niej sprawiła, że poczuł bolesny ucisk w dołku.

–Hayward jest jedyną osobą, której Diogenes z całą pewnością nie weźmie na cel. Wiem o tym. Są po temu powody, o których jednak nie mogę teraz mówić.

–A, co z... – D'Agosta zawahał się. Pendergast bardzo cenił sobie prywatność i policjant zastanawiał się, jak tamten zareaguje na dźwięk jej nazwiska. – Viola Maskelene?

–Sporo o niej myślałem – odparł cicho. Spojrzął na swoje blade dłonie. – Wciąż przebywa na wyspie Capraia, która pod wieloma względami jest dla niej niczym idealna forteca. Prawie nie sposób się tam dostać, aby dotrzeć na miejsce, trzeba podróżować dobrych parę dni. Jest tam tylko jedna zatoka, a obcy, niezależnie jak dobrze ucharakteryzowany, z pewnością natychmiast zwróciłby uwagę miejscowych. Diogenes jest tu, w Nowym Jorku. Nie może szybko się do niej dostać, nie zamierza też działać przez pośredników. Poza tym – zniżył głos – Diogenes nie może przecież nic wiedzieć o głębszym zainteresowaniu, jakie żywię względem niej. Nie wie o tym nikt oprócz ciebie. Dla Diogenesa jest ona po prostu osobą, z którą się spotkałem, jeden jedyny raz w związku ze skrzypcami. Z drugiej strony, gdybym powziął pewne kroki w celu zapewnienia jej ochrony, mogłoby to zwrócić uwagę Diogenesa.

–Rozumiem.

–Dlatego też, jeżeli chodzi o nią, postanowiłem pozostawić wszystko tak, jak jest.

Rozłączył dłonie. – Podjąłem niezbędne kroki, aby ochronić innych, niezależnie, czy to im się podoba, czy nie. I tu dochodzimy do najtrudniejszego pytania: co z tobą, Vincencie?

–Nie zamierzam się ukrywać. Jak już mówiłem, daj mi go, niech go dostanę w swoje ręce. Wolę umrzeć, niż uciekać jak pies z podkulonym ogonem przed zabójcą Margo.

–Nie zamierzam się z tobą spierać. Podejmujesz wielkie ryzyko. – Wiesz o tym.

–Pewnie, że wiem. I jestem na to przygotowany.

–Wierzę, że jesteś. Atak na Margo to odwzorowanie zabójstwa mojej ciotki, nawiasem mówiąc, starej panny, którą niezadowolony służący dźgnął w plecy inkrustowanym macicą perłową otwieraczem do listów. Całkiem możliwe, że na miejscu napaści pozostały jakieś ślady, które mogłyby doprowadzić nas do Diogenesa. W tej kwestii będę potrzebował twojej pomocy. Kiedy policja się dowie, że mimo wszystko nadal żyję, zaczną się naprawdę poważne problemy.

–Jak to?

Pendergast pokręcił głową. – W swoim czasie zrozumiesz. To, jak długo zechcesz mi towarzyszyć, zależy rzecz jasna wyłącznie od ciebie. W pewnym momencie zamierzam wziąć prawo w swoje ręce. Nie pozwolę, aby o losie Diogenesa miały decydować sądy

D'Agosta skinął głową energicznie. – Wchodzę w to, i nic się więcej nie liczy.

–Najgorsze dopiero przed nami. Dla mnie, a zwłaszcza dla ciebie.

–Ten skurwiel zabił Margo. Koniec dyskusji.

Pendergast położył dłoń na jego ramieniu. – Dobry z ciebie człowiek, Vincencie. Jeden z najlepszych.

D'Agosta nie odpowiedział. Zastanawiał się nad sensem zagadkowych słów, które padły przed chwilą z ust Pendergasta.

–Dopilnowałem osobiście, aby wszystkie osoby mogące stać się już teraz potencjalnymi celami Diogenesa jak najszybciej ukryły się w bezpiecznych miejscach. To faza pierwsza. Tym samym przechodzimy obecnie do fazy drugiej: jest nią powstrzymanie Diogenesa. Mój pierwotny plan spalił na panewce. Stare porzekadło głosi: nawet jeśli poniesiesz porażkę, ucz się na własnych błędach. Muszę przyznać, że ta surowa lekcja także mnie czegoś nauczyła. Wiem na przykład, że nie zdołam pokonać Diogenesa w pojedynkę. Wydawało mi się, że znam go najlepiej, że jestem w stanie przewidzieć jego kolejny ruch i że dysponując dostatecznie dużą ilością dowodów, potrafię sam go powstrzymać. Okazało się, że się pomyliłem, i była to niestety jedna z najpoważniejszych pomyłek w moim życiu.

–Masz mnie.

–Wiem. I jestem ci za to wdzięczny. Ale mam na myśli pomoc innego rodzaju. Pomoc profesjonalną.

–To znaczy?

–Diogenes jest mi zbyt bliski. Brak mi odpowiedniego podejścia i spokoju, zwłaszcza teraz. Na własnej skórze boleśnie przekonałem się, że nie rozumiem i nigdy nie rozumiałem mojego brata. Potrzebny mi ekspert w dziedzinie opracowywania portretów psychologicznych, aby stworzył wielowarstwowy profil psychologiczny Diogenesa. Będzie to wyjątkowo trudne zadanie, jako że jest on osobnikiem szczególnym, zwłaszcza pod względem psychologicznym.

–Znam kilku wyśmienitych ekspertów, którzy się tym zajmą.

–To nie może być byle kto. Potrzebuję kogoś naprawdę wyjątkowego. – Odwrócił się i zaczął pisać krótki liścik. – Pofatyguj się na Riverside Drive 891 i oddaj tę wiadomość mojemu zaufanemu Proctorowi, a on z kolei przekaże ją Constance. Jeżeli człowiek o takich umiejętnościach istnieje, Constance na pewno go znajdzie.

D'Agosta wziął od niego liścik, złożył na pół i wsunął do kieszeni.

–Nasz czas dobiega końca. Do 28 stycznia zostały już tylko dwa dni.

–Domyślasz się, co może oznaczać ta data?

–Niestety nie. Wiem tylko, że tego dnia mój brat uwieńczy swe zbrodnicze dzieło jakimś wyjątkowym, bardzo spektakularnym wyczynem.

–Skąd wiesz, że i tym razem nie próbuje cię okłamać? Pendergast zamyślił się. – Nie wiem. Ale instynkt podpowiada mi, że sprawa jest poważna. A w obecnej chwili nie pozostało mi nic więcej, tylko instynkt.

ROZDZIAŁ 37

Whit De Winter III nachylił się nad grubym jak cegła podręcznikiem rachunku różniczkowego w podziemiach Biblioteki Rocznika '45, w Phillips Exeter Academy Wlepił wzrok we wzór składający się w całości z greckich liter, usiłując wkuć go na pamięć, ale otępiały umysł uparcie odmawiał mu posłuszeństwa. Za niecałą godzinę miał egzamin semestralny, a nie udało mu się zapamiętać nawet połowy wzorów, które powinien był znać. Żałował, że poprzedniego wieczoru, zamiast się uczyć, palił trawkę ze swoją dziewczyną Jennifer. Wtedy wydawało mu się to świetnym pomysłem na spędzenie wieczoru... Kretyn, skończony kretyn. Jeśli obleje ten test, obniży ocenę z całek na czwórkę i zamiast do Yale będzie musiał pójść na Uniwersytet Massachusetts. Będzie ugotowany Nie dostanie się na medycynę, nie znajdzie przyzwoitej pracy i koniec końców wyląduje w Medford, klepiąc biedę i wysłuchując zarządzenia żony hetery i jazgotu bandy rozwrzeszczanych bachorów...

Wziął głęboki oddech i ponownie pogrążył się w lekturze, lecz z zamyślenia wyrwał go podniecony głos dochodzący od strony jednego z pobliskich stołów. Whit wyprostował się. Znał ten głos – to ta sarkastyczna dziewczyna, która chodziła z nim na zajęcia z lektury angielskiej, gotycka wiedźma z fioletowymi włosami... Corrie. Corrie Swanson.

–O co ci chodzi? Nie widzisz, że próbuję się uczyć? – Głos rozbrzmiał gromkim echem w rozległym atrium starej biblioteki.

Whit wytężył słuch, ale nie dosłyszał odpowiedzi wypowiedzianej cichym, spokojnym głosem.

–Australia? Czyś ty oszalał? – zagrzmiała dziewczyna. – Jestem w trakcie egzaminów semestralnych. Kompletnie ci odbiło? A może jesteś jakimś cholernym zбочeńcem?

Uczniowie siedzący blisko Corrie próbowali ją dyskretnie uciszyć. Whit obejrzał się przez ramię, w głębi duszy ciesząc się, że choć na chwilę może oderwać się od żmudnej nauki. Dostrzegł mężczyznę w czarnym garniturze nachylającego się nad stolikiem kilka jardów z tyłu za nim.

–On tak powiedział? Taa, no jasne, wobec tego pokaż no mi swoją legitymację.

Znów cichy szept.

–W porządku, niech będzie, pewnie, że mam ochotę na wakacje na plaży. Ale już teraz, zaraz? Chyba sobie ze mnie żartujesz.

Kilku uczniów znów próbowało ją uciszyć. Rozległy się szmery rozmów.

–No dobra, już dobra. Ale pamiętaj, jeśli zawałę biologię, będzie to tylko i wyłącznie wina Pendergasta.

Usłyszał szmer krzesła i zobaczył jak Corrie Swanson wstaje od stołu, a potem rusza w ślad za mężczyzną w garniturze. Gość wyglądał jak agent tajnych służb, elegancki jak spod igły, kanciasta szczęka, ciemne włosy. Whit zastanawiał się, w jakie kłopoty wpakowała się Corrie tym razem. Patrzył, jak przechodzi obok niego, jej szczupły tyłeczek kołysał się ponętnie pod kusą, czarną sukienką obwieszoną od góry do dołu metalem, fioletowe włosy o ciemnych, nieomal czarnych końcówkach opadały gęstą kaskadą na jej plecy. Cholera, ona naprawdę była całkiem ponętna, byleby tylko nie próbował zabrać jej do domu i przedstawić ojcu. Stary zabiłby go za umawianie się z tą dziewczyną.

Czując tępy, przeszywający ból za gałkami ocznymi, powrócił wzrokiem do wzoru na promień krzywej dla funkcji o dwóch zmiennych, ale to wszystko brzmiało dla niego jak greka. Dosłownie. Ten cholerny wzór składał się z tylu liter, że równie dobrze mógł być początkiem Iliady. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Znów jęknął. Jego życie dobiegało końca. A wszystko przez Jennifer i jej czarodziejskie zioło...

Płatki śniegu spadały leniwie na oszalowany na biało budynek stojący na rogu Church Street i Sycamore Terrace w River Pointe, na spokojnym, cichym przedmieściu Cleveland. Spowite bielą ulice były szerokie i ciche, latarnie roztaczały kręgi żółtego światła pośród nocnego pejzażu. Dochodzący z daleka ryk syreny pociągu przydawał melancholijnej nuty pogrążonej w ciszy okolicy.

Za przysłoniętym żaluzjami szczytowym oknem na piętrze poruszyła się postać siedząca na wózku inwalidzkim, ledwie widoczna w łagodnym niebieskawym świetle bijącym z wnętrza pokoju. Postać bezgłośnie przesuwała się w tył i w przód, jak w pantomimie, pochłonięta jakąś bliżej nieokreśloną pracą. Wewnątrz od podłogi aż po sufit wznosiły się metalowe regały uginające się od najrozmaitszych urządzeń elektrycznych: monitorów, procesorów, drukarek, sprzętów do zdalnego przechwytywania obrazu z ekranu komputera, skanerów i odbiorników sygnału z telefonów komórkowych, bezprzewodowych aparatów przekierowujących, urządzeń wspierających aplikację sieci oraz wykrywaczy niechronionych wejść internetowych. Pomieszczenie przesycone było wonią rozgrzanych urządzeń elektronicznych i monitorów.

Postać przesuwała się to w jedną, to w drugą stronę, jedyna, dziwnie wyschnięta i wymizerowana dłoń stuknęła w kolejne klawiatury, naciskając klawisze, obracając pokręta i wciskając przyciski.

Urządzenia były wyłączane powoli, jedno po drugim, wreszcie postać odłączała w nich zasilanie. Światelka ciemniały po kolei, łącza szerokopasmowe i lokalne sieci komputerowe były odłączane, ekrany gasły, komputery przestawały funkcjonować, diody elektroluminescencyjne gasły. Mężczyzna znany w środowisku komputerowych hakerów jako Mim odcinał się od świata. Zgasło ostatnie źródło światła – wielki płaskoekranowy monitor ciekłokrystaliczny – i pomieszczenie pogrążyło się w ciemnościach.

Mim, skończywszy to, co miał do zrobienia, odpoczął przez chwilę, oddychając głęboko w mroku, do którego nie przywykł. Był teraz całkowicie odcięty od świata zewnętrznego. Wiedział, że gdy zrobi to, co właśnie uczynił, nikt go nie odnajdzie. Niemniej jednak wiadomość, którą otrzymał od człowieka nazwiskiem Pendergast, jednego z dwóch osób na świecie, którym bezgranicznie wierzył i ufał, mocno go zaniepokoiła.

Przez wiele lat swojej podziemnej działalności Mim ani razu nie był odcięty od niezliczonych strumieni danych, które zalewały jego dom jak fale niewidzialnego oceanu. To było nieprzyjemne doznanie; czuł się samotny i opuszczony.

Siedział pogrążony w posępnej zadumie. Za chwilę uruchomi całkiem inny zestaw urządzeń i wewnątrz pokoju rozbrzysnę innym światłem, blaskiem całej baterii monitorów podłączonych do kamer wideo i ekranów systemu ochrony, który zamontowano wewnątrz i wokół domu. Te zabezpieczenia zostały zainstalowane wiele lat temu, ale jak dotąd nie były mu nigdy potrzebne, aż do teraz. Mim powoli wypuścił powietrze i wziął głęboki oddech, wpatrując się w ciemność. Po raz pierwszy w życiu był naprawdę przerażony.

Proctor ostrożnie zamknął drzwi wielkiej, z wyglądu opuszczonej rezydencji przy Riverside Drive 891 rozejrzał się wokoło, po czym wszedł do czekającego pod domem hummera. Budynek był zamknięty na cztery spusty, każdy potencjalny wyłom i wejście zostały starannie zapieczętowane i zabezpieczone. Constance wciąż znajdowała się w środku, ukrywając się w sekretnych miejscach, gdzie chowała się wcześniej, w przeszłości, miejscach, o których nie wiedział nikt, nawet on ani agent Pendergast. Miała zapasy żywności, telefon komórkowy – tak na wszelki wypadek ogólnie rzecz biorąc, wszystko, czego potrzebowała. Proctor ruszył; potężny opancerzony wóz skręcił za róg i pomknął wzdłuż Riverside Drive na południe. Z przyzwyczajenia zerknął w lusterko wsteczne, aby upewnić się, czy nikt go nie śledzi. Nie zauważył niczego podejrzanego, ale – o czym Proctor doskonale wiedział – to jeszcze o niczym nie świadczyło.

Przy rogu Dziewięćdziesiątej Piątej i Riverside zwolnił, podjeżdżając do kosza na śmieci, którego zawartość nieomal wysypywała się na chodnik. Mijając go, wyrzucił zatłuszczoną torebkę pełną zimnych już frytek od McDonalda, posklejanych stężałym kleistym keczupem, następnie przyspieszył i skręcił na zjazd na West Side Highway, a znalazłszy się tam, skierował się na północ, przez cały czas zachowując najwyższą dozwoloną prędkość i regularnie, w miarę często spoglądając we wsteczne lusterko. Przejechał przez Riverdale i Yonkers aż do Saw Mill River Parkway, stamtąd do Taconic, a potem I-90 i I-70 dotarł do Northway. Spędzi w drodze całą noc i większą część poranka, aż w końcu dojedzie do pewnej niedużej chatki stojącej nad pewnym niedużym jeziorem, jakieś 20 mil na północ od St. Amand l'Eglise w Quebecu.

Spojrzał w prawo, gdzie na siedzeniu leżał karabinek automatyczny AR-15, z pełnym magazynkiem standardowych naboji NATO kaliber 5,56 mm. Proctor w głębi duszy chciał, aby ktoś spróbował go śledzić. Niczego tak bardzo nie pragnął, jak dać jakiemuś delikwentowi lekcję, której ten nie zapomni do końca życia, czyli, biorąc pod uwagę okoliczności, niedługo.

Kiedy niebo pojaśniało, ponad rzeką Hudson zaczął wstawać brudnoblady świt, rozjaśniając mętne fale

rzeki, a podmuchy lodowatego wiatru hulające po pustych ulicach niosły w dal strzępy gazet, samotny pijaczek człapiący wolno wzdłuż Riverside Drive przystanął przy koszu na śmieci, którego zawartość wysypywała się na zewnątrz, i zaczął w nim grzebać. Pomrukując z zadowoleniem, wydobyl z kosza torebkę na wpół zamrożonych frytek z McDonalda. Gdy zaczął łąpczywie wkładać je do ust, lewą ręką zwinnie wsunął do kieszeni niewielki zwitek papierów ukrytych na samym dnie torebki. Na kartce widniało kilka krótkich zdań nakreślonych zwartym, drobnym, bardzo starannym i staroświeckim charakterem pisma:

Jest tylko jeden człowiek, który może

sprostać

twoim szczególnym wymaganiom:

Eli Glinn z Efektywnych Rozwiązań

Inżynieryjnych

Adres: Dwunasta Mała Zachodnia w

Greenwich Village

w Nowym Jorku.

ROZDZIAŁ 38

Błyszczący księżyc, olbrzymi i przenikliwie biały, zdawał się złościć bezmiar morza, hen, daleko w dole. Wyglądając przez okno Viola Maskelene widziała długi biały kilwater, jak ślad ołówka wytyczony na połyskującej toni wody, a na jego początku znajdował się potężny liniowiec oceaniczny, który z wysokości 33 tysięcy stóp przypominał dziecięcą zabawkę. To „Queen Mary”, pomyślała, w drodze z Southampton do Nowego Jorku.

Patrzyła na niego jak urzeczona, wyobrażając sobie tysiące ludzi poniżej, na pokładach wielkiego okrętu, pośrodku oceanu, zjadających się w najlepsze, sączących drinki, kochających się – cały świat na statku tak małym, że wydawało się, iż mogłaby zmieścić go w dłoni. Obserwowała go, dopóki nie zniknął za horyzontem. To zabawne, leciała samolotem co najmniej tysiąc razy, a jednak wciąż było to dla niej ekscytujące przeżycie. Spojrzała na mężczyznę siedzącego na fotelu opodal, drzemiącego nad egzemplarzem „Financial Timesa”; mężczyzna ani razu nie wyjrzał przez okno. Nie potrafiła tego zrozumieć.

Rozsiadła się wygodnie w fotelu, zastanawiając się, czym jeszcze mogłaby się zająć. To był drugi etap jej podróży z Włoch; w Londynie przesiadła się na pokład kolejnego samolotu i zdążyła już przeczytać menu oraz przekartkować szmirowate pisemko linii lotniczych. Kabina pierwszej klasy była prawie pusta, a jako że była druga w nocy czasu londyńskiego, nieliczni pasażerowie dzielący z nią kabinę, pogrążyli się we śnie. Miała stewardesę do swojej wyłącznej dyspozycji. Odnalazła jej spojrzenie.

–Czym mogę służyć, lady Maskelene?

Skrzywiła się jak zawsze, gdy ktoś tak ją tytułował. „Skąd oni to wiedzą?” – Poproszę szampana. I jeśli można, proszę nie zwracać się do mnie per lady Maskelene. Czuję się przez to jak stary rupieć. Proszę mi mówić: Violu. Tak będzie lepiej.

–Proszę wybaczyć. Zaraz podam szampana.

–Bardzo dziękuję.

Czekając na powrót stewardesy, Viola sięgnęła do torebki i wydobyla z niej list, który przysłano na jej domowy adres, na włoskiej wysepce Capraia, przed trzema dniami. List wyglądał, jakby wyjmowano go i wkładano z powrotem do koperty co najmniej o jeden raz za dużo, ale i tak go znów przeczytała.

Droga Violu

Lektura tego listu bez wątplenia będzie dla Ciebie wstrząsem i już na wstępie pragnę Cię za to z całego serca przeprosić. Czuję się jak Mark Twain i zmuszony jestem oznajmić, że plotki o mojej śmierci, były dość przesadzone. Żyję i czuję się nieźle, lecz musiałem się ukryć na czas pewien z uwagi na sprawę, skądinąd

wielce delikatnej natury, nad którą do niedawna pracowałem. Ten fakt w połączeniu z ostatnimi wydarzeniami w Toskanii, o których bez wątplenia słyszałaś, spowodowały, że wśród moich znajomych i przyjaciół rozniosła się wieść o mojej przedwczesnej śmierci. Przez pewien czas korzystne było dla mnie nie dementować tych pogłosek. Ale ja żyję, Violu, choć znalazłem się w sytuacji, kiedy śmierć dosłownie zajrzała mi w oczy.

To przerażające doświadczenie skłoniło mnie do napisania tego listu. W owym czasie, gdy przez wiele godzin balansowałem na granicy życia i śmierci, uświadomiłem sobie, jak kruche jest nasze istnienie, jak krótko mamy okazję stąpać po tej ziemi, a co za tym idzie, nie wolno nam odrzucać tej odrobiny szczęścia, które przytrafia się nam tak rzadko. Kiedy spotkaliśmy się przypadkiem na Caprai, zaledwie kilka godzin przed moimi dramatycznymi przeżyciami, było to dla mnie coś zaskakującego i niespodziewanego – nie pomyłę się chyba, jeśli powiem, że i dla Ciebie również. Coś zaszło pomiędzy nami. Wywarłaś na mnie niezapomniane wrażenie i pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że i ja pozostawiłem drobny ślad w Twoim sercu. Dlatego też pragnę zaprosić Cię do Nowego Jorku, abys zechciała spędzić ze mną dziesięć dni, byśmy mogli nawzajem lepiej się poznać. Niechaj ten czas będzie dla nas okazją potwierdzenia, czy owo wrażenie faktycznie jest tak niezapomniane i cudowne, jak mi się wydaje. Z całego serca pragnę wierzyć, że tak.

Czytając te słowa, Viola mimowolnie się uśmiechnęła; ten staroświecki, dość nieporadny styl stanowił swoistą wizytówkę Pendergasta do tego stopnia, że nieomal słyszała jego głos. To prawda, ten list rzeczywiście był niezwykle, jedyny w swoim rodzaju. Violę próbowało zdobyć na różne sposoby wielu różnych mężczyzn, ale to było dla niej czymś nowym. „Coś zaszło pomiędzy nami”. To prawda. A jednak większość kobiet byłaby zdumiona, a może nawet wstrząśnięta po otrzymaniu takiego zaproszenia. Jakimś sposobem, po jednym tylko spotkaniu, Aloysius zdołał poznać ją na tyle dobrze, że wiedział, iż tego rodzaju list nie wzbudzi w niej negatywnych odczuć. Wręcz przeciwnie...

Wróciła do lektury listu.

Jeżeli zechcesz przyjąć to skądinąd niekonwencjonalne zaproszenie, proszę Cię, byś znalazła się 22 stycznia na pokładzie samolotu linii British Airways lot numer 822 z Gatwick do Nowego Jorku. Nie mów nikomu, dlaczego wyruszasz w podróż. Wyjaśnię Ci wszystko, kiedy dotrzesz na miejsce. Powiem tylko, że gdyby wieści o Twojej wizycie dotarły do niepowołanych uszu, mogłyby nawet teraz zagrozić mojemu życiu.

Na lotnisku Kennedyego w punkcie odbioru bagażu spotka się z Tobą mój ukochany brat Diogenes.

„Diogenes”. Uśmiechnęła się ciepło, wspominając, że na Caprai Aloysius wyjaśnił jej, iż ekscentryczne imiona to w jego rodzinie stara, niezłomna tradycja. Wcale nie żartował, kto przy zdrowych zmysłach dałby swemu synowi na imię Diogenes?

Rozpoznasz go od razu, gdyż jest do mnie bardzo podobny, tyle tylko, że nosi starannie przystrzyżoną bródkę. Jednak jego najbardziej uderzającą i niezwykłą cechą jest to, iż wskutek pewnego wydarzenia w dzieciństwie jego oczy mają różne kolory – jedno jest brązowe, a drugie mlecznoniebieskie. Nie będzie miał ze sobą tabliczki z Twoim nazwiskiem ani nie wie, jak wyglądasz, toteż będziesz musiała odnaleźć go sama. Nie powierzyłbym Twojego bezpieczeństwa nikomu innemu z wyjątkiem mojego brata, który jest osobą absolutnie dyskretną.

Diogenes zawiezie Cię do mojego domku na Long Island w niewielkim miasteczku nad Gardiners Bay, gdzie będę na ciebie czekał. Dzięki temu będziemy mogli spędzić wspólnie kilka dni. Domek jest dobrze wyposażony choć odrobinę rustykalny, roztacza się z niego przepiękny widok na wyspę Shelter, po drugiej stronie zatoki. Rzecz jasna będziesz tam miała osobny pokój i będziemy zachowywać się przyzwoicie, zgodnie z zasadami savoir-vivre'u, chyba że, ma się rozumieć, okoliczności nakażą nam co innego.

Viola zachichotała w głos. Był taki staroświecki, a jednak mimo wszystko usiłował ją uwieść i wcale tego nie ukrywał. Propozycja, jaką jej przedstawił, nie była bynajmniej subtelna, ale na szczęście zrobił to taktownie, z odrobiną sarkastycznego humoru i to przypadło jej do gustu.

W ciągu trzech dni od Twego przyjazdu sprawa, nad którą pracuję, zostanie zamknięta. Wtedy też opuścimy nasze ustronie i znów powrócę między żywych (mam nadzieję) z Tobą u mego boku. Zanim wrócisz na Capraię, czekać Cię będzie niezapomniany tydzień obcowania z teatrem, muzyką i sztuką oraz rzecz jasna

odkrywanie niezliczonych uroków Nowego Jorku.

Raz jeszcze błagam Cię, Violu, nikomu o tym nie mów Odpowiedź prześlij proszę staroświeckim sposobem, telegraficznie, na poniższy adres:

A. Pendleton

Glower's Box Road 15

The Springs, Nowy Jork 10511

z podpisem – Anna Livia Plurabelle

Będę wielce rad, jeśli zechcesz przyjąć moje zaproszenie. Wiem, że zbywa mi trochę na wrażliwości i kwiecistość moich wypowiedzi pozostawia wiele do życzenia, ale cóż – taki już jestem. Wszelkie inne demonstracje moich uczuć pod Twoim adresem pozwolę sobie odłożyć na później, kiedy znów się spotkamy.

Szczerze oddany,

Aloysius

Viola znów się uśmiechnęła. Nieomal słyszała Pendergasta, który melodyjnym, acz surowym tonem wypowiada te wszystkie zdania. Anna Livia Plurabelle, dobre sobie; miło wiedzieć, że Pendergastowi nie były obce inteligentne literackie aluzje, w dodatku zahaczające o erotykę. To było coś nowego. Ten mężczyzna naprawdę wydawał się urzekający – nie mogła się już doczekać, kiedy znów go zobaczy Wzmianki o grożącym mu niebezpieczeństwie dodały jedynie smaczku tej niezwyklej przygodzie. Wciąż nie mogła się nadziwić, jak dobrze go znała, a przynajmniej tak się jej wydawało; bądź co bądź, spędzili razem tylko jedno popołudnie. Do tej pory nie wierzyła w bzdury w rodzaju pokrewieństwa dusz, miłości od pierwszego wejrzenia czy związków błogosławionych przez Opatrzność. Mimo to jednak...

Złożyła list i wyjęła drugą kartkę. To był telegram następującej treści:

Tak się cieszę, że przyjeżdżasz. Potwierdzam, że mój brat wyjedzie po ciebie na lotnisko. Wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję. Czule pozdrawiam. A.X.L.P.

Ostrożnie włożyła oba listy do torebki i upiła łyk szampana, powracając w myślach do spotkania na Caprai. Przypomniała sobie, jak rozrzucała gnój w winnicy, kiedy ujrzała mężczyznę w czarnym garniturze zmierzającego w jej stronę w towarzystwie amerykańskiego policjanta w cywilu, zwinnie przestępującego ponad plackami łajna. To był widok tak niezwykle, że niemal wybuchnęła śmiechem. Zawołali do niej, sądząc, że mają do czynienia z wieśniaczką pracującą na plantacji. A potem podeszli bliżej i po raz pierwszy ujrzała dziwne, lecz piękne zarazem oblicze Pendergasta. Uczucie, jakie temu towarzyszyło, było piorunujące i niespodziewane. Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego. Sądząc po jego wyrazie twarzy, on czuł dokładnie to samo, choć skrupulatnie starał się to ukrywać. To była krótka wizyta – godzina rozmowy przy kieliszku białego wina na tarasie z widokiem na morze – a jednak raz po raz wracała pamięcią do tamtego popołudnia, jakby wydarzyło się wówczas coś ważnego i doniosłego.

A potem ta druga wizyta – samego tylko D'Agosty, który ze zboląłą miną, potwornie przygnębiony przekazał jej wiadomość o śmierci Pendergasta. Aż do tej strasznej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czekała, aby znów zobaczyć się z agentem Pendergastem, i jak gorąco wierzyła, że człowiek ten już na stałe wkroczy w jej życie.

To był naprawdę straszny dzień. Jakże się ucieszyła, kiedy otrzymała ten list.

Uśmiechnęła się na myśl, że znowu go ujrzy. Uwielbiała intrygi. Nigdy nie cofała się przed wyzwaniem, jakie stawiało jej życie. Była osobą impulsywną, a przez swój wybuchowy charakter nieraz napytała sobie biedy, jednak dzięki niemu miała barwne i fascynujące życie. To tajemnicze zaproszenie wydawało się jakby żywcem wyjęte z kart starych romansów, którymi zaczytywała się jako nastolatka. Weekend w wiejskiej chatce na Long Island z mężczyzną, który fascynował ją jak żaden inny, a potem szalony tydzień uciech i atrakcji w Nowym Jorku. Jak mogłaby odmówić? Naturalnie wcale nie musiała iść z nim do łóżka – był wszakże dżentelmenem –

choć na samą myśl, że ta wizyta mogłaby przerodzić się w coś głębszego, poczuła żar przenikający całe ciało, a na jej policzkach wykwitły nagle rumieńce...

Dopiła szampana, który jak przystało na pierwszą klasę w samolocie, był po prostu wyborny. Czasami miała wyrzuty sumienia, że otacza się takim przepychem i wytwornością – to trąciło snobizmem i pychą, ale w trakcie długiego lotu transatlantyckiego stawiała przede wszystkim na komfort. Viola przywykła do trudów i wyrzeczeń podczas trwających całymi latami prac wykopaliskowych przy egipskich grobowcach, ale nie widziała większego sensu w umartwianiu się, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

Spojrzała na zegarek. Za cztery godziny z lekkim okładem wyląduje na lotnisku Kennedy'ego.

Spotkanie z bratem Pendergasta – Diogenesem powinno być interesujące. Można się wiele dowiedzieć o danej osobie, poznając wcześniej jej brata.

ROZDZIAŁ 39

D'Agosta podążał w ślad za ucharakteryzowanym na włóczęgę Pendergastem, gdy agent powłócząc nogami, skręcił za róg Dziewiątej Alei i wszedł w Dwunastą Małą Wschodnią. Była dziewiąta wieczór, od rzeki Hudsonu wiał porywisty zimny wiatr. Stara dzielnica przetwórci mięsa, wciśnięta w wąskie gardło na południe od Chelsea i na północ od Greenwich Village, zmieniła się, odkąd D'Agosta był tu po raz ostami przed wieloma laty. Obecnie wśród rzeźni i zakładów przetwórstwa mięsnego jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać modne restauracje, butiki i siedziby firm technologicznych. Nikt by się nie domyślił, że właśnie tutaj prowadził działalność najlepszy na świecie specjalista od tworzenia portretów psychologicznych. W połowie ulicy Pendergast zatrzymał się przed wielkim jedenastopiętrowym magazynem, który czasy świetności miał już za sobą. Okna z szybami wzmocnionymi drucianą siatką były aż czarne ze starości, a dolne piętra pokrywała gruba warstwa sadzy. Nie było tu żadnego szyldu, żadnej nazwy, niczego, co mogło sugerować istnienie jakiegokolwiek firmy, nie licząc zniszczonego przez deszcz i wiatr napisu wykonanego bezpośrednio na ceglany murze. Litery układały się w napis „price price pakownia wieprzowiny, spółka akcyjna”. Poniżej znajdowała się sporej wielkości brama dla ciężarówek dostawczych, zamknięta i zaryglowana, obok niej zaś mniejsze drzwi z pozbawionym jakiegokolwiek podpisu niedużym dzwonkiem.

Pendergast podeszedł tam i nacisnął dzwonek.

–Tak? – dobiegło natychmiast z głośnika tuż obok.

Pendergast wymamrotał coś i dał się słyszeć dźwięk odblokowywanego elektronicznego zamka. Za drzwiami znajdowało się nieduże białe pomieszczenie, puste, jeśli nie liczyć małej kamery umieszczonej wysoko na przeciwległej ścianie. Drzwi zamknęły się za nimi z cichym trzaskiem. Stali tam, wpatrując się w kamerę, przez trzydzieści sekund. A potem otworzyły się prawie niewidoczne drzwi w tylnej ścianie. Pendergast i D'Agosta poszli wzdłuż białego korytarza i znaleźli się w mrocznym, lecz zapierającym dech w piersiach pomieszczeniu.

Dolne poziomy magazynów zostały usunięte i powstała wolna przestrzeń wysokości pięciu pięter. Na parterze rozciągał się istny labirynt ekranów, monitorów, terminali komputerowych, najrozmaitszych sprzętów elektronicznych i naukowych oraz kilka skomplikowanych modeli i dioram. Wszystko bez wyjątku tonęło w półmroku. Uwagę D'Agosty zwrócił gigantyczny stół z ekspozycją przedstawiającą najwyraźniej model dna oceanicznego, gdzieś w okolicy Antarktydy, wykonany w przekroju pionowym, aby można było ukazać budowę geologiczną kolejnych warstw tamtejszego podłoża, oraz coś, co wyglądało jak osobiwy wulkan. Były tam jeszcze inne wspaniałe makiety przedstawiające między innymi okręt z tajemniczo wyglądającymi pojazdami głębinowymi, całą masą rozmaitego sprzętu naukowego i wojskowym uzbrojeniem.

Z głębokich cieni dobiegł ich głos. – Witajcie, panowie.

D'Agosta odwrócił się, spojrzął w ciemność i spostrzegł postać na wózku inwalidzkim wyłaniającą się pomiędzy dwóch rzędów stołów: mężczyzna miał krótko przystrzyżone brązowe włosy, wąskie usta i kanciastą szczękę. Nosił skromny, lecz dobrze skrojony czarny garnitur, a wózkem kierował za pomocą niewielkiego joysticka, którym manipulował dłonią przyobleczoną w czarną rękawiczkę. D'Agosta zdał sobie sprawę, że jedno oko mężczyzny musiało być szklane, gdyż w przeciwieństwie do drugiego brakowało w nim niesamowitego płomiennego błysku. Prawą stronę twarzy mężczyzny, od linii włosów aż po żuchwę przecinała fioletowa blizna wyglądająca jak rana odniesiona podczas pojedynku na szable.

–Jestem Eli Glinn – rzekł cichym, łagodnym i beznamiętnym tonem. – A panowie to, jak sądzę, porucznik D'Agosta i agent specjalny Pendergast. – Zatrzymał wózek i wyciągnął rękę na powitanie. – Witam w Efektywnych Rozwiązaniach Inżynieryjnych.

Przeszli za nim pomiędzy stołami, minęli niedużą cieplarnię, której lampy migotały dziwnie, po czym wsiedli do windy, by dojechać do kładki na poziomie trzeciego piętra. Idąc za wózkiem po wąskiej kładce, D'Agosta poczuł nagły przypływ wątpliwości. Efektywne Rozwiązania Inżynieryjne? Pan Eli Glinn? Nie doktor Glinn? Zastanawiał się, czy pomimo swych niezwykłych zdolności wyszukiwania różnych rzeczy Constance Green tym razem się nie pomyliła. Ten człowiek nie wyglądał jak konsultant w dziedzinie tworzenia profili psychologicznych, a w swojej karierze D'Agosta miał okazję poznać ich wielu.

Glinn obejrzał się przez ramię i otaksował zdrowym okiem D'Agostę od stóp do głów. – Może pan wyłączyć swoją krótkofalówkę i komórkę, poruczniku? W tym budynku zagłuszamy wszystkie częstotliwości radiowe i sygnały operatorów komórkowych.

Wprowadził ich do niedużej sali konferencyjnej wyłożonej boazerią z polakierowanego drewna, zamknął drzwi, po czym gestem zaprosił, by usiedli. Podjechał do stołu od strony, gdzie pomiędzy czarnymi krzesłami a la Herman Miller widniała luka przeznaczona najwyraźniej dla jego fotela. Na blacie przed nim leżała cienka koperta, prócz niej na stole nie było nic więcej.

Mężczyzna na wózku odchylił się lekko do tyłu i spojrzał badawczym wzrokiem na swoich gości.

–Pańskie żądanie jest dość niezwykle – powiedział.

–Mój problem jest dość niezwykły – odrzekł Pendergast.

Glinn obrzucił go przenikliwym spojrzeniem. – Muszę przyznać, że to przebranie wydaje się całkiem przekonujące, panie Pendergast.

–W rzeczy samej.

Glinn splótł palce dłoni. – Proszę opowiedzieć mi o naturze swego problemu.

Pendergast rozejrzał się wokół. – Proszę opowiedzieć mi o swojej firmie. Pytam o to dlatego, że to wszystko – zatoczył ręką szeroki łuk – nie wygląda jak biuro psychologa zajmującego się określaniem portretów psychologicznych.

Na ustach mężczyzny pojawił się grymas, który od biedy mógłby uchodzić za uśmiech, a który spowodował, że blizna na jego twarzy rozciągnęła się i zaogniła. – Lubię szczerą i otwartą. Firma Efektywne Rozwiązania Inżynieryjne zajmuje się rozwiązywaniem nietypowych problemów natury inżynieryjnej i przeprowadzaniem analiz potencjalnych problemów.

–O jakich problemach natury inżynieryjnej pan mówi? – spytał Pendergast.

–Jak zneutralizować podziemny reaktor atomowy w pewnym zbuntowanym państwie na Środkowym Wschodzie wykorzystywany do produkcji paliwa, które może później posłużyć do produkcji broni nuklearnej. Albo co się stało z wartym milion dolarów satelitą szpiegowskim, który zniknął w bliżej nieznanymi i zagadkowymi okolicznościami. Skinął palcem; ten gest, tak drobny, był w efekcie nader wymowny, jako że do tej pory mężczyzna siedział sztywno, w kompletnym bezruchu. – Mam nadzieję, że mi panowie wybaczą, iż nie będę wdawał się w szczegóły żadnej z tych spraw. Widzi pan, panie Pendergast, analiza niepowodzeń to druga strona monety zwanej inżynierią: sztuka ta polega na określeniu wszelkich potencjalnych niepowodzeń pewnych inwestycji, a tym samym możliwości zapobiegnięcia fiasku. Albo zrozumieniu przyczyny porażki już po fakcie. Z przykrością muszę stwierdzić, że ta druga opcja ma miejsce znacznie częściej niż pierwsza.

D'Agosta odezwał się. – Wciąż tego nie pojmuję. Co ma wspólnego analiza niepowodzeń z określaniem portretów psychologicznych?

–Zaraz do tego dojdę, poruczniku. Analiza niepowodzeń zaczyna się od profilu psychologicznego i kończy na nim. ERI już dawno temu pojęły, że kluczem do zrozumienia niepowodzenia jest pojęcie, w jaki sposób ludzie popełniają błędy. Co jest równoznaczne ze zrozumieniem podejmowania przez ludzi decyzji. Potrzeba nam umiejętności przewidywania tego, jak dana osoba zachowa się w konkretnej sytuacji. Opracowaliśmy w związku z tym specjalny system tworzenia profili psychologicznych. Dokonujemy ich na najnowocześniejszym superkomputerze IBM, najlepszym w tym kraju, a może nawet na całym świecie. Nasze profile psychologiczne są lepsze niż wszystkie inne, opracowane przez jakiegokolwiek znanego i uznanego specjalistę w tej dziedzinie. Nie mówię tego, aby zareklamować naszą firmę. Po prostu stwierdzam fakty.

Pendergast uniósł głowę. – To bardzo ciekawe. Jak to możliwe, że nigdy dotąd o was nie słyszałem?

–Nie zależy nam na popularności poza, ma się rozumieć, niewielką grupką klientów.

–Zanim zacniemy, muszę być pewien, że mogę liczyć na waszą dyskrecję.

–Panie Pendergast, ERI gwarantują dwie rzeczy. Po pierwsze absolutną dyskrecję. Po drugie sukces. A teraz proszę powiedzieć mi o pańskim problemie.

–Celem jest mężczyzna nazwiskiem Diogenes Pendergast, mój brat. Zniknął ponad dwadzieścia lat temu po zainscenizowaniu swojej rzekomej śmierci. Wydawało się, jakby zniknął z powierzchni ziemi, przynajmniej oficjalnie. Nie ma go w żadnej z rządowych baz danych, jeśli nie liczyć aktu zgonu, który o ile wiem, został sfalszowany. Brak jakichkolwiek informacji na jego temat, odkąd ukończył 21 lat. Żadnego adresu, zdjęcia, nie ma kompletnie nic – wyjął spod płaszcza grubą szarą kopertę i położył na stole. – Wszystko, co wiem, jest tutaj, w środku.

–Skąd pan wie, że on nadal żyje?

–Minionego lata spotkaliśmy się w nader niezwykłych okolicznościach. Informacje na ten temat znajdzie pan w tych dokumentach. To wszystko, a także dowody na to, że mój brat stał się seryjnym zabójcą.

Glinn powoli skinął głową.

–Od wczesnej młodości Diogenes pałał wobec mnie nienawiścią i postawił sobie za życiowy cel całkowite unicestwienie mnie. 19 stycznia tego roku jął w końcu realizować swój misterny plan. Zaczął od zabójstw moich przyjaciół i współpracowników, jednego po drugim, urągając mi przy tym, że nie jestem w stanie ich ochronić. Jak dotąd zamordował cztery osoby. W przypadku dwóch ostatnich przysłał mi liścik z nazwiskiem ofiary, za pierwszym razem prawdziwy, w drugim zaś przypadku jako wybieg, abym poczynił niezbędne kroki w celu ocalenia niewłaściwej osoby. Innymi słowy, poniosłem sromotną klęskę. Nie udało mi się ocalić żadnej z tych osób. Teraz mój brat twierdzi, że jego następnym celem będzie porucznik D'Agosta. Informacje o wspomnianych przeze mnie zabójstwach także znajdują się w tych aktach.

D'Agosta zauważył, że w zdrowym oku Glinna pojawił się błysk zaciekawienia, którego tam wcześniej nie było. – Jak inteligentny jest ten Diogenes?

–Jako dziecko został poddany testowi na inteligencję, który ukończył z wynikiem 210 IQ. Stało się to niestety już po jego chorobie, która na zawsze go odmieniła.

Brew Glinna uniosła się. – Czy mówimy o organicznym uszkodzeniu mózgu?

–Bynajmniej. Był dziwny, zanim jeszcze zapadł na szkarlatynę. Choroba najwyraźniej tylko go ukierunkowała, wydobywając z niego starannie dotąd skrywane skłonności.

–I dlatego właśnie jestem panu niezbędny. Potrzeba panu pełnej psychologicznej, kryminalnej i behawioralnej analizy tego mężczyzny. Ponieważ jest pan jego bratem, jako osoba będąca zbyt blisko niego, nie może pan dokonać tego sam.

–Zgadza się. Diogenes miał całe lata na opracowanie swojego planu. Przez cały czas wyprzedza mnie o trzy posunięcia. Na miejscach zbrodni nie pozostawia śladów, a w każdym razie nie robi tego przypadkiem. Jedyńm sposobem, aby go powstrzymać, jest przewidzenie jego kolejnego ruchu. Muszę dodać, że sytuacja jest wyjątkowa. Diogenes zapowiedział, że dokona zaplanowanej przez siebie zbrodni już jutro, 28 stycznia. Podał tę datę jako dzień wieńczący jego snute od wielu lat plany. Nie sposób stwierdzić, ile ludzkich istnień może narazić na niebezpieczeństwo.

Glinn zdrową ręką otworzył teczkę i zaczął kartkować akta, przepatrując kolejne strony.

–Nie jestem w stanie opracować profilu w ciągu dwudziestu czterech godzin.

–Musi pan.

–To niemożliwe. Najszybciej mogę go przygotować – zakładając, że rzucę wszelkie inne zajęcia i skupię się wyłącznie na tym jednym zadaniu – za siedemdziesiąt dwie godziny. Przyszedł pan do mnie za późno, panie Pendergast. A w każdym razie za późno, jeśli chodzi o datę podaną przez pańskiego brata. Może nie za późno

jednak, aby podjąć niezbędne działania już po dokonaniu przez niego kolejnego posunięcia.

Glinn dziwnie przekrzywił głowę i spojrzał na Pendergasta. Agent znieruchomiał na chwilę. – Dobrze, niech będzie – powiedział półgłosem.

–Nie traćmy zatem więcej czasu. – Glinn położył dłoń na leżącej przed nim cienkiej kopercie i przesunął ją po stole. – To jest nasza standardowa umowa. Moje honorarium wynosi milion dolarów

D'Agosta poderwał się z krzesła. – Milion dolarów? Czyś pan oszalał?

Pendergast uciszył go jednym ruchem ręki. – Zgoda. – Sięgnął po kopertę, otworzył ją i przejrzał pospiesznie.

–Na odwrocie – zaznaczył Glinn – znajdzie pan nasze standardowe zrzeczenia i gwarancje. Oferujemy absolutną, bezwarunkową gwarancję sukcesu.

–Wspomniał pan o tym już po raz drugi. Trochę to dziwnie zabrzmiało. Jak właściwie pojmuje pan słowo „sukces”, panie Glinn?

Na twarzy Glinna pojawił się kolejny widmowy uśmiezek. – Naturalnie, nie możemy zagwarantować, że schwyta pan Diogenesa. Podobnie jak nie możemy powstrzymać go przed zabiciem kolejnych osób. To leży w pańskich rękach. Nasze gwarancje dotyczą czegoś innego. Po pierwsze dostarczymy panu profil psychologiczny Diogenesa Pendergasta, który w pełni odda i wyjaśni motywy jego postępowania.

–Już je znam.

Glinn zignorował jego uwagę.

–Po drugie nasz profil psychologiczny będzie mieć moc przewidywania. Powiem panu, w ograniczonym zakresie, jakie będą kolejne posunięcia Diogenesa Pendergasta. Oferujemy również usługi dodatkowe. Gdyby chciał pan poznać przyszłe działania swojego celu, możemy przepuścić je przez nasz komputer i dostarczymy panu wiarygodnych odpowiedzi.

–Zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe w stosunku do jakiegokolwiek zwykłego człowieka, a co dopiero osobnika pokroju Diogenesa.

–Nie zamierzam wdawać się w dysputy filozoficzne, panie Pendergast. Ludzie są niezwykle przewidywalnymi istotami, dotyczy to zarówno psychopatycznych morderców, jak ich prababek. Zrobimy to, co obiecaliśmy.

–Czy kiedykolwiek poniósł pan porażkę?

–Nigdy. Jest co prawda jedno zlecenie, które powiedziałbym, nadal pozostaje otwarte, ale to w zasadzie wszystko.

–Chodzi o tę sprawę z bombą termojądrową?

Jeżeli Glinn był zdziwiony tym pytaniem, nie dał tego po sobie poznać. – O jakiej bombie pan mówi?

–O tej, której projekt opracowuje pan na dole. Zauważyłem na tablicy kilka równań dotyczących krzywej energii wiążącej. Na stoliku opodal leżały plany projektu specyficznego ładunku wybuchowego, który może zostać wykorzystany jedynie do kompresji rdzenia.

–Będę musiał pomówić z moim głównym inżynierem o nieostrożności, z jaką odnosi się wobec naszego drugiego projektu.

–Zauważyłem przy tym, że pracuje pan nad wytwarzaniem genetycznie zmodyfikowanego wirusa mozaikowego. Czy to także dotyczy wspomnianego przez pana drugiego projektu?

–Gwarantujemy innym naszym klientom taką samą klauzulę poufności, jaką oferujemy panu. Czy możemy

wrócić do tematu Diogenesa? A zwłaszcza do kwestii kierującego nim motywu.

–Jeszcze nie – rzekł Pendergast. – Nie zamierzam mówić po próżnicy Pańskie zachowanie, ruchy, sposób mówienia i wewnętrzne napięcie, panie Glinn, świadczą, że trawi pana jakaś niepohamowana obsesja. Zauważyłem też, o ile może o tym świadczyć blizna na pańskiej twarzy, że odniósł pan wszystkie obrażenia całkiem niedawno. Biorąc pod uwagę to wszystko, co ujrzałem na dole, coraz bardziej zaczyna mnie to wszystko niepokoić.

Brwi Glinna uniosły się. – Niepokoić? W jakim sensie?

–Niepokoi mnie, że człowiek taki jak pan, borykający się z problemem znacznie poważniejszym niż mój, nie będzie w stanie poświęcić mi całej swojej uwagi.

Glinn nie odpowiedział. Siedział w całkowitym bezruchu. Pendergast spojrział na niego z niewzruszoną powagą.

Minęła minuta, potem druga, żaden z mężczyzn nie odezwał się. Patrząc na ten niezwykle spektakl i czekając w milczeniu, D'Agosta poczuł w sobie narastający niepokój. Zupełnie jakby ci dwaj mężczyźni toczyli bezgłośny pojedynek rozgrywający się na całkiem innej płaszczyźnie.

Nagle, bez zbędnych wstępów Glinn znów przemówił tym samym spokojnym bezosobowym głosem. – Gdyby kiedykolwiek postanowił pan odejść z FBI, panie Pendergast, sądzę, że bez trudu znajdzie się tu dla pana miejsce. Nie ma mowy o żadnej obsesji z mojej strony, chodzi jedynie o proste wypełnienie przyjętego zlecenia, ma się rozumieć, z gwarancją całkowitego

sukcesu. Widzi pan, staramy się usatysfakcjonować nie tylko naszych klientów, lecz również nas samych. Zamierzam dokończyć ten drugi projekt, choć pierwotny klient nie zdoła już niestety docenić naszych wysiłków. Projekt ten wiąże się z poważną dyslokacją sejsmiczną pewnego miejsca na południowym Atlantyku, której nie da się przeprowadzić bez użycia ładunku nuklearnego. I to w zasadzie więcej, niż powinien pan wiedzieć. Prawdą jest, że przyjąłem pańskie drobne zlecenie głównie dlatego, iż potrzeba mi pilnie sporych funduszy. Jakkolwiek zaręczam, że poświęcę całą moją energię na wypełnienie jak należy pańskiego zlecenia, gdyż w razie niepowodzenia musiałbym zwrócić panu pieniądze, a co gorsza, byłoby to dla mnie osobiste upokorzenie. Ale jak już panu mówiłem, ERI nie popełniają błędów. Czy wyraziłem się jasno?

Pendergast skinął głową.

–A teraz wróćmy do motywu działania pańskiego brata, fundamentu jego nienawiści. Coś się wydarzyło między panem a nim, muszę wiedzieć co.

–Wszystko jest opisane w tych aktach. Od zawsze mnie nienawidził. Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę, było spalenie przeze mnie dzienników brata.

–Proszę mi o tym opowiedzieć.

–Ja miałem czternaście, a on dwanaście lat. Nigdy jakoś nie umieliśmy się dogadać. On zawsze był okrutny i dziwny... po tym jak zachorował na szkarlatynę, ten stan jeszcze się pogorszył.

–Kiedy to było?

–Kiedy miał siedem lat.

–Czy istnieją akta medyczne?

–Nie ma. Zajmował się nim nasz lekarz rodzinny

–Proszę mówić dalej.

–Któregoś dnia natknąłem się na jego dzienniki pełne najobrzydliwszych rzeczy, jakie kiedykolwiek przelano na papier – niewyobrażalne plugastwa, których żaden normalny umysł nie jest w stanie sobie wyobrazić. Pisał

Je od lat. Spaliłem je, i to była wspomniana przeze mnie ostatnia kropla. Kilka lat później spłonął nasz dom, rodzice zginęli w pożarze. Byłem wtedy w gimnazjum, ale Diogenes widział całe to zdarzenie, słyszał, jak wzywali pomocy. To sprawiło, że przekroczył granicę, na której od dawna niebezpiecznie balansował.

W kącikach ust Glinna pojawił się zimny uśmiezek. – Nie sądzę.

–Nie sądzi pan?

–Nie wątpię, że był o pana zazdrosny i że zniszczenie dzienników sprawiło go we wściekłość. Wydarzyło się to zbyt późno, aby mogło wywołać tak głęboką, patologiczną, obsesyjną nienawiść. Zapadnięcie na szkarlatynę także nie mogło wzbudzić w nim nienawiści ot tak, całkiem z niczego. Nie, panie Pendergast, ta nienawiść bierze się z czegoś innego, co wydarzyło się dużo wcześniej między panem a pańskim bratem. To jest informacja, której nam brakuje. A pan jest jedyną osobą, która może nam jej udzielić.

–Wszystko, co jest istotne, a co wydarzyło się między mną a moim bratem, znajduje się w tych aktach, łącznie ze szczegółami naszego niedawnego spotkania we Włoszech. Mogę pana zapewnić, że nie ma pojedynczego zdarzenia dotąd niezidentyfikowanego, które tłumaczyłoby jego nienawiść.

Glinn sięgnął po akta i zaczął je wertować. Minęły trzy minuty, potem pięć. Wreszcie Glinn odłożył teczkę. – Ma pan rację. Nie ma tu żadnych niepokojących wydarzeń, które mogłyby wywołać podobne reperkusje.

–Tak jak powiedziałem panu wcześniej.

–Całkiem możliwe, że spróbował pan je w sobie stłumić. Wyparł pan wspomnienie o nim.

–Niczego nie wyparłem. Mam wyjątkową pamięć, która sięga aż do pierwszych miesięcy mojego życia.

–Wobec tego celowo coś pan w sobie ukrywa.

Pendergast znieruchomiał. Głos Glinna, o ile to w ogóle możliwe, stał się jeszcze bardziej bezosobowy – Nie możemy zacząć działać bez tej informacji. Potrzebuję jej i to już, teraz, zaraz. Spojrzał na zegarek.

–Wezwę kilku spośród moich zaufanych współpracowników. Zjawią się tu w ciągu godziny. Za tymi drzwiami z tyłu, panie Pendergast, jest nieduży pokój z pojedynczym łóżkiem. Proszę się rozgościć i czekać na dalsze instrukcje. Poruczniku; pańska dalsza obecność tu jest całkowicie zbędna.

D'Agosta spojrział na Pendergasta. Po raz pierwszy, odkąd go poznał, na twarzy agenta malował się wyraz zaniepokojenia.

–Nigdzie stąd nie pójde – rzucił ostentacyjnie D'Agosta rozdrażniony arogancją Glinna.

Pendergast uśmiechnął się pod nosem. – Wszystko w porządku, Vincencie, mimo iż nie podoba mi się pomysł z grzebaniem w mojej przeszłości w poszukiwaniu czegoś, czego najprawdopodobniej nie było, zdaję sobie sprawę, iż jest to konieczne. Spotkamy się w umówionym miejscu, o ustalonej porze.

–Na pewno? Pendergast skinął głową. – Pamiętaj o jednym. Diogenes podał twoje nazwisko, wybierając ciebie jako swoją następną ofiarę. Do 28 stycznia zostały zaledwie trzy godziny. Miej się na baczności, Vincencie. Przez cały czas bądź nadludzko czujny.

ROZDZIAŁ 40

Laura Hayward krążyła po niewielkim pokoju jak zamknięta w klatce lwica, raz po raz zerkając na szpetny zegar za biurkiem. Czuła, że jeżeli nie spożytkuje wywołanej zdenerwowaniem energii, to eksploduje. A skoro nie mogła opuścić gabinetu, pozostało jej tylko krążyć z kąta w kąt.

Niemal przez cały wieczór gromadziła dowody zebrane na miejscu zabójstw Duchampa i Green i rozpoczęła skrupulatną analizę porównawczą z dowodami, które wyprosiła, wyślugała i wyrwała od policji z Nowego Orleanu i Waszyngtonu. Oczyszczyła korkową tablicę z informacji na temat innych zabójstw i podzieliła je na cztery działy – każdy dotyczył odrębnego morderstwa: profesora Torrence'a Hamiltona, 19 stycznia; Charlesa Duchampa, 22 stycznia; agenta specjalnego Michaela Deckera, 23 stycznia i doktor Margo Green, 26 stycznia. Znalazły się tu mikroskopowe zdjęcia włókien, włosów, węzłów i odcisków stóp, skróty z raportów koronera, analizy rozbryzgów krwi, fotografie narzędzi i miejsc zbrodni, raporty z daktyloskopii, wykresy ukazujące rany wlotowe i wylotowe w przypadkach, gdy zostało to ustalone, a także cała masa innych, mniej lub bardziej istotnych dowodów. Poszczególne materiały połączone były pinezkami z nitkami w kolorach czerwonym, żółtym, zielonym i niebieskim. Zebrało się ich mnóstwo i choć modus operandi w każdym z tych zabójstw był inny, Hayward miała przeczucie, że wszystkie one były dziełem jednego i tego samego człowieka.

To nie ulegało wątpliwości.

Na środku jej biurka leżała cienka teczka z raportem przyniesionym właśnie przez czołowego policyjnego eksperta od określania profilu psychologicznego przestępców. Potwierdził on, że zabójstwa te wydają się całkiem logiczne i przemyślane i mogły zostać popełnione przez jednego sprawcę. Co więcej, przygotował portret psychologiczny zabójcy. Było to co najmniej zaskakujące.

W Waszyngtonie i Nowym Orleanie jeszcze o tym nie wiedzieli; nie wiedzieli o tym FBI, Singleton ani Rocker, ale mieli do czynienia z seryjnym zabójcą. Skrupulatnym, drobiazgowym, inteligentnym, metodycznym, wyrachowanym i kompletnie szurniętym seryjnym zabójcą.

Hayward przeszła kilka kroków, zawróciła i ruszyła w przeciwną stronę. Kiedy tylko pokaże Rockerowi, że zdołała połączyć te wszystkie sprawy, rozpęta się piekło. FBI, już i tak zaangażowane w śledztwo z uwagi na zabójstwo Deckera, zwali się im na głowy jak ściana wyburzanego domu. To będzie prawdziwa sensacja, seryjni zabójcy zawsze trafiali na pierwsze strony najpoczytniejszych gazet. Zwłaszcza seryjny morderca, o jakim nigdy dotąd nie słyszano. Takiego jak ten jeszcze do tej pory nie było. Oczyma wyobraźni widziała już krzykliwe nagłówki na pierwszej stronie „Post”. W całą sprawę zostanie wmieszany burmistrz, a może nawet gubernator. To będzie piekło. Prawdziwe piekło. Coś, czego dotąd nie doświadczyli.

Nie mogła jednak skontaktować się z Rockerem, dopóki nie zdobędzie ostatecznego dowodu, ostatniego elementu układanki. Dymiącej spluwy. W przeciwnym razie to ona poniosłaby wszelkie konsekwencje; przełożeni i opinia publiczna nie zostawiliby na niej suchej nitki. Polityczne reperkusje byłyby niewyobrażalne.

Musiła zadbać, aby zgromadzić wszelkie niezbędne dowody, tylko w ten sposób mogła ocalić własny tyłek.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i Hayward znieruchomiała w pół kroku. – Proszę – rzuciła głośno.

Do gabinetu zajrzał mężczyzna trzymający w ręku dużą szarą kopertę.

–Gdzieś ty się podziewał? Powinnam dostać ten raport już dwie godziny temu!

–Przepraszam – wykrztusił mężczyzna i niepewnie wszedł do gabinetu. – Jak już wspomniałem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, musieliśmy przeprowadzić analizę trzykrotnie, gdyż...

–Nieważne. Proszę o raport. To wszystko. Równocześnie wyciągnął rękę z kopertą do przodu, jakby się obawiał, że kapitan może go ugryźć.

–Ustalono zgodność próbek DNA? – zapytała, odbierając od niego raport.

–Tak, mamy idealnie zgodną parę próbek krwi z noża introligatorskiego i kałuży na podłodze. Obie pochodzą od tej samej osoby i wcale nie od ofiary Ale jest jeden problem: tego DNA nie było w żadnej należącej do FBI bazie danych z informacjami o przestępcach, zarówno dorosłych, jak i nieletnich, toteż tak jak pani prosiła, przepuściliśmy próbkę przez wszystkie dostępne bazy danych zawierające tego rodzaju informacje. Kiedy w końcu natrafiliśmy na zgodność, pojawiły się problemy, dane były utajnione w archiwach federalnych i... no cóż... – zawahał się.

–Mów dalej – powiedziała Hayward, siłąc się na łagodny ton.

–Powtórzyłem tę analizę trzykrotnie, ponieważ chciałem mieć absolutną pewność, co do zgodności próbek. To prawdziwa bomba, pani kapitan. Nie możemy pozwolić sobie na pomyłkę.

–No i? – Hayward prawie nie mogła oddychać.

–Nie uwierzy pani. Analiza porównawcza wykazała, że ta próbka DNA pochodzi od jednego z najlepszych agentów Federalnego Biura Śledczego.

–Wierzę – wykrzyknęła Hayward. – Jak mi Bóg miły, wierzę.

ROZDZIAŁ 41

Eli Glinn czekał w niewielkim prywatnym gabinecie na trzecim piętrze siedziby Efektywnych Rozwiązań Inżynieryjnych. Wnętrze urządzone było po spartańsku, był tam tylko stół, kilka komputerów, nieduży regał i zegar. Ściany pomalowane na szaro, a z rzeczy osobistych dostrzec można było tylko małe zdjęcie przedstawiające atrakcyjną blondynkę w mundurze kapitańskim, stojącą na mostku tankowca, machającą radośnie. Poniżej widniał odręcznie napisany cytat z wiersza W.H. Audena.

Światło w gabinecie zgaszono, jedyny blask pochodził z płaskiego ekranu wielkiego monitora połączanego z kamerą cyfrową umieszczoną w biurze, w piwnicy ERI. Na ekranie widać było dwie osoby: pacjenta Pendergasta i eksperta ERI, psychologa Rolfa Krasnera, który przygotowywał pacjenta do przesłuchania.

Glinn z zaciekawieniem przypatrywał się szczupłej sylwetce Pendergasta. Jego wnikliwe zdolności obserwacji i trafne uwagi natury psychologicznej oraz umiejętność wysnuwania wniosków na podstawie pozornie z sobą niezwiązanych szczegółów rozrzuconych w różnych częściach magazynu nieomal wytrąciły Glinna z równowagi i zaimponowały mu.

Gdy tak obserwował przebieg przygotowań, nie włączając dźwięku, ponownie skupił swą uwagę na zawartości teczki, którą otrzymał od Pendergasta. Choć mało istotna, w porównaniu z naprawdę ważnymi problemami sprawa Pendergasta była na swój sposób interesująca. Po pierwsze pomiędzy tymi niezwykleymi braćmi zachodziły relacje przywodzące na myśl biblijny konflikt między Kainem i Ablem. A Pendergast był sam w sobie niezwykle, Glinn nigdy dotąd nie spotkał człowieka, którego mógłby uważać za równego sobie pod względem intelektualnym. Glinn zawsze czuł się do pewnego stopnia wyalienowany ze społeczeństwa i oto natknął się wreszcie na człowieka, z którym mógł się w tych plugawych czasach identyfikować. To, że brat Pendergasta wydawał się jeszcze bardziej inteligentny i do cna przesiąknięty złem, zaintrygowało i zafrapowało Glinna. Ten człowiek był przeżarty nienawiścią do tego stopnia, że poświęcił całe życie przedmiotowi swojej nienawiści, podobnie jak mężczyzna ogarnięty obsesyjną miłością. Cokolwiek kryło się na dnie owej nienawiści, mogło być rzeczą niezwykle i niespotykaną z punktu widzenia ludzkich doznań emocjonalnych.

Glinn ponownie skierował wzrok na monitor. Pogawędka dobiegła końca, Rolf Krasner zabierał się do pracy. Psycholog ERI łączył rozbijającą przyjazną atmosferę z wyrafinowanym profesjonalizmem. Trudno było uwierzyć, że ten radosny mężczyzna o puciołowatej twarzy i z charakterystycznym wiedeńskim akcentem mógł stanowić dla kogokolwiek zagrożenie. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie całkiem niegroźnego – dopóki nie ujrzało się go w akcji. Glinn wiedział, jak efektywna potrafiła być strategia Jekyll-Hyde wobec niczego niespodziewającego się pacjenta.

Z drugiej strony Krasner nigdy dotąd nie miał do czynienia z kimś takim.

Glinn sięgnął ręką i włączył przycisk „audio”.

–Panie Pendergast – powiedział radośnie Krasner – czy zanim zaczniemy, mogę panu jeszcze coś zaproponować? Może szklankę wody? Albo napoju gazowanego? Podwójne martini? – Chichot.

–Nie, dziękuję.

Pendergast sprawiał wrażenie spokojnego i wyciszonego, dokładnie jak można się było tego spodziewać. ERI opracowała trzy różne metody przesłuchania, każdą odpowiadającą innemu typowi osobowości, oraz czwartą, eksperymentalną, do zastosowania wobec najtwardszych, najbardziej opornych i inteligentnych pacjentów. Kiedy przeglądali akta Pendergasta i debatowali nad obecną sprawą, nie mieli wątpliwości, która z metod zostanie wykorzystana w tym przypadku.

Pendergast będzie zaledwie szóstą osobą poddaną przesłuchaniu czwartego typu. Jak dotąd ta metoda okazała się w stu procentach skuteczna.

–Wykorzystujemy niektóre z technik dobrej, staroświeckiej psychoanalizy – rzekł Krasner. – W związku z tym poprosimy pana o położenie się na kozetce, dzięki czemu nie będzie mógł pan patrzeć na osobę prowadzącą wywiad. Czy zechciałby pan spocząć wygodnie?

Postać położyła się na kozetce i złączyła blade dłonie na piersiach. Gdyby nie łachmany, które miał na sobie, do złudzenia przypominałby nieboszczyka. To doprawdy fascynujący człowiek, pomyślał Glinn, podjeżdżając wózkiem w stronę monitora.

–Czy rozpoznaje pan gabinet, w którym się znajdujemy, panie Pendergast? – spytał Krasner, krzątając się dokoła i przygotowując wszystko do mającej się zaraz rozpocząć sesji.

–Owszem. To Berggasse 19.

–Zgadza się. Dokładna kopia wiedeńskiego gabinetu Zygmunta Freuda. Udało się nam nawet zdobyć niektóre z jego afrykańskich rzeźb. Perski dywan na podłodze także należał do niego. Freud mówił o swoim gabinecie gemutlich, co znaczy miły, wygodny albo przytulny. Czy mówi pan po niemiecku, panie Pendergast?

–Z żalem muszę przyznać, że niemiecki nie jest jednym z języków, którymi władam. Nie wątpię, że lektura Fausta Goethego w oryginale sprawiłaby mi wiele przyjemności.

–To cudowne dzieło, pełne werwy, lecz zarazem poetyckie. – Krasner usiadł na drewnianym stołku, poza zasięgiem wzroku Pendergasta.

–Czy w stosowanej przez pana metodzie psychoanalizy znajdują się również wolne skojarzenia? – zapytał oschle Pendergast.

–O nie! Opracowaliśmy własną metodę. Jest bardzo bezpośrednia, żadnych sztuczek czy interpretacji snów. Jedynym freudowskim elementem jest wystrój gabinetu. – Znów zachichotał.

Glinn uśmiechnął się mimowolnie. Przesłuchanie czwartego rodzaju nie było pozbawione pewnych sztuczek, ale rzecz jasna pacjent nie powinien się w tym zorientować. Teoretycznie czwarty rodzaj przesłuchania wydawał się uproszczony do granic możliwości, ale były to tylko pozory. Osoby odznaczające się wybitną inteligencją można było oszukać, aczkolwiek wymagało to wyjątkowej subtelności, wyczucia i ostrożności.

–Zamierzam pomóc panu dzięki prostej technice wizualnej, z którą łączyć się będzie zadawanie pytań. Czy to ci odpowiada, Aloysiusie? Czy mogę ci mówić po imieniu?

–Może pan i jestem do pańskiej dyspozycji, doktorze Krasner. Martwi mnie tylko, że nie będę w stanie udzielić panu żadnych informacji, ponieważ nie przypuszczam, abym nimi dysponował.

–Proszę się o to nie martwić. Proszę się zrelaksować, wykonywać moje polecenia i możliwie jak najpełniej odpowiadać na zadawane pytania.

Zrelaksować się. Glinn wiedział, że będzie to ostatnia rzecz, do jakiej będzie zdolny Pendergast, kiedy Krasner rozpocznie sesję.

–Wspaniale. Teraz zgaszę światło. Proszę cię również, abyś zamknął oczy.

–Jak pan sobie życzy

Światła przygasły, pozostała jedynie słaba rozmyta poświata.

–Teraz odczekamy trzy minuty w całkowitym milczeniu – rzekł Krasner.

Minuty wlokły się niemiłosiernie.

–Zaczynamy – głos Krasnera zmienił się w aksamitny, miękki szept. Kolejna długa cisza, po czym znów dał się słyszeć głos psychologa. – Powoli nabierz powietrza. Zatrzymaj je. A teraz wolno, bardzo wolno wypuść. Jeszcze raz. Wdech. Zatrzymaj. Wydech. Rozluźnij się. Tak. Doskonale. A teraz chciałbym, abyś wyobraził sobie siebie w ulubionym miejscu na świecie. Masz minutę, żeby się tam przenieść. Potem odwróć się, rozejrzyj się wokoło, przyjrzyj się otoczeniu. Poczuj zapach powietrza. Chłoń wszystkie wonie i dźwięki. A teraz powiedz mi: Co widzisz?

Krótką chwilą ciszy. Glinn nachylił się jeszcze bliżej w stronę monitora.

–Stoję na rozległym zielonym trawniku na skraju starego bukowego lasu. Na drugim końcu tego trawnika stoi letni domek. Na zachód stąd, nad potokiem są olbrzymie ogrody i młyn wodny. Trawnik ciągnie się w stronę kamiennej rezydencji skrytej w cieniu wiązków.

–Co to za miejsce?

–Ravenscry. Rezydencja mojej stryjecznej babki Corneli.

–Jaki jest rok i pora roku?

–1972, idy sierpniowe.

–Ile masz lat?

–Dwanaście.

–Nabierz jeszcze raz powietrza. Jaki czujesz zapach?

–Aromat świeżo skoszonej trawy przesycony znacznie słabszym zapachem piwonii z ogrodu.

–Jakie słyszysz dźwięki?

–Zew lelków. Szelest bukowych liści. Szum wody w oddali.

–Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz chcę, żebyś wstał. Oderwij się od ziemi i unieś w powietrze... Poruszając się w powietrzu, spójrz w dół. Czy widzisz z góry trawnik i dom.

–Tak.

–Teraz unieś się jeszcze wyżej. Na wysokość stu stóp. Dwustu. Jeszcze raz spójrz w dół. Co widzisz?

–Olbrzymi dom, powozownię, ogrody, trawniki, młyn wodny, wylęgarnię pstrągów, arboretum, cieplarnię, bukowy las i podjazd wiodący do bramy w kamiennym murze. Mur otacza całą rezydencję.

–A co jest dalej?

–Droga do Haddamu.

–Teraz niech się stanie noc.

–Jest noc.

–Niech się stanie dzień.

–Jest dzień.

–Czy rozumiesz, że to ty masz nad wszystkim kontrolę, że wszystko rozgrywa się wyłącznie w twojej głowie i że nic z tego nie dzieje się naprawdę?

–Tak.

–Nie wolno ci o tym zapomnieć. To ty nad wszystkim panujesz i nic z tego, co się dzieje, nie jest prawdziwe. Wszystko rozgrywa się w twoim umyśle.

–Rozumiem.

–Poniżej, na trawniku umieść członków swojej rodziny. Kim są? Wymień ich imiona, bardzo proszę.

–Mój ojciec Linnaeus. Moja matka Isabella. Moja stryjeczna babka Cornelia. Z boku pracuje ogrodnik Cyril...

Zapadła długa cisza.

–Ktoś jeszcze?

–Mój brat Diogenes.

–Ile ma lat?

–Dziesięć.

–Co oni wszyscy robią?

–Stoją w wyznaczonych przeze mnie miejscach. – Głos był oschły, odrobinę ironiczny.

Glinn miał świadomość, że Pendergast podchodził do tego wszystkiego z nutą ironii i postara się zachować tę postawę możliwie jak najdłużej.

–Kaź im zająć się tym, co robili zazwyczaj – ciągnął gładko Krasner. – Co robią teraz?

–Kończą herbatę, siedząc na kocu rozłożonym na trawniku.

–Chciałbym, abys spłynął trochę niżej. Powoli. Dołącz do nich.

–Jestem.

–Co konkretnie robisz?

–Wypiłem herbatę, jak wszyscy, a stryjeczna babka Cornelia częstuje nas herbatnikami rozłożonymi na wielkim talerzu. To ptifurki. Przywiozła je aż z Nowego Orleanu.

–Czy są smaczne?

–Oczywiście. Stryjeczna babka Cornelia lubi tylko to, co najlepsze. – Ton głosu Pendergasta ociekał ironią, a Glinn zaczął się zastanawiać, kim mogła być wspomniana stryjeczna babka Cornelia. Spojrzał na jeden z załączników w aktach Pendergasta, przejrzał go pospiesznie i poznał odpowiedź na dręczące go pytanie. Lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach. Błyskawicznie zamknął teczkę; w chwili obecnej zawartość akt tylko go rozpraszała.

–Jaką herbatę wypieś? – spytał Krasner.

–Stryjeczna babka Cornelia pija wyłącznie T.G. Tipsa, którą przysyłają jej z Anglii.

–Rozejrzyj się wokoło. Przypatrz się wszystkim. Wódź wzrokiem, dopóki nie zobaczysz Diogenesa.

Długa cisza.

–Jak wygląda Diogenes?

–Jest wysoki jak na swój wiek, ma bardzo krótkie włosy i oczy w dwóch różnych kolorach. Jest bardzo chudy, a jego usta wydają się trochę za bardzo czerwone.

–Te oczy, spójrz w nie. Czy i one patrzą na ciebie?

–Nie. Odwrócił głowę. Nie lubi, gdy się na niego patrzy.

–Patrz na niego. Przypatruj mu się z uwagą. Dłuższa chwila ciszy – Odwróciłem wzrok.

–Nie. Pamiętaj, że to ty nad wszystkim panujesz. Patrz na niego.

–Nie chcę.

–Odezwij się do brata. Powiedz, żeby wstał, bo chcesz porozmawiać z nim na osobności.

Jeszcze jedna, dłuższa chwila ciszy. – Załatwione.

–Powiedz, żeby poszedł z tobą do letniego domku.

–Odmawia.

–Nie może odmówić. To ty go kontrolujesz.

Nawet przez monitor Glinn zdołał dostrzec kropelki potu perlące się na czole Pendergasta. Zaczyna się, pomyślał.

–Powiedz Diogenesowi, że w letnim domku czeka na niego mężczyzna, który chciałby wam zadać kilka pytań. Doktor Krasner. Powiedz mu to.

–Tak. Pójdzie, aby spotkać się z tym doktorem. To go zaciekało. On już tak ma.

–Przepróście wszystkich i udajcie się do letniego domku. Tam, gdzie na was czekam.

–W porządku.

Krótką ciszą. – Jesteście już?

–Tak.

–To dobrze. Co teraz widzisz?

–Jesteśmy w środku. Mój brat stoi obok, podobnie jak pan, i ja też tu jestem.

–Dobrze. Będziemy tak stali. A teraz zadam twojemu bratu i tobie kilka pytań. Będziesz przekazywać mi odpowiedzi brata na moje pytania, jako że on nie może niestety przemówić do mnie bezpośrednio.

–Skoro pan nalega – rzekł Pendergast, a w jego głosie znów zabrzmiała nuta ironii.

–To ty kontrolujesz sytuację, Aloysiusie. Diogenes nie może unikać odpowiedzi, gdyż w rzeczywistości to ty odpowiadasz za niego. Jesteś gotowy?

–Tak.

–Kaź Diogenesowi, aby na ciebie spojrział. Niech na ciebie patrzy.

–Nie chce.

–Zmusz go. Zrób to w myślach, nakłoń go, aby to zrobił. Cisza. – W porządku.

–Diogenesie, mówię teraz do ciebie. Jakie jest pierwsze wspomnienie związane z twoim starszym bratem, Aloysiusem?

–Mówi, że pamięta, jak rysuję obrazek.

–Co jest na tym obrazku?

–Bazgroły.

–Ile masz lat, Diogenesie?

–Mówi, że sześć miesięcy.

–Zapytaj Diogenesa, co o tobie myśli.

–Uważa mnie za następnego Jacksona Pollocka.

Znów ten ironiczny ton, pomyślał Glinn. Ten klient był wyjątkowo oporny.

–To nie jest myśl, jaką mogłoby wyrazić półroczne dziecko.

–Diogenes odpowiada jako dziesięcioletek, doktorze Krasner.

–Świetnie. Każ Diogenesowi, aby nadal na ciebie patrzył. Co widzi?

–Mówi, że nic.

–Jak to nic? Nic nie mówi?

–Mówi. Odpowiedział, że nic. Takiego właśnie użył słowa: Nic.

–Co ma na myśli, mówiąc „nic”?

–Odpowiedział: nie widzę nic, czego by tam nie było, i nic, co tam jest.

–Słucham?

–To cytat z Wallace'a Stevensa – odrzekł oschłym tonem Pendergast. – Nawet jako dziesięcioletek Diogenes przepadał za Stevensem.

–Diogenesie, kiedy mówisz „nic”, czy to oznacza, że uważasz swego brata Aloysiusa za coś, co nie istnieje?

–Śmieje się i mówi, że pan to powiedział, a nie on.

–Dlaczego?

–Śmieje się jeszcze bardziej.

–Jak długo pozostaniesz w Ravenscry, Diogenesie?

–Mówi, że do czasu, kiedy będzie musiał wrócić do szkoły

–Czyli gdzie?

–Do świętego Ignacego Loyoli przy ulicy Lafayette w Nowym Orleanie.

–Czy lubisz szkołę, Diogenesie?

–Mówi, że czuje się wówczas, jakby zamknięto go pod przymusem w jednym pomieszczeniu z dwudziestoma pięcioma półgłówkami i histerykiem w średnim wieku. Jak można lubić coś takiego.

–Jaki przedmiot lubisz najbardziej?

–Odpowiada, że biologię eksperymentalną... zwłaszcza na boisku.

–A teraz, Aloysiusie, chciałbym, abyś ty zadał Diogenesowi trzy pytania, na które musi odpowiedzieć. Zmusz go, aby na nie odpowiedział. Nie może odmówić. Pamiętaj, że to ty kontrolujesz sytuację. Czy jesteś gotowy?

–Tak.

–Jaka jest twoja ulubiona potrawa, Diogenesie?

–Piołun i żółć.

–Żądam konkretnej odpowiedzi.

–To jedyne, czego nie może pan oczekiwać od Diogenesa -rzekł Pendergast.

–Pamiętaj, Aloysiusie, że tak naprawdę, to ty odpowiadasz na wszystkie pytania.

–Dodam tylko, że z ogromnym wahaniem – powiedział Pendergast. – Robię, co w mojej mocy, by stłumić w sobie niewiarę, i nieufność.

Glinn rozsiadł się wygodnie na swoim wózku. Nie tak to miało wyglądać. Klienci stawiali opór, niektórzy nawet bardzo zacięty, ale nigdy dotąd nie spotkał się z czymś takim. Ironia stanowiła ostatni szaniec oporu. Do tej pory nie miał do czynienia z równie wprawną i wytrawną obroną. Glinn poczuł, jak przeszywa go dreszcz, miał wrażenie, jakby patrząc na Pendergasta, widział samego siebie. Pendergast był człowiekiem nadświadomym, jeżeli chodziło o niego samego. Nie potrafił wyjść poza sztywne ramy, które sam sobie wyznaczył, nie był w stanie przekroczyć pewnych granic ani choćby na chwilę zdjąć maski, jaką nosił, by odgrodzić się od otaczającego świata.

Glinn potrafił zrozumieć kogoś takiego.

–W porządku. Aloysiusie, nadal jesteś z Diogenesem w letnim domku. Wyobraź sobie, że trzymasz w ręku nabyty pistolet.

–Tak.

Glinn wyprostował się na wózku. To, co usłyszał, trochę go zdziwiło. Krasner przeszedł właśnie do fazy drugiej – i zrobił to bardzo gwałtownie. Najwyraźniej on również zdał sobie sprawę, że tę sesję trzeba było poprowadzić niekonwencjonalnie.

–Jaka to broń?

–Pistolet z mojej kolekcji, signature grade 1911, kaliber 45 ACP, dzieło Hiltona Yama.

–Podaj pistolet bratu.

–Czy nie sądzi pan, że to niezbyt rozsądne oddawać naładowany pistolet dziesięciolatkowi? – Znów ten ironiczny, drwiący, przepelniony rozbawieniem ton głosu.

–Mimo wszystko zrób to.

–Zrobione.

–Kaź mu, aby wycelował do ciebie i nacisnął spust.

–Zrobione.

–I co się stało?

–Wybuchnął śmiechem. Nie pociągnął za spust.

–A to dlaczego?

–Mówi, że jeszcze za wcześnie.

–Czy on zamierza cię zabić?

–Oczywiście. Ale chce... Nie dokończył. Krasner poszedł za ciosem. – Czego on chce?

–Chce trochę się ze mną pobawić.

–Jak miałyby wyglądać ta zabawa?

–Mówi, że chciałby pourywać mi skrzydełka i zobaczyć, co się wtedy stanie. Twierdzi, że jestem jego owadem ostatecznym.

–Dlaczego?

–Nie wiem.

–Zapytaj go.

–Śmieje się.

–Złap go i zażądaj, by odpowiedział.

–Wolałbym go nie dotykać.

–Złap go. Wejdz z nim w kontakt fizyczny. Zmusz go, aby odpowiedział.

–Wciąż tylko się śmieje.

–Uderz go.

–Niech pan się nie wygłupia.

–Uderz go.

–Mam już dość tych gierek.

–Odbierz mu broń.

–Upuścił pistolet, ale...

–Podnieś go.

–W porządku.

–Wyceluj do niego. Zastrzel go. Zabij brata.

–To jakiś absurd...

–Zabij go. Zrób to. Zabijałeś już wcześniej, wiesz, jak to się robi. Możesz i musisz to zrobić.

Długa cisza.

–Zrobiłeś to?

–To głupie ćwiczenie, doktorze Krasner.

–Ale wyobraziłeś to sobie. Zrobiłeś to, prawda? Wyobraziłeś sobie, że go zabijasz.

–Niczego takiego sobie nie wyobraziłem.

–Owszem tak. Zabiłeś go. Wyobraziłeś to sobie. A teraz wyobrażasz sobie, że widzisz jego martwe ciało leżące na ziemi. Widzisz je, bo nie masz innego wyjścia. Musisz je zobaczyć, więc je widzisz.

–To... – Pendergast urwał nagle.

–Widzisz je... Nic nie możesz na to poradzić. Widzisz je, bo tak ci każe. Bo chcę, abys je zobaczył... Ale, ale, poczekaj, on wcale nie umarł... Poruszył się, jeszcze żyje... Rusza się... Chce coś powiedzieć. Resztką sił przywołuje cię do siebie, mówi coś. Co powiedział?

Długa cisza. W końcu Pendergast odparł oschłym tonem. – Qualis artifex pereo.

Glinn skrzywił się. Rozpoznał ten cytat. Niestety w przeciwieństwie do Krasnera. To, co miało stać się dla

Pendergasta punktem przełomowym, przerodziło się nagle w intelektualną rozgrywkę.

–Co to znaczy?

–To z łaciny

–Powtarzam: co to znaczy?

–W dosłownym tłumaczeniu: O, jakież artysta umiera wraz ze mną!

–Dlaczego to powiedział?

–Tak brzmiały ostatnie słowa Nerona. Sądzę, że Diogenes użył ich żartobliwie.

–Zabiłeś swego brata, Aloysiusie, a teraz przyjrzyj się jego ciału.

Pełne irytacji westchnienie.

–Zrobiłeś to już po raz drugi.

–Po raz drugi?

–Już go zabiłeś, wiele lat temu.

–Słucham?

–Właśnie tak. Zrobiłeś to. Zabiłeś w nim wszystko, co dobre, pozostawiłeś jedynie pustą skorupę zawierającą nienawiść i zło. Zrobiłeś mu coś, co uśmierciło jego duszę!

Glinn zdał sobie sprawę, że mimowolnie wstrzymał oddech. Łagodne, kojące tony poszły w niepamięć. Doktor Krasner znów z niesamowitą wprawą, bardzo gładko, błyskawicznie przeszedł do fazy trzeciej.

–Niczego takiego nie zrobiłem. On już się taki urodził. Pusty i okrutny.

–Nie. To ty zabiłeś w nim całą dobroć. Nie ma innej możliwości. Odpowiedzi nasuwają się same. Nie rozumiesz tego, Aloysiusie? Diogenes darzy cię nienawiścią, która wydaje się wręcz mityczna w swoim bezmiarze. Nie mogła się wziąć z niczego. Energii nie można stworzyć ani unicestwić. To ty wywołałeś tę nienawiść, zrobiłeś coś, co rozdarło mu serce. Przez te wszystkie lata wypierałeś z siebie wspomnienie tego przerażającego czynu. A teraz znów go zabiłeś, dosłownie i w przenośni. Musisz stawić czoło świadomości, że to ty, Aloysiusie, jesteś winien tego, co cię spotkało. Zawdzięczasz to wyłącznie sobie. Ty to zrobiłeś. To twoja wina.

Kolejna długa chwila ciszy Pendergast leżał w całkowitym bezruchu na kozetce, jego skóra wydawała się szara i błyszcząca, jakby była z wosku.

–Teraz Diogenes wstaje. Znów na ciebie patrzy. Chcę, abys go o coś zapytał.

–O co?

–Zapytaj Diogenesa, co mu zrobiłeś, że tak bardzo cię nienawidzi.

–Zrobione.

–Co odpowiedział?

–Znów się zaśmiał. Powiedział: Nienawidzę cię, bo ty to ty.

–Zapytaj go raz jeszcze.

–Mówi, że powód jest prosty, że jego nienawiść nie ma nic wspólnego z niczym, co zrobiłem, ona po prostu jest jak słońce, księżyc i gwiazdy

–Nie, nie, nie. Co takiego zrobiłeś, Aloysiusie? – Głos Krasnera znów nabrał niezwyklej łagodności, ale pobrzmiwała w nim również ponaglająca nuta. – Zrzuć z siebie to brzemię. Jakże to musi być straszne dźwigać na barkach taki ciężar. Pozbądź się go.

Pendergast wolno podniósł się z kozetki i zwiesił nogi poza krawędź. Przez chwilę siedział w bezruchu. Następnie przesunął wierzchem dłoni po czole i spojrzął na zegarek. – Już północ. Jest 28 stycznia, a ja nie mam już czasu. Nie mogę dłużej zajmować się tym ćwiczeniem, bardzo mi przykro.

Wstał i odwrócił się do doktora Krasnera. – Jestem wdzięczny za pański trud, doktorze. Proszę mi zaufać, w mojej przeszłości nie ma niczego, co mogłoby usprawiedliwić niechęć, jaką Diogenes odczuwa wobec mnie. W całej mojej karierze miałem okazję przez wiele lat badać mentalność przestępców i doszedłem w swoich rozważaniach do prostej prawdy: niektórzy ludzie rodzą się potworami. Można próbować zgłębiać ich motywy i rekonstruować zbrodnie, które popełnili, ale nie da się wytłumaczyć zła tkwiącego w ich wnętrzu.

Krasner spojrzął na niego z olbrzymim smutkiem. – I tu się mylisz, przyjacielu. Nikt nie rodzi się z gruntu zły

Pendergast wyciągnął do niego rękę. – I pod tym względem nasze poglądy się różnią. – Po czym przeniósł wzrok w stronę ukrytej kamery, czym zaskoczył Glinna. Jakim cudem Pendergast zorientował się, gdzie ją umieszczono?

–Panie Glinn, panu również dziękuję za poświęcony mi czas. W aktach, które panu zostawiłem, znajdzie pan wszystko, co może być potrzebne do realizacji przyjętego zlecenia. Niestety nie mogę panu więcej pomóc. W dniu dzisiejszym wydarzy się coś strasznego i muszę uczynić co w mojej mocy, aby temu zapobiec.

Zaraz potem odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 42

Rezydencja przy Riverside Drive 891 leżała nad jednym z najbardziej złożonych obszarów geologicznych Manhattanu. Tu właśnie, pod zaśmieconymi, brudnymi ulicami podłoże skalne z hartlandzkiego łupku ustępowało miejsca innej formacji – Manhattanowi kambryjskiemu. Gnejs formacji manhattańskiej był wyjątkowo wadliwy i spaczony, pełen słabych punktów, pęknięć i naturalnych tuneli. Jeden z takich obszarów został powiększony kilka stuleci temu, by utworzyć tunel wiodący do głębokich piwnic pod rezydencją aż do zarośniętych chwastami brzegów rzeki Hudson. Ale były tu również inne tunele, starsze i o wiele bardziej sekretne, wydrążone pod posesją i wiodące w mrok, ku nieznanym miejscom.

Nieznany dla wszystkich prócz jednej, jedynej osoby

Constance Greene szła wolno jednym z tych właśnie tuneli, schodząc coraz niżej w mrok z nabytą przez lata swobodą i zwinnością. Choć w jednym ręku trzymała lampę, nie zapaliła jej; dziewczyna знаła te ukryte ciemne przejścia tak dobrze, że nie potrzebowała światła, aby móc się w nich poruszać. Miejscami korytarz był tak wąski, że rozłożywszy ręce na boki, dotykała dłońmi przeciwległych ścian. Choć tunel był wydrążony w litej skale, sklepienie było wysokie i dość regularne, a podłoże na tyle równe, że wydawało się, jakby te stopnie stanowiły dzieło rąk ludzkich.

Lecz do tej pory tylko Constance przemierzyła te niezwykle mroczne tunele.

Jeszcze kilka dni temu łudziła się, że nigdy nie będzie musiała tutaj powrócić. To przywiodło jej na myśl dawne czasy, złe czasy, kiedy widywała rzeczy, jakich nie widział wcześniej żaden inny człowiek. Kiedy pojawił się on, a wraz z nim przemoc, okrucieństwo i zbrodnia, i odebrał jej jedyną istotę ludzką, jaką kiedykolwiek znała, mężczyznę, który był dla niej jak ojciec. Morderca wyrwał do góry nogami cały znany jej świat. Właśnie wtedy uciekła, ukryła się w mrocznych chłodnych czeluściach ziemi. I wydawało się, że wskutek szoku na pewien czas postradała także rozum. Lecz jej umysł był zbyt dobrze szkolony – przez wiele długich lat – aby całkiem się poddała i stała niewolnicą szaleństwa. Powoli, bardzo powoli wróciła do siebie. Znów zaczęła się interesować światem i losami żyjących, raz po raz zakradała się cichaczem do swojego starego domu, do całego jej świata, rezydencji przy Riverside Drive 891. Wtedy też zaczęła obserwować mężczyznę znanego jako Wren, a w końcu ujawniła się temu życzliwemu łagodnemu staruszkowi. Który z kolei przyprowadził ją do Pendergasta.

Pendergast. To on na nowo wprowadził ją do świata, pomógł jej przejść z mrocznej, posępnej przeszłości do znacznie spokojniejszej i jaśniejszej teraźniejszości. Ale dzieło to nie zostało zakończone. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że granica pomiędzy normalnością a szaleństwem była wyjątkowo cienka i krucha. I teraz jeszcze to...

Kiedy tak stała, Constance przygryzła wargę, tłumiąc szloch. Będzie dobrze, upomniała samą siebie w myślach. Będzie dobrze. Przecież Aloysius wyraźnie jej obiecał. A wyglądało na to, że on potrafi wszystko, nawet powrócić z martwych.

Ona także złożyła mu przyrzeczenie i dotrzyma słowa: będzie spędzać noce w tym miejscu, gdzie nawet Diogenes Pendergast nie zdoła jej odnaleźć. Dotrzyma słowa, pomimo iż to miejsce i wiążące się z nim okrutne, makabryczne wspomnienia wzbudzało w niej dojmującą trwogę.

W oddali przed nią korytarz się zwęził, a potem rozgałęział na dwa równoległe tunele, ten po prawej opadał kręto w mroczną czeluść. Ten po lewej, większy, biegł dalej prosto. Constance wybrała ten drugi i przeszła kamiennym meandrycznym korytarzem kolejne sto jardów. W pewnej chwili przystanęła i dopiero wtedy zapaliła lampę. Żółte światło rozjaśniło korytarz, który nagle się rozszerzał i kończył niewielką przytulną izbą o rozmiarach dziesięć stóp na sześć. Podłoże zaścierał drogi perski dywan zabrany z jednego z piwnicznych składników rezydencji znajdującej się powyżej. Surowość ścian z litej skały tłumiły nieco reprodukcje renesansowych płócien: Madonny z długą szyją Parmigianina, Burzy Giorgionego i pół tuzina innych, dzieła Thackeraya, Trollope'a i George'a Eliota stały obok Państwa Platona i Wyznań św. Augustyna.

Tu, pod ziemią było znacznie cieplej. Powietrze przesyciła woń ziemi i skał. Mimo to próby urządzenia sobie w tym podziemnym azylu własnego kąta nie przyniosły Constance pociechy ani ukojenia, którego tak pragnęła.

Postawiła lampę na stole, usiadła przy nim i spojrzała w bok. Była tam niewielka wnęka, nisza w skale, jakieś trzy stopy ponad podłożem. Wyjęła stamtąd oprawiony w skórę notatnik, ostatni tom pamiętnika, który pisała w dawnych czasach, kiedy była podopieczną przodka Pendergasta. Otworzyła pamiętnik i zaczęła go wolno kartkować. Od czasu do czasu wierzchem dłoni ocierała łzy ciskające się jej do oczu. Wreszcie z cichym westchnieniem odłożyła pamiętnik w głąb skalnej wnęki, gdzie znajdowały się pozostałe. Było ich w sumie czterdzieści dwa, wszystkie identycznego kształtu i grubości. Podczas gdy ostatnie pamiętniki wyglądały na całkiem nowe, te pierwsze miały popękane grzbiety i kartki pożółkłe ze starości.

Constance siedziała przy stole, wpatrując się w rząd pamiętników i muskając w zamyśleniu koniuszkami palców brzeg skalnej niszy. Odkładając pamiętnik na miejsce, zahaczyła przez przypadek o krawędź wnęki i rękaw jej sukni podwinął się, odsłaniając długi rząd niewielkich zagojonych blizn na przedramieniu: dwadzieścia lub trzydzieści identycznych śladów biegnących równolegle jeden przy drugim.

Raz jeszcze westchnęła i odwróciła się. Potem zgasła lampę i – odmówiwszy krótką modlitwę do otaczającej ją czujnej ciemności – podeszła do wąskiej pryczy, odwróciła się twarzą do ściany i położyła na łóżku z otwartymi oczami, przygotowując się najlepiej jak potrafiła na spotkanie z koszmarami, które nieuchronnie nadejdą.

ROZDZIAŁ 43

Viola Maskelene odebrała swoje rzeczy na lotnisku Kennedyego, poprosiła bagażowego, aby załadował je na wózek, po czym przeszła za nim przez stanowisko odprawy celnej. Minęła już północ, kolejka była niewielka; znudzony celnik zadał jej kilka rutynowych pytań, podstemplował jej brytyjski paszport i przepuścił ją.

W hali przylotów zebrało się trochę ludzi. Przystanąła, przepatrując wzrokiem tłum, aż w końcu spostrzegła wysokiego mężczyznę w szarym flanelowym garniturze stojącego nieco z boku. Rozpoznała go natychmiast z uwagi na niesamowite podobieństwo do brata – podobnie jak on miał wysokie czoło, orli nos i arystokratyczne rysy. Na sam widok osoby tak bardzo podobnej do Pendergasta mocniej zabiło jej serce. Ale były też różnice. Ten mężczyzna był wyższy – nie tak szczupły, a może po prostu mocniej zbudowany – jego twarz miała ostrzejsze rysy, kości policzkowe i krawędzie oczodołów wydawały się wydatniejsze, wszystko to przydawało jego obliczu osobiwej arystokratyczności. Włosy miał rude, nosił także gęstą, starannie przyciętą bródkę. Największą różnicę jednak stanowiły jego oczy – jedno ciemnobrązowe, drugie zaś jasnoniebieskie. Zastanawiała się, czy w ogóle widział na to drugie oko; wyglądało jak martwe. Uśmiechnęła się i pomachała do niego.

On także się uśmiechnął i podszedł do niej wolnym krokiem, rozkładając szeroko ręce. Ujął jej dłoń w swoje, miał chłodną delikatną skórę.

–Lady Maskelene?

–Mów mi po imieniu. Jestem Viola.

–Violu. Jestem oczarowany. – Jego głos miał w sobie coś z melodyjnego tonu Aloysiusa, aczkolwiek sposób mówienia Diogenesa przywodził na myśl chód – był równie leniwy, a słowa sprawiały wrażenie, jakby je cedził, wypowiadając każde z niebywałą powagą i dokładnością.

–Miło mi cię poznać, Diogenesie.

–Mój brat był bardzo tajemniczy, jeśli chodzi o ciebie, mało mówił na twój temat, ale wiem, że nie może się doczekać, aby znów cię zobaczyć. To twoje rzeczy? – Pstryknął palcami i bagażowy podszedł szybkim krokiem. – Dopilnuj, aby rzeczy tej pani trafiły do czarnego lincolna, który stoi przed halą przylotów – rzekł do niego Diogenes. – Bagażnik jest otwarty – W jego dłoni jak za sprawą czarów pojawił się dwudziestodolarowy banknot, ale mężczyzna był tak zaaferowany Violą, że prawie tego nie zauważył.

Diogenes ponownie odwrócił się do Violi. – Jak minęła podróż?

–Okropnie.

–Przykro mi, że nie mogłem zaproponować bardziej dogodnego lotu. Jak zapewne wiesz, ostatnio mój brat ma istne urwanie głowy i zagadnienia logistyczne związane z zaaranżowaniem spotkania okazały się dość trudne do przewyciężenia.

–Nie ma sprawy. Ważne, że tu jestem.

–W rzeczy samej. Idziemy? – Podał jej rękę, a ona ją ujęła. Jego ramię było zdumiewająco silne, mięśnie twarde jak stal, nie pasowały do zachowania i postawy tego z pozoru leniwego, powolnego mężczyzny.

–Nie mogłabym pomylić cię z nikim innym. Od razu zorientowałam się, że musisz być bratem Aloysiusa – rzekła, gdy opuścili punkt odbioru bagażu.

–Przyjmuję to za komplement.

Wyszli przez obrotowe drzwi przed halą przylotów, gdzie omiótł ich podmuch lodowatego wiatru. Warstwa świeżego śniegu skrzyła się na nieosłoniętych niczym chodnikach.

–Brr! – Viola wzdrygnęła się gwałtownie. – Kiedy opuszczałam Capraię, było ciepłutko, dwadzieścia stopni.

To istne barbarzyństwo, ależ ziąb.

–Masz rzecz jasna na myśli dwadzieścia stopni Celsjusza – rzekł Diogenes, mrugając do niej porozumiewawczo. – Jakże ci zazdroszczę, że mieszkasz tam przez cały rok. Mój samochód. Otworzył jej drzwiczki, po czym obszedł samochód. Zaczekał, aż bagażowy zatrzaśnie bagażnik, i wślizgnął się za kierownicę.

–Właściwie to nie mieszkam tam przez cały rok. Zazwyczaj o tej porze przebywam w Luksorze, pracując przy wykopaliskach w Dolinie Królów. W tym roku jednak z uwagi na pewne perturbacje na Środkowym Wschodzie napotkałam na problemy z uzyskaniem niezbędnych zezwoleń.

Diogenes ruszył gładko od krawężnika i włączył się do kolumny aut zmierzających w stronę wyjazdu z lotniska. – Pani egiptolog – powiedział. – Jakie to fascynujące. Ja również spędziłem trochę czasu w Egipcie jako młodszy uczestnik ekspedycji von Hertsgaarda.

–Czy to nie była wyprawa do Somalii w poszukiwaniu kopalni diamentów królowej Hatszepsut? Ta, podczas której znaleziono von Hertsgaarda z odciętą głową?

–Ta sama.

–Jakie to ekscytujące. Chciałabym dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

–Ekscytujące. To słowo dokładnie określa tę wyprawę.

–Czy to prawda, że Hertsgaard mógł odnaleźć kopalnie niedługo przed tym, jak został zamordowany?

Diogenes zaśmiał się półgłosem. – Szczerze wątpię. Wiesz, jak rodzą się tego typu plotki. Dla mnie o wiele ciekawsza od tych mitycznych kopalni jest sama postać królowej Hatszepsut, jedynej kobiety faraona, ale ty, jak miemam, wiesz o niej wszystko.

–To fascynująca kobieta.

–Swoje pretensje do tronu uprawomocniła stwierdzeniem, że jej matka przespała się z bogiem Amonem i że to ona właśnie była owocem ich związku. Jak brzmiała ta sławna inskrypcja? Amon zastał królową śpiącą w swojej komnacie. Gdy aromat wonności bijący z jego ciała oznajmił jego pojawienie się, obudziła się. Ukazał się jej w całej swej boskiej chwale, a kiedy do niej podszedł, królowa zapłakała z radości poruszona jego potęgą, siłą i urodą. Po czym oddała mu się.

Viola była zaintrygowana: Diogenes najwyraźniej był człowiekiem mającym wiele różnych zainteresowań, podobnie jak jego brat.

–Powiedz mi Violu. Jakiego rodzaju prace prowadzisz w Dolinie Królów?

–Prace wykopaliskowe przy grobowcach kilku królewskich skarbników.

–Odnależliście jakieś skarby? Złoto albo jeszcze lepiej, drogie klejnoty?

–Nic z tych rzeczy. Wszystkie groby zostały dawno temu splądrowane. Szukamy jedynie inskrypcji nagrobnych.

–Cóż za cudowna profesja ta egiptologia. Wygląda na to, że mój brat potrafi docenić prawdziwie interesującą kobietę.

–Prawdę powiedziawszy, prawie nie znam twojego brata.

–Nie wątpię, że jeszcze w tym tygodniu to się zmieni.

–Nie mogę się doczekać. – Zaśmiała się delikatnie. – Szczerze mówiąc, sama nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Cała ta wyprawa to jakiś... kaprys. Jest taka tajemnicza. Uwielbiam wszystko, co tajemnicze.

–Podobnie jak Aloysius. Wygląda na to, że oboje jesteście dla siebie stworzeni.

Viola poczuła, że się czerwieni. Błyskawicznie zmieniła temat. – Czy wiesz coś na temat sprawy, nad którą obecnie pracuje?

–To jedna z najtrudniejszych spraw w całej jego karierze. Na szczęście jej kres jest już bliski. Tak naprawdę wszystko dziś się zakończy, a wówczas on będzie wreszcie wolny. Sprawa ta jest związana z pewnym seryjnym mordercą, prawdziwym szaleńcem, który z kilku bliżej nieznanymi powodami zapalał do mojego brata niepokonaną nienawiścią. Osobnik ten zabija kolejne osoby, drwiąc sobie z mojego brata, że ten nie jest go w stanie złapać.

–Jakie to straszne.

–To prawda. Mój brat był zmuszony niespodziewanie zniknąć, aby móc dalej prowadzić swoje dochodzenie, co w pewnych kręgach zaowocowało plotkami, jakoby zginął podczas wypełniania ściśle tajnej misji.

–Sądziłam, że on nie żyje. Taką wiadomość przekazał mi porucznik DAgosta.

–Tylko ja znałem prawdę. To ja pomogłem mu po dramatycznych wydarzeniach, w których uczestniczył we Włoszech. Dzięki mnie powrócił do zdrowia. Nieskromnie powiem, że uratowałem mu życie.

–Cieszę się, że ma takiego brata.

–Aloysius ma niewielu prawdziwych przyjaciół. Jest bardzo staroświecki, cokolwiek odpychający, ponury i pełen rezerwy wobec ludzi. Dlatego też próbowałem być nie tylko jego bratem, lecz także przyjacielem. Cieszę się, że znalazł ciebie. Tak bardzo się o niego martwiłem po tym strasznym wypadku jego żony w Tanzanii.

Żony? W Tanzanii? Nagle Viola z całego serca zapragnęła się dowiedzieć, co się właściwie stało. Pohamowała się jednak;

Aloysius opowie jej o tym w swoim czasie, a ona, jak na Angielkę przystało, nie miała zwyczaju wpychać się z butami w czyjeś prywatne życie.

–Właściwie trudno powiedzieć, że mnie znalazł. Jak na razie, jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawie się nie znamy.

Diogenes spojrzał na nią niezwykle oczyma w dwóch różnych kolorach i uśmiechnął się. – Wierzę, że mój brat jest już w tobie szczerze zakochany.

Tym razem Viola na dobre się zapłonęła przepelniona mieszaniną nagłego podniecenia, zakłopotania i zaskoczenia. O rany, pomyślała. Jak to możliwe, aby zakochał się we mnie zaledwie po jednym spotkaniu?

–I mam powody, by twierdzić, że ty również się w nim zakochałaś.

Viola zaśmiała się beztrudnie, ale w jej wnętrzu pojawiło się nagle dziwne, nieopisane doznanie. Samochód mknął przez mroźną noc. – Jest jeszcze za wcześnie, by o tym mówić – wykrztusiła w końcu.

–Pomimo iż ja i Aloysius jesteśmy do siebie pod wieloma względami podobni, mam w pewnych kwestiach inne zdanie niż on i bywam z natury szczerzy oraz niekiedy boleśnie bezpośredni. Wybacz, jeśli wprawilem cię w zażenowanie tym, co przed chwilą powiedziałem.

–Nic się nie stało.

Przed nimi rozciągała się autostrada Long Island, śnieżna aleja mroku. Dochodziła prawie pierwsza w nocy i na drodze było niewiele innych pojazdów. Z czarnego nieba sypały się płatki śniegu, wycieraczki samochodu pracowały praktycznie bez przerwy.

–Aloysius nigdy nie był bezpośredni. Nawet jako dziecko trudno się było zorientować, co naprawdę myślał.

–Wydaje się dość nieodgadniony.

–Bardzo nieodgadniony. Rzadko zdradza motywy swego postępowania. Zawsze uważałem, że podjął służbę w agencji federalnej, aby uczynić zadość za pewną czarną owcę w rodzinie Pendergastów.

–Naprawdę? – Viola znów poczuła narastające zaciekawienie. Cichy śmiech. – Tak. Weźmy na przykład stryjeczną babkę

Cornelię. Mieszka niedaleko stąd, w Mount Mercy Zakładzie dla psychicznie chorych przestępców.

Ciekawość zastąpiło nagle zdumienie. – Dla psychicznie chorych przestępców?

–Zgadza się. Przypuszczam, że w każdej rodzinie musi znaleźć się czarna owca.

Viola pomyślała o swoim przodku. – Tak. To prawda.

–W niektórych rodzinach jest ich więcej niż w innych. Skinęła głową, zauważyła, że Diogenes przygląda się jej, i błyskawicznie opuściła wzrok.

–Uważam, że to dodaje pikanterii linii rodowej, czyni ją o wiele ciekawszą. Lepiej mieć pradziadka mordercę niż sklepikarza.

–To dość niespotykany punkt widzenia. – Diogenes mógł być trochę dziwniejszy, niż się wydawał na pierwszy rzut oka, ale był z pewnością zabawny.

–Czy masz wśród swoich przodków jakichś interesujących przestępców? – spytał Diogenes. – Jeśli wolno mi zapytać.

–Oczywiście, że wolno. Nie mam przodków morderców, ale jeden z nich był wielkim wirtuozem skrzypiec w dziewiętnastym wieku. Niestety oszalał i zamarzył na śmierć w szałasie w Dolomitach.

–Dokładnie o to mi chodziło! Byłem pewien, że musisz mieć jakichś ciekawych przodków. Na pewno nie było wśród nich nudnych księgowych ani komiwojażerów, prawda?

–Nic mi o tym nie wiadomo.

–A my w naszej rodzinie mieliśmy jednego komiwojażera, który nawiasem mówiąc, poczynił spory wkład w fortunę linii Pendergastów.

–Naprawdę?

–Jak najbardziej. Sprokurował on specyfik o nazwie Złożony Wzmacniający Gruczoły Elixir Hezekiaha. Rzekomo miało to być panaceum na wszelkie dolegliwości. Początkowo sprzedawano go wprost z paki wozu.

Viola zaśmiała się. – Cóż za zabawna nazwa jak na lekarstwo.

–Można boki zrywać. Tylko tyle że ten środek zawierał zabójczą mieszaninę kokainy, acetanilidu i paru dość paskudnych alkaloidów pochodzenia roślinnego. Spowodował on w efekcie uzależnienie niezliczonej ilości osób, które zaczęły go przyjmować, i tysiące ofiar śmiertelnych, w tym także jego żony.

Śmiech uwiązał Violi w gardle. Poczuła pod sercem dziwne ukłucie niepokoju.

–Rozumiem.

–Rzecz jasna nikt nie zdawał sobie wówczas sprawy z zagrożenia, jakie niosą z sobą substancje w rodzaju kokainy. Nie można winić za to prapradziadka Hezekiaha.

–Nie. Oczywiście, że nie.

Oboje zamilkli. Wciąż padał lekki śnieg, białe płatki skrzyły się na tle ciemnego nieba w światłach reflektorów i zaraz znikwały.

–Czy sądzisz, że istnieje coś takiego jak gen przestępczości? – zapytał Diogenes.

–Nie – odrzekła Viola. – Uważam, że to bzdury.

–A ja czasami się nad tym zastanawiam. W naszej rodzinie tych przestępców było tak wielu... Dajmy na to stryj Antoine, jeden z naprawdę wybitnych masowych morderców dziewiętnastego stulecia. Zabił blisko sto dziewcząt i chłopców z przytułków i domów poprawczych i zmasakrował ich ciała.

–Jakie to okropne – wyszeptała Viola. Niepokój w jej wnętrzu z wolna przybierał na sile. Diogenes zaśmiał się. – Anglicy zsyłali swoich przestępców do kolonii, najpierw do Georgii, a następnie do Australii. Sądziło się, że uda się im oczyścić anglosaską rasę z kryminalistów, ale im więcej zbrodniarzy wydalali z kraju, tym bardziej rósł wskaźnik przestępczości.

–Najwyraźniej zbrodnia ma więcej wspólnego z warunkami ekonomicznymi ludzkiej egzystencji niż z genetyką – wtrąciła Viola.

–Tak uważasz? To prawda, nie chciałbym być biedakiem w dziewiętnastowiecznej Anglii. Z mojego punktu widzenia prawdziwi przestępcy w owych czasach wywodzili się z arystokracji. Mniej niż jeden procent ludności był właścicielem dziewięćdziesięciu pięciu procent ówczesnych ziem. A dzięki prawu o przywłaszczeniu gruntów gromadzkich przez ich ogrodzenie angielscy lordowie mogli wywłaszczać tamtejszych chłopów, którzy chcąc nie chcąc, udawali się do miast i tam albo marli z głodu, albo schodzili na drogę przestępstwa.

–To prawda – mruknęła Viola. Wyglądało na to, że Diogenes zapomniał, iż ona także wywodziła się z arystokracji.

–Tu, w Ameryce, sprawy przedstawiały się inaczej. Jak wyjaśnisz fakt, że w niektórych rodzinach przestępcy rodzili się równie często jak w innych dzieci o jasnych włosach i niebieskich oczach? W każdym pokoleniu w rodzie Pendergastów pojawiał się morderca. Po Antoinie... niech no się zastanowię... był Comstock Pendergast, sławny hipnotyzer, iluzjonista i mentor Harry'ego Houdiniego. Zabił on swego partnera w interesach oraz całą jego rodzinę, a następnie popełnił samobójstwo. Podciął sobie gardło. Dwukrotnie. A potem...

–Słucham? – Viola uświadomiła sobie, że mimowolnie zacisnęła dłoń na klamce przy drzwiach.

–Właśnie tak. Dwukrotnie. Bo widzisz, za pierwszym razem cięcie nie było dość głębokie. Chyba nie mógł znieść myśli, że miałby powoli wykrwawiać się na śmierć. Jeżeli chodzi o mnie, nie miałbym nic przeciwko zejściu z tego świata właśnie w taki sposób. Podobno to tak, jakby się zasypiało. Miałbym dość czasu, aby podziwiać krew, która ma zaiste niezwykle kolor. Lubisz barwę krwi, Violu?

–Słucham? – Viola poczuła narastającą w niej panikę.

–Krew Barwy najczystszej rubiny. Albo vice versa. Moim skromnym zdaniem to najbardziej urzekający kolor. Niektórzy mogą mnie uznać za ekscentryka, ale tak właśnie sądzę, i już.

Viola próbowała stłumić w sobie strach i niepewność. Znajdowali się gdzieś hen poza miastem, pośród nieprzeniknionej nocy, tylko od czasu do czasu, z rzadka w oddali pojawiały się słabo widoczne z autostrady światła jakichś zabudowań.

–Dokąd jedziemy? – zapytała.

–Do małego miejsca zwanego Springs. Jest tam czarujący domek stojący nad brzegiem oceanu. To jeszcze jakieś dwie godziny drogi.

–Czy jest tam Aloysius?

–Oczywiście. Umiera z niecierpliwości, aby znów cię zobaczyć.

Dopiero teraz zrozumiała, że cała ta podróż była jedną wielką pomyłką. Pod wpływem nagłego,

instynktownego impulsu podjęła nieprzemyślaną, lekkomyślną decyzję. Dała się skusić romantycznej otoczce tego wyjazdu pod wpływem gwałtownej ulgi, jaka ogarnęła ją na wieść, że Pendergast żyje. Ale przecież tak naprawdę w ogóle go nie знаła. A ten jego brat...

Nagle zdała sobie sprawę, że nie zniesie kolejnych dwóch godzin jazdy w jego towarzystwie. To było nie do pomyślenia.

–Violu – rozległ się łagodny głos. – Wybacz mi. Dobrze się czujesz?

–Tak. Czuję się świetnie. Nic mi nie jest.

–Wyglądasz na zmartwioną.

Wzięła głęboki oddech. – Prawdę mówiąc, Diogenesie, wolałabym spędzić tę noc w Nowym Jorku. Jestem bardziej zmęczona, niż sądziłam. Spotkam się z Aloysiusem, kiedy wróci do miasta.

–Och, nie! Będzie zdruzgotany!

–Nic na to nie poradzę. Czy mógłbyś, z łaski swojej zawrócić? Naprawdę bardzo mi przykro, że nagle zmieniłam zdanie, ale tak będzie najlepiej. Jesteś bardzo miły Odwieź mnie, proszę, do Nowego Jorku.

–Skoro tego chcesz. Skręcimy przy następnym zjeździe i zawrócimy.

Poczuła, że ogarnia ją niewysłowiona ulga. – Dzięki. Jeszcze raz przepraszam, że przysporzyłam ci tylu kłopotów.

Niebawem pojawił się zjazd do Hempstead. Samochód zwolnił i skręcił. Podjechał do znaku stopu przy końcu zjazdu i zatrzymał się. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać innych aut. Viola wciąż odruchowo zaciskała dłoń na klamce i czekała, aż Diogenes ruszy w dalszą drogę.

Ale on najwyraźniej nie zamierzał jechać dalej. I nagle, nieoczekiwanie poczuła w nozdrzach dziwną drażniącą woń jakiegoś środka chemicznego.

Odwróciła się pospiesznie. – Co się...?

Silne palce przycisnęły do jej twarzy grubą szmatę nasączoną jakimś chemicznym płynem, podczas gdy mocne ramię błyskawicznie oplotło jej szyję i brutalnie przycisnęło ją do fotela. Została kompletnie unieruchomiona, a śmierdząca szmata bezlitośnie zatykała jej usta i nos. Zaczęła się szamotać, próbowała zaczerpnąć tchu, ale stało się tak, jakby tuż przed nią otworzyły się wrota ciemności. Viola wbrew swojej woli wychyliła się do przodu i runęła w tę otchłań bez dna, a chwilę potem cały świat pogrążył się w nieprzeniknionym mroku.

ROZDZIAŁ 44

Zimowy pejzaż nie mógł wydawać się bardziej posępny: wczorajszej nocy cmentarz pokryła cienka warstwa śniegu, teraz natomiast wśród nagich drzew hulał wiatr, kołysząc konarami i miotając złodowaciałym śniegiem po zmrożonej ziemi. Sam grób wyglądał jak czarna ziejąca rana otoczona jasnozieloną sztuczną trawą, której drugi spłachetek przykrywał pokaźną stertę ziemi nieopodal. Trumna spoczywała obok upiornego dołu przymocowana do urządzenia, które ją do niego opuści. Olbrzymie bukiety świeżych kwiatów ustawione przy grobie kołysały się na wietrze, przydając temu spowitemu śniegiem pejzażowi wrażenia surrealistycznej bujności.

Nora nie mogła oderwać wzroku od trumny Mimo iż raz po raz odwracała wzrok, prędzej czy później jej spojrzenie znów tam powracało. Trumna była elegancka, z najlepszego polerowanego drewna, z mosiężnymi okuciami. Nora nie mogła pogodzić się z myślą, że tam, w środku spoczywała jej przyjaciółka, kobieta, którą niedawno poznała i szczerze polubiła. Ale ona tam była. Martwa. Jakie to straszne: nie dalej jak kilka dni temu zjadły wspólnie kolację w mieszkaniu Margo, gawędząc na temat muzeum. I tej samej nocy Margo została zamordowana. A potem, wczoraj, ten nader niepokojący nagły telefon od Pendergasta...

Wzdrygnęła się mimowolnie, wzięła kilka głębokich oddechów. Choć miała rękawiczki, zdrętwiały jej palce, a nosa prawie już nie czuła. Było tak zimno, że miała wrażenie, iż nawet łyzy mogły zamarznąć na jej policzkach.

Pastor ubrany w długi czarny płaszcz odczytał modlitwę za zmarłych według obrzędu liturgii Kościoła anglikańskiego, jego donośny głos niósł się w mroźnym powietrzu ponad mogiłami. Na cmentarzu zgromadził się spory tłum, zdumiewająco spory, zważywszy na kiepską pogodę. Przyszło mnóstwo pracowników muzeum. Najwyraźniej Margo, mimo iż pracowała tu dość krótko, zdołała wywrzeć na nich duże wrażenie; nie należało jednak zapominać, że była zatrudniona w tej placówce już wcześniej, zaraz po studiach, kilka lat temu. Wśród zebranych dostrzec można było stojącego z przodu dyrektora Collopy'ego z oszałamiająco piękną żoną u boku, kobietą młodszą od Nory. Zjawiła się większość pracowników wydziału antropologii z wyjątkiem tych, którzy nadzorowali ostatnie rozpaczliwe przygotowania do otwarcia wystawy Święte wizerunki; wielka gala miała odbyć się tego dnia wieczorem. Nora także pojawi się na otwarciu, ale nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby nie przyszła na pogrzeb Margo. Był tu Prine, okutany od stóp do głów jak Eskimos, i raz po raz wydmuchujący zaczerwieniony nos w wielką bawełnianą chusteczkę. Szef ochrony Manetti wyglądał na kompletnie przybitego, prawdopodobnie uważał śmierć Margo za osobistą porażkę. Zlustrowała wzrokiem tłum. Z przodu stała pochlipująca cichutko kobieta podtrzymywana z dwóch stron przez karawaniarzy, bez wątplenia matka Margo. Tak jak Margo miała jasnobrazowe włosy, te same delikatne rysy i szczupłą budowę ciała. Wyglądało na to, że z rodziny Margo tylko ona zjawiła się na pogrzebie; Nora przypomniała sobie, jak Margo przy kolacji wyznała jej, iż jest jedynaczką.

Wyjątkowo silny podmuch wiatru przetoczył się przez cmentarz, na kilka chwil zagłuszając głos pastora. Po chwili znów dało się słyszeć: – W Twoje ręce, o Panie, oddajemy duszę służebnicy Twojej, Margo, naszej ukochanej siostry Miłosierny Zbawicielu, zechciej przyjąć ją do swojego Królestwa, aby mogła się cieszyć Twoją chwałą...

Nora pochyliła głowę i otuliła się szczelnie płaszczem, bo wiatr coraz bardziej dawał się jej we znaki. Z całego serca pragnęła, aby Bill mógł być teraz przy niej. Ten dziwny telefon od Pendergasta – a nie miała najmniejszych wątpliwości, że mężczyzną, który do niej zadzwonił, był właśnie Pendergast – wstrząsnął nią do głębi. Życie Billa znalazło się w niebezpieczeństwie i na pewien czas musiał ukryć się w bezpiecznym miejscu? A teraz bliżej nieokreślone zagrożenie zawisło również nad nią. To wszystko wydawało się niewiarygodne, przerażające, jakby na jej świat padł cień czarnej chmury. Mimo to jawny dowód prawdziwości tych słów miała właśnie przed sobą. Margo nie żyła.

Cichy szum wyrwał ją z posępnej zadumy. Urządzenie zaczęło opuszczać trumnę Margo do grobu przy wtórze zgrzytu obracających się trybów i warkotu silnika. Pastor nieznacznie podniósł głos, podczas gdy trumna osuwała się w głąb dołu. Uniósł do góry ręce i wykonał w powietrzu znak krzyża, kończąc jednocześnie modlitwę. Rozległo się głuche łkanie, kiedy trumna się zatrzymała, a następnie pastor poprosił matkę Margo o wrzucenie grudki ziemi do grobu. Zrobiła to, a potem to samo uczynili inni; zmarznięte grudy uderzały w wieko trumny z dziwnym głuchym łoskotem.

Nora miała wrażenie, że serce się jej kraje. Przyjaźń z Margo, która rozpoczęła się tak dramatycznie, właśnie zaczęła rozkwitać. Jej śmierć była tragedią w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu, ta kobieta była taka dzielna, tak stanowczo broniła swych przekonań.

Ceremonia dobiegła końca, tłum zaczął kierować się w stronę cmentarnej alei, gdzie czekały samochody, w powietrzu unosiła się śnieżnobiała mgiełka oddechów. Nora spojrzała na zegarek – dziesiąta. Musiała natychmiast wrócić do muzeum, aby zająć się ostatnimi przygotowaniami przed otwarciem wystawy

Gdy się odwróciła, by odejść, ujrzała ubranego na czarno mężczyznę, który zmierzał na ukos w tę samą stronę co ona; jeszcze parę chwil i zrównał się z nią. Wydawał się pogrążony w głębokim smutku, a Nora zaczęła się zastanawiać, czy Margo nie miała jednak innych krewnych.

–Nora? – rozległ się cichy głos.

Nora zdziwiła się. Przystanęła na chwilę.

–Nie zatrzymuj się, proszę.

Ruszyła dalej, czując narastający niepokój. – Kim pan jest?

–Agent Pendergast. Dlaczego mimo moich ostrzeżeń pojawia się pani w miejscach publicznych?

–Nie mogę przecież zrezygnować z normalnego życia.

–Nie będzie go pani miała, jeżeli je straci.

Nora westchnęła. – Chcę wiedzieć, co się stało z Billem.

–Bill jest bezpieczny, jak już wcześniej mówiłem. Martwię się teraz o panią. Jest pani głównym celem.

–Czym celem?

–Tego nie mogę wyjawić. Powiem tylko, że musi pani przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności, jeśli chce pani pozostać przy życiu. I powinna się pani bać.

–Ale ja naprawdę się boję, agencie Pendergast. Bardzo się boję. Wystraszył mnie pan nieomal na śmierć. Ale nie może pan oczekiwać, że z tego powodu z dnia na dzień rzucę wszystko i gdzieś się zaszyję. Już mówiłam, muszę poczynić niezbędne przygotowania do otwarcia wystawy, zaplanowane na dzisiejszy wieczór.

Oschła, pełna gniewu odpowiedź nadeszła wraz z jego gorącym oddechem. – On zabija wszystkich wokół mnie. Panią też zamorduje. A wówczas straci pani nie tylko otwarcie wystawy, lecz również resztę swojego życia.

Głos, pozbawiony melodyjnego akcentu z Południa, który tak dobrze pamiętała, był przeszyty natarczywością i wewnętrznym napięciem.

–Muszę podjąć to ryzyko. Resztę dnia spędzę w muzeum, na terenie wystawy, która jest bardzo silnie strzeżona. A wieczorem zjawię się na gali, gdzie prócz mnie będą obecne tysiące osób.

–Silna ochrona jak dotąd go nie powstrzymała.

–O kim pan mówi? Kim jest ten tajemniczy człowiek?

–Jak już wspomniałem, gdybym wyjawiał pani więcej, naraziłbym tylko panią na większe ryzyko. Och, Noro, co muszę uczynić, aby cię ochronić?

Zwolniła odrobinę wstrząśnięta nutą rozpacz, jaką wychwyciła w jego głosie. – Przepraszam. Proszę zrozumieć, ucieczka i ukrywanie się nie są w moim stylu. Zbyt długo pracowałam, aby doprowadzić do otwarcia tej wystawy Ludzie na mnie liczą. Rozumie mnie pan? Jutro... Wrócimy do tej sprawy jutro. Tylko nie

dziś. Dzisiaj nie.

–Niech tak będzie. – Anonimowy mężczyzna odwrócił się – to dziwne, ale prawie w ogóle nie przypominał Pendergasta, którego znała wcześniej Nora – po czym wtopił się w tłum ubranych na czarno osób zmierzających z powrotem do swoich aut i zniknął.

ROZDZIAŁ 45

D'Agosta przystanął niepewnie przed drzwiami gabinetu Laury Hayward. Bał się zapukać. Bolesne wspomnienie ich pierwszego spotkania w biurze pojawiło się w jego głowie niespodziewanie, ale odegnał je z wysiłkiem i w efekcie zapukał znacznie głośniejszym, niż zamierzał.

–Wejść. – Na sam dźwięk jej głosu serce zamarło mu w piersi. Sięgnął dłonią do klamki i pchnięciem otworzył drzwi.

Gabinet wyglądał inaczej. Znikły gdzieś pliki papierów i swojski nieład. Teraz panował wręcz surowy porządek; nie ulegało wątpliwości, że Hayward żyła i oddychała sprawą, którą obecnie prowadziła.

Była tam, stała za biurkiem, niska i szczupła, w eleganckim szarym kostiumie z kapitańskimi baretkami na ramieniu; patrzyła wprost na niego. Jej spojrzenie było tak przenikliwe, że D'Agosta poczuł je jak fizyczny cios.

–Usiądź. – Głos był chłodny, beznamiętny.

–Posłuchaj, Lauro, zanim zaczniemy, chciałbym powiedzieć tylko...

–Poruczniku – rzuciła oschle. – Zostaliście wezwani w sprawie służbowej i wszystko, co macie do powiedzenia w kwestii osobistej jest po prostu nie na miejscu.

D'Agosta spojrzął na nią. – To nieuczciwe. Lauro, proszę... Jej oblicze złagodniało, ale tylko na chwilę, po czym przemówiła cichym zrównoważonym głosem. – Vincencie nie rób tego sobie ani mnie. Zwłaszcza teraz. Muszę powiedzieć ci coś ważnego. To dla mnie bardzo trudne. D'Agosta zamilkł.

–Usiądź, proszę.

–Dziękuję, postoję.

Krótką ciszą. Laura tylko na niego patrzyła. Po chwili znów się odezwała. – Pendergast żyje.

D'Agosta poczuł, że robi mu się zimno. Nie wiedział, po co go wezwała, nie ośmielił się snuć przypuszczeń, ale to była ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać.

–Skąd się dowiedziałas? – wykrztusił.

Jej oblicze przepelnił gniew. – A więc wiedziałas.

Kolejna pełna napięcia chwila ciszy. Wreszcie Laura sięgnęła po jedną z kartek leżących na biurku. D'Agosta zauważył, że były na niej wykonane odręcznie notatki. O co mogło chodzić? Nigdy jeszcze nie widział Laury tak spiętej.

–Dziewiętnastego stycznia profesor Torrance Hamilton został otruty w auli wykładowej Uniwersytetu Stanu Luizjana, na oczach dwustu studentów i po godzinie zmarł. W tym raporcie znajduje się analiza jedyne go materiału dowodowego: kilku czarnych włókien odkrytych w jego gabinecie. – Upuściła na blat biurka kartonową teczkę.

D'Agosta spojrzął na nią, ale nic nie powiedział.

–Raport stwierdza, że włókna te pochodzą z bardzo drogiej łączonej wełny, kaszmiru i merynosa, produkowanej zaledwie przez kilka lat w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku w zakładzie pod Prato we Włoszech. Jedyne miejsce, gdzie sprzedawano tamtejsze produkty w Ameryce, był niewielki sklep przy Rue Lespinard w Nowym Orleanie. Stałymi klientami tego sklepu była rodzina Pendergastów.

D'Agosta poczuł, że zaczyna odzyskiwać nadzieję. Czy to możliwe, że mimo wszystko mu uwierzyła? Że zajęła się poszukiwaniem Diogenesa? – Lauro, ja...

–Poruczniku, pozwólcie mi skończyć. Zespół ekspertów sądowych przeczeszał mieszkanie Pendergasta w Dakota House i pobrał próbki włókien. Poza tym znaleźliśmy w szafie dwa tuziny identycznych czarnych garniturów. Garnitury i włókna pochodzą z tego samego źródła – identyczna kombinacja wełny, kaszmiru i merynosa, farbowanej na czarno. To niezwykle, rzadko spotykane włókna. Nie ma mowy o pomyłce.

D'Agosta poczuł dziwny dreszcz na plecach. Zaczął mieć niepokojące przeczucie, że wie, do czego to wszystko zmierza.

–Dwudziestego drugiego stycznia Charles Duchamp został powieszony w oknie swojego mieszkania na dwudziestym trzecim piętrze apartamentowca przy Siedemdziesiątej Piątej i Broadwayu. Jednakże nasi eksperci także tu odnaleźli kilka czarnych włókien, identycznych z tymi, odkrytymi na miejscu zabójstwa Torrance'a. W dodatku sznur wykorzystany do powieszenia Duchampa upleciony był z bardzo rzadkiej odmiany szarego jedwabiu. W końcu dowiedzieliśmy się, że jest to wyjątkowy rodzaj sznura wykorzystywanego podczas buddyjskich ceremonii religijnych w Bhutanie. Mnisi splatają te sznury w złożone i fantazyjne węzły, niespotykane nigdzie indziej na świecie.

Przerwała i położyła na biurku zdjęcie sznura, na którym powieszono Duchampa, ukazujące węzeł umazany krwią. – Ten konkretny węzeł jest znany jako Ran t'ankha durdag, splątana droga do piekła. Przypomniałam sobie, że agent Pendergast spędził pewien czas w Bhutanie, studiując pod okiem mnichów, którzy splatają takie węzły.

–Jest na to bardzo prosta odpowiedź...

–Vincencie, jeśli jeszcze raz mi przerwiesz, zaknebluję cię. D'Agosta zamilkł.

–Następnego dnia, dwudziestego trzeciego stycznia, agent specjalny FBI Michael Decker został zamordowany w swoim domu w Waszyngtonie. Dźgnięto go w usta starym bagnetem pochodzącym z czasów wojny secesyjnej. Miejsce zbrodni było równie czyste. Eksperci napotkali jednak próbki włókien identyczne z tymi znalezionymi w gabinecie Hamiltona, mieszanka merynosa i kaszmiru barwiona na czarno.

Położyła przed D'Agosta kolejny raport. – Około drugiej nad ranem, dwudziestego szóstego stycznia Margo Green została śmiertelnie pchnięta nożem w nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej. Sprawdziłam listy personelu muzeum i okazało się, że była ona ostatnią osobą, która weszła do sal z przygotowywaną właśnie wystawą. Ale zarejestrowano także jej wyjście stamtąd – najwyraźniej zabójca musiał użyć jej karty magnetycznej. To miejsce zbrodni nie było tak nieskazitelne jak pozostałe. Green nie poddała się bez walki i stoczyła naprawdę zacięty pojedynek. Próbowwała bronić się nożem introligatorskim i zraniła swego napastnika. Na miejscu zbrodni odkryto ślady krwi nienależącej do ofiary. Zabezpieczono próbkę krwi na ostrzu noża, który został niedokładnie wytarty, i jeszcze jedną, na podłodze. – Przerwała. – Wczoraj, późną nocą otrzymałam wyniki analizy DNA. – Podniosła kolejną kartkę i upuściła ją na blat biurka przed D'Agostą. – Oto wyniki.

D'Agosta nie mógł się zmusić, aby spojrzeć na leżący przed nim raport. Znał już odpowiedź.

–Zgadza się. To krew agenta specjalnego Pendergasta. Wiedział, że w obecnej sytuacji najlepiej będzie, jeśli nabierze wody w usta.

–Pozostała kwestia motywu. Ta jednak rozwiązała się sama. Wszyscy ci ludzie mają jedną wspólną cechę, a mianowicie byli bliskimi znajomymi Pendergasta. Hamilton był jego wykładowcą języków obcych w gimnazjum. Duchamp był najbliższym i być może jedynym przyjacielem Pendergasta jeszcze z czasów dzieciństwa. Michael Decker był partnerem Pendergasta w FBI. To głównie dzięki niemu Pendergastowi udało się przetrwać w FBI, gdy wielokrotnie pakował się w rozmaite kłopoty z uwagi na stosowane przez siebie nieortodoksyjne metody śledcze. I na koniec, jak zapewne wiesz, Margo Green, bliska znajoma Pendergasta pomagająca mu przy dwóch dochodzeniach kilka lat temu: w sprawie zabójstw w muzeum i w metrze. Wszystkie te materiały dowodowe i analizy zostały sprawdzone po kilka razy, by wykluczyć możliwość pomyłki. Nie ma o niej mowy Agent specjalny Pendergast jest psychopatycznym zabójcą.

D'Agosta stężał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, dlaczego Diogenes uratował Pendergasta, po co się nim zajął i czemu zadbał o jego rychły powrót do zdrowia po tym, co go spotkało w Castel Fosco. Nie wystarczyło

mu, że zaczął zabijać przyjaciół swego brata. Zamierzał zrobić go w te zabójstwa.

–A teraz to – rzekła Hayward. Pokazała mu następny raport. Był włożony do plastikowej teczki, D'Agosta dostrzegł tytuł na pierwszej stronie.

Profil psychologiczny

Zabójcy Hamiltona / Duchampa / Deckera / Green

Jednostka Nauk Behawioralnych

Federalnego Biura Śledczego, Quantico

–Nie powiedziałam im, że podejrzewam jednego z ich ludzi. Wyjaśniłam jedynie, że zbrodnie te mogą być ze sobą powiązane, i poprosiłam o sporządzenie profilu. Z uwagi na zabójstwo Deckera otrzymałam raport w ciągu dwudziestu czterech godzin. No dalej, przeczytaj, jeśli chcesz, ale mogę zrelacjonować ci skróconą wersję. Zabójca to wykształcony mężczyzna, najprawdopodobniej po studiach. Jest ekspertem w dziedzinie chemii. Doskonale obeznany z procedurami policyjnymi i sądowymi, zapewne pracował niegdyś albo nadal służy w policji, dysponuje dużą wiedzą z zakresu wielu nauk, literatury, matematyki, historii, sztuki, muzyki, innymi słowy to prawdziwy człowiek renesansu. Jego iloraz inteligencji oscyluje gdzieś w granicach stu osiemdziesięciu, dwustu, ma od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Sporo podróżował po świecie i prawdopodobnie jest poliglotą. To zapewne były wojskowy. Ma spore zasoby finansowe. Jest mistrzem sztuki kamuflażu.

Spojrzała D'Agoście prosto w oczy. – Czy to ci kogoś przypomina, Vincencie?

D'Agosta nie odpowiedział.

–To tylko zarys ogólny. Przejdźmy teraz do analizy psychologicznej. – Przerwała, aby znaleźć odpowiedni fragment w raporcie. – Zabójca dysponuje wyjątkową samokontrolą i umiejętnością kontrolowania innych. Jest bardzo dobrze zorganizowany, schludny, skrupulatny i podporządkowany logice. Nie okazuje emocji, tłumy je i rzadko, jeżeli w ogóle kiedykolwiek, komuś się zwierza. Ma trudności z nawiązywaniem kontaktów oraz związków z płcią przeciwną. Najprawdopodobniej osobnik ten miał trudne dzieciństwo, wychowywany był pod okiem zimnej, władczej matki i pełnego rezerwy, powściągliwego w okazywaniu uczuć ojca – lub tylko przez jedno z rodziców. Nie łączą go z rodziną silne więzi. W rodzinie musiały zapewne występować przypadki chorób psychicznych albo zbrodni. Jako chłopiec przeżył traumatyczne zdarzenie z udziałem bliskiego członka rodziny, matki, ojca lub najbliższego rodzeństwa, które stara się odkupić lub zrekompensować przez resztę swojego życia. Przejawia głęboką podejrzliwość wobec władz, a równocześnie uważa się za osobę pod względem intelektualnym i moralnym lepszą od innych...

–Co ma znaczyć ten psychobelkot? – wybuchnął D'Agosta. – To jakieś bzdury. Wszystko jest kompletnie pomieszane i poplątane. To wcale nie tak.

I nagle przerwał. Hayward patrzyła na niego, unosząc brwi. – A więc rozpoznajesz tego człowieka.

–Oczywiście, że tak. Ale wszystko zostało poprzekręcane. Pendergast nie zabił tych ludzi. Wrobiono go. Wszystkie dowody, w tym także krew, zostały sprytnie podłożone. Zabójcą jest jego brat Diogenes.

Kolejna długa cisza.

–Mów dalej – rzekła beznamiętnie.

–Po tym, co spotkało Pendergasta we Włoszech, kiedy wszyscy sądzili, że nie żyje, Diogenes zabrał go do pewnej kliniki, aby tam doszedł do zdrowia. Był chory, nafaszerowany prochami. Diogenes miał mnóstwo okazji, aby zebrać tyle materiałów dowodowych, ile mógł potrzebować, aby zrobić Pendergasta: włosy, włókna, krew. To robota Diogenesa. Nie widzisz tego? Zrozum wreszcie. On nienawidził Pendergasta przez całe swoje życie, planował to od wielu lat. Przysłał nawet Pendergastowi list, wyzwanie, w którym dał wyraźnie do zrozumienia, że zamierza popełnić przestępstwo doskonałe, i podał nawet datę. To ma się wydarzyć właśnie dziś.

–Chyba nie próbujesz znów przekonywać mnie do swojej szalonej teorii, co, Vincencie?

–Teraz ja mówię. Diogenes zaplanował zbrodnię o wiele bardziej potworną niż zabójstwo jego brata. Postanowił zabić wszystkich, którzy byli bliscy Pendergastowi, ale jego samego pozostawić przy życiu. Wygląda na to, że próbuje również zrobić brata w te zabójstwa...

D'Agosta przerwał. Laura patrzyła na niego z politowaniem niemal graniczącym z bólem.

–Vincencie, pamiętasz, jak poprosiłeś mnie, abym zainteresowała się bliżej tym Diogenesem? Zrobiłam to. Zajęło mi sporo czasu wyśledzenie go, ale oto, co znalazłam. – Otworzyła teczkę, wyjęła kolejny dokument i podsunęła w jego stronę. Na dokumencie widniały oficjalne pieczęcie, stemple i podpisy notarialne.

–Co to ma być?

–Akt zgonu Diogenesa Dagreonta Bernoullego Pendergasta. Zginął dwadzieścia lat temu w Anglii w wypadku samochodowym.

–To lipa. Widziałem list od niego. Wiem, że on żyje.

–Skąd pewność, że to nie Pendergast napisał ten list? D'Agosta spojrzał na nią. – Ponieważ widziałem Diogenesa na

własne oczy.

–Naprawdę? Gdzie to było?

–Pod Castel Fosco, kiedy byliśmy ścigani. Miał oczy w dwóch różnych kolorach, tak jak powiedziała nam Cornelia Pendergast.

–A skąd wiesz, że to był Diogenes? D'Agosta zawahał się.

–Pendergast mi powiedział.

–Rozmawiałeś z nim?

–Nie. Ale niedawno widziałem jego zdjęcie z dzieciństwa. To była ta sama twarz.

Zapadła długa cisza. Hayward znów sięgnęła po raport z profilem psychologicznym.

–Jest tu coś jeszcze. Przeczytaj to. Podsunęła kartkę w jego stronę.

Obiekt może przejawiać symptomy rzadkiej odmiany zaburzenia psychicznego, osobowości wielorakiej, znanej jako syndrom Munchausena per procura, w której obiekt zachowuje się jak dwie, całkowicie odrębne postacie – zabójca i inspektor śledczy. W tym niezwykłym przypadku zabójca może być również funkcjonariuszem policji biorącym udział w dochodzeniu, a nawet wysokiej rangi oficerem prowadzącym śledztwo. W innym wariantcie tej patologii zabójca jest osobą cywilną, która prowadzi na własną rękę dochodzenie w sprawie zabójstw, często dokonując pozornie błyskotliwych odkryć i spostrzeżeń związanych z materiałami dowodowymi przeoczonymi przez policję. W obu wariantach osobowość zabójcy pozostawia drobne tropy, aby mogła je odkryć osobowość inspektora śledczego – tego rodzaju odkrycia często dokonywane są z wykorzystaniem pozornie nadzwyczajnych zdolności obserwacji i/lub dedukcji. Osobowości zabójcy i śledczego nie wiedzą o sobie nawzajem, nie są świadome istnienia jedna drugiej, choć na poziomie podświadomości, pozornie patologicznym, często napotyka się dowody zachodzącej między nimi ścisłej współpracy.

–Stek bzdur. W przypadku syndromu Munchausena per procura chodzi o to, że ktoś rozpaczliwie pragnie zwrócić na siebie uwagę. Pendergast na odwrót, stara się trzymać w cieniu. Nie chce się rzucać w oczy. To, co tu napisano, ani trochę do niego nie pasuje. Znasz go, pracowałaś z nim. Co podpowiada ci instynkt?

–Nie chcę tego wiedzieć. – Przypatrywała mu się z uwagą. – Vinnie, wiesz, dlaczego dzielę się z tobą tymi informacjami?

–Dlaczego?

–Po pierwsze uważam, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwa Pendergast to porąbany świr, a ty jesteś następny na liście. Wiem, że nie zawaha się, jeżeli będzie miał okazję cię sprzątnąć.

–Nie zabije mnie, ponieważ nie jest mordercą.

–Pendergast, którego znasz, nie ma świadomości, że jest mordercą. Wierzy w istnienie Diogenesa. Naprawdę sądzi, że jego brat nadal żyje i że wspólnie z tobą zdoła go odnaleźć. To elementy patologii, o której tu napisano. – Uderzyła otwartą dłońią w kartkę z raportem. – Ale istnieje jeszcze druga jego osobowość... Diogenes. Który żyje w jego ciele. Nie poznałeś jeszcze tej osobowości. Ale poznasz... A potem on cię zabije.

D'Agosta nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

–Nie wiem. Może nie powinnam mówić ci tego wszystkiego. – Jej głos stał się lodowaty. – Zwłaszcza po tym, jak wszystko dokumentnie rozpieprzyłeś. Wyciągnęłam do ciebie rękę, zrobiłam, co w mojej mocy, abyś wrócił do służby... a ty... odrzuciłeś wszystko... – Przerwała. Ciężko oddychała, usiłując odzyskać nad sobą panowanie.

D'Agosta poczuł, że narasta w nim gniew. – Ja zdradziłem ciebie? Posłuchaj, Lauro, próbowałem z tobą o tym porozmawiać. Chciałem ci wszystko wyjaśnić. Ale ty mnie odepchnęłaś, twierdząc, że mam obsesję na punkcie czyjejś śmierci. Pomyśl tylko, jak się wtedy czułem? I jak czuję się teraz, gdy mówisz mi, że jestem naiwny jak dziecko i narażam się na śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ zaufałem Pendergastowi? Widziałas moje akta, znasz moją przeszłość, wiesz, do czego jestem zdolny Czemu twoim zdaniem właśnie teraz miałbym się mylić?

–Nie czas teraz i nie miejsce na takie dyskusje – rzekła po chwili Hayward. Jej głos stał się cichy, wystudiowany. – Poza tym odeszliśmy od tematu.

–A właściwie na jaki temat rozmawialiśmy?

–Chciałabym, abyś wystawił nam Pendergasta.

D'Agosta stał jak wrośnięty w ziemię, był kompletnie osłupiały Powinien był się tego spodziewać.

–Wystaw go nam. Uratuj siebie. Ocal swoją karierę. Jeżeli on jest niewinny daj mu szansę, by wybronił się zgodnie z prawem, przed sądem.

–Ale wszystkie dowody zdają się świadczyć przeciwko niemu...

–Zgadza się. Są obciążające jak cholera. I nie znasz nawet połowy prawdy na ich temat. Ale tak już funkcjonuje nasz system. Wystaw go nam i niech dowiedzie swojej niewinności przed ławą przysięgłych.

–Miałbym go wystawić? Ale jak?

–Opracowałam już cały plan. Jesteś jedyną osobą, której on ufa.

–Prosisz mnie, abym go zdradził?

–Zdradził? Na Boga, Vinnie, ten człowiek jest seryjnym zabójcą. Zamordowano czworo niewinnych ludzi. Zapominasz o czymś jeszcze. Twoje postępowanie w ostatnich dniach: utrzymywanie w sekrecie informacji o tym, że Pendergast żyje, okłamywanie mnie i komendanta Singletona graniczy z utrudnianiem pracy wymiarowi sprawiedliwości. Teraz, kiedy już wiesz, że Pendergast jest ściganym przestępcą – właśnie tak, właśnie wystosowano za nim list gończy z nakazem aresztowania – jeżeli zechcesz dalej mu pomagać, narazisz się na oskarżenie o działanie przeciwko wymiarowi sprawiedliwości i pomoc post factum ściganemu przestępcy. Tkwisz po uszy w tym bagnie, a ja oferuję ci jedyną szansę na wydostanie się z niego. Albo pomożesz nam go dopaść, albo trafisz za kratki. Sprawa jest prosta.

D'Agosta milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy w końcu znów się odezwał, w pierwszej chwili nie poznał swojego głosu, wydawał się martwy, zimny, drewniany.

–Daj mi dzień na zastanowienie. Muszę to przemyśleć.

–Dzień? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Masz dziesięć minut.

ROZDZIAŁ 46

Viola obudziła się z potwornym bólem głowy. Przez chwilę patrzyła mętnym wzrokiem na ozdobiony fikuśnymi frędzlami baldachim ponad nią. I wtedy wszystko sobie przypomniała: jazdę po mrocznej autostradzie, coraz dziwniejsze komentarze brata Pendergasta, nagły atak...

Zwalczyła w sobie narastającą falę paniki. Leżała nieruchomo, koncentrując się na własnym oddechu, starając się nie myśleć o niczym.

Gdy odzyskała panowanie nad sobą, powoli usiadła na łóżku. Zakręciło jej się w głowie, przed oczami zawirowały czarne plamki. Przymrużyła powieki. Kiedy tępe pulsowanie pod czaszką ustało, znów otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju.

Była to nieduża sypialnia z tapetą w róże, starymi wiktoriańskimi meblami i pojedynczym, okratowanym oknem. Ostrożnie – z uwagi na łupanie w głowie i by nie narobić hałasu – zwiesiła nogi poza krawędź łóżka i stanęła niepewnie na podłodze. Bezszelestnie podeszła do drzwi i poruszyła klamką, ale tak jak przypuszczała, bez rezultatu. Były zamknięte na klucz. Nową falę paniki zdołała zdusić w sobie szybciej niż poprzednio.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Dom stał o kilkaset jardów od błotnistej zatoki. Poza rzędem niskich pofałdowanych wydm porośniętych krzewami dostrzegła nierówny brzeg i ciemny ocean z falami upstrzonymi tu i ówdzie pióropuszcami piany.

Niebo miało metalicznie szarą barwę, a Viola, która niejedną noc spędziła pod gołym niebem, wyczuła instynktownie, że był wczesny ranek. Po prawej i lewej dostrzegła zapuszczone domki plażowe, których okna po sezonie zabito deskami. Na plaży nie było żywego ducha.

Sięgnęła pomiędzy prętami krat i postukała palcami w szybę. Wydawała się nienaturalnie niebieska i gruba, być może specjalnie wzmocniona, o rozbiciu jej najprawdopodobniej nie było mowy. W dodatku dźwiękoszczelna; Viola nie słyszała szumu fal obmywających plażę opodal.

Poruszając się powoli i możliwie jak najciszej, weszła do niewielkiej łazienki, znajdującej się przy sypialni. Ona także była staroświecka i schludna, z umywalką, wanną na szponiastych nóżkach i kolejnym małym okratowanym oknem z równie grubą, wzmocnioną, nietłukącą szybą. Podeszła do umywalki i puściła wodę, która z lodowatej bardzo szybko stała się piekielnie gorąca. Zakręciwszy wodę, wróciła do sypialni.

Usiadła na łóżku i rozmyślała przez chwilę. To wszystko było takie nierealne, tak niesamowite, że nie potrafiła tego pojąć. Nie wątpiła, że mężczyzna, który odebrał ją z lotniska, był bratem Pendergasta – pod wieloma względami wydawał się być jego bliźniakiem. Ale dlaczego ją uprowadził? Jakie miał wobec niej zamiary? I najważniejsze – jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Pendergast? Jak to możliwe, że tak bardzo pomyliła się względem niego?

Kiedy jednak powróciła myślami do ich krótkiego spotkania na Caprai jesienią ubiegłego roku, uświadomiła sobie, jakie to wszystko było dziwne. Być może wiadomość o jego tragicznej śmierci przydała ich jedynemu spotkaniu romantyczności i uczyniło je czymś więcej, niż było w rzeczywistości. A potem ten list z informacją, że Pendergast wciąż żyje i tym romantycznym, impulsywnym zaproszeniem...

Impulsywnym. Właśnie tak. Znów napytała siebie biedy przez własną impulsywność, lecz tym razem jej kłopoty wydawały się śmiertelnie poważne.

Czy jest możliwe, że D'Agosta także był w to zamieszany? Że cała ta historia o śmierci Pendergasta od początku była mistyfikacją, sprytnym kłamstwem mającym na celu zwabienie jej tutaj? Czy miała do czynienia z grupą wyrafinowanych porywaczy? A może chodziło o okup? Im dłużej myślała o tym, co ją spotkało, tym bardziej strach ustępował miejsca oburzeniu i wściekłości. Ale nawet te emocje udawało się jej powstrzymać na wodzy.

Wróciła do łazienki i pospiesznie zbadła, co się w niej znajdowało: plastikowy grzebień, pasta do zębów, szczoteczka, szklanka, czyste ręczniki, szlafrok, ręcznik. Sięgnęła po szklankę. Była ciężka i masywna,

wykonana z prawdziwego grubego szkła.

Przez chwilę obracała ją w dłoniach w zamyśleniu. Ostry kawałek mógłby posłużyć jej jako broń, ale również jako narzędzie. Ucieczka przez okno nie wchodziła w rachubę, a drzwi z pewnością były wzmocnione i zamknięte na cztery spusty. Ale to był stary dom i ściany powinny być zrobione z gipsu i desek pokrytych zgrabnie tapetą.

Wzięła ręcznik, owinęła nim szklankę i uderzyła kilka razy o krawędź umywalki, aż usłyszała głuchy brzęk. Odwinęła ręcznik. Zgodnie z jej oczekiwaniami szklanka rozbiła się na kilka dużych kawałków. Wzięła najostrzejszy, wróciła do sypialni i podeszła do przeciwległej ściany. Ostrożnie, możliwie jak najciszej przyłożyła ostre krawędzie do pokrytej tapetą ściany i zadała pierwsze uderzenie na próbę. Szkło ześlizgnęło się gładko w dół, zdzierając strzęp tapety. Viola zdziwiła się i zawiodła, ujrawszy

pod tapetą błysk metalu. Paznokciami zaczęła zdzierać naderwaną tapetę, odsłaniając płytę gładkiej zimnej stali.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Drgnęła, po czym szybko położyła się na powrót do łóżka i udała, że śpi. Pukanie powtórzyło się, a po chwili usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Skrzypnęły otwierane drzwi. Leżała z zamkniętymi oczami, trzymając odłamek szkła ukryty tuż przy ciele w zaciśniętej kurczowo dłoni.

–Droga Violu. Wiem, że już nie śpisz. Nawet nie drgnęła.

–Widzę, że odkryłaś już, iż ozdobiłem twój pokój metalem. A teraz usiądź proszę i skończ tę nużącą maskaradę. Mam ci coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

Viola usiadła. Gniew powrócił. W drzwiach stał mężczyzna, którego nie rozpoznawała, choć głos bez wątpienia należał do Diogenesa.

–Wybacz, proszę, mój niezwykle wygląd: przebrałem się na wyjazd do miasta. Wybieram się tam za parę minut.

–W przebraniu, tak, dobrze powiedziane. Czyżbyś uważał się za nowego Sherlocka Holmesa?

Mężczyzna skłonił się nisko.

–Czego chcesz, Diogenesie?

–Mam to, czego chcę – ciebie.

–Po co?

Dziwny mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Czego chcę od ciebie? Szczerze mówiąc, nie zależy mi na tobie, ale zaciekałaś mnie z jednego powodu, a mianowicie stanowisz obiekt zainteresowania mojego brata. Usłyszałem, jak wymawia twoje imię i nazwisko, padły z jego ust tylko raz. To rozbudziło moją ciekawość.

Na szczęście masz niezwykle imię, twoja rodzina jest dość znana i udało mi się sporo dowiedzieć na twój temat. Naprawdę sporo. Podejrzywałem, że poczułaś miętę do mojego brata. Kiedy odpowiedziałaś na mój list, zrozumiałem, że przecucie mnie nie omyliło i że mam w rękach bezcenny skarb.

–Osioł z ciebie. Nic o mnie nie wiesz.

–Moja droga Violu, zamiast zawracać sobie głowę tym, co wiem, powinnaś raczej martwić się o to, czego ty nie wiesz, a co powinnaś wiedzieć. Po pierwsze uświadom sobie, że nie wydasz się z tego pokoju. Ściany, podłogi i sufit wykonane są z arkuszy stalowej blachy używanej do budowy kadłubów statków. Szyby są zrobione z dwóch warstw nietłukącego, kuloodpornego, dźwiękoszczelnego szkła. Szkło jest weneckie, jednostronne, ty możesz widzieć, co znajduje się na zewnątrz, ale nawet gdyby ktoś się tu zjawił – co jest raczej wykluczone – i tak nie zdoła zajrzeć do środka. Mówię ci to tylko po to, aby oszczędzić ci zbędnego wysiłku. Na regale są książki, w kranie masz wodę do picia, a w dolnej szufladzie toaletki są cukierki do

ssania.

–No, no, widzę, że zadałeś sobie wiele trudu. Zadbaleś nawet o słodycze.

–W rzeczy samej.

–W rzeczy samej. – Powtórzyła drwiąco jego słowa wypowiedziane z silnym akcentem. – Wspomniałeś, że masz mi do zakomunikowania dwie rzeczy Co z tą drugą?

–Musisz umrzeć. Jeżeli wierzysz w opatrzność, postaraj się z nią pojednać. Umrzesz jutro rano, zgodnie z tradycją, o świcie.

Viola niemal mimowolnie wybuchnęła gromkim, gniewnym śmiechem. – Gdybyś mógł teraz usłyszeć samego siebie! Nie stać cię na nic bardziej wymyślnego, ty pompatyczny bufonie? Umrzesz jutro, o świcie. Cóż za banał?

Diogenes cofnął się o krok, jego oblicze spochmurniało, po czym znów zmieniło się w beznamiętną, zimną maskę. – Twarda z ciebie sztuka, nie ma co.

–Co ja ci zrobiłam, ty cholerny świrze?

–Nic. Zapytaj raczej, co zrobiłaś mojemu bratu.

–Nic mu nie zrobiłam! Co to ma być? Jakiś chory żart? Oschły chichot. – Tak, to rzeczywiście chory żart. Bardzo chory żart.

Gniew i frustracja przemogły jej strach. Viola ścisnęła mocniej w rękę ułamek szkła. – Jak na tak odrażającego człowieka, wydajesz się niezwykle zadowolony siebie.

Oschły chichot urwał się nagle. – Proszę, proszę. Ależ mamy dziś cięty języczek.

–Jesteś obłąkany.

–Nie da się ukryć. Wedle wszelkich kryteriów jestem nienormalny, a przynajmniej za takiego musi uważać mnie ta zdrowa na umyśle część społeczeństwa.

Viola lekko przymknęła powieki.

–Widzę, że jesteś zwolennikiem tez szkockiego psychiatry R. D. Lainga.

–Nie jestem niczym zwolennikiem.

–Mów, co chcesz. Tak ci się tylko wydaje. To wynika z twojej niewiedzy. Laing powiedział: Choroba psychiczna to rozumna odpowiedź na bezrozumny świat.

–Doceniam tego dżentelmena, kimkolwiek jest, za trafne ujęcie tej kwestii. Ale tak się składa, droga Violu, że nie mam całego dnia na wzajemną wymianę uprzejmości.

–Mój drogi Diogenesie, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo jesteś nużący – Wymówiła to ostatnie słowo, naśladowując jego rozwlekły akcent. – I jak mi jest strasznie przykro, że nie możemy kontynuować tej czarującej rozmowy. Doprawdy wielka szkoda. A tak się miło zapowiadała

Zapadła cisza. Diogenes już się nie uśmiechał. Jeżeli jednak jakieś myśli zaprzętały obecnie jego umysł, nie dał tego po sobie poznać. Viola nie mogła się nadziwić głębi i wyrazistości własnego gniewu. Oddychała szybko, serce tłukło się jej w piersi jak szalone.

Diogenes westchnął przeciągle. – Jesteś gadatliwa jak mała małpka i masz tyle samo rozumu co ona. Na twoim miejscu radziłbym ci mniej mówić i z godnością stawić czoło śmierci, jak przystało na osobę z arystokratycznego rodu.

–Jak przystało na osobę z arystokratycznego rodu? Boże, nie mów mi, że jesteś jednym z tych amerykańskich szajbusów, których kręcą spotkania z jakimś czerwono nosym baronetem albo zniedołężniałym starym hrabią. Powinnaś się była domyślić.

–Violu, proszę. Nadmiernie się ekscytujesz. Nie unoś się tak...

–Ty, jak sądzę, nie byłbyś nadmiernie podekscytowany, gdyby nakłoniano cię do podróży przez ocean, nafaszerowano prochami, porwano, zamknięto w sypialni i zagrożono, że...

–Viola, ca suffit! Wróć nad ranem, by wypełnić swoją obietnicę. A ściślej rzecz biorąc, poderżnę ci gardło. Dwukrotnie. Przez pamięć naszego wuja Comstocka.

Nagle zamilkła. Strach powrócił ze zdwojoną siłą. – Dlaczego?

–Nareszcie sensowne pytanie. Jestem egzystencjalistą. Wykrawam własne treści z gnijącego, nabrzmiałego truchła tego martwego, rozkładającego się wszechświata. Choć nie ma w tym twojej winy, stałaś się częścią tych treści. Ale nie jest mi ciebie żal. Ten świat przepęlnia ból i cierpienie. Po prostu wolę bawić się w najlepsze, zamiast poświęcić się, odgrywając rolę kolejnej kretyńskiej ofiary. Nie czerpię przyjemności z cierpienia innych osób. Z wyjątkiem jednej. I to jest właśnie mój cel. Treść mojego życia.

Żyję dla mojego brata, Violu, on daje mi siłę, przydaje celu mojemu życiu, tworzy je. Jest moim zbawieniem.

–Idźcie do diabła. Ty i twój brat! Do piekła!

–Ach, droga Violu. Czyżbyś nie wiedziała? To jest właśnie piekło. Tyle tylko że ty niedługo dostąpisz wyzwolenia.

Viola zerwała się z łóżka i rzuciła na niego, unosząc szklany odłamek w dłoni, ale w okamgnieniu została obezwładniona i przyszpilona do podłogi. Jakimś cudem Diogenes znalazł się nagle na niej, przygniatając całym ciężarem; ujrzała tuż nad sobą jego twarz i poczuła gorący oddech przesycony zapachem goździków.

–Żegnaj, moja mała żywotna małpko – wyszeptał i czule pocałował ją w usta.

A potem jednym szybkim płynnym ruchem jak nietoperz podniósł się i wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi. Poderwała się z podłogi i skoczyła naprzód, ale już było za późno. Dał się słyszeć dźwięk dobrze naoliwionej stali wślizgującej się w przeznaczone dla niej otwory i drzwi sypialni zostały zamknięte na głucho. Były teraz równie zimne i niewzruszone jak wrota bankowego skarbcza.

ROZDZIAŁ 47

D'Agosta nie potrzebował całego dnia, aby przemyśleć propozycję Hayward, nie potrzebował nawet dziesięciu minut. Wyszedł z budynku, wyjął komórkę, którą otrzymał od Pendergasta, i poprosił o jak najszybsze spotkanie z uwagi na – jak to określił – zaistnienie sytuacji awaryjnej.

Kiedy w kwadrans później wysiadł z taksówki na rogu Broadwayu i Siedemdziesiątej Drugiej, wciąż jeszcze miał żywo w myślach ostatnie bolesne spotkanie z Laurą. Ale, jak sobie powtarzał, nie wolno mu było teraz o tym myśleć. Musiał pogrzebać swoje osobiste uczucia, dopóki kryzys nie zostanie zażegnany, zakładając, że w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie.

Ruszył na wschód wzdłuż Siedemdziesiątej Drugiej. Przed sobą, w oddali ujrzał Central Park; brązowe konary drzew w ten styczniowy chłodny dzień wyglądały jak unoszące się ku niebu kościste palce. Przy następnym skrzyżowaniu przystanął i znów sięgnął po komórkę. Zadzwoń znowu, kiedy dotrzesz na róg Columbus i Siedemdziesiątej Drugiej, powiedział mu Pendergast. D'Agosta znajdował się zaledwie przecznice od mieszkania Pendergasta w Dakota House. Czy to możliwe, aby był w domu? To wydawało się mało prawdopodobne, zważywszy na okoliczności.

Otworzył klapkę telefonu i wybrał numer.

–Tak? – rozległ się głos Pendergasta. W tle D'Agosta usłyszał stukanie w klawisze.

–Jestem na rogu – odparł.

–Świetnie. Postaraj się dostać niepostrzeżenie do domu numer dwadzieścia cztery przy Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej. To budynek na połę mieszkalny, na połę gospodarczy. Wejście jest w godzinach pracy zamknięte, ale recepcjonista ma zwyczaj wpuszczać wszystkich, którzy wyglądają całkiem normalnie. Zejdź po schodach do piwnicy i znajdź drzwi oznaczone jako B-14. Upewnij się, że jesteś sam. A potem powoli zapukaj, siedem razy. Zrozumiałeś?

–Tak.

Połączenie zostało przerwane.

Chowając telefon do kieszeni, D'Agosta przeszedł przez ulicę i pomaszerował dalej w stronę parku. Na wprost niego, na rogu widać było zdobiony krenelażem gmach Dakota House. Budynek miał barwę piasku. Wyglądał jak żywcem wyjęty z komiksu Charlesa Addamsa. Przy wielkim gotyckim wejściu znajdowała się stróżówka. Opośadał kręciło się dwóch mundurowych policjantów, a przy Central Park West stały trzy radiowozy.

Najwyraźniej kawaleria już przybyła na miejsce.

D'Agosta zwolnił, idąc możliwie jak najbliżej mijanych kolejno budynków i przez cały czas kątem oka bacznie obserwując gliniarzy.

Budynek o numerze 24 przy Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej okazał się dużą kamienicą czynszową umiejscowioną prawie w połowie długości przecznicy. D'Agosta rozejrzał się dookoła, nie dostrzegł nikogo podejrzanego, nacisnął przycisk dzwonka, został wpuszczony do środka i pospiesznie zatrzaskał za sobą drzwi.

Hol był nieduży i ciemny, ściany pokryte szarym marmurem, który wyglądał jak brudny albo może rozmazany. D'Agosta skinął głową do recepcjonisty, po czym zszedł na dół po schodach znajdujących się po drugiej stronie holu. Był tam pojedynczy korytarz wiodący do piwnic, z metalowymi drzwiami rozmieszczonymi w regularnych odstępach w ścianach z żuźlowych bloków. Odnalezienie drzwi oznaczonych jako B-14 zajęło mu w sumie sześćdziesiąt sekund. Ponownie rozejrzał się wokoło, po czym zgodnie z zaleceniami zastukał do drzwi siedem razy.

Przez chwilę w piwnicznej sieni panowała kompletna cisza. W końcu ze środka dał się słyszeć zgrzyt

otwieranego rygla. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna w czarno-białym stroju kamerdynera. Zlustrował wzrokiem korytarz i sień, po czym skinął głową do D'Agosty i wpuścił go do środka.

Jakie było jego zaskoczenie, gdy D'Agosta miał w pokoju znaleźć się w bardzo wąskim korytarzu przywodzącym na myśl korytarz techniczny, biegnący hen w dal i niknący w ciemnościach. Kamerdyner zapalił latarkę, po czym ruszył w głąb przejścia.

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Ściany z żuźlowych zmieniły się w ceglane, gipsowe, a potem znów ceglane. Miejscami korytarz się rozszerzał, gdzie indziej zaś był tak wąski, że D'Agosta dotykał ramionami ścian. Zakręcał kilka razy w lewo, a potem w prawo. W którymś momencie wyszli na dziedziniec niewiele większy od szybu wentylacyjnego; D'Agosta dostrzegł wysoko w górze skrawek błękitnego nieba. Miał wrażenie, jakby stał u podstawy ogromnego komina. Następnie wspięli się po krótkich schodach, kamerdyner otworzył następane drzwi dużym staroświeckim kluczem. Za nimi rozciągał się następny wąski korytarz.

Na jego końcu znajdowała się nieduża służbowa winda. Kamerdyner rozsunął masywną kratownicę. Otworzył drzwi jeszcze jednym kluczem i gestem zaprosił D'Agostę do środka. Sam również wszedł, zaciągnął kratownicę, zamknął drugie drzwi i zacisnął dłoń na dużej okrągłej ręczce w przeciwległej ścianie. Winda z pełnym protestu skrzypnięciem zaczęła sunąć pod górę.

W starych drzwiach nie było okienka i D'Agosta nie wiedział, ile minęli pięter; domyślał się, że trzy lub cztery. Winda stanęła sama, kamerdyner otworzył drzwi. Gdy spiżowa kratownica została rozsunięta, D'Agosta ujrzał za nią krótki korytarz wiodący do pojedynczych drzwi. Były otwarte i stał w nich Pendergast, ubrany jak zazwyczaj w czarny prosty garnitur. D'Agosta znieruchomiał, spoglądając na niego. Od czasu jego zdumiewającego „zmartwychwstania”, agent pojawiał się w tym lub innym przebraniu, był ucharakteryzowany, albo jedno i drugie, i widok starego przyjaciela wyglądającego w tradycyjny dla niego sposób zmroził D'Agostę krew w żyłach.

–Vincencie – rzekł Pendergast. – Wejdz, proszę. – I poprowadził go do małego, prawie niewyróżniającego się niczym pokoju. Była tu dębowa toaletka i skórzana sofa stojące pod jedną ze ścian, pod drugą zaś stolik pod komputer. Znajdowały się na nim cztery laptopy iMac, kilka urządzeń NAS oraz coś, co skojarzyło się D'Agostę z centralnym ośrodkiem dużego systemu komputerowego. Na tyłach pokoju widniało dwoje drzwi: jedno zamknięte, drugie zaś wiodące do maleńkiej łazienki.

–To twój apartament w Dakota House? – spytał z niedowierzaniem D'Agosta.

Na twarzy Pendergasta pojawił się wątpliwy uśmiech, który jednak zaraz zniknął. – Bynajmniej – odrzekł, zamykając drzwi. – Mój apartament mieści się piętro wyżej.

–Wobec tego co to za miejsce?

–Powiedzmy, że to melina. Wysoce wyspecjalizowana i stehnicyzowana melina. Została założona w ubiegłym roku za radą mego współpracownika z Ohio na wypadek, gdyby jego usługi okazały się czasowo niedostępne.

–Nie możesz tu zostać. Przed wejściem do Dakota House roi się od glin. Wracam właśnie z biura Laury Hayward. Okazało się, że ma idealnego podejrzanego.

–Mnie.

–A skąd to wiesz?

–Wiedziałem już od pewnego czasu. – Pendergast wodził wzrokiem od jednego ekranu do drugiego i przez cały czas stukał w klawisze. – Kiedy dotarłem na miejsce zbrodni, gdzie zabito mojego przyjaciela Michaela Deckera, znalazłem kilka kosmyków włosów, które trzymał w zaciśniętej dłoni. To były jasne włosy. Mój brat nie jest blondynem, ma rude włosy. Natychmiast zorientowałem się, że plan Diogenesa jest jeszcze ciekawszy, niż się spodziewałem. Nie tylko zamierzał wymordować bliskie mi osoby, lecz również zrobić mnie w ich zabójstwo.

–A co z liścikami, które Diogenes ci przysyłał? Czy nie stanowią dowodu, że on wciąż żyje?

–Nie. Pamiętasz ten dziwny charakter pisma, o którym powiedziałem, że coś mi przypomina? To mój charakter pisma, ale na tyle niewyraźny, że może się wydawać – a przynajmniej tak stwierdzi doświadczony grafolog – jakbym próbował je rozmyślnie zmienić.

D'Agosta potrzebował kilku chwil, aby przyjąć to do wiadomości. – Czemu mi nie powiedziałaś?

–Nie widziałem potrzeby obarczać się tym wszystkim, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Kiedy ujrzałem te włosy, nie miałem już wątpliwości, że Diogenes w innych miejscach zbrodni także podrzucił obciążające mnie dowody. Jestem pewien, że gdy dochodziłem do zdrowia we Włoszech, zebrał dość dowodów, jakich mógł potrzebować, które pobrał bezpośrednio ode mnie, włącznie z krwią. Kwestią czasu było, kiedy zostaną bezpośrednio powiązany z tymi morderstwami. Liczyłem na trochę więcej czasu. Hayward świetnie się spisała.

–To nie wszystko. Laura poprosiła, abym cię wystawił. Właśnie wtedy wyszedłem z jej gabinetu. Podobno mają już na ciebie nakaz. Nie możesz tu zostać.

–Wręcz przeciwnie, Vincencie. Muszę tu zostać. To jedyne miejsce wyposażone we wszystko czego obecnie mi potrzeba. I tak jak w Skradzionym liście Poego: dom to ostatnie miejsce, gdzie policja mogłaby mnie szukać. Obecność stróżów prawa to czysta formalność.

D'Agosta spojrzał na niego. – A więc dlatego byłeś pewien, że Diogenes nie zaatakuje Laury, ponieważ to ona prowadzi śledztwo w sprawie Duchampa. Oparłeś swoje przypuszczenia na przeświadczeniu, że uzna ciebie za głównego podejrzanego.

–Właśnie tak. A teraz przystaw sobie krzesło i pozwól, że pokażę ci, czym się właśnie zajmuję. – Pendergast wykonał zamaszty gest ręką w stronę czterech włączonych laptopów. – Te komputery są podpięte pasożytniczo do sieci ulicznych kamer miejskich zamontowanych przy skrzyżowaniach oraz do kilku większych prywatnych systemów, między innymi banków i bankomatów Wskazał na jeden z ekranów podzielony na dwanaście mniejszych okienek, w każdym z nich widać było czarno-biały obraz z ulic miasta, skrzyżowań i punktów opłat drogowych prezentowany wstecz w przyspieszonym tempie.

–Po co?

–Jestem pewien, że Diogenes zamierza popełnić swe przestępstwo doskonale na Manhattanie lub w jego bliskiej okolicy. A w obecnych czasach nie da się krążyć po metropolii takiej jak Nowy Jork, by nie zostać przy tym sfotografowanym lub nagrany na taśmę. Kamer jest mnóstwo, praktycznie w każdej części miasta.

–Ale Diogenes będzie z pewnością w przebraniu.

–Dla większości ludzi owszem. Ale nie dla mnie. Możesz zmienić wygląd, ale nie swoje zachowanie, maniery, chód czy sposób, w jaki mrugasz oczami. Wygląd to nie wszystko. Fizycznie ja i Diogenes jesteśmy podobni. Nagrałem siebie na taśmę, a teraz wprowadziłem algorytmy rozpoznawania obrazu i rozpoznawania wzorców w obrazach docierających do mego systemu za pośrednictwem sieci kamer nadzorujących. – Wskazał ręką na inne laptopy. – Jak widzisz, koncentruję się zwłaszcza na obrazach z kamer umieszczonych w pobliżu Dakota House i skrzyżowań wokół rezydencji przy Riverside Drive. Wiemy, że Diogenes był w rezydencji i najprawdopodobniej odwiedził także to miejsce. Gdyby udało się go odnaleźć, zdobyć wizualny wzorzec, mógłbym go potem spróbować namierzyć, może zdołałbym odkryć jakiś schemat w jego poczynaniach.

–Czy nie potrzebowałbyś do tego więcej sprzętu niż w całej tej sali komputerowej?

–Stąd też moje ukryte zasoby – Pendergast sięgnął ręką i otworzył zamknięte drzwi. Stały tam jeden na drugim serwery wspomagające i macierze dyskowe.

D'Agosta zagwizdał przeciągle. – Rozumiesz cały ten szajs?

–Nie. Ale wiem, jak go używać.

Pendergast odwrócił się, by na niego spojrzeć. Choć skórę miał bledszą niż kiedykolwiek dotąd, oczy agenta lśniły wewnętrznym blaskiem. Odzyskał wewnętrzną energię, złapał drugi oddech, choć wyglądał, jakby nie

spał kilka dobrych nocy.

–Diogenes gdzieś tam jest, Vincencie. Czai się wśród tych miriadów strumieni danych. Aby popełnić zbrodnię doskonałą, będzie musiał wyjść ze swojej kryjówki i wtedy właśnie będę miał szansę – moją jedyną, naprawdę ostatnią szansę, aby go powstrzymać. Ten pokój to jedyne miejsce, gdzie mam jeszcze dostęp do technologii, dzięki której mogę tego dokonać. – Znów stukanie w klawisze. – Pamiętasz mego współpracownika z Ohio, o którym ci wspominałem, on bardziej nadawałby się do tej roboty. Niestety, zmuszony był dla własnego bezpieczeństwa chwilowo... wycofać się z obiegu. Musiał stać się niewidzialny.

–Laura nie jest kobietą, która będzie czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Gliny prawdopodobnie już po ciebie idą.

–Po ciebie również, jak sądzę. D'Agosta nie odpowiedział.

–Przeszukali moje mieszkanie, dom przy Riverside Drive zapewne też. A co się tyczy tej małej kryjówki... Cóż, sam widziałeś, że mam prywatne wyjście z Dakota House. Nie wiedzą o nim nawet tutejsi odźwierni. Jedynie Martyn, którego właśnie poznałeś.

Przestał wpisywać coś na komputerze. – Vincencie, jest coś, co musisz zrobić.

–Co takiego?

–Pójdiesz zaraz do Laury Hayward. Powiesz jej, że zgadzasz się na współpracę pod każdym względem, ale wszystko wskazuje, że zniknąłem, zapadłem się pod ziemię, a ty nie masz pojęcia, gdzie mogłem się zaszyć. Nie ma potrzeby, abys jeszcze bardziej marnował swoją karierę, i tak dość się już dla mnie narażałeś.

–Powiedziałem ci już: zamierzam dotrzeć z tobą aż do końca całej tej historii.

–Vincencie, kategorycznie żądam, abys zrezygnował z dalszego pomagania mi.

–Wiesz co, Aloysiusie? Pendergast spojrzał na niego.

–Możesz mi skoczyć.

Zauważył, że Pendergast przyglądał mu się z uwagą. – Nie zapomnę tego, Vincencie.

–Nie ma o czym mówić.

Agent powrócił do przerwanej pracy. Minęło dziesięć, dwadzieścia minut i nagle Pendergast zeszywniał.

–Masz coś?

–Chyba tak – odparł Pendergast. Wpatrywał się z przejęciem w jeden z ekranów, odtwarzając na nim w tę i z powrotem, krótki fragment cyfrowego zapisu.

D'Agosta spojrzał mu przez ramię. – To on?

–Komputer uważa, że tak. Ja zresztą też. Choć to trochę dziwne, obraz nie pochodzi z okolic Dakoty, jak się tego spodziewałem. Zarejestrowano go sześć przecznic stąd na północ, przed... – W tej samej chwili z pudełka na stole dobiegł cichy sygnał. Pendergast błyskawicznie odwrócił się w tę stronę.

–Co się stało? – spytał D'Agosta.

–To Martyn. Najwyraźniej ktoś chce się ze mną zobaczyć. D'Agosta stęzał – Policja?

Pendergast pokręcił głową. Nachylił się nad pudełkiem i wcisnął przycisk.

–Poczta kurierska, sir – rozległ się głos. – Kurier ma dla pana kopertę.

–Kazałeś mu zaczekać?

–Tak.

–Policja nic nie wie o jego przybyciu?

–Oczywiście, że nie, sir.

–Przyprowadź go. Zastosuj wszelkie środki ostrożności.

Pendergast zdjął palec z przycisku i wyprostował się. – Przekonamy się, o co chodzi. – Powiedział to spokojnym, zrównoważonym tonem, ale na jego twarzy malowało się napięcie.

Dotarli krótkim korytarzem do windy. Przez minutę żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Wreszcie z dołu dobiegł klekot jadącej windy. Niebawem mosiężna kratownica została odciągnięta i z kabiny wyszło dwóch mężczyzn: kamerdyner, którego D'Agosta spotkał wcześniej, i kurier, szczupły Latynos w grubej kurtce i z bandaną na głowie. W ręku miał dużą kopertę.

Na widok przesyłki blade oblicze Pendergasta wyraźnie poszarzało. Agent bez słowa sięgnął do kieszeni czarnej marynarki, wyjął z niej parę chirurgicznych rękawiczek i nałożył. Po czym wyłuskał z portfela banknot dwudziestodolarowy i podał kurierowi.

–Zechciałby pan poczekać tu jeszcze przez chwilę? – zapytał.

–Czemu nie – odrzekł Latynos, zerkając podejrzliwie na rękawiczki. Pendergast wziął od niego kopertę i wymienił krótkie spojrzenie z kamerdynerem. Następnie, skinąwszy na D'Agostę, pośpiesznie wrócił do swojego pokoju.

–Od Diogenesa? – spytał D'Agosta, zamykając za nimi drzwi.

Pendergast nie odpowiedział. Miał tego rozłożył na biurku arkusz białego papieru, położył na nim kopertę i dokładnie ją obejrzał. Nie była hermetycznie zabezpieczona, główna klapka zwieszała się luźno przymocowana do koperty poskręcaną czerwoną nicią. Pendergast bacznie przyjrzał się nici. Następnie rozciął ją i delikatnie odwrócił kopertę, aby ją opróżnić. Ze środka wypadła niewielka złożona na pół kartka papieru oraz kosmyk ciemnych lśniących włosów.

Pendergast aż westchnął w głos. Na chwilę wstrzymał oddech. W małym pokoju towarzyszący temu dźwięk zabrzmiał przeraźliwie głośno. Agent pośpiesznie ukląkł i rozłożył kartkę, która znajdowała się w kopercie.

Była wykonana z najlepszego czerpanego papieru, u góry zaopatrzona w znak herbowy: oko bez powieki ponad dwoma księżycami i szykującym się do skoku lwem. Poniżej piórem, zwykłym albo wiecznym, atramentem w kolorze tytoniu wypisano datę: 28 stycznia.

D'Agosta zdał sobie sprawę, że był to identyczny list, który Pendergast otrzymał kilka miesięcy wcześniej w rezydencji przy Riverside Drive. Jednak w przeciwieństwie do poprzedniego, ten zawierał nie tylko datę. Jego wzrok padł na słowa znajdujące się poniżej: Ona ma w sobie ducha, bracie. Rozumiem już, czemu tak ją lubisz. Raduj się tym drobiazgiem, traktując go jako zadatek moich roszczeń. Zachowaj go – pukiel jej cudownych włosów. Zachowaj go na pamiątkę jej odejścia. Jeśli zaczniesz pieścić go w dłoni, możesz niemal poczuć aromat słodkiego powietrza Caprai.

Rzecz jasna to wszystko może być kłamstwem. Ten pukiel może należeć do kogoś innego. Zapytaj swego serca, co jest prawdą. Frater, ave atque vale.

–O Bo... – wychrypiał D'Agosta. Głos uwiązł mu w gardle. Spojrzał na agenta. Ten siedział na podłodze, gładząc delikatnie pukiel ciemnych włosów. Na jego twarzy malował się grymas tak przerażający, że D'Agosta musiał się odwrócić.

–To może być kłamstwo – powiedział. – Twój brat kłamał już wielokrotnie.

Pendergast nie odpowiedział. Nastąpiła krótka nieprzyjemna cisza.

–Pójdę porozmawiać z tym kurierem – rzucił D'Agosta; nie miał odwagi obejrzeć się wstecz.

Po wyjściu z pokoju przeszedł korytarzem w stronę windy Kurier wciąż tam był, czekał, pod czujnym okiem Martyna.

–Policja – mruknął, błyskając służbową odznaką. Wszystko zaczęło się toczyć jak w zwolnionym tempie, to był istny koszmar. Poczuł się ciężki, ledwie mógł się poruszać. Zastanawiał się, czy tak właśnie czują się ludzie będący w szoku.

Młodzieniec pokiwał głową.

–Kto dał ci tę paczkę? Od kogo ją dostałeś?

–Ktoś przyjechał taksówką do naszego biura.

–Jak wyglądał ten człowiek?

–To był taksówkarz. Przyjechał sam, bez pasażera.

–Jakim samochodem przyjechał?

–Typową taryfą, żółtą, jak wszystkie inne. Z miasta.

–Czy podał nazwisko albo numer służbowy? – Już kiedy zadał to pytanie, D'Agosta wiedział, że nie ma znaczenia, czy dzieciak zdołał to zapisać, czy też nie, Diogenes z całą pewnością zatarał za sobą ślady.

Kurier pokręcił głową.

–Kto ci za to zapłacił?

–Dostałem pięćdziesiąt dolarów od taksówkarza. Powiedział, że zgodnie z otrzymanym poleceniem miał poprosić kuriera o dostarczenie paczki doktorowi Pendergastowi zamieszkałemu przy Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej numer jeden. Do rąk własnych, o ile to możliwe. I miałem nie rozmawiać z nikim, prócz doktora Pendergasta lub odźwiernego.

–Doskonale. – D'Agosta zapisał nazwisko kuriera i jego szefa. Odprowadził Martyna na stronę i poprosił o dopilnowanie, by chłopak opuścił budynek nieniepokoiony przez policję. Uczucie ciężaru wcale z niego nie opadło. Wrócił do niewielkiego pokoju.

Pendergast nie uniósł wzroku, gdy D'Agosta wszedł do środka. Wciąż siedział zgarbiony na podłodze, pukiel włosów ułożył przed sobą. Oparł obie dłonie zwrócone wnętrzami do góry o kolana, zgięte kciuki stykały się opuszkami ze środkowymi palcami. Nie poruszał się, nie mrugał powiekami, wydawało się, jakby w ogóle nie oddychał. W oczach D'Agosty agent sprawiał wrażenie, jakby znajdował się tysiące mil od niego.

Może faktycznie tak jest, pomyślał D'Agosta. Może medytuje albo coś w tym rodzaju. A może po prostu robi, co w jego mocy, aby nie popaść w obłąd.

–Kurier nic nie wie – oznajmił możliwie jak najłagodniejszym tonem. – Trop został zbyt skutecznie zatarty

Pendergast nie odezwał się słowem. Wciąż trwał w bezruchu. Jego oblicze nadal było blade jak ściana.

–Skąd, u licha, Diogenes dowiedział się o Violi? – wybuchnął D'Agosta.

Pendergast odpowiedział niemal jak robot. – Przez pierwszy tydzień, gdy znajdowałem się pod opieką Diogenesa, majaczyłem. Trawiła mnie gorączka. Całkiem możliwe, że wypowiedziałem jej imię. A Diogenesowi nic nie umknie, dosłownie nic.

D'Agosta osunął się na sąsiednie krzesło. W chwili obecnej nie przejąłby się nawet, gdyby do mieszkania wpadła Laura Hayward w asyście tuzina uzbrojonych agentów FBI i oddziału specjalnego policji. Mogłaby go wsadzić za kratki i wyrzucić klucz. Było mu to obojętne. Życie straciło dla niego sens. Dwaj mężczyźni siedzieli tak w milczeniu i bezruchu przez dobre pół godziny Wreszcie bez ostrzeżenia Pendergast poderwał się z podłogi tak gwałtownie, że serce podeszło D'Agostie do gardła.

–Ona musiała podróżować pod swoim nazwiskiem – oznajmił, a jego oczy rozbłysły

–Co takiego? – spytał D'Agosta, on także się podniósł.

–Nie przyjechałaby, gdyby poprosił, aby użyła fałszywego nazwiska albo pseudonimu. I musiała zjawić się całkiem niedawno, nie przysłałby mi tej wiadomości z opóźnieniem, nie mógłby się oprzeć, aby mi ją dostarczyć jak najszybciej.

Podbiegł do najbliższego laptopa i zaczął wściekle uderzać w klawisze. Po dwudziestu sekundach odgłosy ucichły

–Jest! – zawołał.

D'Agosta podszedł czym prędzej, aby spojrzeć na ekran.

Baza danych Folkestone

SOL Engine 4.041. a

Poufne

Do użytku wewnętrznego

Przegląd list pasażerów

Wynik przeglądu

Znaleziono jeden zapis

Maskelene, Lady Viola

Lot numer 822 Linii British Airways

Odlot: Londyn, Międzynarodowy Port Lotniczy Gatwick LGW, 27 stycznia, godzina 23.54 czasu zachodnioeuropejskiego

Przylot: Nowy Jork, Międzynarodowy Port Lotniczy im. Kennedy'ego, 28 stycznia godzina 12.10 czasu wschodnioamerykańskiego

Koniec przeglądu.

Pendergast odwrócił się od ekranu. Wydawało się, że cały aż kipi energią, a w jego oczach – jeszcze do niedawna pustych i mętnych – goreje niespożyty ogień.

**–Chodź, Vincencie, jedziemy na lotnisko. Z każdą zmarnowaną przez nas chwilą trop coraz bardziej stygnie.
– I nie mówiąc nic więcej, wyszedł z pokoju i skierował się w stronę windy.**

ROZDZIAŁ 48

Zupełnie jak za dawnych lat, pomyślał ponuro D'Agosta: Pendergast w czarnym garniturze mknący ulicami Nowego Jorku w swoim rollsie. Tyle tylko że wcale nie było jak dawniej. Pendergast był poszukiwany przez policję, a D'Agosta pogrążył się w bagnie tak głęboko, że jeżeli zdoła się z niego wydostać, będzie potrzebował komory dekompresyjnej, aby dojść do siebie.

Rolls zatrzymał się przy chodniku przed halą przylotów, przy wejściu numer 7. Pendergast wyskoczył z samochodu, nie wyłączając silnika. W jego stronę ruszył policjant z ochrony lotniska, a Pendergast natychmiast podbiegł do niego. – Federalne Biuro Śledcze – błysnął funkcjonariuszowi przed oczami swoją odznaką, po czym złożył skórzany portfelik i wsunął go z powrotem do kieszeni marynarki.

–W czym mogę panu pomóc? – spytał natychmiast funkcjonariusz z rezerwą w głosie.

–Prowadzimy tu bardzo ważne dochodzenie. Czy możecie, posterunkowy, popilnować naszego wozu?

–Tak jest. – Funkcjonariusz nieomal zasalutował. Pendergast wszedł do hali przylotów, poły czarnej marynarki falowały mu z tyłu, jak skrzydła kruka. D'Agosta pomaszerował za nim w stronę stanowiska odbioru bagażu. Krępy strażnik z isticie anielską cierpliwością wysłuchiwał tam utyskiwań jakiegoś mężczyzny, który wrzeszczał, skarżąc się, że ukradziono mu walizkę.

Pendergast ponownie otworzył swoją legitymację. – Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze. To mój współpracownik Vincent D'Agosta z policji nowojorskiej.

–W samą porę! – ryknął gniewnie mężczyzna. – Niezwykle cenna biżuteria mojej żony...

–Nigdy nie należy przewozić biżuterii w walizce – odrzekł łagodnie Pendergast, ujmując mężczyznę pod łokieć i odprowadzając w stronę wyjścia, a następnie pospiesznie zamykając za nim drzwi.

–W pana wykonaniu to się wydawało takie proste – rzekł strażnik z uśmiechem.

–Czy funkcjonariusz Carter ma dzisiaj służbę? – spytał Pendergast, po czym skierował wzrok na plakietkę z nazwiskiem na piersi strażnika.

–To ja. Randall Carter. Co mogę dla pana zrobić?

–Powiedziano mi, że jest pan najlepszym kandydatem do rozwiązania mojego małego problemu.

–Naprawdę? – Oblicze mężczyzny rozpromieniło się. – Kto...?

–Musimy przejrzeć kilka taśm ochrony nagranych wczorajszej nocy Ścisłej mówiąc, parę minut po północy To bardzo pilne.

–Dobrze, muszę tylko najpierw skontaktować się z szefem ochrony.

Pendergast pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie powiedzieli panu, że wszystko zostało już uzgodnione?

–Naprawdę? Nic o tym nie wiem. To zabawne, przecież powinni mi przysłać pisemną zgodę...

–Cóż – przerwał mu gwałtownie Pendergast. – Cieszę się, że przynajmniej mieli dość oleju w głowie, aby przysłać mnie do pana. Potrafi pan myśleć samodzielnie, nie jest pan jednym z tych okropnych biurokratów. – Nachylił się ku niemu i ścisnął go za ramię. – Nosi pan kamizelkę kuloodporną?

–Kamizelkę? Nie musimy... Hej! A o co właściwie chodzi? Dlaczego...?

–Lepiej już chodźmy.

–Tak jest. – Funkcjonariusz nie potrzebował dłuższego przekonywania. Przeszedł na drugi koniec swojego stanowiska i otworzył służbowe drzwi.

Przebyli odmalowany na beżowo korytarz, minęli kolejne zamknięte drzwi, aż w końcu dotarli do rozległej sali komputerowej, gdzie nad terminalami, na ekranach monitorów pojawiały się czarno-białe obrazy z kamer wideo. Kilku pracowników ochrony siedziało przy kawiarnianym stoliku, popijając kawę, podczas gdy w kącie pokoju chudy rozdrażniony technik bębnił w klawiaturę komputera.

–Ci dwaj panowie chcieliby obejrzeć pewne nagranie – rzekł Carter do technika.

–Chwileczkę – burknął technik.

–Nie, już, natychmiast. Ten człowiek jest z FBI, to bardzo ważna i pilna sprawa.

Technik wstał od komputera i zaryczał gniewnie. – Dobra. Rzućmy okiem na pisemne zezwolenie z centrali. – Wyciągnął rękę.

–Ta sprawa już została załatwiona. Ręczę za to, że wszystko jest w porządku.

Mężczyzna wyrócił oczami. – W takim razie czego właściwie chcesz?

Pendergast postąpił naprzód. – Tuż po północy wylądował tu samolot British Airways, lot numer 822. Chcę przejrzeć taśmy ochrony ze stanowiska odbioru bagażu i co najważniejsze, z samej hali przylotów, tuż za punktem kontroli celnej.

–Proszę usiąść. To może trochę potrwać.

–Obawiam się, że nie mam wiele czasu.

–Proszę dać mi szansę. Zrobię co w mojej mocy, ale proszę nie czekać z zapartym tchem.

Pendergast uśmiechnął się łagodnie. Na widok tego uśmiechu D'Agosta poczuł, że instynktownie naprężają mu się mięśnie.

–Jonathan Murphy, zgadza się? – spytał słodkim głosem Pendergast.

–Widzę, że potrafi pan odczytać napis na plakietce. Brawo.

–Jeżeli chodzi o załatwianie pewnych spraw, jestem zwolennikiem teorii kija i marchewki, Jonathanie – ciągnął spokojnie Pendergast. – Jeżeli przekaże mi pan te taśmy w ciągu pięciu minut, otrzyma pan dziesięć tysięcy dolarów z Publicznego Funduszu Nagród i Bonusów Rozliczeniowych Federalnego Biura Śledczego, znanego także jako FaNaBeRia. Nie wątpię, że pan o nim słyszał. Jeżeli jednak nie odda mi pan tej taśmy, gwarantuję, że załatwię panu wilczy bilet i tak nabrużdżę w papierach, że już nigdy nie znajdzie pan roboty na

żadnym innym lotnisku czy w jakimkolwiek biurze ochrony w tym kraju. A zatem pytam raz jeszcze: co pan wybiera? Kij czy marchewkę?

Cisza. Pracownicy ochrony szturchnęli jeden drugiego łokciami i uśmiechnęli się półgębkiem. Najwyraźniej żaden z nich nie przepadał za napuszonym technikiem.

Murphy wyszczerzył się drwiąco. – Wezmę te dziesięć patoli.

–Doskonale.

Technik ponownie usiadł przy komputerze i ochoczo zabrał się do pracy, jego palce gniewnie bębniły w klawiaturę. D Agosta patrzył na kolumny cyfr przesuwające się w błyskawicznym tempie po ekranie monitora.

–Nie używamy już taśm wideo – powiedział. – Wszystko mamy zmagazynowane cyfrowo, na miejscu. Strumienie danych wykorzystują cały terabajt macierzy dyskowej.

Nagle przestał uderzać w klawisze. – Okej. Samolot wylądował dziesięć minut po północy, pasażerowie zostali skierowani do wyjścia numer trzydzieści cztery. Zobaczmy... Przejście przez odprawę celną i dotarcie do punktu odbioru bagażu zajmuje zazwyczaj około kwadransa... Dla bezpieczeństwa ustawię na zero dwadzieścia. Jeszcze chwileczkę.

Ekran ożył. Pendergast wychylił się do przodu, wlepiając wzrok w monitor. D'Agosta patrzył ponad jego ramieniem. Dostrzegł stanowisko odbioru bagażu i pusty jeszcze, ale wciąż przesuwający się pas transmisyjny

–Przewinę trochę, aż pojawią się pierwsze osoby – rzekł Murphy.

Pas transmisyjny zaczął się przesuwać nieco szybciej. Mijały kolejne sekundy. Niebawem po odbiór bagażu zaczęli się zgłaszać pierwsi pasażerowie. Murphy wcisnął kilka klawiszy i spowolnił odtwarzanie zapisu do normalnej prędkości.

–To ona! – wyszeptał z przejęciem Pendergast, wskazując na ekran.

D'Agosta dostrzegł szczupłą postać Violi Maskelene stojącej opodal z niewielką torebką na ramieniu. Podeszła do pasa transmisyjnego, wyjęła z torebki kwit bagażowy, odebrała swoje rzeczy, sprawdziła, czy wszystko się zgadza, po czym skrzyżowała ramiona na piersiach i czekała cierpliwie.

Przez dłuższą chwilę Pendergast po prostu patrzył na szczupłą kobietę na ekranie. A potem znów się odezwał. – Proszę teraz o obraz z hali przylotów. Ten sam przedział czasowy.

Technik wprowadził kilka kolejnych komend. Obraz z punktu odbioru bagażu zniknął i zastąpił go widok hali dla oczekujących przy stanowisku odprawy celnej. Nie było tam dużego tłoku, grupki ludzi oczekiwały na pojawienie się osób, które przyszli powitać.

–Tam – wycedził Pendergast.

Nieco z boku stał wysoki szczupły mężczyzna w ciemnym płaszczu. Miał rude włosy i raczej dość leniwie rozglądał się wokoło. W pewnej chwili uniósł wzrok i spojrzał jednym okiem w stronę kamery ochrony.

D'Agosta z trudem się pohamował, aby nie cofnąć się o krok. Ten mężczyzna patrzył wprost na nich. Teraz miał opaloną i kanciastą twarz, ozdobioną starannie przyciętą bródką, jedno oko było mlecznoniebieskie, drugie natomiast brązowe. D'Agosta rozpoznał go natychmiast. To był ten sam mężczyzna, którego ujrzał na wzgórzach nad Castel Fosco, we Włoszech owego feralnego dnia, niecałe dwa miesiące wcześniej.

Mężczyzna skinął lekko głową do kamery, uniósł rękę i pomachał delikatnie. Jego usta poruszyły się, jakby coś mówił.

D'Agosta spojrzał na Pendergasta. Jego oblicze było białe z wściekłości.

Pendergast odwrócił się do technika. – Proszę cofnąć i wydrukować zdjęcie, kiedy ten mężczyzna macha

ręką.

–Dobrze.

Chwilę potem rozległ się szum komputerowej drukarki. Pendergast wyrwał wysuwającą się z maszyny barwną fotografię i schował do kieszeni.

Raz jeszcze obrazy na monitorze zaczęły się przesuwać w przyspieszonym tempie, by zwolnić, kiedy na ekranie pojawiła się Viola. Diogenes podszedł do niej, rozkładając szeroko ręce i uśmiechając się przymilnie. D'Agosta patrzył z zapartym tchem, jak tych dwoje przez kilka chwil wymienia uprzejmości, aż w końcu Diogenes pomachał trzymanym w dłoni banknotem i przywołał bagażowego. Mężczyzna i kobieta odwrócili się i ruszyli w stronę wyjścia, a za nimi podążył bagażowy z walizkami Violi.

Pendergast wskazał na ekran. – Jak nazywa się ten bagażowy? Carter, funkcjonariusz ochrony, spojrzął na ekran spod półprzymkniętych powiek. – To chyba Norm. Norman Saunders.

–Czy jest jeszcze w pracy?

Carter pokręcił głową. – Nie mam pojęcia.

–Kończy zmianę o szóstej – dorzucił inny strażnik. – Ale czasami pracuje także po godzinach.

Postacie znikły za przeszklonymi drzwiami.

–Proszę zmienić na obraz z kamery przed wejściem do hali przylotów.

–Już się robi.

Znów stukanie w klawisze. Obraz ponownie się zmienił. Ujrzeli Diogenesa idącego w kierunku ciemnego lincolna. Nacisnął klamkę i otworzył drzwiczki przed Violą, pomógł jej wsiąść. Odczekał, aż bagażowy zamknie bagażnik, po czym obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą. Samochód odjechał w mrok nocy i po chwili zniknął im z oczu.

–Proszę cofnąć – rzekł Pendergast – i zrobić dla mnie wydruk tego samochodu. W chwili gdy są otwarte drzwiczki, chcę zobaczyć jego wnętrze. I jeszcze jedno zdjęcie, kiedy auto rusza, abyśmy mogli spisać numery

Po chwili drukarka wypluła dwa barwne wydruki, które Pendergast złożył i wcisnął do kieszeni. – A teraz poszukajmy Saundersa.

–Jeżeli wciąż tu jest, powinien być przy stanowisku odbioru bagażu, po stronie wschodniej, – wyjaśnił Carter.

–Dziękuję – Pendergast odwrócił się, by odejść.

–A co ze mną? – spytał technik. – Jak mogę odebrać moje dziesięć kawałków?

Pendergast przystanął. – Dziesięć tysięcy dolarów? Za to, że wykonał pan to, co do pana należało?

Dało się słyszeć stłumiony śmiech i ciche parsknięcia; kilku pracowników ochrony pokręciło głową, gdy wyszli z pomieszczenia. – Jeżeli Saunders jest jeszcze w pracy powinien być w punkcie odbioru bagażu – rzekł Carter. – Zaprowadzę panów.

Akurat wylądowało kilka samolotów i do hali po swoje walizki zaczęły ściągać tłumy pasażerów. Wszystkie pasy transmisyjne pracowały pełną parą, taśmy uginały się pod ciężarem toreb i walizek, a wokoło jak w ukropie uginali się bagażowi.

Carter zatrzymał jednego z nich. – Czy Saunders pracuje dziś po godzinach?

Mężczyzna pokręcił głową. – Ma wolne aż do północy

Spoglądając w dal, poza bagażowym D'Agosta dostrzegł czterech policjantów z ochrony lotniska na podeście ponad stanowiskiem odbioru bagaży przepatrujących wzrokiem tłum. Szturchnął Pendergasta łokciem. – To mi się nie podoba.

–Mnie również.

Z głośnika krótkofalówki Cartera dobiegły jakieś trzaski. Ochroniarz włączył urządzenie i podniósł do ucha.

–Lepiej się stąd wyośmy – mruknął D'Agosta. Ruszyli szybkim krokiem w kierunku wyjścia.

–Hej, wy! – dobiegło z oddali. – Zaczekajcie!

D'Agosta obejrzał się przez ramię i ujrzał policjantów przedzierających się bezceremonialnie przez ciżbę pasażerów ostatniego lotu. – Hej, wy dwaj! Stójcie!

Pendergast pobiegł co sił w nogach, przeciskając się pomiędzy grupkami ludzi, którzy znaleźli się na jego drodze, i po chwili znalazł się przed gmachem hali przylotów. Policjant z ochrony lotniska wciąż stał obok rollsa pracującego na jałowym biegu i rozmawiał przez krótkofalówkę. Pendergast minął go w kilku krokach, a D'Agosta ni to rzucił się, ni to wskoczył na siedzenie po stronie pasażera. Pełen protestu głos policjanta utonął w ryku potężnego silnika i pisku opon, gdy rolls z olbrzymią prędkością ruszył od krawężnika.

Gdy zjechali na autostradę JFK, Pendergast wyjął barwne wydruki z kieszeni marynarki. – Włącz mój laptop i sprawdź z łaski swojej lincolna town cara na nowojorskich numerach 453A WQ6. Skontaktuj się też z jedenastym punktem opłat drogowych autostrady Van Wyck i spróbuj przekonać kogoś, aby pozwolił ci przejrzeć taśmy ochrony z nocy pomiędzy godziną zero trzydzieści, a pierwszą, zarówno w kierunku wschodnim, jak i zachodnim.

–A co z nami?

–Jedziemy na wschód.

–Na wschód? Nie uważasz, że zabrał ją do miasta?

–Uważam, że tak właśnie zrobił. Ale biorąc pod uwagę, że Diogenes najwyraźniej potrafi przewidywać moje posunięcia, jakby czytał w moich myślach, postanowiłem pojechać na wschód, na przeciwległy kraniec wyspy

–Jasne.

–Jeszcze jedno. Musimy dokonać małej wymiany. – Pendergast gwałtownie zjechał z autostrady, wiodącej z lotniska na parking przy salonie wynajmu samochodów Hertza, znalazł wolne miejsce, zatrzymał rollsa i zgasił silnik.

D'Agosta uniósł wzrok znad laptopa. – Co jest? Chcesz coś wynająć?

–Nie. Ukraść.

ROZDZIAŁ 49

Jeszcze raz Smithback wszedł do wytwornego wnętrza gabinetu doktora Tisandera, dźwigając pod pachą kilka grubych podręczników. Było już po godzinie 20, grubo po 17.30, barbarzyńskiej porze, kiedy w River Oaks podawano kolację. Zastał psychiatrę siedzącego za biurkiem, tego wieczoru jednak wyraz łagodnej protekcjonalności psuł błysk rozdrażnienia dostrzegalny w jego oczach.

–Edwardzie – rzekł doktor Tisander. – Choć jestem bardzo zajęty, z radością poświęcę ci pięć minut mojej niepodzielnej uwagi.

Smithback usiadł, nie czekając na zaproszenie, i z hukiem upuścił przyniesione książki na biurko doktora.

–Zastanawiałem się nad tym o czym wspomniał pan podczas naszej ostatniej rozmowy – zaczął. – Powiedział pan: ubezwłasnowolnienie kogoś to poważny krok i prowadzące do tego czynności muszą zostać przeprowadzone nad wyraz skrupulatnie.

–Tak, mniej więcej tak to ująłem.

–Dokładnie tak. Zaciekawilo mnie, na czym polegają wspomniane czynności.

Tisander pokiwał głową łaskawie. – Widzę, że nasza obszerna biblioteka przypadła ci do gustu.

–Jeszcze jak. Znalazłem w niej to, czego szukałem.

–To miło – rzucił Tisander, udając zaciekawienie i ukradkiem zerkając na zegarek.

Smithback poklepał dłonią okładkę jednej z pierwszych książek. – Prawo obowiązujące w stanie Nowy Jork dotyczące ubezwłasnowolnienia osoby chorej psychicznie należy do najsurowszych w naszym kraju.

–Zdaję sobie z tego sprawę. To jeden z powodów, dlaczego mamy na ulicach tak wielu bezdomnych.

–Nie wystarczą podpisy członków rodziny, aby zamknąć kogoś w zakładzie wbrew jego woli. Wiąże się z tym dość złożony proces.

Kolejne skinienie głowy Tisandera.

–Czy nie jest prawdą, że sędzia musi uznać, iż dana osoba nie jest przy zdrowych zmysłach?

–Tak.

–I nawet sędzia nie może tego uczynić, jeśli w danym wypadku nie zachodzi jeden z dwóch warunków sine qua non.

Tym razem psychiatra uśmiechnął się szczerze rad, że może wykazać się zawodową erudycją. – Oczywiście. Dana osoba musi stanowić zagrożenie dla samego siebie albo dla otoczenia.

–Zgadza się. W pierwszym wypadku w grę musi wchodzić zagrożenie targnięcia się na własne życie lub próba samobójcza potwierdzona pisemnie przez lekarza. W wypadku drugim, gdy osoba zostaje uznana jako niebezpieczna dla otoczenia, konieczne jest jej wcześniejsze aresztowanie.

–Widzę, że nie próżnowałeś, Edwardzie – rzekł Tisander.

–Później zaś, już po uznaniu danej osoby za niebędącą przy zdrowych zmysłach, konieczne są badania psychiatryczne, których wyniki stanowiąc będą rekomendację dla jej ubezwłasnowolnienia.

–To wszystko standardowa procedura. A teraz, Edwardzie, jest już po dwudziestej, niedługo gasimy światła, gdybyś zatem...

Smithback wyciągnął spomiędzy sterty książek opasy wolumin. – Jeszcze tylko minutkę.

Tisander wstał i zaczął układać papiery rozrzucone na biurku. – Wolałbym, abyś się pospieszył. – Skinął niedostrzegalnie głową i z cienia przy drzwiach wyłonił się rosły pielęgniarz.

Smithback pospiesznie wyjął z książki pojedynczą kartkę włożoną między stronicę. – Sporządziłem listę dokumentów, które zgodnie z prawem powinny znaleźć się w moich aktach.

Tisander wziął od niego listę i przejrzał jej zawartość z marsową miną.

–Oświadczenie sędziego. Raport dotyczący próby samobójczej podpisany przez lekarza lub zapis dotyczący aresztowania. Ocena psychiatry – Przeczytał wszystko na głos. – Nie ulega wątpliwości, że mamy tu wszystko, co niezbędne. A teraz, Edwardzie, już czas na ciebie.

Pielęgniarz podszedł bliżej.

–Jeszcze jedno – rzekł Smithback.

–Dziękuję, Edwardzie. – W bombastycznym głosie Tisandera pojawiła się nuta rozdrażnienia.

–Jedno pytanie. Kto jest autorem oceny psychiatrycznej, która znajduje się w moich aktach?

–My. Zawsze to robimy Nie wątpię, Edwardzie, że pamiętasz naszą rozmowę i testy, które przechodziłeś, kiedy przyjmowaliśmy cię do naszej placówki.

–I tu właśnie dałeś plamę, Tisander – rzekł Smithback, upuszczając z hukiem ciężkie tomiszczce na blat biurka dla lepszego efektu. – Wszystko jest tu napisane...

–Jonathanie?

Obok Smithbacka pojawił się nagle masywny pielęgniarz. – Proszę za mną, panie Jones.

–... czarno na białym – ciągnął donośnym głosem Smithback. – Prawo stanowi, że oceny psychiatrycznej nie może dokonać osoba należąca do personelu placówki, w której ma zostać umieszczony ubezwłasnowolniony pacjent.

–To jakieś bzdury Jonathanie, odprowadź pana Jonesa do jego pokoju.

–To prawda! – zawołał Smithback, gdy pielęgniarz schwycił go za ramię. – W latach pięćdziesiątych młody mężczyzna został umieszczony przez swoją rodzinę w zakładzie psychiatrycznym. Wspomniana rodzina była w zмовie z personelem szpitala. Przejęła należący do niego spadek. Jakiś czas później, gdy sprawa ta nabrała rozgłosu, przegłosowano przepis prawny, zgodnie z którym oceny musi dokonać niezależny psychiatra. Proszę, niech pan sam sprawdzi. Strona 337, Romanski kontra Szpital Stanowy Reynaulda!

–Tędy, panie Jones – rzekł pielęgniarz, popychając go bezceremonialnie w stronę drzwi.

Smithback zaparł się mocno obiema nogami w miękki perski dywan. – Tisander, kiedy stąd wyjdę, pozwę River Oaks i ciebie osobiście. Jeśli nie będziesz w stanie przedstawić opinii niezależnego psychiatry, przegrasz proces i będzie cię to słono kosztowało.

–Dobranoc, Edwardzie.

–Uczynię z tego moją życiową misję. Będę cię nękał jak Furie Orestesa. Pozbawię cię wszystkiego, co masz, pracy, reputacji, damę słowo, puszczę cię w skarpetkach! Wiesz, że forsy mam jak lodu. Zajrzyj do moich akt. Wiem na pewno, że akurat o to nie zadbałeś! Nie masz opinii niezależnego biegłego i wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Smithback poczuł, że muskularne ręce pchają go ku drzwiom.

–Zamknij za sobą drzwi, wychodząc, dobrze, Jonathanie? – rzekł doktor Tisander.

–Tisander? – zawołał Smithback z desperacją w głosie. – Czy stać cię na popełnienie takiego błędu?

Zastanów się, stracisz wszystko, co udało ci się do tej pory uzyskać, ty zadufany su...

Johathan zamknął drzwi do gabinetu doktora. – Chodź Jones -powiedział, delikatnie popychając Smithbacka w głąb korytarza. – Daj sobie spokój.

–Precz z łapami! – zachnął się Smithback, próbując mu się wyrwać.

–Ejże, stary, ja tylko wykonuję swoją pracę – odparł ze spokojem pielęgniarz.

Smithback rozluźnił się. – Racja. Przepraszam. Przypuszczam, że praca tutaj jest równie przyjemna jak pobyt w charakterze „gościa”.

Pielęgniarz puścił go, a Smithback otrzepał marynarkę z kurzu. – W porządku, Jonathanie – rzekł, siląc się na słaby uśmiech. – Odprowadź mnie do mojej klatki. Jutro wymyślę coś innego.

Gdy skręcili za załom korytarza, dobiegł ich donośny głos Tisandera.

–Jonathanie? Przyprowadź pana Jonesa z powrotem. Jonathan przystanął. – Wygląda na to, że otrzymałeś kolejną

szansę.

–Tak. Chyba tak.

Gdy zawracali w stronę gabinetu Tisandera, Smithback usłyszał cichy szept pielęgniarza. – Powodzenia.

Smithback wszedł do gabinetu doktora. Tisander stał za biurkiem sztywno, jakby połknął kij. Smithback dostrzegł swoje akta rozłożone na blacie. Obok nich leżała księga, na której treść się powoływał, otwarta na stronie 337.

–Proszę spocząć – rzekł Tisander głosem pełnym napięcia. Skinął na pielęgniarza. – Ty zaczekaj na zewnątrz.

Smithback usiadł.

–Uważasz się za niezłego spryciarza – rzekł Tisander. Udawana wesołość i protekcyjność prysły jak bańka mydlana. Jego oblicze było szare i niewzruszone jak wykute z kamienia.

–Miałem rację – mruknął Smithback pod nosem, bardziej do siebie niż do Tisandera.

–To kwestia natury czysto technicznej. W tym stanie żaden szpital psychiatryczny nie korzysta z ocen niezależnych biegłych. Wątpię, by ktokolwiek zdawał sobie sprawę z istnienia tego absurdalnego przepisu prawnego. Jednak z uwagi na okoliczności nie mogę dłużej tu pana zatrzymać.

–Nie byłoby cię na to stać. Bądź pewien, że cię pozwę i wydoję do ostatniego centa.

Tisander zamknął oczy i uniosł prawą rękę do góry – Proszę, panie Jones. Naszym zamiarem było panu pomóc, ale niech mnie wszyscy diabli, jeżeli pozwolę, aby jakiś zepsuty dzieciak zniweczył wszystko, co tak mozolnie budowałem przez te wszystkie lata. Szczerze mówiąc, nie jest pan tego wart.

–A więc jestem wolny?

–Kiedy tylko wypełnię dokumenty pańskiego zwolnienia. Niestety dziś jest już za późno. Musimy przestrzegać godzin urzędowania. Będzie pan mógł opuścić naszą placówkę jutro o szóstej rano.

–Jutro? – zawtórował Smithback, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

–Może mi pan wierzyć, z chęcią pozbyłbym się pana już dziś, nawet zaraz. Jonathanie?

Pielęgniarz ponownie wszedł do gabinetu.

–Pan Jones jutro z samego rana wraca do domu. Dopilnuj, aby do tego czasu na niczym mu nie zbywało.

Wyszli z gabinetu. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nimi, Smithback uśmiechnął się. – Jonathanie wychodzę stąd.

Jonathan uśmiechnął się do niego szeroko. – Człowieku, jak udało ci się tego dokonać?

Smithback wzruszył ramionami. – Po prostu jestem genialny.

ROZDZIAŁ 50

Nora Kelly przystanęła na rogu Siedemdziesiątej Siódmej i Museum Drive, spoglądając ku północy. Wielkie romańskie wejście do muzeum rozświetlał blask reflektorów punktowych, fronton budynku był ozdobiony długim na pięć pięter bannerem reklamującym otwarcie nowej wystawy Na podjeździe roło się od limuzyn i czarnych mercedesów, z których przy błyskach fleszy wysiadały kolejne sławne postacie ze świata show-biznesu. Granitowe schody przykryto czerwonym dywanem, po obu jego stronach zaś postawiono barierki ochronne jak na premierze filmowej, by nie dopuścić zbyt blisko tłumy gapiów i fotoreporterów. Całe to widowisko przyprawiało ją o mdłości.

Zaledwie dwa dni temu zamordowano Margo Green, pogrzeb odbył się dziś rano, a mimo to muzeum najwyraźniej już o niej zapomniało. Zupełnie jakby nigdy nie istniała. Nora zastanawiała się, co by się stało, gdyby teraz obróciła się na pięcie i wróciła do domu. W głębi duszy знаła odpowiedź: gdyby tak postąpiła, mogłaby pożegnać się z dalszą karierą w tej placówce. Miała być jedną z gwiazd tego widowiska, o czym George Ashton nie omieszkał jej poinformować. Przedstawienie musiało trwać.

Wzięła głęboki oddech, otuliła szczelniej ramiona wełnianym płaszczem i ruszyła naprzód. Gdy podeszła bliżej, jej uwagę zwróciło jakieś poruszenie opodal. Grupka niskich krępych mężczyzn w skórach i narzuconych na ramiona kocach stała w kręgu, grając na bębnach i śpiewając; niektórzy wymachiwali trzymanymi w dłoniach pękami dymiącej bylicy. Po krótkiej chwili dezorientacji zrozumiała, co się tu działo. Najwyraźniej demonstranci ze szczepu Tano dotarli pod muzeum. Zauważyła Manettiego, szefa ochrony, który rozmawiał z nimi, żywo gestykulując; towarzyszyło mu paru gliniarzy i strażników ochrony. Najwyraźniej zamieszanie zaczęło zwracać uwagę przybyłych gości; kilkoro z nich podeszło, by dowiedzieć się o co chodzi.

–Przepraszam! – Nora precyzyjnie się przez tłum gapiów, prześlizgnęła się pod aksamitnym sznurem, błysnęła plaketką pracownika muzeum próbującemu ją zatrzymać strażnikowi i podeszła do gromady Indian. W tej samej chwili opodal pojawiła się piękna młoda kobieta, gwiazda albo wschodząca gwiazdka, jak można było się domyślić po zmierzających w ślad za nią paparazzich.

–To teren prywatny – Manetti zwracał się do mężczyzny, który jak uznała Nora, musiał być wodzem szczepu Tano. – Nie mamy nic przeciwko waszej demonstracji, ale musicie przenieść się trochę dalej, na chodnik przy ulicy...

–Proszę pana – rzekł cichym głosem wódz Tano – my tu nie demonstrujemy, tylko się modlimy...

–Nieważne. To teren prywatny.

Gwiazda podeszła bliżej. Nora zdumiała się, rozpoznając filmową piękność Wandę Meursault, wysoką, o egzotycznej, nieco słowiańskiej urodzie, która jak głosiły plotki, miała w tym roku spore szanse na otrzymanie głównej nagrody Akademii Filmowej.

–Chwileczkę! Czemu odmawia się tym ludziom prawa do modlitwy? – spytała przy błysku tuzina fleszy. Otaczający ją las mikrofonów gotów był wychwycić każde z nieśmiertelnych słów, jakie wypłyną z jej ust, kamery telewizyjne skierowały na nią swe obiektywy.

Nora czuła, że katastrofa jest tuż-tuż.

–Nie zabraniam tym ludziom się modlić – odrzekł Manetti głosem pełnym rozdrażnienia. – Powtarzam tylko, że to teren prywatny

–Ci rdzenni Amerykanie pragną się pomodlić – Meursault odwróciła się i jakby po namyśle dodała. – A właściwie to po co się tutaj modlicie?

–Modlimy się za nasze święte maski zamknięte w gablocie tego muzeum – odrzekł wódz.

–Zamknęli wasze święte maski? – Oblicze aktorki wykrzywił grymas teatralnej grozy.

Kamery rejestrowały całą scenę.

Trzeba było coś zrobić, i to szybko. Nora postąpiła naprzód, odpychając na bok stojącego jej na drodze policjanta i Manettiego.

–Ejże, co jest... chwileczkę – wykrztusił szef ochrony

–Nora Kelly, kustosz tej wystawy – rzekła Nora, zwracając się do gliniarza i prezentując swoją plaketkę funkcjonariuszom ochrony Odwróciła się do szefa ochrony – Ja się tym zajmę, panie Manetti.

–Pani doktor, ci ludzie weszli bezprawnie na teren muzeum...

–Wiem. Zajmę się tym.

Manetti zamilkł. To zdumiewające, myślała Nora, jak szybko zimny ostry ton głosu i niewzruszona postawa oraz autorytet, którego wszak nie miała, były w stanie odwrócić bieg wydarzeń.

Spojrzała na wodza Tano i zdumiała się, gdy stwierdziła, że był to blisko siedemdziesięcioletni staruszek. Respekt wzbudzał malujący się na jego twarzy spokój i dostojeństwo. To nie był młody gniewny aktywista, jakiego sobie dotąd wyobrażała. Inni mężczyźni byli w zbliżonym wieku, wszyscy dość korpulentni i okutani we wzorzyste, barwne wełniane koce. Stary volkswagen bus, prawdziwy gruchoł, stał zaparkowany bezprawnie na podjeździe przed muzeum i zapewne już wkrótce zostanie odholowany

–*Y'aaah shas slii dz'in nitsa* – zwróciła się do staruszka. Wódz spojrzał na nią, zdezorientowany. – *Y'aaah shas* – rzucił

pospiesznie, jak gdyby na moment się zapomniał. – Skąd...?

–Spędziłam trochę czasu w pueblu Tano – odrzekła Nora. – To wszystko, czego zdołałam się nauczyć, jeśli chodzi o wasz język, więc proszę niech pan nie próbuje odpowiadać! – Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. – Nora Kelly, jestem jednym z kustoszy wystawy. Śmiem twierdzić, że rozmawiałam z którymś z pańskich kolegów.

–Rozmawiała pani ze mną.

–Wobec tego mam przyjemność z panem Wametowa. Staruszek skinął głową.

–W czym mogę panu pomóc? – spytała Nora.

–Oni chcą się pomodlić! – zawołała z boku Meursault. Nora zignorowała ją, całą swą uwagę skupiła na Wametowie.

–Modlimy się do masek – powiedział. – To wszystko, o co prosimy: abyśmy mogli przemówić do naszych masek.

–Przemówić do masek?

–Tak. Aby upewnić je, że jesteśmy tutaj, że się o nie troszczymy, że zależy nam na nich i że wcale o nich nie zapomnieliśmy.

Nora zauważyła, że Manetti wywrócił oczami.

–To takie piękne – rzekła półgłosem Meursault, odwracając głowę, by lepiej wyeksponować przed kamerami swój profil. Znów błysnęła tuzin fleszy.

–Wierzmy, że te maski żyją, że każda z nich ma swego ducha. Długo były same, z dala od nas. Przybyliśmy tu, by je pobłogosławić i pocieszyć.

Nagle Nora wymyśliła sposób na rozwiązanie tego problemu. Udała, że zastanawia się przez chwilę. Po tygodniu, który spędziła w pueblu Tano jeszcze jako absolwentka studiów, wiedziała, że Indianie uważają

podejmowanie szybkich decyzji za błędne. – To nie jest właściwe miejsce na tego rodzaju obrzędy – stwierdziła w końcu.

–Próbowałem powiedzieć im dokładnie to samo... – zaczął Manetti.

Nora nie zwracała na niego uwagi. – Zastanawiam się, czy jest jakieś lepsze miejsce...

–Jest – mruknął Manetti. – Tam dalej, na chodniku. Nora spiorunowała Manettiego wzrokiem.

–Wolelibyśmy znaleźć się jak najbliżej masek, nie chcielibyśmy się jeszcze bardziej od nich oddalać – rzekł Wametowa.

–Czemu więc nie wejdziecie do środka? – spytała Nora.

–Nie wpuszczą nas.

–Wejdziecie do muzeum jako moi goście. Zaraz zaprowadzę was do masek, abyście mogli porozmawiać z nimi w spokoju i na osobności jeszcze przed oficjalnym otwarciem wystawy

–Doktor Kelly, czy pani postradala zmysly? – rzucił ostro Manetti.

Wódz Tano przypatrywał się jej prawie przez minutę. Wreszcie jego szerokie poorane zmarszczkami oblicze rozpromienił szczery uśmiech. Ukłonił się z szacunkiem. – Eesha łąt dził. Jest pani bardzo ludzka, panno Noro.

–Brawo! – zawołała Meursault.

–Nie zezwolę na to – wtrącił szef ochrony.

–Panie Manetti, biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

–Nie może pani wprowadzić tych ludzi na teren ekspozycji przed oficjalnym przecięciem wstęgi. To niemożliwe!

–Nie ma rzeczy niemożliwych. A nawiasem mówiąc, jest dokładnie tak, jak być powinno. – Odwróciła się do Indian – Czy zechcecie pójść ze mną, panowie?

–Z przyjemnością – odrzekł wódz szczepu.

Meursault ujęła zdumionego starego Indianina pod ramię, po czym oboje ruszyli dziarskim krokiem za Nora, a w ślad za nimi grupa fotoreporterów i gapiów. – Przejście dla starszych ze szczepu Tano! – zawołała Meursault. – Zróbcie przejście! – Jej ozdobiona cekinami suknia skrzyła się w świetle reflektorów, a oblicze pałało wewnętrznym blaskiem, gdy przez kilka chwil kobieta znajdowała się w centrum uwagi wszystkich zebranych.

Tłum rozstał się przed nimi jak fale Morza Czerwonego, gdy tak szli po stopniach wyłożonych czerwonym dywanem. Tano, przechodząc przez Rotundę i wchodząc do Sali Niebiańskiej, znów zaczęli śpiewać swoje pieśni i uderzać w bębny Nora zaś znalazła się naprzeciw uczestników gali, którzy zamarli w bezruchu na widok zmierzających w stronę ekspozycji rdzennych Amerykanów. Bez wątplenia sądzili, że ta procesja stanowi jeden z punktów programu. Burmistrz, który podobnie jak Meursault nigdy nie przeoczył okazji uszczknięcia czegoś dla siebie, postąpił naprzód. Manetti szedł z tyłu za nimi, twarz miał całą czerwoną, usta mocno zaciśnięte, najwyraźniej zdał sobie sprawę, że przedłużanie tej kłótni na oczach całego miasta mija się z celem.

Collopy wysforował się naprzód. – Noro! Co się tu dzieje?

Nachyliła się ku niemu i rzekła półgłosem: – Tano chcieliby spędzić kilka chwila sam na sam z maskami, zanim jeszcze dojdzie do oficjalnego przecięcia wstęgi.

–Po co?

–Aby się pomodlić i pobłogosławić maski. To wszystko. Collopy sposepniał. – Nora, nie czas teraz na to. Przecież to

może poczekać!

Nora spojrzała mu prosto w oczy – Doktorze Collopy. Proszę, niech mi pan zaufa. Znam dobrze Indian z południowego zachodu, żyłam i pracowałam wśród nich przez wiele lat. Nie przybyli tu, by napytać panu biedy czy narobić kłopotów publicznie. Chcą jedynie spędzić trochę czasu ze swoimi maskami. Zanim ceremonia otwarcia dobiegnie końca, już ich tu nie będzie. I cała ta napięta sytuacja zostanie rozładowana. To najlepsze rozwiązanie naszego problemu i wiem, że gdyby starannie rozważył pan tę sprawę, przyznałby mi pan rację. – Zniżyła głos do szeptu. – Poza tym to świetna okazja, by muzeum zyskało w oczach opinii publicznej.

Collopy spojrzał na Norę i jego patrycjuszowskie oblicze przepełniło zdumienie. Przeniósł wzrok na Manettiego, a następnie na czekających Indian. Odchrząknął, wygładził włosy, a gdy się zamyślił, jego czoło przecięły głębokie zmarszczki. I nagle na jego ustach wykwitł szeroki uśmiech. Wyciągnął rękę do wodza szczepu Tano. – Witam serdecznie, panie...?

–Wametowa.

–Oczywiście! Witam z całego serca! Wszyscy bardzo cieszymy się, że możemy przyjąć pana i pańską grupę jako przedstawicieli ludu Tano w skromnych progach naszego muzeum. O ile mi wiadomo, przebyliście szmat drogi, aby zobaczyć maski z Wielkiej Kivy.

–Dwa tysiące mil.

Tłum zaczął szemrać. Słysząc było szum pracujących kamer.

–Cieszymy się, że zdołaliście tutaj dotrzeć. To wielki zaszczyt dla naszego muzeum i dla mnie osobiście.

Prasa najwyraźniej to łyknęła. Nora poczuła niezmierną ulgę: wszystko się jakoś ułoży. Będzie dobrze.

–Nasz szef ochrony, pan Manetti zaprowadzi panów na teren ekspozycji, abyście mogli... ee... spędzić trochę czasu sam na sam z maskami. Panie Manetti? Jestem pewien, że może pan wprowadzić naszych gości specjalnych na teren wystawy. I proszę zostawić ich tam samych, aby mogli odprawić swoje modły.

–Oczywiście, panie dyrektorze.

–Czy wystarczy panom pół godziny? – zwrócił się do wodza Collopy

–Tak, dziękuję – odrzekł przywódca szczepu Tano.

–Doskonale! A później zapraszam pana i pańskich towarzyszy do udziału w bankiecie, panie Wam, ee, Wam...

–Wametowa.

–Wspaniale! Czy możemy uczynić dla panów coś jeszcze?

–Na razie to w zupełności wystarczy – Indianie Tano rozejrzeli się wokoło i wymienili między sobą spojrzenia. – Prawdę mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że zostaniemy potraktowani z tak wielkim szacunkiem.

–Ależ cieszymy się z waszego przyjazdu! – Collopy odwrócił się w stronę kamer, był spokojny, opanowany, w pełni panował nad sytuacją. – Muzeum pragnie podziękować ludowi Tano za możliwość okazania tych niezwykłych masek całemu światu.

Meursault zaczęła klaskać i niebawem cała sala rozbrzmiała burzą oklasków, kamery telewizyjne rejestrowały z uwagą każdy szczegół tego niecodziennego wydarzenia. Nora patrzyła, jak Manetti odprowadza grupę Indian w głąb korytarza, rozmawiając równocześnie przez krótkofalówkę. Po chwili odwróciła się, podeszła do pierwszego wolnego krzesła i ciężko osunęła się na nie. Nie mogła uwierzyć, że

odezwała się do dyrektora muzeum w taki sposób. Nogi miała jak z waty Tak zobojętniała i znużona uświadomiła sobie nagle, że to co właśnie uczyniła, było swego rodzaju elegią dla Margo. Kwestia masek i zwierzchnictwa Tano nad nimi była dla niej sprawą nadrzędną. Widok Indian wchodzących samotnie na teren ekspozycji i traktowanych z najwyższym szacunkiem na pewno sprawiłby jej wiele radości. O to przecież walczyła.

Nagle tuż przed nią pojawił się kieliszek schłodzonego szampana. Uniosła wzrok zdumiona i zdezorientowana, by ujrzeć stojącego z tyłu za nią Hugona Menziesa ubranego w wytworny frak, długie białe włosy miał zaczesane starannie do tyłu i uśmiechał się szeroko. Ujął Norę za rękę, podał jej kieliszek, poklepał po wierzchu dłoni i usiadł. – Czy ktoś kiedykolwiek powiedział ci, że jesteś genialna? – Zachichotał. – To był najbardziej zuchwały występ w obronie dobrego imienia muzeum, jakiego miałem okazję być świadkiem.

Nora pokręciła głową. – Katastrofa wisiała na włosku.

–Katastrofa wydarzyłaby się, gdyby ciebie tutaj zabrakło. Na szczęście nie tylko udało ci się opanować nastroje Indian Tano, lecz również ukazałaś nasze muzeum w jak najlepszym świetle. To genialne. Po prostu genialne. – Niemal zachichotał w głos, jego oczy błyszczały. Nora nigdy jeszcze nie widziała go równie ożywionego i poruszonego.

Upiła łyk szampana. To był piekielny tydzień: najpierw pogróżki pod adresem Smithbacka, które zmusiły go, by ukrył się na pewien czas, śmierć Margo, stres związany z otwarciem wystawy, ostrzeżenia od Pendergasta... Była jednak zbyt zmęczona, by odczuwać strach. Pragnęła jedynie wrócić do domu, pozamykać drzwi na cztery spusty i wczłogać się do łóżka. A miast tego musiała spędzić kolejnych parę godzin na wysłuchiwaniu pompatycznych wystąpień, rozmowach z zaproszonymi gośćmi i uśmiechaniu się do wszystkich, na co absolutnie nie miała ochoty.

Menzies delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. – Kiedy to wszystko się skończy, radziłbym ci wziąć tydzień urlopu. Zasłużyłaś na to.

–Dzięki. Szkoda, że nie mogę zrobić tego już teraz.

–Jeszcze tylko trzy godziny.

Nora uniosła swój kieliszek. – Jeszcze tylko trzy godziny – powtórzyła i upiła kolejny łyk szampana. Kwartet smyczkowy zaintonował pierwsze takty Cesarza Haydna, podczas gdy tłum zaczął zmierzać w kierunku stołów szwedzkich. Znajdowały się na nich bliny z kawiozem, prosciutto, wykwentne francuskie i włoskie sery, całe góry chrupkich bagietek, surówki, świeże ostrygi na podkładzie z kruszonego lodu, ogony homarów na zimno i wędzony jesiotr – to były przekąski. Inne stoły uginały się pod ciężarem wina i szampana, wydawało się, że co trzecią osobą w sali jest kelner spieszący w tę czy tamtą stronę ze srebrną tacą pełną trunków, kanapek i tartinek.

–Noro – rzekł Menzies. – Musisz pokręcić się trochę wśród gości.

Jęknęła. – Boże, dopomóż.

–Chodź. Wspólnie stawimy czoło tej hordzie barbarzyńców. – Ujął ją za rękę, po czym wolnym krokiem ruszyli w głąb sali. Co kilka chwil ktoś nieznany gratulował Norze spektakularnej wystawy, niezliczeni reporterzy zarzucali ją dziesiątkami pytań. Najwyraźniej musiała całkiem nieźle poradzić sobie z Indianami Tano; wszyscy uznali, że to, co się stało przed chwilą, było zaplanowane od dawna.

Kiedy w końcu wróciła do stolika, przy którym było jej miejsce, zastała tam kilku innych członków jej wydziału, między innymi Ashtona, głównego kustosza wystawy Gdy goście zaspokoili pierwszy głód, Collopy, ze swoją piękną młodą żoną u boku, wszedł na podium i wygłosił krótką żarliwą mowę.

Nadeszła pora przecięcia wstęgi. Nora, Menzies, Ashton i paru innych kustoszy podeszło do podium, podczas gdy Collopy dzierżący wielkie nożyce wykorzystywane przy tego rodzaju okazjach podszedł i mozołąc się wielce, przeciął wstęgę. Gdy to mu się w końcu udało, rozległy się brawa i wielkie odrzwia wiodące na teren ekspozycji Święte wizerunki zostały otwarte. Uśmiechając się i wymieniając spojrzenia, Menzies, Nora i reszta wydziału antropologii weszli do sali jako pierwsi, za nimi zaś pozostali goście. Dotarcie

na drugi koniec sali pod naporem tłumu uczestników bankietu zajęło im w sumie pół godziny Nora wzdrygnęła się, mijając pomieszczenie, gdzie zginęła Margo, ale rzecz jasna wszelkie ślady zbrodni zostały usunięte i nikt prócz niej zdawał się nie pamiętać o tym smutnym zdarzeniu. Gdy coraz bardziej oddalała się od tego miejsca, Nora zamiast zgrozy zaczęła czuć nieodpartą dumę. Aż nie mogła uwierzyć, że sobie z tym wszystkim poradzą. Menzies był tuż przy niej, od czasu do czasu chwytając półgłosem zawartość gablot, które przygotowywała osobiście lub których ekspozycję nadzorowała. Indianie Tano zjawili się i odeszli, pozostawiając kilka kawałków turkusu, trochę pyłków kwiatowych i mąki kukurydzianej na wieku szklanej gabloty z maskami, których nikt nie odważył się usunąć. Gdy w końcu doszli do ostatniej z sal, Menzies odwrócił się do Nory i ukłonił szarmancko.

–Śmiem twierdzić, że wypełniliśmy naszą powinność. – Uśmiechnął się, jego oblicze wciąż promieniało. – Teraz możesz już dyskretnie się ulotnić i wrócić do domu. Ja niestety mam jeszcze do załatwienia coś pilnego na górze, w moim gabinecie. Proponuję, abyśmy w przyszłym tygodniu porozmawiali o twoim urlopie.

Raz jeszcze się ukłonił, a Nora, odetchnąwszy z ulgą, odwróciła się i skierowała w stronę najbliższego wyjścia, aby możliwie jak najszybciej udać się do domu.

ROZDZIAŁ 51

Po raz chyba pięćdziesiąty w ciągu ostatnich dwóch dni Larry Enderby miał ochotę rzucić wszystko w cholerę i wreszcie wynieść się z muzeum. Jakby mało było tego, że pracował w pozbawionym okien piwnicznym pomieszczeniu Muzeum Historii Naturalnej, najbardziej przerażającym i upiornym miejscu w całym Nowym Jorku, nie mógł uwolnić się od koszmarnych wspomnień tego, co odkrył przed dwoma dniami. Nie przyznano mu wolnego dnia, nie zaproponowano porady psychologa ani nawet nie podziękowano. Zupełnie jakby się nie liczył. I jakby ona się nie liczyła; prace nad przygotowaniem szły pełną parą, można by przypuszczać, że w ogóle nic się nie wydarzyło.

Margo Green. Nie znał jej dobrze, ale gdy spotkali się kilka razy, zawsze była wobec niego miła i uprzejma. A to było więcej, niż mógł powiedzieć o prawie wszystkich kustoszach i całym pionie administracyjnym. Tak właśnie muzeum traktowało wszystkich znajdujących się poniżej pewnego poziomu – wynajętych pomocników.

Naprawdę jednak Enderby wściekał się głównie dlatego, że muzeum wybrało właśnie tę porę – gdy wyprawiano tu największy od pięciu lat bankiet – aby przyłączyć jeszcze jedną muzealną salę do nowego systemu bezpieczeństwa. Dlatego też zamiast pochłaniać kawior, popijając go szampanem wśród tłumu eleganckich, urodziwych osób dwa poziomy wyżej, znów przyszło im siedzieć tu, w piwnicy, i wykonywać rutynowe czynności kontrolne związane z funkcjonowaniem nowego oprogramowania. Rzecz jasna zostali zaproszeni na przyjęcie jak wszyscy inni pracownicy muzeum. Fakt ten przepelnił czarę goryczy Enderby odtoczył się na fotelu od konsoli komputera i westchnął z przesadnym rozdrażnieniem.

–Zamyślony? – zapytał spoza sąsiedniego monitora Walt Smith, kierownik projektowy do spraw modernizacji systemu bezpieczeństwa muzeum.

Smitty był wyjątkowo delikatny Odkąd dwa dni temu Enderby dokonał wstrząsającego odkrycia, wszyscy chodzili wokół niego na paluszkach, jakby stracił kogoś bliskiego z rodziny.

–A może by tak zrobić małą przerwę i sprawdzić, co słychać na bankiecie? – zapytał go Enderby – Nie miałbym nic przeciw temu, aby przegryźć parę krewetek.

Smitty pokręcił głową. W jednym ręku trzymał BlackBerry, a w drugim telefon komórkowy. – Raczej nic z tego nie będzie, Larry. Przykro mi.

–Daj spokój, Smitty – rozległ się głos Jima Choi siedzącego przy monitorze diagnostycznym opodal. – Daj nam tylko pół godziny. Zdziwisz się, ile krewetek można wtrząchnąć przez pół godziny Bankiet już się kończy, niedługo zabraknie przekąsek.

–Wiesz, że nie możemy zmienić planu. Astor Hall to sala jak każda inna, jeszcze jeden punkt programu na naszej liście. A co wy na to, abyśmy spróbowali cofnąć o pięć minut wskazówki zegara atomowego, może nikt się nie zorientuje? – Smitty zaśmiał się, choć żarcik był wyjątkowo mizerny.

Choi wyrócił oczami. Smitty nie błyszczał polotem i inteligencją. Enderby patrzył, jak kozia bródka rozbawionego do łez Smitty'ego unosi się i opada rytmicznie. Bródka była rzadka, ot kilka wątych kosmyków. Enderby miał nadzieję, że któregoś dnia te włoski po prostu Smitty'emu odpadną. Pomimo ogólnego rozdrażnienia Enderby musiał przyznać, że Smitty nie był taki zły, mógł mu się trafić o wiele gorszy przełożony Piął się mozolnie po szczeblach kariery i pomimo iż miał zaledwie trzydzieści pięć lat, w ich mniemaniu był równie stary jak samo muzeum. Prawdziwy pedant, niemal całkiem pozbawiony poczucia humoru, ale umiał zadbać o sumiennych pracowników, którzy robili to, co do nich należało. To nie wina Smitty'ego, że grube ryby z muzeum zażyczyły sobie, aby nowy system bezpieczeństwa został zainstalowany i działał bez zarzutu, najlepiej od wczoraj. Smitty wstał, przeszedł przez pokój, mijając komputerowe stanowiska robocze i serwery, i zatrzymał się przed panelem zawierającym pół tuzina połączonych wspólnym kanałem monitorów telewizyjnych pod przeciwległą ścianą. Większość monitorów ukazywała muzealną martwą naturę w czerni i bieli, puste korytarze i gabloty wystawowe. Jednakże dolne pół tuzina ekranów przekazujących obrazy z kamer wideo w Sali Niebiańskiej, gdzie trwał bankiet z okazji otwarcia wystawy, wypełniał nieustanny ruch. Siedząc przy swoim terminalu, Enderby z ciężkim sercem patrzył, jak maleńkie sylwetki przesuwają się tanecznym krokiem w poprzek ekranów Na górze oddychający przez usta kustosze o

obwisłych ramionach flirtowali ze wschodzącymi gwiazdami filmu i sceny muzycznej oraz nimfietkami, a on siedział tu, w swojej jaskini, jak jakiś troglodyta. Co prawda, mogło być gorzej, mógł pracować w Dole, Centralnym Biurze Ochrony Muzeum. Było ono co prawda dwa razy większe, ale zawsze panowała tam potworna duchota, a ilość zgromadzonych sprzętów, komputerów i klawiatur znacznie przewyższała to, co znajdowało się tutaj, w Centrum Technologii Zaawansowanych. Byłoby gorzej, gdyby go to spotkało, ale niewiele gorzej. Smitty zerkał z ukosa na swój BlackBerry.

–W porządku, wszystko gotowe? Inicjujemy ostatnią sekwencję testową?

Nikt nie odpowiedział.

–Przyjmuję to za potwierdzenie. – Odwrócił się do swojej konsoli i przez chwilę stukał w klawisze. – Astor Hall – oznajmił. – Ostatnia próba testowa zmodernizowanego systemu zabezpieczeń, 28 stycznia, godzina 20.28.

Jezu, on zawsze zachowuje się, jakbyśmy byli w centrum kontroli lotów kosmicznych, pomyślał Enderby. Zerknął na Jima Choi, który znów wywrócił oczami.

–Larry, jaki jest status systemu wspierającego? – zapytał Smitty.

–Wygląda dobrze.

–Jim, podaj mi aktualizację siatki laserowej w Astor Hall. Kilka uderzeń w klawisze. – Gotowe – rzekł Choi.

–Wobec tego przeprowadź charakterystykę niskiego szczebla. Zapadła krótka cisza, kiedy obaj, Choi i Smitty, wykonywali niezależne testy Enderby, którego zadaniem było monitorowanie zachowań poprzedniego systemu bezpieczeństwa, kiedy wprowadzony zostanie nowy, zmodyfikowany system zabezpieczeń laserowych, wlepił wzrok w monitor. Była to już chyba czterdziesta sala, którą przystosowywali na potrzeby nowego systemu. Każda konwersja wymagała przeprowadzenia żmudnego wieloetapowego procesu, na który składały się analiza on site, struktura systemu, kodowanie, instalacja... Mógłby zarobić trzy razy tyle, gdyby zaczepił się w jakimś przyzwoitym miejscu w Palo Alto, byłby tam przynajmniej szanowany i najprawdopodobniej nie natykałby się w środku nocy na ofiary zabójstw.

Smitty uniósł wzrok znad klawiatury – Jim, jaką masz sumę kontrolną?

–780E4F3 hex.

–Zgadza się. Do dzieła. – Smitty sięgnął po telefon i wybrał numer. Enderby patrzył na to wszystko bez większego zainteresowania. Wiedział, że Smitty dzwonił do chłopaków z Dołu, uprzedzając ich o planowanym przełączeniu systemu ot tak, na wszelki wypadek, aby jakiś żółtodziób nie zaczął szaleć, kiedy ujrzy falujące pasy na ekranach wszystkich monitorów. Za każdym razem procedura była taka sama. Odłączali stary system, potem następował trwający dziewięćdziesiąt sekund okres inicjacji nowego systemu, po nim zaś ostatni, dwudziestominutowy sprawdzian mający potwierdzić, że instalacja przebiegła pomyślnie i że wszystkie przyłącza funkcjonowały jak należy. Przez te dwadzieścia minut nie mieli absolutnie nic do roboty. Później każdy nowy system stawał się w pełni funkcjonalny, a jego poprzednik był sprowadzany do roli systemu rezerwowego. Ziewnął przeciągle. I w tej samej chwili usłyszał, że kiszki grają mu marsza.

–Centrala bezpieczeństwa? – rzucił Smitty do słuchawki. – To ty, Carlos? Mówi Walt Smith z CTZ. Uruchamiamy lasery w Astor Hall. Inicjujemy cały proces dokładnie za pięć minut. Oddzwonię ponownie, po zakończeniu próby testowej. – Odłożył słuchawkę, po czym spojrzał na Enderby'ego. – Hej, Larry – rzucił łagodnym tonem.

–Co?

–Choi mówił, że ile czasu potrzebuje na spalaszowanie całego wagonu krewetek?

–Przecież powiedziałem – wtrącił Choi. – Trzydzieści minut. Smitty wychylił się do przodu i oparł rękę na konsoli.

–Coś wam powiem. Jak uporamy się z inicjacją i rozpocznie się dwudziestominutowa faza testowa, dam wam kwadrans. Łącznie z dotarciem na miejsce i powrotem tutaj.

Enderby wyprostował się w fotelu. – Na nasz poziom?

Smitty pokiwał głową.

Choi uśmiechnął się szeroko. – Stary, kupiłeś mnie razem z butami.

–Świetnie. A teraz przekonajmy się, jak szybko jesteśmy w stanie uporać się z zestawieniem kontrolnym. – Smitty, nie mówiąc nic więcej, odwrócił się do swego terminalu.

ROZDZIAŁ 52

Hugo Menzies wsunął klucz do zamka windy służbowej i przejechał nią z pierwszego piętra na czwarte. Po wyjściu z kabiny ruszył w zamyśleniu wzdłuż długiego polerowanego korytarza. Po obu stronach znajdowały się gabinety: stare dębowe drzwi z panelami z mlecznego szkła i tabliczkami, na których złożonymi literami wypisane było nazwisko urzędującego w danym biurze kustosa, nawet tych, którzy zostali zatrudnieni całkiem niedawno. Menzies uśmiechnął się, już odczuwając nostalgię za tą starą budowlą i jej osobliwymi tradycjami.

Przystanął przed drzwiami swojego gabinetu, otworzył je i wszedł do środka, by zabrać płócienny plecak, który towarzyszył mu niemal wszędzie. Następnie zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku i podążył w stronę drugiego końca korytarza, gdzie znajdowały się inne, nieoznakowane drzwi. Otworzył je kluczem, wyszedł na klatkę schodową, zszedł dwa piętra niżej i znalazł się w ciemnej, opustoszałej Sali Indian Północno-Zachodniego Wybrzeża. Była to jedna z najstarszych sal tego muzeum, prawdziwy klejnot dziewiętnastowiecznej muzeologii, w powietrzu unosiła się woń dymu i starego cedrowego drewna. Maski rytualne, słupy totemiczne i łupkowe misy błyszczące w płytkich ciemnych niszach. Menzies przystanął i z rozkoszą przez kilka chwil chłonał wonne powietrze. A potem żwawym krokiem przemaszerował przez opustoszałą salę i kilka innych, by w końcu stanąć przed wielkimi metalowymi drzwiami ozdobionymi tabliczką z napisem „Astor Hall, Sala Brylantowa”.

Jego oko przenikliwie muskało wzrokiem polerowane stalowe drzwi w całym ich przepychu, koncentrując się zwłaszcza na dwóch umieszczonych po bokach kamerach wideo łypiących nań jak małe czarne ślepia, tyle tylko że jak wiedział, w chwili obecnej żadna z nich nie funkcjonowała. Znów się uśmiechnął, wyjął z kieszonki kamizelki zegarek; był to nowoczesny cyfrowy stoper. Na jego tarczy pojawiły się cyfry zmieniające się z ogromną szybkością z dokładnością do tysięcznych sekundy i odliczające czas wstecz. Stoper odbierał sygnały czasu przekazywane przez tego samego satelitę, z którego korzystał system ochrony muzeum.

Zaczekał, aż stoper oznajmi cichym sygnałem nadejście chwili, na którą czekał. Menzies natychmiast schował stoper z powrotem do kieszeni, podszedł z zdecydowanym krokiem do drzwi, przyłożył do nich ucho, po czym szybkim ruchem przeciągnął kartę magnetyczną przez otwór czytnika. Drzwi nie otworzyły się, miast tego na wysokości oczu otworzyło się niewielkie okienko, ukazując skaner optyczny siatkówki.

Menzies pochylił głowę, wyjął dwa miękkie szkła kontaktowe, które nosił, i umieściwszy je w przygotowanym wcześniej plastikowym pojemniczku, podszedł do skanera. Przez jego twarz z góry na dół przesunął się wąski pasek światła, przez chwilę nic się nie działo, aż w końcu cichy metaliczny szczęk oznajmił odblokowanie elektronicznego zamka. Przeształ próg i znalazł się w sąsiedniej sali. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie. Żwawo i energicznie, co mogło się wydać niezwykle, zważywszy na jego podeszły wiek, Menzies ukląkł, otworzył plecak i zabrał się do pracy. Najpierw zdjął przypominającą lwią grzywę czuprynę siwych włosów, bezceremonialnie wcisnął perukę do plecaka, włożył palce do ust i wyciągnął pięć kauczukowych wkładek zmieniających kształt policzków oraz podbródka, co zaowocowało zdumiewającymi zmianami w jego twarzy – nie wyglądał już staro, wręcz przeciwnie. Dwa mocne szarpnięcia usunęły krzaczaste brwi, a parę ruchów dłonią wystarczyło, by znikły z niej drobne piegi, plamy wątrobowe oraz pieprzyk. Następnie, wciąż klęcząc, mężczyzna wydobyl z plecaka tuzin małych lusterek stomatologicznych umocowanych na dziwnych niedużych stojakach różnego kształtu i rozmiarów, przepięknie wykonanych ręcznie z mosiądzu. Potem przyszła kolej na pęk połączonych ze sobą przewodami czarnych przedmiotów, plik cienkich arkuszy mylaru, kilka małych narzędzi tnących, parę egzotycznie wyglądających metalowych instrumentów oraz płaską kleistą podkładkę z lepкими punkcikami wielkości i kształtu ziaren soczewicy

Gdy rozłożył to wszystko z istic wojskową precyzją na posadzce, mężczyzna znieruchomiał i czekał cierpliwie przykucnięty ze stoperem w dłoni. Tylko raz uniósł głowę, by spojrzeć w głąb sali znajdującej się przed nim. Pomieszczenie tonęło w absolutnych ciemnościach, nawet najmniejszy błysk nie zdradzał niezwykłości eksponatów w gablotach na wprost niego. Mrok stanowił jeden z elementów systemu bezpieczeństwa, ponieważ jedynymi falami elektromagnetycznymi w tej sali po jej zamknięciu były niewidzialne fale podczerwone. Nawet siatkę laserową tworzyły promienie podczerwone niedostrzegalne gołym okiem. On jednak nie potrzebował światła – powtarzał te czynności setki razy w doskonałej makiecie tego pomieszczenia, którą notabene sam zbudował.

Stoper wydał kolejny cichy dźwięk, a mężczyzna natychmiast zerwał się do biegu. Zwinnie i szybko jak łasica pokonał całą długość sali, umieszczając lusterka stomatologiczne w precyzyjnie wyznaczonych, doskonale mu znanych miejscach, każde z lusterek odchylone było pod ściśle określonym kątem. W dwie minuty skończył i wrócił na swoje miejsce przy drzwiach, oddychając powoli i regularnie, ze stoperem w dłoni.

Następny brzęczyk oznajmił ponowne uruchomienie siatki laserowej, tyle tylko że kierunek promieni został obecnie odwrócony i miał krzyżować się pośrodku sali, biegnęły one teraz wzdłuż ścian. Rotacyjna sieć laserowa także stanowiła element nowego systemu zabezpieczeń. Bez wątplenia technicy w piwnicy muzeum gratulowali sobie właśnie kolejnego udanego testu.

Mężczyzna znów czekał, spoglądając na stoper. Jeszcze jeden cichy sygnał i ponownie się poderwał, tym razem z arkuszami mylaru, którymi zasłonił obiektywy kamer wideo rozmieszczonych strategicznie w różnych punktach sali. Arkusze mylaru oglądane gołym okiem wydawały się przezroczyste, lecz w rzeczywistości były zaopatrzone w hologramy reagujące na światło podczerwone i odtwarzające w najdrobniejszym szczególe obraz, na który nakierowana była dana kamera, naturalnie nie rejestrując obecnego w sali mężczyzny. Kiedy kamery wideo znowu się włączą, na ekranach pojawi się obraz pustej sali muzealnej wyglądającej dokładnie tak jak poprzednio. Tyle tylko że będzie to obraz z gruntu fałszywy.

Miękko jak kot mężczyzna wycofał się w bezpieczny kąt sali. Tam cierpliwie zaczekał na jeszcze jeden sygnał dźwiękowy swego stopera. Tym razem przemknął jak cień wokół sali, rozmieszczając w każdym z rogów wąskie czarne pudełko połączone przewodami z niedużym przenośnym akumulatorem. Były to bardzo silne urządzenia radarowe, podobne do tych, jakich używa policja stanowa, zmodyfikowane, by zakłóciły nowy podczerwony system radarowy Dopplera, rzekomo tak czuły, że był w stanie wykryć karalucha wędrującego po wyściełającej posadzkę miękkiej wykładzinie.

Kiedy antyradary znalazły się już na swoich miejscach i zostały unieruchomione, mężczyzna wyprostował się, otrzepał kurz z kolan i zachichotał ochryple. Płynnym, niemal leniwym ruchem wydobył z plecaka latarkę, zapalił ją i powiódł wąskim zielonkawym promieniem po całej sali; wybrał dokładnie tę długość fali zielonego światła, ponieważ nie były jej w stanie wykryć wyrafinowane czujniki elektromagnetyczne zamontowane w tym pomieszczeniu.

Mężczyzna podszedł następnie do wysokiej na cztery stopy kolumny wzniesionej pośrodku sali, na której stała gablota z grubego pleksiglasu. Pochylił się i zajrzał do środka. Na miękkiej satynowej poduszce spoczywał ciemny brylant o sercowym szlifie, klejnot niezwykłych, żeby nie powiedzieć, niewiarygodnych rozmiarów – Serce Lucyfera, najcenniejszy diament w kolekcji muzeum, zwany powszechnie najcenniejszym brylantem świata. I z całą pewnością najpiękniejszy

Doskonały początek.

Za pomocą niewielkiego narzędzia tnącego mężczyzna wykonał otwór w tafli pleksiglasu. Następnie z użyciem kilku wąskich przyrządów wykonanych do tego właśnie celu oraz małych lepkich podkładek sięgnął do środka i wydobył brylant, uważając, by nie uruchomić zapadki alarmu umieszczonego pod bezcennym klejnotem. Kolejny zwinny ruch i miejsce diamentu zajęła duża kryształowa kula o zbliżonych wymiarach i takim samym ciężarze, która powinna zapobiec wysunięciu się sztyftu sprężynowego i wywołaniu alarmu. Mężczyzna wziął brylant do ręki i przez chwilę oświetlał go promieniem latarki. W zielonym świetle czerwony brylant zawsze wydaje się czarny A ten był czerwony, czy ściślej rzecz biorąc, ciemnocynamonowy, choć bez domieszki brązu. Był to jedyny na świecie brylant w takim kolorze. Diamenty błękitne powstawały za sprawą boru lub wodoru uwięzionego w skale macierzystej kryształu, zielone dzięki naturalnemu promieniowaniu, za żółte i brązowe odpowiadał azot, za różowe zaś obecność mikroskopijnych lameli. Co było przyczyną powstania tak niezwykłej barwy? Nikt tego nie wiedział.

Uniósł brylant w dłoni i spojrzał na wskroś niego, podświetlając diament od dołu. Ujrzał odbicie swoich oczu zwielokrotnione w fasetach brylantu, niesamowity surrealistyczny kalejdoskop setek oczu patrzących wewnątrz brylantu we wszystkich kierunkach. Przesunął klejnot przed twarzą od jednego oka do drugiego, w tę i z powrotem, radując się tym niewiarygodnym widowiskiem.

Najdziwniejsze zaś było to, że mężczyzna miał oczy w dwóch różnych kolorach – jedno brązowe, a drugie zmętniałe bładoniebieskie.

ROZDZIAŁ 53

Larry Enderby siedział przy swojej konsoli w Centrum Technologii Zaawansowanych i cicho posapywał. Pustka w jego żołądku została zastąpiona uczuciem nadmiernej sytości. Co tu dużo gadać, nażarł się jak świnia. Czknął i poluzował pasek o jedną dziurkę. Brakowało mu tylko błyszczącego czerwonego jabłka w ustach.

Spojrzał na swoich współpracowników Walta Smitha i Jima Choi. Smitty, który miał dość powściągliwą naturę, wpatrywał się z ożywieniem w ekrany monitorów. Tego samego nie można było powiedzieć o Choi, który osunął się ciężko w fotelu, a jego oczy wydawały się mętne i szkliste. Podczas piętnastu minut, które wyznaczył im Smitty, Choi wykazał się wyjątkowym łakomstwem, jeżeli chodzi o krewetki i szampana. Enderby przestał liczyć krewetki przy sześćdziesiątej drugiej.

Beknął raz jeszcze, po czym energicznie poklepał się po brzuchu. Dotarli do szerokiego stołu w samą porę: szal jedzenia niemal całkiem wygasł. Przód koszuli Larry'ego był umazany kawiozem; potrząsnął palcem, aby strzepnąć z materiału grudkę ikry. Chyba jednak popełnił błąd, wypijając w ostatniej chwili czwarty kieliszek szampana. Pozostawało mu mieć nadzieję, że wytrwa jakoś do końca zmiany. Zerknął na zegarek – jeszcze godzina. Muszą tylko potwierdzić, że zmodyfikowany, unowocześniony system bezpieczeństwa w Astor Hall był w pełni funkcjonalny, a potem przebrnąć przez żmudną procedurę zmiany statusu starego systemu na rezerwowego. Nie ma sprawy: robił to dziesiątki razy, poradziłby sobie nawet z zamkniętymi oczami.

Rozległ się cichy dzwonek. – Już czas – rzekł Smitty. – Dwadzieścia minut. Przeniósł wzrok na Choi. – Co z systemem bezpieczeństwa w Astor Hall?

Choi zamrugał leniwie powiekami, gapiąc się w ekran. – Próba przebiegła pomyślnie. – Zlustrował wzrokiem obrazy z kamer wideo. – Sala wygląda normalnie. Chyba wszystko w porządku.

–Czy wystąpiły jakieś błędy?

–Nie. System działa bez zarzutu.

–Co z modulacją wiązki?

–Co pięć minut, zgodnie z programem. Żadnych odchyień.

Smitty chrząknął z aprobatą, po czym podszedł do swego stanowiska i sięgnął po słuchawkę telefonu. – Carlos? Tu Walt z CTZ. Zakończyliśmy dwudziestominutowy test siatki laserów w Astor Hall. Jak to wygląda w centrali ochrony? – Przerwa. – Dobra, w porządku. Zaczynamy standardową procedurę szeregowania nowego i przeniesienia starego systemu do rezerwy.

Odłożył słuchawkę i przeniósł wzrok na Enderby'ego. – Dół mówi, że jest tip-top. Larry, zajmij się wszystkim. Pomogę Jimowi w rutynowych czynnościach automatyzacji siatki laserowej.

Larry pokiwał głową i przystawił krzesło nieco bliżej konsoli. Czas przełączyć stary system bezpieczeństwa na tryb rezerwowego. Zamrugał powiekami, otarł usta wierzchem dłoni, po czym zaczął wpisywać całą serię komend. I niemal natychmiast wyprostował się w fotelu. – To dziwne. – Smitty spojrzał na niego. – Co takiego?

Enderby wskazał na ekran ciekłokrystaliczny z boku, przy swoim stanowisku. W lewym górnym rogu mrugała pojedyncza czerwona kropka. – Kiedy wprowadzałem strefę pierwszą do trybu rezerwowego, system wykazał kod czerwony.

Smitty zmarszczył brwi. Kod czerwony oznaczał ni mniej, ni więcej, tylko alarm. W Astor Hall mógł on zostać ogłoszony jedynie, gdy któryś z brylantów został wyjęty z gabloty – Która to była strefa?

–Pierwsza.

–Co się w niej znajduje?

Enderby odwrócił się do odrębnej konsoli i pospiesznie sprowadził w bazie danych rodzaj klejnotów

prezentowanych w danej strefie bezpieczeństwa. – Tylko jeden brylant. Serce Lucyfera.

– Jest dokładnie na samym środku sali. – Smitty podszedł do panelu monitorów i spojrzął z uwagą na jeden z ekranów. – Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Mamy tu chyba do czynienia z jakąś usterką oprogramowania. – Przeniósł wzrok na Enderby'ego. – Sprawdź strefę drugą.

Enderby wprowadził kilka kolejnych komend na klawiaturze swego komputera. W jednej chwili na ekranie pojawiła się druga czerwona kropka. – Ta strefa też pokazuje kod czerwony.

Smitty podszedł do niego z wyrazem zmartwienia na twarzy Enderby wlepił wzrok w ekran. W ustach miał sucho, oszołomienie wywołane alkoholem błyskawicznie z niego wyparowało.

–Przeprowadź kontrolę ogólną – rzekł Smitty. – Sprawdź wszystkie strefy po kolei.

Enderby wziął głęboki oddech, po czym wstukał krótką sekwencję na klawiaturze. A chwilę potem ogarnęła go głęboka konsternacja. – O nie – wyszeptał. – Nie.

Niewielki ekran na biurku Enderby'ego rozjarzył się jak bożonarodzeniowa choinka. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała kompletna cisza. Wreszcie Smitty machnął uspokajająco ręką. – Nie ma się czym przejmować. To tylko drobne zakłócenia w funkcjonowaniu oprogramowania. Brak kompatybilności pomiędzy starym a nowym systemem musiał zapewne doprowadzić do zakłóceń w funkcjonowaniu układu rezerwowego. To stało się zapewne, kiedy go odłączyliśmy Bez paniki! Larry, wyłącz stary system, jeden moduł po drugim. A potem uruchom go ponownie wprowadzając dane z kopii zapasowej głównego programu sterującego.

–Czy nie powinniśmy zgłosić tego centrali?

–A po co? Żebyśmy wyszli na idiotów? Zgłosimy to, kiedy już uporamy się z usterką.

–W porządku. Ty tu rządzisz – Enderby zaczął stukać w klawisze.

Smitty wysilił się na słaby uśmiech, po czym skinął ręką w stronę ekranów, na których widać było gabloty muzealne i błyszczące wewnątrz nich brylanty. – No co, czy nie mam racji? Zobaczcie sami. Czy ta sala wygląda, jakby zakradł się tu jakiś złodziej i coś z niej zwędził?

Enderby zachichotał. Może Smitty mimo wszystko nie był takim ponurakiem, za jakiego dotąd go uważał.

ROZDZIAŁ 54

D'Agosta zmieniał kanały w zabranym z rollsa przenośnym radiu odbierającym na częstotliwościach policyjnych, w poszukiwaniu nieco bardziej oficjalnych informacji dotyczących jego i Pendergasta. Po tym jak pojawili się na lotnisku Kennedyego, na całym terenie Long Island, od Queens po Bridgehampton, wysłano za nimi listy gończe. Zostawili rollsa na parkingu przy biurze wynajmu samochodów, a kiedy gliny zorientują się, że zamienili wóz i zidentyfikują skradzioną przez nich toyotę camry, poinformują o niej patrol z drogówki. Udało im się jak dotąd ominąć kilka blokad rozstawionych na autostradzie Long Island, głównie dlatego, że korzystali z bocznych dróg i prowadzili ciągle nasłuch.

Znaleźli się w sieci, a ta sieć z każdą chwilą coraz bardziej się wokół nich zaciskała. Mimo to Pendergast wciąż szukał, zatrzymując się przy kolejnych sklepach całodobowych, nie poddawał się, choć D'Agosta to, co robił, wydawało się nie mieć sensu. Na próżno się trzymał, poświęcając swój czas i resztki sił na coś, co było żmudnym, czasochłonnym procesem, typową gliniarską robotą, niestety rzadko przynoszącą wymierne rezultaty. To trochę jakby mieli w określonym czasie sprawdzić różne miejsca, tyle tylko że ich liczba z góry skazywała na niepowodzenie.

Pendergast zajechał przed całodobowy sklep w Yaphank, który wyglądał tak samo jak dwa tuziny innych, jakie odwiedzili wcześniej – przeszklony od frontu, z upiornymi, zielonkawymi świetlówkami, których blask rozpraszał gęsty mrok. W pewnym momencie, dywagował D'Agosta, natknął się na pracownika, który słyszał o liście gończym. I to już będzie koniec.

Mimo to Pendergast raz jeszcze zwinnie jak kot wyskoczył z toyoty. Wydawało się, że w ciele agenta goreje niegasnący dziki płomień. Od dwunastu godzin byli w drodze i przez cały czas, gdy na przemian prowadzili przesłuchania lub wymykali się obławie, Pendergast zamienił z D'Agostą zaledwie parę słów na tematy inne niż sprawa, którą się obecnie zajmowali. D'Agosta zastanawiał się, jak długo jeszcze agent może tak wytrzymać.

Pendergast wszedł do niewielkiego sklepiku i stanął przed zaspanym sprzedawcą, zanim ten zdołał otrząsnąć się z sennego rozleniwienia, siedząc w wygodnym fotelu, za ladą, gdzie najwyraźniej oglądał jakiś film kung-fu.

–Agent specjalny Pendergast, FBI – rzekł nadzwyczaj spokojnym tonem, który mimo iż cichy i delikatny, miał w sobie jakąś dziwną, złowrogą nutę, i błysnął tamtemu przed oczami swoją odznaką. W tej samej chwili D'Agosta sięgnął ręką i zgasił telewizor, a w sklepie zapanowała nagle nieprzyjemna, niepokojąca cisza.

Nogi fotela stuknęły i zaszurały o posadzkę, kiedy mężczyzna poderwał się z miejsca. – FBI? Taa, no jasne. Czym mogę panom służyć?

–Kiedy zaczął pan zmianę? – spytał Pendergast.

–O północy.

–Chcę, aby rzucił pan na to okiem. – Wyjął wydruki zrobione na lotnisku Kennedyego i podsunął pierwszy z nich w stronę sprzedawcy. – Czy widział pan tego mężczyznę? Mógł przejeżdżać tędy ubiegłej nocy, pomiędzy pierwszą a trzecią.

Sprzedawca wziął barwne zdjęcie do ręki i skrzywił się. D'Agosta, który uważnie go obserwował, odrobinę się rozluźnił.

Najwyraźniej ten człowiek nie wiedział nic o wysłanym za nimi liście gończym. Dochodziła czwarta nad ranem. To była tylko kwestia czasu. Nie mieli żadnego tropu, ot szukanie igły w stogu siana. Gliny ich znajdują, a potem...

–Tja – odrzekł mężczyzna. – Widziałem go. W sklepie zapanowała elektryzująca atmosfera.

–Proszę spojrzeć również na to zdjęcie. – Pendergast podał mu drugi wydruk. – Chcę, aby pan się upewnił. – Mówił cicho, ale jego ciało było spięte jak nakręcona sprężyna.

–Tak, to na pewno był on – mruknął sprzedawca. – Pamiętam zwłaszcza te jego dziwne oczy... Nielicho się wystraszyłem, kiedy je zobaczyłem.

–Czy widział pan ten samochód? – rzucił Pendergast, pokazując mu trzeci wydruk.

–Szczерze mówiąc, nie bardzo pamiętam. Facet sam się obsłużył, rozumie pan?

Pendergast odebrał od niego wydruki. – Pana godność...?

–Art Malek.

–Panie Malek, czy temu mężczyźnie ktoś towarzyszył?

–Wszedł do sklepu sam. A ja, o czym już wspominałem, nie wychodziłem na zewnątrz, więc nie potrafię powiedzieć, czy w aucie był ktoś jeszcze. Przykro mi.

–W porządku. Dziękuję. – Pendergast schował wydruki do kieszeni i nachylił się w stronę sprzedawcy – A teraz proszę powiedzieć mi, co pan pamięta od momentu, kiedy ten mężczyzna wszedł do sklepu, aż do chwili, kiedy stąd wyszedł.

–No cóż... to było wczoraj w nocy... tak jak pan powiedział... około trzeciej nad ranem. Nie było w tym nic niezwykłego, facet podjechał i wszedł, aby zapłacić za benzynę.

–Gotówką.

–Zgadza się.

–Czy coś jeszcze w tym mężczyźnie zwróciło pańską uwagę?

–Raczej nie. Miał dziwny akcent, trochę jak pański. Bez urazy, ma się rozumieć – dorzucił pośpiesznie Malek.
– Właściwie był bardzo do pana podobny.

–Co miał na sobie?

Mężczyzna wysilił pamięć. – Pamiętam tylko ciemny płaszcz. Długi.

–Czy poza tym, że zapłacił za paliwo, zrobił coś jeszcze?

–Chyba krążył przez dłuższą chwilę między stoiskami. Ale nic nie kupił.

W tej samej chwili Pendergast zeszytniał. – Zakładam, że w przejściach między stoiskami ma pan zamontowane kamery?

–Oczywiście.

–Chciałbym przejrzeć taśmy z ubiegłej nocy Mężczyzna zawahał się. – System działa na bazie zamkniętego obiegu kaset, które są wykasowywane co trzydzieści godzin i...

–Wobec tego proszę natychmiast wyłączyć cały system. Muszę przejrzeć tę taśmę.

Mężczyzna zerwał się jak oparzony i zniknął na zapleczu.

–Wygląda na to, że wreszcie mamy jakiś trop – rzekł D'Agosta. Oczy Pendergasta, kiedy na niego spojrzął, wydawały się prawie martwe.

–Wręcz przeciwnie. Diogenes miał nadzieję, że tu trafimy.

–Skąd wiesz? Pendergast nie odpowiedział.

Mężczyzna, zasapany, wyłonił się z pokoju na zapleczu, trzymając w ręku kasetę wideo. Pendergast wyjął z magnetowidu kasetę z filmem i włożył taśmę z kamery. Na ekranie pojawił się obraz przedstawiający wnętrze

niewielkiego sklepiku, w lewym dolnym rogu widniała data i godzina rejestracji obrazu. W ciągu minuty zlokalizował fragment nagrania z godziny trzeciej w nocy, 28 stycznia. Następnie cofnął taśmę jeszcze o pół godziny, z uwagi na margines błędu. Potem wszyscy zaczęli oglądać taśmę na przyspieszonych obrotach.

Czarno-biały obraz był dość marnej jakości. Przejścia między stoiskami raz po raz falowały, skrzyły się i migotały na ekranie. Od czasu do czasu jakaś zgarbiona postać przemykała w przyspieszonym tempie jak kula bilardowa, przelatując przy kolejnych stoiskach i zdejmując rozmaite rzeczy z półek, by po krótkiej chwili zniknąć.

Nagle Pendergast wcisnął przycisk zwalniający tempo przesuwu taśmy do normalnej prędkości, gdy na ekranie pojawiła się kolejna ciemna postać. Postać szła wolno pomiędzy stoiskami, a jej oczy w dwóch różnych odcieniach szarości rozglądały się na boki, aż w końcu zlokalizowały kamerę przemysłową.

To był Diogenes. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, gdy leniwym gestem sięgnął i wyjął z kieszeni kartkę papieru. Rozłożył ją i nonszalancko uniósł do kamery

BRAWO, FRATER! ZADZWOŃ JUTRO

POD 466

I ZAPYTAJ O VIOŁĘ.

TO BĘDZIE NASZ OSTATNI

KONTAKT.

NIECHAJ ROZPOCZNIE SIĘ DLA

NAS NOWE ŻYCIE.

VALEAS.

–Cztery sześć sześć? – mruknął D'Agosta. – To nie jest żaden z funkcjonujących numerów alarmowych.

Nagle przerwał. To nie był numer alarmowy, lecz adres. Przy Pierwszej Alei i Bellevue pod numerem 466 znajdowało się wejście do kostnicy miejskiej.

Pendergast wstał, wyjął taśmę i włożył do kieszeni.

–Może ją pan zatrzymać – rzucił za nimi usłużnie sprzedawca, kiedy wyszli ze sklepu.

Pendergast wślizgnął się za kierownicę, ale przez chwilę trwał w kompletnym bezruchu. Jego twarz miała barwę popiołu, powieki były półprzymknięte.

Zapanowała przeraźliwa cisza. D'Agosta nie wiedział, co ma powiedzieć. Czuł się niemal fizycznie chory. Teraz było nawet gorzej niż w Dakota House, gdyż przez ostatnie dwanaście godzin mieli jeszcze przynajmniej nadzieję. Co prawda niewielką, ale lepsze to niż nic.

–Sprawdzę, co słychać na policyjnej częstotliwości – wykrztusił niepewnie. Był to zbędny gest, po prostu musiał się czymś zająć. Nawet policyjna paplanina o wysłanym za nimi liście gończym była lepsza niż przeraźliwa cisza.

Pendergast nie odpowiedział, a D'Agosta włączył radio.

Z głośnika popłynęła kakofonia podniesionych, zmieszanych ze sobą głosów. D'Agosta instynktownie wyrzwał przez okno. Czy zostali zauważeni? Jednak okoliczne drogi były kompletnie opustoszałe. Sięgnął ręką i zmienił częstotliwość. Znów podniesione, nerwowe głosy.

–Co u licha? – D'Agosta wcisnął guzik, zmieniając kolejne częstotliwości. Blisko połowa dostępnych kanałów była zajęta i wcale nie rozmawiano na ich temat. Najwyraźniej w mieście wydarzyło się coś naprawdę niewiarygodnego. Kiedy wytężył słuch, próbując zorientować się, o co chodziło, zdał sobie sprawę, że Pendergast także się ożywił i czujny, przeraźliwie spięty, nasłuchiwał z uwagą. Na tym kanale mówiono o jakiejś kradzieży, która miała miejsce w Muzeum Historii Naturalnej. Wszystko wskazywało, że okradziono Astor Hall, Salę Brylantową.

–Przełącz na kanał kontroli dowodzenia – rzucił Pendergast. D'Agosta pokręcił gałką.

–Rocker chce, abyście przycisnęli techników – oznajmił głos. – Nie ulega wątpliwości, że to robota kogoś z wewnątrz.

D'Agosta nasłuchiwał z niedowierzaniem. Rocker o czwartej nad ranem? Sprawa musiała być naprawdę gigantyczna.

–Zwinęli wszystkie? Włącznie z Sercem Lucyfera?

–Taa. I sprawdźcie, kto znał szczegóły dotyczące systemu zabezpieczeń, sporządźcie listę i zróbcie to migiem. Przyjrzyjcie się też ochronie muzeum.

–Zrobi się. Kto jest ubezpieczycielem?

–Affiliated Transglobal.

–Jezu, jak się o tym dowiedzą, dostaną szału.

D'Agosta spojrzawszy na Pendergasta, przeraził się wyrazem napięcia malującym się na jego twarzy To niesamowite, jak w chwili najgorszego kryzysu ten człowiek potrafił skupić się na czymś, co bynajmniej nie wiązało się z ich obecnymi problemami.

–Prezes muzeum jest już w drodze. Wyciągnięto też z łóżka burmistrza. Wiesz, że on nie daruje nikomu, przez kogo mógłby mieć problemy z...

–Ktoś obrobił Salę Brylantową – rzekł D'Agosta. – Chyba właśnie dlatego mamy chwilowo względny spokój. Zeszliśmy na dalszy plan.

Pendergast milczał. Jego wyraz twarzy wprawił D'Agostę w głęboką konsternację.

–Hej, Pendergast – rzucił. – Wszystko gra?

Pendergast spojrzał na niego swymi bladymi stalowoszarymi oczami. – Nie – wyszeptał.

–Nie rozumiem. Czy to ma z nami jakiś związek? Przecież to kradzież diamentów...

–Zasadniczy... – I w tej samej chwili agent FBI odwrócił wzrok, spoglądając w zimową ciemność. – Wszystkie te brutalne zabójstwa, te drwiące liściki i wiadomości stanowiły jedynie zasłonę dymną. Okrutną, bezlitosną, sadystyczną zasłonę dymną.

Ruszył od krawężnika i zawrócił w kierunku zabudowań, które przed chwilą minęli.

–Dokąd jedziemy?

Miał odpowiedzieć, Pendergast nacisnął na hamulec, zatrzymując wóz przed dwupoziomym domem. Wskazał na pikapa F150 stojącego na podjeździe. Na przedniej szybie mydłem napisano: „Na sprzedaż”.

–Potrzebujemy nowego wozu – powiedział. – Przygotuj się do przeniesienia radia i laptopa do półciężarówki.

–Zamierzasz kupować samochód o czwartej nad ranem?

–Zbyt szybko zgłoszono kradzież toyoty. Potrzebujemy więcej czasu.

Pendergast wysiadł z samochodu i przeszedł po krótkim betonowym chodniku. Nacisnął dzwonek raz, potem drugi. Po dłuższej chwili w oknie na piętrze zapaliło się światło. Okno uchyliło się i z góry dobiegł donośny głos. – O co chodzi?

–Czy ten pikap jest na chodzie?

–Do cholery, człowieku, jest czwarta nad ranem.

–Czy zapłata w gotówce jest w stanie wyciągnąć pana z łóżka?

Rozległo się zduszone przekleństwo, a potem trzask zamykanego okna. Chwilę potem na ganku zapaliło się światło, a w drzwiach pojawił się korpulentny mężczyzna w szlafroku. – Kosztuje trzy tysiące. I chodzi jak marzenie. Jest zatankowany do pełna.

Pendergast włożył rękę do wewnętrznej kieszeni garnituru, wyłuskał z niej plik banknotów i odliczył

trzydzieści setek.

–Co się dzieje? – spytał mężczyzna lekko zaspanym głosem. Pendergast pokazał mu swoją legitymację. – Jestem z FBI. – Skinął na D'Agostę. – A on z policji nowojorskiej.

Ściskając pod pachą laptopa i radio, D'Agosta pokazał grubasowi służbową blachę.

–Prowadzimy tajną operację przeciwko handlarzom narkotyków Niech pan zachowa się jak na dobrego obywatela przystało i zatrzyma to dla siebie, dobrze?

–Jasne – mężczyzna przyjął pieniądze.

–A kluczyki?

Mężczyzna znikł wewnątrz domu, ale już po chwili wrócił z kopertą w dłoni.

–Są tu wszystkie dokumenty wozu.

Pendergast wziął od niego kopertę. – Niebawem zjawi się tu funkcjonariusz, aby zająć się naszym poprzednim wozem. Niech pan nic nikomu nie mówi ani o samochodzie, ani o nas, nawet gdyby pytała pana o to policja. Wie pan, jak to jest, gdy się pracuje incognito.

Mężczyzna energicznie pokiwał głową. – Jasne. Pewno, że tak. Uwielbiam literaturę faktu. Zwłaszcza pitawale.

Pendergast podziękował tłuściochowi i odwrócił się. Minutę później on i D'Agosta siedzieli już w pikapie i odjechali spod domu grubasa.

–To powinno dać nam dobrych parę godzin – rzekł Pendergast, kierując się z powrotem w stronę Montauk Highway.

ROZDZIAŁ 55

Diogenes Pendergast jechał wolno, bez pośpiechu, pośród mroźnego zimowego pejzażu wzdłuż Old Stone Highway: Barnes Hole, Eastside, Springs. Światła na skrzyżowaniu zmieniły się na czerwone, musiał się więc zatrzymać. Rozejrzał się w lewo, potem w prawo. Po jednej stronie widniało ponuro wyglądające o tej porze kartoflisko, zamrożnięte i przyprószone śniegiem. Na drugim końcu pola rozciągał się skraj ciemnego lasu, nagie gałęzie drzew podkreślone były bielą. Świat był czarno-biały, pozbawiony głębi, płaski jak koszmarowa wizja Edwina A. Abbotta. Moja mowa będzie krótka...

Zapaliło się dolne światło, co oznaczało, że zmieniło się na zielone, a Diogenes powoli nacisnął pedał gazu. Samochód wyrwał do przodu, po czym skręcił w prawo, gdy Diogenes zakręcił kierownicą, a następnie wyrównał. Dodał gazu, ale zwolnił, gdy tylko osiągnął dozwoloną prędkość. Po prawej znów miał kartofliska, dalej zaś widać było rzędy szarych domów, a za nimi trzęsawiska Acabonack.

Wszystko szare, niewiarygodnie szare.

Diogenes sięgnął ręką do deski rozdzielczej i podkręcił ogrzewanie. Nie czuł mściwej satysfakcji ani triumfu, a jedynie osobiwą pustkę. Zwykle uczucie takie nawiedzało go, gdy dokonywał rzeczy wielkich, dopełniając planowanego od wielu lat wiekopomnego dzieła.

Diogenes żył w świecie szarości. Kolory nie docierały do jego świata, jedynie przebłyski barw pojawiające się, gdy najmniej się tego spodziewał, dostrzegane kątem oka jak koan zen. Koan. Ko. Koan ko. Ko, ko, ko. Ko, ko, ko, ko...

Dawno temu jego świat rozmył się w odcieniach szarości, zmieniając się w monochromatyczny wszechświat kształtów i cieni, w którym prawdziwe barwy zniknęły nawet ze snów na jawie. Nie, niezupełnie. Takie stwierdzenie byłoby obłudne i fałszywe, melodramatyczne. W jego świecie istniało szczątkowe wspomnienie barw i było tuż przy nim, w skórzanym plecaku leżącym obok, na siedzeniu.

Samochód sunął wzdłuż pustej drogi. Na szosie nie było żywego ducha.

Po zmianach zachodzących w monochromatycznym pejzażu wokoło wiedział, że noc powoli traciła władzę nad światem. Do świtu było już niedaleko. Diogenes jednak nie dbał o promienie słońca, podobnie jak obce były mu uczucia ciepła, miłości, przyjaźni oraz inne doznania tak cenione przez resztę ludzkości.

Po drodze w myślach odtwarzał w najdrobniejszych szczegółach wydarzenia ubiegłej nocy. Przypominał sobie każdy ruch, każdą czynność, każde słowo, rozkoszując się niezłomnym przeświadczeniem, że nie popełnił przy tym żadnego błędu. Równocześnie skupił się myślami na przyszłości, wyliczając w głowie przygotowania, które musiał poczynić, zadania, które zaplanował, wielką podróż, jaka go czekała i... aber naturalich... kres tej wędrówki. Pomyślał o Violi, o swoim bracie, o swym dzieciństwie i wielowarstwowym, wielowątkowym snach na jawie, które wydawały się o wiele bardziej realne niż terażniejsza rzeczywistość. W przeciwieństwie do innych worków krwi i kości zaludniających ten świat Diogenes szczyił się wybitną podzielnością uwagi i umiejętnością prowadzenia kilku procesów myślowych jednocześnie.

Wydarzenie, które odebrało Diogenesowi barwy, pozbawiło go również snu. Nie był już w stanie normalnie zasnąć. Leżał tylko na łóżku, dryfując poprzez świat snów na jawie, pełnych wspomnień z przeszłości, pożogi, dyskusji, rozmów, kłótni, zwierząt otrutych i dogorywających w specjalnie dla nich przygotowanych pętach, ciał rozciągniętych na krzyżakach z popękanych desek, włosienic wykonanych ze zwojów włókien nerwowych, słoików wypełnionych świeżą krwią – oderwanymi obrazami z przeszłości odtwarzanych na ekranie jego umysłu niczym pokaz magicznej latarni. Diogenes nigdy nie próbował się im opierać. Opór byłby próżny, a sama próżność rzecz jasna spotkałaby się z silnym oporem. Pozwalał, by poszczególne sceny pojawiały się i zniknęły, nie próbując ich kontrolować. To i tak nic by nie dało. Ale to wszystko się zmieni. Wielkie koło zatoczy krąg, ponieważ to właśnie on zamierzał złamać na tym kole motyla. To, co nękało go i dręczyło od tak dawna, zostanie w końcu wyegzorcyzmowane. Po tylu latach wreszcie dopnie swego i dokona zemsty na bracie. Jego dzieło powoli dobiegało końca.

Gdy tak jechał, Diogenes cofnął się myślami o trzydzieści lat. Początkowo po tym, co się stało, zatracił się w wewnętrznym labiryncie umysłu, oddalając się od rzeczywistości i zdrowego rozsądku najbardziej jak to tylko

możliwe, podczas gdy każda, nawet najmniejsza jego cząstka pozostała prozaiczna, codzienna, zdolna do interakcji ze światem zewnętrznym, którego prawdziwa natura, dzięki tamtemu wydarzeniu została mu obecnie objawiona. W końcu jednak wolno, bardzo wolno, szaleństwo zaczęło wypełzać ze swej kryjówki. Nie przynosiło mu to już pocieszenia, nawet przepełnionego goryczą. Dlatego wrócił, ale czuł się jak nurek, który zszedł za głęboko pod wodę i unosił się ku powierzchni, by koniec końców prądy znów zniosły go w dół.

To był najgorszy moment.

A jednak to właśnie wtedy, gdy balansował na okrutnej, wąskiej jak ostrze noża granicy rzeczywistości, zrozumiał, że w tym świecie czekał nań konkretny, naprawdę ważny cel. W dodatku podwójny: wyrównanie rachunków i rewindykacja. Opracowanie szczegółowego planu zajmie mu parę dziesięcioleci. Będzie to prawdziwe dzieło sztuki, istny majstersztyk, jeżeli rozpatrywać go w kategoriach jego własnego świata. Dzieło życia.

Wracaj do swego ogródka.

I właśnie dlatego Diogenes powrócił do świata.

Wiedział już, co to za miejsce i jakie istoty go zamieszkują. Nie był to słodki, cukierkowy świat, bynajmniej. Był to świat bólu, zła i okrucieństwa, po którym stapały istoty wypełnione moczem, odchodami i żółcią. Na szczęście nowo odkryty cel, którego osiągnięciu poświęcił cały swój intelekt i wszelkie środki, jakimi dysponował, uczyniły ten świat znośnym. On sam stał się kameleonem par excellence, ukrywając wszystko, dosłownie wszystko, pod zmieniającą się jak w kalejdoskopie powłoką fałszywej skóry, sprytnych kłamstw, mylnych tropów, dwuznaczności, ironii i chłodnej obojętności.

Czasami, kiedy jego wola zaczynała słabnąć, przekonywał się, że wystarczą pewne drobne nawyki, aby wszystko zmienić, potrzebował ich, by wydostać się z głębiny. Emocję, która dodawała mu sił, niektórzy mogliby określić mianem nienawiści, dla niego jednak była to prawdziwie boska ambrozja, zyskiwał dzięki niej nadludzką cierpliwość i stawał się fanatycznie wręcz wyczulony na najdrobniejsze szczegóły. Stwierdził, że jest w stanie wieść nie podwójne czy potrójne życie, lecz przyjąć pół tuzina lub nawet więcej różnych tożsamości i żyć w tyluż różnych krajach, w zależności od potrzeb, by kontynuować swe największe dzieło i móc w swoim czasie doprowadzić je do końca.

Niektóre z tych tożsamości przyjął wiele lat, a nawet dekad temu, tworząc złożony fundament swego wielkiego planu.

Przed skrzyżowaniem Diogenes zwolnił i skręcił w prawo.

Noc traciła władzę nad światem, ale hrabstwo Suffolk wciąż pogrążone było we śnie. Diogenes pocieszał się świadomością, że jego brat Aloysius nie był jednym z tych, co oddawali się teraz miłosnym karesom albo pogrążyli się w objęciach Morfeusza. Aloysius już nigdy, przenigdy nie będzie mógł zasnąć spokojnie. W chwili obecnej powinien z wolna zacząć pojmować, co zamierzał z nim zrobić Diogenes. Jego plan był perfekcyjny i niezawodny jak dobrze naoliwiona pułapka na niedźwiedzia. A teraz wpadł w nią Aloysius i tkwił bezradnie w potrzasku, oczekując nadejścia myśliwego, który litościwie dobije go jednym celnym strzałem w głowę. Tyle tylko że Diogenes nie okaże się wcale miłosierny.

Przeniósł wzrok na plecak leżący na siedzeniu pasażera. Nie otworzył go, odkąd zapakował do niego wszystkie rzeczy dobrych parę godzin temu. Transcendentalny moment, kiedy spojrzy na – a raczej wgłąb skradzionych diamentów, zbliżał się wielkimi krokami. Chwila wolności, wyzwolenia, na którą czekał od tak dawna. Tylko bowiem w intensywnym, jasnym, złamanym świetle roztaczanym przez brylant o szczególnie głębokiej barwie Diogenes mógł wyrwać się choćby nawet na chwilę ze swego czarno-białego więzienia. Tylko wtedy mógł odnaleźć w sobie najślabsze i najbardziej pożądane wspomnienia, prawdziwą esencję barw. A ze wszystkich kolorów, za jakimi tęsknił, jego największą pasją była czerwień. Czerwień w swych niezliczonych przejawach i odcieniach. Serce Lucyfera. Od tego właśnie zaczniesz i na tym skończysz. Od alfy i omegi barw.

A potem zajmie się Violą.

Wszystkie narzędzia zostały wyczyszczone, wypolerowane i naostrzone najlepiej jak to tylko możliwe. Viola

zajmie mu trochę czasu. Była jak najprzedniejsze wino, które po przyniesieniu z piwnicy musi przez jakiś czas przystosować się do temperatury pokojowej, odkorkowane, aby mogło trochę pooddychać, zanim będzie się nim można nacieszyć i wysączyć do ostatniej kropli. Musiała cierpieć, nie ze względu na nią samą, lecz na ślady, które zamierzał pozostawić na jej ciele. A nikt nie zdoła pojąć ich znaczenia lepiej niż Aloysius. To sprawi mu ból niemal porównywalny z tym, jakiego w tych ostatnich chwilach swego życia doświadczy lady Viola.

Być może znacznie od zrekonstruowania w przesiąkniętej wilgocią piwnicy małego domku sceny przedstawionej na obrazie Judyta i Holofernes. To było jego ulubione płótno, jeżeli chodziło o Caravaggia. Stał przed tym obrazem całymi godzinami w Galleria Nazionale d'Arte Antica w Rzymie, podziwiając go i chłonąc wzrokiem; ta cudowna zmarszczka determinacji przecinająca czoło Judyty, gdy dokonuje swego krwawego dzieła, sposób ułożenia jej ciała, tak by prócz gołych rąk i nóg nie zachlapać się posoką; jasne strugi krwi buchające ukośnie na posłanie. Tak, to byłby doskonały początek. Może on i Viola mogliby nawet wspólnie pozachwycać się obrazem, zanim się nią zajmie. Judyta i Holofernes. Rzecz jasna role zostaną odwrócone i dołożona zostanie cynowa misa, aby nie zmarnowała się ani jedna kropla tego precudownego-go szkarłatnego nektaru.

Diogenes minął wymarłe miasteczko Gerard Park. Przed nim pojawiła się zatoka Gardiners, matowa zimna tafla barwy cynku upstrzona tu i ówdzie ciemnymi konturami odległych wysepek. Skręcił w prawo, w Gerard Drive, po jednej stronie minął przystań Acabonack, po lewej zaś zatokę. Już niedaleko. Została niecała mila. Uśmiechnął się pod nosem.

–Vale, frater – wyszeptał po łacinie. – Vale.

Viola przystawiła krzesło do okratowanego okna i patrzyła, jak pierwsze promienie wschodzącego słońca muskają fale czarnego Atlantyku niczym rozmazany ślad kredy na szkolnej tablicy. Przyglądała się temu z iście surrealistyczną bezstronnością. To było jak koszmar, z którego nie mogła się obudzić, sen tyleż żywy i realny, co irracjonalny. Najbardziej przerażała ją świadomość, jak wiele trudu i środków włożył Diogenes w stworzenie tej więziennej celi, że pomyślał o ścianach, suficie i podłodze z nitowanych stalowych płyt, drzwiach wyposażonych jak sejf w zamek szyfrowy oraz nietłukących okratowanych oknach i specjalnej instalacji elektrycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej. To miejsce było jak cela w ściśle strzeżonym więzieniu, a kto wie, może nawet pod wieloma względami ją przewyższało.

Ale dlaczego? Czy to możliwe, że z nadejściem świtu pozostało jej zaledwie parę minut życia?

Raz jeszcze odegnęła od siebie niespokojne myśli. Już dawno temu pogodziła się z myślą, że ucieczka z tego pokoju jest niemożliwa. W stworzenie tego więzienia włożono naprawdę sporo wysiłku i pomysłowości, wszelkie próby wydostania się stąd, jakie dotąd podjęła, spęły na niczym. Diogenesa nie było przez całą noc, tak przynajmniej wywnioskowała z uwagi na panującą w całym domu ciszę. Od czasu do czasu krzyczała na całe gardło i tłukła pięściami w drzwi, a w którymś momencie zaczęła walić w nie krzesłem, ale po chwili rozleciało się jej w rękach. Robiła co w jej mocy, ale nikt się nie zjawił. Rozmazana smuga kredy zaczęła nabierać czerwonego odcienia, nad przetaczającymi się leniwie falami Atlantyku pojawiła się czerwona poświata. Silniejsze podmuchy porywistego wiatru sprawiły, że grzbiety fal pokryły się pióropuszcami białej piany. Wiatr niósł ze sobą grudki zamrożonego śniegu; a może to był piasek?

Nagle usiadła, czujna i spięta. Usłyszała stłumiony skrzyp otwieranych drzwi. Podbiegła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Z dołu dobiegły ciche dźwięki, odgłos kroków, trzask zamykanych drzwi.

Wrócił.

Ogarnęło ją nagle przerażenie i spojrzała przez całą długość pokoju w kierunku okna. Ponad szarymi falami Atlantyku zaczęła się wyłaniać tarcza wschodzącego słońca, lecz zaraz przesłoniły ją ciemne burzowe chmury.

Zapowiedział, że wróci o świcie. Aby dokonać jej egzekucji. Viola przygryzła górną wargę. Jeżeli sądził, że podda się bez walki, to się pomylił. Będzie walczyć. Nie sprzeda tanio swej skóry...

Przełknęła ślinę, uświadamiając sobie, jak głupia musiała się wydawać jej brawura wobec mężczyzny, który z całą pewnością miał broń i nie zawaha się jej użyć. Stłumiła w sobie panikę, gdyż lada chwila groziła jej

hiperwentylacja. Zaczęły nią targać sprzeczne odczucia; z jednej strony nieodparte instynktowne pragnienie przetrwania za wszelką cenę, z drugiej zaś wrodzona potrzeba, aby – jeśli nie miała innego wyjścia – umrzeć z godnością, a nie skamlać żałośnie i błagając na kolanach o litość.

Rozległy się dalsze dźwięki, a Viola natychmiast położyła się na podłodze, by nasłuchiwać przez wąską szczelinę pomiędzy drzwiami a progiem. Odgłosy wciąż były słabe i stłumione. Wstała i pobiegła do łazienki, zdjęła rolkę papieru toaletowego i wyjęła ze środka kartonową rurkę. Zaraz potem wróciła do drzwi i przytknęła jeden koniec rurki do ucha, drugi do szczeliny pod drzwiami.

Teraz słyszała o wiele lepiej: szelest ubrania, stukot odkładanych rzeczy, zgrzyt otwieranej zasuwki. A potem nagle głośnie, dramatyczne westchnienie. I cisza. Bardzo długa cisza. Upłynęło dobrych pięć minut.

Wtem dał się słyszeć dziwny, przerażający dźwięk: niski agonalny jęk przywodzący na myśl groźne miauczenie kota. Odgłos to cichł, to znów przybierał na sile, by ostatecznie przerodzić się we wrzask czystej, niepohamowanej udręki i dojmującego cierpienia. To był nieludzki ryk żywego trupa, najpotworniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała, i co straszniejsze, wypływał z jego ust.

ROZDZIAŁ 56

Taksówka zatrzymała się przed gmachem „Timesa”. Smithback ze zniecierpliwieniem pokwitował rachunek – opiewał na czterysta dwadzieścia pięć dolarów – zapłacony kartą, którą zabrał ze swego mieszkania. Podał świstek taksjarsowi, który przyjął go z kwaśną miną.

–A napiwek? – spytał kierowca.

–Żarty się pana trzymają? Za te pieniądze mógłbym zafundować sobie przelot na Arubę.

–Posłuchaj, stary, muszę bulić za paliwo, ubezpieczenie, naprawę wozu...

Smithback trzasnął drzwiczkami i wbiegł do budynku, gnając co sił w nogach w stronę wind. Zamierzał zobaczyć się z Daviesem, powiadomić szefa, że wrócił do miasta, po czym natychmiast wrócić do muzeum i Nory. Było piętnaście po dziewiątej, nie zastał jej w mieszkaniu, domyślał się, że musiała wyjść niedawno do pracy.

W windzie wduśli przycisk z oznaczeniem drugiego piętra i czekał, podczas gdy kabina sunęła w górę w ślamazarnym tempie. W końcu się zatrzymała, a gdy tylko rozsunęły się drzwi, Smithback wyskoczył na zewnątrz i popędził w głąb korytarza, przystając przed gabinetem szefa na kilka sekund, aby złapać oddech i przyglądzić niesforny kosmyk włosów, który odstawał mu nad czołem w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Wziął głęboki oddech i delikatnie zapukał do drzwi.

–Otwarte – powiedział głos.

Smithback stanął w progu. Dzięki Bogu, Harrimana nie było w zasięgu wzroku.

Davies uniósł wzrok znad biurka. – Bill! Poinformowano mnie, że leżysz w Szpitalu Świętego Łukasza i jesteś praktycznie konający.

–Szybko się wykurowałem.

Davies otaksował go wzrokiem od stóp do głów, wzrok miał jak zawsze nieprzenikniony. – Cieszę się, że wyglądasz na dobrze odżywionego i szczęśliwego. – Przerwał. – Zakładam, że przedstawiś nam zwolnienie lekarskie.

–Jasne, pewno, że tak – wykrztusił Smithback. Przypuszczał, że Pendergast jakoś to załatwi, tak jak zajął się skrzętnie całą resztą.

–Wybrałeś sobie wygodny moment, aby zniknąć – głos Daviesa ociekał ironią.

–Nie ja o tym decydowałem. Nie miałem na to żadnego wpływu.

–Usiądź.

–Cóż, zamierzałem właściwie...

–Och, wybacz proszę, nie wiedziałem, że masz umówione spotkanie.

Usłyszawszy lodowaty ton w głosie naczelnego, Smithback postanowił usiąść. Nie mógł się doczekać, aby zobaczyć się z Norą, ale wolał nie rozdrażniać szefa jeszcze bardziej. Davies i tak był już zły jak osa.

–Bryce Harriman zrobił co w jego mocy, by odpowiednio zająć się najważniejszymi sprawami podczas twojej nagłej niedyspozycji, zarówno zabójstwem Duchampa, jak i tym drugim morderstwem w muzeum, o których policja mówi teraz, że są ze sobą jakoś powiązane...

Smithback wyprostował się na krześle. – Przepraszam bardzo. Czy powiedział pan: morderstwo w

muzeum? W którym muzeum?

–Naprawdę wypadłeś z obiegu. W Muzeum Historii Naturalnej. Przed trzema dniami zamordowano tam dziewczynę, panią kustosz...

–Kogo?

–Nikogo znanego. Szczerze mówiąc, wcześniej o niej nie słyszałem. Nie zwracaj sobie głowy tą sprawą, zajął się nią Harriman. – Uniósł w dłoni szarą kopertę. – Mam tu coś dla ciebie. To duża sprawa i będę wobec ciebie szczery, Bill: waham się, czy mogę powierzyć ją osobie o tak wątłym zdrowiu. Byłem gotów zlecić tę sprawę Harrimanowi, ale on i tak jest już mocno obłożony i wyruszył w teren, kiedy dwadzieścia minut temu doszły do mnie te sensacyjne wieści. Ubiegłej nocy w muzeum doszło do poważnej kradzieży. Masz tam kontakty, napisałeś książkę o tym miejscu, dlatego pomimo dręczących mnie obaw i wątpliwości postanowiłem, że ta sprawa powinna jednak należeć do ciebie.

–Ale kto...?

Naczelnny przesunął kopertę w stronę Smithbacka. – Ktoś wczorajszej nocy obrobił wystawę brylantów podczas modernizacji systemu zabezpieczeń w muzeum. O dziesiątej zaplanowano konferencję prasową. W kopercie masz akredytację. – Spojrzał na zegarek. – To już za pół godziny Radzę ci się pospieszyć.

–A co się tyczy tego zabójstwa w muzeum – powiedział Smithback. – Kogo zabito?

–Jak już mówiłem, nikogo ważnego. Nową pracownicę nazwiskiem Green. Margo Green.

–Co takiego? – Smithbackowi zakręciło się w głowie. Musiał oburącz przytrzymać się siedzenia krzesła, aby nie upaść. To niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Davies spojrzał z zaniepokojeniem na Smithbacka. – Dobrze się czujesz?

Smithback wstał chwiejnie. Nogi miał jak z waty. – Margo Green... Zamordowana?

–Znałeś ją?

–Tak – wykrztusił drżącym głosem Smithback.

–Cóż, wobec tego dobrze się stało, że to nie ty zajmiesz się tą sprawą – rzucił pospiesznie Davies. – Pisanie artykułów dotyczących szczególnie bliskich osób to, jak mawiał mój były szef, trochę tak, jakby człowiek chciał być swoim adwokatem, ale zwykle nic z tego nie wychodzi. Robisz z siebie głupca jako mecenas i postępujesz jak głupiec. Hej... a ty dokąd? Gdzie tak pędzisz?

ROZDZIAŁ 57

Kiedy Nora skręciła za róg Columbus Avenue w Siedemdziesiątą Siódmą Zachodnią, natychmiast zorientowała się, że w muzeum musiało wydarzyć się coś niesłychanego. Na Museum Drive było pełno radiowozów, nieoznakowanych aut policyjnych i furgonetek ekspertów z wydziału kryminalistyki. Wokół nich zaś stały wozy transmisyjne stacji telewizyjnych otoczone tłumami dziennikarzy i reporterów

Spojrzała na zegarek: za kwadrans dziesiąta, zwykle o tej porze muzeum dopiero się budziło. Jej serce zabiło szybszym rytmem – czyżby doszło do kolejnego zabójstwa?

Podeszła szybkim krokiem wzdłuż służbowego podjazdu do wejścia dla pracowników Policja przygotowała już przejście dla personelu muzeum i odpierała dzielnie hordy coraz liczniejszych gapiów. Najwyraźniej w porannych wiadomościach podano już informację o tym, co się tu wydarzyło, jako że tłum gęstniał coraz bardziej. Jednakże z uwagi na wczorajszą ceremonię otwarcia Nora zasnęła i nie miała czasu włączyć radia i wysłuchać wiadomości.

–Pracownica muzeum? – spytał jakiś gliniarz. Skinęła głową i wyjęła swoją plakietkę. – Co się dzieje?

–Muzeum jest zamknięte. Proszę przejść dalej.

–Ale co się...?

Policjant zaczął już pokrzykiwać na kogoś innego i została skierowana wraz z innymi w stronę służbowego wejścia, gdzie roilo się od ludzi ochrony Szefer ochrony Manetti także tam był, gestykulując jak szalony i ponaglaając dwóch kompletnie bezradnych strażników.

–Cały przychodzący personel ma przejść na ogrodzony obszar po prawej! – zawołał jeden ze strażników. – Proszę przygotować przepustki i plakietki służbowe.

W tłumie pracowników Nora dostrzegła George'a Ashtona i schwyciła go za ramię. – Co się stało?

Spojrzał na nią. – Jesteś chyba jedyną osobą w tym mieście, która tego nie wie.

–Zasnęłam.

–Tędy! – zagrział policjant. – Personel muzeum, proszę tędy!

Aksamitne liny, które poprzedniego wieczoru na czas gali odgradzały gapiów i dziennikarzy od zaproszonych gości wykorzystano teraz w nieco innym celu, aby utworzyć zamknięty kordon w pobliżu wejścia służbowego, gdzie ochrona sprawdzała przepustki i plakietki i uspokajała rozdrażnionych pracowników.

–Ubiegłej nocy ktoś obrobił Astor Hall – odparł zdyszany głosem Ashton. – Wyczyścił ją do cna. I to w trakcie naszego bankietu.

–Wyczyścił? Serce Lucyfera także?

–Zwłaszcza Serce Lucyfera.

–Jak?

–Nikt tego nie wie.

–Sądziłam, że Astor Hall nie można okraść.

–Tak mówiono.

–Cofnąć się i przejść na prawo – ryknął gliniarz. – Za chwilę wpuścimy was do środka.

Ashton skrzywił się. – Tego mi było trzeba, z samego rana po pięciu kieliszkach szampana.

Powiedziałabym, że raczej po dziesięciu, pomyślała drwiąco Nora, przypominając sobie bełkotliwy głos Ashтона perorującego z gośćmi ubiegłego wieczoru.

Policja i ochrona muzeum sprawdzała dokumenty, przesłuchiwała kolejnych pracowników, a po zadaniu serii pytań kierowała ich do drugiego ogrodzonego aksamitnymi sznurami obszaru, tuż przy wejściu służbowym.

–Są jacyś podejrzani? – spytała Nora.

–Nie. Ale gliny są przekonane, że włamywacze skorzystali z pomocy kogoś z wewnątrz.

–Dokumenty i przepustka! – warknął jej wprost do ucha postawny policjant.

Znów sięgnęła do torebki po dokumenty. Ashton zaczął się burzyć.

–Doktor Kelly? – Gliniarz miał w ręku listę na podkładce. Inny funkcjonariusz odprowadził Ashтона na bok.

–Czy mogę zadać kilka pytań?

–Śmiało – rzekła Nora.

–Czy była pani wczoraj wieczorem w muzeum?

–Tak.

Zapisał coś na kartce.

–O której pani stamtąd wyszła?

–Okolo północy

–To wszystko, proszę przejść tam dalej, a my tak szybko jak to będzie możliwe otworzymy muzeum i będziecie państwo mogli wrócić do pracy Skontaktujemy się z panią później, aby zadać jeszcze kilka pytań.

Nora została zaprowadzona do drugiego ogrodzonego sznurami miejsca przy wejściu. Z tyłu za sobą usłyszała podniesiony głos Ashтона protestującego, że nie odczytano mu jego praw. Kustosze i reszta personelu wymachiwali z zimna rękami, w powietrzu unosiła się mleczna mgiełka ich oddechów. Dzień był szary, temperatura nieco poniżej zera. Wokoło słychać było rozdrażnione, gniewne głosy

Nora usłyszała jakieś poruszenie od ulicy i spojrzała w tamtą stronę. Dziennikarze natychmiast ruszyli naprzód, ponad głowami wykwitł las mikrofonów. Kamery zaczęły pracować przy wtórze cichego szumu. Dopiero po chwili zorientowała się, co się stało: otwarto główne wejście do muzeum. W drzwiach pojawił się dyrektor Frederick Watson Collopy w towarzystwie komisarza policji Rockera. Z tyłu, za nimi stała grupka mundurowych policjantów. Niemal natychmiast dziennikarze i reporterzy zaczęli wykrzykiwać pod jego adresem dziesiątki pytań, gwałtownie gestykulując rękami. Był to najwyraźniej początek zapowiedzianej konferencji prasowej.

W tej samej chwili dostrzegła jakieś gwałtowne poruszenie opodal. Odwróciła się w tę stronę. To był jej mąż, przedzierał się gwałtownie przez tłum, próbując do niej dotrzeć.

–Bill! – rzuciła się ku niemu.

–Nora! – Smithback, rozpychając się łokciami, przebił się przez stłoczoną ciżbę gapiów, przewrócił rosnącego strażnika, przeskoczył pod aksamitnym sznurem i precyzyjnie się pomógł między grupką pracowników muzeum. – Nora!

–Hej, a pan dokąd się wybiera? – Jakiś policjant usiłował zastąpić mu drogę.

Smithback przebił się w końcu przez tłum i nieomal wpadł z impetem na Norę, po czym wziął ją w ramiona i podźwignął w górę.

–Nora! Boże, jak się za tobą stęskniłem! Padli sobie w objęcia i wycalowali się.

–Bill, co się z tobą działo? Co ma znaczyć ten siniec na twojej głowie?

–Nieważne – odparował Smithback. – Dowiedziałem się właśnie o Margo. Naprawdę została zamordowana?

Nora skinęła głową. – Byłam wczoraj na jej pogrzebie.

–O Boże, wprost nie mogę w to uwierzyć. – Machinalnie otarł twarz wierzchem dłoni, a Nora zauważyła, że z jego oczu spłynęły strużki łez. – Nie mogę w to uwierzyć.

–Gdzie byłeś, Bill? Tak się o ciebie martwiłam.

–To długa historia. Zamknięto mnie w domu wariatów.

–Co takiego?

–Opowiem ci o tym później. Ja też martwiłem się o ciebie. Pendergast uważa, że w okolicy krąży psychopatyczny morderca, który zabija po kolei wszystkich jego przyjaciół.

–Wiem. Ostrzegał mnie. Ale to było tuż przed otwarciem... nic nie mogłam...

–Panu nie wolno tu być – wtrącił strażnik, stając pomiędzy nimi. – Mogą tu przebywać tylko pracownicy muzeum.

Smithback odwrócił się, by odpowiedzieć, ale przerwał mu potężny dźwięk sprzężenia zwrotnego z prowizorycznego systemu głośników podłączonych do mikrofonu przy wejściu do budynku. Chwilę potem komisarz Rocker podszedł do mikrofonu, poprosił o ciszę i co niezwykle, jego prośba została wysłuchana.

–Jestem z „Timesa” – rzekł Smithback, wyciągając z kieszeni kawałek kartki i szukając przez chwilę długopisu.

–Weź mój – wtrąciła Nora, wciąż obejmując go ramieniem w pasie. Tłum zamilkł, a komisarz policji zaczął mówić.

–Ubiegłej nocy – rzekł Rocker – miało miejsce włamanie do Astor Hall, Sali Brylantowej. Obecnie na miejscu pracuje nasza ekipa śledcza wraz z kilkoma najlepszymi na świecie ekspertami sądowymi. Robimy wszystko, co możliwe. Za wcześnie jeszcze, abyśmy mogli mówić o jakichś tropach czy podejrzanych, ale obiecuję, że w miarę rozwoju wydarzeń będziemy informować o nich prasę. Mogę powiedzieć jedno: operację tę z całą pewnością planowano już od dawna. Było to wyjątkowo profesjonalnie przeprowadzone włamanie, dokonane przez złodziei posługujących się najnowocześniejszymi zdobyczami techniki i posiadających ściśle informacje na temat systemu zabezpieczeń zastosowanych w muzeum. Wykorzystali oni wczorajszą gałą, aby odwrócić uwagę wszystkich. Potrzebujemy trochę czasu, aby przeanalizować i zrozumieć, w jaki sposób pokonali poszczególne poziomy systemu bezpieczeństwa. To wszystko, co mam państwu obecnie do powiedzenia. Doktorze Collopy?

Dyrektor muzeum postąpił naprzód, stał sztywno wyprostowany, robiąc dobrą minę do złej gry, choć z kiepskim rezultatem. Gdy w końcu się odezwał, w jego głosie słychać było wyraźne drżenie.

–Pragnę powtórzyć za komisarzem Rockerem: robimy wszystko, co w naszej mocy. Większość skradzionych brylantów jest unikalna i każdy handlarz kamieniami szlachetnymi na świecie rozpozna je natychmiast. Nie sposób ich sprzedać, a przynajmniej w ich obecnej postaci.

Rozległy się pełne niepokoju głosy, gdy zebrani uświadomili sobie, że dyrektor muzeum niebezpośrednio wspominał o możliwości pocięcia i przeszlifowania kamieni.

–Drodzy przyjaciele, nowojorczyki, wiem, jak wielką stratą dla naszego muzeum i dla całego miasta jest to,

co wydarzyło się ubiegłej nocy. Niestety, nie wiemy jak na razie zbyt wiele, by móc stwierdzić, kto dokonał tego zuchwałego czynu, w jakim celu oraz jakie intencje przyświecały sprawcom kradzieży.

–A co z Sercem Lucyfera? – zawołał z tłumu jakiś dziennikarz. Collopy zawahał się lekko. – Mogę państwa zapewnić, że robimy co w naszej mocy

–Czy skradziono Serce Lucyfera? – zakrzyknął inny reporter.

–Chciałbym teraz oddać głos rzeczniczce naszego muzeum, Carli Rocco.

Dały się słyszeć wykrzykiwane na całe gardło pytania, a do mikrofonu podeszła kobieta i uniosła obie ręce w górę. – Zacznę odpowiadać na pytania, kiedy zapadnie całkowita cisza.

Hałas ucichł, kobieta wskazała ręką. – Pani Lilienthal z ABC, o co chciała pani zapytać?

–Co z Sercem Lucyfera? Czy zostało skradzione?

–Tak, ono również padło ofiarą złodziei.

To bezprecedensowe oświadczenie wywołało niekontrolowaną wrzawę wśród zebranych. Rocco znów uniosła obie ręce i rzuciła ostrym tonem: – Proszę o ciszę!

–Muzeum twierdziło, że dysponuje najlepszym systemem zabezpieczeń na świecie! – zawołał jakiś reporter. – Jak złodziejom udało się go sforsować?

–Właśnie to analizujemy. System jest wielopoziomowy i posiada zabezpieczenia rezerwowe. Sala znajdowała się pod stałą kontrolą kamer wideo. Złodzieje pozostawili na miejscu włamania sporo różnego rodzaju urządzeń technicznych.

–Co to za urządzenia?

–Ich analiza potrwa kilka dni, a może nawet tygodni. Kolejne wykrzykane gromkim głosem pytanie. Rocco wskazała na innego dziennikarza. – Roger?

–Na jaką sumę była ubezpieczona kolekcja?

–Sto milionów dolarów.

Rozległy się szepty pełne grozy i niedowierzania.

–A ile naprawdę jest ona warta? – spytał z naciskiem dziennikarz imieniem Roger.

–Muzeum nigdy nie określiło jej faktycznej wartości. Kolejne pytanie od pana Wertha z NBC.

–Jaka jest wartość Serca Lucyfera?

–Także w tym przypadku nie mogę podać jego realnej wartości. Pragnę jedynie dodać, iż spodziewamy się odzyskać te klejnoty w taki czy inny sposób.

Collopy zdecydowanym krokiem postąpił naprzód. – W skład kolekcji naszego muzeum wchodzi przede wszystkim brylanty określone mianem fantastycznych, czyli kamienie barwne. Większość z nich jest do tego stopnia niezwykła, że można je rozpoznać jedynie na podstawie koloru oraz jakości. To się tyczy przede wszystkim Serca Lucyfera. Nie ma na świecie innego kamienia o tak głębokiej, soczystej, cynamonowej barwie.

Nora patrzyła, jak Smithback przestępuje ponad aksamitnym sznurem, by wmieszać się w tłum reporterów i po chwili unieść rękę. Zamachał energicznie.

Rocco przymrużyła lekko powieki i wskazała na niego. – Pan Smithback z „Timesa”?

–Czy Serce Lucyfera nie jest uważane za najwspanialszy brylant świata?

–Za najwspanialszy fantastyczny brylant świata, owszem. A przynajmniej tak mi właśnie mówiono.

–Jak zatem zamierza pani wyjaśnić to mieszkańcom Nowego Jorku? Jak wytłumaczy pani stratę tego unikalnego kamienia? – Jego głos drżał od niekontrolowanych emocji. Nora odniosła wrażenie, że cały gniew Smithbacka wywołany śmiercią Margo i jego wymuszoną separacją od żony został zawarty w tym jednym zasadniczym pytaniu. – Jak muzeum mogło do tego dopuścić?

–Nikt do tego nie dopuścił! – rzuciła Rocco, przechodząc do obrony. – Astor Hall dysponuje najnowocześniejszym, najbardziej wyspecjalizowanym systemem zabezpieczeń na świecie.

–Najwyraźniej nie jest dostatecznie nowoczesny i wyspecjalizowany.

Wśród przedstawicieli prasy zawrzało. Rocco zaczęła machać rękoma.

–Proszę! Pozwólcie mi coś powiedzieć!

Ryk zlewających się ze sobą głosów ucichł, przeradzając się w niespokojny pomruk.

–Muzeum gorąco ubolewa nad stratą Serca Lucyfera. Zdajemy sobie sprawę z wartości, jaką ma ten klejnot dla naszego miasta i całego kraju. Robimy, co w naszej mocy, aby go odzyskać. Prosimy państwa o cierpliwość. Dajcie policji czas, aby uczyniła, co do niej należy Pan Carlson z „Post”?

–Pytanie do doktora Collopy'ego. Nie chcę panu docinać, ale brylant, który skradziono, został powierzony pańskiej pieczy przez nas wszystkich, mieszkańców Nowego Jorku, do których faktycznie należy ten bezcenny klejnot. Ufaliśmy, że potrafi pan zapewnić mu bezpieczeństwo. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zapytać, czy pan osobiście, jako dyrektor tej placówki, zamierza przyjąć na siebie odpowiedzialność za to, co się stało?

Znów rozległy się pełne ożywienia, podniesione głosy Gwar ucichł jednak, gdy Collopy uniósł dłoń. – Prawdą jest – zaczął – że każdy system bezpieczeństwa opracowany przez jednego człowieka może zostać przez innego złamany

–To dość fatalistyczny punkt widzenia – ciągnął Carlson. – Innymi słowy przyznaje pan, że muzeum nie jest w stanie nigdy zagwarantować pełnego bezpieczeństwa prezentowanych tu zbiorów?

–Oczywiście, że dajemy pełną gwarancję bezpieczeństwa wszystkim prezentowanym przez nas zbiorom – odpowiedział oschle Collopy

–Następne pytanie! – zawołała Rocco. Prasa jednak nie zamierzała odpuścić. Reporterzy zwietrzyli trop i postanowili pójść za ciosem.

–Czy mógłby pan wyjaśnić, co znaczy zwrot: pełna gwarancja bezpieczeństwa? Ubiegłej nocy skradziono najwspanialszy brylant świata, a pan mówi, że jego bezpieczeństwo było w pełni zagwarantowane?

–Mogę to wyjaśnić. – Oblicze Collopy'ego spochmurniało z wściekłości.

–Przydałoby się, bo zachodzi tu wyraźna sprzeczność pomiędzy pańskimi słowami a wydarzeniami ostatnich godzin! – zawołał Smithback.

–Powiedziałem tak, ponieważ Serca Lucyfera nie było wśród skradzionych brylantów! – zakrzyknął Collopy.

Zapadła przepętlona zdumieniem kompletna cisza. Rocco odwróciła się i spojrzała ze zdziwieniem na Collopy'ego, podobnie jak zaskoczony i wyraźnie zdezorientowany Rocker.

–Proszę wybaczyć, panie dyrektorze... – zaczęła Rocco.

–Cisza! Jestem jedyną osobą w muzeum dysponującą tą informacją, ale zważywszy na okoliczności, postanowiłem, że dalsze jej utajnianie mija się z celem. Kamień wystawiony w gablocie na terenie ekspozycji

był jedynie kopią, prawdziwym brylantem sztucznie zabarwionym dzięki specjalnemu naświetlaniu. Prawdziwe Serce Lucyfera spoczywa na stałe w sejfie towarzystwa ubezpieczeniowego obsługującego nasze muzeum. Ten kamień był zbyt cenny, by można było wystawić go na widok publiczny. Nasz ubezpieczyciel nigdy by na to nie pozwolił. – Uniósł głowę, w jego oczach rozbłysły iskierki triumfu. – Złodzieje, kimkolwiek są, ukradli jedynie kopię. Falsyfikat.

Dziennikarze zarzucili dyrektora muzeum dziesiątkami pytań. Collopy jednak tylko otarł spocone czoło i odszedł od mikrofonu.

–Na tym kończymy konferencję prasową! – zawołała Rocco, lecz jej słowa nie przyniosły spodziewanego efektu. – Dosyć pytań na dziś!

Sądząc jednak po donośnych okrzykach i szaleńczym wymachiwaniu rękami, dziennikarze wcale nie uznali tej konferencji za zakończoną, i mieli całe mnóstwo pytań, na które pragnęli poznać odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 58

Mijały godziny, gdy przejeżdżali przez kolejne opustoszałe plażowe kurorty Świt ustąpił miejsca przeraźliwie chłodnemu przedpołudniu, porywisty lodowaty wiatr zaciął w najlepsze, niebo miało barwę ołowiu. D'Agosta wciąż wsłuchiwał się w dźwięki płynące z policyjnego radia. Był coraz bardziej zaniepokojony. Dyskusje gliniarzy na ich temat urwały się nagle – nie z uwagi na kradzież brylantów, choć ten niebawem wyczyn był komentowany na większości kanałów – po prostu stróże prawa przełączyli się zapewne na bardziej bezpieczne kanały, których nie można monitorować przy użyciu przenośnego policyjnego radia.

Zacznął nabierać przekonania, że dotarli do kresu drogi. Odwiedzanie kolejnych sklepów przy stacjach benzynowych miało się z celem; z pełnym bakiem paliwa Diogenes raczej nie zatrzyma się już nigdzie po drodze. Ich wcześniejszy fuks w Yaphank potwierdził jedynie to, co Diogenes pragnął im przekazać: że zmierza na wschód i że Viola niebawem umrze. I to wszystko. D'Agoście było żal Pendergasta; ta sprawa była z góry przegrana i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to uparcie jechali dalej, zatrzymując się przy motelach, supermarketach, całodobowych barach, za każdym razem narażając się, że ktoś może ich rozpoznać i aresztować.

Strzępki informacji zasłyszane i zebrane przez D'Agostę nie brzmiały zachęcająco. Obecność federalnych skłoniła policję do bardziej radykalnych działań. Gliny zbliżały się bardzo szybko. Na kolejnych drogach powstawały nowe blokady, miejscowi stróże prawa zostali postawieni w stan pełnej gotowości. Nie ulegało wątpliwości, że dowiedzą się o zakupie pikapa. Jeżeli Pendergast nie wydobędzie wkrótce jakiegoś asa z rękawa, ich chwile na wolności są w zasadzie policzone.

Pikap ostro zjechał z szosy, a D'Agosta złapał się kurczowo uchwytu przy drzwiczkach, gdy półciężarówka z piskiem opon zatrzymała się na małym parkingu przed otwartym dwadzieścia cztery godziny na dobę Starbucksem. Jeszcze dalej znajdował się drugi, większy parking, za nim zaś można było dostrzec szare, przetaczające się leniwie fale Atlantyku.

Siedzieli przez chwilę w aucie, podczas gdy z policyjnego radia, wciąż nadającego informacje na temat kradzieży w muzeum, prócz trzasków i szumów dobiegały leniwe, niemal senne głosy. Trwała jakaś konferencja prasowa, jej przebieg emitowano na jednym z kanałów publicznych.

–Nie ma mowy, aby mogli się tu zatrzymać – rzekł D'Agosta.

–Chodzi mi tylko o bezprzewodowy dostęp do sieci – Pendergast otworzył laptopa i włączył urządzenie. – Muszą tu mieć komputer. Wykorzystam wężyciela do znalezienia otwartego wejścia i w ten sposób dostanę się do sieci. Zostawiłem mój sprzęt w Dakota House na chodzie, macierz analizy wzorcowej pracuje bez ustanku, może dowiemy się czegoś nowego.

D'Agosta patrzył z ponurą miną, jak Pendergast stuka w klawisze.

–Czy byłbyś tak łaskaw, Vincencie, i zamówił kawę dla nas obu? – powiedział, nie unosząc wzroku.

D'Agosta wysiadł z pikapa i wszedł do Starbucks'a. Kiedy kilka minut później wrócił z dwiema latte, Pendergast siedział na fotelu pasażera i nie stukał już w klawiaturę.

–I jak? Masz coś?

Pendergast pokręcił głową. Powoli wyprostował się na fotelu i zamknął oczy D'Agosta westchnął przeciągle i wślizgnął się na siedzenie kierowcy. W tej samej chwili spostrzegł radiowóz wjeżdżający na parking. Wóz policyjny zwolnił, mijając ich, po czym stanął na drugim końcu placu.

–Cholera. Ten glina sprawdzi numery naszego wozu. Pendergast nie odpowiedział. Siedział w bezruchu z zamkniętymi oczami.

–Już po nas. Mamy przerabane. Radiowóz zawrócił i ruszył w ich stronę.

Pendergast otworzył oczy – Potrymam kawę. A ty pokaż, co potrafisz, i spróbuj ich zgubić.

D'Agosta momentalnie wrzucił bieg i ruszył; pikap pomknął jak strzała, mijając wóz policyjny, i wyjechał na drogę biegnącą równolegle do deptaka. Na dachu samochodu zabłysł obracający się kogut, rozległ się jęk syreny. Wóz policyjny ruszył za nim w pościg. Przemknęli wzdłuż drogi prowadzącej w stronę wydm. Wkrótce potem D'Agosta usłyszał kolejną syrenę, tym razem dobiegającą gdzieś z oddali przed nimi.

–Plaża – rzekł Pendergast, wprawnie balansując kubkami z kawą.

–Się wie – D'Agosta przełączył pikapa na napęd na cztery koła i przebiwszy się przez ogrodzenie oddzielające go od drogi, wjechał na deptak. Półciężarówka potoczyła się z łoskotem po nierównych deskach, rąbnęła w ogrodzenie po drugiej stronie i na chwilę zawisała w powietrzu, by opaść z wysokości dwóch stóp na miękki piach.

Chwilę później pędzili wzdłuż plaży, tuż poza granicą przypiływu. D'Agosta obejrzał się przez ramię, by ujrzeć radiowozy sunące po plaży w ślad za nimi. Będą musieli lepiej się postarać.

Przyspieszył jeszcze bardziej, spod opon wytrysnęły fontanny wilgotnego piasku. W oddali przed nimi wznosiły się potężne wydmy – jeden z wielu rezerwatów na South Shore. Skierował się w ich stronę, przełamał kolejny drewniany płotek i wjechał na wydmy z prędkością czterdziestu mil na godzinę. To był dość duży rezerwat, a D'Agosta nie miał pojęcia, dokąd zmierza, skierował więc pikapa w stronę najbliższego obszaru wydm, gdzie zarośla były najgęstsze, a piaszczyste pagórki najwyższe i porośnięte karłowatymi sosnami. Nie ma mowy, aby radiowozy były w stanie wjechać tu za nimi. Nagle Pendergast wyprostował się na fotelu; to był energiczny, bardzo szybki ruch. D'Agosta przejechał przez jeszcze jeden gąszcz krzewów, a potem zerknął w lusterko wsteczne. Nic. Radiowozy stanęły, ale D'Agosta wiedział, że pościg za nimi już wkrótce zostanie wznowiony. Wszystkie posterunki policji wzdłuż South Shore dysponowały plażowymi patrolowymi buggies, wiedział o tym, ponieważ sam jeździł takim, w poprzednim życiu, kilka miesięcy temu. Wciąż tkwili w głębokim szambie i musiał coś wymyślić, że...

–Zatrzymaj wóz! – rzucił nagle Pendergast.

–Nie ma mowy, muszę...

–Zatrzymaj!

Coś w tonie agenta zmusiło D'Agostę, aby dał po hamulcach. Wóz zatrzymał się gwałtownie, w cieniu wielkiej wydmy. Zgasił równocześnie światła i wyłączył silnik. To było szaleństwo. Po śladach, jakie zostawili, trafiłyby tu za nimi nawet skończony kretyn.

Radio wciąż nadawało relację z konferencji prasowej; Pendergast słuchał jej z wytężoną uwagą.

–...Spczywa na stałe w sejfie towarzystwa ubezpieczeniowego. Ten klejnot był zbyt cenny, by można go było wystawić na widok publiczny. Nasz ubezpieczyciel nigdy by na to nie pozwolił.

Pendergast odwrócił się do D'Agosty, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie i niezwykła nadzieja.

–Nareszcie!

–Co się stało?

–Diogenes wreszcie popełnił błąd. To coś, na co od dawna czekamy. Dano nam szansę i musimy ją wykorzystać.

Wyjął telefon komórkowy.

–Może łaskawie zechciałbyś wyjaśnić mi, o czym mówisz.

–Muszę zadzwonić do kilku miejsc. A co się tyczy ciebie, Vincencie, masz teraz tylko jedno, ale za to odpowiedzialne zadanie: zawieź mnie z powrotem na Manhattan.

Spoza zasłony wydm dobiegł słaby jeszcze, ale przybliżający się z każdą chwilą jęk syren.

ROZDZIAŁ 59

Smithback powoli zamknął klapkę komórki zaskoczony dziwnym telefonem, jaki właśnie odebrał. Nora przyglądała mu się ze zdziwieniem. Wejście służbowe zostało wreszcie otwarte i mijały ich grupki pracowników pragnących ogrzać się wewnątrz budynku.

–O co chodzi, Bill? – spytała. – Kto to był?

–Agent specjalny Pendergast. Zdołał namierzyć mnie dzięki pożyczonej komórce, którą zabrałem z „Timesa”.

–Czego chciał?

–Słucham? – Wydawał się oszołomiony

–Pytałam, czego chciał. Wyglądasz na wstrząśniętego.

–Przedstawiono mi właśnie dość... ee... niecodzienną propozycję.

–Propozycję? O czym ty mówisz?

Smithback otrząsnął się z chwilowego odrętwienia i ścisnął Norę za ramię.

–Opowiem ci o tym później. Posłuchaj, dasz sobie tutaj radę? Po śmierci Margo i ostrzeżeniach Pendergasta martwię się o twoje bezpieczeństwo.

–Obecnie muzeum jest najbezpieczniejszym miejscem w całym Nowym Jorku. Jest tu pewnie z tysiąc gliniarzy

Smithback wolno pokiwał głową; myślał intensywnie. – To fakt.

–Dobra, muszę już pędzić do pracy.

–Idę z tobą. Muszę porozmawiać z doktorem Collopym.

–Z Collopym? Powodzenia.

Smithback widział już tłum wściekłych reporterów, których przed wejściem do muzeum powstrzymywał kordon policjantów i strażników. Do środka wejść mogli jedynie pracownicy. A Smithbacka strażnicy znali bardzo dobrze, może nawet zbyt dobrze.

Nora objęła go ramieniem. – Co zamierzasz zrobić?

–Muszę się dostać do środka.

Nora zmarszczyła brwi. – Czy to ma coś wspólnego z telefonem Pendergasta?

–Nie da się ukryć. – Spojrzał w jej zielone oczy, powiódł wzrokiem po mahoniowych włosach i piegowatym nosku swojej żony. – Wiesz, na co naprawdę miałbym teraz ochotę...?

–Nie kuś. Mam masę roboty. Dziś oficjalne otwarcie wystawy dla zwiedzających, o ile w ogóle do tego dojdzie.

Smithback objął ją i ucałował. Już miał się odsunąć, ale okazało się, że Nora nie chce go puścić.

–Bill – wyszeptła mu do ucha – dzięki Bogu, że wróciłeś. Trwali w uścisku splecionych ramion jeszcze przez kilka chwil, po czym Nora powoli opuściła ręce. Uśmiechnęła się, mrugnęła filuternie, po czym odwróciła się i weszła do muzeum.

Smithback odprowadził ją wzrokiem. A potem wtopił się w tłum pracowników stojących w kolejce przy

drzwiach, mijając gromadę reporterów, których bezceremonialnie zepchnięto na bok. Cały personel trzymał w dłoniach dowody tożsamości, tłum gęstniał z każdą chwilą. Policjanci i strażnicy kontrolowali również przepustki pracowników muzeum. Wejście do środka będzie potwornie trudne. Smithback zamyślił się przez chwilę, po czym wyjął swoją wizytówkę i napisał na odwrocie kilka słów.

Kiedy dotarł w końcu do bramki przy wejściu, strażnik zagroził mu drogę. – Pańska przepustka?

–Jestem Smithback z „Timesa”.

–Źle trafiłeś, kolego. Prasa czeka tam, na dole.

–Proszę posłuchać. Mam bardzo pilną poufną wiadomość dla doktora Collopy'ego. Musi mu zostać dostarczona natychmiast albo posypią się głowy. To nie żarty Pańska również – Smithback zerknął na plakietkę przy kieszonce na piersi strażnika – panie Primus, jeżeli jej pan nie dostarczy

Strażnik zawałał się, w jego oczach pojawił się niepokój. W ostatnich latach administracja muzeum nie ułatwiała życia pracownikom niższego szczebla, tworząc nie tyle zdrowy, rodzinny klimat, ile raczej atmosferę ciągłego strachu i wiecznej niepewności. Smithback wykorzystywał już wcześniej tę niezdrową sytuację i miał nadzieję, że także tym razem mu się uda.

–O co chodzi? – spytał strażnik nazwiskiem Primus.

–O tę kradzież brylantów Mam poufne informacje. Strażnik zaczął się wahać. – No nie wiem...

–Nie proszę, aby pan mnie wpuścił. Proszę tylko, aby dostarczył pan tę wiadomość do rąk własnych dyrektora. Nie jego sekretarce ani komukolwiek innemu, lecz właśnie jemu. Zrozum, człowieku, nie jestem jakimś tam szmondakiem, jasne? To moja akredytacja.

Strażnik przyjrzał się z powątpiewaniem jego legitymacji prasowej. Smithback wcisnął mu wizytówkę do ręki. – Niech pan tego nie czyta, proszę włożyć to do koperty i osobiście dostarczyć dyrektorowi. Proszę mi zaufać, ucieszy się, że pan to zrobił.

Strażnik zawałał się przez chwilę. A potem wziął kartonik i wrócił na wartownię, by pojawić się po chwili z kopertą w dłoni. – Włożyłem wiadomość do środka, nawet na nią nie spojrzałem.

–Dobra robota. – Smithback nagryzmolił na kopercie: Do dr. Collopy'ego, bardzo ważne, otworzyć natychmiast. Od Williama Smithbacka juniora z „New York Timesa”.

Strażnik pokiwał głową. – Dopilnuję, aby otrzymał tę wiadomość.

Smithback wychylił się lekko do przodu. – Nie rozumie pan. Chcę, aby to pan dostarczył tę wiadomość, osobiście. – Rozejrzał się wokoło. – Nie ufam tym wszystkim pajacom.

Strażnik zapłonął się i skinął głową. – W porządku. – Z kopertą w dłoni znikł w korytarzu.

Smithback czekał z komórką w dłoni. Minęło parę minut. Dziesięć. Piętnaście. W przypiływie frustracji zaczął spacerować w kółko. Sytuacja nie przedstawiała się najlepiej.

Wreszcie zadzwonił telefon. Sygnał był piskliwy, przenikliwy Smithback natychmiast otworzył klapkę aparatu.

–Mówi Collopy – rozległ się patrycjuszowski głos. – Czy rozmawiam z panem Smithbackiem?

–Przy telefonie.

–Jeden ze strażników doprowadzi pana natychmiast do mego biura.

Obrazy kontrolowanego chaosu powitały Smithbacka, kiedy zbliżył się do wielkich rzeźbionych drzwi gabinetu dyrektora. Przed wejściem zgromadził się tłum nowojorskich policjantów, inspektorów śledczych i wyższych rangą pracowników muzeum. Drzwi były zamknięte, ale gdy tylko strażnik go zaanonsował,

wpuszczono go do środka.

Collopy krążył w tę i z powrotem przed rzędem łukowato sklepionych okien, dłonie miał splecione za plecami. Za oknami rozpościerała się ośnieżona panorama Central Parku. Wśród osób stojących przed biurkiem dyrektora Smithback rozpoznał szefa ochrony Manettiego i kilku innych urzędników.

Dyrektor muzeum zauważył go i przystanął. – Pan Smithback?

–To ja.

Collopy zwrócił się do Manettiego i reszty urzędników. – Pięć minut.

Odczekał, aż wyjdą, po czym odwrócił się do Smithbacka. W dłoni trzymał wizytówkę reportera, na jego twarzy malowały się silne rumieńce.

–Kto stoi za tą niewiarygodną plotką, panie Smithback? Smithback przełknął ślinę. Musiał się wysilić, aby jego słowa zabrzmiały przekonująco. – To nie całkiem plotka, panie dyrektorze. Pochodzi z poufnego źródła, którego niestety nie mogę ujawnić. Poczyłem jednak kilka telefonów i sprawdziłem to. Możliwe, że jest w tym więcej niż tylko ziarno prawdy

–To nie do pomyślenia. Mam dość zmartwień, nie potrzeba mi jeszcze czegoś takiego. To tylko jakaś urojona spekulacja, najlepiej ją ignorować.

–Jestem pewien, że to nie byłoby rozsądne wyjście.

–A to czemu? Chyba nie zamierza pan opublikować tak absurdalnych bredni na łamach „Timesa”, mam rację? Moje zapewnienie, że brylant jest bezpieczny w sejfie naszego towarzystwa ubezpieczeniowego powinno w zupełności wystarczyć.

–Prawdą jest, że „Times” nie publikuje niesprawdzonych wiadomości. Jak już jednak powiedziałem wcześniej, moje źródło, skądinąd wiarygodne, twierdzi, że to prawda. Nie mogę zignorować takiej sensacji.

–Niech to szlag.

–Pan pozwoli, że o coś zapytam – rzekł Smithback, nadając swemu głosowi możliwie jak najbardziej przekonujący ton. – Kiedy po raz ostatni widział pan osobiście Serce Lucyfera?

Collopy spiorunował go wzrokiem. – Cztery lata temu, kiedy przedłużaliśmy polisę.

–Czy był wówczas przy tym dyplomowany, wykwalifikowany gemolog?

–Nie. Dlaczego, przecież tego klejnotu nie można... – nie dokończył, gdy zdał sobie sprawę, jak wąty był jego argument.

–Skąd pan wie, że to był prawdziwy brylant, doktorze Collopy?

–Opieram się na w pełni uzasadnionym przypuszczeniu.

–W tym właśnie sęk, prawda, doktorze Collopy? Prawda jest taka – ciągnął łagodnym tonem Smithback – że nie ma pan pewności, czy Serce Lucyfera nadal spoczywa w skarbcu towarzystwa ubezpieczeniowego. Jeżeli nawet tam jest, nie wiadomo, czy brylant jest autentyczny

–To jakaś absurdalna, kompletnie pokręcona teoria spiskowa! Dyrektor znowu zaczął spacerować w tę i z powrotem, dłonie, które trzymał za plecami, zacisnęły się w pięści. – Nie mam czasu na takie bzdury!

–Chyba nie chciałby pan, aby tego rodzaju historia wyrwała się spod kontroli. Wie pan, że plotki mają zwyczaj zataczać szerokie kręgi i błyskawicznie urastają do niewiarygodnych rozmiarów. A poza tym do wieczora muszę skończyć mój artykuł.

–Pański artykuł? Na jaki temat?

–O domniemaniach, o których panu wspomniałem

–Jeżeli spróbuje pan o tym wspomnieć, moi prawnicy zjedzą pana na śniadanie!

–Zaryzykowałiby starcie z „Timesem”? Szczerze wątpię – rzekł Smithback spokojnym tonem, po czym zamilkł, aby dać Collopy'emu dość czasu na dojście do nieuchronnego, jedynego możliwego w tej sytuacji wniosku.

–Niech to szlag! – zaklął Collopy, obracając się na pięcie. – Chyba będziemy musieli wyciągnąć go stamtąd i potwierdzić jego autentyczność.

–To ciekawa sugestia – wtrącił Smithback.

Collopy bez przerwy krążył w tę i z powrotem. – Trzeba to zrobić publicznie, ale ma się rozumieć, w warunkach ścisłego nadzoru i zachowania najwyższego poziomu bezpieczeństwa. Nie możemy ot tak, zaprosić ludzi z ulicy, aby byli tego świadkami.

–Czy mogę zasugerować, że nie potrzebuje pan nikogo więcej prócz przedstawiciela „Timesa”? Inni pójdą naszym śladem. Jak zawsze zresztą. Jesteśmy periodykiem opiniotwórczym.

Kolejny zwrot. – Może ma pan rację.

Jeszcze jeden obrót, przejście przez całą długość pokoju i następny zwrot. – A oto co postanowiłem. Sprowadzę gemologa, aby potwierdził, że brylant znajdujący się w skarbcu naszego towarzystwa ubezpieczeniowego to faktycznie Serce Lucyfera. Zrobimy to na miejscu, w siedzibie Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal, pod ścisłą ochroną. Będzie pan jedynym dziennikarzem obecnym przy tym wydarzeniu i niech mnie diabli, ale mam nadzieję, że napisze pan artykuł, który raz na zawsze położy kres tym paskudnym plotkom.

–Jeżeli klejnot okaże się autentyczny.

–Na pewno tak będzie, w przeciwnym razie muzeum pójdzie z torbami za sprawą naszego ubezpieczyciela.

–A co z tym gemologiem? Musi być niezależny, aby mógł być uznany za wiarygodnego eksperta.

Collopy zastanawiał się przez chwilę.

–Prawdą jest, że nie możemy skorzystać z usług jednego z naszych kustoszy

–Poza tym jego reputacja musi być ze zrozumiałych względów nieposzlakowana.

–Skontaktuję się z Amerykańską Radą Gemologów. Przyślą nam jednego ze swoich ekspertów – Collopy podszedł do biurka, sięgnął po aparat i wykonał kilka krótkich telefonów, jeden po drugim. A potem znów odwrócił się do Smithbacka.

–Wszystko zostało już ustalone. Spotkamy się w siedzibie Affiliated Transglobal przy Avenue of the Americas 1271 na czterdziestym piątym piętrze punktualnie o pierwszej.

–A co z tym gemologiem?

–Nazywa się George Kaplan. Rzekomo to jeden z najlepszych ekspertów. – Spojrzał na Smithbacka. – A teraz, jeśli pan wybaczy, mam mnóstwo pracy. Do zobaczenia o pierwszej. – Zawahał się. – I dziękuję panu za dyskrecję.

–To ja dziękuję, doktorze Collopy.

ROZDZIAŁ 60

D'Agosta wsłuchiwał się w dźwięk syren niosący się ponad wydmami. Dźwięk przybierał na sile, osłabł, po czym znów stał się silniejszy. Z czasów, gdy pracował w komendzie w Southampton, D'Agosta wiedział, że odgłosy te płynęły z niewielkich głośników zawieszonych na plażowych łazikach patrolowych. Siedzieli w aucie ukrytym w cieniu piaszczystej wydmy, próbując oszacować sytuację, co najmniej przez pięć minut. Jeśli pozostaną na plaży, nie zdołają umknąć łazikom. Gdyby zaś wrócili na ulice miasta, natychmiast zostaliby namierzeni, jako że policja znała w przybliżeniu ich obecne położenie oraz numer rejestracyjny i markę wozu, jakim się poruszali.

Znajdowali się niedaleko Southampton, dawnego rewiru D'Agosty, porucznik znał tę okolicę niemalże jak własną kieszeń. Musiało być stąd jakieś wyjście. Trzeba było je tylko odnaleźć.

Uruchomił furgonetkę i zwolnił hamulec ręczny. – Trzymaj się mocno – powiedział.

Pendergast, który najwyraźniej zakończył właśnie ostatnią z całej serii rozmów przez telefon komórkowy, spojrział na niego. – Zdaję się na ciebie.

D'Agosta wziął głęboki oddech. A potem, uruchomiwszy silnik, wyprowadził pikapa z zagłębienia i jął wspinać się po zboczu wydmy: spod kół furgonetki wyprysnęły potężne fontanny piasku. Zjechali w kolejną nieckę, wyminęli parę wydm, a następnie wjechali na stok największej z nich, która oddzielała ich od stałego ładu. Gdy znaleźli się na szczycie wydmy, D'Agosta obejrzał się przez ramię, by ujrzeć kilka łazików sunących po zamrażniętej plaży, ćwierć mili za nimi, podczas gdy co najmniej dwie inne lawirowały pośród wydm, bez wątpienia podążając ich śladem.

Cholera. Byli bliżej, niż się spodziewał.

D'Agosta nadepnął pedał gazu do oporu, kiedy pikap wjechał na szczyt wydmy. Przez chwilę frunęli w powietrzu. Wreszcie wylądowali po drugiej stronie, wzbijając gęstą chmurę kurzu i piachu, przedzierając się z mazołem przez gęste zarośla. Tu rezerwat się skończył, drogę przed nimi blokowało kilka wytwornych prywatnych rezydencji. Mocując się z kierownicą, D'Agosta błyskawicznie zorientował się w położeniu, przypominając sobie w myślach topografię tego terenu. Gdyby tylko udało im się minąć te posesje, dostaliby się na leżące za nimi trzęsawisko Scuttlehole.

Pozostawiwszy wydmy za sobą, zjechali na płaski teren, staranowali drewniany płot i wyjechali na wąską drogę. Na jej drugim końcu znajdował się wysoki żywopłot z bukszpanu otaczający jedną z posesji. Przejechał wzdłuż żywopłotu i przed szerokim zakrętem odnalazł to, czego szukał: stwardniały spłachetek pośród listowia. Zjechał raptownie z drogi, kierując pikapa w wybrany fragment żywopłotu. Półciężarówka rąbnęła weń z prędkością czterdziestu mil na godzinę, przebiła się na wylot, tracąc przy tym oba boczne lusterka, po czym przyspieszyła, sunąc na ukos przez dziesięcioakrowy trawnik; po lewej stronie wznosiła się olbrzymia georgiańska rezydencja, po prawej zaś altana i kryty basen, a to, co znajdowało się za nimi, było przesłonięte przez włoski ogród różany.

Minął basen, utrzymując stałą prędkość, przejechał przez ogród różany, oderwał rękę posągowi przedstawiającemu nagą kobietę, po czym spustoszył rozciągający się za nim warzywnik. W oddali, na wprost nich jak zielony mur wznosił się kolejny pas nienagannego jak dotąd żywopłotu. Pendergast obejrzał się za siebie przez tylną szybę pikapa, a na jego obliczu pojawił się zbolały grymas. – Vincencie, nie chcę nic mówić, ale nielicho narozrabiałeś – mruknął jakby mimochodem.

– Mogę dołożyć molestowanie posągu nagiej kobiety do powiększającej się z każdą chwilą liczby popełnionych przeze mnie przestępstw. Jak na razie lepiej się trzymaj. – Przyspieszył, zbliżając się do żywopłotu.

Uderzyli w niego z głośnym łoskotem. Niewiele brakowało, a pikap nie przedarłby się przez ścianę zieleni. Silnik zakastał i zaczął się krztusić, D'Agosta obawiał się przez chwilę, że może zgasnąć. Udało się im jednak przebić na drugą stronę i silnik nadal pracował niepewnie. Po drugiej stronie kolejnej wąskiej drogi D'Agosta dostrzegł stary parkan z drucianej siatki, za nim zaś rozciągały się trzęsawiska otaczające staw Scuttlehole.

Przez ostatnich parę tygodni było chłodno, nawet bardzo chłodno. Już wkrótce D'Agosta miał się przekonać, czy faktycznie było dostatecznie zimno. Przejechał wzdłuż drogi, aż natknął się na dziurę w parkanie, skierował furgonetkę w tę stronę i ponownie zjechał z szosy. Lawirując przez rzadki sosnowy zagajnik otaczający moczary musiał zdecydowanie zwolnić. Z tyłu za nimi słychać było jęk syren. Jeżeli nawet zyskał trochę na czasie, przejeżdżając przez teren rezydencji, to na pewno nie było tego wiele.

Karłowate sosny stopniowo zastąpiła bagienna roślinność, trawiaste podmokłe łąki występowały tu na przemian z łachami brudnożółtego piasku. W oddali, na wprost nich widać było zeschnięte łodygi wierzb i pożółkłe źdźbła bagiennych traw. Sam staw wydawał się nikać w słabym szarym świetle.

–Vincencie? – rzekł ze spokojem Pendergast. – Czy zdajesz sobie sprawę, że przed nami znajduje się zbiornik wodny?

–Wiem o tym.

Pikap przyspieszył, przetaczając się po zmarzniętym skraju trzęsawiska, spod kół wyprysnęły strugi okruchów popękane go lodu. Wskazówka prędkościomierza dotarła do trzydziestu, a następnie zaczęła przesuwać się coraz dalej, do trzydziestu pięciu, a potem czterdziestu mil na godzinę. Na to, co zamierzał zrobić, potrzebował maksymalnej prędkości, jaką mógł wydobyć z tego gruchota. Przy wtórce suchego trzasku gałęzie wierzb rozchyliły się przed nimi na boki. A furgonetka wyjechała na lód.

Pendergast zacisnął dłoń na uchwycie przy drzwiczkach, do reszty zapominając o ich latte. – Vincencie...?

Furgonetka jak burza sunęła po lodzie, przelamując jego kruchą pokrywę przy wtórce dźwięku przywodzącego na myśl terkot karabinu maszynowego. D'Agosta, zerkając w lusterko wsteczne, widział, jak lód pęka i rozszcza pia się z tyłu za nimi, od czasu do czasu jakiś większy kawałek wylatywał wysoko w górę, ze szczeliny w zamarzniętej białej pokrywie wylewały się strugi czarnej wody. Odgłos pękającego lodu niósł się ponad jeziorem jak huk niewidzialnych dział.

–Chodzi o to, że dzięki temu nie będą mogli za nami pojechać – wycedził przez zaciśnięte zęby D'Agosta.

Pendergast nie odpowiedział.

Drugi brzeg, na którym wznosiły się eleganckie domy, przybliżał się ku nim z każdą chwilą. Furgonetka zdawała się płynąć w powietrzu, to unosząc się, to znów opadając jak motorówka sunąca po pękającej przez cały czas kruchej i cienie j pokrywie lodu. D'Agosta czuł, że zaczyna tracić impet. Dodał trochę gazu i nieznacznie popuścił sprzęgło. Ciężarówka zaryczała, koła zaczęły obracać się szybciej, trzask łamiącego się lodu stał się głośniejszy.

Dwieście jardów. Dodał gazu, ale w efekcie tylko koła półciężarówki obracały się szybciej.

Moc przenoszona z kół na śliską powierzchnię lodu słabła z każdą chwilą. Furgonetką zarzuciło, samochód zatoczył się, zakołysał, zwolnił i zaczęło znosić go na bok, podczas gdy na powierzchni lodu, wokół nich pojawiła się rozchodząca się we wszystkich kierunkach, rozszerzająca się niebezpiecznie siateczka wąskich jeszcze pęknięć.

Nie ma czasu na półśrodki. D'Agosta znów docisnął pedał gazu do deski i zakręcił kierownicą. Silnik ryknął, furgonetka przyspieszyła, lecz nie na tyle, by umknąć przed rozszerzającymi się na lodzie w zastraszającym tempie pęknięciami.

Sto jardów.

Silnik wył niczym turbina, wóz wciąż znosiło w bok, teraz sunął naprzód pchany tylko siłą bezwładności. Drugi brzeg był już blisko, ale ciężarówka z każdą chwilą coraz bardziej zwalniała. Pendergast zgarnął pod pachę laptopa i policyjne radio, wyglądało na to, że szykuje się do otwarcia drzwiczek.

–Jeszcze nie! – D'Agosta mocno zakręcił kierownicą, aby wyrównać ułożenie kół. Przód furgonetki, jej najcięższa część, wciąż unosił się ku górze i dopóki tak było...

Pikapem targnął silny wstrząs i przód auta zaczął się gwałtownie obniżać. Przez chwilę policjant i agent FBI trwali w zapierającym dech w piersiach zawieszeniu. A potem przód furgonetki ostro opadł w dół i rąbnąwszy o krawędź lodowej pokrywy, znieruchomiał na dobre. O dalszej jeździe nie było mowy.

D'Agosta otworzył szeroko drzwiczki i wskoczył do lodowatej wody, usiłując złapać się krawędzi pękającego lodu, schwycił ją, po czym z mozołem wczołgał się na postrzępioną krę. Następnie tyłem przepelzł na nienaruszoną pokrywą lodu, podczas gdy pikap wolno uniósł się do pionu, jego tylne koła wciąż obracały się w powietrzu, rozbryzgując dokoła strugi błotnistej wody i pokruszonego lodu, aż w końcu runął w dół, pogrążając się w mrocznej głębinie i zalewając policjanta od stóp do głów kaskadami lodowatej wody. W powietrzu zrobiło się aż gęsto od tańczących i wirujących na wietrze okruchów lodu.

Kiedy furgonetka znikła pod wodą, D'Agosta spostrzegł po drugiej stronie ziejącego w lodzie otworu Pedergasta. Agent stał na śliskiej powierzchni, jakby dopiero co wysiadł z półciężarówki, z komputerem i radiem pod pachą, czarny garnitur, który miał na sobie, był kompletnie suchy i nieskazitelny D'Agosta podniósł się niepewnie na uginającym się pod jego ciężarem skrzypiącym lodzie. Do brzegu mieli zaledwie dwadzieścia jardów. Obejrzał się za siebie, ale na przeciwległym brzegu jak dotąd nie pojawił się ani jeden plażowy łazik. – Chodźmy.

Po chwili dotarli do brzegu i ukryli się za wznoszącym się na drewnianych balach pomostem. Wtedy właśnie po drugiej stronie zjawily się policyjne łaziki i to, co ujrzeli stróże prawa, pozwoliło im ustalić najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń. Długa zygzakowata wyrwa biegnąca niemal przez całą szerokość jeziora aż do strzępiastej dziury otoczonej pajęczą siateczką pęknięć i obsypanej drobinami pokruszonego lodu mówiła sama za siebie. Na tafli szarej wody widocznej przez otwór w lodzie dostrzec można było tęcze, opalizujące plamy rozlewającej się benzyny. Pendergast powiódł wzrokiem pomiędzy deskami pomostu ku przeciwległemu brzegowi jeziora.

–Muszę przyznać, Vincencie, że było to iście mistrzowskie posunięcie.

–Dzięki – wykrztusił D'Agosta, nie mogąc opanować szczękania zębami.

–Trochę potrwa, zanim ustalą, że nadal żyjemy. A jak na razie, może rozejrzemy się w okolicy i sprawdzimy, jaki środek lokomocji oferują nam tutejsi mieszkańcy.

D'Agosta pokiwał głową. Nigdy dotąd nie było mu tak zimno. Włosy i ubranie miał przemoczone, a jego przemarzniete dłonie płonęły żywym ogniem.

Przekradli się wzdłuż żywopłotu jednego z wielkich domów; były to letnie rezydencje, przez zimę nikt w nich nie mieszkał. Podjazd był pusty, obeszlili dom z boku i zajrzeli przez okno do garażu. Znajdował się tam jaguar, zdjęte koła majaczyły pod przeciwległą ścianą.

–Może być – mruknął Pendergast.

–W garażu na pewno jest założony alarm – wykrztusił D'Agosta.

–Oczywiście. – Pendergast rozejrzał się dokoła, odnalazł przewód alarmu ukryty za rynną, dotarł wzdłuż drutu do drzwi garażu i kilka minut później odkrył skrynkę rozdzielczą.

–Bardzo prymitywny – mruknął, wciskając znaleziony gdzieś zgięty gwóźdź pod obudowę skrzynki, aby ją otworzyć. Zrobił to w miarę możliwości ostrożnie, by nie przerwać połączenia znajdujących się wewnątrz przewodów. Następnie sforsował zamek przy drzwiach garażu i uniósł je nieznacznie na tyle, aby mogli wpełznąć do środka.

Garaż był ogrzewany

–Ogrzej się, Vincencie, a ja tymczasem zabiorę się do pracy.

–Jak u licha udało ci się nie zamoczyć? – spytał D'Agosta, stając naprzeciw wylotu grzejnika.

–Może wykazałem się lepszym wyczuciem czasu. – Zdjąwszy marynarkę i podwinąwszy rękawy, Pendergast

przytoczył koła, za pomocą lewarka podniósł auto z jednej strony, nałożył koło i starannie poprzykręcał wszystkie śruby, po czym powtórzył te czynności jeszcze trzykrotnie, aby założyć pozostałe koła.

–Ciepłej ci? – zapytał, nie przerywając pracy.

–Mniej więcej.

–Wobec tego Vincencie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, podnieś maskę i podłącz akumulator. – Pendergast skręcił w stronę skrzynki z narzędziami stojącej opodal garażu.

D'Agosta wydobyl łom, podniósł maskę, podłączył akumulator, sprawdził poziom płynów i zbadał silnik. – Wygląda, że wszystko gra.

Pendergast odkopnął na bok ostatni klocek i dokręcił śruby przy ostatnim kole. – Wspaniale.

–Nikt nie zgłosił kradzieży auta.

–To się okaże. Choć wygląda na to, że w tej okolicy w zimie nie ma żywego ducha, zawsze możemy natknąć się na jakiegoś wścibskiego sąsiada. Ten mark VII rocznik 1954 raczej rzuca się w oczy. Nadeszła chwila prawdy. Wsiądź, proszę, i pomóż mi uruchomić to cacko. D'Agosta wślizgnął się za kierownicę i czekał na kolejne polecenia.

–Dociśnij pedał gazu. Zdław trochę. Wrzuć na bieg jałowy.

–Gotowe – rzekł D'Agosta.

–Kiedy usłyszysz, że silnik zaskoczył, dodaj trochę gazu. D'Agosta zrobił, co mu kazano. Chwilę potem wóz ożył.

–Popuść lekko – powiedział Pendergast. Podeszedł do skrzynki instalacji alarmowej, rozejrzał się dookoła, podniósł długi kawałek drutu, przymocował go do obu metalowych płytek znajdujących się wewnątrz urządzenia, po czym otworzył drzwi garażu.

–Możesz wyjechać.

D'Agosta wyprowadził jaguara z garażu. Pendergast opuścił drzwi garażu i miękko wślizgnął się z tyłu do samochodu.

–Rozgrzejmy trochę to maleństwo – wycedził D'Agosta, manipulując przy nieznanym mu urządzeniach kontrolnych i wyjeżdżając jaguarem na ulicę.

–Zrób to. Zatrzymaj wóz i pozwól mu się rozgrzać przez kilka minut. Ja się tymczasem położę i... hej, a co to takiego? – Uniósł w dłoni wiatrówkę w kratę, w różnych odcieniach krzykliwej zieleni. – Chyba dopisało ci szczęście, Vincencie! Teraz przynajmniej nie będziesz za bardzo rzucać się w oczy

D'Agosta zdjął swoją przemoczoną kurtkę i włożył wiatrówkę.

–Do twarzy ci w niej.

–Taa, no jasne.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Pendergasta. D'Agosta patrzył, jak agent wyłuskuje aparat z kieszeni.

–Tak – rzekł Pendergast. – Rozumiem. Tak. Doskonale. Dziękuję. – I przerwał połączenie.

–Mamy trzy godziny, aby dotrzeć z powrotem na Manhattan – powiedział, spoglądając na zegarek. – Myślisz, że dasz radę?

–Możesz się o to założyć. – D'Agosta zawahał się. – A może teraz powiedziałaś mi łaskawie, kto dzwonił? O co właściwie chodzi? Co ty znów kombinujesz?

–Dzwonił William Smithback.

–Ten dziennikarz?

–Tak. Widzisz, Vincencie, może w końcu los dał nam szansę, na którą od tak dawna czekaliśmy.

–Skąd to przypuszczenie?

–To Diogenes dokonał włamania i kradzieży w Astor Hall. D'Agosta odwrócił się, by na niego spojrzeć. – Diogenes? Jesteś pewien?

–Nie mam najmniejszych wątpliwości. Zawsze miał obsesję na punkcie diamentów i brylantów. Wszystkie te zabójstwa były swoistą zasłoną dymną mającą na celu zajęcie mnie czymś innym, podczas gdy mój brat przez cały czas planował swój prawdziwy wielki wyczyn. Swoje przestępstwo doskonałe: kradzież brylantów z Astor Hall. Na koniec porwał jeszcze Violę, aby mieć pewność, że gdy on podejmie się dokonania swego wiekopomnego dzieła, nie będzie mnie w mieście. To faktycznie było przestępstwo doskonałe, Vincencie. W spektakularnym tego słowa znaczeniu, a nie zbrodnia wymierzona konkretnie we mnie i w osoby z mego najbliższego kręgu.

–Co to za zrządzenie losu, o którym wspomniałeś?

–Diogenes nie wiedział – nie mógł wiedzieć – że najcenniejszy z klejnotów w muzealnej kolekcji, bez wątpienia brylant, na którym najbardziej mu zależało, nie został wystawiony na widok publiczny. Nie ukradł prawdziwego Serca Lucyfera, a jedynie jego kopię.

–No i co?

–No i to, że zamierzam teraz ukraść dla niego prawdziwe Serce Lucyfera, a następnie dokonać wymiany. Rozgrzałeś już silnik? Wobec tego wracajmy do Nowego Jorku, nie ma chwili do stracenia.

D'Agosta ruszył. – Widziałem już co prawda parę razy, jak w krytycznym momencie wyjmowałeś asa z rękawa, ale jak u licha zamierzasz ot tak z marszu ukraść najwspanialszy brylant świata? Nie wiesz, gdzie on się znajduje, nie masz pojęcia, jakie go chronią zabezpieczenia.

–Być może. Ale tak się składa, Vincencie, że zacząłem już powoli realizować mój mały plan. – Pendergast znaczącym gestem poklepał się po kieszeni, do której włożył komórkę.

D'Agosta nie odrywał wzroku od szosy przed nimi.

–Jest pewien problem – dorzucił po chwili, półgłosem.

–To znaczy?

–Zakładamy, że Diogenes wciąż ma coś na wymianę. Nastąpiła krótka chwila ciszy, po czym Pendergast znów się odezwał.

–Możemy się tylko modlić, aby nadal to miał.

ROZDZIAŁ 61

Laura Hayward weszła zwawo po schodach siedziby Federalnego Biura Śledczego na Dolnym Manhattanie. Tuż za nią szedł komendant Singleton. Jak zawsze był elegancko ubrany: płaszcz z wielbłądziej wełny, szalik Burberry, cienkie rękawiczki z czarnej skóry. Przez całą drogę tutaj prawie się nie odzywał, ale nie było w tym nic złego, Hayward wcale nie miała ochoty na pogawędkę.

Upłynęło zaledwie dwadzieścia cztery godziny, odkąd D'Agosta wyszedł z jej gabinetu, odrzucając postawione mu ultimatum, ale czuła się, jakby minął co najmniej rok. Hayward zawsze była wyjątkowo zrównoważona; kiedy jednak weszła do budynku federalnego, ogarnęło ją nagle uczucie niewysłowionej nierealności. Czuła się, jakby śniła na jawie. Może to wcale się nie działo, może nie szła na pilne spotkanie w siedzibie FBI, Pendergast nie był najbardziej poszukiwanym przestępcą w Nowym Jorku, a D'Agosta nie był jego współnikiem. Może po prostu się obudzi i znów będzie 21 stycznia, a w jej mieszkaniu czuć będzie swąd przypalonej lasagne Vinniego.

U wejścia, przy bramce kontrolnej Hayward pokazała swoją odznakę, zdała broń i podpisała się na liście. Nie będzie szczęśliwego zakończenia. Jeśli bowiem D'Agosta nie był współnikiem Pendergasta, to z pewnością okaże się jego ofiarą.

Sala konferencyjna była duża, wyłożona boazerią z ciemnego drewna. Flagi Nowego Jorku i Stanów Zjednoczonych zwieszały się z mosiężnych masztów po obu stronach wejścia, na ścianach wisiały fotografie przedstawiające znane osobistości ze sfer rządowych. W sali stał wielki stół, a wokół niego wygodne skórzane fotele. Brakowało automatu do kawy oraz talerzy z pączkami i faworkami, nieodłącznych elementów policyjnych spotkań wewnątrzwydziałowych. Miast tego przed każdym z foteli postawiono butelkę wody mineralnej. W sali stały już grupki nieznanymi Hayward i Singletonowi mężczyźni i kobiety w czarnych garniturach rozmawiających między sobą półgłosem. Kiedy para policjantów weszła do sali, zebrani jeden po drugim zaczęli zajmować miejsca przy stole. Hayward zasiadła w pierwszym wolnym fotelu, a Singleton usadowił się obok niej, po czym wolno, ostentacyjnie zdjął szalik i rękawiczki. Nie było tu gdzie powiesić rzeczy i w rezultacie tylko ich dwoje miało na sobie płaszcze.

W tej samej chwili do sali konferencyjnej wmaszerował wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. Tuż za nim jak wierne psiaki podążało dwóch niższych mężczyzn. Obaj dźwigali pod pachą pliki czerwonych teczek. Wysoki mężczyzna przystanął na chwilę i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. W przeciwieństwie do pozostałych obecnych w sali, których oblicza były blade, jak to zwykle bywało o tej porze roku – zimy w Nowym Jorku należały raczej do surowych – wysoki mężczyzna był mocno opalony. Nie była to sztuczna opalenizna, jaką można pochwalić się dzięki regularnym wizytom w solarium; człowiek ten musiał przez wiele godzin przebywać w jakimś miejscu, gdzie było piekielnie gorąco, a słońce prażyło w najlepsze.

Oczy miał małe, wąskie i wydawał się nielicho wkurzony.

Stanął u szczytu stołu, gdzie pozostały trzy wolne miejsca, i zajął środkowy fotel. Jego asystenci zasiedli na sąsiednich.

–Dzień dobry – rzekł mężczyzna z chropawym akcentem z Long Island, który nie pasował do jego mocnej opalenizny. – Nazywam się Coffey, jestem agentem specjalnym prowadzącym tę sprawę, a towarzyszą mi agenci specjalni Brooks i Rabiner. Z ich pomocą zamierzam rozpocząć poszukiwania agenta specjalnego Pendergasta.

Mężczyzna nieomal wypluł z siebie ostatnie słowo, a gdy to powiedział, gniew rozlał się z jego oczu na całe oblicze.

–Fakty są następujące: Pendergast jest głównym podejrzanym w związku z czterema zabójstwami, jednym w Nowym Orleanie, jednym w Waszyngtonie i dwoma popełnionymi tu, w Nowym Jorku. Mamy próbki DNA zebrane w każdym z tych miejsc i współpracujemy z lokalnymi władzami, by zgromadzić jeszcze więcej materiałów dowodowych.

Singleton posłał Hayward znaczące spojrzenie. Według Coffeya współpraca polegała na tym, że do jej biura zwała się gromada agentów FBI, nękając jej ludzi i zabierając wszelkie materiały dowodowe, które miały

jakąkolwiek wartość. Cóż za ironia, że to jej prośba o sporządzenie profilu psychologicznego przez Quantico wzbudziła zainteresowanie Coffeya tą sprawą.

–Z całą pewnością mamy tu do czynienia z osobnikiem niezrównoważonym psychicznie, co potwierdzają nasi eksperci od tworzenia portretów psychologicznych. Jest wielce prawdopodobne, że planuje on kolejne morderstwa. Ostatnio widziano go wczoraj po południu na lotnisku Kennedyego, gdzie wymknął się ochronie oraz policji, ukradł samochód z wypożyczalni i odjechał w nieznanym kierunku. Swój samochód,

rolls-royce'a, pozostawił na parkingu, przy wypożyczalni.

W sali rozległy się ciche szmery, zduszone przekleństwa i wymieniane zdawkowo uwagi. Twarze osób siedzących przy stole były posępne, złowrogie. Podczas wieloletniej służby w Federalnym Biurze Śledczym Pendergast musiał narobić sobie wielu wrogów.

–Mamy niepotwierdzone informacje, jakoby Pendergasta widziano w kilku sklepach całodobowych i na stacjach benzynowych w hrabstwach Nassau i Suffolk wczorajszej nocy, a także dziś rano. Obecnie podążamy tym właśnie tropem. Pendergastowi towarzyszy pewien mężczyzna, podejrzewamy, że jest nim porucznik Vincent D'Agosta z policji nowojorskiej. Otrzymałem właśnie wiadomość o trwającym zaciekłym pościgu w okolicy Southampton. Wstępne relacje świadków i funkcjonariuszy policji zdają się wskazywać, że ściganymi są ni mniej, ni więcej, tylko Pendergast i D'Agosta.

Hayward poruszyła się niespokojnie w fotelu. Singleton niewzruszenie patrzył przed siebie.

–Nasze zespoły przeszukują właśnie mieszkanie Pendergasta przy Siedemdziesiątej Drugiej oraz jego dom w Nowym Orleanie. Jeżeli uda nam się odkryć cokolwiek, co mogłoby rzucić choć odrobinę światła na jego dalsze poczynania, natychmiast was o tym poinformujemy. Jesteśmy w trakcie urządzania stanowiska dowodzenia, stąd będą rozdzielane wszelkie przychodzące na bieżąco informacje. Sytuacja będzie się szybko zmieniać i musimy być gotowi, aby dostosowywać do niej naszą strategię działania.

Coffey skinął na swoich współpracowników, którzy wstali i ruszyli wokół stołu, rozdając kolejnym osobom czerwone teczki. Hayward zwróciła uwagę, że ona i Singleton nie otrzymali egzemplarza akt. Sądziła, że będzie to zebranie robocze, ale wyglądało na to, że głównodowodzący operacją agent specjalny Coffey miał własną wizję, jak powinien poprowadzić tę sprawę, i nie życzył sobie, by ktokolwiek wchodził mu w parę.

–W teczkach tych znajdziecie wstępne instrukcje, zalecenia i przydziały. Będziecie pracować w zespołach, każdemu z zespołów zostanie przydzielonych sześciu agentów terenowych. Naszym najważniejszym zadaniem jest ustalenie, co Pendergast robił w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, jaki ma schemat działania i cele i zastawienie sieci tak, by się z niej nie wymknął. Nie wiemy dlaczego ugania się po Long Island, zatrzymując się przy sklepach całodobowych i na stacjach benzynowych, a osoby, które przesłuchaliśmy, twierdzą, że kogoś szukał. Oczekuję co godzinę ustnych raportów od każdego z zespołów, przekazywanych bezpośrednio mnie albo agentom specjalnym Brookswi i Rabinerowi.

Coffey podniósł się ciężko i potoczył gniewnym spojrzeniem dookoła.

–Nie zamierzam owijać w bawełnę. Pendergast jest jednym z nas. Zna wszystkie sztuczki związane z naszym zawodem. Mimo iż wydawało się, że na Long Island już go mamy, zdołał się jednak wymknąć. To dlatego biuro postanowiło wykorzystać do zamknięcia tej sprawy wszelkie dostępne siły i środki. Musimy dopaść tego łajdaka, i to jak najszybciej. W grę wchodzi reputacja Biura.

Znów rozejrzał się wokoło. – Jakies pytania?

–Owszem, tak – rzuciła Hayward.

Spojrzenia wszystkich skierowały się w jej stronę. Nie zamierzała się odzywać, zrobiła to właściwie odruchowo, machinalnie.

Coffey przeniósł na nią wzrok, jego małe oczka wyglądały jak dwa mikroskopijne białe punkciki. – Kapitan... ee... Hayward... zgadza się?

Skinęła głową.

–Słucham.

–Nie wspomniał pan o roli policji nowojorskiej w tych poszukiwaniach.

Coffey uniósł brwi. – O jakiej roli?

–Właśnie. Słyszałam sporo o tym, co zamierza zrobić FBI, ale ani słowa o współpracy federalnych z nowojorską policją, o której wspominał pan wcześniej.

–Pani kapitan, o ile pani sobie przypomina, zgodnie z informacjami, jakimi dysponujemy, Pendergast przebywa obecnie w hrabstwie Suffolk. Raczej niewiele moglibyście nam pomóc.

–To prawda. Mamy jednak na Manhattanie tuziny inspektorów śledczych zaznajomionych z tą sprawą, w gruncie rzeczy to my zgromadziliśmy wszelkie dowody, jakie...

–Pani kapitan – przerwał jej Coffey – Jestem bardziej niż ktokolwiek inny wdzięczny nowojorskiej policji za jej wkład w to dochodzenie. – Mimo to wcale nie wyglądał na zobowiązanego, był jeszcze bardziej rozdrażniony i władczy niż dotychczas. – Jak na razie jednak sprawa ta wykracza poza terytorium objęte waszą jurysdykcją.

–Wykracza poza terytorium objęte naszą bezpośrednią jurysdykcją, to prawda. Zawsze może się jednak zdarzyć, że zbieg wróci do miasta. A zważywszy, że agent Pendergast jest poszukiwany w sprawie dwóch zabójstw, które obecnie prowadzę, chciałabym mieć pewność, że gdy tylko zostanie zatrzymany, będziemy go mogli przesłuchać i...

–Nie wybiegajmy zanedo w przyszłość – uciął Coffey – Ten człowiek wciąż przebywa na wolności. Jeszcze jakieś pytania?

W sali zapanowała cisza.

–Doskonale. Jeszcze jedno. – Coffey nieznacznie zniżył głos. – Nie życzę sobie, by ktokolwiek z was podejmował zbędne ryzyko. Pendergast jest uzbrojony, zdesperowany i wyjątkowo niebezpieczny. W razie spotkania z nim ani przez chwilę nie wahajcie się użyć broni. Innymi słowy, rozwalcie sukinsyna na miejscu. Strzelajcie, aby zabić.

ROZDZIAŁ 62

George Kaplan wyszedł z kamienicy przy Gramercy Park, gdzie mieszkał, przystanął na chwilę u szczytu schodów, by otaksować wzrokiem swój kaszmirowy płaszcz, strzepnął z niego drobinę kurzu, poprawił nienagannie zawiązany krawat, poklepał się po kieszeniach, nabrał do płuc spory haust rześkiego styczniowego powietrza i zszedł na chodnik. Mieszkał w spokojnej, cichej, mocno zadrzewionej okolicy, jego dom stał blisko parku i nawet w mroźne, zimowe dni po tamtejszych alejkach spacerowały matki z dziećmi, ich radosne głosy niosły się wśród nagich gałęzi drzew. Kaplan był cały podekscytowany. Telefon, jaki otrzymał, był tyleż niespodziewany, co przyjęty z wdzięcznością. Większość gemologów przez całe życie nie będzie miała okazji zajrzeć w głąb klejnotu milion razy rzadszego czy sławnego niż Serce Lucyfera. On, rzecz jasna, widział ten brylant, w muzeum, przez grubą taflę pleksiglasu, ale dopiero teraz pojął, czemu oświetlenie w sali było tak fatalne; gdyby w pomieszczeniu było dostatecznie jasno, przynajmniej kilku gemologów – włącznie z nim samym – zorientowałoby się, że to jedynie kopia. Bardzo dobra kopia, nawiasem mówiąc, prawdziwy brylant naświetlony tak, by nadać mu ten niesamowity cynamonowy kolor; wrażenie to było bez wątpienia spotęgowane przez barwne oświetlenie z użyciem włókien optycznych umieszczonych pod klejnotem. Kaplan w ciągu czterdziestu lat pracy w zawodzie spotkał się z wszelkimi znanymi w tym biznesie rodzajami fałszerstw, oszustw i mistyfikacji. W duchu łątał samego siebie, że wcześniej nie zorientował się, iż brylant w rodzaju Serca Lucyfera nie może zostać zaprezentowany szerszej publiczności. Żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie zdecydowałoby się ubezpieczyć kamienia wystawionego na widok publiczny w ogólnie znanym i uczęszczanym muzeum.

Serce Lucyfera. Jaką miało wartość? Ostatni czerwony brylant, który wystawiono na sprzedaż, Czerwony Smok, kamień pięciokaratowy, uzyskał cenę szesnastu milionów dolarów. Ten był dziewięć razy większy, miał bardziej soczystą barwę, wyższy stopień, bez wątpienia był to obecnie najznamienitszy barwny kamień na świecie.

Jaką miał wartość? Niewyobrażalną. Po otrzymaniu telefonu Kaplan spędził parę minut w swojej bibliotece, aby przypomnieć sobie historię niezwykłego klejnotu. W przypadku brylantów było zwykle regułą, że im mniej barwne, tym lepiej, ale dewiza ta sprawdzała się tylko do pewnego stopnia. Kiedy diament miał głęboką, intensywną barwę, nagle zaczynał zyskiwać na wartości; stawał się osobliwością, a spośród wszystkich barw dostępnych diamentów czerwona występowała najrzadziej. Kaplan wiedział, że wśród wszystkich surowych kamieni wydobywanych w kopalniach De Beersa czerwony diament mający większą wartość pojawiał się góra raz na dwa lata. Serce Lucyfera nadało nowe znaczenie słowu „unikat”. Ważący czterdzieści pięć karatów, ten olbrzymi kamień o sercowym szlifie uzyskał od Międzynarodowego Towarzystwa Gemologicznego stopień WS1, Fantazyjnie Żywy. Żaden inny kamień na świecie nie zdobył równie wysokiej oceny i do tego ta barwa: nie rubinowa czerwień ani nawet granat, które to kolory także należały do wyjątkowych i szczególnie rzadkich. Klejnot miał intensywny, soczysty czerwopomarańczowy odcień, tak niezwykły, że brakowało dla niego odpowiedniej nazwy. Niektórzy określali go mianem cynamonowego i choć Kaplan uważał, że kolor ten miał w sobie więcej czerwieni niż prawdziwy cynamon, on sam nie był w stanie znaleźć lepszego określenia. Najbliższą nasuwającą się analogią był kolor krwi w blasku słońca, ale ta czerwień była od niej o wiele bardziej soczysta. Żaden inny obiekt jak świat długi i szeroki nie mógł poszczycić się równie niezwykłą barwą. Kolor kamienia stanowił naukową zagadkę. By dowiedzieć się, co nadawało Sercu Lucyfera tak niesamowitą barwę, uczeni musieliby zniszczyć fragment kamienia, a do tego rzecz jasna nigdy nie dojdzie.

Brylant miał krótką i krwawą historię. Surowy kamień, monstrum o wadze blisko 104 karatów, został odnaleziony w stożku aluwiowym przez jakiegoś kopalnicę w Kongu, na początku lat trzydziestych XX wieku. Z powodu koloru człowiek ów nie zorientował się, że ma do czynienia z diamentem, i postanowił spłacić nim nagromadzony od dłuższego czasu rachunek w pewnym barze. Kiedy jakiś czas później dowiedział się, na co natrafił, natychmiast udał się do barmana i zażądał zwrotu kamienia, lecz spotkał się ze zdecydowaną odmową. W tej sytuacji któreś nocy włamał się do domu tegoż barmana, zabił jego, jego żonę i trójkę dzieci, a następnie prawie do rana usiłował zatuzszować ślady swojej zbrodni, rąbiąc ciała na kawałki i wyrzucając je przez ganek na tyłach domu do rzeki Buyimai, gdzie roiło się od krokodyli. Został jednak schwytany, a podczas zbierania dowodów koniecznych do postawienia oskarżonemu zarzutu wielokrotnego zabójstwa, co wiązało się z zastrzeleniem i zbadaniem treści żołądka tuzina rzecznych krokodyli, jeden z inspektorów policji został zabity przez rozjuszonego gada, a drugi utonął, próbując go ratować.

Kamień, wciąż jeszcze nieoszlifowany, trafił na czarny rynek i przez jakiś czas krążył z rąk do rąk (z czym wiązało się kilka nigdy niewyjaśnionych zabójstw), aż w końcu pojawił się w Belgii jako własność człowieka znanego z szemranych kontaktów i prowadzącego podejrzanymi interesami. Mężczyzna ów podjął nieudaną próbę pocięcia kamienia, po której na powierzchni diamentu pozostało paskudne pęknięcie, a następnie popełnił samobójstwo. Uszkodzony, nieoszlifowany klejnot znów znikł w światku handlarzy drogimi kamieniami, by ostatecznie odnaleźć się w rękach izraelskiego szlifierza diamentów nazwiskiem Arens, jednego z najlepszych specjalistów na świecie. W procesie szlifowania, nazwanym później najlepszym, jakiego kiedykolwiek dokonano, Arens zdołał wydobyć z pękniętego kamienia brylant w kształcie serca tak, by usunąć skazę, nie naruszając struktury kamienia ani nie marnując zbyt wiele surowca. Cały proces szlifowania zajął Arensowi w sumie osiem lat i praktycznie przeszedł on do legendy. Arens przez trzy lata po prostu przyglądał się kamieniowi, przez trzy kolejne zaś ćwiczył cięcie i polerowanie na ni mniej, ni więcej dwustu plastikowych modelach sporządzonych z oryginału, eksperymentując, by uzyskać optymalną wielkość, szlif i kształt, pozbywając się zarazem niebezpiecznej i całkiem sporej skazy. Udało mu się, podobnie jak Michałowi Aniołowi, który wyrzeźbił Dawida z bryły mocno popękanej marmuru odrzuconego przez innych rzeźbiarzy, uznając, iż nic nie da się z niego uzyskać. Kiedy Arens skończył, uzyskał jedyny w swoim rodzaju brylant w kształcie serca oraz tuzin mniejszych kamieni; wszystkie z jednej i tej samej bryły nieobrobionego diamentu. Największy kamień nazwał Sercem Lucyfera z uwagi na jego posępny historię, oraz dodając na użytek prasy, że praca przy szlifowaniu klejnotu to był prawdziwy taniec z diabłem. Następnie w przypływie niespodziewanej hojności Arens przekazał klejnot nowojorskiemu Muzeum Historii Naturalnej, które odwiedził jeszcze jako dziecko, i gdzie – jak uznał – w Sali Brylantowej było odpowiednie miejsce dla największego dzieła jego życia. Tuzin mniejszych kamieni wyciosanych z tego samego macierzystego surowca sprzedał, rzekomo za astronomiczną sumę, lecz co dziwne, żaden z nich już nigdy nie pojawił się na rynku. Kapłan podejrzewał, że wykonano z nich zdumiewającą w swym przepychu pojedynczą sztukę biżuterii, którą pierwotny nabywca, pragnący zachować anonimowość, postanowił zatrzymać dla siebie.

Kapłan skręcił za róg przy Gramercy Park i ruszył na zachód w stronę Park Avenue, gdzie miał największe szanse na złapanie taksówki jadącej do północnej części miasta. Zostało mu pół godziny, ale w porze lunchu w Nowym Jorku nigdy nic nie wiadomo, a na to akurat szczególne spotkanie nie chciał się spóźnić.

Gdy przystanął przy przejściu dla pieszych na rogu Lex, zdumiał się, widząc czarny samochód podejrzanie w jego kierunku z opuszczoną boczną szybą. W środku siedział mężczyzna w zielonej wiatrówce.

–Pan George Kapłan?

–Tak. O co chodzi?

Mężczyzna przechylił się w jego stronę, pokazał mu odznakę porucznika policji nowojorskiej i otworzył drzwiczki. – Zapraszam do środka.

–Mam ważne spotkanie, panie władzo. O co właściwie chodzi?

–Wiem. W siedzibie Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal. Mam być pańską eskortą.

Kapłan przyjrzał się uważnie odznace: porucznik Vincent D'Agosta. Blacha była prawdziwa – Kapłan potrafił je rozpoznać – a facet za kółkiem faktycznie wyglądał na glinę, mimo iż był ubrany po cywilnemu. Kto inny mógłby wiedzieć o jego planowanym spotkaniu?

–To bardzo miło – Kapłan wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwiczki, zablokował je i wóz ruszył z miejsca.

–Ochrona ma być wyjątkowa. Z uwagi na okoliczności – rzekł policjant. Następnie ruchem głowy wskazał szare plastikowe pudełko stojące pomiędzy nimi na siedzeniu. – Muszę poprosić pana o oddanie telefonu komórkowego, portfela ze wszystkimi dokumentami, broni, jeżeli ją pan posiada, oraz wszystkich narzędzi. Proszę je włożyć do tego pudełka, obok pana. Przekażę je mojemu koledze; odzyska je pan w skarbcu, kiedy zostaną szczegółowo przebadane.

–Czy to naprawdę konieczne?

–Tak. Jestem pewien, że rozumie pan dlaczego.

Kaplan, niezbyt zaskoczony, biorąc pod uwagę okoliczności, wyjął żądane przedmioty i włożył je do pudełka. Przy następnych światłach, przy Park Avenue jaguar, który dotąd jechał za nimi, zrównał się z ich samochodem, szyby w obu pojazdach były opuszczone. Policjant przez okno podał pudełko kierowcy w sportowym wozie. Kaplan zdążył jeszcze zauważyć, że kierowca jaguara miał krótko przycięte jasne, niemal siwe włosy i nosił nienagannie skrojony, czarny garnitur.

–Jak na policjanta, pański kolega jeździ dość niezwykłym autem.

–Bo to naprawdę niezwykły człowiek.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, jaguar skręcił w prawo i skierował się w stronę śródmieścia, podczas gdy policjant, pełniący funkcję szofera Kaplana pojechał na południe.

–Pan wybaczy, panie władzo, ale powinniśmy skierować się na północ – rzekł Kaplan. – Siedziba Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal mieści się przy Avenue of the Americas 1271.

Wóz przyspieszył, jadąc na południe, a policjant obejrzał się przez ramię i z ponurą miną oznajmił. Z przykrością muszę poinformować, panie Kaplan, że nie stawi się pan na umówione spotkanie.

ROZDZIAŁ 63

Zebrał się w poczekalni Harrisona Graingera, prezesa Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal. Pomieszczenie to znajdowało się na jednym z najwyższych pięter wieżowca firmy, okna wychodziły na północ, rozciągał się z nich widok na wielki kanion Avenue of the Americas, sześć przecznic dalej na północ, dostrzec można było czarny prostokąt Central Parku. Punktualnie o pierwszej Grainger wyszedł ze swego gabinetu; rumiany mężczyzna o uszach jak dwa kalafiory, z wąską czaszką, wytwornie ubrany, łysiejący i uśmiechnięty szeroko.

–Czy są już wszyscy? – rozejrzał się wokół.

Smithback także to zrobił. Miał sucho w ustach i potwornie się pocił. Zastanawiał się, co mu u licha odbiło, że zgodził się wziąć udział w tej zwariowanej operacji. To, co wcześniej wydawało się fantazyjną eskapadą, szansą na zdobycie sensacyjnego materiału, w surowym świetle rzeczywistości przerodziło się w czyste szaleństwo. Smithback miał uczestniczyć w poważnym przestępstwie, nie mówiąc już o rezygnacji z wszelkich zasad etycznych, którym hołdował jako dziennikarz.

Grainger powiódł wzrokiem dokoła i uśmiechnął się. – Sam, dokonaj prezentacji.

Samuel Beck, szef ochrony, postąpił naprzód i skinął głową. Pomimo zdenerwowania nie uszło uwagi Smithbacka, że mężczyzna miał drobne stopy jak tancerka z baletu.

–Pan George Kaplan – zaczął szef ochrony. – Starszy współpracownik Amerykańskiej Rady Gemologów.

Kaplan, schludny mężczyzna ubrany na czarno, ze starannie przystrzyżoną bródką i w okularach bez oprawek wyglądał trochę jak dziewiętnastowieczny dżentelmen. Ukłonił się lekko i energicznie.

–Frederick Watson Collopy, dyrektor Muzeum Historii Naturalnej.

Collopy przywitał się ze wszystkimi. Sprawił wrażenie, jakby nie był zadowolony, że musiał się tu zjawić.

–William Smithback z „New York Timesa”.

Smithback uściskał dłoń kilku osobom, jego ręka była wilgotna jak szmata do podłogi.

–Harrison Grainger, prezes Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal.

Rozległy się wypowiedziane półgłosem słowa powitania.

–Rand Marconi, wiceprezes Grupy Affiliated Transglobal. O Boże, pomyślał Smithback. Ilu ich tu jeszcze przyjdzie?

–Foster Lord, sekretarz Grupy Affiliated Transglobal. Kolejne uściski dłoni i skinienia głową.

–Skip McGuigan, skarbnik Grupy Affiliated Transglobal. Smithback na próżno starał się poluzować zbyt ciasny kołnierzyk pod szyją.

–Jason McTeague, funkcjonariusz ochrony Grupy Affiliated Transglobal.

Przywodziło to na myśl formalną prezentację uczestników wytwornego balu dla osób z wyższych sfer. Uzbrojony po zęby strażnik przestąpił z nogi na nogę, skinął głową, ale nie wyciągnął do niego ręki.

–A ja jestem Samuel Beck, szef ochrony Grupy Affiliated Transglobal. Niech wystarczy, że powiem, iż wszystko zostało dokładnie sprawdzone, skontrolowane i przygotowane jak należy. – Uśmiechnął się szeroko, a Grainger zaśmiał się w głos.

–W porządku, a więc zaczynamy – powiedział prezes, wskazując ręką w stronę wind.

Skorzystali najpierw z jednej, potem z drugiej, a wreszcie z trzeciej windy, by zjechać w głąb podziemi

olbrzymiego wieżowca, po czym przemaszerowali długimi nieoznakowanymi korytarzami z żużlowych płyt i stanęli przed największymi, najbardziej błyszczącymi i najlepiej wypolerowanymi wrotami skarbcza, jakie Smithback miał okazję widzieć w swoim życiu. Gdy tak na nie spojrzął, ogarnął go dziwny niepokój. Serce nieomal podeszło mu do gardła.

Beck zaczął wpisywać kod na klawiaturze przy wrotach skarbcza, a następnie zajął się otwieraniem kolejnych zamków, których odblokowanie wymagało użycia skanera siatkówki. Wreszcie Beck się odwrócił. – Panowie, musimy teraz poczekać pięć minut, aby otworzyły się zamki zegarowe. Ten skarbiec – ciągnął z dumą – zawiera potwierdzone kopie wszystkich naszych polis, wszystkich co do jednej. Polisa ubezpieczeniowa jest kontraktem i znajdują się tu jedynie wiążące kopie naszych kontraktów, opiewające w sumie na pół tryliona dolarów. Są strzeżone przez najnowocześniejsze systemy zabezpieczeń, jakie zostały dotychczas opracowane. Ten skarbiec jest w stanie przetrwać trzęsienie ziemi o sile dziewięciu stopni w skali Richtera, tornado o sile pięciu stopni albo wybuch bomby atomowej o mocy stu kiloton.

Smithback próbował robić notatki, ale wciąż obficie się pocił i pióro ślizgało mu się w dłoni. „Myśl o artykule. Myśl o artykule”.

Rozległ się łagodny melodyjny dźwięk.

–Ten sygnał, panowie, oznacza, że zamki naszego skarbcza zostały otwarte.

Beck pociągnął za dźwignię, dał się słyszeć cichy szum silnika i wrota powoli odchyliły się na zewnątrz. Były naprawdę imponujące, masywne, sześć stóp solidnej nierdzewnej stali.

Ruszyli naprzód, uzbrojony strażnik zamykał tyły, minęli dwoje innych masywnych drzwi, zanim weszli do czegoś, co wydawało się główną komnatą skarbcza, olbrzymiego stalowego pomieszczenia z metalowymi kłatkami pełnymi umieszczonych jedna nad drugą metalowych skrytek przypominających szuflady, sięgających od podłogi aż po sufit.

Prezes firmy postąpił naprzód, teraz przyszła kolej na niego. – Oto skarbiec wewnętrzny, panowie. Ale nawet tutaj brylant nie jest niestrzeżony, wszak zawsze mógłby paść ofiarą pokus dręczących któregoś z naszych zaufanych pracowników. Brylant przechowywany jest w specjalnym skarbcu, wewnątrz skarbcza, i potrzeba czterech wysokiej rangi pracowników naszej firmy, aby otworzyć ten sejf, mnie, Randa Marconiego, Skipa McGuigana i Foster Lorda.

Trzej mężczyźni w identycznych szarych garniturach, łysi i tak do siebie podobni, że można by wziąć ich za braci, uśmiechnęli się, słysząc jego słowa. Najwyraźniej nie mieli zbyt wielu okazji, by skorzystać ze swoich przywilejów. Wewnętrzny skarbiec znajdował się po drugiej stronie pomieszczenia, w przeciwległej ścianie wprawione były stalowe drzwiczki. Widniały w nich cztery dziurki od kluczy. Ponad nimi paliła się niewielka czerwona dioda.

–Teraz zaczekamy, aż zewnętrzne wrota skarbcza zamkną się, i dopiero wówczas otworzymy wewnętrzny skarbiec.

Smithback czekał, wsłuchując się w mechaniczny metalowy zgrzyt, łoskot i klekot.

–Teraz jesteśmy zamknięci w skarbcu. Dopóki wewnętrzny skarbiec pozostaje otwarty, wrota zewnętrznego nie otworzą się. Gdyby nawet jeden z was zapragnął ukraść klejnot, nie mógłby z nim stąd wyjść! – Grainger zachichotał. – Wyjmijcie swoje klucze, panowie.

Mężczyźni wyjęli z kieszeni niewielkie klucze.

–Przygotowaliśmy niewielki stolik dla pana Kaplana – powiedział prezes, wskazując elegancki stół nieopodal.

Kaplan przyjrzał mu się krytycznie i wydał wargi w geście jawnej dezaprobaty

–Czy wszystko w porządku? – spytał z przejęciem prezes.

–Pora wyjąć brylant – odrzekł oschle Kaplan. Grainger skinął głową. – Panowie?

Czterej mężczyźni włożyli klucze do odpowiednich otworów zamka. Wymienili między sobą spojrzenia, po czym równocześnie przekręcili klucze w zamku. Małe czerwone światełko zmieniło się na zielone, rozległ się dźwięk otwieranych drzwiczek sejf. Wewnątrz znajdowała się prosta metalowa szafka z ośmioma szufladkami. Każda z nich była oznaczona numerem.

–Szuflada numer dwa – powiedział prezes.

Szuflada została otwarta, Grainger sięgnął do środka i wydobył niedużą metalową szkatułkę, z którą podszedł do stołu, i pieczołowicie, z namaszczeniem postawił przed Kaplanem.

Gemolog usiadł i zaczął energicznie wykladać na blat stołu cały zestaw rozmaitych urządzeń i soczewek. Poukladał je precyzyjnie w równym rzędku. Następnie wyjął zwinięty w rulon kawałek delikatnego czarnego aksamitu i rozłożył, tworząc na samym środku stołu czarny gruby miękki prostokąt. Wszyscy obserwowali eksperta przy pracy, zebrani mężczyźni ustawili się półokręgiem przy stole, wszyscy z wyjątkiem ochroniarza, który stał nieco z tyłu z rękoma założonymi na piersiach.

Na koniec Kaplan założył cienkie chirurgiczne rękawiczki. – Jestem gotowy, poproszę o klucz.

–Przepraszam, panie Kaplan, ale zgodnie z przepisami, muszę otworzyć szkatułkę osobiście – rzekł szef ochrony

Kaplan machnął ręką z rozdrażnieniem. – Niech będzie. Tylko niech pan go nie upuści. Diamenty mogą być twarde, ale tłuką się równie łatwo jak szkło.

Beck nachylił się nad szkatułką, włożył klucz do zamka i podniósł wieko. Spojrzenia wszystkich utkwione były w szkatułkę.

–Proszę nie dotykać kamienia gołymi spoconymi dłońmi – rzucił ostro Kaplan.

Szef ochrony cofnął się gwałtownie. Kaplan sięgnął ręką do szkatułki, wydobył klejnot tak nonszalancko, jakby miał do czynienia z piłką golfową, i położył go na czarnym aksamicie przed sobą. Następnie otworzył lupę i nachylił się nad kamieniem.

Wtem wyprostował się i rozdrażnionym tonem zawołał: – Wybaczcie panowie, ale nie jestem w stanie pracować, gdy tak nade mną stoicie. Nie lubię, gdy ktoś stoi mi za plecami i gapi się na moje ręce. Błagam, pozwólcie mi zrobić to, po co tu przyszedłem!

–Oczywiście, oczywiście – rzucił uspokajającym tonem Grainger. – Cofnijmy się wszyscy o krok i dajmy panu Kaplanowi odrobinę swobody.

Wszyscy nieznacznie się odsunęli. Kaplan znów pochylił się nad kamieniem, ujął brylant metalowymi szczypczykami i obrócił w dłoni. Odłożył lupę.

–Poproszę o filtr Chelsea – rzucił ostro, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

–A który to? – zapytał Beck.

–Ten biały podłużny przedmiot, proszę mi go podać.

Szef ochrony podniósł wskazany przyrząd i podał mu. Kaplan wziął go do ręki, otworzył i ponownie zbadał klejnot, mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem.

–Czy wszystko jest tak, jakby pan sobie tego życzył, panie Kaplan? – spytał niepewnie Grainger.

–Nie – padło w odpowiedzi.

Napięcie w skarbcu narastało coraz bardziej.

–Czy oświetlenie jest wystarczające? – zapytał prezes. Nieprzyjemna przedłużająca się cisza.

–Poproszę o DiamondNite. Nie, nie to. Tamto.

Beck podał mu dziwny, spiczasto zakończony przyrząd. Kaplan delikatnie dotknął nim kamienia. Rozległo się ciche buczenie, a na obudowie przyrządu zapaliła się zielona lampka.

–Hm. Przynajmniej wiemy, że to nie moissanit – burknął oschle gemolog, oddając przyrząd Beckowi, któremu rola asystenta eksperta nie przypadła najwyraźniej do gustu.

Znów ciche mamrotanie. – Poproszę o polaroskop.

Po kilku nieudanych próbach Beck odnalazł w końcu żądany przyrząd. Długa chwila ciszy, a potem parsknięcie.

Kaplan wstał i rozejrzał się wokół, lustrując zebranych długim, pełnym powagi spojrzeniem. – O ile mogę stwierdzić – zważywszy na panujące tu warunki, które nie są bynajmniej optymalne, mówię przede wszystkim o fatalnym oświetleniu – mamy do czynienia z falsyfikatem. Przyznam, że mistrzowskim falsyfikatem, ale kopia to jednak kopia.

W skarbcu zapanowała głęboka cisza i konsternacja. Słowa eksperta były dla wszystkich prawdziwym szokiem. Smithback zerknął na Collopy'ego. Oblicze dyrektora muzeum było blade jak ściana.

–Nie ma pan co do tego pewności? – zapytał prezes.

–A niby jak mogę mieć pewność? Spodziewa się pan, że ekspert taki jak ja jest w stanie zbadać fantazyjny barwny brylant w świetle jarzeniówek?

Cisza. – Czy nie powinien pan przynieść z sobą własnej lampy? – odparował Grainger.

–Własnej lampy? – zawołał Kaplan. – Proszę wybaczyć, ale pańska ignorancja jest wprost porażająca. To brylant o fantazyjnej barwie, określany jako żywy, czy sądzi pan, że można go ot tak oglądać przy świetle byle jakiej starej lampy? Aby mieć pewność, potrzebuję prawdziwego światła. Naturalnego światła. Nic innego nie jest w stanie go zastąpić. Nikt mnie nie uprzedził, że będę musiał badać najwspanialszy brylant świata w blasku świetlówek. To afront dla mojej profesji.

–Powinien był pan o tym wspomnieć, kiedy ustalaliśmy warunki spotkania – wtrącił Beck.

–Sądziłem, że mam do czynienia z wysoce wyspecjalizowaną firmą ubezpieczeniową, która zna się na kamieniach szlachetnych! Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi badać barwny brylant w ciasnym piwnicznym skarbcu. Nie wspominając już o półtuzinie mężczyzn ziejących na mnie z tyłu i gapiących się jak na małpę w zoo. W raporcie napiszę: najprawdopodobniej mamy do czynienia z kopią, ale ostateczne ustalenia będą wymagać ponownych oględzin przy naturalnym, dziennym świetle. – Kaplan złożył ręce na piersiach i spojrzał zuchwale na prezesa.

Smithback z trudem przełknął ślinę. – No cóż – mruknął, bazgrząc w notesie i udając, że pieczołowicie sporządza notatki. Mógł mieć jedynie nadzieję, że jego zapiski okażą się dla reszty nieczytelne. – To chyba byłoby na tyle. Mam już temat na kolejny artykuł.

–Na jaki znowu artykuł? – rzucił Collopy, odwracając się ku niemu. – Nie ma mowy o żadnym artykule. Wnioski nie są rozstrzygające.

–Właśnie – odezwał się drżącym głosem Grainger. – Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

Smithback wzruszył ramionami. – Od mego informatora dowiedziałem się, że brylant może być fałszywy. Teraz pan Kaplan zdaje się sugerować to samo.

–Kluczowym słowem jest w tym przypadku „może” – wtrącił Grainger.

–Chwileczkę! – Collopy odwrócił się do Kaplana. – Aby móc stwierdzić autentyczność kamienia, musi pan

dokonać ekspertyzy przy dziennym świetle, zgadza się?

–Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno?

Collopy zwrócił się do prezesa. – Czy nie ma tu gdzieś miejsca, gdzie nasz ekspert mógłby zbadać kamień przy naturalnym świetle?

Zapadła chwila ciszy

Collopy wyprostował się. – Grainger – rzucił ostrym tonem -to pan ponosi odpowiedzialność za bezpieczeństwo przechowywanego tutaj brylantu.

–Moglibyśmy przenieść kamień do sali obrad zarządu -mruknął Grainger. – Na siódmym piętrze. Jest tam sporo światła.

–Pan wybaczy, panie Grainger – odezwał się Beck – ale przepisy w tej kwestii są ściśle i surowe: brylant nie może opuścić skarbcza.

–Słyszałeś, co powiedział nasz ekspert. Potrzebuje lepszego oświetlenia.

–Z całym szacunkiem, panie prezesie. Mam swoje zalecenia i nawet pan nie może ich zmienić.

Prezes machnął ręką. – Bzdura! To sprawa wagi najwyższej! Co więcej, przypadek wyjątkowy. Z całą pewnością możemy potraktować tę sprawę priorytetowo i odstąpić od ustalonych procedur.

–Jedynie za wystawieniem pisemnego, poświadczonego notarialnie zezwolenia od ubezpieczonego.

–Dobrze, niechaj tak będzie! Dyrektor muzeum jest tu razem z nami. A Lord jest notariuszem, czy nie tak. Fosterze?

Lord skinął głową.

–Doktorze Collopy, czy złoży pan potwierdzoną notarialnie prośbę na piśmie?

–Oczywiście! Trzeba tę sprawę zakończyć tu i teraz. – Twarz miał szarą jak popiół, wyglądał jak nieboszczyk.

–Fosterze, przygotuj proszę odpowiedni dokument.

–Jako szef ochrony szczerze to panom odradzam – rzekł półgłosem Beck.

–Panie Beck – odezwał się Grainger – doceniam pańską troskę. Obawiam się jednak, że nie w pełni pojmuję pan obecną sytuację. Mamy limit stu milionów dolarów na naszej polisie dla muzeum, ale Serce Lucyfera jest opatrzone specjalną klauzulą, a jednym z warunków przechowywania tego kamienia w naszym sejfie jest brak ograniczeń odpowiedzialności finansowej. Będziemy musieli zapłacić tyle, na ile Międzynarodowe Towarzystwo Gemologiczne określi niezależnie wartość brylantu. Musimy ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy ten kamień jest prawdziwy, i trzeba to uczynić już teraz. Natychmiast.

–Mimo wszystko – odezwał się Beck – chciałem raz jeszcze powiedzieć, że stanowczo sprzeciwiam się wyniesieniu brylantu ze skarbcza. To tak, do protokołu.

–Twój protest został odnotowany. Foster? Sporządź dokument, a doktor Collopy go podpisze.

Sekretarz wyjął z kieszeni marynarki czystą kartkę papieru i napisał na niej kilka zdań. Collopy, Grainger i McGuigan złożyli na kartce podpisy, a następnie Lord potwierdził wniosek notarialnie swoim podpisem.

–Chodźmy – powiedział prezes.

–Wezwę ochronę – rzucił posępnym głosem Beck. Smithback patrzył, jak szef ochrony wyjmując pistolet z kabury, sprawdza magazynek, a następnie odbezpiecza broń i przeładowuje.

Kaplan podniósł kamień za pomocą szczypczyków.

–Ja to zrobię, panie Kaplan – rzekł półgłosem Beck. Ujął szczypczyki i delikatnie położył kamień do wnętrza wyłożonej aksamitem szkatułki. To uczyniwszy, opuścił wieko, zamknął szkatułkę na klucz, schował kluczyk do kieszeni i wziął szkatułkę pod pachę.

Czekali, gdy Kaplan spakował swoje przybory, po czym zamknęli drzwiczki wewnętrznego skarbca i zaczęli czekać, aż otworzą się wrota zewnętrzne. Pokonali kilka kolejnych wewnętrznych masywnych drzwi, przy których napotkali uzbrojonych strażników ochrony. Strażnicy odprowadzili ich do czekającej windy i pięć minut później Smithback znalazł się w małej, lecz luksusowo urządzonej sali posiedzeń zarządu wyłożonej boazerią z egzotycznego drewna. Przez tuzin szerokich okien do środka wpadało słoneczne światło. Beck ustawił pod drzwiami jeszcze dwóch strażników, po czym zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

–Proszę, aby wszyscy się cofnęli – oznajmił. – Panie Kaplan, czy to wystarczy?

–W zupełności – odrzekł Kaplan i uśmiechnął się szeroko, jego nastrój, dotąd raczej ponury, wyraźnie się poprawił.

–Gdzie chciałby pan usiąść?

Kaplan wskazał na fotel w rogu sali, pomiędzy dwojgiem okien. – Tam będzie w sam raz.

–Proszę zająć miejsce.

Ekspert znów poświęcił dłuższą chwilę na wyjęcie swoich przyborów i starannie rozłożył na stole czarny aksamit. W końcu uniósł wzrok. – Mogę prosić o kamień?

Beck położył szkatułkę obok niego, otworzył ją kluczykiem i uniósł wieko. Wewnątrz na aksamitnej wyściółce spoczywał brylant. Kaplan sięgnął, szczypczykami wyciągnął kamień ze szkatułki i poprosił o podwójną soczewkę Grobeta. Z pomocą tego przyrządu przyjrzał się brylantowi, oglądając go najpierw przez jedną, a potem przez drugą soczewkę, a w końcu przez obie równocześnie. Gdy uniósł kamień w dłoń, padły na niego promienie słońca i na ścianach sali pojawiły się nagle cętki odblasków o intensywnej czerwonej barwie.

Kilka minut upłynęło w absolutnej ciszy. Smithback uświadomił sobie, że mimowolnie wstrzymał oddech. Wreszcie Kaplan powoli odłożył brylant na aksamitną podkładkę, odsunął soczewki Grobeta od oczu i uśmiechnął się do obserwujących go mężczyzn.

–Ach tak – powiedział – to naprawdę cudowne. Naturalne światło wszystko diametralnie zmienia. Sprawa jest oczywista, panowie. To bez najmniejszych wątpliwości prawdziwe Serce Lucyfera. – Spojrzał na klejnot leżący na czarnym aksamicie. Słychać było westchnienia ulgi, jakby wszyscy obecni w sali podobnie jak Smithback wstrzymali oddech.

Kaplan machnął ręką. – Panie Beck? Może pan schować klejnot. Tylko proszę użyć szczypczyków, jeśli łaska.

–Bogu dzięki – mruknął prezes, odwracając się do Collopy'ego i ujmując go za rękę.

–Bogu dzięki, że wszystko w porządku – odparł Collopy, uściskawszy dłoń prezesa i równocześnie otarłszy chustką spoczone czoło. – Przez chwilę byłem pełen obaw.

Tymczasem Beck z neodgadnionym, lecz wciąż posępnym obliczem sięgnął szczypczykami, aby podnieść klejnot. W tej samej chwili Kaplan podniósł się z fotela i zderzył się z nim. – Przepraszam!

To stało się tak szybko, że Smithback zdał sobie sprawę, co zaszło, dopiero gdy było po wszystkim. Nagle Kaplan w jednym ręku trzymał brylant, a w drugim pistolet Becka i celował w niego. Wypalił mu niemal w twarz, unosząc lekko pistolet, aby kule o włos minęły głowę Becka i wryły się w ścianę. Oddał jeden po drugim trzy strzały. Niewiarygodnie donośny, ogłuszający huk sprawił, że wewnątrz sali przepełniła zgroza i w okamgnieniu zapanował w niej niepojęty chaos, w zamieszaniu wszyscy rzucili się na podłogę. Beck również.

A zaraz potem Kaplan zniknął, opuszczając salę przez główne drzwi, które rzekomo miały być zamknięte na klucz.

Beck błyskawicznie poderwał się z podłogi. – Brać go! Zatrzymać go!

Kiedy podźwignął się z podłogi, czując nieprzyjemne dzwonięcie w uszach, Smithback dostrzegł przez otwarte podwójne drzwi dwóch strażników, którzy rozciągnięci dotąd na ziemi wstali niepewnie i pobiegli w głąb korytarza, usiłując równocześnie wyciągnąć z kabur pistolety.

–On ma brylant! – zawołał Collopy, podnosząc się z podłogi. – Ma Serce Lucyfera! Boże, łapcie go! Zróbcie coś!

Beck wyjął krótkofalówkę. – Centrala ochrony? Mówi Samuel Beck. Zarządzcie natychmiastową blokadę całego budynku. Zamknijcie wszystkie wejścia. Nikt nie może się stąd wydostać, powtarzam raz jeszcze: nikt ani nic, żadnego wynoszenia śmieci, poczty, nikt ani nic nie opuszcza budynku! Słyszeliście? Odetnijcie windy i pozamykajcie drzwi klatek schodowych. Ogłoście alarm, postawcie na nogi cały personel, nasi ludzie mają szukać George'a Kaplana. Zróbcie wydruk jego twarzy z nagrania na kamerze wideo w punkcie kontrolnym. Rozdajcie jego zdjęcia wszystkim pracownikom ochrony Nikt nie może opuścić budynku dopóki, dopóty nie zorganizujemy kordonu bezpieczeństwa. Nie, do diabła z przepisami przeciwpożarowymi! To rozkaz! I macie rozstawić bramkę rentgenowską zdolną wykryć ukryty lub połknięty przez kogoś brylant, obsługiwaną przez ekipę techników, przy wejściu od strony Szóstej Alei. Tylko migiem!

Odwrócił się do pozostałych. – A jeżeli o was chodzi, nikt nie może opuścić tej sali bez mojego zezwolenia.

Dwie wyczerpujące i nerwowe godziny później Smithback stanął w kolejce wraz ze zdawałoby się, tysiącem pracowników firmy ubezpieczeniowej Affiliated Transglobal. Kolejka wiła się w nieskończoność wewnątrz głównego holu budynku, trzy razy zakręcając wokół pionu wind. Po drugiej stronie holu dostrzegł pracowników pchających wózki pełne poczty i rozmaitych przesyłek, a następnie przechodzących wraz z nimi przez bramkę rentgenowską w rodzaju tych, jakie stosuje się na lotniskach. Kaplana nie znaleziono, ale Smithback wiedział, że tak będzie. Kiedy dotarł w końcu na czoło kolejki, usłyszał opodal podniesione, rozdrażnione głosy dochodzące od strony sporej grupki osób, które odmówiły poddania się rewizji i przejścia przez bramkę rentgenowską i które odprowadzono na bok. Na zewnątrz stały wozy straży pożarnej z migającymi światłami, radiowozy, rzecz jasna nie zabrakło też dziennikarzy Każda osoba czekająca w kolejce była poddawana drobiazgowemu przeszukaniu, a następnie musiała przejść przez punkt kontrolny, by w końcu opuścić budynek, gdzie w to szare styczniowe popołudnie witały ją gromkie oklaski i błyski fleszy.

Smithback próbował powstrzymać pocenie się. W miarę upływu kolejnych minut jego zdenerwowanie narastało. Po raz tysięczny klął sam siebie w duchu, że dał się na to namówić. Został już dwukrotnie sprawdzony, przeszedł nawet bulwersującą i naruszającą jego godność rewizję osobistą. Wszyscy inni obecni w sali posiedzeń zarządu Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal przeszli dokładnie to samo co on. Collopy domagał się tego zarówno dla siebie, jak i dla pozostałych przedstawicieli firmy ubezpieczeniowej, w tym także Becka. Tymczasem Collopy, niemal wychodząc z siebie, usiłował przekonać Smithbacka, aby utrzymał to, co zaszło, w tajemnicy, aby nie publikował artykułu na ten temat. Boże, gdyby on i cała reszta wiedzieli...

Dlaczego, och, dlaczego na to przystał?

Miał przed sobą już tylko dziesięć osób. Wpuszczono je pojedynczo do czegoś, co przypominało budkę telefoniczną obsługiwaną przez czterech techników, z których każdy sprawdzał obraz na odrębnym ekranie monitora. Ktoś przed nim miał włączone radio i słuchał wiadomości otoczony grupką ciekawskich: to zdumiewające, jak szybko rozchodziły się wieści, wyglądało na to, że prawdziwy Kaplan został pół godziny temu wypuszczony, cały i zdrowy, przed swoim domem, a obecnie był przesłuchiwany przez policję. Jak dotąd nikt nie wiedział, kim był osobnik, który się za niego podawał.

Jeszcze tylko dwie osoby Smithback próbował przełknąć ślinę, ale okazało się, że to niemożliwe. Strach wyczyniał cuda z jego żołądkiem. To była najgorsza część. Naprawdę najgorsza.

Nadeszła jego kolej. Dwaj technicy ustawili go na żółtej macie, na której widniały znaki w kształcie odcisków

stóp, po czym raz jeszcze go przeszukali, nawiasem mówiąc, nazbyt skrupulatnie jak na jego gust. Sprawdzili jego tymczasową przepustkę i legitymację prasową. Kazali mu otworzyć usta i Szpatułką przez chwilę sprawdzali wnętrze jego jamy ustnej. Potem otworzyli drzwi kabiny i kazali mu wejść do środka.

–Nie ruszać się. Trzymać ręce wzdłuż boków. Patrzeć na punkt na ścianie... – Polecenia były wypowiedzane szybko, sprawnie i całkiem beznamiętnie.

Dał się słyszeć cichy szum. Przez tafłę grubego szkła Smithback widział techników sprawdzających wyniki jego kontroli. Wreszcie jeden z nich skinął głową.

Technik po drugiej stronie otworzył drzwiczki, zdecydowanym ruchem położył mu dłoń na ramieniu i wyciągnął go z kabiny – Może pan iść – rzekł, wskazując mu wyjście z budynku.

W tej samej chwili technik delikatnie otarł się o bok Smithbacka. Dziennikarz odwrócił się i pokonał dziesięć stóp dzielących go od obrotowych drzwi, było to najdłuższych dziesięć stóp w jego życiu.

Znalazłszy się na zewnątrz, zapiął suwak kurtki aż po samą szyję i pobiegł przed siebie przez tłum, po czym sztywnym krokiem ruszył wzdłuż Avenue of the Americas, nie zważając na błyskające flesze, ignorując wykrzykiwane pod jego adresem pytania. Przy Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy złapał taksówkę i wślizgnął się na tylne siedzenie. Podał kierowcy swój adres, zaczekał, aż taksówka włączy się do ruchu, a następnie odwrócił się i przez pełne pięć minut badawczym wzrokiem patrywał przez tylną szybę. Dopiero wtedy, odetchnąwszy z ulgą, rozsiadł się wygodniej na siedzeniu i ostrożnie sięgnął do kieszeni kurtki. Na samym jej dnie palce Smithbacka napotkały twarde chłodny owal Serca Lucyfera.

ROZDZIAŁ 64

D'Agosta i Pendergast siedzieli, nie mówiąc ani słowa, w Mark VII przy Vermilyea Avenue w Inwood na Górnym Manhattanie. Promienie słońca przesączały się wolno przez warstwę szarości, barwiąc je krwistą czerwienią i rozjaśniając na kilka chwil przed zapadnięciem ciemności całą okolicę pełną starych kamienic i niszczących magazynów.

Słuchali stacji 1010 WINS nadającej wyłącznie wiadomości. Bloki informacyjne były powtarzane w cyklach dwudziestominutowych, a obecnie sensacją dnia była kradzież w muzeum, o której spiker mówił z nieskrywaną ekscytacją, jakże różną od posępnego nastroju panującego w samochodzie. Zaledwie dziesięć minut temu podano nową informację, powiązaną z poprzednimi, lecz o wiele bardziej spektakularną: o kradzieży prawdziwego Serca Lucyfera z siedziby Towarzystwa Ubezpieczeniowego Affiliated Transglobal. D'Agosta nie miał wątpliwości, że policja rozpaczliwie usiłowała uciszyć całą sprawę, ale utrzymanie takiej sensacji w sekrecie było raczej niemożliwe.

–...najbardziej zuchwała kradzież brylantu w historii, która miała miejsce praktycznie na oczach pracowników muzeum i firmy ubezpieczeniowej, niemal tuż po widowiskowej kradzieży dokonanej w muzeum. Źródła zbliżone do kręgów prowadzących śledztwo utrzymują, że obu tych przestępstw dokonał ten sam złodziej...

Pendergast słuchał z najwyższą uwagą, jego oblicze było nieruchome i zimne jak marmur, całe ciało zastygło w absolutnym bezruchu. Komórkę położył na siedzeniu pomiędzy nimi.

–Policja przesłuchuje George'a Kaplana, jednego z najlepszych gemologów w kraju, który w drodze do siedziby Affiliated Transglobal, gdzie miał dokonać identyfikacji Serca Lucyfera, został uprowadzony w pobliżu swego domu na Manhattanie. Źródła zbliżone do kręgów prowadzących śledztwo utrzymują, że złodziej przybrał jego tożsamość, aby zbliżyć się do brylantu. Policja przypomina, że sprawca wciąż jeszcze może ukrywać się w gmachu Affiliated Transglobal, gdzie prowadzony jest zakrojony na olbrzymią skalę pościg...

Pendergast nachylił się i wyłączył radio.

–Skąd wiesz, że Diogenes usłyszy te wiadomości? – spytał D'Agosta.

–Usłyszy. Po pierwsze przegrał. Nie zdobył brylantu. Będzie cierpiał potworne katusze, nasłuchując i rozmyślając. Jego nerwy będą napięte do granic wytrzymałości. A kiedy już dowie się, co zaszło, pozostanie mu tylko jedno jedyne wyjście.

–Chcesz powiedzieć, że domyśli się, iż to ty ukradłeś brylant?

–Czy mógłby dojść do jakichś innych wniosków? – Pendergast uśmiechnął się bez cienia radości. – Będzie wiedział. A nie mając innej możliwości, aby przesłać mi wiadomość, zadzwoni.

Zapalały się lampy sodowe gorejące jasnożółtym blaskiem wzdłuż całej długości pustej alei. Temperatura spadła poniżej zera, znad rzeki Hudson powiał porywisty wiatr, niosąc ze sobą roziskrzony płatki śniegu.

Zadzwonił telefon.

Pendergast wahał się tylko przez chwilę. Sięgnął po komórkę i włączył ją. Przyłożył aparat do ucha. Nie powiedział ani słowa.

–Ave, pater – dobiegło z małego mikrofonu.

Cisza. D'Agosta spojrzał na Pendergasta. W odbitym blasku ulicznych latarni jego twarz miała barwę alabastru. Jego wargi poruszały się, lecz spomiędzy nich nie wypłynął żaden dźwięk.

–Czy tak witasz swego z dawna utraconego brata? Pełnym dezaprobaty milczeniem?

–Słucham cię – rzekł Pendergast głosem pełnym napięcia.

–Ach, słuchasz! Jakże mi miło. Nieomal zrekompensowało mi to wątpliwą przyjemność, jaką była dla mnie konieczność zatelefonowania do ciebie. Ale, ale, oszczędźmy sobie niepotrzebnych uprzejmości. Mam tylko jedno pytanie: czy ukradłeś Serce Lucyfera?

–Tak.

–Dlaczego?

–Dobrze wiesz dlaczego.

Po drugiej stronie łączy zapanowała głucha cisza, a potem dał się słyszeć powolny długi wydech. – Och, bracie, bracie, bracie...

–Nie jestem twoim bratem.

–No cóż, i tu się właśnie mylisz. Jesteśmy braćmi, czy to ci się podoba, czy nie. I właśnie te relacje między nami określają to, kim jesteśmy. Wiesz o tym prawda, Aloysiusie?

–Wiem, że jesteś chorym człowiekiem i rozpaczliwie potrzebujesz pomocy

–To prawda, jestem chory Urodziłem się, a na tę chorobę akurat nie ma lekarstwa. Poza śmiercią, ma się rozumieć. Skoro jednak o tym mowa, wszyscy jesteśmy chorzy, a ty najbardziej. Tak, jesteśmy braćmi, zarówno w złości, jak i w chorobie.

Pendergast wciąż milczał.

–Ale, ale, znów wdajemy się w zbędne dywagacje! Czy moglibyśmy przystąpić w końcu do rzeczy?

Bez odpowiedzi.

–Wobec tego to ja poprowadzę dyskusję. Po pierwsze wielkie brawa za dokonanie w ciągu zaledwie jednego popołudnia czegoś, co ja planowałem przez długie lata, by ostatecznie ponieść porażkę. – D'Agosta usłyszał dochodzące z głośnika ciche oklaski. – Zakładam, że podjąłeś się tego wszystkiego, by dokonać małej wymiany. Pewna osoba w zamian za brylant. Z jakiego innego powodu miałbyś zadać sobie tak wiele trudu?

–Twoje przypuszczenia są słuszne. Najpierw jednak... – Pendergast nie skończył.

–Chcesz wiedzieć, czy ona nadal żyje?

Tym razem to po stronie Diogenesa przedłużała się cisza. D'Agosta zerknął na Pendergasta. Siedział w bezruchu, jeśli nie liczyć niewielkiego tiku pod prawym okiem.

–Tak, ona wciąż żyje, przynajmniej na razie.

–Jeżeli choćby włos jej z głowy spadnie, będę cię ścigać aż na koniec świata.

–Fiu, fiu. Ale skoro już o kobietach mowa, porozmawiajmy o tej młodej istotce, którą trzymasz w zamknięciu, w rezydencji należącej do naszego świętej pamięci przodka. Jeżeli faktycznie jest młoda, w co z wolna zaczynam wątpić. Muszę przyznać, że wzbudziła ona moją ciekawość. Zainteresowała mnie w sposób szczególnie Wydaje mi się, że to, co okazuje na zewnątrz, jest niczym czubek góry lodowej, to zaledwie mała część większej całości. Ta kobieta ma w sobie ukryte fasety, lustra wewnątrz luster. A na poziomie podstawowym wyczuwam, że coś w niej pękło.

Słyszając jego słowa, Pendergast wyraźnie zeszywniał. – Posłuchaj, Diogenesie. Nie zbliżaj się do niej. Jeżeli jeszcze raz się do niej zbliżysz, jeżeli spróbujesz coś zrobić, przysięgam, że...

–Co mi zrobisz? Zabijesz mnie? A wówczas będziesz mieć moją krew na rękach, więcej niż masz jej do tej pory, a także krew czworga swoich bliskich przyjaciół. Ponieważ to ty, bracie, jesteś za to wszystko odpowiedzialny. Wiesz o tym. To ty uczyniłeś mnie tym, kim jestem.

–Nikim cię nie uczyniłem.

–Dobrze powiedziane. Naprawdę, doskonale powiedziane! – Z niewielkiego głośnika dobiegł oschły śmiech.

– Na ten dźwięk D'Agosta aż wzdrygnął się z odrazą.

–Przejdźmy do rzeczy – wykrztusił Pendergast.

–Do rzeczy? I to właśnie teraz, kiedy rozmowa zaczynała być interesująca? Nie chcesz pomówić o pełnej i całkowitej odpowiedzialności za to, co się dzieje? Zapytaj każdego rodzinnego psychiatry Powiedzą ci, jak ważne jest, abyśmy o tym porozmawiali, frater.

D'Agosta nie wytrzymał. – Diogenesie! Posłuchaj mnie, ty chory bucu! Chcesz brylant? To przestań pieprzyć!

–Nie ma brylantu, nie ma Violi.

–Jeżeli skrzywdzisz Violę, rozwalę brylant młotem kowalskim i przyślę ci w kopercie pył, jaki z niego zostanie. Jeżeli sądzisz, że żartuję, to mów dalej.

–Czecz pogrożki.

D'Agosta rąbnął pięścią w deskę rozdzielczą i rozległ się głośny trzask.

–Ejże, ejże! Spokojnie! – W podniesionym głosie dało się wyczuć nutę paniki.

–Więc stul dziób.

–Głupota jest potęgą elementarną i muszę przyznać, że ją szanuję.

–Wciąż gadasz po próżnicy

–Przeprowadzimy to na moich warunkach – rzucił pospiesznie Diogenes. – Słyszałeś? Na moich warunkach.

–Z dwoma zastrzeżeniami – wtrącił półgłosem Pendergast. – Po pierwsze wymiana musi mieć miejsce na terenie Manhattanu w ciągu najbliższych sześciu godzin. Po drugie musi zostać ustalona w taki sposób, by nie można jej było renegocjować. Wyjaw mi swój plan, a ja powiem, czy się zgadzam. Masz jedyną szansę, aby wszystko naprawić.

–To zabrzmiało jak pięć zastrzeżeń, a nie dwa. Ale oczywiście, bracie, oczywiście! Co prawda stanowi to dla mnie pewien problem, ale zaraz uporam się z tym węzłem gordyjskim. Oddzwonię za dziesięć minut.

–Postaraj się oddzwonić za pięć.

–Kolejne warunki? – Połączenie zostało przerwane. Zapanowała długa cisza. Na czole Pendergasta zaperlił się pot.

Agent wyjął z kieszonki garnituru jedwabną chustkę, otarł nią czoło i włożył chustkę na miejsce.

–Czy możemy mu ufać? – spytał D'Agosta.

–Nie. Nigdy. Wątpię jednak, aby miał dość czasu, by w ciągu sześciu godzin przygotował dla nas jakąś zmyślną pułapkę. Poza tym on pragnie Serca Lucyfera, pragnie go z pasją, której ani ty, ani ja nie potrafimy pojąć. Myślę, że możemy zaufać tej pasji, jeżeli nie czemukolwiek innemu.

Znów zadzwonił telefon. Pendergast włączył aparat.

–Tak?

–W porządku, frater. Czas na małą repetę z geografii miejskiej. Znasz miejsce zwane Żelaznym Zegarem?

–Obrotnicę kolejową?

–Zgadza się! Czy wiesz, gdzie się ona znajduje?

–Tak.

–To świetnie. Tam to zrobimy Nie wątpię, że zechcesz zabrać z sobą swego wiernego pomocnika Vinniego.

–Mam taki zamiar.

–Posłuchaj mnie uważnie. Spotkamy się tam dokładnie... sześć minut przed północą. Wyjdź przez tunel szósty i kieruj się wolno ku światłu. Vinnie może pozostać ukryty w cieniu, aby cię osłaniał, jeżeli zechcesz. Niech weźmie ze sobą taką broń, jaką uzna za stosowną. Dzięki temu ja również będę mógł się odpowiednio zabezpieczyć. Możesz zabrać ze sobą swego les baera czy jakiś inny pistolet, nie wiem, czego obecnie używasz. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, powinno obejść się bez strzelaniny A wiem, że wszystko pójdzie gładko. Chcę dostać mój brylant, a ty pragniesz Violi da Gamby Jeżeli znasz rozkład Żelaznego Zegara, to wiesz zapewne, że jest to idealne miejsce na dokonanie naszej małej transakcji.

–Rozumiem.

–Świetnie. A zatem zgadzasz się, bracie? Jesteś zadowolony? Wierzysz, że cię nie oszukam?

Pendergast milczał przez chwilę. – Tak.

–Wobec tego presto. Połączenie zostało przerwane.

–Ten łajdak przyprawia mnie o gęsią skórę – rzucił D'Agosta.

Pendergast siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu. Wreszcie znowu wyjął chustkę, otarł nią czoło i starannie ją złożył. D'Agosta zauważył, że dłonie Pendergasta drżały delikatnie. – Dobrze się czujesz? – zapytał.

Pendergast pokręcił głową. – Miejmy to już za sobą. – Mimo to wciąż trwał w bezruchu pogrążony w głębokim zamyśleniu. Nagle drgnął, jakby podjął jakąś ważną decyzję. A potem odwrócił się i ku zdumieniu D'Agosty ujął go za rękę.

–Chciałbym cię o coś poprosić – rzekł Pendergast. – Z góry ostrzegam, że będzie się to kłóciło z twoimi przekonaniem jako mego partnera i przyjaciela. Musisz mi jednak wierzyć, kiedy powiem, że to jedyny sposób. Nie ma innego rozwiązania. Zrobisz to?

–To zależy, o co chodzi.

–Nie do przyjęcia. Musisz mi najpierw obiecać, że to zrobisz. D'Agosta zawahał się.

Przez oblicze Pendergasta przemknął grymas zatroskania. – Vincencie, proszę. Jest rzeczą kluczową, abym bezwarunkowo mógł na ciebie liczyć w tej godzinie próby.

D'Agosta westchnął. – W porządku. Obiecuję.

Pendergast wyraźnie się rozluźnił i odetchnął z ulgą. – Świetnie. A teraz proszę, posłuchaj mnie uważnie.

ROZDZIAŁ 65

Diogenes Pendergast przez dłuższą chwilę wpatrywał się w telefon komórkowy leżący na sosnowym stoliku. Jediną oznaką przepelniających go skrytych emocji było delikatne drżenie małego palca. Na jego lewym policzku pojawił się gwałtowny splachetek szarości, a gdyby spojrział w lustro, co czynił jedynie podczas charakteryzacji, wiedziałby, że jego oja sarco wydawało się bardziej martwe niż zwykle. Wreszcie przeniósł wzrok z telefonu na niewielką buteleczkę z gumową membraną u góry i leżącą obok niej metalowoszklaną strzykawkę. Sięgnął po buteleczkę, odwrócił, wbijając w nią igłę, i pobrał niewielką ilość; zamyślił się przez moment, pobrał jeszcze trochę, po czym nałożył na igłę plastikową nasadkę i wsunął strzykawkę do kieszeni marynarki.

Następnie przeniósł wzrok na talię kart tarota leżącą na brzegu stołu. Talia Albano-Waite'a. Tę lubił najbardziej. Wziął talię do ręki, potasował, po czym wybrał z niej trzy karty i położył zakryte. W taki sposób z kart wróżyli Cyganie.

Odłożywszy resztę kart na bok, odwrócił pierwszą z wybranych: Kapłanka. „To ciekawe”.

Sięgnął po drugą kartę i także przełożył ją na drugą stronę. Ukazywała wysokiego chudego mężczyznę w czarnym płaszczu, odwracającego się, z pochyloną głową. U jego stóp leżały przewrócone złote puchary, z których wypływała czerwona ciecz. W tle płynęła rzeka, a za nią stał złowrogo wyglądający zamek. Piątka kielichów.

Na ten widok Diogenes wziął głęboki oddech.

Potem jego dłoń przesunęła się wolno w kierunku trzeciej i ostatniej karty Zawahał się przez kilka sekund, po czym odsłonił ją.

Ta karta była odwrócona. Przedstawiała dłoń ponad polacją jałowej ziemi wyłaniającą się z chmury czarnego dymu. Dzierżyła masywny miecz z klejnotem osadzonym w rękojeści. Na czubek ostrza była nadziana korona. As mieczy. Odwrócony.

Diogenes przez chwilę przyglądał się karcie, po czym wolno, bardzo wolno wypuścił powietrze. Uniósł ją drżącą dłonią, gwałtownym ruchem przedarł ją na pół i jeszcze raz na pół, kawałki zaś rozrzucił wokół.

Jego wzrok przeniósł się w stronę splachetka czarnego aksamitu rozłożonego i podwiniętego na rogach do góry, na którym spoczywało czterysta osiemdziesiąt osiem brylantów, niemal wszystkie w żywych, soczystych barwach, skrzące się w świetle silnej jubilerskiej lampy przymocowanej przy krawędzi stołu.

Gdy tak patrzył na brylanty, jego rozdrażnienie zaczęło słabnąć. Pokonując w sobie gwałtowne emocje, powiódł dłonią ponad oceanem roziskrzonego blasku uwięzionego w klejnotach, aż w końcu wybrał jeden z największych wśród nich, żywy błękitny kamień o wadze prawie trzydziestu trzech karatów zwany Królową Narnii. Trzymał go w dłoni, obserwując, jak światło odbija się i załamuje w głębi barwnego klejnotu, po czym z największą ostrożnością uniósł go do swego zdrowego oka.

Spojrzął na świat poprzez przełamaną głębię kamienia. To było jak uchylenie kopniakiem drzwi, za którymi rozciągał się czarodziejski świat, kraina życia i barw. Realny świat, jakże różny od tego sztucznego, płaskiego świata szarej codzienności.

Jego oddech pogłębił się i wyrównał, drżenie dłoni ustało, podczas gdy uwięziony umysł zaczął krążyć swobodniej po zapomnianych z dawien dawna ścieżkach wspomnień.

Brylanty Zawsze zaczynało się od brylantów. Matka trzymała go na rękach – brylanty lśniły na jej szyi, zwieszały się z uszu i skrzyły na palcach. Jej głos był niczym diament, czysty i chłodny, śpiewała mu piosenkę po francusku. Miał niewiele ponad dwa lata, ale mimo wszystko płakał nie ze smutku, lecz porażony niewysłowionym pięknem głosu matki.

I na przekór mej woli pieśni utajona władza.

Wyciska łzy z mych oczu, przede mną samym mnie zdradza.

Obraz rozmył się i zniknął.

Teraz spacerował długimi korytarzami domu przy Dauphine Street, mijając tajemnicze pokoje, wiele z nich nawet wtedy od wieków było zamkniętych naглуcho. Kiedy jednak otworzyło się któreś z tych drzwi, zawsze można było zobaczyć za nimi coś ekscytującego, cudownego i niezwykłego: olbrzymie łoże z baldachimem, mroczne obrazy przedstawiające kobiety w bieli i mężczyzn o martwych oczach oraz egzotyczne przedmioty przywożone z dalekich stron: wykonaną z kości fletnię Pana, oprawioną w srebro małą łąpkę, mosiężne hiszpańskie strzemię, łeb szczerzącego kły jaguara czy owiniętą w płótno stopę egipskiej mumii.

Zawsze mógł uciec do matki, która przygarniała go, pełna ciepła, i koła jego troski łagodnym, delikatnym głosem, a brylanty, które nosiła, migotały, kiedy się poruszała, i odbijały światło w barwnych tęczowych rozbłyskach. Brylanty były tuż przed nim, żywe, piękne i jednakowo nieskażone przemianami, aż po wszystkie czasy

Jakże różniły się od kruchych, słabych i niestałych ludzkich ciał.

Diogenes wyobraził sobie Nerona oglądającego płonący Rzym i spoglądającego na pożogę przez wielki cenny klejnot. Neron zdołał pojąć transformacyjną moc klejnotów. Zdawał sobie sprawę, że patrzeć na świat przez taki właśnie kamień oznaczało przemieniać zarówno świat, jak i samego siebie. Światło było wibracją, a wibracje brylantów sięgały do najgłębszych zakamarków jego wnętrza. Większość ludzi nie potrafiła ich wychwycić, możliwe, że nikt tego nie potrafił. Nikt oprócz niego. Klejnoty przemawiały do niego, szeptały, przydawały mu siłę oraz wiedzy.

Dziś będzie sobie wróżył nie z kart, lecz właśnie z brylantów.

Diogenes wciąż wpatrywał się w głąb błękitnego diamentu. Każdy klejnot miał własny głos, on zaś wybrał właśnie ten kamień ze względu na jego szczególną mądrość i wiedzę. Czekał, szepcząc cichutko do klejnotu, nakłaniając go, by do niego przemówił. I po chwili tak się właśnie stało. W odpowiedzi na wypowiedziane półgłosem pytanie pojawiła się odpowiedź, słaba jak echo echa albo jak głos dobiegający ze snu na jawie. To była dobra odpowiedź.

Viola Maskelene wsłuchiwała się w dochodzące z dołu dziwne mamrotanie przywodzące na myśl modlitwę lub zaklęcia. Głos był tak cichy, że nie dosłyszała słów. Potem na pół godziny zapadła głucho cisza. Aż wreszcie usłyszała dźwięk, którego tak się obawiała, skrzypnięcie krzesła i kroki mężczyzny wspinającego się po schodach. Wszystkie jej zmysły były wyczulone do granic możliwości, mięśnie drżały, gotowe do działania.

Delikatne pukanie do drzwi.

Czekała.

–Violu? Chciałbym wejść. Cofnij się, proszę, i stań za łóżkiem po drugiej stronie pokoju.

Po chwili wahania wypełniła polecenie.

Powiedział, że zabije ją o świcie. A jednak tego nie zrobił. Słońce już zaszło, nadchodziła noc. Coś się stało. Jego plany uległy zmianie lub co bardziej prawdopodobne, zostały zmienione wbrew jego woli. Drzwi otworzyły się i ujrzała stojącego w nich Diogenesa. Wyglądał inaczej, był jakby trochę zaniedbany. Na jego twarzy pojawiły się plamy, krawat był przekrzywiony, a rude włosy nieznacznie rozwichrzone.

–Czego chcesz? – spytała cichym głosem. Wciąż na nią patrzył. – Zaczynam pojmować, co w tobie tak bardzo zafascynowało mego brata. Ma się rozumieć, jesteś piękna, inteligentna i zuchwała. Ale masz w sobie coś, co mnie szczerze zdumiewa. Nie odczuwasz lęku. Pomięła jego słowa milczeniem.

–A powinnaś się bać.

–Jesteś obłąkany.

–Wobec tego jestem Bogiem, ponieważ jeśli Bóg istnieje, niewątpliwie musi być szalony Zastanawiam się, dlaczego się nie boisz. Jesteś odważna, głupia, a może po prostu brak ci wyobraźni, by ujrzeć oczyma duszy własną śmierć? Bo widzisz, ja potrafię ją sobie wyobrazić, widzę ją bardzo, ale to bardzo wyraźnie. Gdy na ciebie patrzę, widzę worek wypełniony kośćmi, krwią, flakami i mięsem, worek z bardzo kruchą, delikatną i cienką powłoką, którą łatwo jest rozerwać, przebić lub zniszczyć na dziesiątki innych, równie skutecznych sposobów. Muszę przyznać, że nie mogę się już tego doczekać. – Przyjrzał się jej uważnie. – Ach! Czyżbym wyczuł w tobie wreszcie nutę strachu?

–Czego chcesz? – powtórzyła.

Uniósł rękę i odwróciwszy ją, rozwarł palce, ukazując oszałamiająco piękny klejnot, który trzymał pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Światło sufitowej lampy padło na brylant, odbity blask oświetlił wnętrze pokoju.

–Ultima Thule.

–Że co proszę?

–To brylant Ultima Thule. Nazwę zaczerpnięto z Georgik Wergiliusza. Po łacinie oznacza to Najdalszą Thule, krainę wiecznego lodu.

–Znam łacinę, uczyłam się jej w szkole – odrzekła sarkastycznie Viola.

–Wobec tego powinnaś zrozumieć, dlaczego ten brylant przypomina mi ciebie. – Wykonał prawie niedostrzegalny ruch dłonią i rzucił jej brylant. Złapała go odruchowo.

–Mały prezent. Na pożegnanie.

Coś w sposobie, w jaki powiedział „na pożegnanie”, wzbudziło w niej nieprzyjemne, złowrogie przeczucia.

–Nie chcę od ciebie żadnych prezentów.

–Och, ale on idealnie do ciebie pasuje. Dwadzieścia dwa karaty, oszacowany jako bez skazy, jego barwę zaś określono jako stopień D. Znasz poziomy stopniowania brylantów?

–Co za bzdury wygadujesz?

–Stopień D przeznaczony jest dla brylantów całkowicie pozbawionych barwy Nazywa się je również białymi, zwykle przepadają za nimi osoby, które nie mają za grosz wyobraźni. Patrzę na ciebie, Violu, i cóż widzę? Zamożną, utytułowaną, piękną, błyskotliwą kobietę sukcesu. Zrobiłaś sporą kasę jako egiptolog, masz piękny dom na Caprai i wielką starą rezydencję rodzinną w Anglii. Bez wątpienia wydaje ci się, że żyjesz pełnią życia. Co więcej łączyły cię bliskie związki z wieloma interesującymi mężczyznami, od profesora Oksfordu poprzez hollywoodzkiego aktora po sławnego pianistę, a nawet włoskiego piłkarza. Na pewno wielu ludzi musi ci zazdrościć.

Viola poczuła się urażona tym brutalnym wejściem w jej prywatność.

–Ty cholerny...

–A jednak to tylko pozory Żaden z twoich związków nie wypalił. Bez wątpienia wmawiasz sobie, że winę za to ponoszą wyłącznie mężczyźni. Kiedy uświadomisz sobie, Violu, że to ty jesteś winna? Jesteś jak ten brylant, nieskazitelny, błyszczący, doskonały i całkowicie bezbarwny Wszelkie twoje żalosne próby, aby przydać sobie atrakcyjności i sprawiać wrażenie niekonwencjonalnej, są z gruntu chybione i jak już powiedziałem, żalosne. – Zaśmiał się oschle. – Jakby wygrzebywanie zasuszonych mumii albo przesiadywanie w willi nad Morzem Śródziemnym mogło dodać komukolwiek charakteru! Ten brylant, który wszyscy na całym świecie uznają za doskonały, jest w rzeczywistości przeraźliwie pospolity Tak jak ty Masz trzydzieści pięć lat, a nie kochasz i nie jesteś kochana. Tak rozpaczliwie pragniesz miłości, że przebyłaś pół świata w odpowiedzi na list od mężczyzny, którego widziałaś jeden jedyny raz! Ultima Thule jest twoja, Violu. Zasłużyłaś na niego.

Viola zachwiała się. Jego słowa były jak dosięgające ją kolejne fizyczne ciosy. Każdy z nich był celny. Tym razem nie znajdowała w sobie żadnej riposty.

–Tak jest. Niezależnie dokąd się udasz, będziesz żyć w Ultima Thule, krainie wiecznych lodów. Jak głosi stare przysłowie: Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Nie ma w tobie miłości i sama nigdy jej nie zaznasz. Twoim przeznaczeniem jest wieczna jałowość.

–Wypchaj się razem z tym kretańskim szkiełkiem! – krzyknęła i z całej siły rzuciła w niego diamentem.

Zwinnie schwycił klejnot w locie. – Szkiełkiem, powiadasz? Czy wiesz, czego wczoraj dokonałem, gdy zostawiłem cię tutaj samą?

–Mojego zainteresowania twoim życiem nie zauważyłbyś nawet pod najsilniejszym mikroskopem.

Diogenes wyjął z kieszeni fragment gazety i rozłożył; była to pierwsza strona dzisiejszego wydania „New York Timesa”.

Spojrzała na nią z drugiego końca pokoju, mrużąc lekko powieki, by odczytać nagłówek.

–Okradłem Astor Hall, Salę Brylantową w Muzeum Historii Naturalnej. Planowałem to przestępstwo od wielu lat. Stworzyłem nową tożsamość, aby tego dokonać. Pomogłaś mi zrealizować mój plan. Właśnie dlatego chciałem podarować ci ten kamień. Skoro go jednak nie chcesz...

Wzruszył ramionami i włożył brylant do kieszeni.

–Mój Boże – Viola spojrzała na niego. Dopiero teraz po raz pierwszy naprawdę zaczęła się bać.

–Odegrałaś w moim planie ważną rolę, Violu. Kluczową rolę. Bo widzisz, twoje zniknięcie sprawiło, że mój brat przez całą noc jeździł po Long Island, rozpaczliwie cię poszukując, szaleńczo martwiąc się o twoje bezpieczeństwo, podczas gdy ja obrobiłem muzeum i przywoziłem brylanty tutaj.

Viola przełknęła ślinę i poczuła nieprzyjemny ucisk w gardle. To, że żyła, jeszcze o niczym nie świadczyło, najprawdopodobniej egzekucja została jedynie odroczone. Nie powiedziałały jej tego wszystkiego, gdyby postanowił darować jej życie i puścić ją wolno. Naprawdę zamierzał ją zabić.

–Chciałem podarować ci tę małą błyskotkę na pamiątkę, jako memento, bo kiedy już się rozstaniemy, nigdy więcej się nie zobaczymy, a przynajmniej nie na tym świecie.

–Czyżbym się dokądś wybierała? – spytała i choć bardzo się starała, nie była w stanie ukryć drżenia głosu.

–O tak.

–Dokąd?

–Przekonasz się.

Zauważyła, że wsunął rękę do kieszeni marynarki i przez chwilę w niej grzebał. Postąpił krok w jej stronę. Drzwi za nim pozostawały otwarte.

–Podejdz do mnie, Lodowa Księżniczko. Nawet nie drgnęła.

Zrobił drugi krok, potem trzeci. W tej samej chwili Viola rzuciła się ku drzwiom. On jednak jakimś sposobem zdołał to przewidzieć, odwrócił się miękko i z istic kocią zwinnością dał susa w jej stronę. Żyłaste, przeraźliwie silne ramię o mięśniach grubych i twardych jak ze stali opasało jej szyję. Diogenes wyjął drugą rękę z kieszeni, Viola kątem oka dostrzegła błysk igły, poczuła palące ukłucie w górnej części uda. W jednej chwili zrobiło jej się gorąco, a uszy wypełnił ogłuszający, rozdzierający ryk i nagle odpłynęła w ciemność.

ROZDZIAŁ 66

–Domyślasz się, o co może chodzić? – spytał Singleton, gdy wjeżdżali ekspresową windą na jedno z najwyższych, rzadko odwiedzanych pięter gmachu One Police Plaza.

Laura Hayward pokręciła głową. Gdyby komisarz Rocker chciał spotkać się tylko z nią, mogłaby spodziewać się, że wzywa ją na dywanik za wskazanie Pendergasta jako sprawcy ostatnich zabójstw. Jednak prócz niej komisarz wezwał także Singletona. Poza tym Rocker zawsze był bezpośredni, konkretny i szczerzy do bólu. Nie uprawiał pokrętnych gier.

Wysiedli na czterdziestym piątym piętrze i korytarzem wyłożonym miękkim pluszem dotarli do narożnego apartamentu komisarza. Mundurowa sekretarka w biurze komisarza zapisała ich nazwiska, sięgnęła po słuchawkę telefonu, odbyła krótką poufną rozmowę i zaprosiła ich do środka.

Gabinet Rockera był urządzone wytwornie, ale nie ostentacyjnie. Miał nagród za zwycięstwa w konkursach strzeleckich oraz triumfalnych uśmiechniętych zdjęć z udanych operacji, które zdobyły gabinety większości policyjnych grubych ryb, na ścianach wisiały akwarelowe pejzaże, scenki myśliwskie oraz kilka dyplomów. Rocker siedział za wielkim, choć wygodnym biurkiem. Wokół niego w nierównym półokręgu ustawiono trzy kanapy. Na środkowej z nich rozsiadł się głównodowodzący, agent specjalny Coffey, a po jego bokach agenci Brooks i Rabiner.

–Ach, kapitan Hayward – rzekł Rocker, wstając. – Kapitan Singleton. Dziękuję że raczyliście przybyć. – W jego głosie dało się wyczuć dotąd niespotykane napięcie, mięśnie szczęk także wydawały się mocno zaciśnięte.

Agenci Brooks i Rabiner również wstali, a raczej poderwali się z miejsc jak rażeni prądem. Jedynie Coffey nie dźwignął się z kanapy. Skinął do nich głową, bez zbytniego entuzjazmu, małe blade oczka w ogorzałym obliczu zerknęły na Hayward, potem na Singletona, by ostatecznie powrócić wzrokiem do pani kapitan.

Rabiner gestem dłoni wskazał im kanapę: – Usiądźcie, proszę.

Hayward zajęła miejsce przy oknie. A więc w końcu Coffey zdołał wciągnąć ich w to śledztwo. Od porannego spotkania nie mieli wiadomości od niego ani od nikogo innego z FBI. Tymczasem ona i jej detektywi mozolnie przesłuchiwali pracowników muzeum i gromadzili materiały dowodowe. Przynajmniej na pewien czas zdołała zapomnieć o pościgu toczącym się sześćdziesiąt mil dalej na wschód i o tym, co robił, a raczej co popełniał obecnie D'Agosta na Long Island. Myśli o nim, o całej tej sytuacji sprawiały jej wyłącznie ból. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego to zrobił, czemu podjął taką, a nie inną decyzję. Postawiła mu ultimatum, biorąc pod uwagę okoliczności, całkiem uczciwe. Podejmij właściwą decyzję, a wykaraskasz się z całego tego bagna. Właściwą decyzję nie tylko jako glina, lecz również jako człowiek i przyjaciel. Nie powiedziała tego wprost, ale sens jej słów był oczywisty: albo ja, albo Pendergast.

D'Agosta dokonał wyboru.

Rocker chrząknął. – Głównodowodzący, agent specjalny Coffey poprosił mnie o zwołanie tego spotkania, aby przedyskutować sprawę zabójstw Duchampa i Green. Zaprosiłem również kapitana Singletona, jako że oba morderstwa miały miejsce w jego rewirze.

Hayward pokiwała głową. – Miło mi to słyszeć, panie komisarzu. Federalne Biuro Śledcze nie informowało nas ostatnio o postępach w śledztwie...

–Proszę wybaczyć, pani kapitan – przerwał jej delikatnie Rocker – agent specjalny Coffey chciał porozmawiać o transferze materiałów dowodowych w sprawie zabójstw Duchampa i Green.

Hayward osłupiała. – Transfer dowodów? Przecież nie utrudniamy federalnym dostępu do zebranych przez nas materiałów.

Coffey założył nogę na nogę. – Przejmujemy to dochodzenie, pani kapitan.

Zapanowała chwila głębokiej, nieprzyjemnej ciszy.

–Nie może pan – ucięła Hayward. – Nie ma pan do tego odpowiednich prerogatyw

–Ta sprawa należy do kapitan Hayward – rzekł Singleton, odwracając się do Rockera. Głos miał cichy, lecz mocny. – Ona nią żyje, dzień i noc. To ona odkryła związek pomiędzy zabójstwami w Waszyngtonie i Nowym Orleanie. Zebrała również dowody, które doprowadziły ją do agenta Pendergasta.

Rocker westchnął. – Wiem o tym, ale...

–Ja to wyjaśnię – rzekł Coffey i machnął ręką na Rockera. – Sprawca jest agentem FBI, jedna z ofiar pracowała w FBI, śledztwo przekroczyło granicę stanu, a podejrzany znalazł się poza waszą jurysdykcją. Koniec dyskusji.

–Agent Coffey ma rację – powiedział Roker. – Ta sprawa należy do nich. Rzecz jasna naszym obowiązkiem jest wspierać...

–Nie mamy czasu na gadanie po próżnicy – wtrącił Rabiner. – Przejdźmy do sprawy transferu materiałów dowodowych.

Hayward spojrzała na Singletona. Miał rumieńce na policzkach. – Gdyby nie kapitan Hayward – powiedział – nie byłoby w ogóle żadnego śledztwa.

–Wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni z dobrej roboty wykonanej przez kapitan Hayward – rzekł Coffey. – Ale tak czy inaczej ta sprawa nie podlega już policji nowojorskiej.

–Proszę wydać im, czego chcą, pani kapitan – skwitował komisarz Roker z nutą rozdrażnienia w głosie.

Hayward spojrzała na niego i zorientowała się, że był nielecho wkurzony nieoczekiwanym obrotem wydarzeń, ale nie mógł nic na to poradzić.

Powinna była się tego spodziewać. Federalni chcieli zgarnąć wszystkie laury, a poza tym Coffey żywił osobistą urazę względem agenta Pendergasta. Boże dopomóż jemu i D'Agoście, kiedy federalni w końcu ich dopadną. Hayward zdawała sobie sprawę, że to wszystko powinno ją było rozsierdzić. A jednak to, co usłyszała, wywołało w niej jedynie uczucie śmiertelnego znużenia. Znużenia i odrazy tak silnej, że po prostu nie była w stanie wytrzymać ani chwili dłużej w jednym gabinecie z agentem Coffeyem. Podniosła się gwałtownie.

–Świetnie – rzekła pospiesznie. – Zajmę się niezbędną robotą papierkową. Materiały dowodowe otrzyma pan, kiedy tylko zostaną podpisane dokumenty transferu. Coś jeszcze?

–Pani kapitan? – odezwał się Roker. – Chciałem pani pogratulować świetnie wykonanej roboty.

Skinęła głową, odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Szybkim krokiem pomaszzerowała w stronę wind, głowę miała opuszczoną i przyspieszony oddech. W pewnej chwili rozległ się sygnał jej telefonu komórkowego. Odczekała chwilę, usiłując choć trochę spowolnić oddech. Po minucie lub dwóch komórka zadzwoniła ponownie.

Tym razem odebrała. – Hayward przy telefonie.

–Lauro? – rozległ się głos. – To ja, Vinnie.

Niejako wbrew sobie poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

–Vincencie, na litość boską! Co ty wyprawiasz, do cholery...?

–Nic nie mów i słuchaj mnie uważnie. Chcę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

Hayward wzięła głęboki oddech. – Zamieniam się w słuch.

ROZDZIAŁ 67

D'Agosta wszedł za Pendergastem na Penn Station, która w zasadzie składała się jedynie ze schodów ruchomych prowadzących od wejścia ukrytego w cieniu Madison Square Garden. Był cichy wieczór, niespotykane spokojny wtorek, a o tak później porze w tej okolicy prawie nikogo nie było, nie licząc kilku bezdomnych i mężczyzny rozdającego odbite na ksero egzemplarze swoich wierszy. Policjant i agent zjechali schodami ruchomymi na poziom poczekalni, a potem jeszcze niżej, gdzie znajdowały się perony.

D'Agosta z poważną miną zaobserwował, że zmierzali w kierunku toru numer 13.

Pendergast przez ostatnie pół godziny prawie się nie odzywał. W miarę jak zbliżała się umówiona godzina i coraz mniej czasu zostało do spotkania z Violą oraz, co nieuniknione, z Diogenesem, agent stawał się coraz bardziej małowówny i zamknięty w sobie.

Perony były prawie całkiem opustoszałe, jedynie kilku sprzątaczy zamiatało śmieci, a przy posterunku policji dwóch mundurowych funkcjonariuszy gawędziło o czymś i dmuchając, próbowało ostudzić gorącą kawę. Pendergast ruszył jako pierwszy w stronę drugiego końca peronu, gdzie tory znikwały w mrocznej czeluści tunelu.

–Przygotuj się – mruknął Pendergast, przepatrując swymi bladymi oczami ciągnące się w dal tory.

Czekali na właściwy moment. Dwaj policjanci zniknęli za drzwiami posterunku.

–Teraz! – wyszeptał Pendergast.

Miękko zeskoczyli z peronu na tory i pobiegli w ciemność. D'Agosta obejrzał się przez ramię, aby stwierdzić, że wbrew jego przypuszczeniom nikt nie puścił się za nimi w pościg.

Pod ziemią było cieplej niż na zewnątrz, ale mimo wszystko chłodno, a w dodatku wilgotno i D'Agosta mający na sobie sportową wiatrówkę trochę przemarzł. Po minucie szybkiego biegu Pendergast przystanął, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej latarkę.

–Mamy do przejścia spory kawałek – powiedział, kierując promień latarki w głąb długiego ciemnego tunelu. W mroku przed nimi zabłysło kilka par małych szczurzych ślepi.

Agent ruszył szybkim równym krokiem, maszerując środkiem torów. D'Agosta pospieszył za nim, nasłuchując niespokojnie wszelkich podejrzanych odgłosów mogących świadczyć o zbliżaniu się pociągu, jednak jedyne, co słyszał, to ich własne głuchoe kroki, ciche oddechy i dźwięk kropel skapujących z lodowych sopli zwieszających się ze starego ceglanego sklepienia tunelu.

–A więc Żelazny Zegar to obrotnica kolejowa? – zapytał po chwili. Powiedział to raczej po to, by przełamać coraz bardziej nerwową i pełną napięcia ciszę, niż by zaspokoić własną ciekawość.

–Tak. Bardzo stara.

–Nie wiedziałem, że pod Manhattanem były jakieś obrotnice.

–Zbudowano ją, aby uregulować przepływ pociągów przychodzących i odchodzących ze starej Pennsylvania Station. Prawdę mówiąc, to jedyny ocalały element oryginalnej architektury tego rejonu...

–Będziesz umiał tam trafić?

–Pamiętasz zabójstwa w metrze, tę sprawę, nad którą pracowaliśmy wspólnie przed kilkoma laty? Poświęciłem wówczas trochę czasu na zbadanie podziemnego krajobrazu Nowego Jorku. Wciąż pamiętam rozkład większości tuneli pod Manhattanem, a w każdym razie tych bardziej popularnych tras.

–Jak sądzisz, skąd dowiedział się o niej Diogenes?

–To ciekawe pytanie, Vincencie, i muszę przyznać, że ów zastanawiający fakt nie umknął mojej uwadze.

Dotarli do metalowych drzwi we wnęce w ścianie tunelu, zabezpieczonych mocno już przerdzewiałą kłódką. Pendergast schylił się, aby sprawdzić zamek, i powiódł palcem wskazującym po zardzewiałym metalu. Po chwili cofnął się i dał znak D'Agostie, aby uczynił to samo. Wyjąwszy z kabury swego wilsona combata 1911, Pendergast oddał jeden strzał, celując w kłódkę. Ogłuszający ryk poniósł się echem w głąb tunelu, a roztrzaskana kłódką z grzechotem spadła na ziemię pośród kłębow rdzy. Agent odstąpił na bok i otworzył drzwi silnym kopniakiem.

Po drugiej stronie znajdowały się schody prowadzące w dół, powietrze przesycone było wonią pleśni i zgnilizny

–Daleko jeszcze?

–Właściwie jesteśmy teraz na tym samym poziomie co Żelazny Zegar. To po prostu skrót.

Schody były śliskie, a w miarę jak schodzili coraz niżej, robiło się coraz cieplej. Schodzili długo, ale w końcu dotarli do biegnącego poziomo starego ceglanego, łukowato sklepionego tunelu. Po obu stronach znajdowały się zamknięte wyjścia do pomieszczeń technicznych.

D'Agosta przystanął. – Światła przed nami. Słysząc również głosy.

–Bezdomni – odparł Pendergast.

Gdy ruszyli dalej, D'Agosta poczuł w nozdrzach woń palonego drewna. Niebawem natknęli się na grupkę mężczyzn i kobiet w łachmanach, siedzących przy niewielkim ognisku i podających sobie z rąk do rąk butelkę wina.

–Co jest chłopaki? – zawołał jeden z nich. – Uciekł wam pociąg?

Śmiech ucichł, kiedy ich minęli. Z ciemności za nimi dobiegł płacz dziecka.

–Jezu – mruknął D'Agosta. – Słyszałeś to? Pendergast tylko skinął głową.

Dotarli do kolejnych metalowych drzwi, z których ktoś wcześniej odpiłował kłódkę. Po otwarciu drzwi wspięli się po długich ociekających wilgocią schodach, omijając strużki spływającej wody, i koniec końców wyszli na całkiem inne tory.

Pendergast przystanął i spojrzął na zegarek. – Wpół do dwunastej.

Szczury pierzchały przed nimi, gdy w milczeniu szli tunelem, który zdawał się nie mieć końca. Nawet dziarski marsz nie był w stanie ogrzać zziębniętego, przemokniętego do szpiku kości D'Agosty. W którymś momencie minęli bocznice, gdzie stało kilka starych, zdezelowanych wagonów. Później mijając rząd kamiennych nisz, D'Agosta zauważył starodawne metalowe koła zębate o średnicy ponad ośmiu stóp. Od czasu do czasu słyszał odległy łoskot pociągów, najwyraźniej jednak po torze, którym właśnie szli, o tej porze nie przejeżdżały żadne składy.

Wreszcie Pendergast zatrzymał się, zgasił latarkę i ruchem głowy wskazał przed siebie. Wlepiając wzrok w ciemność, D'Agosta spostrzegł, że tunel kończył się łukowato sklepionym wejściem rozjaśnionym słabym żółtym blaskiem.

–Żelazny Zegar przed nami – rzekł niemal szeptem Pendergast.

D'Agosta wyjął swojego glocka 29, wysunął i sprawdził magazynek, po czym jednym ruchem wbił go z powrotem do kolby pistoletu.

–Wiesz, co masz zrobić? D'Agosta skinął głową.

Ruszyli naprzód powoli i bezszelestnie, Pendergast pierwszy, D'Agosta tuż za nim. Agent spojrzął na zegarek, przysuwając go blisko oczu: dwanaście minut do północy

–Pamiętaj – wyszeptał Pendergast. – Masz mnie od tej pory osłaniać.

D'Agosta przyłgął do ściany. Z tego miejsca miał doskonały widok na rozciągające się przed nim pomieszczenie. Była to ogromna rotunda zbudowana z granitowych bloków upstrzonych smugami wapienia i brudu, niewiarygodna podziemna budowla w stylu romańskim. Podłoże rotundy zajmowała kolejowa obrotnica, pojedynczy pas torów ciągnący się od jednej ściany do drugiej i ułożony na olbrzymim żelaznym kole. Do rotundy schodziło się w sumie dwanaście łukowato sklepionych tuneli, do których wejścia rozmieszczone były w równej odległości jedno od drugiego. Nad każdym z nich znajdowała się nieduża lampka, pod nią zaś wyrzeźbiona rzymska cyfra od I do XII.

A więc to jest Żelazny Zegar, pomyślał.

Jego ojciec miał bzika na punkcie kolei, więc D'Agosta wiedział co nieco na temat obrotnic. Zwykle znajdowały się one na końcu danej trasy; pojedynczy tor prowadził do obrotnicy, za nią zaś znajdowała się parowozownia, gdzie stały lokomotywy. Tu wszelako, w pobliżu Penn Station i jednego z najbardziej aktywnych węzłów kolejowych na świecie obrotnica służyła do całkiem innych celów; była to po prostu innego rodzaju zwrotnica, dzięki której pociągi mogły zjechać z jednego toru i tunelu do innego.

W rozległej przestrzeni echo kapiących kropeł brzmiało wyjątkowo głośno, wysoko w górze D'Agosta widział sople zwieszające się ze sklepienia. Krople ściekały pośród kręgów brudnego światła, by wylądować w kałużach czarnej wody poniżej.

Zastanawiał się, czy gdzieś tam, w ciemnościach któregoś z jedenastu pozostałych tuneli, czekał teraz Diogenes.

W tej samej chwili usłyszał narastający łoskot, a potem poczuł silny prąd powietrza. Pendergast wycofał się w głąb tunelu i gestem dał D'Agostie znak, aby zrobił to samo. Zaraz potem z wylotu jednego z tuneli wyłonił się jakiś pociąg i z grzmiącym odgłosem przetoczył przez obrotnicę, okna wagonów przesuwane się w szalonym pędzie zlały się w jedną rozmytą jasną plamę, ale już wkrótce skład ponownie rozpląnął się w ciemnościach. Rozdzierający ryk przeszedł w łoskot, a następnie w szmer. Wtem przy wtórze głośnego brzęku pojedynczy fragment toru pośrodku Żelaznego Zegara zaczął się obracać i z metalowym zgrzytem zatrzymał się, łącząc dwa inne tunele i przygotowując do przyjęcia kolejnego pociągu.

Obecnie tor łączył tunel XII z tunelem VI, w którym się obaj znajdowali. Znów zapadła cisza. D'Agosta zauważył ciemne kształty szczurów, niektóre wielkości małych psów, przemykające wśród cieni po drugiej stronie rotundy. Bez przerwy z sufitu kapła woda. Cuchnęło zgnilizną i rozkładem.

Pendergast drgnął i wskazał palcem na zegarek. Za sześć minut północ. Pora działać. Ujął D'Agostę za rękę.

–Wiesz, co masz zrobić? – zapytał. D'Agosta pokiwał głową.

–Dziękuję, Vincencie – powiedział. – Dziękuję ci za wszystko. To rzekłszy Pendergast odwrócił się i wyszedł z tunelu, by stanąć w słabym świetle. Zrobił dwa kroki. Trzy.

D'Agosta pozostał ukryty w cieniu z glockiem w dłoni. Olbrzymia rotunda nadal była pusta i bezgłówna, ciemne tunele przywodziły na myśl usta otwarte w niemym krzyku, sople lśniły jak złowrogie kły.

Pendergast postąpił jeszcze jeden krok do przodu, po czym zatrzymał się.

–*Ave, frater!*

Głos wyływający z przesyconej wilgocią ciemnej kryjówki odbił się echem wewnątrz całej rotundy tak zwielokrotniony, że nie sposób było określić jego faktycznego źródła.

D'Agosta zeszywniał, wyężając wzrok i usiłując wejrzeć w głąb czarnych wejść do innych tuneli, które były widoczne z tego miejsca, wciąż jednak nie udało mu się wypatrzeć Diogenesa.

–Nie bądź taki wstydlivy, bracie. Pokaż nam tę swą śliczną buźkę. Podejdź nieco bliżej do światła.

Pendergast wyszedł na otwartą przestrzeń. D'Agosta czekał z pistoletem w dłoni, osłaniając przyjaciela.

–Przyniosłeś to? – rozległ się zwielokrotniony echem głos. Ton był chytry, złośliwy, prawie jak warkot, zawierało się w nim chciwe, nienasycone pragnienie.

W odpowiedzi Pendergast uniósł jedną rękę i wykonał lekki skręt nadgarstkiem. Brylant pojawił się nagle, jakby niespodzianie, w słabym świetle wydawał się prawie matowy.

D'Agosta usłyszał głośnie westchnienie, jak trzask z bicia, które dobiegło z ciemności.

–Przyprowadź mi Violę – rzekł Pendergast.

–Spokojnie, bracie. Wszystko w swoim czasie. Wejdź na obrotnicę.

Pendergast wszedł na żelazne koło i stanął pomiędzy torami.

–A teraz idź naprzód i zatrzymaj się w połowie długości toru. Znajdziesz tam stary otwór wycięty w żelaznej płycie. Wewnątrz znajduje się wyłożone aksamitem pudełko. Wyjmij je i włóż do niego kamień. I lepiej się pospiesz, nie chcielibyśmy, aby kolejny pociąg zakończył to wszystko przedwcześnie.

D'Agosta także tym razem wyteżył słuch, próbując zlokalizować źródło głosu, lecz określenie, w którym z tuneli ukrywał się Diogenes, okazało się niemożliwe. Biorąc pod uwagę specyficzną akustykę tego miejsca, mógł się ukrywać praktycznie wszędzie.

Pendergast ostrożnie ruszył naprzód. Dotarłszy do połowy długości toru, przykłękł, wyjął pudełko, włożył do środka brylant i odłożył pudełko na miejsce.

A potem wstał, wyciągnął pistolet wilson combat i wymierzył w brylant. – Przyprowadź mi Violę – powtórzył.

–Ejże, ejże! Bracie! Ten pośpiech wcale do ciebie nie pasuje. Mamy postępować zgodnie z procedurą. Teraz cofnij się, podczas gdy mój człowiek upewni się, że brylant jest prawdziwy.

–Jest prawdziwy.

–Zaufałem ci już raz, dawno temu. Pamiętasz? I zobacz, do czego mnie to doprowadziło. – Z ciemności dobiegło dziwne, przypominające jęk głuche westchnienie.

–Wybacz, ale już nigdy ci nie zaufam. Panie Kaplan? Proszę, niech pan czyni swoją powinność.

Z tunelu XI wyłonił się przerażony mężczyzna w złachmanionym ubraniu. Zamrugał powiekami i rozejrzał się dookoła zdezorientowany. Miał na sobie czarny garnitur i czarny płaszcz z kaszmiru, mocno ubłocone i porozdzierane. Na łysej czaszce miał nasadzoną opaskę z lupą, a w dłoni trzymał latarkę.

D'Agosta natychmiast rozpoznał w nim mężczyznę, którego uprowadzili wcześniej. Wyglądało na to, że ekspert miał dziś wyjątkowo pechowy dzień. Kaplan niepewnie postąpił krok naprzód, po czym znowu przystanął. Powiódł wzrokiem wokoło, nie pojmował co się z nim działo.

–Kto...? Co...?

–Brylant znajduje się w pudełku, pośrodku. Proszę go zbadać. Niech mi pan powie, czy to prawdziwe Serce Lucyfera.

Mężczyzna rozejrzał się we wszystkie strony – Kto to mówi? Gdzie ja jestem?

–Frater, pokaż Kaplanowi brylant.

Kaplan, potykając się i chwiejąc na nogach zrobił kilka kroków. Pendergast machnął pistoletem, wskazując na pudełko.

Na widok broni Kaplan w mig otrząsnął się z chwilowego stuporu.

–Zrobię, co każesz, tylko mnie nie zabijaj! – zawołał. – Mam dzieci.

–I znów zobaczysz te swoje szurnięte bachory, Jeżeli zrobisz to, co ci kazałem – rozległ się bezosobowy głos Diogenesa.

Mężczyzna znowu się potknął, odzyskał równowagę, ukląkł nad brylantem i podniósł go. Opuścił lupę na wysokość oka, zapalił niewielką latarkę i uważnie obejrzał kamień.

–No i? – rozległ się wysoki, pełen napięcia głos Diogenesa.

–Chwileczkę! – nieomal zaszlochał mężczyzna. – Jeszcze chwilkę, bardzo proszę!

Spojrzał na kamień, światło rozkwitające wewnątrz brylantu zmieniło go w połyskującą cynamonową kulę. – Wygląda jak Serce Lucyfera, chyba jest prawdziwy – powiedział, zniżając głos do szeptu.

–„Chyba" to za mało, panie Kaplan.

Mężczyzna wciąż wpatrywał się w klejnot, jego dłonie drżały. W końcu wyprostował się. – Na pewno jest prawdziwy.

–Oby się pan nie mylił. Od trafności tej oceny zależy życie pana i pańskiej rodziny

–Jestem pewien. Nie ma drugiego takiego brylantu.

–Ten brylant ma jedną mikroskopijną skazę. Niech pan mi powie gdzie.

Kaplan ponownie zajął się oględzinami. Minęła minuta, dwie.

–Dostrzegam delikatną inkluzję około dwóch milimetrów od środka kamienia, na godzinie pierwszej.

Z ciemności dobiegł syk triumfu, a może czegoś całkiem innego. – Kaplan, może pan odejść. Niech pan wyjdzie przez tunel szósty Frater, pozostań tam gdzie, stoisz.

Szlochając z wdzięczności, mężczyzna pobiegł w kierunku tunelu VI i czekającego nań D'Agosty. Wciąż się potykał, omal się nie przewrócił, usiłując jak najszybciej wydostać się z tego dziwnego i przerażającego miejsca. Chwilę potem, dysząc ciężko, zjawił się u wylotu mrocznego tunelu.

–Dzięki Bogu – wychrypiał. – Dzięki Bogu.

–Proszę stanąć za mną – powiedział D'Agosta.

Kaplan spojrzał na D'Agostę i wyraz ulgi na jego twarzy zastąpiło przerażenie, gdy rozpoznał jego twarz. – Zaraz, zaraz. To pan jest tym gliną, który...

–O to będziemy się martwić później – warknął D'Agosta, spychając go dalej w głąb gwarantującej bezpieczeństwo ciemności. – Wkrótce pana stąd wyprowadzimy

–A teraz chwila, na którą czekałeś – wewnątrz rotundy znów zabrzmiał zniekształcony echem głos Diogenesa. – Oto lady Viola Maskelene!

Gdy D'Agosta wyteżył wzrok, z ciemności tunelu IX wyłoniła się nagle Viola Maskelene. Przystanęła w świetle, mrugając oczami, jakby była na wpół przytomna.

Pendergast mimowolnie postąpił krok naprzód.

–Nie ruszaj się, bracie! Niech ona podejdzie do ciebie. Odwróciła się i spojrzała na Pendergasta, po czym zrobiła niepewny krok w jego stronę. Nagle zachwiała się.

–Violu! – Pendergast ruszył w jej kierunku.

Rozległ się huk wystrzału ogłuszający w tej zamkniętej przestrzeni. Obłoczek kurzu wzbił się z ziemi tuż obok wysuniętej do przodu prawej stopy Pendergasta. Agent natychmiast przykucnął z pistoletem w dłoni,

wodząc bronią od jednego wylotu ciemnego korytarza do drugiego.

–No dalej, bracie. Zaczynaj strzelać. Tyle tylko że szkoda byłoby, gdyby jakiś zabłąkany pocisk trafił twoją lady Eve.

Pendergast odwrócił się. Na odgłos strzału Viola zastygła w bezruchu.

–Podejdź do mnie, Violu – powiedział. Spojrzała na niego.

–Aloysius? – spytała łamiącym się głosem.

–Jestem tutaj. Podejdź do mnie, powoli i ostrożnie.

–Ale ty... ty...

–Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna. Podejdź do mnie. Wyciągnął do niej rękę.

–Cóż za poruszająca, ckliwa scena! – wtrącił Diogenes. I wybuchnął drwiącym, cynicznym śmiechem.

Kobieta zrobiła jeden, dwa drżące, niepewne kroki i osunęła się w ramiona Pendergasta.

Agent schwycił ją mocno, zasłonił własnym ciałem, po czym delikatnie uniósł jej głowę i spojrzał na twarz Violi. – Odurzyłeś ją! – powiedział.

–Ee tam. Zaledwie parę miligramów versedu, aby ją uciszyć. Nie przejmuj się, jest nietknięta.

D'Agosta usłyszał, jak Pendergast szeptem coś Violi do ucha, ale nie zdołał wychwycić słów. Pokręciła głową, odsunęła się od niego i znów się zachwiała. Raz jeszcze ją pochwycił i przytrzymał. A potem pomógł jej dotrzeć do wylotu pobliskiego tunelu.

–Brawo, panowie! Śmiem twierdzić, że zakończyliśmy naszą małą wymianę! – rozległ się przepelniony triumfem głos Diogenesa. – Teraz wszyscy możecie stąd wyjść przez tunel szósty. Nalegam, abyście tak właśnie zrobili. I lepiej się pospieszcie. Za pięć minut, dokładnie o północy, po torze numer sześć przejedzie Ace-la zmiernająca do Waszyngtonu. Po opuszczeniu stacji pociąg bardzo przyspiesza i powinien przejeżdżać tędy z prędkością prawie osiemdziesięciu mil na godzinę. Jeżeli nie zdążycie do pierwszej niszy w ścianie, trzysta jardów od wylotu tunelu, zostanie po was tylko mokra plama. Do ociągających się będę strzelał jak do kaczek, więc lepiej się pospieszcie! No już, jazda!

Pendergast pomógł Violi wejść do tunelu, po czym przekazał ją pod opiekę D'Agosty

–Wyprowadź stąd ją i Kapłana – mruknął, wciskając D'Agostie do ręki swoją latarkę.

–A ty?

–Mam pewną niedokończoną sprawę.

To była odpowiedź, której D'Agosta tak bardzo się obawiał. Wyciągnął rękę i schwycił go za ramię, usiłując powstrzymać przyjaciela. – On cię zabije.

Pendergast delikatnie uwolnił się z jego uścisku.

–Nie możesz tego zrobić! – wyszeptał z naciskiem D'Agosta. – Oni będą tu...

–Słyszałeś, co powiedziałem? – rozległ się grzmiący głos Diogenesa. – Masz jeszcze tylko cztery minuty!

–Idźcie! – rzucił agent tonem nieznoszącym sprzeciwu.

D'Agosta posłał mu jeszcze jedno, już ostatnie spojrzenie. A potem objął ramieniem Violę, odwrócił się do Kapłana i szturchnął go delikatnie. – Chodźmy, panie Kapłan. Musimy już iść.

Zapalił latarkę i odwracając się tyłem do Żelaznego Zegara, ruszył szybkim krokiem wzdłuż torów.

ROZDZIAŁ 68

Pendergast pozostał w ciemnościach tunelu i czekał z pistoletem w dłoni. Wokoło panowała niezmacona cisza. Minęła minuta, dwie, trzy, cztery.

Upłynęło pięć minut. Nie pojawił się żaden pociąg.

Sześć minut. Siedem.

Pendergast wciąż czaił się w mroku. Zdał sobie sprawę, że jego brat, jak zawsze ostrożny, nie pojawi się, zanim nie nadjedzie pociąg. Powoli wyłonił się z czerni i stanął w świetle.

–Aloysiusie! Co ty tam jeszcze robisz? – W głosie dało się wyczuć wyraźną nutę paniki. – Powiedziałem, że zabiję każdego, kto ośmieli się tu pojawić!

–Wobec tego zrób to.

Znów huknął strzał, kula wryła się w ziemię o kilka cali od jego prawej stopy, wbijając w górę fontannę żwiru.

–Chyba coś nie tak z twoją celnością.

Druga kula zrykoszetowała od kamiennego łuku ponad głową Pendergasta, obsypując go gradem odłamków.

–Znowu spudłowałeś.

–Pociąg zjawi się tu lada chwila – rozległ się głos pełen wewnętrznego napięcia. – Nie muszę cię zabijać, pociąg zrobi to za mnie.

Pendergast pokręcił głową. A potem nonszalanckim wolnym krokiem zaczął iść po kolejowej obrotnicy, zmierzając w stronę środka podziemnej rotundy.

–Zawróć! – Kolejny strzał.

–Jakoś marnie dziś strzelasz, Diogenesie. Przystanął pośrodku obrotnicy.

–Nie! – rozległ się głos. – Odejdź stamtąd!

Pendergast schylił się, podniósł leżące tam pudełko, wyjął brylant i zważył go na dłoni.

–Pociąg, ty głupcze! Odłóż brylant! W tej dziurze będzie bezpieczny!

–Nie ma żadnego pociągu.

–Owszem jest. Tyle tylko że trochę się spóźnia, to wszystko.

–Nie przyjedzie.

–O czym ty mówisz?

–Acela, która miała przejeżdżać tędy o północy, nie pojawi się. Została odwołana. Zadzwoń na stację Back Bay i powiedz, że podłożono tam bombę.

–Blefujesz! Jakim cudem mógłbyś to zrobić? Nie mogłeś znać mego planu.

–Nie? Niby po co mieliśmy spotkać się tu sześć minut przed północą, a nie dokładnie o północy? Powód mógł być tylko jeden, musiało mieć to coś wspólnego z rozkładem jazdy pociągów. Reszta była sprawą czysto elementarną. – Wsunął brylant do kieszeni.

–Włóż go z powrotem do pudełka! On jest mój! Ty kłamco! Okłamałeś mnie!

–Bynajmniej. Postąpiłem zgodnie z twoimi zaleceniami. Powiedziałbym raczej, że to ty mnie okłamałeś. I to wielokrotnie. Groziłeś, że zabijesz Smithbacka. A miast tego wzięłeś na cel Margo Green.

–Zabiłem twoich przyjaciół. Wiesz, że nie zawaham się zabić również ciebie.

–I dokładnie to musisz teraz zrobić. Chcesz mnie powstrzymać? Wobec tego mnie zabij!

–Łajdak! *Mon semblable, mon frere* – teraz umrzesz! Pendergast czekał w bezruchu. Minęła minuta, potem druga.

–Widzisz, nie możesz mnie zabić – rzekł Pendergast. – To dlatego tak fatalnie chybiałeś. Potrzebujesz mnie żywego. Dałeś tego dowód, kiedy uratowałeś mnie z podziemi w Castel Fosco. Potrzebujesz mnie, bo beze mnie, bez twojej nienawiści do mnie nie zostałyby ci już nic.

Diogenes nie odpowiedział. W podziemiach jednak dał się słyszeć nowy dźwięk: tupot biegnących stóp, gardłowe rozkazy i szum włączonych krótkofalówek. Odgłosy zbliżały się.

–A co to? – rozległ się podniesiony głos Diogenesa.

–Policja – powiedział ze spokojem Pendergast.

–Wezwalesz policję? Głupcze, to ciebie dopadną, nie mnie.

–I o to właśnie chodzi. A twoje wystrzały ściągną ich tu szybciej, niż się spodziewałem.

–O czym ty mówisz? Głupcze, co robisz... wykorzystujesz siebie jako przynętę? Poświęcasz samego siebie?

–Dokładnie. Wymieniam moją wolność na bezpieczeństwo Violi i powrót Serca Lucyfera do muzeum. Samopoświęcenie, Diogenesie, jedyna rzecz, której nie byłeś w stanie przewidzieć. Nie wzięłeś pod uwagę takiego rozwiązania. Ponieważ to jedyna rzecz, na którą ciebie nigdy nie byłoby stać.

–Ty...! Oddaj mi mój brylant!

–Chodź i weź go sobie. Może nawet zdołasz nacieszyć się nim przez minutę, zanim złapią nas obu. Albo możesz jeszcze spróbować uciec. Kto wie, jeśli się pospieszysz, może nawet ci się uda.

–Nie zrobisz tego, to czyste szaleństwo! – Beznamiętny głos przeszedł w kolejny zdławiony jęk, tak dojmujący i nieludzki, że wydawał się wypływać z gardzieli jakiegoś dziwnego zwierzęcia. A potem ucichł nagle jak ucięty nożem, pozostawiając po sobie tylko echo.

Chwilę później z tunelu IV wyłoniła się kapitan Hayward w otoczeniu uzbrojonych policjantów. Z tyłu za nimi szedł Singleton mówiący coś z ożywieniem do mikrofonu krótkofalówki. Funkcjonariusze policji błyskawicznie otoczyli Pendergasta i zmusili go, by ukląkł z rękoma splecionymi na potylicy. Policjanci przez cały czas mierzyli do niego z pistoletów i karabinków szturmowych, palce wskazujące mieli zaciśnięte na spustach.

–Stać, nie ruszać się! Policja! Ręce do góry! Pendergast wolno uniósł ręce.

Hayward precyzyjnie się przemieściła przez kordon funkcjonariuszy i podeszła do niego.

–Agencie Pendergast, czy jest pan uzbrojony?

Pendergast skinął głową. – A w lewej kieszeni marynarki znajdzie pani Serce Lucyfera. Proszę obchodzić się z nim bardzo delikatnie. Niech pani nikomu go nie oddaje i strzeże jak oka w głowie.

Hayward obejrzała się przez ramię i skinęła na jednego z funkcjonariuszy, aby go obszukał. Drugi policjant zaszedł Pendergasta z tyłu, wykręcił mu ręce na plecy i założył kajdanki.

–Sugeruję, abyśmy zeszli z torów – powiedział Pendergast. – Tak dla bezpieczeństwa.

–Wszystko w swoim czasie – odrzekła Hayward. Ostrożnie wsunęła dłoń do kieszeni jego marynarki, wyjęła brylant i włożyła do kieszonki żakietu. – Aloysiusie Pendergaście, masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie w sądzie...

Ale Pendergast już jej nie słuchał. Patrzył ponad ramieniem Hayward, w ciemność zalegającą w tunelu III. Ledwie widoczne dwa małe błyszczące punkciki wydawały się jedynie refleksami słabego światła docierającego do tych mrocznych podziemi. Kiedy tak patrzył punkciki na moment znikły, ale zaraz znowu się pojawiły jak mrugające oczy, gdy na chwilę przesłonią je powieki. A potem punkciki poruszyły się, rozmyły wśród głębokich cieni, aż w końcu znikły zupełnie, pozostawiając po sobie nieprzeniknioną atramentową ciemność.

ROZDZIAŁ 69

Karetka zabrała Kaplana i Violę. D'Agosta pozostał w areszcie, na posterunku policji przy Madison Square Garden, przykuty do krzesła i pilnowany przez sześciu gliniarzy. Głowę miał spuszczoną, wzrok wlepiony w podłogę, starał się unikać kontaktu wzrokowego ze swoimi byłymi kolegami i podwładnymi, którzy stali wokół, rozmawiając półgłosem między sobą. To było łatwe: wszyscy ostentacyjnie go ignorowali. Zupełnie jakby D'Agosta przestał istnieć albo zmienił się w jakieś plugawe zwierzę, niegodne, by zaszczyścić je ponownym spojrzeniem.

Usłyszał gwar głosów płynących z policyjnych krótkofalówek i przez przeszkłone przepierzenie pokoju, w którym się znajdował, ujrzał sporą grupę policjantów wchodzących przez bramki na Penn Station. Pośród nich spostrzegł ubraną na czarno sylwetkę Aloysiusa Pendergasta. Agent szedł sztywno wyprostowany, z rękoma skutymi na plecach, eskortowany przez dwóch krępych policjantów. Pendergast nie rozglądał się na boki, maszerował wyprężony jak struna, z twarzą przepełnioną spokojem. Po raz pierwszy od wielu dni wyglądał, zważywszy na okoliczności, jak za dawnych dobrych czasów. Bez wątpienia prowadzono go do czekającego przy wejściu na stację przy Ósmej Alei policyjnego radiowozu. Mijając go, Pendergast spojrzał w stronę D'Agosty. Choć szyba była lustrzana, Pendergast spojrzał wprost na niego i niemal niedostrzegalnie skinął głową z wdzięcznością.

D'Agosta odwrócił wzrok. Cały jego świat, wszystko, na czym mu zależało, zostało unicestwione. Ponieważ Pendergast uparł się, by D'Agosta powiedział Hayward o ich obecnym miejscu pobytu, agent był teraz w drodze do więzienia, gdzie najprawdopodobniej czekało go dożywocie. Była tylko jedna rzecz, która mogłaby pogorszyć jego obecną sytuację, gdyby Hayward pofatygowała się tu osobiście.

I faktycznie, zjawiła się jak na zawołanie, szła razem z Singletonem i zmierzała w stronę posterunku.

Opuścił głowę i czekał. Usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Jego twarz płonęła.

–Poruczniku?

Uniósł wzrok. To nie była Hayward, lecz Singleton. Laura po prostu minęła go i poszła dalej.

Singleton rozejrzał się wokół i przywitał z policjantami pilnującymi D'Agosty – Proszę go rozkuć.

Jeden z policjantów otworzył kluczykiem kajdanki przypięte do oparcia krzesła.

–Chciałbym zamienić z porucznikiem kilka słów na osobności. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli mi tego za złe, chłopcy.

Policjanci z nieskrywaną ulgą opuścili areszt. Kiedy wyszli, Singleton położył dłoń na ramieniu D'Agosty – Wdepnąłeś w niezłe szambo, Vinnie – powiedział nie bez życzliwości w głosie.

D'Agosta skinął głową.

–Nie muszę chyba mówić, że zostanie wszczęte przeciwko tobie osobne śledztwo i tak szybko jak to będzie możliwe, odbędzie się wstępne przesłuchanie. Przypuszczam, że wydział wewnętrzny zajmie się tobą najdalej pojutrze. W chwili obecnej twoja przyszłość w policji stoi pod wielkim znakiem zapytania, ale szczerze mówiąc, to akurat najmniej istotny ze wszystkich twoich problemów. Wygląda na to, że zostaniesz oskarżony o uprowadzenie drugiego stopnia, kradzież samochodu, niebezpieczne zachowanie mogące doprowadzić do narażenia życia i współsprawstwo w dokonaniu przestępstwa.

D'Agosta ukrył twarz w dłoniach.

Singleton ścisnął go za ramię. – Chodzi o to, Vinnie, że mimo wszystko zdołałeś się jednak przełamać. Sypnąłeś Pendergasta i w końcu go dopadliśmy. Zostało zniszczonych kilka samochodów, ale nikt nie ucierpiał. Może nawet zdołamy przekonać tych z wewnętrznego, że od początku o to właśnie chodziło, że pracowałeś incognito i że twoim zadaniem było wystawienie Pendergasta.

D'Agosta nie odpowiedział. Wciąż miał przed oczami obraz Pendergasta odprowadzanego w kajdankach

przez policjantów do radiowozu. Pendergasta nietykalnego.

–Chciałem przez to powiedzieć, że zobaczę, co się da zrobić w kwestii wspomnianych oskarżeń. Może uda się zmienić skalę tych zarzutów, zniżyć je do rangi wykroczeń, zanim sprawa nabierze rozpędu, jeśli wiesz, co mam na myśli. Naturalnie niczego nie mogę obiecać.

D'Agosta przełknął ślinę i wykrztusił tylko: – Dzięki.

–Mamy też drobną zagwozdkę. Z zeznań ofiary porwania podczas wstępnego przesłuchania wynika, że Diogenes Pendergast żyje i to najprawdopodobniej on jest odpowiedzialny za kradzież brylantów dokonaną w muzeum. Wygląda na to, że wymknął się nam gdzieś w tych przeklętych kolejowych tunelach. Zagadkowy wydaje się również fakt, że Pendergast miał Serce Lucyfera w kieszeni. To... jakby to powiedzieć... zmusza nas do ponownego rozpatrzenia całej sprawy Będziemy musieli zrewidować nasze wcześniejsze przypuszczenia.

D'Agosta gwałtownie uniósł wzrok. – Mogę wszystko wyjaśnić.

–Później. Będzie na to czas przy okazji przesłuchania, zresztą Hayward opowiedziała mi już o twojej teorii, zgodnie z którą to Diogenes wrobił swego brata w te zabójstwa. Wiemy już na pewno, że to Pendergast wcielił się w postać Kapłana i ukradł brylant. Niezależnie od wszystkiego facet pójdzie siedzieć, bez dwóch zdań. Na twoim miejscu – i mówię teraz do ciebie jako twój przyjaciel, a nie przełożony – zatroszczyłbym się raczej o własną skórę i przestał martwić jego losem. Przez tego drania z FBI i tak masz już dość kłopotów.

–Komendancie, byłbym wielce rad, gdyby pan zechciał nie wyrażać się o agencie Pendergaście w taki sposób.

–Lojalny do samego końca, co? – Singleton pokręcił głową. Z oddali dobiegł donośny, pełen gniewu głos. Na zewnątrz, przed posterunkiem pojawiła się spora grupka agentów federalnych z wysokim pałającym z wściekłości mocno opalonym mężczyzną na czele: mężczyzna ten wydał się D'Agoście znajomy Dziwnie znajomy. Spróbował zebrać myśli i przypisać do tej twarzy konkretne nazwisko. Coffey. Agent specjalny Coffey.

Zauważywszy Singletona, Coffey skierował się w stronę aresztu.

–Komendant Singleton! – Jego pełne oblicze było czerwone mimo opalenizny.

Komendant Singleton uniósł wzrok i spojrzał na tamtego łagodnym wzrokiem. – Słucham, agencie Coffey?

–Co się tu dzieje, u diabła? Dokonaliście aresztowania bez nas?

–Owszem, tak.

–Wie pan, że to my prowadzimy tę sprawę.

Singleton odpowiedział dopiero po dłuższej chwili. A kiedy to zrobił, przemówił cichym, spokojnym głosem, jakby zwracał się do dziecka. – Informacja pojawiła się nagle i musieliśmy działać natychmiast. Sprawca przecisnął się przez sieć, którą zarzuciliście na niego w hrabstwie Suffolk, i zdołał przedostać się do miasta. Nie mogliśmy czekać. Jestem pewien, że zrozumie pan, iż z uwagi na okoliczności musieliśmy podjąć samodzielną akcję.

–Nie skontaktował się pan nawet z naszym terenowym wydziałem w Południowym Manhattanie. W mieście byli agenci gotowi w każdej chwili do natychmiastowego działania.

Kolejna chwila ciszy – To niewątpliwie przeoczenie, za które biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Wie pan, jak to jest, w czasie działań operacyjnych, gdy wszystko dzieje się bardzo szybko i wszyscy są skupieni na swoich zadaniach, nietrudno o tego rodzaju zaniedbanie.

Coffey stał przed Singletonem i ciężko oddychał. Kilku nowojorskich policjantów, którzy byli świadkami całej tej sceny, zachichotało drwiąco.

–Aresztowanie Pendergasta przyniosło nam nieoczekiwaną premię.

–To znaczy?

–Miał w kieszeni skradziony brylant, Serce Lucyfera. Singleton wykorzystał okazję, że Coffeyowi na krótką chwilę głos uwiązł w gardle, i spojrzawszy na swoich podwładnych, powiedział: – To wszystko, chłopcy. Zrobiliśmy tu, co do nas należało. Wracamy na komendę.

Następnie delikatnie pomógł D'Agoście wstać z krzesła, odwrócił się na pięcie i odszedł.

ROZDZIAŁ 70

Nadeszła środa, pogodna i bezwietrzna, promienie porannego słońca wpadały przez jedyne okno kuchennej wnęki w niewielkim mieszkaniu przy West End Avenue. Nora Kelly usłyszała trzaśnięcie drzwi łazienki. Kilka minut później w korytarzu pojawił się Bill Smithback gotowy do wyjścia do pracy; krawat miał niezawiązany i marynarkę przewieszoną nonszalancko przez ramię. Na jego twarzy malował się posępny grymas.

–Zjedz przynajmniej śniadanie – powiedziała.

Na jej widok nieznacznie się rozpromienił, po czym podszedł i usiadł przy stole.

–O której wczoraj wróciłeś?

–O czwartej. – Nachylił się i pocałował ją.

–Wyglądasz fatalnie.

–To nie z braku snu.

Nora podsunęła gazetę w jego stronę. – Pierwsza strona. Moje gratulacje.

Smithback wlepił wzrok w gazetę. Jego artykuł o dokonanej przez nieznanego sprawcę kradzieży Serca Lucyfera znalazł się na pierwszej stronie „Timesa”: marzenie każdego dziennikarza. To był naprawdę bombowy materiał, a w połączeniu z aresztowaniem Pendergasta zepchnęło artykuł Harrimana o schwytaniu Wacka na trzecią stronę, do działu miejskiego; starsza kobieta, ujrawszy, jak Wacek obnaża się przed ekranem bankomatu, wpadła w słuszny gniew i zdzieliła go po głowie laską tak mocno, że biedaczyna stracił przytomność. Po raz pierwszy, pomyślała Nora, Bill nie wydawał się zainteresowany Harrimanem i jego kolejną porażką. Odsunął od siebie gazetę. – Nie idziesz do pracy?

–Kierownictwo muzeum dało nam wszystkim wolne do końca tygodnia. Coś w rodzaju przymusowego urlopu. Cała placówka jest zamknięta do czasu, aż zostanie wyjaśnione, w jaki sposób sprawca uporał się z systemem zabezpieczeń. – Pokręciła głową. – Na dodatek Hugo Menzies zniknął bez śladu, jakby się zapadł pod ziemię. Wygląda na to, że jedna z kamer ochrony wychwyciła go w pobliżu Astor Hall, gdy doszło do kradzieży. Policja obawia się, że mógł natknąć się na sprawcę lub sprawców włamania, a ci nie zawahali się go zabić.

–Może to on dokonał tej kradzieży.

–Dokonał jej Diogenes Pendergast. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

–Może Menzies to właśnie Diogenes. – Bill zaśmiał się niepewnie.

–To wcale nie jest zabawne.

Smithback wzruszył ramionami. – Wybacz. To było w złym guście, nawet jak na mnie.

Nora naląła mu kawy i ponownie napełniła swój kubek. – Jest jeszcze jedna rzecz, której nadal nie rozumiem, mimo iż bardzo uważnie przeczytałam twój artykuł. Jak Pendergast zdołał wykraść Serce Lucyfera z gmachu Affiliated Transglobal? Przecież budynek został błyskawicznie zabezpieczony, wszyscy wychodzący musieli przejść przez bramkę aparatu rentgenowskiego. Skrzętnie policzono wszystkich wchodzących i wychodzących. A jednak nie udało się odnaleźć Pendergasta. Jak tego dokonał? Zszedł na dół po zewnętrznej ścianie? Jak wyniósł ten brylant poza budynek?

Smithback przyglądał niesforny kosmyk, który podniósł się do góry, gdy tylko dziennikarz opuścił rękę. – To jest w tym wszystkim najlepsze... gdybym tylko mógł to opisać.

–Dlaczego nie możesz?

Smithback odwrócił się do niej i uśmiechnął ponuro. – Ponieważ to ja wyniosłem brylant z budynku.

–Ty? – Nora spojrzała na niego z niedowierzaniem. Smithback pokiwał głową.

–Och, Bill!

–Zrozum, Noro, musiałem. To był jedyny sposób. I nie martw się, nigdy nie zdołają mnie o to oskarżyć. Nie mają dowodów. Brylant wrócił tam, gdzie jego miejsce. To był naprawdę genialny plan.

–Opowiedz mi o tym.

–Naprawdę chcesz to wiedzieć? Pamiętaj, że w ten sposób stajesz się współsprawcą przestępstwa, po fakcie.

–Jestem twoją żoną, głuptasie. Oczywiście, że chcę wiedzieć. Smithback westchnął. – To Pendergast obmyślił cały plan.

Wiedział, że budynek zostanie natychmiast zamknięty, a wszyscy wychodzący poddani gruntownemu przeszukaniu. Dlatego też wcielił się w rolę technika obsługującego bramkę aparatu rentgenowskiego.

–Skoro jednak ochrona była tak skrupulatna, jak twierdzisz, czy technicy nie musieli podobnie jak cała reszta przejść przez bramkę ochronną przy wyjściu z budynku?

–Pendergast przewidział także to. Kiedy przepuścił mnie przez bramkę, skierował mnie w stronę wyjścia z budynku. I właśnie wtedy wsunął mi do kieszeni brylant. A ja wyniosłem klejnot na zewnątrz.

Nora nie mogła w to uwierzyć. – Gdyby cię złapali, zarobiłbyś minimum dwadzieścia lat.

–Chyba w ogóle wtedy o tym nie myślałem. – Smithback wzruszył ramionami. – Ale od tego zależało ludzkie życie. Poza tym wierzę w Pendergasta. Czasami odnoszę wrażenie, jakbym był jedynym człowiekiem na świecie, który wciąż mu ufa. – To rzekłszy, wstał od stołu, podszedł do okna i niespokojnie wyjrzał na zewnątrz, opierając dłonie na biodrach.

–To nie koniec, Noro – mruknął pod nosem. – O nie, to wcale nie koniec. – Odwrócił się szybko, w jego oczach pojawiły się gniewne błyski. – To jawne kpiny ze sprawiedliwości. Niewinny człowiek zostaje wrobiony i uznany za groźnego seryjnego zabójcę. Prawdziwy morderca wciąż przebywa na wolności. Jestem dziennikarzem. Moim zadaniem jest relacjonować prawdę. W tej historii wciąż dostrzegam całe mnóstwo luk. Tak wiele prawdy pozostaje do odkrycia. Uczynię wszystko, aby do niej dotrzeć.

–Bill, błagam cię, nie próbuj ścigać Diogenesa.

–A co z Margo? Mamy pozwolić, aby jej zabójca pozostał na wolności? Teraz, kiedy Pendergast trafił za kratki, a D'Agostę czeka zawieszenie w czynnościach służbowych albo coś znacznie gorszego, nie ma prócz mnie nikogo, kto mógłby się tym zająć.

–Nie rób tego. Błagam, nie rób tego. To kolejna z twoich nieprzemyślanych i niestety głupich decyzji.

Ponownie odwrócił się do okna. – Przyznaję, że to może nieprzemyślane. Może nawet głupie. Ale co mi tam. Niech tak będzie.

Nora podniosła się z krzesła. Czuła jak wzbiera w niej gniew. – A co z nami? Z naszą przyszłością? Jeżeli spróbujesz odnaleźć i dopaść Diogenesa, on cię zabije. Nie możesz się z nim równać!

Smithback wyjrzał przez okno i nie odpowiedział od razu. W końcu poruszył się niepewnie. – Pendergast uratował mi życie – rzekł półgłosem. Znów się odwrócił i spojrzał na Norę. – Tobie również.

Podszedł i objął ją czule. – Nie zrobię tego... jeżeli mi zabronisz.

–To jedyna rzecz, której nie mogę ci zabronić. Tę decyzję musisz podjąć sam.

Smithback cofnął się o krok, zawiązał krawat i nałożył marynarkę.

–Muszę już pędzić do pracy. Pocałował ją. – Kocham cię, Noro.

Pokręciła głową. – Bądź bardzo, ale to bardzo ostrożny

–Będę ostrożny, obiecuję. Zaufaj mi. I wyszedł.

ROZDZIAŁ 71

Dzień później pięćdziesiąt mil na północ słabe promienie słońca wpadały pomiędzy listewkami opuszczonych żaluzji w oknie małego pokoju oddziału intensywnej opieki medycznej niewielkiej prywatnej kliniki. Na łóżku, pośrodku sali leżała kobieta podłączona do kilku dużych urządzeń, które wydawały z siebie łagodne, niemal kojące dźwięki. Kobieta miała zamknięte oczy.

Weszła pielęgniarka, rzuciła okiem na ekrany urządzeń, zapisała bieżące odczyty funkcji życiowych, po czym przystanęła przy łóżku, aby zerknąć na pacjentkę.

–Dzień dobry, Thereso – rzuciła pogodnie.

Powieki pacjentki pozostały opuszczone, kobieta nie odpowiedziała. Usunięto jej już sondę, przez którą była karmiona, najważniejsze zagrożenie minęło, ale jej stan wciąż był poważny

–Jest piękny dzień – ciągnęła pielęgniarka, podnosząc żaluzje i pozwalając, by promienie słońca padły na cienki koc przykrywający ciało kobiety. Za oknem rozległej rezydencji w stylu królowej Anny rzeka Hudson skrzyła się malowniczo, przepływając przez bajeczną, zimową okolicę hrabstwa Putnam.

Błada twarz kobiety była lekko wciśnięta w poduszkę, jej krótkie brązowe włosy rozsypały się wokół, przesłaniając bawełniany materiał.

Pielęgniarka kontynuowała swoją pracę, wymieniła woreczek od kroplówki i wygładziła koc, którym była przykryta pacjentka.

Wreszcie, nachyliwszy się nad nią, odgarnęła jej z czoła kilka kosmyków włosów.

Dziewczyna wolno otworzyła oczy.

Pielęgniarka znieruchomiała, po czym cofnęła rękę. – Dzień dobry – powtórzyła, ujmując ją leciutko za rękę.

–Nie próbuj jeszcze nic mówić – rzekła pielęgniarka, podchodząc do interkomu. – Wszystko będzie dobrze. Było ciężko, ale teraz już wszystko w porządku.

Wcisnęła przycisk interkomu i nachyliła się w stronę mikrofonu i cicho powiedziała: – Pacjentka z szóstki na OIOM-ie zaczyna się budzić – wyszeptła. – Powiadomcie doktora Winokura.

Podeszła i usiadła przy łóżku. Ponownie ujęła pacjentkę za rękę.

–Gdzie...?

–Jesteś w klinice Feversham, Thereso, kilka mil na północ od Cold Spring. Jest 31 stycznia, a ty moja droga, byłaś nieprzytomna przez sześć dni, ale jakoś udało nam się przywrócić cię do zdrowia. Wszystko jest już w porządku. Jesteś silną, zdrową kobietą i już niebawem całkiem wyzdrowiejesz.

Oczy pacjentki rozszerzyły się nieznacznie. – Co...? – wykrztusiła słabym, łamiącym się głosem.

–Co się stało? To teraz nieistotne. Masz za sobą ciężkie przeżycia i jedną nogą byłaś już po drugiej stronie, ale to nic, grunt, że ci się udało. Przetrwałaś najcięższy kryzys. Wylizesz się. Nie myśl o przykrych rzeczach. Tu jesteś bezpieczna.

Postać na łóżku wyraźnie próbowała coś powiedzieć, jej wargi poruszyły się drżąco.

–Nie próbuj jeszcze mówić. Oszczędzaj siły na spotkanie z doktorem.

–...próbował... zabić... – z jej ust wypływały oderwane, pozbawione związku słowa.

–Jak już mówiłam, to nieważne. Gromadź siły, musisz skupić się na procesie powrotu do zdrowia.

–...straszne...

Pielęgniarka pogładziła ją czule po włosach. – Nie wątpię, ale nie zaprzataj sobie tym głowy Doktor Winokur powinien zjawić się lada chwila, przypuszczam, że będzie chciał zadać ci kilka pytań. Powinnaś teraz odpoczywać, moja droga.

–Zmęczona... zmęczona...

–Oczywiście, że jesteś. Jesteś bardzo zmęczona. Ale nie możesz jeszcze zasnąć, Thereso. Musisz teraz czuć. Dla mnie i dla doktora Winokura. Potraktuj to jako zalecenie lekarza. Tylko przez pewien czas. Dobrze? Taak. Grzeczna dziewczynka.

–Nie mam na imię... Theresa.

Pielęgniarka uśmiechnęła się pobłaźliwie i poklepała ją po wierzchu dłoni.

–Niczym się nie przejmuj. O nic się nie martw. To w pełni zrozumiałe, że tuż po przebudzeniu czujesz się trochę rozbita i dezorientowana. A jak na razie, czekając na przyjście lekarza, proponuję abyś wyjrzała przez okno. Cóż za cudowny dzień, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ 72

Hayward nigdy dotąd nie była w legendarnym, ściśle strzeżonym skrzydle Szpitala Bellevue. Idąc tam, czuła nieprzeparłe, narastające z każdą chwilą zaciekawienie. Długie, jasno oświetlone korytarze cuchnęły spirytusem i wybielaczem. Po drodze minęli prawie pół tuzina zamkniętych drzwi: Oddział Nagłych Wypadków dla Dorosłych, Oddział Nagłych Wypadków Psychiatrycznych, Oddział Psychiatryczny Dla Pacjentów Szpitala, aż w końcu zatrzymali się przed najbardziej zatrważającymi z nich wszystkich drzwiami – wielkimi, dwuskrzydłowymi, z mocno poobijanej i powgniatanej nierdzewnej stali, przed którymi stało dwóch pielęgniarzy w białych uniformach, przy biurku zaś siedział funkcjonariusz policji nowojorskiej w stopniu sierżanta. Na drzwiach widniała niewielka, porysowana czymś tabliczka z napisem „obszar zamknięty”.

Hayward błysnęła odznaką. – Kapitan Laura Hayward oraz gość. Mamy umówioną wizytę w D-II.

–Dzień dobry, pani kapitan – rzekł rozleniwionym tonem sierżant, który wziął od niej odznakę, zapisał jej dane na liście odwiedzających i podał Hayward do podpisu.

–Mój gość zaczeka tutaj, podczas gdy ja pójdę pierwsza odwiedzić pacjenta.

–Jasne, jasne – rzucił sierżant. – Joe panią zaprowadzi. Potężniejszy z dwóch pielęgniarzy skinął głową, ale się nie uśmiechnął. Sierżant odwrócił się do stojącego opodal telefonu i wybrał numer wewnętrzny Chwilę potem rozległ się szcęk odblokowywanych masywnych automatycznych zamków Pielęgniarsz imieniem Joe pchnięciem otworzył drzwi. – D-II, mówi pani?

–Zgadza się!

–Tędy, pani kapitan.

Za drzwiami rozciągał się wąski korytarz, podłogę i ściany wyłożono grubym linoleum. Po obu stronach dostrzec można było rzędy masywnych drzwi. Wykonane zostały ze stali, z okrągłymi przeszklonymi wizjerami na wysokości oczu. Do uszu Hayward doszedł dziwny, przytłumiony chór podniesionych głosów: szaleńcze przekleństwa, płacz, upiorny, na wpół ludzki bełkot – wszystkie te dźwięki dobiegały zza zamkniętych drzwi. W tym korytarzu czuć było inną woń; smród spirytusu i płynów do czyszczenia mieszał się tutaj z fetorem fekaliiów, wymiocin i czymś jeszcze, co Hayward pamiętała ze swoich wizyt w więzieniach o zaostrzonym rygorze – odorem strachu.

Drzwi zamknęły się za nią z metalicznym zgrzytem. Automatyczne zamki ponownie się zatrzasnęły przy wtórze dźwięku przypominającego strzał z pistoletu.

Hayward przeszła za pielęgniarzem przez jeden, a potem drugi długi wąski korytarz. Na końcu znajdował się pokój, do którego zmierzała – rozpoznała go natychmiast – przed wejściem stało czterech mężczyzn w garniturach. To nie Coffey dokonał aresztowania, ale najwyraźniej nie zamierzał wypuścić swojej ofiary z rąk. Bądź co bądź miał z zatrzymanym osobiste porachunki.

Agenci odwrócili się, kiedy podeszła bliżej. Hayward rozpoznała w jednym z nich zaufanego sługusa Coffeya, agenta Rabinera. Nie ucieszył się na jej widok.

–Proszę włożyć broń do skrzynki, pani kapitan – rzekł do niej zamiast powitania.

Kapitan Hayward wyjęła służbowy pistolet i pojemnik z gazem pieprzowym, po czym włożyła je do zamykanej na klucz skrzynki.

–Wygląda na to, że jednak go zatrzymamy – powiedział Rabiner, uśmiechając się ze złośliwą satysfakcją. – Mamy go na widelcu za zabicie Deckera. Wszelkie dowody świadczą przeciwko niemu, a z punktu widzenia prawa federalnego za taki czyn grozi kara śmierci. Teraz wszystko zależy od wyników serii badań psychiatrycznych. Pod koniec tygodnia zostanie przewieziony do izolátky w Herkmoor. Już wkrótce postawimy go przed sądem, aby odpowiedział za swoje zbrodnie.

–Jest pan dziś bardzo rozmowny, agencie Rabiner – rzekła Hayward.

Natychmiast zamilkł.

–Chciałabym się z nim zobaczyć. I to już teraz, zaraz. Najpierw ja, a potem przyprowadzę tu gościa.

–Wejdzie tam pani sama czy będzie pani potrzebować ochrony?

Hayward nie odpowiedziała. Po prostu odstąpiła o krok i czekała, podczas gdy jeden z agentów zajrzał przez wizjer, a następnie odryglował drzwi, broń przez cały czas miał gotową do strzału.

–Proszę zawołać, gdyby zaczął robić się zbyt natarczywy – rzucił Rabiner.

Kapitan Hayward weszła do jasno oświetlonej celi.

Pendergast w pomarańczowym więziennym kombinezonie siedział spokojnie na wąskiej pryczy. Ściany celi były wyłożone grubą miękką wykładziną, poza pryczą w pomieszczeniu nie było żadnych mebli.

Przez chwilę Hayward nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tak bardzo przywykła do widoku agenta ubranego w nienagannie skrojony elegancki czarny garnitur, że ten strój wydał się jej co najmniej nie na miejscu. Twarz agenta była bledsza, zapadnięta, ale zarazem spokojna i opanowana.

–Pani kapitan – wstał i ruchem ręki wskazał jej pryczę. – Proszę spocząć.

–Dziękuję, postoję.

–Dobrze. – Pendergast z uprzejmości także nie usiadł.

W małej celi zapanowała cisza. Hayward szczyliła się tym, że trudno było wytrącić ją z równowagi, ale wciąż nie do końca pojmowała, co skłoniło ją do tej wizyty. Po chwili odchrząknęła delikatnie.

–Co pan zrobił, że tak bardzo wkurzył pan agenta specjalnego Coffeya? – zapytała.

Pendergast uśmiechnął się blado. – Agent Coffey ma zdecydowanie zbyt wysokie mniemanie o sobie. Niestety, tak się składa, że nie podzielam jego zdania w tej materii. Nigdy nie potrafiłem się do tego przemóc. Kilka lat temu pracowaliśmy razem nad jedną sprawą i nie zakończyła się ona dla niego najlepiej.

–Pytam o to, ponieważ próbowaliśmy przejąć jurysdykcję nad pańską sprawą i nigdy dotąd nie spotkałam się z sytuacją, w której FBI wywierałoby tak silne naciski na nowojorską policję. Po prostu nas zgnoiłi. I bynajmniej nie próbowali się z tym kryć.

–Wcale mnie to nie dziwi.

–Sęk w tym, że w tej sprawie zaszło kilka zastanawiających, niespodziewanych zwrotów, o które chciałam pana zapytać. W razie rzecz jasna nieoficjalnie.

–Proszę bardzo.

–Okazuje się, że Margo Green żyje, ktoś powiadomił szpital o nagłym przypadku i sprawił, że została niezwłocznie przewieziona śmigłowcem ratunkowym do specjalistycznej placówki na północy stanu, gdzie przyjęto ją pod fałszywym nazwiskiem, podczas gdy na cmentarzu zamiast niej pochowano zwłoki bezdomnej narkomanki. Koroner twierdzi, że była to zwykła, choć pożałowania godna pomyłka, a dyrektor szpitala, że doszło do rażącego zaniedbania spowodowanego biurokratycznym bałaganem. To zabawne: tak się składa, że obaj są pana starymi znajomymi. Matka Margo omal nie dostała ataku serca, kiedy dowiedziała się, że jej córka, którą niedawno pochowała, żyje.

Przerwała, po czym wybuchnęła. – Do cholery, Pendergast! Czy pan nigdy nie potrafi zrobić niczego zgodnie z przepisami? Jak pan mógł zrobić coś takiego matce tej dziewczyny?

Pendergast milczał przez chwilę, po czym odrzekł. – Ponieważ jej rozpacz musiała być prawdziwa. Diogenes przejrzałby każdą mistyfikację. Choć okrutne, było to nieuniknione, aby ocalić życie Margo Green, a jej życie w ostatecznym rozrachunku jest ważniejsze niż rozpacz i smutek matki. Musiałem to zachować w największej

tajemnicy. Nawet porucznik D'Agosta nie mógł o tym wiedzieć.

Hayward westchnęła. – Rozmawiałam właśnie z doktor Green przez telefon. Jest bardzo słaba, jej życie wisiało na włosku, ale powoli dochodzi do siebie. I jest przytomna. To, co od niej usłyszałam, mocno mną wstrząsnęło. Twierdzi z absolutnym przekonaniem, że to nie pan ją zaatakował, a opis, jaki podała, pasuje do opisu pańskiego brata, który uzyskaliśmy od innych osób. Problem polega na tym, że to pańską krew odnaleźliśmy na miejscu zbrodni oraz na ostrzu noża, którym próbowała się bronić doktor Green, że nie wspomnę już o włóknach, włosach i kilku innych materiałach dowodowych. W tej sytuacji z uwagi na sprzeczność zachodzącą pomiędzy posiadanymi dowodami a zeznaniami niedoszłej ofiary przyznam, że mamy naprawdę twarde orzechy do zgryzienia. To prawdziwa zagadka.

–Bez wątpienia.

–Przesłuchanie Violi Maskelene potwierdziło pańską historię na temat Diogenesa, a w każdym razie tę jej część, która wydaje mi się w miarę możliwości do przyjęcia. Viola uparcie powtarza, że nie została porwana przez pana, lecz przez niego. Powiedziała, że pański brat praktycznie przyznał się jej do tych zabójstw i pokazał jeden z brylantów skradzionych z Astor Hall. Rzecz jasna nie mamy żadnych dowodów prócz jej zeznań, ale pomogła doprowadzić nas do domu, w którym była przetrzymywana. To, co tam zastaliśmy, było naprawdę niezwykle. Natrafiliśmy również na pewne, całkiem przekonujące dowody łączące osobę Diogenesa z kradzieżą w Astor Hall, dowody, których najwyraźniej nie zdołał się pozbyć. Przypuszczamy, że raczej nie pozostawił ich celowo.

–To ciekawe.

–Mało brakowało, a w tunelach dopadlibyśmy kogoś jeszcze. Porucznik D'Agosta twierdzi, że tym kimś był właśnie Diogenes. Gemolog Kaplan potwierdził jego słowa, podobnie lady Maskelene. Ich zeznania są spójne i wiarygodne. Wiemy, że to nie mógł być pan. Poprosiliśmy naszych brytyjskich kolegów, aby ponownie otworzyli w Anglii śledztwo w sprawie rzekomej śmierci Diogenesa, ale to trochę potrwa. Tak czy owak dowody zdają się wskazywać, że pański brat rzeczywiście żyje. Mamy już troje świadków, którzy to potwierdzają. Oni naprawdę w to wierzą.

Pendergast skinął głową. – A w co pani wierzy, pani kapitan?

Hayward zawahała się. – W to, że ta sprawa wymaga przeprowadzenia dalszego, wnikliwszego dochodzenia. Kłopot polega na tym, że FBI zawzięło się i robi, co może, aby postawić panu zarzut zabójstwa agenta federalnego i najwyraźniej nie przejmuje się niezgodnościami i brakiem konsekwencji w przypadku trzech pozostałych morderstw A raczej dwóch, jako że Margo Green nadal żyje. W tej sytuacji kontynuowanie przeze mnie dochodzenia w sprawie tych zabójstw wydaje się cokolwiek problematyczne.

Pendergast skinął głową. – Rozumiem, na czym polega pani problem.

Hayward przyjrzała mu się z zaciekawieniem. – Zastanawiam się tylko... czy miałby mi pan coś do powiedzenia w tej sprawie.

–Powiem tylko, że wierzę w pani umiejętności jako oficera policji, i ufam, że zdoła pani odkryć prawdę.

–To wszystko?

–To bardzo dużo, pani kapitan. Przerwała. – Pomóż mi, Pendergast.

–Pomoże pani porucznik D'Agosta. On wie wszystko, co niezbędne na temat tej sprawy. Niech się pani postara jak najlepiej spożytkować jego wiedzę.

–Przecież pan wie, że to niemożliwe. Porucznik D'Agosta został zawieszony w czynnościach służbowych. W obecnej chwili nie może nikomu pomóc.

–Nie ma rzeczy niemożliwych. Musi pani tylko nauczyć się naginać przepisy.

Hayward westchnęła z rozdrażnieniem.

–Chciałbym o coś zapytać – rzekł Pendergast. – Czy agent Coffey wie, że Margo Green żyje?

–Nie, ale szczerze mówiąc, wątpię, aby to go choć trochę obchodziło. Jak już wspominałam, federalni są w stu procentach skupieni na zabójstwie Deckera.

–To dobrze. Chciałbym panią prosić, aby możliwie jak najdłużej zachowała pani tę informację dla siebie. Ufam, że Margo Green przynajmniej na razie nic nie grozi ze strony Diogenesa. Teraz jest bezpieczna. Mój brat zaszył się w jednej ze swoich licznych kryjówek i przez pewien czas będzie lizał rany, ale gdy znów się pojawi, będzie o wiele bardziej niebezpieczny niż kiedykolwiek do tej pory. Proszę tylko, aby zechciała pani czuwać nad doktor Green aż do końca jej rekonwalescencji. To samo tyczy się Williama Smithbacka i jego żony Nory. A także pani. Obawiam się, że wszyscy stanowiące cele dla mojego brata Diogenesa.

Hayward wzdrygnęła się mimowolnie. To, co jeszcze dwa dni temu wydawało się majaczeniem szaleńca, z wolna zaczęło stawać się w pełni uzasadnionym i przeraźliwie realnym zagrożeniem.

–Zajmę się tym – zapewniła.

–Dziękuję.

W celi znów zapanowała przedłużająca się cisza. Wreszcie Hayward otrząsnęła się z chwilowego zamyślenia.

–Dobrze, pójdę już. Tak naprawdę przyszedłam tu tylko dla towarzystwa z kimś, komu bardzo zależało, aby się z panem zobaczyć.

–Pani kapitan? – rzekł Pendergast. – Jeszcze tylko jedno. Odwróciła się, by znów na niego spojrzeć. Stał tam blady w strugach sztucznego światła, przypatrując się jej chłodnym spojrzeniem swych jasnych wodnistych oczu.

–Proszę, niech pani nie będzie zbyt surowa dla Vincenta. Hayward niejako wbrew sobie gwałtownie odwróciła wzrok.

–Zrobił to, co zrobił, na moją usilną prośbę. To, że zatajał przed panią pewne informacje, to, że się wyprowadził, uczynił to wszystko, aby ochronić panią przed moim bratem. Aby mi pomóc i ochronić życie niewinnych osób, poświęcił swoją karierę zawodową. Mam nadzieję i modlę się całym sercem, aby to, co zrobił, nie kosztowało go również utraty życia osobistego, a ściślej mówiąc, wszystkiego, na czym naprawdę mu zależało.

Hayward nie odpowiedziała.

–To wszystko. Do zobaczenia, pani kapitan.

Hayward z niemalym trudem wykrztusiła. – Do zobaczenia, agencie Pendergast. – Chwilę potem, wciąż unikając jego wzroku, ponownie się odwróciła i energicznie zastukała w okrągłą wzmocnioną szybkę wizjera w drzwiach.

Pendergast patrzył, jak za Hayward zamykają się drzwi. Stał w bezruchu ubrany w pomarańczowy workowaty kombinezon i nasłuchiwał z uwagą. Zza obitych miękką wykładziną drzwi dobiegły go dziwne, niewyraźne głosy, potem zaś agent skupił się na lekkim, lecz zdecydowanym kroku Hayward zmierzającej w kierunku wyjścia. Usłyszał szcęk odblokowywanych zamków, a potem huk i łoskot otwierających się ciężkich drzwi. Jakieś pół minuty później rozległ się hurgot zamykanych drzwi i metaliczny zgrzyt blokowanych zamków Pendergast wciąż nasłuchiwał z najwyższym skupieniem. W korytarzu znów dały się słyszeć kroki. Te były wolniejsze, bardziej niepewne, jakby trwożliwe. Mimo to przybliżyły się. Gdy tak nasłuchiwał, wszystkie mięśnie w jego ciele naprężyły się. Agent zeszytniał.

–Gość!

I właśnie wtedy w drzwiach pojawiła się Viola Maskelene.

Miała delikatne zadrapanie nad jednym okiem i pod śródziemnomorską opalenizną wyglądała blado, ale poza tym wydawała się cała i zdrowa.

Pendergast wciąż stał jak posąg.

Viola przeniosła wzrok z jego twarzy na jego więzienny kombinezon.

–Dla twojego dobra z całego serca żałuję, że mnie poznałaś. Wolałbym, aby nigdy do tego nie doszło – rzekł beznamiętnie, niemal lodowatym tonem.

–A dla twojego dobra?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem znacznie ciszej dodał: – Nie żałuję, że cię poznałem. I nigdy nie powiem, że tego żałuję. Ale dopóki będziesz żywić względem mnie głębsze uczucie – jeśli faktycznie coś do mnie czujesz – będzie ci grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Musisz odejść i już nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie wolno ci nawet o mnie myśleć. – Przerwał i wlepił wzrok w podłogę. – Naprawdę bardzo mi przykro. Chciałem z całego serca przeprosić cię za wszystko.

Zapanowała długa cisza.

–I to wszystko? – spytała niemal szeptem Viola. – Nigdy się nie dowiemy, nie będziemy mieć szansy, aby przekonać się, czy mogłoby się nam udać?

–Nigdy, Diogenes wciąż jest na wolności. Gdyby uznał, że wciąż coś nas łączy, cokolwiek, nie zawahałby się ani chwili i po prostu by cię zabił. Musisz natychmiast wyjechać, wrócić na Capraię i powrócić do dawnego życia. Musisz żyć, powtarzając bez końca wszystkim wokół, jak i swojemu sercu, że absolutnie nic dla mnie nie znaczysz.

–A co z tobą?

–Będę wiedział, że żyjesz. To mi wystarczy.

Postąpiła krok naprzód zdecydowanie. – Nie chcę wracać do dawnego życia. Już nie. – Zawahała się, po czym uniosła ręce i oparła dłonie na jego ramionach. – Nie po tym, jak poznałam ciebie.

Pendergast wyglądał jak wykuty z kamienia.

–Musisz mnie zostawić – rzekł półgłosem. – Diogenes wróci. A ja nie będę mógł cię ochronić.

–On... mówił mi straszne rzeczy – powiedziała, łamiącym się głosem. – Minęło trzydzieści sześć godzin odkąd wyszłam z tam-tego tunelu i przez cały ten czas nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Wiodłam głupie, miałkie, jałowe życie bez miłości. A teraz ty każesz mi porzucić wszystko, co jeszcze ma dla mnie jakieś znaczenie.

Pendergast delikatnie objął Violę w talii i spojrzał jej głęboko w oczy.

–Dla Diogenesa prawdziwe wyzwanie stanowi odkrywanie najgłębiej skrywanych lęków u innych ludzi. Traktuje to jak grę. A potem zadaje jeden idealnie wymierzony cios. W ten sposób doprowadza ludzi do samobójstwa. Ale jego słowa są puste. Nie pozwól, aby te słowa cię prześladowały. Poznać Diogenesa to jak stąpać w ciemnościach. Musisz wydostać się z tego mroku. Musisz stamtąd wyjść. Wrócić do światła. A to niestety oznacza, że musisz także rozstać się ze mną. Musisz mnie zostawić.

–Nie – wyszeptała.

–Wróć na swoją wyspę i zapomnij o mnie. Jeżeli nie z uwagi na siebie, Violu, to zrób to przez wzgląd na mnie.

Przez chwilę patrzyli sobie nawzajem w oczy. A potem w ostrym surowym świetle małej ciasnej celi ich usta złączyły się w namiętnym pocałunku.

Pendergast odsunął się od niej i cofnął o krok. Na jego twarzy, co niezwykle, pojawiły się rumieńce, blade oczy błyszczały jakby trawione gorączką.

–Zegnaj, Violu – powiedział.

Viola stała jak wrośnięta w ziemię. Minęła minuta. Wreszcie z niezamierzonym wahaniem odwróciła się i wolno podeszła do drzwi. Tam przystanęła i nie odwracając się, odezwała się cichym głosem. – Zrobię tak, jak powiedziałaś. Wrócę na moją wyspę. Będę rozpowiadać wszystkim na lewo i prawo, że jesteś mi kompletnie obojętny, że nic dla mnie nie znaczysz. Zacznę życie od nowa.

A kiedy ty uporasz się ze swoim problemem, kiedy będziesz wreszcie wolny, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Zapukała szybko i stanowczo w szybkę wizjera, drzwi otworzyły się i po chwili już jej nie było.

EPILOG

Ogień w kominku wygasł, w palenisku pozostała jedynie gruba warstwa popiołu. W bibliotece panował półmrok, wszystko jak zawsze spowijał niewidzialny woal ciszy: przykryte rypsem stoły, na których leżały stopy książek, regały z półkami uginającymi się pod ciężarem grubych woluminów, stojące lampy i skórzane fotele. Był słoneczny zimowy dzień, ostatni dzień stycznia, ale w domu przy Riverside Drive 891 panowała, jak się wydawało, wieczna noc.

Constance siedziała w jednym z foteli ubrana w czarne spodnie z białą koronkową lamówką, nogi podkuliła pod siebie. Była pogrążona w lekturze osiemnastowiecznego traktatu na temat upuszczania krwi. D'Agosta siedział w fotelu klubowym nieopodal. Na srebrnej tacy obok niego stała nietknięta puszka budweisera. Na tacy zebrała się już spora kałuża wody ściekającej z dobrze schłodzonej puszki.

D'Agosta spojrział na Constance, na jej doskonały profil i proste brązowe włosy. Nie ulegało wątpliwości, że była piękną młodą kobietą. Była również niezwykle, niewiarygodnie inteligentna i odczytana jak na swój wiek. Ale miała też w sobie coś dziwnego, może nawet bardzo dziwnego. Wydawała się zimna, nad wyraz opanowana. Na wieść o aresztowaniu i uwięzieniu Pendergasta nie okazała żadnej reakcji, przyjęła tę informację bez jakichkolwiek emocji.

D'Agosta wiedział z doświadczenia, że ten rodzaj braku reakcji znamionuje zwykle najsilniejszą i najgwałtowniejszą z możliwych. To go zaniepokoiło. Pendergast wspomniał, że psychika Constance jest wyjątkowo chwiejna i słaba, delikatnie dając mu do zrozumienia, że miało to coś wspólnego z mrocznymi wydarzeniami z jej przeszłości. D'Agosta już od dawna powątpiewał w stabilność zdrowia psychicznego dziewczyny, a ten niewyjaśniony brak reakcji tylko wzmógł w nim niepokój. Po części po to, aby nad nią czuwać, teraz, kiedy zabrakło Pendergasta, sprowadził się nie dalej jak wczoraj z torbą podróżną pełną najniezbędniejszych rzeczy do domu przy Riverside Drive 891; poza tym nie bardzo miał się gdzie podziać.

Pozostawał jeszcze problem Diogenesa. To prawda, że został pokonany. Zdołali pokrzyżować jego szyki, jeżeli chodzi o Violę i Serce Lucyfera, i zmusili go, aby zaszył się w którejś ze swoich licznych kryjówek. Policja nowojorska nareszcie uwierzyła w jego istnienie i rozpoczęła zakrojone na szeroką skalę poszukiwania młodszego z braci Pendergastów. Niedawne wypadki dały stróżom prawa do myślenia i choć nie do końca, podkopały w nich wiarę, że Aloysius Pendergast jest seryjnym zabójcą, którego tak zawzięcie poszukiwali. Problem stanowiły jednak zgromadzone przez nich dowody. Policja nowojorska nie miała natomiast wątpliwości, że to Diogenes stał za kradzieżą brylantów z Astor Hall i uprowadzeniem Violi. Gliniarze znaleźli dom, w którym się ukrywał, i obecnie rozbierali go na kawałki. Sprawa pozostawała otwarta i wszystko wskazywało na to, że ten stan nieprędko się zmieni.

W pewnym sensie porażka i ucieczka Diogenesa sprawiły, że stał się on jeszcze bardziej niebezpieczny. D'Agosta przypomniał sobie zainteresowanie Diogenesa osobą Constance podczas rozmowy telefonicznej w jaguarze i wzdrygnął się mimowolnie. Jedyne, na co mógł liczyć, to niewiarygodna skrupulatność i drobiazgowość.

Diogenesa. Ten człowiek opracowywał swoje plany z zegarmistrzowską precyzją. Jego riposta, a że takowa nastąpi, nie mogło być żadnych wątpliwości, będzie gruntownie przemyślana. A co za tym idzie, nie stanie się to szybko. D'Agosta miał dość czasu aby się przygotować.

Constance uniosła wzrok znad książki. – Czy wiedział pan, poruczniku, że nawet w początkach osiemnastego wieku przy upuszczaniu krwi preferowano raczej stosowanie pijawek niż nacinanie skóry?

D'Agosta spojrział na nią. – Niestety, nie wiedziałem.

–Lekarze kolonialni częstokroć importowali pijawki europejskie *Hirudinea annelida*, ponieważ były w stanie wyciąć więcej krwi aniżeli *Macrobeta decora*.

–*Macrobeta decora*?

–Pijawka amerykańska, poruczniku – dodała Constance i wróciła do lektury książki.

Mów mi Vincent, pomyślał D'Agosta, spoglądając na nią z zamyśleniem. Zresztą nie był pewien, jak długo jeszcze pozostanie porucznikiem.

Powrócił myślami do minionego popołudnia i upokarzającego przesłuchania przez funkcjonariuszy z wydziału wewnętrznego. Z drugiej jednak strony była to dla niego olbrzymia ulga; Singleton dotrzymał słowa i całą tę aferę zatuszował pod szyldem nieudanej tajnej operacji, podczas której D'Agosta „popęłnił liczne błędy”, „wykazał rażąco nieudolność” i „podjął kilka niewłaściwych decyzji”. Jeden z przesłuchujących go pracowników wydziału wewnętrznego określił D'Agostę mianem „najprawdopodobniej najgłupszego policjanta w tym mieście”, ale koniec końców nie zdołano udowodnić mu żadnych popełnionych rozmyślnie przestępstw Lista uchybień i tak była dostatecznie długa.

Lepiej, by mieli cię za głupca niż za przestępcę, powiedział mu później Singleton. Czekają go kolejne przesłuchania, ale jego przyszłość w nowojorskiej policji jako funkcjonariusza, niezależnie w jakim stopniu, stała pod wielkim znakiem zapytania.

Hayward rzecz jasna także złożyła zeznania. Mówiła kompletnie beznamiętnym głosem, używając policyjnego żargonu i ani razu – ani razu – nie spojrzała nawet w jego stronę. Lecz jak na ironię jej zeznania pomogły mu uniknąć o wiele poważniejszych oskarżeń. Gdyby nie ona, postawione mu zarzuty mogłyby się okazać znacznie bardziej surowe. Jeszcze raz sięgnął po akta Diogenesa, choć wiedział, że ich ponowna lektura i tak niczego nie zmieni. Dziesięć dni temu nie było tu Pendergasta, aby nim pokierować. Tylko że od tej pory zamordowano cztery osoby, a Pendergast po swoim nagłym „zmartwychwstaniu” przebywał w Bellevue na obserwacji psychiatrycznej. D'Agosta nie dowiedział się wówczas niczego istotnego. Czy jest możliwe, aby tym razem było inaczej?

Mimo to musiał przynajmniej spróbować. Odebrano mu wszystko – karierę, udany związek z Laurą Hayward, najbliższego przyjaciela – dosłownie wszystko. Mógł zrobić tylko jedno: udowodnić niewinność Pendergasta. Żeby tego dokonać, musiał odnaleźć Diogenesa.

W głębi domu rozległ się dźwięk dzwonka; ktoś był przy drzwiach. Constance uniosła wzrok. Przez mgnienie oka na jej obliczu pojawił się wyraz nieskrywanej trwogi – i czegoś jeszcze, czegoś niewypowiedzianego, – zaraz jednak jej oblicze znów stało się niewzruszone i beznamiętne jak woskowa maska.

D'Agosta wstał. – Bez obawy Pewnie dzieciakom z sąsiedztwa zebrało się na głupie żarty. Zaraz to sprawdzę.

Odłożył teczkę, ukradkiem sprawdził, czy ma przy sobie pistolet, i ruszył wolno w stronę drzwi biblioteki. W tej samej chwili jednak spostrzegł Proctora zmierzającego ku niemu od strony głównego holu.

–Jakiś dżentelmen do pana, sir – powiedział Proctor.

–Przedsięwziąłeś niezbędne środki bezpieczeństwa?

–Tak jest, sir, ale...

Dokładnie w tym momencie w galerii za Proctorem pojawił się mężczyzna na wózku inwalidzkim. D'Agosta spojrzał na niego, ze zdumieniem rozpoznając w nieoczekiwanym gościu Eliego Glinna, szefa Efektywnych Rozwiązań Inżynieryjnych.

Mężczyzna przejechał obok Proctora i D'Agosty, by zatrzymać się obok jednego ze stołów w bibliotece. Zdecydowanym ruchem ręki odsunął na bok kilka stosów książek, aby zrobić miejsce. Następnie położył na blacie pokazny plik rozmaitych papierów: wydruki, projekty, szkice, plany budynków oraz dziwne skomplikowane wykresy i tabele.

Constance podniosła się z fotela i stała z książką w dłoni, wpatrując się w przybysza.

–Co pan tu robi? – spytał D'Agosta. – Jak pan znalazł to miejsce?

–To nieważne – odparł mężczyzna, odwracając się do D'Agosty z błyskiem w zdrowym oku. – W ubiegłą

niedzielę złożyłem pewną obietnicę.

Unióś dłoń przyobleczoną w czarną rękawiczkę. Trzymał w niej cienką szarą kopertę. Położył ją na stole.

–To jest właśnie to: wstępny profil psychologiczny Diogenesa Dagleponta Bernoullego Pendergasta. Dodam przy tym, że zmodernizowany w świetle ostatnich wydarzeń, a przynajmniej tego co na ich temat zdołałem się dowiedzieć z mediów, a także od moich informatorów. Liczę, że pan powie mi coś więcej.

–Dużo więcej.

Glinn uniósł wzrok. – Pani musi być Constance. Skinęła głową. W jej wykonaniu ten gest wyglądał jak dworski ukłon.

–Będę potrzebował także pani pomocy

–Z przyjemnością.

–Skąd to nagle zainteresowanie? – spytał D'Agosta. – Odniosłem wrażenie...

–Że ta sprawa nie jest mnie w stanie zainteresować? Z początku faktycznie tak było. Wtedy wydawało mi się, że to mało istotny problem, a zarazem łatwy sposób na zarobienie większej ilości gotówki. I wtedy stało się to – postukał palcami w szarą kopertę. – Być może na całym świecie nie ma bardziej niebezpiecznego człowieka.

–Nie rozumiem.

Na ustach Glinna pojawił się posępny uśmiezek. – Zrozumie pan, kiedy przeczyta sporządzony przez nas profil psychologiczny tego człowieka.

D'Agosta skinął głową w stronę stołu.

–A te wszystkie papiery... co to takiego?

–Schematy i plany budynku oraz systemów zabezpieczeń najbardziej strzeżonego skrzydła zakładu karnego Herkmoor w północnej części stanu Nowy Jork.

–Po co pan je przyniósł?

–Wydawało mi się, że to chyba oczywiste. Chodzi o mojego klienta, agenta Pendergasta.

–Ale Pendergast przebywa w Bellevue, a nie w Herkmoor.

–Już wkrótce zostanie tam przewieziony

D'Agosta spojrzął na Glinna ze zdumieniem. – Chyba nie mówi pan o... wydostaniu go stamtąd?

–Owszem, tak.

Constance westchnęła z przejęciem.

–To jedno z najcięższych więzień w całym kraju. Nikt nigdy stamtąd nie uciekł.

Glinn wciąż patrzył na D'Agostę. – Wiem o tym.

–Sądzi pan, że to w ogóle możliwe?

–Wszystko jest możliwe. Ale będziecie musieli mi pomóc.

D'Agosta spojrzął na plany i schematy rozsypane na blacie stołu. Było tu wszystko, czego mogli potrzebować – wykresy i wydruki wszystkich systemów: technicznych, budowlanych, elektrycznych i mechanicznych, istniejących w tym budynku. Policjant przeniósł wzrok na Constance. Niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

Dopiero wtedy D'Agosta spojrzął w jedyne błyszczące oko Glinna. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł w głębi serca przyływ nowej, pocrzepiającej fali nadziei.

–Wchodzę w to – powiedział. – Boże dopomóż, wchodzę w to. Poorane bliznami oblicze Glinna rozpromieniło się. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Mężczyzna delikatnie poklepał dłońią w czarnej rękawiczce plik papierów leżących na blacie stołu. – Chodźcie, przyjaciele. Czeka nas mnóstwo pracy

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/